



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>

S2av 7115.1

THE SLAVIC COLLECTION



Harvard College Library

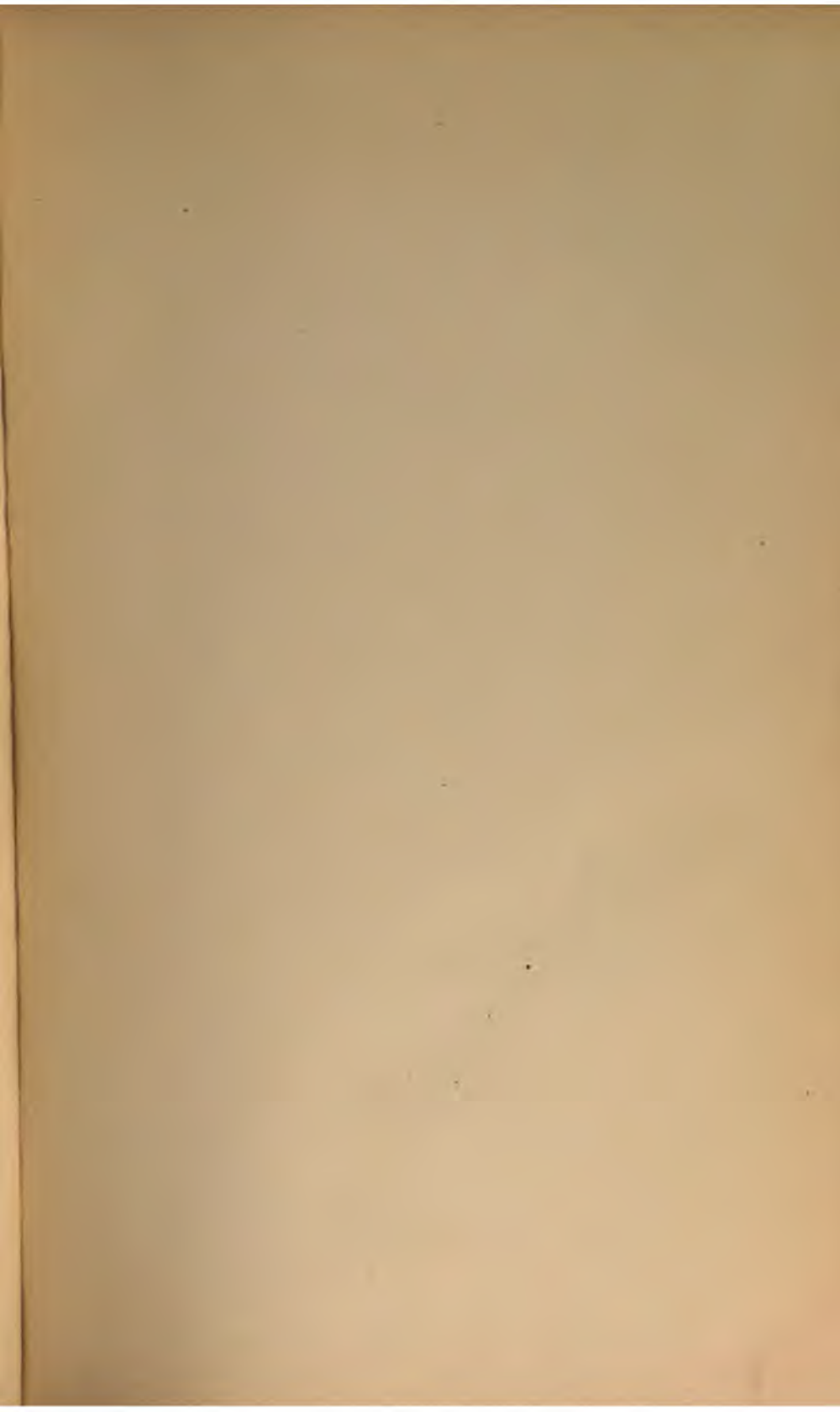
GIFT OF

Archibald Cary Coolidge, Ph.D.

(Class of 1887.)

Received ^{1 July} 2 October 1895.







Slaw 7115.1

//
DZIEŁA

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

PRZEJRZANE I POPRAWIONE

PRZEZ
AUTORA.

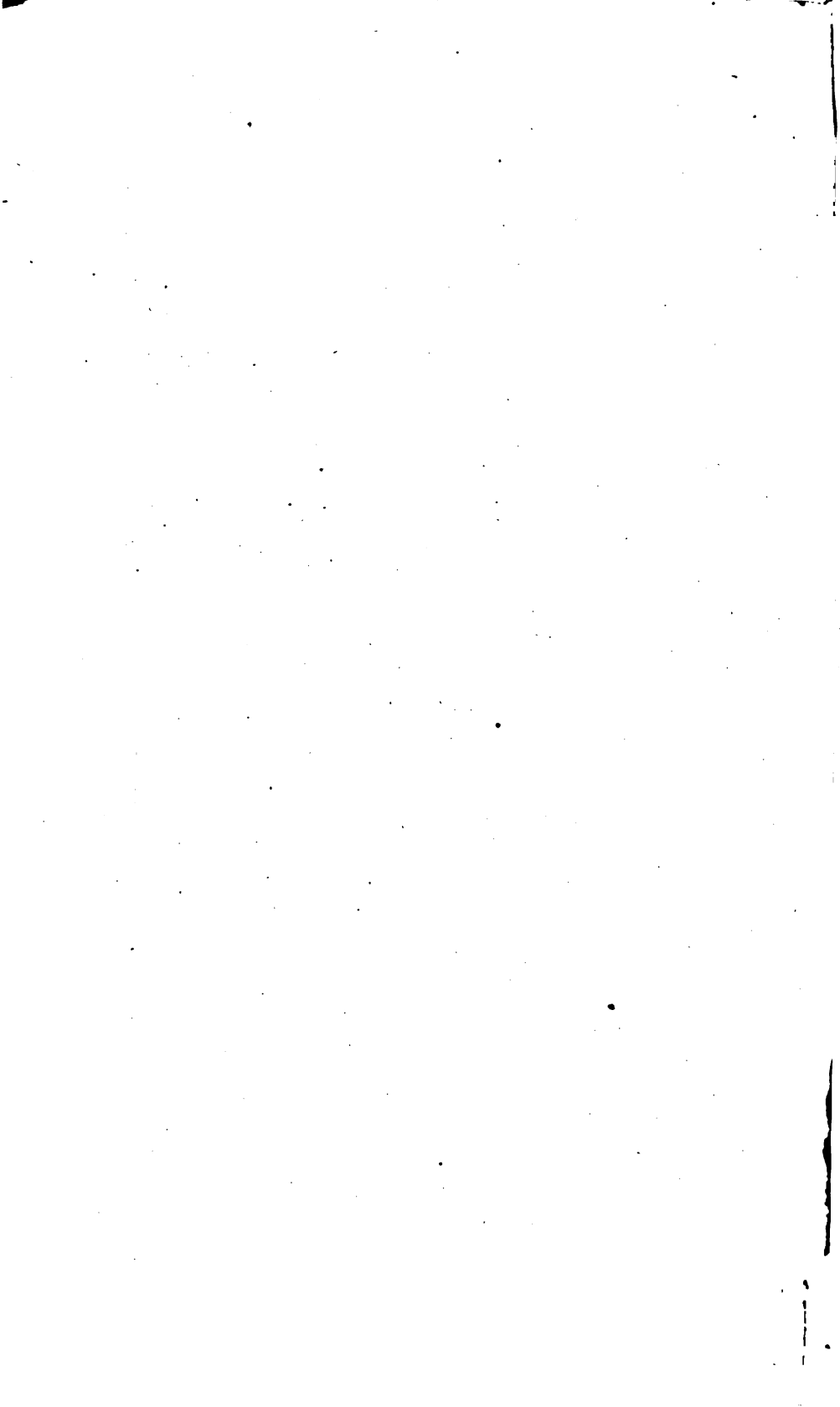
TOM IX.

WNOSEKTA (zob. Wnoscenie)
K A T O.
BRACIA ŚLUBNE.

WARSZAWA.

Wydawca: W. L. Górniewicz.

1876.



DZIEŁA ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.



DZIEŁA
ZYGmunTA KACZKOWSKIEGO

PRZEJRZANE I POPRAWIONE

PRZEZ

AUTORA.

TOM IX.

WNUCZĘTA (*dokończenie*).

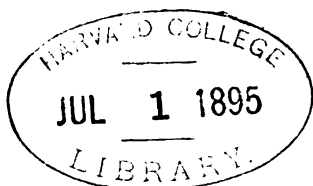
K A T O.

BRACIA ŚLUBNI.

WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
ulica Nowolipki Nr. 2406 (3).

1875.

Slav 7115.6



Dr. A. C. Coolidge

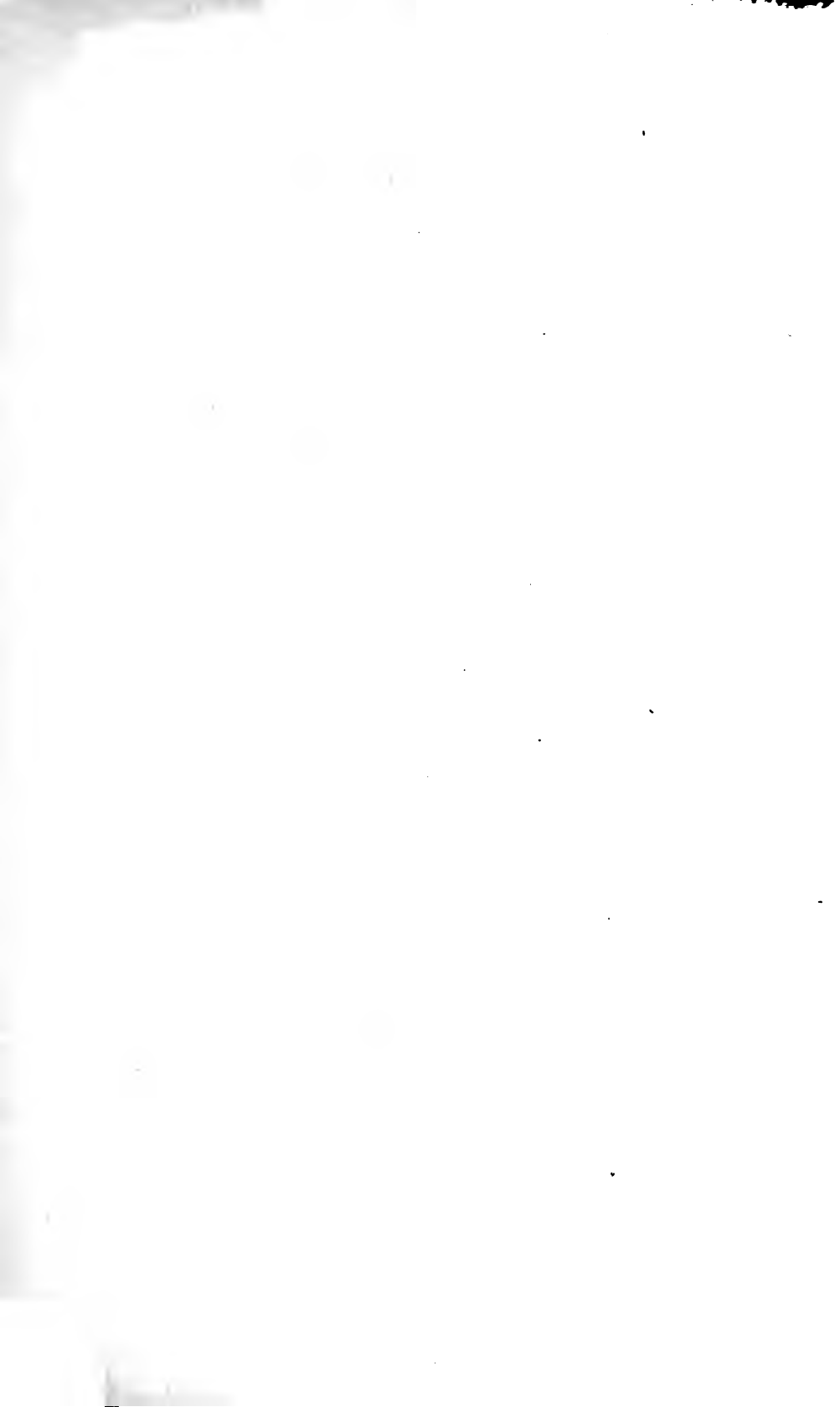
BOUND, JUN 30 1911

Дозволено Цензурою.

Варшава, 11 Марта 1875 г.

WNUCZĘTA.

(Dokończenie).



XX.

Opowiedziawszy tak skutki, które śmierć pana Demboroga zrządziła w jego familii, przejdźmy z kolei do pana Edwarda.

Kawaler ten, równie śmiały w tworzeniu planów jak i w ich wykonywaniu, jak tylko się na dniu owym fatalnym, w którym się szkaradnie zawiódł na ostatecznej sumie swojej rachuby, wyrwał z zakrętów wązkiej drożyny, sprowadzającej na dół ze zamku, puścił się całym pędem swoich anglików prosto do domu. Czwo-ronożni wyspiarze, jakkolwiek nieraz już w swoim życiu biegali w zawody albo o zakład do mety, nie byli jednak nigdy jeszcze w takich jak teraz obrotach, ile bowiem tchu było w ich płucach ile krwi w ich statecznym temperamencie i ile szybkości w ich członkach, wszystko to wydobywał z nich Edward batogiem i pędził tak, że ktoby był go widział tak siedzącego na koźle swojego faetonu, przesadzającego w powietrzu przez mostki i rowki, migającego się tylko po drodze i okrytego tumanami ciężkiego kurzu, ten byłby nigdy nie powiedział, że to jedzie ziemska jakaś istota, tylko że to diabeł sam, namazany niespodzianie krzyżem i pokro-
piony wodą święconą przy jakiejś sprawie, wraca przestraszony do piekła. A tymczasem była to rzecz bardzo naturalna: bo kto tak wyciągniętym kłusem zaczyna konkury, jakieśmy to widzieli w jego pierwszej podróży do chatki za parkiem, temu po odebraniu rekuzy nie pozostaje już krok inny, jak jazda diabelska.

Przeleciawszy tak w kilkunastu minutach owę milę podolską, która go przedzielała od Demborogów, wpadł on jak szatan do swoich apartamentów i drzwi zatrzasnąwszy za sobą, zamknął je na klucz, ażeby nikt nie wszedł do niego. Służący dworscy i ro-

botnicy, widząc po tym wjeździe szalonym, że się musiało stać coś niezwykłego, opadli wszyscy grooma, wyprzęgającego konie z faetonu, ażeby się coś dowiedzieć od niego. Ale groom, czy to z rozkazu pana, czy z własnej ochoty nie chciał powiedzieć nikomu słowa, a kiedy go już bardzo zniecierpliwili, obracał się do nich, wołając przez wyszczerzone, grube ale białe jak mleko zęby:

— Dajcie mi pokój, bom zły jak sto diabłów.

Tak niczego się nie mogąc dowiedzieć, rozchodziła się gawiedź kupkami w różne strony dziedzińca i gwarzyła pomiędzy sobą, lecz biorąc miarę z usposobienia sługi do usposobienia pana, a stąd znowu do samego wypadku, tworzyła Bóg wie jakie brzydkie i hańbiące domysły.

Tymczasem Edward znajdował się rzeczywiście w daleko gorszym usposobieniu od swego grooma. Wpadłszy on do swojej sypialnej komnaty i rzuciwszy w kąt z gniewem swój dziwnie jakoś zmaltretowany kapelusz, zaczął prędkiem i gorączkowym krokiem przechodzić się po komnacie. Z jego włosów zburzonych jak strzecha wśród zawieruchy, z jego twarzy zmienionej i pomieszanej, z jego oczów biegających po najodleglejszych kątach komnaty i niby wstydzących się samych siebie, z jego pomiętej i powyciągananej na piersiach koszuli a całkiem rozpuszczonej krawaty, widać było, że konfuzya, która go dzisiaj spotkała, jak niespodzianie go napadła, tak go dojęła głęboko. I było tak w samej rzeczy. Edward nigdy w swém życiu nie był dotknięty tak do żywego jak dzisiaj. Był on trafiony we wszystkie najślabsze miejsca odrazu: główne zadanie jego zostało zniweczonem na zawsze, jego rozum przegrał stanowczą bitwę i omal jeszcze że się nie dostał w niewolę, jego zarozumiałość została podcięta jak wiotka trawa i musiała się pokłonić do ziemi, jego duma postrzelona kulą w samą komorę, jego miłość własna rozdarta i zakrwawiona, jego stanowisko całe zachwiane a może nawet aż do fundamentu zburzone. To też patrząc na niego w tej chwili, zdawało się że go wściekłość porywa ostatnia, tak drgał konwulsyjnie na całym ciele, takie usta miał zapienione i tak dzikiemi oczyma rzucał do koła siebie. Gdyby był nie miał jeszcze cokolwiek przytomności, byłby podrzutował wszystkie sprzęty w całym swoim mieszkaniu, byłby porozbijał swoje fabryki i rękodzielnie, byłby może jeszcze raz kazał zaprządź swoje angieli, poleciał do Demborogów i tam krwawo się zemścił na Amilkarze, na Amilkarowej i nawet na Muni, chociażby tylko za to, że żyła na świecie. Jednakże pomału zaczęła się złość jego układać a myśl ta, że każdy jest sam sprawcą swojego losu, a już też najpewniej i on byłby tego szwanku nie poniósł, gdyby się był dobrowolnie nań nie naraził, zaczęła mu coraz jaśniej przyświecać. Wszakże ta myśl obudziła znowu gniew jego, i jak pierwój wylęwał złość swoją, sam nie wiedząc na kogo, tak teraz począł ją wylęwać na siebie samego. I chociaż żywój

duży nie było w komnacie, zdawało mu się że słyzy jakieś głośny, wydobywające się z kątów i z niego szydzące, zdawało mu się że słyzy śmiech jakiś diabelski, przenikający, że z politowaniem nad jego głupotą oglądają na niego portrety, że każdy sprzęt się rusza z miejsca, ażeby jemu urągać, mucha nawet, ostatnia muszka letnia, która brzęczała około jego uszów i nosa, wołała jaknajwyraźniej: Edward głupi! głupi! głupi!

I Edward jak szalony rzucił się za tą muszką, i jak dziecko latał za nią po całej komnacie, aż póki jój nie dopadł na szybie i nie udusił. A udusiwszy, rzucił na ziemię i roztarł nogami. I patrzył z dzikiem ukontentowaniem, jako roztarł na proch, na nic, żyjące Boże stworzenie, i z jeszcze dzikszem ukontentowaniem pomyślał o tém, żeby mógł tak starego Demboroga rozetrzeć na miazgę. I myślał długo nad tém pan Edward. Lecz trafiony już raz w swoje zarozumiałość i mając świeżo w pamięci scenę, w której omal że sam rozartym nie został na miazgę, począł myśleć nad sobą i nad swém położeniem. Nie szło mu to zrazu po woli, bo jeszcze wszystko się w nim kłębiło jak w garnku kipiącym, jeszcze były jego tętna jak w najsilniejszej gorączce, jeszcze mu w głowie szumiało jak w jakimś głębokim skalistym źródliisku; ale pomalu począł on odzyskiwać władzę nad sobą i jego myśli zaczęły się składać w jaki taki ład i porządek. A kiedy to się stało, widział on jawnie, że jest dziś splamionym i zniweczonym moralnie, i widział to, że gdyby tój plamy nie zrzucił ze siebie, toby był zniszczonym na wieki. Począł tedy myśleć nad środkami oczyszczenia, odzyskania swojego honoru. I zdawało mu się, że to nic łatwiejszego. Pojedynek dostatecznym jest na to. Kto kogo obraził, musi dać satysfakcją, a tój przecie pan Demboróg nie odmówi. Nie może odmówić, — powtarzał do siebie, chodząc coraz wolniejszym krokiem po komnacie pan Edward, — nie może odmówić, wszakże jest sam jednym z najpotężniejszych filarów, na których się opierają szlacheckie przesady, i niech się ten pojedynek choćby tylko dla formy odbędzie, to już i to będzie dostatecznym dla zmazania plamy. A jeżeli odmówi? ha! to i to jeszcze nic znaczyć nie będzie, wszakże dość z mojej strony, jeżeli go wyzwę. — I około takich myśli, jak w zaczarowanym kółku, kręcąc się, Edward przyszedł nakoniec do tego przekonania, że jeszcze nie jest całkowicie zgubionym, a obwijając całe odrodzenie się swoje około pana Demboroga i przemyślując wszystkie możliwe wynikłości t-kiego wyzwania i pojedynku, zaczął jeszcze te i owe wysnuwać nadzieje i przyszedł nakoniec aż nawet do tego, że się uspokoił prawie całkiem, zacięrał ręce i chodząc po komnacie, mówił do siebie: Ha! któż wie, do czego jeszcze ta moja awantura posłuży? Kto to wie, co się jeszcze stać może? — Tak mówił pan Edward, ale niestety nie było już teraz tój muszki, bo byłaby mu w tój chwili pewnie jeszcze daleko głośniej zabrzęczała w ucho: Edward głupi! głupi! głupi!

Wszakże zamiast brzęczenia muszki dało się w tej chwili słyszeć lekkie pukanie do drzwi. Była to już szara godzina, zmrok coraz grubszy zapadał i coraz posepniej się robiło w komnacie; Edward więc wstrząsł się mimowolnie, usłyszawszy ten głos, którego wcale się nie spodziewał, a wtém pukanie jeszcze raz się powtórzyło.

— Kto tam? — zapytał Edward, przystępując do owych drzwi-czek, w kształcie szafy zrobionych, które z sypialni prosto wprowadzały do sieni.

— Ja, Kopytkiewicz, do usług jaśnie pana, -- odpowiedział głos z sieni.

— Czegoż chcesz teraz? jutro, jutro z interesami, bo dziś nie mam czasu.

— Ale proszę jaśnie pana, jest bardzo pilny interes.

— O! nibyto ja nie znam waszych pilnych interesów! — odpowiedział Edward, lecz wpuścił pana Kopytkiewicza.

Pan Kopytkiewicz był to dawny rządcą całych dóbr pana Edwarda, lecz teraz, osobliwie od czasu tylu zmian zaprowadzonych w gospodarstwie i fabryk poczynanych, na których on nic a nic się nie rozumiał, zostawiony niby-to w charakterze magazyniera i rachmistrza, właściwie używanym był do wszystkiego. Inny rządcą na jego miejscu byłby nie zniósł tej degradacji i podziękował za służbę, ale on, człek praktyczny i o tytuły nie dbający, wiedząc przytém że młodym panom służyć rzecz niezła, został się i dał się używać do wszystkiego. Najglówniejszą tedy funkcją jego było szpiegowanie wszystkiego, co się gdzie dzieje, i donoszenie panu o tém natychmiast, czego nigdy nie zaniedbywał, chyba w takim razie, jeżeli mu się wyszpiegowany opłacił; wiedział też on o wszystkiém nietylko w domu ale i w okolicy, i umiał ze wszystkiego korzystać; do posyłek był on jedyny, bo nikt tak dróg nie znał, nikt tak nie umiał sobie radzić w przypadkach i nikt tak prędko lada jakimi chebetami nie jeździł; na targach i jarmarkach był on prawdziwym mistrzem, a coś wytumanić za bezcen, kogoś zręcznie podkupić, sprzedać konia ślepego za widzącego, dychawicę zatrzymać, nosaciznę ukryć, to było u niego zabawką, a czém już najlepiej służył Edwardowi, to tém niezawodnie, że umiał tak zręcznie manipulować pańszczyzną, że roboty zawsze było bez końca, a pomimo to takie na gromadach restancye, że ani za dziesięć lat nie byłyby w stanie tego odrobić, jakoż niemniej i tém, że tak przy fabrykach jak i w polu nigdy na robotniku nie brakło, w których dostarczaniu Kopytkiewicz tak był sprawny i zręczny, że kiedy mu powiedziano że potrzeba stu ludzi, to pewnie ani jednego nie brakło, trzeba było dwieście, to było dwieście, a trzysta, to trzysta. Rczkaz pański u niego był słowem świętém; nie znał on nigdy innéj odpowiedzi jak: Dobrze, jaśnie panie, musi być, kiedy trzeba, — i za to najwięcej lubił go pan Edward. Przy takiej służbie wszakże, pan Kopytkiewicz

umiał pamiętać i o sobie; powiadano nawet o nim, że ma grube pieniądze, ale on tego nie przyznawał nikomu, skarżył się nawet nieraz na niedostatek, a kiedy dzieci wysyłał do szkół, albo na jakiś większy jarmark wyjeżdżał, to zawsze od Edwarda pożyczał pieniędzy.

Pan Kopytkiewicz był wzrostu słusznego, barczysty i silny, miał oczy siwe, nos długi, wąsy jasne sumiaste, jak gdyby dwie miotły, które prawą ręką odgartywał co moment. Trzymał on się zawsze prosto jak żołnierz, nosił długi surdut zielony a pod nim ukrytą potajemnie nahajkę, bez której nigdy ani kroku nie zrobił. Odpowiadał zawsze krótko i węzłowato, nad odpowiedzią nigdy się nie namyślał, nie rozgadywał się z nikim na długo, chyba że miał w tém interes, a jak się rozgadał bez interesu, to już źle było, bo nahajka pewnie była natenczas już w rękę. Teraz, wszedłszy do sypialni Edwarda, zamknął on drzwi za sobą, obejrzał się na około i rzekł:

— Jaśnie panie, jest ważna nowina.

— No cóż? mów prędko i nie nudź.

— Stary hrabia umarł na zamku.

— Hrabia umarł! — zawołał przerażony Edward, — co ty mówisz! to być nie może! — i dziwne jakieś jakieś opanowało go uczucie. W téj chwili sam on nie wiedział co myśleć: czy ma cieszyć się śmiercią nieprzyjaciela, czy ma smucić się tém, że teraz już nie będzie miał na kim poszukiwać satysfakcyi za swoją krzywdę i że plamy zmasać nie zdoła, czy nakoniec żałować miał tego, że pojechał dziś po obiedzie na zamek i że właśnie przez to, przez co chciał dopiąć, ostatecznie uchybił swojego celu. Ale nim się jeszcze mógł zgodzić ze sobą, odpowiedział Kopytkiewicz:

— A tak, ani chybi, umarł, jaśnie panie, na apopleksyą. I to dziwne rzeczy jeszcze do tego powiadają.

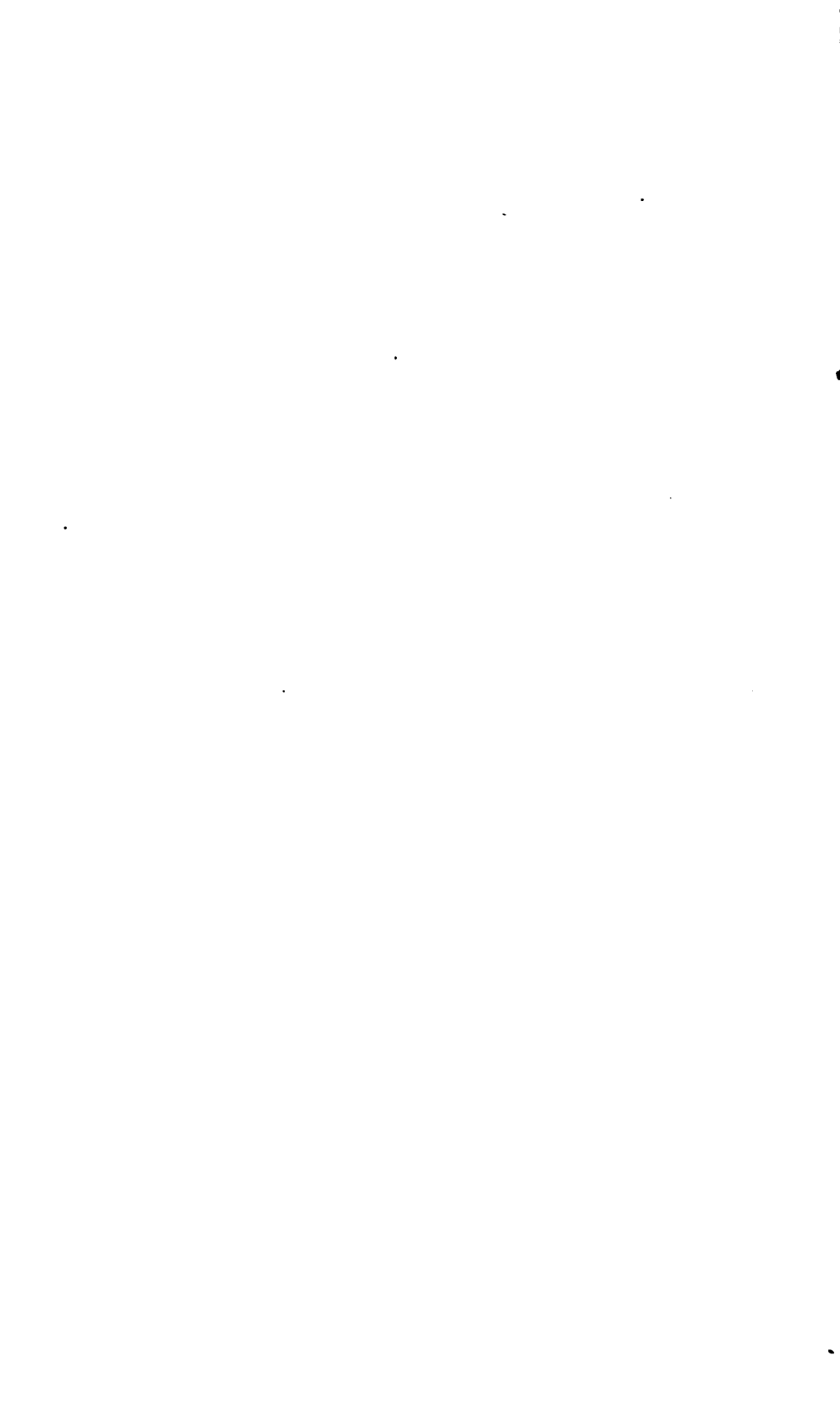
— Cóż powiadają? — spytał ciekawie Edward.

— Powiadają, jaśnie panie, że go wierzyiele jacyś tam przycisnęli, że poszedł szukać jakiegoś skarbu, który miał schowany być w grobach, że tego skarbu nie znalazł i zaraz tam umarł.

Edward spojrział na mówiącego, zaciął zęby i udając obojętnego, rzekł:

— No idź już, idź, mój Kopytkiewicz.

A kiedy wyszedł, Edward prędko drzwi za nim zamknął i rzucił się na środek sypialni. Natychmiast téż stan ten, w którymśmy go przed godziną widzieli, powrócił z tą tylko różnicą, że nie okazywał się tak niepokonanym w swój złości i tak szalonym, ale za to, co czuł, czuć musiał daleko głębiej i mocniej, co się nawet wyraźnie odbijało na jego twarzy i w oczach, a nakoniec i w ruchach rąk, które zdawały się być nawet rozpaczliwymi. Jakoż tak było w istocie. Edward bowiem, jakkolwiek był



Slav 7115.1

//

DZIEŁA

ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO

PRZEJRZANE I POPRAWIONE

PRZEZ

AUTORA.

TOM IX.

WNUCZĘTA *(dokończenie)*

K A T O.

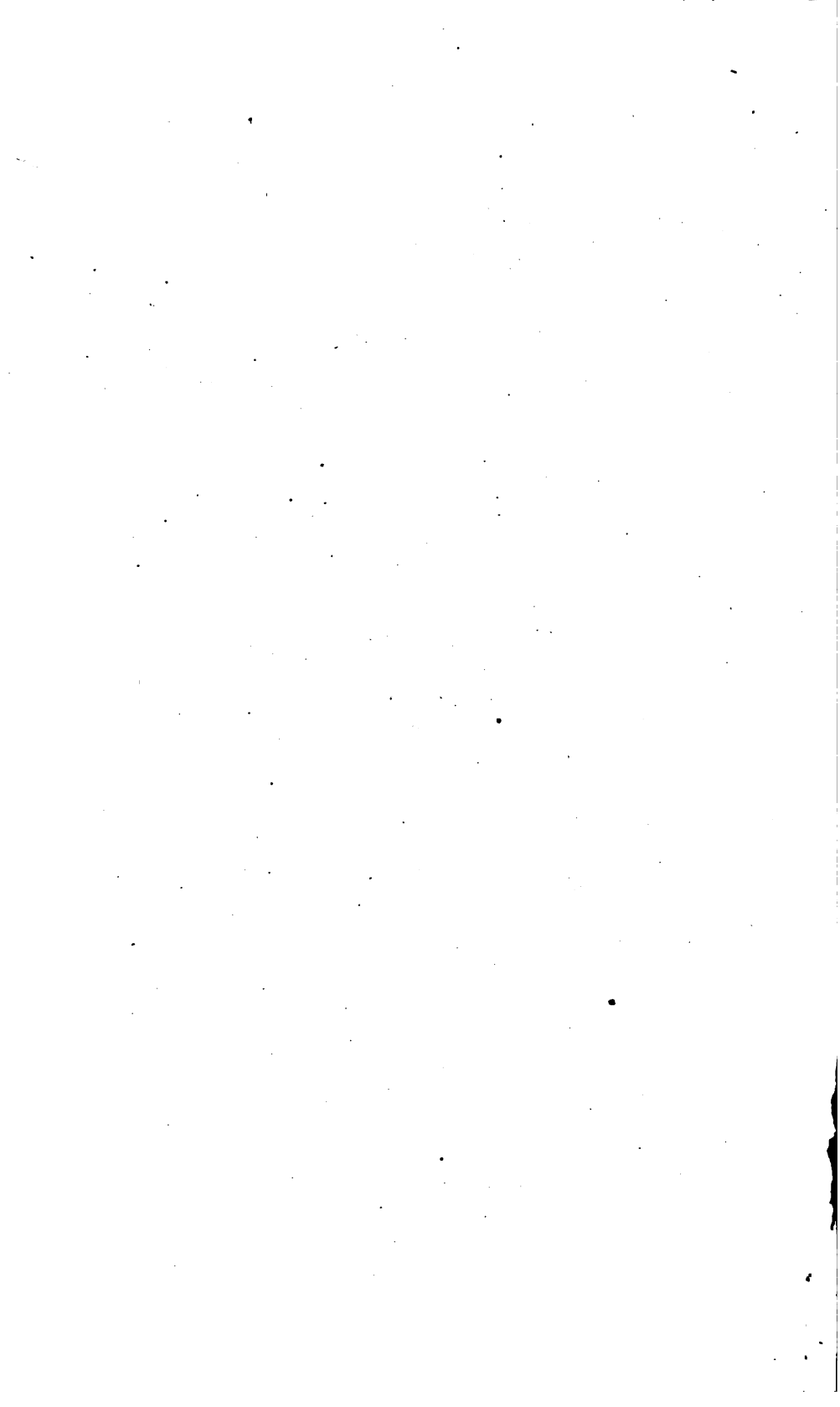
BRACIA ŚLUBNI.

WARSZAWA.

WYDAWCA I DZIAŁALNYM JERZY A. GORZAŁEK

ulica Nowolipki Nr 2400 (27).

1875.



DZIEŁA ZYGMUNTA KACZKOWSKIEGO.

a żeby też jeden człowiek był taki, którenby temu nie wierzył, to niéma.

— No już, już, już! — krzyknął na to Edward i uchwyciwszy się obydwoma rękami za głowę, tak jak gdyby się bał ażeby nie pękła, potoczył się ciężkim i chwiejącym krokiem ku oknu. Tam stał on nieruchomie przez chwilę, lecz niebawem zachwiał się, chwycił się wiszącej aż do samej ziemi firanki, i obdzierając ją przy samej portyerze, runął z jękiem na ziemię.

Ale Kopytkiewiczza już nie było natenczas w komnacie. Więc leżał on tak długo w jakimś pół-śnie gorączkowym, z którego się budził co chwila, chwycił rękami około siebie, lecz nic nie mogąc uchwycić, tarzał się po pod ścianą po ziemi, jęcząc czasami i wywracając obląkanemi oczyma. I straszno było w owej chwili patrzeć na tego człowieka; męki, które on cierpiał natenczas, musiały przechodzić wszelkie ludzkie pojęcia i musiały się równać tym, których doznają za grobem dusze na wieki przeklęte. Nie będziemy też opisywać ich szczegółowo; powiemy tylko, iż kiedy Edward się zbudził z tych swoich katuszy i zebrawszy wszystkie swe siły, powstał na nogi, wyglądał on jak upiór, wstający z grobu i puszczający się na nocną wędrówkę, albo jak ofiara średniowiecznego sądu, kiedy ją oprawcy zdjęli z tortury. Jego twarz cała była krwią nabiegła i tak czerwona, jak sukno, którym dawniej stoły nakrywano po sądach; jego oczy wysadziły się na wieżach i biegały obląkanym wzrokiem po wszystkich ścianach a jego włosy zjeżyły się, stwardły i stanęły jak szczecina do góry. Wyraz jego twarzy był tak straszny i dziki, jak gdyby w nim była dusza szatana, jego ruchy były ostre, połamane i miały w sobie coś zwierzęcego, jego cała postać się chwiała, jak gdyby stała na chybkiej łodzi wśród burzy. Kiedy Edward powstał ze ziemi, północ już była, wybijały dwunastą wszystkie po pokojach zegary, w komnacie lampa słabem z pod alabastrowej kloszy migiała światłem, a na dworze szumiała z szatańską mocą burza jesienna, dęszcz gruby tłukł i dzwonił we wszystkie szyby, świstał przeraźliwie w kominach, chuczał jak orkan morski w dziedzińcu, łamał z trzaskiem gałęzie, wyrwał z korzeniami samotnie stojące drzewa, obdzierał rusztowania poprzystawiane do murujących się gmachów w dziedzińcu i druzgotał je w drobne trzaski na ziemi. Straszno było natenczas na dworze, ale Edwardowi było daleko straszniej w komnacie. Słyszał on bowiem ten świst i szum około swego dworu, i zdawało mu się, że cię całe piekło rusza, otwiera ognistą paszczę swoją i chce go połknąć z duszą i z ciałem. Edward stał tak o stół prawą ręką oparty i słuchał, a za każdym głośniejszym szumem, za każdym przeraźliwszym świstaniem, powstawały mu jeszcze silniej włosy na głowie, zimny dreszcz obejmował ciało, krew ścinała się w żyłach, kłapały zęby. I pomału poczęły mu się znowu jawić jakieś straszdyła w komnacie, ale te były daleko straszniejsze niżeli wszystko, co mu się kiedykolwiek przywidy-

wało. Albowiem co tylko najpotworniejszego i najobrzydliwszego mogłaby stworzyć gorączkowa wyobraźnia w szaleństwie, to wszystko napelniało po kolei jego komnatę i przesuwało się po przed jego oczy, jak panorama piekielne. Straszne zębate potwory, niewidziane na ziemi ni w morzu, ziejące ogień z paszcz swych czerwonych, sypiące iskrami z oczów, dymiące wybuchami zabijających wyziewów, gady olbrzymie, obwijające go śliskimi pierścieniami swoich okropnych splotów, smoki czarne skrzydlate, latające w powietrzu około jego głowy, węże małe i wielkie, opadające go gromadami i wślizgujące się mu za pazuchę, i inne najszkaradniejsze potwory, wszystko to napelniało jego sypialnię, rozdziawało straszne swe paszcze przeciwko niemu, parzyło go ogniem i dymem gorącym, śliniło jadem zapienionym, lizało po rękach i twarzy, opasywało pierś swojemi silnemi splotami, gruchotało mu żebra i zapierało oddech w płucach i w gardle. W takich się znalazłszy uściskach, rzucał on się z całą siłą przeciwko swoim nieprzyjaciołom, miotał na nich, czego tylko dopaść mógł ręką, tłukł naczynia, wyracał sprzęty, druzgotał obrazy i zwierciadła; aż nareszcie uderzył silnie ręką w lampę, stojącą na stole, i zdruzgotawszy ją na drobne kawałki, runął sam na dywan rozścielony na ziemi. I zrobiło się cicho w komnacie.

A podczas kiedy Edward w tój furji taki rumor wyrabiał w pokojach, Kopytkiewicz i kamerdyner Konstancy stali pod drzwiami i pilnie podsłuchiwali.

— Ani chybi, że zwaryował, — rzekł Kopytkiewicz, przysłuchawszy się dobrze.

— O pewno że musiał zwaryować, — odpowiedział Konstancy, odwracając się odedrzwi i poprawiając coś koło fajki, — jemu bo i tak niewiele brakowało do tego.

— Ale gdzie tam! ho ho! panie! dużo-to panów potrzeba przeczucić, nim się taki rozum gdzie znajdzie. Dosyć to nieboszczyk ojciec jego był chwalony z rozumu, ale wodęby mu wozic za synem.

— Ale bo i jest czego zwaryować, — zabrał znowu głos kamernyner, — co to panie! człeka tak prawie jak zabić, a jeszcze do tego takiego pana, aż i nareszcie dowiedziéć się, że się siedzi na kradzionym majątku. Tóż to panie pewnie mu teraz wszystko zabiorą, bo gdzieby tam zostawili! Trzebażby się choć zawczasu gdzie za służbą oglądnać.

— Ej! dajno pokój, panie Konstancy! — odparł pan Kopytkiewicz, — będzie na to jeszcze czas... o! o! o! jak nabijał Chryste Jezul! coby to było takiego? chyba chodźmy tam do niego?

— Pan sobie idź, kiedy chcesz, — odpowiedział Konstancy, — ale ja nie pójdę. A po co? żeby mnie jeszcze w łeb zamałował! ho ho! widział ja już waryatów.

— Ale co tam! — rzekł odważniejszy i rozumniejszy Ko-

pytkiewicz, — jak we dwóch pójdziemy, to mu się przecie nie damy.

I zaczął ruszać klamką od drzwiczek. Ale na odgłos ten tylko jeszcze głośniejszy rumor dawał się słyszeć, wszakże Kopytkiewicz nie stracił przez to odwagi, tylko jeszcze głośniej zaczął szturmować. A na ten szturm drugi tuż dało się słyszeć spadnięcie lampy, huk upadającego człowieka i potem cisza.

— O! widzisz pan, — rzekł na to Konstancy, — cicho już, musiał zasnąć.

— Dalby to Bóg, żeby zasnął, — odpowiedział troskliwy rządcą, — ale taki ja po doktora pojedę, żeby choć był tu na jutro rano.

— Jak pan chcesz, — odpowiedział Konstancy, — ale widzi mi się, niewiele mu już i doktor pomoże.

Kopytkiewicz spojrział na niepoczciwego sługę, zaświecił mu świeczką trzymaną w rękę w same oczy i tylko ruszył wąsami, ale nie mając czasu do stracenia, wybiegł prędko do stajni, kazał zaprzęgać i pomimo ulewy i burzy w cwał do blizkiego miasteczka po lekarza poleciał. Konstancy zaś, poszedłszy do izby lokajskiej i zasiadłszy sobie wygodnie w starym skórzanym fotelu, długo tam jeszcze wystraszonemu lokajstwu i innej służbie dworskiej o wariacyi pana rozpowiadał.

Na drugi dzień rano ledwie co dobrze rozwidniało, Kopytkiewicz już stał z lekarzem podedrzwiami sypialni Edwarda. Podsluchiwali oni pilnie i zaglądali przez dziurkę od klucza, ale ani nic dojrzeć, ani głosu żadnego dosłyszeć nie mogli. Poczęli tedy z początku pomału ruszać klamką, potem mocniej a nareszcie szturmować, ale i to wszystko nic nie pomogło. — w sypialni była cisza grobowa. Przestraszony tém Kopytkiewicz, któren może pod niektórymi względami niebardzo był poczciwym człowiekiem, surowym był aż do tyraństwa, a o litości nie miał nawet wyobrażenia, pomimo to wszakże obyczajem sług dawnych przywiązywał się do swych panów i rygor a posłuszeństwo sam wykonywał tak dobrze, jakiego wykonania tych obowiązków żądał od swoich podwładnych, — przestraszony tedy tém Kopytkiewicz, spojrział na lekarza i spytał, co robić? — Lekarz był zdania, że drzwi trzeba wylać. Kopytkiewiczowi nie potrzeba było nic dwa razy powiadać, przeszedł on tedy z lekarzem do drzwi tamtych, które wiodły do kancelaryi, i zapomocą wytrychów w kilku minutach je otworzył. Tak wszedłszy do środka, przeszli oni przez wszystkie pokoje, lecz stanąwszy w sypialni, stanęli tak zdumieni obadwa, jak gdyby sami ujrzeli te szkaradne straszdyła, które się wczoraj przywidły Edwardowi.

Edward bowiem, całkiem nerozebrany i tak jak był wczoraj w szlafroku, siedział żywy na łóżku i spojrzawszy martwym wzrokiem na swoich gości, spuścił oczy ku ziemi, tak jak gdyby ich wcale nie widział, albo jak gdyby go to zupełnie nie obcho-

dziło. Widząc to, lekarz bardzo smutno twarz swoją przeciągnął i zaczął pilniej przypatrywać się choremu. Ale widok ten wcale go nie pocieszał, twarz bowiem Edwarda, skaleczona w jednym miejscu na czole, miała wyraz dziwnie dziki i gorączkowy, usta były spieczone, popękane i okrwawione a oczy w słup postawione, patrzyły martwo przed siebie w posadzkę. Przypatrzywszy się temu, lekarz wziął Kopytkiewicza do drugiego pokoju i tam mu powiedział: że właściwie nie wie co jest, z pozoru zdają się to być początki obłąkania, lecz być może, że to jest tylko tak silna gorączka. Prosił go tedy Kopytkiewicz, ażeby bliżej chorego oglądnął, przekonał się dowodnie co jest i jakieś środki zaradcze przedsięwziął. Ale lekarz oświadczył, że do takiego chorego jak ten, i po takiej furii, której skutki widzi w pokoju, nie może tak przystępować, tylko trzeba by go piérwój związać, albo niech Kopytkiewicz, jako znajomy z nim bliżej, piérwój do niego przystąpi, obmaca mu pulsa i jakoś go rozrusza. Kopytkiewicz tedy rad nie rad zbliżył się do chorego i przystępując pomału, najpiérwój uklonił się a potem go słowami powitał. Ale Edward ani się ruszył. Wtedy przystąpił on jeszcze bliżej, nachylił się nad nim i chciał go ująć za rękę: ale wtém szalony zerwał się nagle, trzasnął Kopytkiewicza w gębę i zerwawszy się z miejsca, wrzasnął najprzerażliwiej:

— A diable jeden! diable! diable! rękę mi chcesz oberwać? rękę? rękę? — i porwawszy poręcz od złamanego krzesła, rzucił się z wściekłością na lekarza i Kopytkiewicza. A kiedy tamci w oka mgnieniu uciekli, on tym krzesłem jął wytlukiwać co tylko napadł we wszystkich trzech pokojach. Nie minęło tóż pół godziny, kiedy wszystko co tylko było, zegary, zwierciadła, obrazy, szyby w oknach, lampy, stoliki, krzeselka, franki, zgoła wszystko co tylko jego furii się nie oparło, leżało na ziemi podarte, podruzgotane na miazgę.

Huk ten i rumor w pokojach słyshał cały dwór zgromadzony w sieni, ale nikt nie ważył się wejść do pokojów, i już tam dawno cisza zaległa, a ci ludzie stali wszyscy w sieni, przestraszeni okropnością nieszczęścia, ale i w większej części zabawieni niezwykłością spektaklu. Jeden tylko lekarz z Kopytkiewiczem, dalecy od zabawiania się tak ciężką karą Bożką, spuszczoną na grzészne go człowieka, naradzali się nad tém, jak sobie mają począć w tym niespodziewanym wypadku? — Aż tóż naradziwszy się dobrze, uzbrojeni w pasy ukrojone z grubego płótna naprędce, w towarzystwie trzech silnych parobków, weszli do wnętrza pokojów. I zastali oni tam dosłownie to, co się nazywa *tabula rasa*, po-bojowisko pełne trzasek i śmieci błyszczących, ale tóż i bohater leżał na środku pokoju na ziemi i trzymając broń swoją w prawicy, miał oczy zamknięte i zdawał się spać snem silnym i głębokim.

Przystąpili tedy do niego i w mgnieniu oka związali go tak,

że nie mógł ruszyć ani ręką, ni nogą. Śród wiązania Edward obudził się, patrzył osłupiałemi oczyma na swoich ludzi, obchodzących się z nim tak nieludzko, ale się im nie sprzeciwiał ani siłą, ani głosem. Zdawał się on być w tej chwili ubezwładnionym zupełnie na ciele i tak samo ubezwładnionym na duchu. Kiedy go położono na łóżku, przekrzywił on głowę na bok i chciał zapewne spać dalej. ale mu już lekarz spać nie dał, czyniąc swoje obserwacje zblizka i potem okładając go lodem, ujmując krwi i dając inne lekarstwa. Edward wszystko to znosił cierpliwie i czasem tylko przeklął lekarza, widząc w nim jakiegoś szatana, albo mrucał jakieś niezrozumiałe słowa pod nosem. Nad wieczorem powróciła znowu gorączka i były znowu miotania się, straszne przywidzenia, krzyk przeraźliwy i jeszcze przeraźliwsze przekleństwa, ale zawsze nie było to już to, co dnia wczorajszego, a lekarz mógł prawie zapewnić, że obłąkania tu niemasz, tylko silna i niezwyčajna wprawdzie gorączka, ale zwyczajna organizmom tak silnym i zdrowym, jakim był organizm Edwarda.

Dni następnych było jeszcze ciągle to samo, z tą wszakże różnicą, iż furja coraz bardziej się kładła i uspakajała a na jej miejscu zostawały tylko różne przywidzenia, które także już były mniej straszne i nie tak bardzo przerażające: aż téż jednego dnia rano obudził się Edward wcześniej jak zwykle i uczuł się zupełnie przytomnym. Przez czas tej silnej choroby, która trwała więcj niżeli dwa tygodnie, Kopytkiewicz był prawie nieodstępny stróżem swojego pana, zastał téż go i teraz Edward siedzącego przy swoim łóżku i najpiérwój długo mu się przypatrywał. Zdawało się, jak gdyby nie wiedział jeszcze, gdzie jest i co się z nim dzieje, i przypominał sobie ostatnią chwilę swój przytomności. Lecz przypomniawszy ją sobie, począł wypytywać Kopytkiewicza o to wszystko, co było lub co mu zdawało się być niewiadomém. Lekarz, spodziewając się już w tych dniach, że chory powróci do przytomności, zakazał był Kopytkiewiczowi, ażeby mu w takim przypadku nic nie wspominał o tych zdarzeniach, które mu sprawadziły chorobę, albo jeżeliby je chory pamiętał, ażeby jaknajmniej o nich z nim mówił. Ale Edward pamiętał o tém wszystkim tak dobrze, że nie potrzebował już o nic się wypytywać, pytał więc tylko azali co jeszcze nie zaszło nowego. A kiedy mu powiedziano że nic, począł się z ciekawością dopytywać, azali przez czas jego choroby ktoś nie był z sąsiedztwa, azali ktoś się przy najmniej nie dopytywał o niego, nie przysyłał dowiadywać się o stanie jego choroby?

Ale przez cały ten czas nie było tutaj nikogo, nie dopytywał się nikt zgoła, ani owi szlachcice, którzy mu niegdyś tak ochoczo pomagali oblegać Munię i Lola od niej odpędzać, ani pan Ksawery, jego sekundant i niby najbliższy z sąsiadów, ani Drabik nawet, ów najwierniejszy przyjaciel, doradca i niby współnik; nikt, nikt zgoła się nie zgłosił, nikt się nie spytał o niego, tak jak gdy-

by razem ze śmiercią starego Demboroga i on umarł i już wieść tylko o nim krążyła po świecie.

I ta wiadomość głęboko dojecha Edwarda. Nie dbał on nigdy przez całe życie swoje o ludzi, cudzém zdaniem pomiatał a z opinii publicznej w głos sztychł i śmiał się, — lecz teraz przekonał się jawnie i odrazu, że człowiek, w towarzystwie ludzkim żyjący, wykluczyć się z niego nie może bezkarnie. Poznał on to i przyznał, że najgłupszy ogół jest zawsze jeszcze silniejszym moralnie niż najmądrzejsza jednostka, że ten ogół ma swoją władzę, której wykonywać nikt mu wzbronić nie zdoła i że przeciwko jego wybrzykom żaden bunt nie pomoże. A władza ta jego jest bardzo silna, tak silna jako moc słowa, która czyniła cuda niegdyś, uzdrowiała chorych i wskrzeszała umarłych, a dzisiaj, gdy zechce, umie przynajmniej zabijać żywych. I zrozumiał Edward w tej chwili całe swe położenie, i widział się już, jako będzie żyć między ludźmi, a przecie będzie samotnym jak w puszczy, jako wszyscy będą oczy odwracać od niego, zatykać uszy na jego słowa, plwać na te drogi, któremi przejdzie, i czuł że będzie ostatni z ostatnich, umarły za życia, wygnaniec na swojej własnej ziemi, przeklęty bez wyrzuczonego na siebie przekleństwa! — Tak przyszedłszy na drodze praktycznej do tych przekonań, których mógł zaczerpnąć z krynicy doświadczeń całej ludzkości, nie przeczył on już teraz rozumowi innych ludzi, którzy powiadali: że dobra sława jest jedynym słońcem w tém życiu, które nawet w najniebezpieczniejszych kolejach losu nie gaśnie, a szczęście człowiekowi na ziemi mogą dać tylko ludzie. Nie przeczył temu pan Edward i wszystkie chwile przytomności swojego, coraz więcej się odżywiającego umysłu, przepędzał na rozmyślaniu nad swojemi uczynkami, nad swoją przeszłością, głównie zaś nad swoim położeniem dzisiejszém. Wieczorem atoli powracała jeszcze zawsze gorączka i po smutnych myślach następowały jeszcze smutniejsze widzenia. Kopytkiewicz, którego teraz pozyskał wszelką ufność a nawet stałe przywiązanie swojego pana, choćby był chciał, toby był nie mógł już ani na chwilę odstąpić od łóżka chorego, bo pan Edward, widząc w nim tę jedyną twarz ludzką, która go nie zdradziła, nie puszczał go od siebie ani w dzień, ani w nocy. Więc kiedy mu się jawiły owe wizje wieczorne, to zawsze się obracał do swego wiernego sługi, pytając z trwogą, azali i on także to samo widzi? A wizje te były jeszcze nieraz bardzo straszne i przerażające, bo były to zawsze jeszcze widma jego występków, które nie przybierają nigdy postaci aniołów. Owóż tedy raz zrywał on się z łóżka i patrzył w kąć swego pokoju.

— Czy widzisz ty, Kopytkiewicz, — mówił on, — oto tam w kącie stoi stary Demboróg. Zgnił już w połowie, oczy jego powpadały w głąb czaszki, przez zgniłe usta wyglądają zęby, na całym ciele jego widać plamy ciemno-sine i czarne, a przecie jeszcze przyszedł tu do mnie! O! patrz! podnosi rękę trupią, patrzy

na mnie próżnemi jamami, w których niema już oczów, wyszczerza zęby.... Kopytkiewicz! zmiłuj się, broń mnie!

— Ale niechże jaśnie pan nie wierzy tym przywidzeniom, — odpowiadał na to Kopytkiewicz, — bo tu niema w całej izbie ani żywego ducha. Kąt próżniuteńki, jak zawsze.

— Tak mówisz? to może być, że mi się tylko tak przywidziało.

Drugiego dnia znowu zerwał się Edward i wołał:

— Kopytkiewicz! słyszysz ty, jaki tam tentent na dziedzińcu? a wiész, co to takiego? To Demboróg na czele swojego pułku ułanów zajechał tu z tamtego świata. On zajazd robi na mnie, on mnie chce dobra moje odebrać, popalić wszystko, porozwalać, poniszczyć a mnie wypędzić precz, żebym był żebrakiem i nie miał kawałka chleba. O! słyszysz, jak już tam woła: Zniszczyć mi tu wszystko, ażeby kamień na kamieniu nie został! ażeby śladu nie było z tego miejsca, na którym złodzieje się pasły Demborogów skarbami! O! słyszysz! szturmują już, strzelają, druzgoczą mury, rozwalają dom... patrz! patrz! jak się ściany trzęsą, belki trzeszczą, dach runął! cały dom zwali się na mnie!

— Ale jaśnie panie, — powtórzył Kopytkiewicz, zaglądnąwszy do okna, — żeby téż choć pies cudzy był na dziedzińcu, ale to i tego nie widać.

Innego dnia znowu patrzył chory niepewnemi oczyma około siebie, macał koldrę, obmacywał głowę swoją i ręce, i dotknąwszy się Kopytkiewiczza, tak mówił:

— Kopytkiewicz! czy i ciebie także wtenczas zabito i tego samego dnia pochowano, że ty tak razem ze mną leżysz w trumnie? i co téż to dalej będą robić z nami? bo jużciż tak zawsze nie będzie. Przecież kiedyś będzie ten sąd ostateczny, będą nas pytać, badać i kto wie, czy nie wezmą na tortury. Słuchaj, Kopytkiewicz, jak ty mnie radzisz, czy przyznać się odrazu, czy próbować, azali tortur nie zniosę. A! bo toby była wielka różnica. Sto lat a tysiąc. A do tego wszystkiego jeszcze Amilkar, jego żona i córka. To strasznie ciężko na jednego człowieka, a jeszcze na trupa. Ba! bo gdybym ja żył, to to wszystkoby było inaczej, bo miałbym rozum i pieniądze. Ale po śmierci to człowiek strasznie głupi, choćby był najmądrzejszy za życia, a pieniądze nie znaczą nic... już dosyć to ztąd widać, kiedy ty leżysz razem ze mną w jednej trumnie. A przecież tyś był chłopcem do pomywania naczynia za mego ojca.

— O! co téż jaśnie pan pleciel — mówił na to Kopytkiewicz, dotknięty tém do żywego — przecie jaśnie pana dziad był kucharzem, a nikt mu tego nie wypomniał potem, kiedy siadł na dzierzawie.

— To wszystko prawda, prawda, słuchaj, Kopytkiewicz, ale ktoby to mógł być pomyśleć, żeby to wszystko była prawda? Jeno to nieprawda, żeby mój dziad kradł z trumny pieniądze. Tego

nikt nie wie, jak to było, ale ja wiem. Oto nieboszczyk kasztelan sam, widząc że jego ród ginie i że mu już nie potrzeba skarbów, przyszedł do mego dziada i oddał mu te pieniądze, i powiedział mu wyraźnie, żeby za to jego wnuk ożenił się z jego pra-prawnuczką. Ale słuchajno, Kopytkiewicz, jak nas brać będą do kotła i smażyć w siarce i smole, to ty także wleziesz ze mną do jednego kotła? Będziemy sobie pomagać. Smoła to nic, ale siarka diabie piecze. A ja ci za to zapiszę mój majątek, to jak potem wyjdiesz z piekła, nie będziesz potrzebował służyć, jeno będziesz sobie panem, tak jak ja byłem nim niegdyś.

— Ej! jaśnie panie, ciężko to podobno będzie wydobyć się z piekła; w katechizmie stoi wyraźnie, że piekło to już jest potępienie wieczne i nigdy z niego się nie wychodzi.

— Tak stoi w katechizmie? proszę cię, przynieś mi tutaj katechizm, ja nigdy go nie czytałem.

Aż też jednego wieczora zerwał się pan Edward na łóżku i wlepiwszy oczy w drzwi do salonu wiodące, zawołał:

— O! patrz, patrz! Ernestyna! prawda to, Kopytkiewicz?

Wszakże tą razą nie perswadował już Kopytkiewicz swojemu panu, że to li przywidzenie, tylko wstał i odpowiedział z niejakiem zdziwieniem:

— A tak jest, jaśnie panie, jakaś pani stoi tu we drzwiach.

— To Ernestyna! — zawołał Edward, rzucając się z całą siłą pomiędzy puchowe poduszki, — zmiłuj się! ona przyszła się mścić na mnie, męczyć, zabijać.

Ale tymczasem Ernestyna, która w płaszczu długim karmazynowym, podbitym gronostajami i niemi obłożonym, w kapeluszu niebieskim aksamitnym z białym piórem strusim, kołyszącym się nad nim, stała dotychczas we drzwiach do salonu wiodących, przystąpiła do jego łóża i patetycznym głosem zabrała się do przekonywania Edwarda, że wcale nie z przedsięwzięciami zemsty tu przyjechała.

— Nie bój się, Edwardzie! — mówiła ona, — nie przyjechałam tutaj po to, ażeby mścić się na tobie. Ty jesteś dzisiaj już ukarany, a zemsta słabej kobiety byłaby tylko jedną kropelką dorzucaną do całego morza zemsty, którą świat wywarł na tobie. Przeciwnie nawet, litość tylko mnie tutaj przywiodła; litość nad tym, który się stał moim katem i nigdy nie miał litości nademną. Bo takie jest serce kochającej kobiety:

Wszyscy go przeklą! — będzie jedna dusza

Co mu zdaleka śmie pobłogosławić.

Tak i ja dzisiaj przyszedłam tu do ciebie. Wszystko wiem, co się stało od tego czasu, jakieś był u mnie i ostatnią mi odebrał nadzieję. Popelniłeś czyn taki, na który tylko ty jeden mogłeś się odważyć; zabiłeś starca, którego czczono jak pół-boga; obaliłeś ten filar marmurowy, około którego obwijały się ostatnie wielu

rodzin nadzieje; stałeś się twórcą całego morza łez i rozpaczy, otworzyłeś źródło niedostatku i nędzy dla takich ludzi, którzyby jęj byli nigdy nie znali; sam własną ręką odsłoniłeś zbrodnię, która ciąży na twojem imieniu i na twojej fortunie: i dzisiaj za to świat wyrzekł się ciebie, wyklął cię milczeniem ze swego łona i wiekuistą obrzucił pogardą. I jam tak powinna była uczynić, i chciałam, — lecz serce moje oburzyło się na to. Dzieliłam niegdyś z tobą szczęście, dzieliłam miłość i rozkosze, czyż nie powinnam dzisiaj i smutków, nieszczęść twoich i hańby twojej podzielić? — Tak jest, Edwardzie, ja przysłam twoją hańbą podzielić się z tobą. I nic nie chcę od ciebie. Kiedy ludzie tobą wzgardzili, kiedy ich oczy będą się odwracać od ciebie, kiedy sługi się twoje rozbiegną, a przejeżdżający ze zgrozą będą palcami wskazywać na mury twojego domu, niechaj w tym domu będzie choć jedno serce, które kochać będzie potępieńca, i jedna ręka, która służyć mu będzie. Ja nie chcę niczego więcej. Widzieć cię tylko, niewolnicą być twoją, ostatnią służą w twym domu, ostatniem stworzeniem, które cię nie opuści — i nic więcej, nic aż do śmierci. A za to wszystko każesz mi zbić cztery deski, wykopać dół na trzy łokcie i pochować mnie tam pod drewnianą cerkiewką!...

Edward słuchał tój mowy — i łzy mu w oczach stanęły.

Pierwsze to łzy były w oczach tego człowieka, pierwsze i ostatnie zapewne, a i te jeszcze wypłakane w gorączce.

Na drugi dzień rano, kiedy się Edward przebudził i przytomnym umysłem rozważył przyjazd Ernestyny do siebie, sam nie wiedział, co robić. Widział on, jaką niedorzecznością byłoby z jego strony zawiązywać sobie całą przyszłość nowym i plugawym związkiem z dawną swoją kochanką, myśl ożenienia się z nią ani mu się w głowie utrzymać nie mogła, i dlatego nie był on w stanie powiedzieć jęj otwarcie, ażeby została u niego; lecz znowu z drugiej strony poświęcenie się jęj rozczulało go i chwytalo za serce, a widząc, że Ernestyna jest dzisiaj rzeczywiście jedyną istotą, która nim nie pogardza i ma szczeré uczucia dla niego, nie miał także odwagi odepchnąć jęj od siebie i z domu wypędzić. I tak wahając się to w tę stronę, to w owę, zostawił tę rzecz, ażeby się działa jak jęj się podoba.

I odtąd Ernestyna zajęła miejsce Kopytkiewicza. Wyporzadzono dla nięj pokoik obok sypialni Edwarda, umeblowano z łaski zazdrosnego Kopytkiewicza jakimiś lichymi sprzętami, dano jęj jeszcze lichtsą posługę, — ale ona nie skarżyła się na to. Całe dni trawiła przy łóżku Edwarda, całe noce drzemiąc ubrana na sofie. czuwała na jego skinienie, pielęgnowała go jak matka swe własne dziecko i powiadała, że była bardzo szczęśliwą. Widząc to, Edward nie sprzeciwiał się niczemu; nakazał tylko Kopytkiewiczowi, ażeby wiadomość o tém, że jakaś obca pani się tu przechowuje, nie wychodziła ani za wrota dworskie, a kiedy się to okazało niepodobnem, wyprawiono jednego wieczora powóz do poblizkiego

miasteczka niby-to z panią Ernestyną, i tym sposobem skłamano jej odjazd, a nadal tak zostało wszystko jak było.

I w tym stanie rzeczy minęło kilka tygodni. Śród tego czasu Edward powstał już całkiem ze swojej choroby i pomału zaczął się zabiierać do swojego zwyczajnego zajęcia. Z początku czynił on to z wielką nieśmiałością i trwogą; zdawało się jemu, że słudzy mu urągają w milczeniu, a jak się tylko odwróci, że go bezczeszczą i hańbią słowami, i dlatego ledwie raz na dzień wychylać się do swych fabryk i stajen. Lecz pomału począł się przekonywać, że pod tym względem jeszcze zawsze opadają go przywidzenia i zaczął być śmielszym, aż też nareszcie odważył się wyjechać w pole, a nawet i na dalszą przejażdżkę. A kiedy na tej przejażdżce zdybujący go chłopi i Żydzi i oficyaliści sąsiedni kłaniali mu się tak samo jak przedtém, Edward, odbudowany cieleśnie, zaczął się prędkiem krokiem odbudowywać duchowo. W dniach następnych przyjechali do niego jacyś kupcy i rzemieślnicy, a raz nawet dwaj dzierżawcy z okolicy za kupnem jakichś materyałów, czy fabrycznych wyrobów, a kiedy żaden z nich mu w oczy nie pluął i nie wspominał nic o tém, że nieboszczyk Kopciuszek był sobie złodziejem, Edward znacznie podniósł głowę do góry i przekonał się, że nie taki-to diabeł straszny, jak on sam sobie go wymalował. A im bardziej Edward wyjarzmił się z pod tego upokorzenia, którym go pierwsze wrażenia niedawno co zaszyłych wypadków przygniotły, tém nietylko prędzej powracał od wszystkich dawnych swych myśli i usposobień, ale tém chłodniejszem okiem spoglądał na siedzącą jak gdyby w zamknięciu Ernestynę i tém go więcej ta kobieta niepokoiła.

Aż też nareszcie dnia jednego w poobiedniej porze zajechał jakiś powóz przed gankiem. Uderzony tém Edward, pomyślał prędko, ktoby to mógł być właściwie i będąc tego zdania, że któkolwiek to jest, zawsze niech będzie chwała Bogu za gościa, stał tak w miejscu przez chwilę, pieszcząc się przyjemnem uczuciem radości. A wtém drzwi się otworzyły i wszedł w własnej osobie pan baron.

Zbywanie się tych dwóch ludzi po tak długim niewidzeniu się i przejściu tylu różnych kolei, było dla nich obudwóch cokolwiek kłopotliwém, jakoż zrazu nie umieli oni obydwaj zajrzeć sobie w oczy, ani wiedzieli nawet, co mówić. Jednakże dzięki wymowie barona i owój gibkości jego, z którą przez niejedną już ciasną szczelinę przelazł w tém życiu, nie odrapawszy sobie skóry i nieoberwawszy czupryny, pomału zawiązała się pomiędzy nimi rozmowa. Śród téj rozmowy Edward wprawdzie niebardzo był czynnym, ale zato znów baronowi nie zamykały się jego sznurujące i uśmiechające się usta.

I tak tłumaczył on się najpiérw Edwardowi, że go nie odwiędził podczas jego słabości, bo właśnie był wtenczas w drodze ze swemi wołmi, wykarmionemi na letniej paszy; lecz powróciw-

szy, nie miał on nic pilniejszego, jak pośpieszyć uściskać kochanego sąsiada, przekonać się naocznie o jego szczęśliwym powrocie do zdrowia, powinszować mu téj szczególnej łaski pana Boga i nią się z nim razem ucieszyć. Potem mówił baron coś mglisto i w różnych figurach, o młodości, o zwyczajnym jéj nierozgarnieniu, o porywczości, o śmiałości w przedsięwzięciach, o urazach sąsiedzkich, o zapoznawaniu najszczęśliwszych przyjaciół, a nakoniec o ludziach, którzy w każdej odmianie losu trwają w raz powziętych uczuciach i niczem ich odjąć nie pozwolą. Tutaj wtrącił on jedno słówko o sobie, dwa o swojej żonie i jéj szczególnej dobroci serca, wyrozumiałości na cudze błędy i pewnych zadziwiających przeczuciach, które jéj nigdy nie omylają. Potem mówił baron o nagłej śmierci starego Demboroga, chwalił tępo i głucho jego niektóre cnoty, ale ganił ostro i głośno jego monumentalne wady i jego niesłychaną lekkomyślność i łatwowierność w tak późnym wieku, która go do takiej zaprowadziła naiwności, że uwierzył w jakieś skarby ukryte w trumnach. Dalej nie mógł się baron dosyć nadziwić złośliwości dzisiejszych ludzi, którzy zdają się nie mieć lepszego nic do czynienia, jak tworzyć plotki szkaradne, rzucać plamy na ludzi nieposzlakowanego charakteru i niezachwianej cnoty i wymyślać jakieś bajki średniowiecznego kroju i smaku, które tyle mają w sobie prawdy, ile te wszystkie powieści o złotych górach, zaklętych królewnach i śpiewających jeziorach. Nakoniec zaś, upomniawszy po ojcowsku pana Edwarda, ażeby od dał się nazad swojemu gospodarstwu i tak wiele obiecującym przedsięwzięciom, któreby mu bez dozoru tylko wielkie szkody przyniosły, i wyraziwszy nadzieję, iż go niebawem będzie oglądać u siebie, zabrał się i odjechał.

Po odjeździe barona Edward sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Taka zmiana zaszła tak nagle i niespodziewanie, nie mogła mu się w głowie pomieścić. Tarł też on sobie czoło, targał się za nos i za uszy, kręcił wąsy w tę stronę i w ową, i biegał jak opętany po zaludnionym świeżemi sprzętami salonie. Wizyta barona, zaczęta i zakończona takimi oświadczeniami, była dla niego zagadką, którą koniecznie chciał odgadnąć, a nie mógł, bo nie wiedział o tém, że jak ludzi cnotliwych ich cnota, tak występnych ich duch brudny przyciąga wzajemnie i łączy ze sobą. Wszakże na wszelki wypadek wizyta postawiła już całkowicie na nogi zbitego z toru Edwarda i zrobiła go w mgnieniu tym samym, jakim był pierwój, a może nawet jeszcze cokolwiek śmielszym i zuchwalszym.

W parę dni potem pojechał on do Złotówki i w bardzo dobrym humorze z tamtąd powrócił, tylko jak Ernestyna przeciwko niemu aż do pierwszego pokoju wybiegła, skwaśniał cokolwiek i potem przez całą godzinę był zamyślonym.

A kiedy niebawem drugi raz do Złotówki pojechał i z tamtąd powrócił, i znowu Ernestyna naprzeciw niemu wybiegła, to

skwaśniał daleko gorzej i przez cały wieczór był zamyślonym. W tém zamyśleniu chodził on po wszystkich pokojach, patrzył w ziemię i, pomimo szczebiotania uszczęśliwionej jego powrotem kobiety, milczał upornie. Zdawał on się nad czémś namyślać. Lecz namyśliwszy się, siadł do biurka i list króciuteńki napisał, i ten list wzięwszy z sobą, poszedł do oficyny.

W oficynie mieszkał Kopytkiewicz z swoją dziwnie hałaśliwą małżonką, która w téj chwili była zatrudniona praniem i właśnie niebo i piekło poruszała swoim wymownym językiem, ażeby rygor przyzwoity utrzymać pomiędzy praczkami, i w téj oficynie mieszkał Kopytkiewicz z połową tuzina zamazanych a teraz śpiących pokotem dzieciaków, bo drugie pół tuzina były rozesłane po szkołach. Kopytkiewicz sam siedział w téj chwili przy stoliku, przy lojowej świeczce skulony nad rachunkami i dziwnie się nad wydobyciem jakiejś summy mozolił, która na żaden sposób nie chciała się dać wydobyć. Atoli obaczywszy Edwarda wchodzącego do izby, w której nigdy nie bywał, zerwał się czémprędzej ze swego miejsca i zamykając rejestra, stanął w swojej zwyczajnej wyprężonej postawie.

— Nad czém-że to tak ślęczysz, mój Kopytkiewicz? — zapytał Edward, poprawiając swoją aksamitną czapeczkę na głowie.

— Ot! ślęcę jaśnie panie nad rachunkami, — rzekł zapytany, skrobiąc się w głowę, — bo ani chybi, żem wpadł w deces szkaradny.

— A to jakim sposobem?

— Ha! przez ten czas, kiedym siedział przy panu. Wyplącało się, wydawało, a nie było czasu zapisać. Przed dwoma tygodniami jeszcze nic, bo było w setkach, ale teraz już poszło w tysiące, a przynajmniej zbliża się do tysiąca.

— No, no, mniejsza z tą resztą, — rzekł na to Edward, — zrachujemy to razem, to się to znajdzie. A teraz słuchaj-no, Kopytkiewicz, musisz mi zrobić jedną ważną przysługę.

— Słucham jaśnie panie.

— Potrzeba-by mi się koniecznie pozbyć téj kobiety, która mi siedzi na karku.

— A! pewna rzecz, jaśnie panie, żetym tak był miał śmiałość, byłbym to już dawno jaśnie panu powiedział.

— Słuchaj-no, ale to-by trzeba zrobić gładko, rozumiesz mnie?

— Ho ho! jak po mydle, rozumiem, jaśnie panie.

— Więc słuchaj-że mnie. Ja się mieszać do tego nie chcę....

— Pewna rzecz, na co to jaśnie panu?

— Nie chcę i, nie mogę, — prowadził dalej Edward, — i umyślnie dlatego wyjadę.

— A kiedyż-to, jaśnie panie?

— Zaraz jutro, wyjadę i nie wrócę aż za dni kilka, a ty tymczasem zrób tak, żebym jęj już tutaj nie zastał. Rób jak chcesz

i jak ci się podoba, daj jój co zechce, pieniędzy, koni, pocztę najmij...

— Ho ho, aźby téż to pocztą wozic! — zawołał Kopytkiewicz, — a na co? a chłopem nie pojedzie? ho ho! jaśnie panie, jak ja dmuchnę chłopem, to niech się schowa i pocztą.

— No, więc jak myślisz.

— Już niech się jaśnie pan spuści na mnie.

— Tylko proszę cię, żeby żadnych awantur nie było.

— Ej! nie będzie nic tak dalece, a choćby co miało być, to się przecie jakoś temu zaradzi.

— A dlatego, rzekł Edward, — ażeby nie zsyłała się na mnie i nie chciała czekać do mego przyjazdu, masz tu list, którego oddasz najpierw. — To rzekłszy, Edward oddał mu list, którego dopiero co w przytomności Ernestyny napisał.

— Już dobrze, dobrze, jaśnie panie, na jutro na wieczór już będzie czysto w pałacu, — odpowiedział Kopytkiewicz i odprowadził aż do drzwi siennych wychodzącego Edwarda.

Na drugi dzień rano Edward na dni kilka z domu wyjechał, a po jego wyjeździe Kopytkiewicz zaraz się wziął do wykonania rozkazu. Jak się ten srogi i nielitościwy człowiek obeszędł z tą nieszczęśliwą ofiarą, która mu się dostała w ręce, nie będziemy tu opisywać; powiemy tylko, że kiedy we trzy dni potem Edward powrócił do siebie, Ernestyny już nie było w pałacu.

XXI.

Tymczasem kiedy się tak szybkimi krokami poprawiało położenie Edwarda, w pałacu Amilkara coraz cięższy osiadał smutek, a ze wszystkich najwięcej cierpiała pani Kamilla.

Kobieta ta, która od lat najmłodszych nie знаła wesołości i szczęścia, i lubo już od lat kilku nie spodziewała się czego innego, jak zmiany na gorsze, miała jednak nadzieję, że te przecucia złowieszcze, albo nigdy albo przynajmniej nie tak prędko jeszcze się spełnią. A ta nadzieja jęj cała przywiązana była do staroego hrabiego. Dzisiaj staruszek ten leżał już w grobie, — i już sama śmierć jego była dla nięj ciosem tak silnym i głębokim, iż aby z pod niego powstała i odzyskała dawne swe siły a przynajmniej ową z latami i cierpieniami nabytą rezygnacyą spokojną, która od niedawna jeszcze tak jawnie malowała się w jęj oczach przesłicznych i twarzy, potrzeba było przy najszcześniejszych majątkowych stosunkach długiego czasu i wielkiego zkąd inąd spokoju. A cóż dopiero powiedzieć o tém, że kiedy jeszcze dobrze trawą nie porósł grób ojca, nowy cios w nią uderzył przez wyjazd, właściwie mówiąc, przez ucieczkę jęj męża. — To téz takimi dwoma nieszczęściami w tak krótkim czasie dotknięta, pani Amilkarowa jak raz upadła na duchu, tak nie była już w stanie podnieść się z swego upadku. Jęj siły moralne rozpręgły się całkowicie, jęj głowa była ogłuszona tysiącami najczarniejszych myśli, które wyradzało jęj położenie dzisiejsze i troska o przyszłość, a jęj serce, nurzając się w najboleśniejszych uczuciach i upadając pod niemi, było w ciągłej rozpacz.

A ten stan jój o wiele jeszcze pogorszał się przez to, iż jak cały świat wielki, nie miała ona nikogo, ktoby jój podał pomocną rękę, ktoby ją radą wsparł swoją, ktoby ją przynajmniej pocieszył.

Racibor od czasu wyjazdu męża ani razu nie pokazał się w Demborogach.

Tadeusz się wprawdzie czasem pojawił, ale Tadeusz, jak wiemy, nie cierpiał smutków i jaknajstaranniej ich zawsze unikał, więc i tu przyjechawszy, posiedział prawie w milczeniu jakiś czas krótki, powiedział potem kilka słów jakichś takich, na które mu nikt nie umiał nic odpowiedzieć i odjechał. Czasem tylko, proszony przez panią Amilkarową o radę jakąś w gospodarstwie, albo o wywiedzenie się o stan jakiegoś Amilkarowego długu albo kontraktu, uczynił co od niego żądano, zrobił jeszcze jakąś od siebie uwagę, ale też więcęj nic nad to.

Przez ten czas bywał także lord dosyć często. Ale z jego wizyt nie było także ani pożytku, ani pociechy, on bowiem bywał zapewne tylko dlatego, ażeby śledzić stan stosunku Drabika do panny Flory, którego go z przyczyny zrobionego z Niemirą zakładu dosyć żywo zajmował; ale dom zresztą cały tak go mało obchodził, jak go zwyczajnie obchodziły losy ludzi, grających dla niego komedią na scenie świata. Pani Amilkarowa też często nie przemówiła do niego ani słowa, a nawet jego chłód i obojętność na wszystko, głównie zaś jego angielsko-podolskie maksymy tak ją nie raz raziły, iż gdyby nie to, że panna Flora z wielkiem zajęciem z nim rozmawiała i zawsze do następnych wizyt się przymawiała, to byłby nieraz lord swoją wizytę odbył zostawieniem karty w przedpokoju.

Lolo bywał ciągle i często w Demborogach i to był jeden człowiek, którego dla rozkochanej w nim córki swojej pani Amilkarowa z szczerą chęcią przyjmowała u siebie; jednakże od czasu wyjazdu Amilkara znalazły się jakieś powody, dla których pani Kamilla i na tego najwierniejszego przyjaciela swojego domu pooglądała z pewnym dosyć wyraźnym smutkiem, czasem z głęboką boleścią, a kto wie czyli także nie z żalem. Które-to były powody, nie jest tak łatwo odgadnąć, a daleko trudniej piórem pochwycić, bo powodem do wyrzutu lub żalu u kobiet staje się czasem jakiś tak mglisty i delikatny cień myśli albo uczucia, którego przez nas, pomimo całej naszej znajomości serc i umysłów, czasem ani nawet pojętym być nie może; zdaje się wszakże, iż temi powodami nie mogło być nic innego, jak tylko przekonanie pani Kamilli, że zachowanie się Lola przy tych okolicznościach, jakkolwiek nie jest nagannem, jednak mogłoby i powinno być innem, niżeli jest w istocie. I byłaby raczej zniosła najniższe upokorzenie przed światem, niżeliby miała tylko jemu dać do poznania, coby mu należało uczynić, ale myślała o tém ciągle i nie mogła się pozbyć téj myśli, dlaczego człowiek ten, wiedząc o tém, w jakim stanie się

majątek znajduje, i wiedząc że ten majątek z czasem w jego się ręce dostanie, i mając środki do tego pod ręką, nie poczuje się do obowiązku ratowania go zawczasu, póki się jeszcze da uratować? — I jeżeli ona to rzeczywiście miała do zarzucenia Lolowi, to jój zarzut zapewne był sprawiedliwy, ale mozolenie sobie nim głowy było całkiem daremne. Lolo bowiem, uszczęśliwiony nadspodziewanie usunieniem przeszkodami, ani chciał ani mógł teraz myśleć o czémkolwiek poważném; on w téj chwili żył tylko sercem, on był sam cały miłością, która odrzucając od siebie wszystko co jój nie służyło, lub do niej nie należało, pragnęła tylko nasycić się sobą samą i szczęściem swoim. Jakoż w tym stanie rzeczy potrzeba było chyba aż jakiegoś głośnego i gwałtownego wypadku, jakiegoś nowój przeszkody, albo nowego nieszczęścia, ażeby młodzieniec ten zbudził się ze swego snu na jawie i coś o sobie, albo o osobach należących do siebie, pomyślał. A wzięwszy wzgląd należyty na wiek jego i serce młode, które tak umie porywać wszystko silnym prądem swych uczuć i zagłuszać swą pieśnią wszystkie inne władze moralne, nie można go było wcale za to potępiać.

Oprócz tych osób widywała pani Kamilla także jeszcze Drabika. Widywała go nawet daleko częściej niż wszystkich innych, obywatel ten bowiem zajął się od czasu wyjazdu Amilkara gospodarstwem w Demborogach i interesami osiéroconój hrabiny.

Dawniejszy nauczyciel Muni, po tak otwartój przyjaźni z Edwardem, z którój tyle nieszczęść wypłynęło dla Demborogów rodziny, byłby nigdy dotychczas nie usiadł się w Demborogach i byłoby pewnie dawno już miejsce po nim zastygło, gdyby był nie był tak bardzo przebiegłym, jak był nim w istocie, i gdyby był nie umiał tak zręcznie wykręcać swoją chorągiewkę za wiatrem. Ale posiadając rzeczywiście te sztuki w wysokim stopniu, nie czekał on aż téj chwili, w którójby się szala stanowczo przeważyla na jedną stronę, ale owszem, przewidując możność zupełnego nieudania się Edwardowych projektów, starał się już naprzód zabezpieczyć się z téj strony, którą dotychczas zaniedbał. Więc jeszcze dnia tego, w którym Edward, uczyniwszy deklaracyą o rękę Muni, przez swoją własną porywczosć tak fałszywie potem zrozumiał Amilkara odpowiedź, i dnia tego samego, w którym z oświadczenia się starego hrabiego, uczynionego otwarcie przy wszystkich w pustelnicznym domku, nietrudno było odgadnąć, że za życia dziada nic być nie może z małżeństwa Muni z Edwardem, — dnia tego samego jeszcze znalazł on sposobność zbliżenia się do pani Amilkarowój i wpojenia w nią téj opinii, jakoby on, zgorzony postępowaniem Edwarda, uczuł odrazę do niego i lada dzień dawną przyjaźń miał zerwać na zawsze. Tak zakradłszy się zawczasu w jój zaufanie, umiał on się potem tak zręcznie kierować, że widując się potajemnie z Edwardem, z nim ostatecznie nie zrywał, a donosząc hrabini coraz wyraźniejsze domysły o nowych

intrygach Edwarda, coraz się więcej w jej zaufanie zakradał. Z dniem śmierci hrabiego przerzucił on się stanowczo na stronę rodziny Dembcrogów, a odtąd nie było już tego czernidła w jego myślach i mowie, którémby tak przed Amilkarową jak przed jej mężem nie smarował swojego dawnego przyjaciela, czém naturalnie z największą łatwością doprowadził do tego, że kiedy Amilkar nagle za granicę wyjechał, hrabina nietylko nie miała myśli pozbywać się z swego domu Drabika, ale owszem prosiła go nawet sama, ażeby został, i ile to będzie w jego mocy, jej interesów pilnował.

I Drabik został, — i niby to wziął się do pracy całą siłą, jeździł po folwarkach, gospodarstwa nadglądał, jeździł do Lwowa dowiadywać się o stanie interesów Amilkara, robił kontrakty, sprzedaże, układy, ale że przy tém wszystkiém nic dla hrabiny nie robił a wszystko dla siebie, to każdy łatwo odgadnie. W tych jednak czynnościach swoich był on bardzo ostrożnym i nietylko nie przeciągał nigdzie struny, ażeby się nie urwała, ale nawet się od wszystkiego wymawiał, mówiąc z początku, że administracya nie jest jego rzemiosłem i że się na niczém tak dobrze nie zna, ażeby mógł być pewnym że go nie oszukają, a kończąc zawsze na tém wyznaniu otwartém, że Amilkara interesa są tak powiklane i w stanie tak niebezpiecznym, iż wątpi, ażeby z nich wybrnąć można bez obcej pomocy. Pani Amilkarowa, lubo ten stan rzeczy przeczuwała jeszcze w wigilią wyjazdu męża, jednak jeszcze mu nie wierzyła, jak to zwyczajnie wierzyć nie chcemy że przyjdzie, chociaż widzimy już nadchodzące nieszczęście; ale wkrótce zaczęły się spełniać przepowiednie Drabika.

I tak najpiérwój przekonano się, że niektórzy oficyaliści i słudzy już od lat kilku, a wszyscy od roku nie płatni, potem pokazało się, że przynajmniej na parę lat naprzód nie można liczyć na dochody z majątku, bo wszystkie produkta, jakie być mogły i w takiej ilości, na jaką tylko w najurodzajniejszych latach liczyćby można, były posprzedawane, pieniądze za nie wybrane a kontrakty na to w rękach żydowskich; przy najbliższym zaś obrachunku z gromadą i arendarzami pokazało się jeszcze i to, że raty z propinacyi były także na lat kilka naprzód pokwitowane, czynsze od chłopów powyduszane, młyny powypuszczane i popłacone a gdzie niegdzie jeszcze dwór takimi obietnicami związany, których nigdy dopełnić nie byłby w stanie.

O tém wszystkiém dowiadując się po kolei, hrabina nie rozumiała nawet co się z nią dzieje. Takiego postępkę względem siebie od męża, jakkolwiekby, przeciw się nie spodziéwała.

— Więc nietylko, — mówiła ona do siebie, chowając się w jaknajodleglejsze kąty pałacu, — nietylko że mnie bez żadnego powodu opuścił, porzucił i zostawił na pastwę ludzkim plotkom i najdowolniejszym domysłom, nietylko że zostawił długi na dobrach takie, które mógł natychmiast wypłacić a za które teraz

może połowę majątku zabiorą, ale jeszcze zostawił mnie tak, że dziś jutro już nie będę miała za co domu utrzymać, w niedostatek może popadnę, dziecka jego nie będę miała w co ubrać i nakarmić. O Boże! cóżem mu winna, że się tak srodze obchodzi ze mną? cóż mu winno to dziecko, że mu na samym wstępie do życia już tak okropnie przygotował męczarnie?

I zalęwała się łzami ta nieszczęśliwa kobieta, i uginając się coraz niżej pod krzyżem tych cierpień, którym sprostać nie mogła, upadała coraz bardziej na duchu, i upadała coraz bardziej na ciele, że nakoniec tak wybladła i wynędzniała, że kto ją widział, przechodzącą z chustką łzami zmoczoną w rękę obszerne pałacowe komnaty, zdawało mu się widzieć już tylko cień tej pięknej Kamilli, która blaskiem swych wdzięków błyszczała niegdyś jak słońce w salonach.

Śród takich cierpień bez żadnej nadziei minęła jesień cała i zima nadeszła. Zima okryła grubemi warstwami śniegu całą okolicę i zamroziła wszystkie stawy i rzeki w tej całej dziś znacznie ogłuszonej krainie, lecz zamroziła także i serca ludzkie dla nieszczęśliwych. I jeżeli pierwój nie można było wiele liczyć na pomoc, ani nawet na dobrą radę sąsiadów, to dzisiaj już się niczego nie można było spodziewać. A tymczasem tu coraz bardziej niezbędną stawała się ta pomoc, bez której w krótkim czasie ostateczny groził upadek, z zimą bowiem coraz gorszym stawało się to położenie, które przysposobił troskliwy mąż i dobry ojciec swojej żonie i córce. Więc do nalegań sług i oficyalistów o wypłatę zatrzymanych zasług przyłączyły się jeszcze natarczywości Żydów wierzyieli, od których Amilkar tylko się na czas jakiś okupił, i przybył także proces wytoczony przez pana Edwarda o oddanie pożyczonych od niego pieniędzy.

Przy takich okolicznościach łatwo sobie wyobrazić, jakie było położenie biędnej pani Kamilli. Kobieta delikatna, pełna najszlachetniejszych uczuć i najdrażliwszej ambicyi, kobieta, która przez całe życie swoje tak była obcą inteteresom materyalnym, że może nigdy ręką się nie dotykała pieniędzy, dzisiaj była obłożona przez ciągle odnawiającą się chmarę najpodlejszego plugastwa, jakie tylko nosi na sobie ta ziemia! Nie było bowiem dnia tego i prawie nie było godziny, w którejby się do niej nie docisnął to Żyd jakiś plugawy, uprzykrzony jak osa, to woźny zapity i śmiejący się głośno z doręczeniem jakiegoś sądowego wyroku, to sługa jakiś lamentujący na nędzę swoją dzisiejszą, w którą go wtrącił pan, hrabia, właściciel tylu dóbr i takich dostatków. A były też także pomiędzy temi dni takie, w których kilku albo i kilkunastu takich gości obległo pałac, a wszystko to się pchało, wciskało do pokojów, tłumilo z broniącym im przystępu lokajstwem, wykrzykiwało, miotało najzuchwalsze groźby i najplugawsze przekleństwa!

A wszystko to słyszała przezedrzwii w swoich apartamentach

nieszczęśliwa Kamilla. I każda taka chwila natłoku wierzycieli była dla niej najsroższą katuszą, a katuszą o tyle jeszcze sroższą, nad wszystkie poprzedzające, ile że wszystkie środki zaradcze były wyczerpnięte już do dna. Co tylko bowiem miała, ona już wszystko tym wrogom swoim oddała, szkatuła jej była dawno już wypróżniona, wszystkie zapasy spichrzowe i inwentarskie sprzedane, jej perły, jej kolce złote z drogiemi kamieniami i wszystkie inne znaczniejsze precyzoza, jej fermoar brylantowy i kolia, odziedziczone po matce, dukaty nawet poświęcone, pozostałe po ojcu, wszystko to było na wykupienie się od napaści oddane, i Kamilla nic już nie miała. Ona już nawet wszystkie łzy wyplakała, i łez jej w piersiach nie stało!

Biedna, nieszczęśliwa Kamilla! Zasłużyłaby ona dzisiaj nawet na litość najzawziętszego wroga swego, zasłużyłaby na litość szatana.

Ale nieszczęście nie zna żadnej litości. Nieszczęście jest to orkan wściekły, grasujący po ludziach, którego żadna łza nie odwróci, żadna modlitwa nie ubłaga, a im niżej i korniej kto się przed nim ugina, tém on silniej i zacieklej na niego uderza. Tylko silna wola i równie wściekła odwaga może go odwrócić od siebie i upokorzyć jego bałwany, bo on jest jak zwierz dziki, drapieżny, który krwawi i rozdziéra jagnięta, ale ogon opuszcza zadarty i łeb zwiesza ku ziemi uderzony oczyma człowieka. Ale Kamilla była już jak jagnię słabiutkie, opuszczone od pasterza i trzody i zostawione na pastwę drapieżnym paszczom, — i dlatego jeszcze raz miały w nią uderzyć rozsrożone bałwany, ażeby ją albo pożreć sobą, albo uczynić świętą i męczennicą za życia.

Jakoż rzeczywiście pod koniec stycznia nadszedł dzień ten fatalny. Był to dzień śnieżny i wietrzny, śnieg leżał na ziemi na łokieć i pozasypywane były wszystkie drogi i nawet dróg ślady, a przecież jeszcze nowy śnieg się sypał szwórkami i gęstemi płatami, i pędzony wichrem silnym, zakrywał sobą płoty i drzewa, zasypywał chaty wiejskie prawie równo z dachami. W dniu takim nie wyruszy się z domu żaden mieszkaniec Podola, ustaje tam wszelka natenczas komunikacya, pies nawet nie da się wypędzić z podwórza, bo już i jemu nieraz zdarzyło się na dniu takim przenocować w miękkich pierzynach zasy, albo na dachu wiejskiej chałupy. Zdawało się też, że przynajmniej w tym dniu będzie cisza w pałacu Kamilli, i że nie pokaże się żaden wierzyciel; bo i sam szatan może raczejby się wyrzekł darowanej mu duszy, niżeliby miał dzisiaj biedz po nią o milę. A tymczasem nad spodziwanie wszelkie już zaraz rano zaczęły się pokazywać jakieś to jedno to paro-konne saneczki przed pałacem, a z nich wyłazili to Żydzi, to inne jakieś subjekta, których twarze nie pozwalały wątpić o sobie, jakim się bawią rzemiosłem.

Mieszkańcy pałacu byli już tak przyzwyczajeni do takich odwiedzin, że nawet nikt nie wyszedł się spytać: kto przyjechał i po

co? — a ci ludzie sami jakoś się nie zgłaszali, tylko pozajeżdżawszy przed stajnie, powyprzęgali konie, pozaprowadzali je do stajen tak jak do swoich własnych, pozasuwali sanie do wozowni i nic nie mówiąc, zdawali się oczekiwać czegoś lub kogoś.

O tych nowych gościach doniesiono hrabinie, ale ona już nic nie mówiła, zdawała się być już albo nieczułą od wewnętrznego zdrętwienia, albo zdecydowaną na wszystko.

Aż téż w niedługą chwilę potem zajechało jeszcze dwoje sani w dziedzińcu. Na ten odgłos powybiegali tamci pierwsi goście z za pałacu i wszystko to razem wwało się do sieni a z sieni prosto do pokoju Kamilli. Kamilla wyszła naprzeciw nim, ale tak była wystraszona i odrętwiała z przestachu, że nie umiała ani słowa powiedzieć. Była ona przytém tak blada i wynędzniała, że zdawała się być trupem chodzącym z otwartemi oczyma.

Widok ten wszakże nie obudził w jéj gościach litości; przeciwnie nawet, ludzie ci, w liczbie kilkunastu i z komornikiem na czele, z pewnem ukontentowaniem, pochodzącém zapewne z dopięcia swojego celu, wręczyli jéj wyrok sądowy i wypowiedzieli wyraźnie: że im wolno teraz wszystko zabierać, że będą wynosić sprzęty z salonów, brać naczynia stołowe i kuchenne, wyprowadzać konie ze stajni, wytaczać powozy, że nie zostawią nic, tylko łóżko i jedną suknię, tę, którą ma na sobie, i gołe mury w pałacu! — a mają nadzieję, że niebawem i ją samą ztąd na gościńcu wypędzą, ażeby zmarła i zgłodniała choć raz w swoim życiu, tak jak oni marzli i cierpieli głód i nędzę z przyczyny jéj męża!

I byliby jeszcze więcéj wymyślali ci rozpasani wierzyciele, gdyby uczucie ludzkości nie było poruszyło komornika, któren im nakazał milczeć i czynić to, po co tu przyjechali. Wszakże zawsze nie obeszło się bez hałasu i wrzawy, bo któż zamknie usta tłuszczy rozpasanego szubrawstwa? — a ta wrzawa zwróciła uwagę na siebie i innych osób, które się znajdowały w głębi pałacu. W téj chwili téż wbiegła Munia z głośnym płaczem i jękiem, i rzuciła się matce do nóg, odchodząc prawie od zmysłów i nie wiedząc co czyni. Wbiegła także i panna Flora, lecz widząc że tu fantują, obiegła czémprędzej nazad do swojego pokoju i usiadła na swojej szkatule, z obawy, ażeby jéj nie zabrano. Wpadł także w oka mgnieniu i Drabik, i usiłował u komornika wyjednać, ażeby wykonanie tego haniebnego wyroku mogło być powstrzymaném, lecz kiedy się przekonał, że jego usiłowania nie zdadzą się na nic, usiadł w kącie w milczeniu, po pierwszy raz w życiu może z szczerém współczuciem poglądając na ludzkie cierpienia i nędzę. Powbiegali także i inni domownicy, i każdy z nich zdawał się być oburzony do głębi, to głośną skargą, to łzami czyniąc ulgę swojemu współczuciu i niespokojności. Jedna tylko Kamilla zdawała się być martwą i nieczułą na wszystko, i siedząc na najlichszym sprzęcie salonu, oczyma bez łez patrzyła na ten rabunek legalny.

Jej postać w tej chwili była żywem uosobieniem najwyższej boleści ziemskiej, od której krew zastęła w jej żyłach i dusza zamarła i skamieniała w jej ciele.

Tymczasem kiedy to się działo w Demborogach w pałacu, drogą wiodącą do wsi pana szefa Niemiry, zasypaną dziś śniegiem wysokim na łokieć, wśród zawieruchy świszczącej przeraźliwie po stepie i całe chmury śnieżnych płatów niosącej, przebijały się paro-konne sanie z natężonym pośpiechem wprost ku dworowi. Sanie to były proste drewniane, z ogromnymi skrzydłami odgarnijącymi śnieg z boku, u których w duhę był zaprzężony koń duży brudno-kasztanowaty, z długą grzywą i poprzecinanymi umyślnie chrapami, prawdziwy rysak, z którego ruchów nóg przednich nietrudno było poznać, że w klusie mogłyby za nim zaledwie wodę wozić Edwardowe angliki; obok niego na biczowniku siedł, silnie na tylnich nogach osadzony, koń siwy rasy arabskiej, któren tamtego o wiele przenoślił i ognistą fantazyą, i okrągłością wszystkich form swoich, ale był krótszym od niego o całą stopę. Oba dwa te konie były ubrane w ruskie, białymi blaszkami nabijane chomąta, a powoził niemi z kozła w długą zieloną, baranami podbitą bekieszę ubrany woźnica, z czworograniastą, niestychanej wielkości czapką na głowie; w saniach zaś siedział, w futro niedźwiedzie odziany, lecz pomimo zawieruchy i silnej zadymki ani dobrze zatulony, ani obwiązany, hrabia Racibor. Na twarzach obudwóch jadących było widać niecierpliwość i żądę pośpiechu, która się w panu posuwała do tego stopnia, że co chwila powstawał, na konie poglądał i zawsze niby chciał woźnicę napomnieć, a żeby przedź pomykał, lecz widząc że i człowiek i konie od natężenia ledwie że nie wyskakują ze skóry, w milczeniu napowrót usiadł. W samej rzeczy też więcej w tej chwili nie dałoby się uczynić, śnieg bowiem był tak miękki, że sanie rzęły aż do samego spodu i nasypywały ogromne wały śniegu po obudwóch stronach, a pomimo to konie parły ze wszystkich sił naprzód, i podczas kiedy rysak, kark zgiąwszy i chłodząc rozegrzane swe nozdrza w śniegu, sunął wyciągniętym klusem przez zaspę, koń siwy, łeb wzniosłszy do góry i grzywę rozpuściwszy na wiatry, parskał nozdrzami i w samych szczupakach sadził naprzód z taką fantazyą i ogniem, że za każdym jego rzutem podrywały się sanie i groziły wywrotem. Wkrótce jednak ekwipaż ten, kłapiący tylko potrójnemi lecz zabitemi śniegiem dzwonekami, wpadł przed ganek dworu i osadził się przed samemi drzwiami.

Pan szef, — który w tej chwili siedział z luleczką przy kominie i przez szkło powiększające czytał ciekawie niemieckie gazety, przywiezione dnia wczorajszego z poczty a już dokładną zdające relacją o poczynających się niepokojach we Włoszech, — usłyszawszy głos dzwonek przed gankiem, niepomału się zdziwił przyjazdem gościa w taką chwilę, i czego nigdy nie czynił, wstał

i miejsca, ażeby zajrzeć przez okno. Wszakże nim doszedł do okna, wpadł już do pokoju cały śniegiem zakurzony Racibor.

Obejrawszy go jednym rzutem oka i domyślając się, że tylko jakieś nieszczęście mogło go dzisiaj z domu wypędzić, rzekł do niego gospodarz:

— Będę się cieszył bardzo, jeżeli się dowiem, że cię tylko sama brawura w takiej chwili do mnie sprowadza.

— Brawura, — odpowiedział przybyły, witając się ściśnięciem ręki z przypatrującym mu się ciekawie gospodarzem, — brawura, ale całkiem innego rodzaju, niżeli się szef spodziewasz.

Jakoż z głosu jego trzęsącego się i z twarzy pomieszanój, na której jawne były ślady głębokiego cierpienia i nocy bezsennych, nie trudno już było poznać, że go jakieś wielkie trafiło nieszczęście. Czego też dostrzegłszy, doświadczony staruszek rzekł zaraz do niego:

— Siadaj-no, proszę cię tu, koło komina, ogrzej się, uspokój się, bo widzę, że się panu Bogu podobało dotknąć cię czémsięd; ale nie jest-to jeszcze żadne wielkie nieszczęście, kiedy przytém zdrów jesteś i kiedy odrazu do mnie trafiłeś po radę, czy pomoc. Stary Niemira nie odsunie od ciebie swój ręki, jeżeli ci na się co przyda.

Tych kilku słów słuchał Racibor z natężoną uwagą, tak jak gdyby od nich zależał wyrok o jego życiu lub śmierci, a kiedy się z nich dowiedział, że starzec gotów jest mu pomódz w téj chwili, nagle łzy mu trysnęły z oczu, porwał téż zaraz starca w swoje objęcia, uściśnął go w milczeniu i odszedł na środek komnaty, ażeby łzy otrzeć nie męzkie. A starzec, rozczulony takim podziękowaniem wymowném, rzekł na to do niego:

— Siadaj-no, proszę cię, uspokój się, ja się domyślam o co ci chodzi.

— Nie, — odpowiedział Racibor, przybliżając się ku starcowi, — siadać nie mogę, chociaż od dziesięciu dni nie siedziałem tylko tyle, ile na saniach albo na wozie, w ustach nic prawie nie miałem i ani oka nie zmrużyłem przez ten czas cały; ale już nie spoczną, i albo ją wyratuję, albo zginę już tak na nonach!

— Hej — krzyknął na to pan szef do przedpokoju, — Jacenty, żeby mi duchem była herbata! — a do Racibora jeszcze raz dodał: — No mów już, mów, o co chodzi.

— Chodzi o to, — odpowiedział Racibor, — czy masz szef gotowiznę przy rękę, czy nie masz?

— A! coś się znajdzie, — odpowiedział staruszek, — wieleż-to ci potrzeba?

— Potrzeba mi w téj chwili najmniej dziesięć tysięcy dukatów, — odpowiedział Racibor, wpatrując się z natężeniem w twarz starca.

— Dziesięć tysięcy dukatów! — powtórzył szef i zamyślając się dodał: — to summa ogromna!

— Ale masz ją pan, czy nie masz? — spytał porywczy Racibor.

— Mam, — odpowiedział starzec i chciał dalej coś mówić, ale Racibor go znowu podchwycił, mówiąc prędko:

— Słuchaj-że pan, panie szefie! Weź albo wieś odemnie kontraktem kupna, albo ją weź w zastaw, albo mi pożycz tę sumę, albo rób jak chcesz, bylem ja miał natychmiast te pieniądze.

— Siadaj-no, proszę cię, — rzekł na to staruszek, — jesteś zirytowaany, zniecierpliwiony, a to jest rzecz ważna.

— Ważna, zapewne... niema kwestyi... — odpowiedział Racibor, — ale zmiłuj się pan, nie męcz mnie długo, bo nie masz wyobrażenia co cierpię. Ten ł..., niechaj nie wymówię jego nazwiska, zabrawszy pieniądze po ojcu, uciekł za granicę i zostawił tu żonę i córkę w ostatniej prawie nędzy. Oblegli ją wierzyciele, draż, szarpia, męczą już od kilku tygodni... zabrali jęj wszystko, kolczyki z uszów powyjmowali, a dzisiaj pojechali wszystkie sprzęty zabiierać... może ją nawet już na drogę wyrzucą!... To jest okropność!...

I płakał głośnym płaczem Racibor, błąkając się, niepewnemi kroki od kąta do kąta komnaty.

— Biędna, nieszczęśliwa kobiéta! — powiedział starzec wzruszonym głosem.

— Ach! jaka biędna! jak nieszczęśliwa! — wołał Racibor, — jeżeli ona to przeżyje, to będzie cud Boski.

— Zapewne, zanadto wiele nieszczęść uderzyło w nią prawie odrazu, — powtórzył pan szef, ale mu znowu przerwał Racibor, mówiąc:

— Panie szefie! zmiłuj się, nie męcz. Śmierć albo życie, byle prędko.

— Życie! życie! kochany Stanisławie! — zawołał na to staruszek, — tylko cokolwiek cierpliwości, bo oto widzisz, u mnie już od roku zaprowadzona jest ta zasada, że żadnego ważnego kroku w sprawach majątkowych nie czynię bez wiedzy i woli mojego syna. Ja już dziś, jutro i mnie już nic nie potrzeba, zawołamy tedy jego i spytamy...

Ale wtém Adam, który z drugiej komnaty przezedrzwiał słuchoł téj sceny, tylko jęj nie śmiał przerywać, przybiegł czémprędzej do ojca, wołając:

— Ach! ojczel! dajmy mu te pieniądze, on taki nieszczęśliwy!

Na widok takiej poczciwości obudwóch Niemirów, znowu Raciborowi łzy puściły się z oczu, przez które nic nie mogąc przemówić, w milczeniu ścisnął po kolei i ojca i syna, ale staruszek wiedząc dobrze, jaką w stanowczych ratunkach nieraz czas robi różnicę i nie chcąc się zbyt rozczulać, co jego staremu i tylko spokojem żyjącemu sercu zawsze szkodziło, wyrwał się prędko z uścisków i pobiegł z kluczami do swojej kasy, ażeby przynieść

pieniądze. Syn zaś jego, czując że się od coraz obfitszych lez powstrzymać nie może, poszedł ku oknu i niby zdawał się zaglądać w dziedziniec, w rzeczy zaś nic nie widząc przed sobą, chłodził tylko rozpieczoną twarz swoją przy zamarzniętych szybach, które wyglądały w tój chwili jak cienkie alabastrowe tablice, rznięte w kwiaty i liście różne najwybrydniejszego rysunku.

— Ale Racibor myślał, że on w dziedziniec za jego koźmi wygląda i rzekł do niego:

— Patrzysz jakim ekwipażem dziś jadę? ach! jakim! jednym rysakiem i moim koniem wierzchowym, któren od was wychodzi.

— A gdzie drugi rysak? — zapytał Adam.

— Gdzie drugi? — powtórzył Racibor, — pytaj się, gdzie cała stajnia, gdzie wszystkie konie moje? Ja od dziesięciu dni latam jak opętany za temi pieniędzmi. Byłem u mego wuja w Belzkiem, byłem we Lwowie, i wszędzie byłem, gdzie mi tylko błyszcziała jakakolwiek nadzieja, I wszystkie te miejsca obleciałem w dziesięciu dniach! To téż pozabijałem wszystkie konie, jedne mi się popodparzały, a drugie popadały mi w biegu. Drugi rysak zdechł przedwczoraj pod samym Stanisławowem, i jednym powróciłem do domu! To téż dzisiaj wierzchowiec już idzie na biczownika. Ostatnia użyteczna chudoba, jaką mam w całej stajni. Ale to wszystko nic, kiedy już jestem u kresu.

— A to wiész co, Stasiu, — mówił na to pan Adam, — to ja ci każę zaprządz nasze konie do prostych hołbli, to prędzěj i pełniěj zajedziesz.

— Nie, nie, — odpowiedział Racibor, — już ja pewniejszy jestem moimi koźmi i z moim Ostafim... Wasze konie wyspoczywane, sfrasują się i staną w pół mill.

— Hm! to ci poszłę przynajmniej ze dwie fornalki naprzód ku Demborogom, ażeby ci drogę przetorowały.

— A to o to cię proszē, — odpowiedział Racibor, a kiedy pan Adam pobiegł, ażeby kazać zaprzęgać fornalkom, wszedł pan szef z dużym workiem skórzanym w rękę.

— Chcesz liczyć czy nie chcesz? — spytał pan szef, stawiając worek na stole, — ale mogę ci zaręczyć, że tu jest równo dziesięć tysięcy, bo sam je liczyłem.

— Ale nie, nie, — odpowiedział Racibor, — dziękuję kochanemz szefowi i zaraz jadę. Chcę tylko wiedzić, na jaki rachunek dajesz mi te pieniądze?

— Ja ci je daję, — odpowiedział z powagą staruszek, — na rachunek twojój przyjaźni i życzliwości. Ponieważ śmiertelni jesteśmy, napiszesz mi tutaj kartkę, że je wzięłeś, a oddasz mi je natenczasz, jak będziesz mógł. Wszakże przyjmij odemnie jednę chłodną ale pewnie zdrową uwagę.

— Słucham, — rzekł na to Racibor.

— Oto moja rada jest taka, że kiedy już poświęcasz się z takim narażeniem siebie samego dla tych pań, to pozostań przy-

najmniej przytém, co jest konieczne i proszę cię na wszystko, nie wdawaj się w żadną administracyą ani oczyszczenie Amilkarowego majątku. Bo to wszystko, jak mi się zdaje, byłoby daremném, imbyś nie pomógł i sambyś się zgubił. Demborogi to studnia bezdenna. Ten worek wpadnie tam tak, że ani znaku z niego nie będzie, a gdyby ci się nawet udało ten majątek ocalić, toż-to lada dzień Amilkar powróci, naguteńki jak święty turecki, i zabrawszy się do gospodarstwa, w lot potraci to wszystko, co ty uzbieras lub przysposobisz. Dlatego ty wyswobódź panią Amilkarową, wyslij ją zaraz do Lwowa i powiedz jój, niechaj się dalej już nie ratuje, tylko niechaj dopuści do sprzedaży Demborogów, a odebrawszy z nich swój posąg i schedę córki, będzie miała dosyć na całe życie. Chyba żeby Lolo się tymczasem...

— Ale gdzie tam Lolo! — poderwał Racibor, — to mazgaj wierutny. Siedzą tam na pieniądzach, i żeby też dotychczas... no, ja doprawdy nie mogę tego zrozumieć.

— Ale czegoż też ty chcesz od kobiety i dziecka! mój Stanisławie! — rzekł pan szef na to, aw tém Adaś wbiegł do komnaty.

— No, — mówił on, — fornalki już wyprawione, ale ja doprawdy nie wiem, jak ty tam pojedziesz.

— A toż dlaczego.

— Tam burza tak się zrywa, — odpowiedział Adaś, — i przytém śnieg taki sypie, że czasem nie widać ani o trzy kroki. Karbownik nasz mówi, że fornalki zaraz z za wsi się powrócą.

— Poczekaj-no, — rzekł na to szef, — z podolską burzą niema co sobie żartować. Pij tymczasem herbatę, a ja sam pójdę obaczyć, ja więcj wiem niż karbownik.

I wyszedł. Lecz wróciwszy w moment, rzekł do Racibora, opartego jedną ręką na worku złota, a drugą trzymającego szklanekę herbaty przy ustach.

— Przeczuwam to, że mnie nie posłuchasz, ale jak ciebie kocham, sumiennie mówię, że nie podobna jest jechać. Tam miecie tak śniegiem, że ani drogi widzieć nie będziesz przed sobą, zabłądzić nie trudno, a tu jeszcze dotego i noc prawie za pasem.

— Ej! znam ja się także z burzą podolską, rzekł na to Racibor, biorąc niedźwiedzie na siebie, — a mój Ostafi ma węż taki jak ogar. Nie błądziłem z nim jeszcze nigdy, chociaż już nieraz taka sama burza nas zaskoczyła na stepie, a jeszcze do tego i w nocy.

— Ha! to jak myślisz, — odpowiedział pan szef, — rozumiem to dobrze, że w tém nieszczęściu całém szczęściem i całą nagrodą twoją to będzie, jeżeli zawczasu przybędziesz z ratunkiem, i dlatego cię nie śmiem wstrzymywać.

— Nie, nie, jak szefa kocham, — rzekł jeszcze Racibor, — tak ja tu nic a nic o sobie nie myślę. Niechaj żadnej nagrody nie mam za to, niechaj mi nawet nikt nie podziękuje, bylem ją wyra-

tował. I ręczę panu za to, że gdybym tylko wiedział, że jutro to samo potrafię zrobić co dzisiaj, tobym pewnie nie jechał, bo też rzeczywiście ledwie się jeszcze trzymam na nogach, tak jestem zmęczony podróżami i zbity cierpieniem. Ale czyż ja wiem, co się tam dzieje? Fantują ją dzisiaj, rano jeszcze pojechał tam komornik z Żydami, któż wie? może ona i tego nie przeżyje? a może jest jeszcze co więcej? Bądźcie tedy zdrowi i niech wam Pan Bóg zapłaci za waszą przyjaźń i pocziwość. Dziewięć dni przejeździłem, a dopiero dziesiątego znalazłem dwa ludzkie serca i sumienia.

— Niechże cię Bóg szczęśliwie prowadzi, — odpowiedzieli obadwaj Niemrowie, wyprowadzając swojego przyjaciela przed ganek i popatrzywszy chwilę za odjeżdżającym, uciekli przed burzą do ciepłego komina.

Racibor tymczasem, trzymając między kolanami to złoto, za którego dostaniem dziewięć dni i nocy strawił w najusilniejszych trudach i pracy, puścił się jak strzała szlakiem zrobionym przez wysłane naprzód fornalki, a chociaż szlak ten już przez połowę był zasypany i nie raz tak się zdarzało, że w jego oczach w jednej prawie sekundzie położyła się zaspą przed kołami, toż jednak konie szły z dobrą fantazyą a sanie sunęły za nimi tak lekko, że Racibor już się naprzód cieszył swém szczęściem i począł myśleć o tej chwili, w której z workiem złota w rękę pojawi się nagle jako zbawca nieszczęśliwej Kamilli. Atoli zaledwie tysiąc kroków ujechali za wieś, już coś czarnego zamajaczyło przed nimi, a siwy koń przyszyrzyłszy uszyma, zadarł głowę do góry i zarżał za wicherem. W kilka też minut dojechawszy do tego majaka, poznali oni, że to była jedna z wysłanych fornalek, która, zatopiwszy się w zaspie, szamotała się na wszystkie strony, nie mogąc się z niej na żaden sposób wydobyć. Ostafi zaśmiał się klnącemu fornalowi w oczy i powiedział mu, żeby wydobywszy się z zasy, prosto do domu powracał, ominął go bez trudności i posunął dalej. Wszakże o kilkaset kroków dalej, znowu siwy koń rżeniem dał znać, że kogoś zdybują, — i była-to znow drugą fornalką, która ugrzęzła i zatopiła się w śniegach.

— Coś źle, mój Ostafi, — spytał Racibor, widząc że tak tamte konie się topią.

— A źle, jasnie panie, dał-by jeno Bóg, żeby nie było gorzej, — odpowiedział Ostafi i ominawszy w ten sam sposób i drugą fornalkę, jak pierwszą, pojechał dalej.

I tak wśród burzy, huczącej po stepie i miotającej całemi płachtami śniegu, ujechali oni jeszcze może z pół mili. A kiedy się znaleźli na gołym stepie, i nigdzie naokoło nie widać było ani wsi, ani lasu, ani drzewka nawet żadnego, tylko morze śniegu bez granic i końca, i całe chmury takiegoż samego śniegu, to ciągnące jak gdyby wojska jakie stronami, to przewalające się z sobą po ziemi, to przelatujące z szumem i świstem przeraźliwym po nad ich głowami, i Ostafi zwolnił koniom cokolwiek kroku, ażeby się dobrze

opatrzyć, gdzie się znajduje: nagle, jak gdyby mocą czarodziejską zakłęta, zerwała się burza piekielna.

Kto nie był nigdy na Podolu wśród tęgiej zimy i nie widział choć z daleka nadciągających zwykle przed zmrokiem tych stepowych orkanów, które jak gdyby ptaki zrywają się z ziemi i potem pędzą z całą wściekłością dzikiego elementu przez step, nie stawiający im nigdzie zapory, ten sobie nie będzie umiał nawet wyobrazić, jaka burza zdybała Racibora w połowie drogi. Było to bowiem coś takiego, przeciwko czemu wszystkie najwścieklesze niepogody innych okolic zaledwie się mogą nazwać zabawką rozdrażnionej przyrody. Tam ze stron wszystkich odrazu zerwały się najwścieklesze orkany i od razu zaczęły swoją grę piekielną na stepie. Patrząc no to, nie można było wiedzieć, co to się dzieje; w oka mgnieniu bowiem zrobiło się ciemno do koła, ziemia zdawała się drżeć i trząść od przestachu, szum i świst przeraźliwy dawał się słyszeć nad głową a zdala dochodziły uszu jakieś jęki piekielne i całe chóry najdzikszych i nigdy niesłyszanych harmonij, jak gdyby tam gdzieś zapadało się niebo, pękała ziemia i otwierały się paszcze piekieł podziemnych. Tymczasem tutaj wichry podnosiły całe chmury śniegu i niosły je z sobą; gdzieindziej stawały słupy śnieżne kręcące się w koło jakby trąby morskie i sięgające do nieba, a tam znowu wicher wyrывał śnieg aż ze skorupą ziemi i z zamarznietymi grudkami piasku niósł go świątami. W tej też chwili było tak, że woźnica koni nie widział przed sobą, a Racibor nie widział woźnicy, czasem cała zaspą śniegu spadła pomiędzy nich obudwóch do sani, czasem cała góra biała, jak gdyby upiór powstający z pod ziemi, stanęła nagle przed końmi. Ale pomimo to konie parły naprzód ze wszystkiej siły, rysak prób śnieg przed sobą i łbem i piersiami, i zdawał się płynąć po wierzchu śniegu, siwy w ciągłych szczupakach to wskakiwał w głąb tej drogi puchowej, to wyskakiwał znów na wierzch, a sanie rączo pomykały się naprzód.

Pomimo to wszakże, iż jazda zdawała się im iść dosyć rączo, zaledwie może ćwierć mili ujechali wśród tych wściekających się wichrów i zamieci, obrócił się Ostafi do Racibora i rzekł:

— Oj! panie! niedobrze; kto wie, co tu będzie.

Przerażony tą uwagą Racibor podniósł się trochę z siedzenia i chciał spojrzeć na konie, ale w tym momencie olbrzymia chmura śniegu, kręcąc się z przeraźliwym świstem, padła prosto na nich i na konie, nie widząc tedy nic prawie, Racibor spytał tylko:

— Ale wiesz przynajmniej, gdzie jesteś?

— Powinniśmy być teraz na grafowskiej granicy, bo oto dopiero co błysnęła mi po prawej stronie Męka Pańska, która tam stoi pomiędzy kopcami, — odpowiedział kłapiący zębami Ostafi.

— To przeżegnaj się, mój Ostafi, i ruszaj!

Ostafi też ruszył lejcami, zagadnął po swojemu do koni

i znowu parł naprzód, a burza wyła coraz wścieklej i groźniej i zaczął zmrok już zapadać powoli. Chwilami też robiło się tak ciemno jak śród nocy i nie było widać nawet ręki trzymanej przed nosem. Ujchawszy tak znowu jakąś przestrzeń niewielką, jeszcze raz się obejrzał i rzekł:

— Paniel! źle!

— Cóż znowu? — zapytał Racibor głosem słabym i zachrypniętym, bo wichry robiły się coraz mocniejsze, śnieg coraz suchszy i słowa zdawały się zamarzać na ustach.

— Widzi mi się, że rysak już co jéno nie ustanie, — odpowiedział Ostafi.

— Pana Boga na pomoc i wio! — krzyknął z przerażeniem Racibor, — nie da Bóg zginać dobrym ludziom tak marnie.

— W Imię Ojca i Syna! — zawołał Ostafi i kuląc się coraz niżej na koźle, ruszał jeszcze ile miał siły. A orkany wściekały się jeszcze groźniej, bałwany śniegu marznącego w powietrzu z szatańską mocą uderzały w boki całego statku, albo go przysypywały z wierzchu i podczas kiedy w górze było słycać piekielne rwanie i darcie się chmur gęstych, przelatujących z skrzypiącym szumem jakby jakieś okręty powietrzne, dołem mróz chwycił ognisty, oddech zamarzał w gardle, przeciskał się aż do kości, zaklepał oczy. Racibor widział, że źle jest i czuł, że sanie ciągną się coraz powolniej i zdawało mu się, że nawet ustają chwilami. I chciał pomyśleć o tém, co-by tu zrobić, ale myśl krzepła mu w głowie, usta przymarzały do siebie, oczy się nie mogły otwierać, a coraz mocniejsza senność opadała całe ciało jego; od chwili do chwili tylko pokazywał mu się przed saniami po prawej stronie wzniesiony łeb siwego konia i zdawało mu się słyszeć jego parskanie.

Aż też w jednym momencie znowu taki wściekły bałwan marznących śniegów z szatańską mocą uderzył w statek, i zdawało się że konie stanęły. Racibor się podniósł i patrzył przed siebie, lecz nie mógł nic widzieć, bo śnieg gęsty miótł na poprzek sani i coraz bardziej ciemniało na dworze. Nareszcie nagle przedarły się z przerażającym rykiem chmury nad jego głową, promień jaśniejszy ego cokolwiek światła padł prosto na sanie i tyle tylko oczy Racibora oświecił, iż mógł dojrzeć wyraźnie, że rysak leżał wyciągnięty przed saniami i śnieg go już przez połowę zasypał, koń siwy rwał się z całą wściekłością i stawał dęba naprzeciw wichrom a Ostafi stał po pas w śniegu nad tonącym coraz głębiej rysakiem, i skostniała rękę ze skórzaną nahajką trzymając w powietrzu, szklanemi oczyma patrzył na straconą ostateczną nadzieję. Ale przytém wszystkiém zdawało się Raciborowi, że w tym chwilowym błysku światła widział tuż o sto kroków przed sobą grupę drzew i pałac Kamilli, któren wszakże w mgnieniu oka zasłoniła przed nim czarna przeciągająca chmura.

Na ten widok reszta krwi niezastyglój zbiegła mu się do serca,

wściekła rozpacz zagładnęła mu w oczy, lecz przecie jeszcze tyle miał przytomności, że zlął ze sani i zawołał:

— Ostafil co to jest?

— To śmierć, panie, — wyszeptał Ostafi zamarzniętym głosem, a wtém wicher mroźny wionął mu w same oczy, przejął całe ciało jego do kości i Ostafi zakrzepł tak stojąc po pas w śniegu, z oczyma patrzącemi na leżącego rysaka i z prawą ręką wyciągniętą nad jego trupem.

Widząc to, rzucił się Racibor ku niemu i brnąc przez śniegi, dobił się nakoniec do niego, wołał i trącał go ręką, ale Ostafi nie odpowiedział już nic, bo w jego piersiach nie było już oddechu, i był to już tylko posąg wiernego sługi, martwy jak głaz i zimny jak bryła lodu, wyobrażająca postać człowieka.

Rozpacz jeszcze głębsza chwyciła Racibora, stanął on, patrzył przed siebie i chciał myśleć, lecz nie mógł, bo coraz wścieklesze orkany były prosto w twarz jego, oddech zamarzał mu na ustach i członki kostniały coraz mocniej i Racibor sam sobie powtórzył w duszy: To śmierć.

A tymczasem koń siwy, szamocząc się coraz słabiej przy saniach, rzucił się raz jeszcze z rozpaczliwą wściekłością i z przerażającym jękiem runął na swego towarzysza, przysypanego prawie już całkiem śniegami.

Racibor chciał się obrócić raz jeszcze ku saniom, chciał wziąć worek ze złotem i puścić się pieszo w dalszą drogę, ale już członki jego, zmęczone dziewięć-dniową bezsennością i pracą, a teraz zakrzepłe w śniegu i w mroźnych zamieciach, odmówiły mu swojej usługi. W téj ostatniej rozpaczcy złożył on ręce, oczy podniósł w górę i chciał się modlić do Boga o pomoc, chciał resztę życia ofiarować swojemu Stwórcy za jedną godzinę przytomności i siły, ale modlitwa mu zamarła na ustach i mózg zlodowaciał pod czaszką. A wtém znowu rozdarły się czarne chmury nad jego głową i znowu błysk światła oświecił wzrok jego, i znowu zdawało mu się że widzi tuż przed sobą pałac Kamilli, ludzi dojrzał na ganku, światełka migały w oknach..... Ale to był ostatni już widok jego za życia. W momencie bowiem ryk okropny dał się słyszeć nad nim, fala lodowatego śniegu uderzyła go w twarz, oczy obciągnęły się lodowatą skorupą i ostatnia krwi kropla przy sercu zastygła. Bez oporu téż i bez jęku skostniał on pod tą falą okropną, a wtém uderzyła druga fala i trzecia i dziesiąta i w kilku minutach potém stanęła nad temi trupami tylko wielka śnieżna mogiła, na której poczęły hulać wichry stepowe, śpiewając i świszcząc najdziksze tonami jakąś piekielną harmonią.

XXII.

Dzień ten, na którym obecnie stoimy, dzień ostatni miesiąca stycznia pamiętnego dla Galicyi roku 1848, był tak bogatym w wypadki odnoszące się do osób, odgrywających swoją rolę w niniejszej powieści, iż nim będziemy mogli opowiedzieć o stanie wydarzenia w Demborogów pałacu, musimy jeszcze na chwilę powrócić do pozostawionego w zawieszeniu pana Edwarda.

Młodzieniec ten, kiedy po wydaniu rozkazu wypędzenia ze swego domu, cokolwiek zanadto natarczywej, lecz w nim tylko żyjącej kochanki, wyjechał na kilka dni z domu i wróciwszy nazad już jej rzeczywiście nie zastał, niepomału się tym wypadkiem ucieszył. Kazał on też natychmiast zawołać przed siebie swojego ulubionego Kopytkiewicza i rzekł mu:

— Ani się ciebie pytam, ani chcę wiedzieć, jakim sposobem wyprawileś mojego gościa, ale za to, że tak wiernie i punktualnie wypełniasz moje rozkazy, masz odtąd podwójną pensyą twoją aż do śmierci i pozwalam na trzysta dukatów zrobić deficyt w kasie.

Kopytkiewicz, przywitany tak niespodziewaną darowizną, nie wiedział w pierwszej chwili, co się z nim stało, jednakże wstydu sobie nie zrobił i niezapominając języka w gębie, najpierw pokłonił się panu do nóg i podziękował za pamięć i łaskę a potem rzekł:

— Już to miałem ja tu biedy niemało z tą panią, było płaczu i jęku, że Panie Boże uchowaj, mdlała nawet podobno, ale przecież to się jakoś zrobiło i ot! cicho już jest, jaśnie panie. Żeby jeno jeszcze czego nowego nie było.

— A cóż być może nowego? — zapytał Edward.

— Ej! nic tak dalece, — odpowiedział Kopytkiewicz, — ale już to ani chybi, że będzie pisać do jaśnie pana. Ale już w takim razie niech jaśnie pan koniecznie listów nie przyjmuje, bo to i teraz trzeba było, jak jeno przyjechała, zaraz Kopytkiewiczowi powiedzieć, co jest, to byłoby tego wszystkiego nie było. Ale że to jaśnie pan delikatny, a zwyczajnie po pańsku greczny dla kobiety... a to tak nie trzeba.

— No no! — rzekł na to Edward z uśmiechem, — już ja sobie jakoś na to poradzę, tylko proszę cię pilnuj się i nadal tak w służbie, bo może mi będziesz jeszcze nie raz potrzebny.

Kopytkiewicz się jeszcze raz pokłonił i wyszedł a Edward począł się natychmiast wybierać na trzecią czy czwartą już wizytę do Złotówki.

Odnowienie się dawnego stosunku Edwarda do rodziny baronów, po tylu różnych przejściach, tylu intrygach i okazywaniach wzajemnej wzdargy, może się wydawać dziwnym cokolwiek i niezwyczajnym, pomimo to wszakże było ono niczym więcej jak naturalnym i usposobieniem stron obudwóch tak odpowiedniemi, iż kto pilnie uważał na charakter i całe zachowanie się w tej sprawie barona, będącego jedynowładną głową w swym domu, ten niezawodnie zwrot ten już naprzód musiał przewidzieć i odgadnąć. Autorem też tej nowej intrygi nie był kto inny jak baron. Z pomocą przebiegłości swojej i czynności na wszystkie strony postawił on się już dawno w takim stosunku do dawnego konkurenta swjej córki, iż na wypadek zwichnięcia się jego zamiarów względem córki Amilkara, miał on zawsze wolny przystęp do niego. Te zamiary wedle przewidzenia barona zwichnęły się rzeczywiście, ale się zwichnęły w sposób tak niespodziewany i tak niespodziewane pociągnęły za sobą skutki, że baron lubo wiedział o tem, że może z największą łatwością do Edwarda przystąpić, jednak uznał za rzecz przyzwoitą dobrze się piérwój nad tym krokiem namyslić. Kto inny na jego miejscu, po odsłonienu się charakteru tego Kopcuszkowego wnuka i po wykruciu źródeł jego majątku, byłby się wcale nie namyslał nad tem i uczynił tak samo jak inni, którzy odwracali głowy od dróg tych, któremi przejeżdżał Edward: ale baron miał wcale inne zasady życia od innych, inne też całe sobie zakładał i innemi do nich dochodził środkami. Niemilo mu to było zapewne, że opinia publiczna rzuciła kłutwę na Edwarda za nagłą śmierć starego hrabiego, niemilo mu było i to, że majątek Edwarda pokazał się być owocem prostej kradzieży; ale zawsze to nie były dla niego jeszcze dostateczne powody, do porzucenia tak bogatego konkurenta, jakim był Edward: bo wszakżeż koniec końców pan Demboróg umarł na apopleksyę a majątek jeżeli był ukradzionym, to był ukradzionym przez dziada. Sąd karny nie potępiłby tu niezawodnie Edwarda, to też nie potępił go także i baron. A rozważywszy to dokładnie u siebie, po-

stanowił korzystać z chwilowego zwątpienia o sobie Edwarda, o którym mu nietrudno było dowiedzieć się od sług domowych,— i korzystał natychmiast, czyniąc mu sam uprzedzające odwiedziny, których byliśmy świadkami.

Pierwsze po długiej niebytności pokazanie się Edwarda w Złotówce, było sceną arcy-ciekawą a nadewszystko kłopotliwą dla wszystkich, oprócz samego barona; baronowa, nieprzygotowana dostatecznie do tego zdybania i mająca czyn brzydki, przeciwko Edwardowi za pośrednictwem pani Olimpii spełniony, na swoim sumieniu, pierwszy raz w życiu może nie wiedziała co mówić; Marynia uciekła do swego gabinetu i całkiem się nie chciała pokazać; i było tam wiele mieszania się, wstydu, kłamstwa i przepraszania; gwałcone rozumami serca wiły się jak gadziny w męczarniach, — wszakże nikt nie umarł ze wstydu a kiedy wizyta się skończyła, wszyscy byli zadowoleni ze siebie i chwalili rozum barona. Marynia nawet śmiała się potem serdecznie i powiadała, że takiej sceny nie wyczytała w żadnym francuzkim romansie. Zmysłowa istota ta, z sercem zapadłym w worek żółciowy i rozumem wywróconym na nice, nie umiała nawet ocenić należycie swojego terazniejszego położenia i cieszyła się tylko tém, że będzie mogła dobrze teraz wymęczyć spokorniałego Edwarda, a po ślubie, przejeżdżając się cztero-konnym błyszczącym powozem po pod okna dworu pana szefa, będzie znowu mogła męczyć zdradzieckiego Adama. Myślała ona nawet już o tém, jakby była szczęśliwą, gdyby mogła kiedyś jeszcze raz rozkochać tego nielitościwego młodzieńca, a rozkochawszy go do szaleństwa, zemścić się na nim w ten albo ów sposób krwiożerczy, — wszakże nim obmyśliła to wszystko, nastąpiła druga i trzecia wizyta pana Edwarda.

Edward, uszczęśliwiony niespodziewaną możliwością bywania w Złotówce i przestraszony groźnemi widziadłami przyszłej swjej reputacyi, z początku był rzeczywiście pokornym i pozwalał Maryni drwić z siebie i męczyć do woli, lecz przekonując się z czasem coraz dowodniej, że on nie jest jeszcze tak całkiem zabitym w reputacyi i że majątek umie bardzo gładko zatulać usta opinii publicznej, zaczął i on się podnosić, orzeźwiać i butnieć, a nim się jeszcze skończył rok stary, Edward już był takim samym jak niegdyś, a nawet o tyle jeszcze zuchwalszym, o ile rozum jego przewrotny, nie umiając czém inném, nakazywał mu właśnie zuchwalstwem i bezczelnością naprawiać swoją złą sławę i przypominające się ludziom występki.

Na tym też punkcie stały te rzeczy, kiedy nadeszły święta Bożego Narodzenia. Święta te przepędził Edward w Złotówce a kilka dni spędzonych razem z familią barona przybliżyły go do niej już całkowicie, zatarły dawne nieporozumienia zupełnie i ustaliły owę otwartość i poufalość wszechstronną, która dla konkurentów bywa zwykle celem najgorętszego pragnienia, a osiągniona w istocie, daje pewność pomyślnego zakończenia zamiarów. Taką

tęż pewność uzyskawszy raz Edward, wierny swojemu charakterowi pełnemu porywczosci i niecierpiącemu długich zwłok i namysłów, postanowił natychmiast oświadczyć się o rękę Maryni. Z tém postanowieniem schwycił on barona w jego kancelaryi siedzącego przy biurze i bez wszelkich ogródek i zwyczajnych oświadczeń się, powiedział wprost, że się chce żenić z jego córką.

Ciekawa Marynią podслуchała przezedrzwi tę żołnierską deklaracją i będąc zawsze w uwielbieniu dla ludzi stanowczych a nadto jeszcze zgorzszona flegmatyczną rozlazłością Adama, nadzwyczajnie się tém ucieszyła i pobiegła jak strzała z tą nowiną do matki, — ale na baronie wypadek ten zrobił całkiem inne wrażenie. Dawniej byłby on i po takiej deklaracji porwał Edwarda w objęcia i oddając córkę natychmiast, byłby mu jeszcze dodał do niej sto komplementów, bo dawniej nie wahał on przyznać to sobie, że Edward, biorąc Marynię, czyniłby mu łaskę; ale dzisiaj zdawało mu się, że ulitowawszy się nad sponiewieranym Edwardem, on czynił mu łaskę, a to było położenie całkiem inne, a z każdego położenia lubił baron korzystać. Z tego położenia korzystał on nawet w sposób dwojaki. Najpierw tedy nadął on się w swojej kancelaryi, jak paw na śmiecisiku, i nagadawszy się Edwardowi co mu się podobało, dowiódł mu jakby na dłoni, że w dzisiejszém jego położeniu może i powinien to uważać za szczęście szczególne, że się znalazł ktoś taki, który mu bez wahania się oddaje córkę. I to była dla barona wielka korzyść moralna, wszakże miał z niej wypłynąć i zysk materyalny. A wypłynął w ten sposób, że baron, przyrzekając oddać mu córkę, założył pewne warunki.

Edward już tej pierwszej części kazania słuchał z wielką niecierpliwością i z szyderskim uśmiechem, a byłby jęj pewnie całkiem nie słuchał, gdyby mu teraz głównie nie chodziło o to, ażeby już raz zakończyć tę nudną sprawę; wszakże kiedy się baron zabrał do wykładu swoich warunków, Edward już nie był w stanie poddać się z pokorą pod drugie takie biczowanie i rzekł baronowi:

— Już mów pan, co mu się żywnie podoba, tylko mów krótko a węzłowato.

Krótko tedy a węzłowato wyłożył baron Edwardowi, że teraz nie jest w stanie dać córce żadnego w gotowiznie posagu, ani mu nawet rent żadnych płacić nie będzie, ale też za to równą część weźmie z całego majątku po śmierci barona.

Skrzywił się Edward na takie warunki, bo już dzisiaj stan jego interesów nie był takim, ażeby mu mogła być obojętna gotówka, ale nie namyślał się długo i przyjął. I owoż pokazała się korzyść materyalna barona, a korzyść ta znaczna, bo, jak sam potem przyznał się żonie, było to tyle dla niego, jak gdyby mu kto dobrą wioskę darował.

Tak ukończywszy ze sobą targ o Marynię, poszli oni obadwa

do czekających na nich w salonie baronowej i przyszłej żony Edwarda. Oświadczenia, wyrazy ukontentowania, grzeczności, zapewnienia, wszystko to się odbyło w mgnieniu oka i przystąpiono do oznaczenia dnia ślubu. Zdania w tej materii były dość podzielone: Edward bowiem chciał, ażeby ślub odbył się zaraz, to jest jaknajprędzej, — baronowa z niewiadomych powodów proponowała, ażeby święty obrządek ten odłożyć przynajmniej do wiosny; Marynia nic nie mówiła, ale dziwnie roziskrzonemi oczyma poglądała na matkę, — baron zaś z razu sam nie wiedział co ma mówić i nibyto przychyłał się do propozycji godnej swój małżonki, przyczem głównie zsyłał się na to, że potrzeba przecież stosowną przygotować wyprawę, co nie może być dziełem kilku zimowych tygodni. Wszakże kiedy Edward na żaden sposób nie chciał od razu wypowiedzianej woli swojej odstąpić i powiedział wyraźnie, że woli się rzec naprzód całej wyprawy, niżeliby miał na nią czekać do wiosny, baron odstąpił w ten moment od swojej opinii i przystał na wszystko.

Nastąpiła tedy narada nad obiorem dnia ślubu, która przy poradzie kalendarzy, różnych prognostyków i przytaczanych przypowieści przez baronową, wlokła się nadzwyczajnie długo i wcale niezabawnie, a nim się jeszcze do pewnego celu dowlokła, narzucano znów kwestyą nową, a to: gdzie się ma ślub ten odbywać? Wszakże nad tą kwestyą nie zabawiono się długo, bo w kilku słowach zgodzili się wszyscy na to, ażeby ślub się odbył we Lwowie. Jest to zwyczaj pomiędzy szlachtą tutejszych okolic, że ze swoich ślubów robią spektakle dla lwowskiej publiki; dlaczego ten zwyczaj istnieje i gdzie ma właściwe swe źródło, to trudno odgadnąć, ale że jest śmiesznym i niedorzecznym, niepotrzeba zgadywać. Wszakże tutaj, jeżeli postanowiono powlec się do Lwowa, to nie uczyniono tego li dla zwyczaju, tu kaźden miał swoje do tego powody. I tak: baron chciał się wymknąć od obowiązku sprawienia hucznego wesela i zaproszenia sąsiadów na kilkodniowe tańce, którym ile że się to działo w zapusty, niepodobnaby było przeszkodzić, a nad to wszystko nie widział on potrzeby chwalić się ze swoim zięciem publicznie przed całym sąsiedztwem, pamiętającem tak dobrze jeszcze niedawne katastrofy, i myślał że we Lwowie nikt o tém nie wie, a jeżeli kto wie, to myśli, że to są zwyczajne komeraże. Baronowa prznosiła Lwów najpierw z religijnych względów, bo w Złotówce nie było rzymsko-katolickiego kościoła i chciała zresztą się przy tej sposobności przewietrzyć. Edward był prawie najgoręcej za Lwowem, bo nie potrzebował w takim razie sprawiać poczwórnych i popiątnych farmanek i mógł się obejść parą koni i jedną karétą, a co może jeszcze główniejsza, że tu na wsi byłby w wielkim kłopotcie o druzbę. Marynia zaś także Lwów prznosiła, bo pomimo to, że lubiła spektakle, miała jeszcze i tę nadzieję, że będąc sama z rodzicami w stolicy, przecież w lepszą się wyprawę opatrzy, niżeli

ta, którąby jej kupił sam ojciec. Zgodzono się tedy jednogłośnie na Lwów, a kiedy w tym punkcie stanęła zgoda, z równą także łatwością zgodziły się umysły na ostatni dzień stycznia, jako na dzień ślubu.

Na dni kilka tedy przed dniem oznaczonym znalazły się wszystkie, do tego aktu należące osoby w stolicy i wszystkie były nadzwyczajnie zajęte i zatrudnione. Wszakże najwięcej zatrudnionym ze wszystkich był baron, a głównym jego zatrudnienia przedmiotem było skupowanie wyprawy. Młody i nowy dom jego, nie zaopatrzony w te wszystkie zasoby, które się gromadzą gdzieindziej przez liczne spuścizny i spadkobierstwa, nie miał prawie nic pomiędzy swojemi ścianami, co by było dać można Maryni, — i wszystko potrzeba było kupować. Latał tedy baron jak opętany po wszystkich kątach stolicy, a im któryś kąć był ciemniejszy i podejrzawszy, tém pewniej odszukał go zapobiegliwy ojciec Maryni, bo nadewszystko przeniósł on kupna tanie, a na dobry smak, dobroć i elegancją towaru nie miał on nigdy zwyczaju uważać. Oprócz gotowych pieniędzy nie było żadnej innej rzeczy na świecie, którąby u niego miała wartość realną, wszystko to były graty i szmaty, zasługujące zaledwie na względne znaczenie. Można sobie tedy z łatwością wyobrazić, jakie graty i szmaty poznoszono ze sklepów żydowskich i banków zastawniczych na tę smutną wyprawę. Marina na widok niektórych tych rzeczy aż płakała ze zmartwienia i wstydu, i skarżyła się matce, a matka to wszystko znowu przedstawiała mężowi; ale baron i na przedstawienia matki i na płacz córki nic nie zważał. Wszakże zamiast tego, latając przez dni całe po ulicach, to zauważył, że zdybujący go jego znajomi nieraz dziwnym jakimś okiem spoglądali na niego, a podczas kiedy jedni pytali: — baronie, wydajesz córkę za pana Edwarda? — drudzy dziwnie szyderskim głosem: — Winszuję! — a trzeci nawet byli tak śmieli, że sobie pozwalali jakichś niebardzo godziwych przycinków. Baron tym wszystkim znajomym odpowiadał jednemi słowy: — Wydaję, wydaję moją kochaną Marynię. Mogłaby ona wprawdzie zrobić partya lepszą, ale cóż, kochają się z sobą i widzą w tém swoje szczęście, więc nie należy stawiać przeszkody uczuciom. — Wszakże te zapytania i przycinki nie ustawały ciągle i to zaczęło zajmować uwagę barona, aż téż dnia jednego, prawie w samą wigilią ślubu, odebrał on list bezimienny, — list pisany mężką ręką, ładnym stylem i na ładnym papierze, w którym go jakaś życzliwa dla niego osoba na wszystkie Bogi zaklina, ażeby się zastanowił nad tém co czyni i ażeby zerwał ten przyszły związek z Edwardem, jeżeli nie chce na wieki unieszczęśliwić swęj córki, a może nawet i siebie.

Wypadek ten jeszcze mocniej zajął barona, jakoż pobiegł on natychmiast do miasta, ażeby się dowiedzieć, co-by to być mogło właściwie. Wszakże nie dowiedział się niczego innego nad to, że Edward w ostatnich czasach bardzo lekkomyślnie pokierował

się w interesach, że ma nawet cokolwiek długów we Lwowie, ale że ma także i nieprzyjaciół, a właściwie ma jednego głównego nieprzyjaciela w opinii, nie publicznej, ale ulicznej.

A trzeba wiedzieć, że były to właśnie te czasy, w których ulica odgrywała wielką rolę we Lwowie. Ażeby w krótkich słowach dać właściwe wyobrażenie o rzeczy, potrzeba z góry powiedzieć, iż rola ta nie była wcale ani groźną, ani straszną, bo był to poprostu tylko pewien rodzaj swawoli, która chociaż się objawiała dosyć gwarliwie, jednak trzymała się w nader ciasno określonych granicach. Kilka dowcipnych paszkwilów, kilka okien wybitych, kilka krzykliwych zbiegowisk przy ślubach odprawianych z paradą, i owoż wszystko, co się stało przez całą zimę na ulicach Lwowa. A byłoby i tego nie było, gdyby nie byli się znachodzili ci lekkomyślni i nierozsądni, trwożliwi w duszy a odwagę udający mężowie, którzy nie umieli ani nieprzyjaciela wziąć za łeb i do ziemi przydusić, ani go milczeniem pominąć, tylko go umieli drażnić tém wszystkiem, co mu było niemiłym. Poséłano téż listy bezimiennie, pisano na cały świat ucinki i uszczypliwe parodye, wybijano szyby nawet srebrnikami, ażeby poszkodowany miał zaraz za co kupić szkło nowe, obrzucano butnych błotem i kwaśnemi jabłkami, przycém wszystkiem szewczyki i wszelka gawiedz uliczna miała przedziwną zabawę.

Otóż kiedy o tém wszystkiem dowiedział się baron, wytłumaczył on sobie zaraz swój list bezimienny, ale téż zarazem i zląkł się, bo prawie już pewnym był teraz, że się bez jakiegoś spektaklu nie obejdzie przy ślubie. Tę myśl zakomunikował on zaraz wszystkim, należącym do siebie, — jakoż zrobiła ona swoje wrażenie. Baronowa aż prawie struchlała i jakieś ciemne przeczucia zaczęły jęć się kłębić po sercu, potem przyszła jęć na myśl Ernestyna i aż jęć zaćmiło się w głowie; widziała ona teraz już dobrze, jak nierozsądnie zrobiła, że poruszyła przez panią Olimpią to złe, które spało spokojnie, jednakże nie wiedząc, czy Ernestyna zrobiła jaki krok przeciwko Edwardowi, czy nie, ciesząc się nadzieją, że kiedy ona nie wie o niczém, to nic się pewnie nie stało, zaczęła się uspokajać: ale zawsze te szewczyki obrzucający błotem i kwaśnemi jabłkami, nie mogli jęć jakoś wyjść z głowy. I baronowa nie dała żadnego zdania na téj radzie. Edward na tę wiadomość także trochę się zmieszał, ale się jeszcze więcej rozgniewał i w gniewie psy wieszał na wszystkich szewcach i ulicach. Marynia dała także dość nieprzychylne zdanie o miejskich lampartach; ale baron zdawał się być najbardziej tém zatrwożony i chodząc pomieszany po pokoju, powtarzał ciągle:

— Skandal, skandal w mieście to nie bagatela! a jeszcze dla mnie, który nigdy nie byłem uczestnikiem skandalu!... hm! a tu znowu prawie niepodobna wyjeżdżać. Wszystko gotowe... wszystko już do tego zastosowane... i zresztą, wyjechać nagle, bez przyzyny, to także jest rodzaj skandalu.

— Ale cóż tam! — rzekł na to wszystko nareszcie Edward, któren zawsze jeszcze miał najwięcej odwagi, — czego się tu tak bardzo obawiać? co się stać może? krzykną, świstną, rzuca piaskiem lub śniegiem, to pal ich kat zresztą! Nie powie się nikomu kościoła ani godziny ślubu, zamknie się drzwi od kościoła i cóż nam zrobią?

— Zapewne, zapewne, — odparł baron, — bo wyjeżdżać bez ślubu, to prawie niepodobna.

— Ale pewnie że niepodobna, — dodała Marynia.

Poczęto tedy radzić znów nad tém i uradzono tak, ażeby ślub odbyć o samym zmroku, ażeby kościół przytém nie był bardzo oświecony, ażeby godzina ślubu była zachowana w największym sekrecie, baron zaś z swojej strony obiecał postarać się o policją, ażeby mieć przecie jakąś obronę przeciwko lampartom.

Nadszedł tedy nareszcie ten dzień fatalny, w którym nieszcześliwa pani Amilkarowa tyle cierpiała od nielitościwych wierzycieli swego męża, dzień, w którym rozstrożone orkany zimowe zatopiły szlachetnego Racibora, biejącego z ratunkiem, i który także był przeznaczony na dzień ślubu Edwarda z niemającą szczęścia do ludzi Marynią. Wszakże pomimo jaknajstaranniej zachowanego sekretu, około godziny czwartej przecie, tłumy miejskiej gawiedzi zaczęły się gromadzić przed jezuickim kościołem. Dziwném się może wydawać komu, jakim sposobem się tajemnica wydała? ale tu nic dziwnego. Około godziny bowiem czwartej otworzono drzwi od kościoła i zapalono przy wielkim ołtarzu dwie świece. Przeszedł jeden i drugi, biegnący za jakąś sprawą lub zabawą na drugą ulicę i nic nie widział, ale szewczyk świstający krakowiaka i widząc wszystko do koła, drzwi otwarte zobaczył, zatrzymał się i zaglądnął do środka, bo szewczyk miejski jest to najciekawsza istota pod słońcem, on musi wiedzieć o wszystkiém. Koło stojącego szewczyka przeszło znowu kilku ludzi, ale ponieważ jednemu było zimno pomimo watanowanego płaszcza, a drugiemu bardzo znów pilno pomimo to, że nic nie robił przez całe życie, więc żaden z nich się nie zatrzymał; ale drugiemu szewczykowi nie było ani pilno ani zimno, chociaż nie miał na sobie nic tylko bieliznę, w której sypiał, fartuszek płócienny przed sobą, patynki na bosych nogach i stosowany kapelusz na głowie, zrobiony na prędce z arkusza bibuły. Ten zaś, widząc koleżkę zaglądnącego do wnętrza kościoła, zaraz stanął przy nim i także zaczął zaglądnąć. W krótkiej chwili przyłączył się do nich bednarczyk z obręczą w rękę i kawalczykiem kozucha na plecach, trzeci przyszedł blacharczyk z potłuczoną latarnią od powozu, a nakoniec i dwóch stolarczyków, którzy, ciągnąc kilka krzesel na wózk, przystanęli odpocząć i dowiedzieć się, czego tamci tak zaglądnają, ażeby jakąś nowinę przynieść na wieczór do warsztatu. Aż tu niebawem wyrunęli studenci ze szkoły i rzucając na siebie gałkami ze śniegu a czasem

i książeczkami, biegli prosto w tę stronę. Atoli obaczywszy kupkę rzemieślników, zatrzymali się w pędzie i podobno zaczęli radzić pomiędzy sobą, czy nie dobra-by to była pora teraz na nich uderzyć i wykwitować te guzy, które im się wczoraj od jakichś podobnych uliczników dostały? a zdawało im się, że to są nawet ci sami, bo przy wczorajszej bitce był takuteńki jeden w stosowanym kapeluszu z papieru. I musiało tak być w istocie, bo tenże sam w stosowanym kapeluszu dostrzegł ich zaraz, ale zamiast zaczynać bitwę, albo uciekać, zaczął wołać do nich ażeby się przybliżyli, bo to podobno ślub będzie niebawem i może się zdarzyć jakaś dobra zabawa. Studenci też w oka mgnieniu zrobiwszy konkluzya, że bić się z szewczykami można będzie i jutro i pojutrze, a ślubu już jutro nie będzie, połączyli się z nimi w zgodzie, zastrzegając sobie to tylko, że jeżeli ich zwiedli i ślubu nie będzie, to im za to setnie naciągną czupryny. I owóż to zaraz zrobiła się kupka ludzi, do której prawie każdy się już przyłączał, wypytując się, kto ślub brać będzie? z kim? dlaczego i tak dalej. I z początku nie umiał nikt nic powiedzieć, niebawem wszakże zaczęły już biegać różne, z razu ciemne, lecz coraz bardziej wyraźniejsze pogłoski, z których nakoniec urodziła się pewna wiadomość: że ślub brać będzie pan Kuchcikiewicz, łotr wierutny i rabuś, któren na zamek jakiś napadł, skarb zabrał i zabił bardzo poczciwego staruszka. Powiadano dalej z niemniejszą pewnością, że ten Kuchcikiewicz ślub brać będzie z córką pewnego barona, któren struł swoją siostrę i gardło poderznął rodzonemu bratu, a do tego tekstu były jeszcze i inne dodatki. Taką tedy wieść pochwycawszy, zaczęła ta gawieź dziwnie jakoś pomiędzy sobą szwargotać, gromadzić się w kupki i niby coś radzić, a że pomiędzy drobną czeladką znalazł się ten i ów majster, powracający prosto z pod Raka albo z pod Złotej Kaczki i dobrze sobie na frasunek podcięty, więc wylatywały czasami z pomiędzy tej gawieździ i głośne przekleństwa, i groźby sformułowane okrągło, i pięście czasem się wynosiły po nad głowy.

A kiedy to się działo, dał się nagle słyszeć gęsty turkot powozów. Oczy wszystkich się obróciły ku placowi Ducha Świętego, a nim jeszcze zdołano dojrzeć kto jedzie, już cztery czy pięć powozów stało przed wschodami kościoła. Gawieź się rozstąpiła, lecz się też zaraz nanowo ścisnęła i tak obległa drzwi i wschody kościoła, że tylko z trudnością można się było przecisnąć. W pierwszym powozie siedziała Marynia z starościną i drużką, i te najpierw wypakowały się z swego powozu i wstąpiły na wschody, lecz ani Marynia, ani żadna z jej towarzyszek się nie przelekleły, bo też i cisza jeszcze była dokoła. Ale jak tylko Edward wyskoczył z karéty, zaczęły się zaraz podnosić głosy:

— Kuchcikiewicz! Kopciuszek! zabił! okradł! zrabował! a pał go tam błotem!

Usłyszawszy te apostrofy, Edward zbladł i zsiniał jak stał,

i zrazu sam nie wiedział co zrobić, czy biedz do kościoła, czy wskoczyć napowrót do karéty i czémprędzej uciekać. Toż samo baronowa i baron, powyląziwszy z powozów, zacięli się na miejscu, a baronowa nawet coś wykrzyknęła po francuzku; lecz kiedy tuż zaraz dały się znowu podobne apostrofy słyszeć, zastosowane do samego barona, a tuż za nimi poczęły jak grad padać grudy śniegu, błota i zamarznętego piasku, — otrzeźwili się wszyscy w momencie i rzucili się naprzębój przez tłumy ku drzwiom kościoła. Nic pewniejszego nad to, że rzucenie się to było krokiem rozpaczliwym z ich strony, i że wszyscy byli pewni, że śmierć tu gotowa, ale tam o śmierci nikt wcale nie myślał a tłumy tak się im rozstały gładko, że bez żadnej przeszkody znaleźli się w oka mgnieniu w kruchcie. Edwardowi tylko, któren wbiegł ostatni, w samych drzwiach dał się słyszeć śmiech jakiś piekielny, i dała mu się widzieć twarz jakaś znajoma: stanął téż, spojrzął i poznał z łatwością — głos i twarz pana Tadeusza Niemiry. Lecz nie mając czasu się zatrzymywać, pędko wbiegł za innymi do kruchty.

W kruchcie było jeszcze wielkie zamieszanie pomiędzy weselnikami i uradzono na pędce, ażeby po ślubie wyjść przez zakrystyą i bodaj już pieszo powrócić do domu, ale że już ksiądz czekał na nowożeńców, więc przystąpiono natychmiast do ołtarza.

I zaczął się obrząd ślubny.

I już państwo młodzi wysłuchali kilku słów przedwstępnych kapłana, już ukłękli przy sobie, już podali sobie ręce i baczna Marynia położyła swoją rączkę na wierzchu, już ksiądz stułą miał obwiązywać ich ręce, — kiedy nagle z zakrystyi, jak orzeł na upatrzone na ziemi kurczęta, w karmazynowym płaszczu gronostajami podbitym, w kapeluszu niebieskim ze strusiem piórem, z oczyma dzikim roziskrzonymi zapalem, z usty drżącemi od gniewu, z rękami podniesionemi do góry, wpadła pani Ernestyna przed ołtarz. Ztamtąd rzuciła się ona z całą siłą pomiędzy Marynię i Edwarda, i roztrąciwszy ich oboje, padła na to miejsce, na którym klęczeli, wołając przeraźliwym głosem:

— Na moim trupie chyba ukłękniecie do ślubu!

Ten grom, który tak nagle i właśnie z téj strony wypadł, z której nie spodziewano się burzy, obalił wszystkich. Baronowa zemdlała i upadła tuż obok Ernestyny na wschody, — Marynia, blada jak ściana, potoczyła się aż ku ławkom, — baronowi włosy kołkiem stanęły na głowie i język zdrewniał pomiędzy zębami, — ksiądz, zażywając tabakę i mrużąc coś sobie pod nosem, odszedł z flegmą do zakrystyi, a ztamtąd zaraz do domu, — Edward, chwyciwszy się w rozpacz oburącz za głowę i wyrzuciwszy jakieś piekielne przekleństwo, jak wściekły wyleciał z kościoła, dopadł swojej karéty i kazał prosto pędzić za miasto.

W kwadrans potém nie było już tylko kilka osób w kościele, które pochylone nad niemogącą do przytomności przyjść baro-

nową, trzeźwiły ją jakiemiś mocnymi octami, przyniesionemi z apteki, aż téż nakoniec ją dotrzeźwiły; a pierwsza twarz którą baronowa po otrzeźwieniu obaczyła nad sobą, była to twarz pana Tadeusza Niemiry, który jój rzekł bez ogródki:

— Kto pod kim dolki kopie, sam w nie wpada:

XXIII.

Kiedy dnia następnego rano, po dokonanej w pałacu sądowej grabieży, Kamilla się obudziła z snu ciężkiego i bolesnego, który po tylu cierpieniach zniesionych na całą noc ubezwładnił jój umysł i ciało: smutne to było jój obudzenie!

Wszystkie komnaty, do wczoraj jeszcze tak pełne najwykwintniejszych sprzętów i obrazów, pełne paradnych staroświeckich perskich i najnowszych angielskich kobierców, pełne naczyń srebrnych, porcelanowych i złotych, pełne tego wszystkiego, co mógł tylko najwybredniejszy smak dziewiętnastego wieku dla wygody ludzkiej wymyśleć: komnaty te stały teraz ogołoczone i puste, a każda z nich tylko czterema nagimi błyszcząca ścianami. Drapieżący wierzycciele bowiem nie chcieli mieć żadnej nad nią litości: a podczas kiedy ich prostackie rozumy zdawały się jeszcze nie-szczęśliwej urągać, bystre ich oko umiało tak dostrzedz wszystkiego, że przed ich rękami nie ostała się żadna nawet firanka, żaden gwóźdź nieskrzywiony w ścianie, żadna najdrobniejsza ozdoba a gdyby byli mogli, to byłiby odrywali zamki odedrzwi, okna wyjmowali z ramami, płyty wydziérali z posadzek! — To też teraz chodziła Kamilla po tych pustych pokojach i wyglądała jak duch jaki zaklęty, błądzący pomiędzy mury domostwa, w którym wszyscy mieszkańcy na zarazę wymarli.

I była ona rzeczywiście prawie już tylko duchem.

Jój ciało, i dawniej już delikatne i szczupłe, ostatnie kilka tygodni wyniszczyły do reszty. Kto ją znał dawniej i miał cokolwiek ludzkiego uczucia w sercu, ten byłby dzisiaj nie mógł znieść jój widoku. Był to bowiem tylko szkielet kobiety, obciążony

skórą żółtawą, przezroczystą, uwiędłą. Zdawało się, że w tym szkielecie nie masz już krwi ani kropli, że serce bić przestało i tętna zamarły, i tylko dusza jeszcze się w niej szamoce. Twarz jęj, tak piękna niegdyś i jeszcze tak świeża, wychudła i przeciągnęła się strasznie, policzki pozapadały, a przez nie zdawało się widzieć całą szczękę i zęby, tak jak u głowy trupiej, obnarżonej ze skóry. Nos jęj wystąpił na wierzch, broda się zaostrzyła, szyja się przedłużyła, ręce wychudły jak szczypy, a suknia obwisła na niej i wlokła się za nią, zamiatając zapyloną posadzkę. W oczach tylko jeszcze się świecił blask jakiś niepewny i niby martwy, a w tym blasku widać było owę rozpacz zastygłą, która znamionowała mimowolną, bezwładną rezygnacją na wszystko.

Tak wyglądająca Kamilla błędziła rankiem po pustych komnatach pałacu, i więcej już z ciekawością niżeli z boleścią wodziła martwemi oczyma po nagich ścianach. Widok ten dziwnym był dla niej, — od dziecka nie znajdowała się ona w miejscu tak smutném, a czyż mogła kiedykolwiek pomyśleć, że takim miejscem będzie jęj własne mieszkanie? — Myśl ta, lubo jęj serce było całkiem już odrętwiałe i na wszystko nieczułe, jednak jeszcze ją przeraziła boleśnie; byłaby płakała w tęg chwili, gdyby z jęj oczów dała się choć jedna łza jeszcze wycisnąć.

Tak tęg błędzącą i oglądającą ogołocone ściany zdybała ją Munia. Munia była jeszcze żywą i jeszcze wiele łez miała, to tęg przez cały dzień wczorajszy i przez noc całą łzy nie opuszczały jęj oczu. I teraz wbiegła ona z twarzą niemi zalaną i chciała mówić coś matce, ale głos jęj się zatłumił i łzy zalały go w gardle.

— Nie płacz już, moje dziecko, — rzekła do niej matka głosem powolnym i zaledwie o pół tonu się różniącym od szeptu, — nie płacz już, bo cóż łzy nam pomogą? Stało się już wszystko, co się stać mogło i więcej już stać nie może.

— Ach! mamó! — mówiła Munia, — może się stać jeszcze więcej! Ja już tak teraz przyzwyczajoną jestem do nieszczęść, że co godzina, co chwila, wyglądam tylko nowego ciosu. To jest nie do opowiedzenia, to jest okropne!

— Rozumiem ciebie, moje dziecko, — poczęła na to mówić Kamilla, ale wtém wszedł służący i wniósł dwa proste drewniane krzesła, stół jakiś zabrudzony z kredensu a na nim kilka filiżanek glinianych, powyszczerbianych i resztę odpowiedniego tym naczyniom przyrządu do herbaty. Wstrzęsła się na widok tych skorup szkaradnych Kamilla i odwróciła się od niego, ale służący nie uważał na to, tylko ogień na kominie rozłożył, poustawiał krzesła i stolik i wyszedł po resztę przygotowania. Munia, widząc to wszystko, jeszcze mocniej się rozplakała niż dotąd i zawołała:

— Ach! na taką nędzę jużesmy zeszlil!

— Nie płacz, moje dziecko, — odpowiedziała Kamilla, — nie płacz już nad tęg. Prawda, okropne jest to wszystko, przez cośmy

przeszły, ale jeżeli tylko nam Pan Bóg pozwoli zdrowia, to jeszcze w tém nie pomrzemy. Wszakże mój posag jest jeszcze nietknięty na Demborogach i nikt mi go odebrać nie może, jest twoja scheda po ciotce, mamy domek po dziadku we Lwowie, a to nam na wyżywienie się wystarczy.

— Prawda, mamó, wystarczy, — dodała Munia, — bo cóż my potrzebujemy obydwie? ale zawsze to jest okropnie z takiego położenia, jakim jeszcze niedawno było nasze, przejść w ubóstwo prawie i w niedostatek. A jeszcze nad to wszystko mieć tyle nadziei i wszystkie... wszystkie razem utracić! — zakończyła Munia, wybuchając w płacz głośny i chustkę zwilżoną przyciskając do oczu.

— Któż to wie, moje dziecko, — odpowiedziała na to jej matka, — czy wszystkie? Przed czasem nie należy rozpaczać. Pan Bóg jest dobry i lepszy od ludzi...

— O! wszystkie już! wszystkie! — zawołała Munia, nie odrywając chustki od oczu, — ja jego nie chcę już widzieć! słyszeć nie chcę nic o nim!.. bo kto mnie mógł zostawić w takim nieszczęściu, nie wyratować, gdy może, a nawet nieprzyjechać i nie spytać się o mnie, ten nie wart, ażeby raz tylko spojrzeć na niego. Piąty dzień dzisiaj mija a jego jeszcze niéma!

— Widzisz, moje serce, sądzisz go, a kto wie, czyli słusznie? zauważała pani Kamilla, — nic niemasz łatwiejszego, jak potępić człowieka, dlatego też obowiązkiem jest nie potępić, lecz bronić. Lolo nie przyjechał i prawda że powinien już był przyjechać, i więcej, on powinien był już dawno wejść w nasze stosunki i pomódz nam w tém położeniu przykrém, coby mu przyszło było z łatwością. Ja ci to wszystko przyznaję i sama obwiniam go o niedbałość, ale jeszcze go nie potępiam. Bo trzeba wziąć na uwagę wszystkie okoliczności. Lolo jest młody, niedoświadczony i nie ma jeszcze w rękach majątku. Stoi on pod opieką matki, kobiety, która ma zapewne najlepsze serce i najszlachetniejsze uczucia, ale, jakęś to pewnie i sama musiała uważać, bardzo mało ma wychowania. Zresztą któż wie, czyli oni mieli tyle środków pod ręką, ile dla naszego ratunku było potrzeba? Długi, które ojciec nam do spłacenia zostawił, to są sumy ogromne, i nie dziwię się wcale, jeżeli się ich ktoś przestraszy. Ale nawet gdyby mieli te środki pod ręką, trzeba mieć wzgląd na to, iż mogli niewiedzieć o naszym położeniu prawdziwém, a gdyby nawet i byli wiedzieli, to mogli nie mieć śmiałości z taką propozycją do nas przystąpić, bo interesa pieniężne dla osób, mających delikatne uczucia, są zawsze żenujące. To wszystko tedy trzeba wziąć na uwagę — i nie sądzić przedwcześnie. Że Lolo od dni pięciu już się u nas nie pokazuje, tu nie wiem doprawdy, czémby się mógł wytłumaczyć, ale i za to jeszcze nie można kłątwy rzucić na niego. Mógł być chorym, mogło go coś ważnego zaskoczyć, a zresztą ot! widzisz, jaka jest

burza na dworze, może tam drogi są tak zamiecione, że się krokiem ruszyć nie można?

— Ach! nie, nie! — wołała na to Munia, — to wszystko go nie tłumaczy! Ja nie wiem co mam powiedzieć na to, ale czuję to w sercu, że nie musiało tak być koniecznie, jak się stało. Burza, burza i cóż to jest burza? Ja, gdybym wiedziała, że on jest chory, albo w jakim inném znajduje się niebezpieczeństwie, i gdyby mnie to tak wolno było jak jemu, przez piekłobym poleciała do niego. Mamol! on mnie już porzucił, on mnie nigdy nie kochał! — i Munia nowemi załala się łzami.

— Moje dziecko, — mówiła dalej pani Kamilla, — ja nie chcę wbić w ciebie tego przekonania, że Lolo się nie zmienił dla ciebie. Mnie się zdaje, że on lada moment się tu pokaże, ale... być także może, że nie. Bo różni są ludzie i różnie bywa na świecie. Wiek nasz bardzo jest samolubny i wszystko w nim opiera się na rachubie. Ludzie mają jeszcze serca i delikatniejsze może uczucia niż dawniej, ale umiejają oni z dziwną mocą nad temi uczuciami panować i umiejają je tak pod rachubę poddawać, że nieraz wyglądają tylko jak pozytywki, które grają tak, jak im się numer podłoży. Okropnie jest to pomyśleć, ale przecież tak w istocie. Dlatego w twojem położeniu, moje dziecko, najlepiej na wszystko być przygotowaną.

— Ach! to straszne jest, moja mamol! — zawołała Munia ze łzami.

— Straszném nie jest, — odpowiedziała pani Kamilla, usiłując ją i przygotować do téj straty i uspokoić zarazem, — ale smutném jest tylko. Smutném to zawsze ukochać kogoś, przyzwyczać się i przywiązać do téj miłości, a potem przekonać się, że ten ktoś nie był wart nawet naszej uwagi. Ale w miłości, moje dziecko, są jeszcze daleko straszniejsze rzeczy.

— Ale nie, nie! — wołała Munia, która zapewne w niespokojności wewnętrznej nie umiała trafić ze swojemi myślami do ładu i nie wiedziała jeszcze, czego się trzymać, — nie! to być nie może! on mnie nie mógł tak porzucić haniebnie! tam się musiało coś stać, tam ktoś zachorował, tam się wydarzyło jakieś nieszczęście, tam drogi nie do przebycia... Lolo by nie mógł tak o mnie zapomnieć; — i pobiegła do okna popatrzeć, azali już w téj chwili nie jedzie.

Ale przez okno nie mogła ona nic dojrzyć zupełnie, szyby bowiem były nietylko pozamarzane, ale tak śniegiem zewnątrz zabite, że wyglądały jak płyty powykrawywane z białego lodu. Wszakże jeżeli kto po pod nie przechodził, to cień jego widać było na tych szybach nieprzezroczystych, który się mignął i zniknął; jakoż takich cieniów dojrzała Munia w téj chwili aż kilka, i potem znów kilka i dosłyszała kroki biegnących ludzi i ich głosy niewyraźne dochodziły jój uszu.

— Mamol! — zawołała przerażona tém Munia, która już tak

była rozdrażniona, że każde głośniejsze stuknięcie wstrząsało całym jej organizmem, — mamol! znów coś się stało, bo gdzieś ludzie biegną i czegoś wołają!

A wtém służący wbiegł do pokoju, mówiąc w przestrachu i pomieszaniu:

— Proszę jasnój pani, jacyś ludzie tu pomarзли przed samym pałacem i śnieg ich precz z głowami przysypał.

Na tę wiadomość pani Kamilla się zerwała z krzesa i przystąpiwszy do służącego, pytała: kto zmarł? kiedy? jakim sposobem? — od przerażenia sama nie wiedząc, co pyta. Munia zaś, która może nigdy nie słyszała na życiu, że człowiek może i takim sposobem zginąć, tylko z dziwną ciekawością patrzyła na niego. Ale służący, który dopiero teraz dostrzegł, jakie jego wiadomość zrobiła wrażenie na paniach, odpowiedział na to:

— Ej, niema tu proszę jasnój pani tém się co tak bardzo frasować, bo to pewnie musiał zamarznąć któren z tych hultajów, co tu wczoraj tak drapieżyli po pałacu; albo może i jaki nowy przyjeżdżał na nowe drapiestwo.

— Ale już ktokolwiek jest, — zawołała na to pani Kamilla, wyczerpując wszystkie swe siły, — mój kochany, zwołajcie ludzi, odkopcie ich prędko, może im można dać jaki ratunek. Okropna burza być musiała téj nocy!

— Już ich tam odkopują, — odpowiedział służący — to zaraz się wszystkiego dowiemy.

— Proszę cię, idź-że tam i przynieś nam wiadomość, kto jest ten nieszczęśliwy.

A kiedy służący wyszedł, Munia, cała drżąca od przestrachu, zaczęła wypytywać matkę, jak-to można zamarznąć? — Ale pani Kamilla nie była wstanie nic odpowiedzieć. Jej myśli się tak pomieszały w téj chwili, jakieś tak dziwne uczucia zagłuszyły jej pamięć, że lubo słyszała o co pytała córka, jednak patrzyła jej tylko w oczy, milcząc i mieniąc się na twarzy kolorami tak dziwnymi, jakie dałyby się dojrzyć chyba tylko na twarzach umarłych.

Aż znowu wbiegł na powrót służący.

— No cóż? cóż, mój kochany? — spytała hrabina.

— Nie wiedzieć jeszcze, proszę jasnój pani, — odpowiedział służący, — bo jeszcze nie odkopali ze wszystkiém. Ale że to dziwna rzecz jest, bo się pokazuje aż dwóch ludzi i widać głowę konia siwego. Po jednym widać z czapki, że furman, jeno się nie można domyśleć czyj, ale tak wygląda, jakby albo pana Tadeusza Niemiry, albo hrabiego Racibora.

— Racibora! — wykrzyknęła pani Kamilla, dobywając ostatnich sił z piersi.

— Mamol! to Lolo! — zawtórzyła jednocześnie Munia krzykiem przeraźliwym, i obydwie kobiety wybiegły do pokoiów sypialnych, a porwawszy ztamtąd jakieś zarzutki na siebie i wzięwszy

pannę Florę ze sobą, poleciały same obaczyć tych zamarzniętych ludzi.

Tymczasem na samym środku parku, nie dalej jak o sto kroków od pałacu i prawie naprzeciw ganku, ludzie dworscy odkopali już w większej połowie ową grupę ludzi i koni, których śmierci byliśmy sami świadkami. I był to obraz straszny i przerażający do głębi. Patrząc nań, zdawało się widzieć żywą śmierć z lodu wykutą, której widok oddech zadławił w piersi i przebiegał mrozem przez wszystkie żyły i nerwy.

Więc najpierw widać było sanie, do połowy sterzące ze zasy, na których wierzchu leżał worek ze złotem, żywy świadek szlachetnego celu podróży. Przed saniami leżały dwa konie jeden na drugim, a w ich ruchach zakrzepłych widać było to ostateczne wyczerpanie sił osłabionych, którym się opierali wściekłości rozszalonego żywiołu i pod którym ostatnie powyziewali oddechy. Na dole więc leżał rysak wyciągnięty jak struna, z łbem zanurzonym w śnieg jeszcze natenczas miękki, z uszama opuszczonemi na dół z rozpaczy, i widać było po nim wyraźnie, że mu krew musiała uderzyć na płuca, że piekielny ogień zapalił się w jego piersi, któren chciał śniegiem zagasić, lecz już na to nie starczyło mu siły, — padł i w otwartą szczękę pochwycił garść śniegu, ale śnieg ten ochłodził już tylko jego język zeschnięty i drewniejący na mrozie. Na nim leżał piersiami i szyją oparty koń siwy, a tego śmierć była więcej bohaterską i więcej piękną; widać bowiem było wyraźnie, iż kiedy mu śmierć zagładnęła w oczy, nie przeląkł jej się jak tamten i nie szukał ratunku około siebie, tylko szukając go w sobie, z całą ognistą fantazją krwi czystej arabskiej rzucił się przeciwko tej więdźmie i chciał ją własną siłą zwyciężyć i roztratować nogami. Lecz śmierć ta, jak wilk drapieżny albo tygrys rozżarty pochwyliła go lodowatemi kłami za gardło, on się jeszcze raz rzucił naprzód i parsknął z całej siły nozdrzami, ale tym parsknięciem już duszę wyzionął ze siebie, w tym skoku śmiertelnym upadł na swego towarzysza i pod falą sybirską zamarł tak na nim, — lecz z nim razem zamarło jego energiczne zagięcie karku, jego grzywa na wiatr rozpuszczona, jego nozdrza rozdarte i jego oczy pełne jeszcze południowego ognia, chociaż lodem już obciążone i martwe. Nad temi żywemi posągami zwierzęcej energii i rozpaczy, stał z boku jeszcze po kolana w śniegu Ostafi, w swojej delii baranięj, w swojej czapce olbrzymiej na tył przewieszonęj i z ręką wyciągniętą nad grzbiet rysaka, trzymającą jeszcze nahajkę i tak zamarzniętą. Jego twarz była tak jakby żywa i widać było w niej jeszcze zastygniętą ową rozpacz głęboką, która go objęła po śmierci konia; w jego oczach, obciążonych szybami przezroczystego lodu, przebijał się słaby blask gasnącej nadziei, a na jego ustach otwartych zdawały się jeszcze do tej chwili siedzieć owe straszne słowa: To śmierć, panie. — Przed końmi stał również jeszcze po wyżęj kolan w śniegu zanurzony Racibor; jego

futro było otwarte a raczej odrzucone przed sobą, oczy podniesione do góry i usta otwarte, dla wypowiedzenia téj modlitwy, która już na nich zamarzła. Strach spojrzeć! Był-tę posąg lodowaty, postawiony najwznioślejszemu poświęceniu się, szlachetnej trwodze o los bliźniego i ostatniej modlitwie!

Widokiem téj grupy śmiertelnej przerażeni do głębi stali jeszcze opodal od niéj ci ludzie, którzy ją odgrzebali i w milczeniu podziwiali wszechmocność nieubłaganéj śmierci, kiedy po wiérzchu zamarznietéj skorupy śniegu przybiegły tam panie z pałacu, wlokąc za sobą zaledwie jeszcze wpół ubranego Drabika i resztę służących z pałacu.

Uderzeni tak okropnym obrazem osłupieli wszyscy; lecz pani Kamilla, poznawszy Racibora, rzuciła się z resztą dogorywających sił swoich ku niemu i chciała zapewne gorącym oddechem swoim wlać życie w niego, albo duszę mu oddać swoją, albo zginąć na jego piersi.

Ale na to wszystko już jéj sił nie starczyło.

Nim bowiem dobiegła jeszcze do Racibora, zachwiała się w biegu, kolana się pod nią ugięły i padła, lecz padła tak, że wyciągniętymi rękami dosięgła nóg jego posągu, objęła je konwulsyjnie i głową uderzyła o poię jego zamarznietéj niedźwiedni. Zdawało się, jak gdyby wiedziała lub przeczowała jego poświęcenie się i jego śmierci przyczynę, i porwana dwoistém, głębokiego żalu i jeszcze głębszej boleści uczuciem, jego lodowatym zwłokom chciała złożyć hold swojej wdzięczności.

Za matką, puszczającą się pędem ku trupom i upadającą z jękiem na błyszczącą skorupę śniegu, rzuciła się Munia, — lecz ludzie przytomni, uderzeni okropnością téj sceny, pochwycili ją w biegu, a drudzy poszli podnosić jéj matkę.

Podniesiona pani Kamilla, pomimo wołania i zakłéc trzeźwiających ją sług, nie dawała żadnego znaku życia, — tak téż omdlałą i nieprzytomną zaniesiono do pałacu, a za nią wlokła się cała gromada różnych ludzi, którzy tam byli przytomni, a nad których płacz głośny podnosiły się łkające jęki rozpaczającéj Muni. Widok tego pochodu był rzeczywiście okropny. Niesiono kobietę żywą, lecz nad jéj życiem płakano daleko gorętszemi łzami, niżeli nad każdą śmiercią, bo jéj życie było okropniejsze niż śmierć. To téż najtwardsze serca, które łez nie znały na życiu, darły się tutaj w boleści jak chmury pod uderzeniem pioruna, wszystkich oczu zaléwały się wrzącemi łzami, wszystkich rozумы zakapiały i zakłębity się pod czaszkami, — tylko jeden Racibor stał i nieruszył się, i oczów swoich nie odwrócił od tego nieba, które wczoraj nie miało nad nim litości, a po którym dzisiaj już błąkała się czysta dusza jego.

W pół godziny potem odrzézwiono panią Kamillę, ale widok jéj nie dawał już żadnej nadziei na przyszłość. Leżała ona na łóżku prawie całkiem bezwładna, oczy jéj błąkały się po ścianach, jak

gdyby chciały kogoś obaczyć, a nic nie widziały, ręka jój nie umiała się podnieść, a usta jój nie były w stanie ani jednego słowa przemówić. Na twarzy jój tylko wypiekły się dwa ogniste rumieńce, które zdawały się być słabemi płomykami gasnącej lampy.

Koło jój łóżka siedziała Munia i poglądała co chwila na matkę, lecz w jój oczach palił się ogień jakiś bardzo niepewny, czasem dziko się rzucający, czasem martwo do jednego przedmiotu przybity. Lecz w jój piersi także nie było już głosu, i w żadnej tam piersi nie było głosu, — wszystko co żyło, chodziło jak gdyby cienie, jak umarli, jak duchy po pustych komnatach i nikt nie umiał ani słowa przemówić.

A tymczasem pani Kamilla opadała coraz bardziej na siłach, jój piersi oddychały coraz powolniej, jój oczy mrużyły się coraz częściej, — aż koło południa zamrużyły się całkiem — i na wieki. Nieszczęśliwa kobieta ta, ofiara despotyzmu swój matki, ofiara słabości i próżności swojego męża, już nie żyła. Umarła ona bez jęku, bez żalu za tym światem, bez łez nawet i tak cicho, jak kwiatek który zwiędnieje i upadnie, jak gwiazdka, która bez szelestu zagaśnie.

To téż chwili jój śmierci nikt nie dostrzegł z przytomnych. Myślano jeszcze że śpi i że wzmocniona niebawem się zbudzi, kiedy jój dusza, wyswobodzona z więzów cielesnych, połączona z tym, z którym napróżno chciała się złączyć na ziemi, odbierała już z rąk aniołów wieniec nagrody za swoje męki i katusze. Wieczorem dopiero przekonano się o jój śmierci. I jeszcze raz napelnił się pałac jękiem żalu i rozpaczy, — ale były to już jęki ostatnie.

W parę godzin potem w owym wielkim salonie, — w którym niegdyś tak świetne się odbywały recepcye, w którym wystrojone laleczki się wyprzedzały w wdzięcznych uśmiechach, w którym szalała wesołość życia bez chmurki na czole i bez troski o jutro, w którym grzechem śmiertelnym było mieć twarz smutną i usta zamknięte, — stały dwa katafalki, a na nich dwa ciała ludzkie w objęciach śmierci, dwa trupy — Kamilli i Racibora.

Zubożenie i nędza, które się stały przyczyną śmierci téj męczennicy, nie opuściły jój jeszcze i tutaj. Katafalki bowiem były złożone tylko z prostych drewnianych stołów, nie przykryte niczem, nie obstawione nawet kwiatami, a przy każdym z nich paliły się tylko po dwie łojowe świece.

Cisza téż była w całym pałacu, nie zjeżdżali się na pogrzeb sąsiedzi, nie schodzili się ze wsi poddani, i tylko sługi domowe i kilka babek kościelnych kręciło się w milczeniu po pustych i na wciąż otwartych komnatach pałacu.

Munia, przekonawszy się o śmierci matki, zrazu w płacz głośny i rozpaczliwe jęki wybuchnęła, lecz wkrótce i ona ucichła. Bo i jój już nakoniec i łez w oczach i głosu w piersiach zabrakło.

Z łatwością tedy zdołała ją panna Flora od katafalku matki

oderwać i zaprowadzić do jęj sypialni. Munia nie opierała się już niczemu; wiedziona za rękę, szła bez oporu, nie pytała się o nic, a na pytania innych, jakiegokolwiek były, odpocwiała skinieniem główki swojój, która jakby na przekor jęj wewnętrznym uczuciom, zdawała się być pełną życia i błyszcząca twarzą zarumienioną, piękniejszą jeszcze dzisiaj, niż kiedykolwiek w dniach swobody i szczęścia. Oczy jęj tylko błyszcząły jakimś ogniem dzikim i jakby kwiaty podcięte upadały ku ziemi.

Wszakże panna Flora, sama prawie wciąż bezprzytomna, nie uważała na to i ułożyła Munię w łódeczko, mówiąc ażeby spała, a sen ją pokrzepi i wzmocni.

I Munia ułożyła się do snu i wkrótce zasnęła, bo tak jęj kazano.

Wszakże sen taki nie trwał długo. Zaraz bowiem z północy zerwała ona się z łóżka i z rozpuszczonemi włosami, w bieliznie tylko, pobiegła prosto do katafalku matki. Tam stanąwszy, nie rzucała się w rozpacz na ciało, nie obejmowała drżącemi rękami zwłok drogich dla siebie, nie jęczała w boleści, tylko wpatrzywszy się obląkanemi oczyma w zapadniętą twarz matki, poczęła ją budzić lekko, mówiąc dziwnie żalonym głosem:

— Mamo! mamó! tyś umarła i mnie zost wiła sierotą. Wstań, zbudź się na chwilę i weź mnie do siebie. Nie mam ja tu już co robić na świecie, wstań, weź mnie do siebie!

I tak oparłszy się na łokciu i zwiesiwszy twarz swoję nad martwém ciałem Kamilli, mówiła dalej:

— Wszyscy poumięrali! wszyscy mnie opuścili! dziadka zabił niegodziwy pan Edward, ojciec musiał wyjechać do Włoch, Lolo zmarł pod śniegami śpiesząc się do mnie, nikt, nikt już tu nie przyjedzie, nikt się nie ulituje nademną! Matko! zlituj ty się przynajmniej! tyś taka dobra była dla mnie, takeś kochała mojego Lola! on zmarł pod śniegami!

Potém stała chwilę w milczeniu i jeszcze żałośniejszym głosem dodała:

— Nikt już mego głosu nie słyszy, nikt mi się nie odzywa, wszyscy, wszyscy pomarli!

A po chwili przeszła ta nieszczęśliwa istota do katafalku Racibora i znów mówiła do niego:

— Lolu! biedny, nieszczęśliwy mój Lolu! jak tobie zimno być musi! tyś zmarł przed samemi oknami! Lolu! jaki ty dobry był dla mnie! tyś pędził do nas z workiem złota, przeznaczonym dla naszego ratunku! tyś nam chciał pomódz, chciaeś nas wyratować, i pan Bóg ci tego nie pozwolił! Ale nie martw się tém, nie płacz, nie rozpaczaj, ja już za chwilę tam będę przy tobie. Mama zaraz wstanie i weźmie mnie z sobą i zanie sie mnie tam do ciebie! Zaczekaj tam na mnie koło bramy, ażebyśmy razem weszli do nieba, ty, ja i mama! I tam nam będzie już dobrze, o! lepiej, daleko lepiej niż tutaj! o! tutaj, jakże źli są ci ludzie! jak nam zawi-

dzili naszój miłości! jak nam przeszkadzali nawet mówić do siebie! A tam już niema złych ludzi, i tam czeka na nas dobry kochany nasz dziadek. Pojechał tam na kasztanowatym koniku z kozakiem i przez bramę przeskoczył, sama widziałam. Ja tobie Lolu uplotę wieniec z białych lilij i włożę ci go na głowę, i drugi taki uplotę dla siebie, i aniołowie nam poprzypinają białe skrzydła do ramię i dadzą nam piękne białe sukienki, i polecimy tak precz przez powietrze, pomiędzy te śliczne szafirowe obłoki i pomiędzy gwiazdki błyszczące, aż dolecimy do drogi mlécznej, po którój już prosto pójdziem do nieba.

I tak chodząc od katafalka do katafalka, dziwne rzeczy mówiła Munia, lecz im więcej mówiła, tém jaśniej widać było, że umysł jój się całkowicie obłąkał, a usta wymawiały tylko wspomnienia równie obłąkanój pamięci.

Biédna Munia!

Wszakże osoby pozostałe w pałacu nie dostrzegły tego aż rano, kiedy obaczyły, że łózko jój prózne. Panna Flora się nadzwyczajnie przelękała, bo nie mogła się żadną miarą domyśleć, co by się stało, aż jój dali znać słudzy, że panienska jest w wielkim salonie, siedzi przy katafalku matki, ale dziwnie jakoś przytém mówi i jeszcze dziwniej spogląda. Panna Flora pobiegła tam ze sługami i znalazłszy Munię, siedzącą przy trumnie matki, jeszcze się bardziej przelękała. Widok jój bowiem teraz był straszny i dziwnie przerażający.

W dzień biały, w białiznie tylko, z rozrzuconemi włosami, cała posiniała od zimna, z ustami prawie poczerniałemi, z oczyma poglądającemi niby dziko, a jednak tak głęboko żałośnie, że kamieńby się ulitował nad niemi, zdawała się ona raczej być trupem zbudzonym ze snu, upiorem powstałym z grobu i błagającym ludzi, ażeby go nazad pomiędzy siebie przyjęli, niżeli istotą żywą, proszącą Boga, ażeby się zlitował nad nią i zabrał z tój ziemi.

Z trwogą tóż tylko przystąpiła panna Elora do niój, mówiąc:

— Muniu! chodź ze mną, tyś słaba, tutaj takie zimno, to się przeziębisz i jeszcze gorzej ci będzie.

Ale Munia nie poznała już swojój ciotki, ani nikogo ze sług, tak jój dobrze i od tak dawna znajomych, i wypatrzywszy się na nich jeszcze bardziej dziakami i przelęknionemi oczyma, rzekła:

— Ktoście wy? czego chcecie odemnie?... Idźcie, idźcie precz i nie przeszkadzajcie spać mojój mamie. Cicho! cichuteńko bądźcie wszyscy... ja nie dam budzić mamy, ona zaraz sama się zbudzi i zabierze mnie z sobą.

A potém złożyła ręce, jak gdyby do prośby, przechyliła główkę i dodała:

— Proszę was, bardzo was proszę, idźcie sobie ztąd... bo wy ludzie jesteście, to wy pewnie chcecie coś złego zrobić albo mnie, albo mamie.

Zdziwiona tym widokiem i taką chwytającą za serce przemo-

wą panna Flora bezwiednie prawie usłuchała prośb Muni i cofnęła się w kąt ze sługami, patrząc z przerażeniem, co się dalej dzieć będzie.

Lecz Munia zadowolona tём, że odstąpili od nięj ludzie, od których ona w swém obłąkaniu nieszczęsném nowego ciosu jakiegoś się spodziewała, usiadła w milczeniu przy katafalku matki i takim odrętwiałym wzrokiem wpatrzyła się w posadzkę, jaki zwykle daje się widziéć u obłąkanych po paroksyzmie.

A kiedy takie milczenie osiadło w salonie, nagle przed ganikiem pałacu dał się słyszeć ruch jakiś i odezwały się głosy dzwonek, jakich zwykle używają przy sannaј jeździe. W sameј rzeczy téż tam zajechała karéta położona na sanie, czterema końmi uprzężona i otoczona liczną służą zgrają, a z téj karéty wygramolił się pomału poobwijany w futra i opakowany szalami Lolo.

Dlaczego Lolo po sześciu dniach niebytności dopiero dzisiaj przyjechał, rzecz bardzo prosta. Przez piérwszych dwa dni nie przyjeżdżał on ze zwyczaju, bo nigdy nie przyjeżdżał do Demborogów codziennie. Trzeciego dnia zerwała się burza i Lolo sam nie widząc nic tak bardzo pilnego, postanowił przeczekać, atoli czwartego dnia jeszcze większa zerwała się burza. Był to właśnie ten sam dzień, w którym Racibor odwagę swoją tak okropną przypłacił śmiercią; podróż dnia tego zdawała się niepodobną, lecz pomimo to Lolo chciał jechać koniecznie i przez cały dzień konie stały gotowe, ale matka opierała się ciągle jego wyjazdowi i prosiła na wszystkie bogi, ażeby przynajmniej póty się nie wyruszał z domu, póki niepogoda choć cokolwiek się nie złagodzi. I Lolo pomimo całej swojej niecierpliwości nie mógł sprzeciwić się matce, a ponieważ im więcej się miało ku wieczorowi, tём bardziej się wściekały orkany, i ani Lolo nie miał téj energii i stanowczości jak Racibor, ani na całym dworze żadnego Ostafiego nie było, więc podróż musiała być odłożoną do jutra. Dnia wczorajszego Lolo się już puścił był z domu, lecz wybrawszy się czterma ciężkimi końmi i ciężkimi saniami, zaraz pod samym dworem tak się w zaspę zakopał, że go dopiero ludzie zwołani ze wsi z nięj wydobyli i konie prawie za uszy powyciągali. Dzisiaj tedy dopiero i to z wielkim jeszcze mozołem i dopiero po przetarciu drogi przez kilkanaście chłopskich sani, wyprawionych przed sobą do główniejszego gościńca, mógł on się przebić do Demborogów. W tym więc wypadku Lolo był tylko nieszczęśliwy, ale całkiem niewinny.

Wydobyszy się tedy ze swojej bombki, wpadł on czémprędzј do sieni i pozrzucawszy ze siebie futra i owe miękkie szale i chustki bagdadzkie, któremi pani Olimpia własnoręcznie go poobwijala na drogę, wpadł prosto do pokojów. Lecz jakież było jego zdziwienie, kiedy pokoje te zastał puste, ogołocone ze wszystkich sprzętów, a w nich ani żywј duszy! Pomieszany tym niespodziewanym widokiem, nie umiał nawet ani pomyśleć, coby to było? lecz przeczuwając jakieś wielkie nieszczęście, puścił się dalej.

I przebiegł przez wszystkie komnaty, od gabinetu pani Kamilli aż do sali jadalnej i wszędzie znalazł to samo. Z coraz tedy większą niespokojnością przebiegł prędko na drugą stronę pałacu i tam wpadł wprost do wielkiego salonu, — a obaczywszy odrazu wszystko i objąwszy okiem i sercem wszystkie szczegóły, od katafalków aż do Muni siedzącej przy trupie matki w milczeniu, stanął nagle jak wryty, wszystka krew ścięła się w jego żyłach, włosy na głowie powstały i zdawało się, że skostniał tak w miejscu.

Wszyscy też inni, uderzeni i jego niespodziewanem zjawieniem się i jego niemą lecz niemniej przeto przerażającą boleścią, milcząc patrzyli na niego; ale Munia na widok jego zerwała się nagle z miejsca, i wpatrzywszy się w niego dziwnie przenikającym wzrokiem, zawołała:

— Ktoś ty! czego ty chcesz! tyś Edward! tyś zabił mojego dziadka! precz! precz! zmiłujcie się! brońcie mnie! schowajcie mnie! on mnie chce wziąć do siebie, chce mnie tam zabić, zamęczyć! zmiłujcie się nademną! — i z temi słowy uciekła w kąt salonu i schowała się za katafalk swój matki.

Wszakże nim jeszcze Munia tych słów domówiła, Lolo się zachwiał na nogach i z jękiem runął na ziemię. Zaraz też wpadli służcy jego, otrzeźwili go, ogrzali i owinąwszy napowrót w futra i szale, pędem powieźli do domu.

W parę dni potem odbył się cichy pogrzeb Kamilli i Racibora. Pochowano ich na owym małym cmentarzyku przy parafialnym kościołku, tuż przy grobie nieboszczyka starego hrabi; — po jednej stronie jego grobu wykopano grób dla Kamilli, a po drugiej dla Racibora i prawie stało się tak, że jak ich ten staruszek rozdzielił od siebie za życia, tak jego grób przedzielał ich i po śmierci.

Po pogrzebie zaś zaraz panna Flora zabrała w coraz silniejsze obłąkanie zapadającą Munię ze sobą i wyjechała na mieszkanie do Lwowa.

ZAKOŃCZENIE.

Owóż w ten sposób, wypadkami, tak strasznemi i wzruszającymi serce ludzkie głębi, rozwiązała się przedemną owa zagadka, której drobnych na pozór zawiązków zdarzyło mi się być świadkiem na jednej ze świetnych swojego czasu recepcyj u Amilkara. To, co się dalej stało, z osobami pozostałymi po owęj wielkiej bitwie, na różnych miejscach z przeciwnościami losu toczonęj, długo jeszcze potem zostawało przedemną w ukryciu; albowiem wkrótce po pogrzebie pani Amilkarowęj i hrabi Racibora, zawyły straszne burze w Europie, na miejscu ludzi wstąpiły całe kraje i narody na scenę świata, a przy zajęciu się, jakie wzbudzały wszędzie te olbrzymie postacie, zajmowanie się losami pojedynczych i niewiele albo nie zgoła znaczących ludzi, stało się niepodobnęm. Wieści tęg takie śród szczęku wojennego oręża, śród okrzyków zwycięstw albo jęków stugłośnych bolesnego upadku, głuchły przedwczęśnie i przypadały do ziemi, ażeby dopiero kiedyś, po przywróceniu ogólnego spokoju, powstać ze ziemi i dowlec się do uszu tych osób, których mogły zajmować. Jakoż tak samo stało się i z wieściami o losie osób, występująccyh w dopięro co opowiedzianej powięści.

A działo się to w miesiącu wrześniu roku 1849. Przypadek, czyli zajęcia jakieg, zaprowadziły mnie znowu w owę okolice, gdzie stare Demborogów zamczysko, zwieszające się nad eleganckim pałacykiem, stojącym w środzku starannie utrzymanego parku, tak trafnie uwidamiało różnicę pomiędzy życiem i smakiem rycerskich dziadów i rozpieszczonych wnuczatek. Wjehawszy na owę drogę środzkiem parku wiodącą, na której widzieliśmy pana Edwarda za-

czynającego i kończącego dziwną swą konkurencją, znowu wstrzymałem konie na chwilę, ażeby się bliżej przypatrzeć tym miejscom, które teraz stały się dla mnie daleko więcej zajmującymi, bo miały już niby swoją historią. I było tu wszystko teraz prawie takim samym jak dawniej, z tą tylko niewiele znaczącą różnicą, że park był cokolwiek zaniedbany; pozarastały niektóre ścieżki i drogi, porzastały się klomby, pokazywały się gdzieniegdzie połamane drzewa i powywracane z korzeniem krzewiny, i w ogóle po wszystkim widać było, że już nie czuwa nad tym pięknym kawałkiem ziemi staranna ręka Amilkara i że już nie masz pańszczyzny. Pałac zdawał się także być zaniedbanym, zanieczyszczony był jego ganek, powybijane gdzieniegdzie szyby, inne pozapruszane i nie umyte, a on sam zabrukany i głośno się dopraszający nowego pokostu. Zamek także się trochę więcej pochylił; w jednym miejscu mur pękł i rozdarł się od góry aż do pierwszego piętra, jedna baszta się rozkłuła i w połowie upadła a na całej ruinie z daleko większą mocą bujały dzikie chwasty i zielska, pozwalając tu i owdzie pomiędzy sobą zarastać małym drzewkom i innym krzewinom. Wszakże to wszystko razem dawało jeszcze prawie ten sam widok co pierwój, — ale jakże już inne dzisiaj nasuwał on myśli i wspomnienia! — Jakoż zaraz powstały przedemną te wszystkie osoby, które tu niedawno jeszcze mieszkały, a z których dzisiaj już ani śladu nie było na świecie, ani może nawet nie było pamięci. Stał tedy ów dumny starzec, pełen najniesforniejszych przesądów lecz zarazem tak pełen szlachetności, pełen miłości i poświęcenia starzec, który widząc że coraz więcej mnoży się na ziemi nowych ludzi i nowych rozumów, którzy z nim razem stać nie chcą, a z którymi on iść dalej nie może, schował się przed nimi i zakopał się w swoim zamku; i w tej trumnie wspaniałej przeżył lat czterdzieści i myślał już tam się zagrzebać na wieki, owinięty w swoją dumę wyniosłą i swoje wspomnienia a niedotknięty szumiąciami skrzydłami pędzącego naprzód czasu i niszczącego wszystkie na drodze mu stawające zapory. Lecz nie tak się stało, bo nie tak było zapisano w księdze przeznaczeń.... Stała potem nieszczęśliwa Kamilla, przed którą nakoniec otworzyły się bramy owych światów, w których wieczna panuje pogoda, lecz przez jakież cierpienia i męki wyznaczona była jój droga! — Stała Munia, ów kwiateczek wiosenny, słabiutki jeszcze i nie rozwinięty zupełnie, a już zdeptyany i rozgnieciony na wieki. Przypomniał mi się Amilkar, ów zepsuty wychowaniec cywilizacji zachodniej, który przyswoiwszy sobie tylko jój wady i słabości, stał się plugawym gadem zatruwającym kwiaty własnego ogrodu, — a nad nim powstała wzniosła i wspaniała postać Racibora, w którego duszy i sercu były zarody do wielkich czynów i wielkiej kolei życia, a któren, porwany wirem codziennego wypadku, w nim się zabląkał, zmarnował i zginął, nie zapisawszy nawet imienia swego w księdze wiekuistych pamiątek. — Ztąd różne uczucia za-

częły mi się odzywać w sercu, różne myśli obudzać w głowie i myślałem: Tyle mąk, tyle cierpień, tyle nieszczęścia przysposobili sobie ci ludzie swą własną ręką? pozabijali się na ciele i pozabijali na duszy; zamknęli przed sobą sami owę kolój wielką, po której z uczuciem szczęścia i ze sławą przejść mogli cały bieg swego życia, i zamknęli przed sobą może i owę kolój także, którą jedynie dochodzi się do nieśmiertelności. Wybięrali błędne ścieżki i szli manowcami, a mieli bity i otwarty gościniec przed sobą. Zastępywali sobie drogę wzajemnie i spychali się z niej to podstępem, to siłą, a tyle próżnego miejsca jest na téj ziemi?... I tyleż innych jeszcze myśli odzywało się we mnie, kiedy nagle jakiś tentent gwałtowny usłyszałem za sobą. Atoli nim się zdołałem zbudzić i oglądnąć, dwóch jeźdźców na dzielnych koniach stało już tuż przedemną przy koźle. Spojrzałem bliżej, był to pan Tadeusz i pan Adam Niemira.

— A! — rzekł do mnie Tadeusz, wpatrując się we mnie swojemi świecącemi oczyma, — żeby mi kto był powiedział, że zdybię tu Abdel-Kadera albo szacha perskiego, tobym był prędzej uwierzył, niżeli że zdybię ciebie.

— A toż dlaczego?

— Bo co tu ma robić teraz szlachcic? wołów nie kupujecie, kukurudzy nie potrzebujecie. Ale, krótko mówiąc, zkąd jedziesz i dokąd?

— Ja jadę od siebie, — odpowiedziałem, — i dla odmiany wbrałem tę drogę, ale zkądże wy tak sadzicie po staremu?

— My, — odpowiedział Tadeusz, — jeździliśmy oglądać szlachcica a oglądaliśmy konia, którego jest Adasiowi potrzebny do furmanki.

— A na cóż Adasiowi furmanki na te ciężkie czasy?

— A cóż to? nie wiesz? przecież Adaś się żeni. Był tego roku z ojcem w Ostendzie, poznali tam jakąś pannę z Lubelskiego, oglądali ją bacznie, wyrozumieli statecznie, a uznawszy, że jest dobrego rodu, dobrze wychowana i ma trzy wsie w posagu, postanowili się z nią ożenić.

— A cóż się dzieje z baronówną?

— Ale dajcież mi pokój! — zawołał z uśmiechem Adaś, — jeden mnie prześladowuje zanadto lekkomyślną, drugi zanadto rozważną konkurencyją, cóż ma być dobrém pomiędzy wami?

— A więc ty nic nie wiesz o tém? — spytał Tadeusz.

— Ale ja zgoła nic nie wiem, co się tu stało pomiędzy wami.

— Więc jedź z nami, — zawołał Tadeusz, — pojedziemy do mego stryja, tam opowiemy ci wszystko a nadto jeszcze będziemy mieli dobrą na dzisiaj gawędkę.

— Ha! to niech i tak będzie, — odpowiedziałem; jakoż w momencie podał mi Adaś swojego konia, sam wsiadł na podjezdka,

na którym jechał pacholek, i popędziliśmy przez rowki, przez przykopki i krzaczkę prosto do domu pana szefa.

W pół godziny niespełna stanęliśmy już przed gankiem.

Dwór pana szefa, ten sam modrzewiowy staruszek, *aedificatus anno 1746*, stał na tém samym miejscu i taki sam był prawie jak przedtém. Zgarbił się tylko troszeczkę więcej i więcej mchu widać było na jego dachu. Ale zato taka sama cisza była teraz jak dawniej, wszystkie burze przesunęły się bezsilnie po nad tą pocziwości poświęconą zagrodą, wszystkie wichry obity się o jęj ściany, i ani jednej nie zwały topoli, ani jednego głogu nie złały w żywym płocie, otaczającym dziedziniec, a co większa, ani jednego serca nie zachwiały w starodawnéj bogobojności i cnocie. Rozum tych ludzi, prosty ale głęboki, w wiecznej zgodzie ze zdrowém i niezepsutém sercem się trzymający, idący bez wahania się drogą obowiązku i cnoty, nieznający zachceń wybrednych, nie rozmarzony chorobliwemi fantazyjami przywożonemi z zachodu,— taki rozum ochronił pan szefa i jego całą czeladkę od wszystkich tych burz i orkanów, które różne przybierając postacie, nie w ten, to w ów sposób niszczą ostatnie szczątki narodu, a jeżeli ich nie niszczą fizycznie, to przerabiają je w karłów i nietoperzów i niczém już zgoła do swoich pradziadów niepodobne wnuczęta.

Pan szef siedział w téj chwili w ganku i po staremu z kochającym i kochanym przez siebie o. Bonawenturą rozmawiał stacecznie o rzeczach świętych, albo może i świeckich, lecz poważnych i godnych rozmowy. Obaczywszy nas, ucieszył się bardzo i witał ze zwyczajną sobie powagą, lecz i nie mniejszą przyjaźnią i serdecznością. Gwardyan musiał zapewne znowu nie skończyć jakiejś żarliwej dysputy z gospodarzem, bo ledwie co się z nami przywitał, zaraz zaczął coś mówić takiego, co wyglądało na drugą część przedtém zaczętego peryodu, a co dla nas było całkiem niezrozumiałém. Ale tymczasem pan Tadeusz, usiadłszy na ławie w ganku, przerwał bez ceremonii księdzu i rzekł do mnie:

— Otóż teraz opowiem ci wszystko, o co tylko zapytasz.

Dawałem tedy pytania grzecznemu Tadeuszowi a z jego odpowiedzi oświeciłem się w sposób następujący:

Baronostwo, doświadczywszy tak niespodziewanego skandalu w kościele, pozostali jeszcze przez czas jakiś we Lwowie. Usiłowali oni przez ten czas rozsiać pogłoskę, iż zamęcie swojej córki z Edwardem sami umyślnie zerwali, przyczém baron, kręcąc swoją chorągiewkę za wiatrem naówczas wiejącym, zapewniał wszystkich najuroczyściej, iż on, dowiedziawszy się dopiero w téj chwili, kiedy wszyscy już byli w kościele a on jeszcze się w domu zatrzymał, o istotnej reputacyi Edwarda, poleciał w skok do kościoła i wolał córkę od ołtarza odprowadzić, niżeliby miał takiego człowieka przybierać sobie za zięcia. A ponieważ publiczność zebrana w ciemnym kościele nie mogła widzieć z pewnością, co właściwie stało się u ołtarza, a u księdza i innych kilku osób w bliskości

przytomnych baron potrafił sobie to uprosić, to okupić milczenie, więc skandal ten przysechł tak dobrze, że ani żywy duch o nim się nie dowiedział. Wszakże nie na tém jeszcze skończyło się ślepe szczęście Maryni. Zaraz w kilka miesięcy bowiem ułowiła ona sobie wprawdzie już niebardzo młodego ale bogatego kawalera, za którego bez wszelkich przeszkód wyszła następnych zapust. I jest już dziś jego żoną, ale chociaż od ślubu jeszcze ani rok jeden nie minął, wykroiła ona niekochanemu przez siebie mężowi jakąś tak drażliwą historią, że jako powszechna wieść niesie, bardzo już blizką jest separacyi.

Pan Edward, powróciwszy od owego fatalnego ślubu do domu, myślał z początku pluć poprostu na wszystko i oddać się z całą energią i pilnością gospodarstwu i swoim wielkim fabrykom. Atoli rychło potem nastąpione zniesienie powinności poddańczych, jak wszystkim innym podobnego rodzaju, tak i jego fabrykom położyło tamę stanowczą i nieprzebytą. Nie dosyć wszakże na tém, zaraz bowiem potem opinia publiczna, tworzona przez tłumy niekarne i swawolą pijane a wyrokująca porywczy i w szczególniejsze sposoby wyroki swoje egzekwująca, potępiła go jako wyrodka i ropiący wrzód społeczeństwa. Zrazu Edward niewiele sobie robił z takich dorywczych wyroków, wszakże kiedy go obdarzono kocią serenadą we Lwowie i obrzucono paszkwilami publicznie, a obrona od tego wszystkiego była natenczas niepodobną, rozgniewany Edward wstąpił do wojska. W tamtoczesnych okolicznościach z łatwością został on przyjęty do któregoś pułku dragonów, a ponieważ wstąpił do pułku z pieniędzmi i wykształceniem swoim umiał odrazu zaskarbić sobie łaskę przełożonych i przyjaźń kolegów, więc w bardzo krótkim czasie na podporucznika postąpił. Z tym pułkiem poszedł on niebawem do Węgier, gdzie natenczas właśnie zaczynała się wojna. Próbę pierwszą ogniową wytrzymał on nietylko odważnie, ale nawet walecznie, z taką bowiem energią i zaciekłością rzucał się na buntownicze szeregi, że zaraz po pierwszej większej bitwie postąpił na porucznika i zwrócił na siebie uwagę całego pułku. Powodzenie to odbudowało go całkowicie na duchu, ale obudziło w nim zarazem żądzę jeszcze większego odznaczenia się i owę sławę stanowczej a głośniejszej, która, podług jego zdania, powinna była się stać srogą karą dla jego ziomków, którzy go tak bezwzględnie sponiewierali. Wszakże ta niepomiarowana żądza stała się jego zgubą. W następnej bowiem bitwie zaraz z tak wściekłą zażartością rzucił się na nieprzyjacielskie szeregi, iż zawarłszy się w nie, rozsiekany został w puch w oka mgnieniu.

O pani Ernestynie powiadano, że jako markietanka służyła w tym samym pułku, w którym był jój niewierny kochanek. Lecz co się później z nią stało, niepodobna się było dowiedzieć.

Majątek Edwarda administrował z początku pan Kopytkiewicz, a po jego śmierci zabrał go *jure caduco* i zasiadł w nim na

wieczne czasy. Ażeby się zapewnić, że mu go nikt już nie wydrze, wynalazł on jakichś krewnych nieboszczyka swojego pana a wynalazłszy do tego i testament, ze swoim i pana Drabika, jako świadków, podpisem, opiewający na rzecz tychże krewnych, już naprzód od nich całą pozostałość zakupił a tymczasem stara się o sądowe uznanie ważności dokumentu. I tak owoce kasztelańskich zabiegów z Kuchcikiewiczów przechodzą na Kopytkiewiczów a znaczną część z nich zabierają Drabiki.

Amilkara mało co lepszy los spotkał od losu Edwarda. Przyjechawszy on bowiem do Włoch, trafił prawie na sam ogień rewolucyjny. Przed tym ogniem uciekł on z Wenecyi do Genui, z Genui uciekł do Rzymu, z Rzymu do Neapolu, lecz tam opuściły go już tak dalece siły i duszy i ciała, że mu ich nie stało nawet do nowój ucieczki. Upadając tedy coraz bardziej, zapadł niebawem w suchoty i na tę chorobę zakończył smutne dnie swoje w jakiejś małej wioseczce pod Neapolem. Naoczny świadek wszakże, który go tam widział, a z którym pan Tadeusz zjechał się był téj zimy w Wiedniu, opowiadał z pewnością, iż na kilka miesięcy już przed śmiercią nie miał on ani grosza pieniędzy, i umarł w największym niedostatku i nędzy, trzymany z litości przez dawnego gospodarza swego wieśniaka i z litości pogrzebany pod płotem wiejskiego cmentarza.

Panna Flora, wyjechawszy z obłąkaną Munią do Lwowa, zamieszkała tam stale, w pałacyku po ś. p. starym hrabi pozostałym, którego cudem tylko uchował się przed wierzycielami. Z początku trzymała ona Munię przy sobie i starała się wszelkimi środkami o to, ażeby ją albo całkowicie wyleczyć, albo przynajmniej o tyle, ażeby jęj nie potrzebowała oddawać do publicznego zakładu. Jakoż trzeba to przyznać panie Florze, iż nie szczędząc żadnych kosztów z swęj kieszeni dla téj nieszczęśliwój ofiary, czyniła ona ze swojój strony tyle, że więcéj nie potrafiłaby była sama matka uczynić. Wszakże pomimo to, stan Muni, z rozwijającemi się coraz więcéj siłami fizycznemi, tylko się coraz więcéj pogorszał, a wkrótce zaczęły się pojawiać paroksyzmy bardzo niespokojne i zatrważające. Panna Flora jeszcze i natenczas nie chciała Muni puszczać od siebie, ale już lekarze nie pozwolili jęj na to, doradzając ażeby ją odesłała do zakładu dla obłąkanych do Pragi. Munia zatem odwieziona została do Pragi i tam w zupełnej nieświadomości tego, co się z nią dzieje, pędzi okropne dnie swoje.—Nieszczęśliwy Lolo, może jeszcze nieszczęśliwszy od nięj, bo swojego nieszczęścia świadomy, siedzi na swoim majątku, gospodaruje z wielką energią i pracowitością, staje się pod każdym względem coraz piękniejszą ozdobą swojój okolicy, ale przy szerokięj bliźnie na jego zmęźniałej twarzy, osiadł na nięj tak ciężki smutek i taka boleść głęboka, że swoboda i wesołość jego duszy zdaje się być utraconą na zawsze. Przyjaciele jego, których ma we wszystkich swoich znajomych, serdeczny udział biorą w jego szlachetnym smutku a roz-

pamiętywając historią jego miłości, powtarzają sobie nieraz z zdziwieniem: Na jakiej-to słabiej niteczce wisi często całe doczesne szczęście lub nieszczęście człowieka!

Śród tego czasu atoli, nim panna Flora zdecydowała się odwieść Munię do Pragi, doradzili jej adwokaci, iż ponieważ po oddzieleniu powinności poddańczych od własności ziemskich, wartość majątków o znaczną część spadła, więc mogłaby ona z łatwością nabyć cały majątek pozostały po Amilkarze, zwłaszcza że przy publicznej sprzedaży kupców teraz zapewne nie będzie tak wielu a posag pani Amilkarowej wraz z schedą Muni zawsze kiedyś na nią przypadnie. Tej mądrej rady usłuchała panna Flora natychmiast i cały majątek Amilkara zakupiwszy, jest teraz właścicielką kilku wsi bardzo intratnych, położonych nadzwyczajnie szczęśliwie i ozdobionych tak pięknie, jak mało majątków w Galicyi. Dalsze losy jej jeszcze nie są wiadome.

Drabik zakupił kilkanaście chłopskich gruntów w majątku Amilkara, a podobno je raczej pozabierał za długi i wybudowałszy sobie na nich dworek i odpowiednie gospodarskie budynki, każe się nazywać panem Drabickim, a przy podpisie swojego imienia jeszcze nie bardzo wyraźnie, jednak już coś bardzo podobnego do tych dwóch liter dodaje. Bawi on się przytém handlem, spekulacyami i lichwą, o rzeczach publicznych nic nigdy nie mówi, a jeżeli się coś zgada o ludziach, to wspomina o nich z pogardą i wcale nie lepiej jak to czyni lord Thurlow. Przy tych wszystkich zajęciach wszakże jeździ on także dosyć często do Lwowa i prezentuje się u panny Flory, ale pani ta, jak mówią, bardzo niełaskawie spogląda na niego, a od czasu jak się stała właścicielką tak ładnej fortuny, podobno go nawet zaprzestała przyjmować.

— I owóż to jest, — dodał z uśmiechem Tadeusz, kończąc swoje opowiadanie, — co mnie frasuje najbardziej, bo mnie ta historia będzie kosztować tysiąc czerwonych złotych.

— A toż jakim sposobem? — zapytał pan szef.

— Bom się założył z lordem, że panna Flora pójdzie za Drabika.

— A to już przegrałeś, — rzekł na to pan szef, — bo właśnie co ks. gwardyan przywiózł mi tę wiadomość, że panna Flora poszła za lorda.

— Kto? co? jak? — zawołał Tadeusz, — za lorda? to być nie może.

— A: tak jest, panie dobrodzieju, — potwierdził gwardyan, zązywając tabakę z ogromnej swój tabakiery z kćści słoniowej, na której była misternie wyrzezana męka Pana Jezusa, — tak jest. Ślub się odbył w sobotę w kościele oo. bernardynów we Lwowie, o godzinie szóstej rano, jak tylko dzień trochę zaczęło, a nasz braciszek był temu przytomny. I to jest pewna, boć wszakże wczoraj pojechali już państwo młodzi do domu, przejeżdżali po pod nasz klasztor i nawet przystawali na chwilę, bo pani kazała sobie przynosić wody.

— Bardzo ładna nowina! — rzekł na to Tadeusz i chciał dalej coś mówić, ale wtém pokazał się w bramie dzokój prawdziwy angielski, w sztylpach, w zielonej kurtce, z szpicrutem w ręku i na jakiejś ogromnej a dziwnie chudej wywłoce.

Wszyscyśmy spojrzeli z ciekawością na niego, on zaś tymczasem, szkapę wiodąc za sobą, przybliżył się do ganku i oddał Tadeuszowi list na gładkim angielskim papierze pisany i bardzo ładnie złożony.

Tadeusz list odczytał, zaciął zęby, lecz przybliżywszy się do nas, oddał go nam do odczytania, mówiąc do mnie:

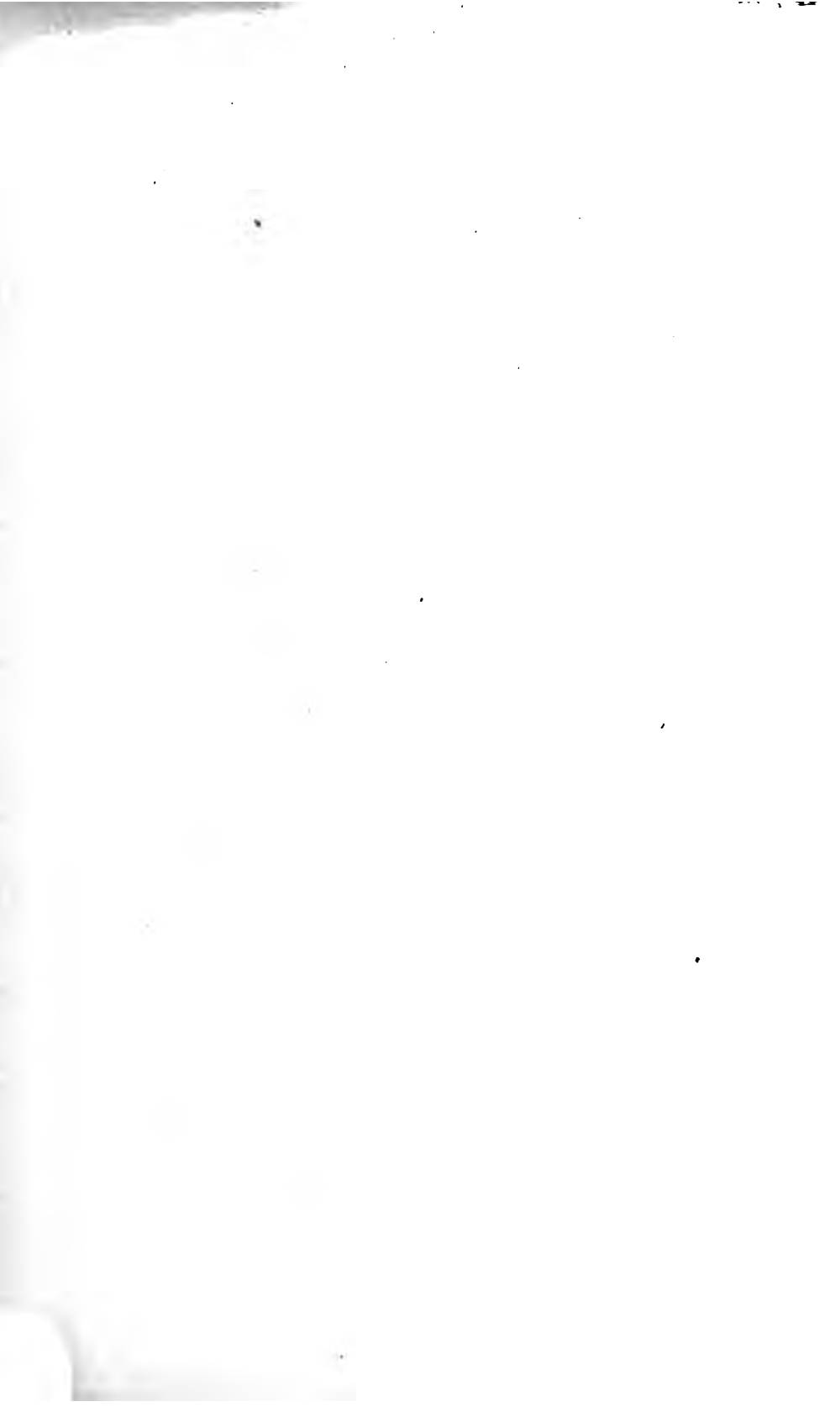
— Otóż masz zarazem i ostatnią wiadomość.

Wzięliśmy list między siebie i czytali, jak następuje:

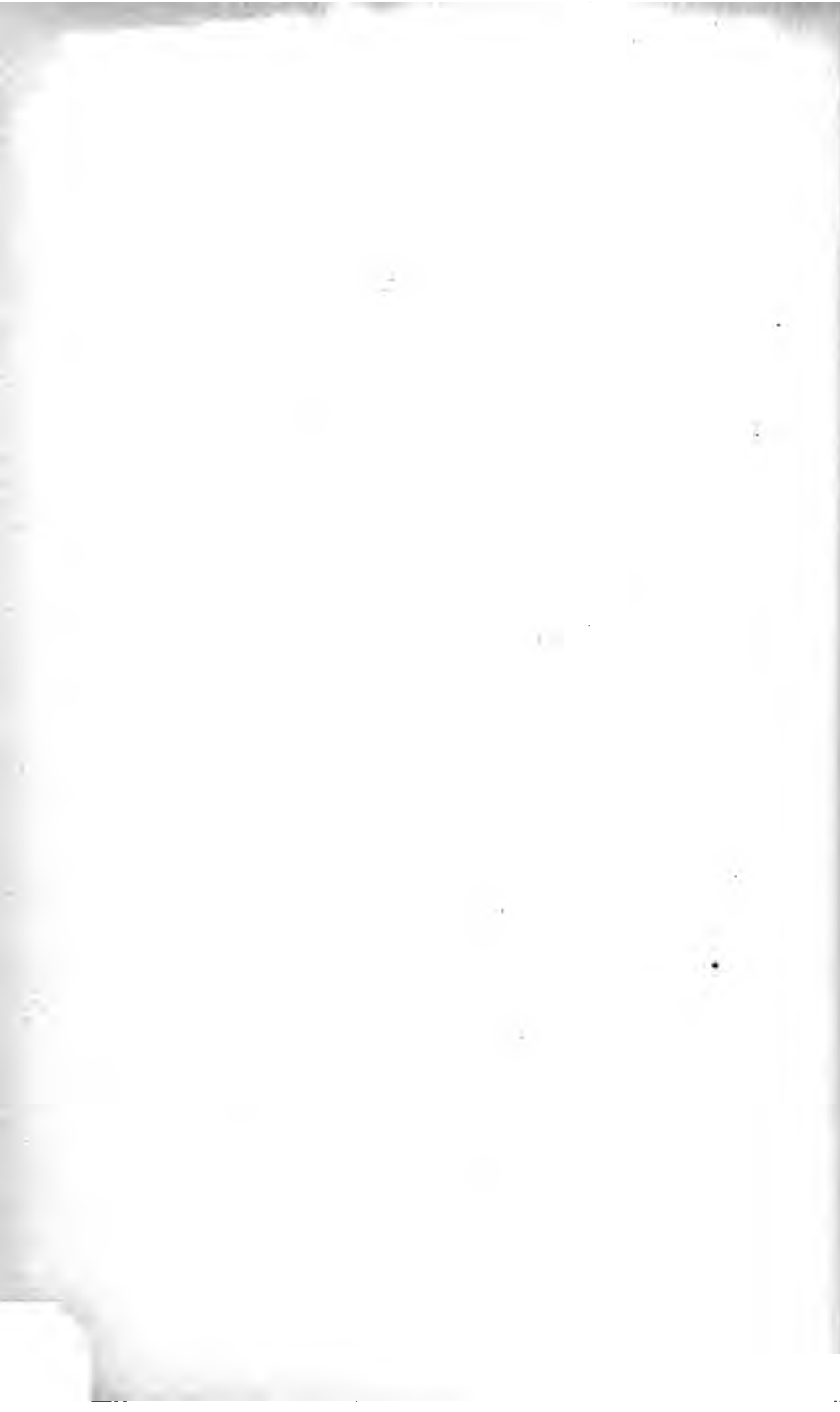
„Kochany Tadeuszu. Ponieważ panna Flora nie poszła za Drabika, więc wygrałem od ciebie tysiąc dukatów. Ale ponieważ powiedziałaś zarazem, że z panną Florą ożeni się jakiś błazen, a z nią ożeniłem się ja, więc czekam cię jutro rano o godzinie dziewiątej z moim sekundantem na dziale pomiędzy lasem dębowym a murowaną figurą, gdzie miałem honor bić się z tobą przed dwoma laty. Lord Thurlow.”

Spojrzeliśmy wszyscy ze zdziwieniem po sobie, a pan szef zamyślił się, pokiwał głową i rzekł:

— Skruszenie i nieszczęście na drogach ich a drogi pokoju nie poznali.



К А Т О.



I.

W czterdziestym szóstym roku. w zapusty, liczny zjazd był w stolicy, wszystkim przysła ochota do zabawy, więc bawiono się bez pamięci. Mieszkańcy wsi, jedni uciekając przed zimowemi zamieciami i jednostajnością kominkowych wieczorów, inni przed stugębną o blizkich rozruchach wieścią, przyjeżdżali do miasta i otwierali salony, jedni aby podać sposobność bawienia się swym córkom, drudzy aby bawić się sami.

Pomiędzy przybyłymi na zapusty był także pan Adam, człowiek czterdziestoletni, rozumny i majątny, ale szczególniejszy w swoim sposobie, od lat kilkunastu bowiem nudził się niesłychanie. Nudził się w Paryżu i w Rzymie, nudził się w Niemczech i Anglii, przed kilkoma laty powrócił na wieś i nudził się na wsi, teraz przyjechał do miasta, aby się znowu trochę ponudzić w mieście.

Są ludzie, którzy się zawsze i wszędzie nudzić muszą, — ci ludzie mają niekiedy wiele rozumu, lecz bardzo mało serca, bardzo mało uczucia; przewaga ich rozumu nad sercem czyni to, że ich już nic na świecie zająć nie zdoła, a dostateczne bezpieczeństwo od głodu nie przymusza ich do zajęcia się jakąkolwiek pracą, — i ztąd te wieczne ich nudy.

Do takiego usposobienia przyjść bardzo łatwo, potrzeba tylko zacząć, to już potem idzie jak z kłębka. Pan Adam, który usposobieniem swoim nie należał wcale do ludzi zwyczajnych, był także tego zdania, i powiadał mi sam: „mając lat dwadzieścia i kilka, gdybym się był nudzić nie zaczął, byłbym się do dziś dnia

nie nudził." I prawdę mówił pan Adam, najtrudniej bowiem serce ukolysać do snu; jak zaśnie, niełatwo się potem obudzi.

Ale pan Adam nie miał serca, — nie mam go — rzekł — bo go mieć nie chcę, mam rozum i ten mi jest dostatecznym.—I rzeczywiście miał rozum, jego rady dawane wszystkim były nieocenione, jego rozsądek nigdy nie chybił, tylko na nudy nie umiał wynaléźć lekarstwa. Zwiedziwszy świat i opatrzywszy wszystko, nic go już zająć nie mogło; nauki i sztuki, z których żadnej się nie oddawał wyłącznie, były to dla niego krainy, które jak mówił, stopa za stopą wydeptałem, alem się nic z nich nie nauczył. Na wiadomość o nowych pomysłach lub wynalazkach, mówił że są dobre lub złe i dowodził prawdy swojego mniemania, ale zająć go to niepotrafiło. Charakter jego był zimny jak gład, obojętny, niewzruszony, — jego słowo a czyn to było prawie wszystko jedno, — jak co raz powiedział, pewno dotrzywał. Nikomu nie był przyjacielem i do nikogo i niczego się nie przywiązał, mówiąc: że nierozumnie ten czyni, kto urodziwszy się wolnym, dobrowolnie gnę kark do jakiegokolwiek niewoli. Rzadko komu rękę podawał do uścisku, bo mówił: ja go nie znam i nie ciekawym go poznać z bliska, możemy się znać i zdaleka, żył téż z wszystkimi, ale zdaleka. Cnoty przestrzegał ściśle, ale nikomu nie dał wglądać w swoje uczynki, chociaż z innego względu był otwartym i tajemnic nie lubił, nikomu się z żadną przysługą nie nastarczał, ale proszony niczego nie odmówił. Był przytém niesłychanie odważnym i nieugiętym, z kąd poszło, że go nazywano Katonem, lecz od czasu jak pewnego sąsiada za przystosowanie tego przydomku do niego zastrzelił w pojedynku, nikt już tego nazwiska nie wspominał. Pełen najobszerniejszych wiadomości i krytycznego na rzeczy poglądu, w każdej materji miał swoje zdanie i od niego nigdy nie odstępował. Nie lubił być pokonanym i w dysputach częstokroć sofizmami się ratował, — przy nadzwyczajnej jednak wymowie i biegłej dyalektyce miał ten wzgląd na siebie, iżby go nigdy na fałszu nie pojmano, i ustrzegał się zawsze od tego.

Ze sługami obchodził się surowo, lecz sprawiedliwie, — żony nie miał ani jéj mieć pragnął, mówiąc: „musiałbym jéj miłość zaprzysiądz, a ja kochać nie potrafię, musiałbym się do niéj przywiązać, a tego nie chcę, miałbym dzieci, a tego nie lubię.”

Przy takim usposobieniu, przy swoich wiadomościach, przy cnotcie i odwadze, nudził się bez ratunku. Nie było jednéj rzeczy któraby go zająć, jednego przedmiotu, któryby go zainteresować, jednéj myśli, któraby nań jakiegokolwiek wrażenie uczynić mogła. Wszystkie objawy świata, wszystkie silących się rozumów ludzkich plody, wszystkie najpiękniejszego natchnienia utwory przeslizgały się po téj gładzowej duszy, jak kropla deszczu po kryształowej szybie. Stugłośnie wieści o nastąpić mających rozruchach, które każdą żyjącą istotę z jakiegobądź względu zająć musiały, które we wszystkich niecierpliwść, obawę, albo przynajmniej cie-

kawość wzniecały, dla niego były rzeczą całkiem obojętną, a na ich wspomnienie mówił: „Nie mamy tych sił, tego rozumu, tego doświadczenia, tych okoliczności, ani tych potrzeb nawet, co inne narody, a mamy te same zachcenia. Jesteśmy dziećmi, i często-kroć tam gdzie nam potrzeba rzeczy, ducha, treści, tam się uganiamy za formą, którą widzimy u innych. Nie chcemy pojąć, że tak samo jak człowiek, który mając dziś lat dwadzieścia, zapomocą gwałtownego wstrząśnienia nie może na jutro mieć lat czterdzieści, jak człowiek, który nie zna abecadła, zapomocą rewolucyi wewnętrznej na jutro czytać się nie nauczy; tak też i naród z ciemnoty, za pośrednictwem jednego wstrząśnienia, nie przejdzie do oświaty, z nędzy i niedoli do szczęśliwości, z nieładu do ładu. Duch, który ma być sokiem żywotnym narodowej doli, musi się urodzić i wzrosć z pokoleniem, musi przyjść in succum et sanguinem, a dopiero wyda owoc. Największem naszym nieszczęściem podobno jest, że siebie samych nie znamy i od abecadła począwszy, siebie poznać nie pragniemy... drugim złem jest to, że na wszystko mamy przykłady we Francyi, a nie mamy Francyi u siebie... trzeciém a a a!” i zaczął poziéwać. „Rzecz jest zła, — dodał nakoniec, — bo źle wyrachowana. Głupstwo będzie, ale to nie pierwsze... i zresztą, nic nie szkodzi; nie nauczy się pies pływać, póki mu się w uszy nie naleje... Kiedy nie chcemy z cudzych doświadczeń korzystać, czynmy je sami i płacemy za nie na wagę krwi i łez... a a a!” i dalej poziéwał.

Znając bystrość swojego pojęcia i siłę swojej dyalektyki, zapuszczał się często w dysputy, lecz tylko z ludźmi, którzy byli przeciwnego jemu zdania. Kiedy był w gorzkim humorze, a to nie rzadko się zdarzyło, przeczył najświętsze prawdy i umiał się przytém nietylko dobrze bronić, lecz argumentami swojemi jak lodem chłodząc przeciwnika, zmuszał go do milczenia. Wtedy mówił: „Ci ludzie możeby się na co światu przydali, gdyby byli pewniejszymi swojego zdania, gdyby mieli wytrwałość i odwagę.”

Rozgadawszy się o naukach, w których był na bardzo sobie właściwém polu, mówił: „Najmądrzejszą i najgłówniejszą nauką na świecie jest matematyka; ona winna być kamieniem węgielnym, jądrem wszech rzeczy na świecie. Duszą organizmu całego świata jest matematyka, i gdziekolwiek ona nie służy za podstawę, tam niemasz prawdy. Anglia się na tém dawno już poznała i dla tego wielkim jest narodem. Rozum ludzki nie jest czém inném, jeno władzą liczenia i porównywania...”

Zimny ten człowiek, którego oko nie znało łzy, którego piersi ani jednego nie wydały ze siebie westchnienia, którego serce było kawałkiem głazu, potrzebnym do obiegu krwi w jego ciele, zainteresował mnie bardzo: — nie wyobrażałem sobie nigdy, aby oparłszy się na matematyce i czystym rozumie, tak zupełnie można wytracić w sobie ślad wszelkiego uczucia; nie cierpiałem go, lecz czułem pewien pociąg do niego, który nie był czém inném, jak ma-

gnatycznym objawem z wielkiego przeciwieństwa wynikłym. Les extrêmes se touchent.

Owych tedy zapust bawiąc także czas jakiś w stolicy, bywałem często u niego nie lubiał mnie, lecz chętniej mówił zemną niż z kim innym, a z czasem stał się nawet tak otwartym przedemną, że mi wiele szczegółów ze swego życia w kraju i za granicą opowiadał. Szczegóły te były nader ciekawe, niezwyčajny charakter jego bowiem w zetknięciu się z charakterami zwyczajnymi sprowadzał zdarzenia czasem tylko śmieszne, czasem dziwne, czasem okropne...

Pewnej niedzieli wieczorem, byłem u niego na herbacie; pan Adam, owinąwszy się w szlafrok tywytkowy, wmiesiwszy czarną aksamitną czapkę na głowę, siedział w głębokim szeszlągu i milczał tego dnia jakoś nam nie szła gawędka. Kilka razy poruszony przemennie, rozpoczynał jakieś powieści, lecz je urywał i nie kończył, mówiąc: „Dokończ je sobie w twojej wyobraźni, to będą piękniejsze; rzeczywistość jest suchą i mdłą... a poezya głupią... lecz piękną...”

— To jednak dziwna, kochany Adamie,—rzekłem mu na to,—znam tak twój charakter....

— Ale nic nie znasz... — przerwał mi niecierpliwie, — nałej sobie drugą filiżankę herbaty.

— Znając tyle ustępów z twojego życia...

— A, tak... — przezwiał mi znowu.

— Zauważyłem, że trafiłeś już w twojem życiu na przedmioty, które potrafiły cię zająć, powiedz mi téż, czy nigdy kobieta... bo jednakże...

— Kobieta?... — podchwycił pan Adam,—kobiety?... i owszem, to bardzo zajmujące! Lubię kobiety, jest to dość piękne dzieło Boga, lecz póty, póki niczém więcéj nie jest, tylko kobietą... ale teraz ani u nas, ani w Europie kobiet już niéma, wszystkie mają pretensye do rozumu, a to jest nieznośnel... Gdyby która z tych pań miała tylko na chwilkę tyle rozumu, aby poznać, jaką to jest niedorzecznością z jéj strony mieć do rozumu pretensyą... gdyby raz mogła nagi rozum obaczyć... zaręczam żeby go się zlekła i nigdy nie zapragnęła! Zaręczam że ujrzawszy ten głąz lodowaty z anatomicznym nożem i ważką w ręku, ten głąz z surowém okiem, z miedzianém czołem i głową pełną liczb i porównań, ten głąz, w którego ustach tylko jedno brzmi słowo: konieczność!... padłaby i z modlitwą na ustach uciekła przed ołtarz Matki Najświętszój, aby uratować serce od szponów tego szatana!... To piękne, nie prawda? ta myśl ma coś poetycznego w sobie... a a a! — pan Adam poziéwał. — Wychowanie kobiet u nas całkiem jest skrzywione,—ciągnął dalej pan Adam, — emancypacya, o którój tyle teraz mówią, jest grubą niedorzecznością, tak jak i wiele innych idei dziełnastego wieku... Nazywam je zachceniami, które się nigdy zjścić nie mogą, bo ich treść jest przeciwną duchowi porządku

świata. Kobieta i mężczyzna, są to dwa jaknajzupełniejsze przeciwieństwa... i tak być musi, inaczej bowiem nie byłoby pomiędzy nimi żadnej atrakcyi, nie czuliby potrzeby szukania się nawzajem, potrzeby łączenia się, a rodzaj ludzki by zaginął. Ta prawda ma swoją fizyczną i moralną stronę. Wszystko to, co mężczyzna w sobie wytrawić powinien, kobieta winna podnieść i wykształcić; mężczyzna z samem li sercem, głupi jest, — kobieta bez serca jest anomalią, a czasem potworem. Mąż rozumny jest doskonałością, kobiety rozumnej niemasz i nie było jeszcze na świecie... Aaa! — i znowu poziewał.

— Ale powiedz mi też kochany Adamie, ty nie kochałeś się nigdy.

— Ja? nigdy?

— Toż przynajmniej musiałeś tę lub ową kobietę znać bliżej, rozmawiać z nią, w jej rozmowie znajdować przyjemność, odjechawszy przypominałeś ją sobie, jej słowa, jej twarz, jej oczy, tęskniłeś za nią.

Na to pan Adam:

— Odwiedzać lądy, morza, Egipt, Spartę,

A zawsze: „Ona teraz musi nucić,

Teraz na księżyc oczy ma otwarte...“

Słowacki był to człowiek wielkiego serca, znałem go osobiście i mogę powiedzieć, że to jest jedno serce męzkie, które we mnie wzbudziło szacunek dla siebie. Ten człowiek cierpiał wiele, jego całe życie było pasmem rajskich rozkoszy i mąk piekielnych. Żył w ciągłych złudzeniach, w świecie stworzonym przez siebie i napełnionym istotami, które sam z gliny ulepił i swoim duchem natchnął i ożywił; jego rozum był nieprzytomny, i gdyby tak było zawsze, byłby może jednym z najszczęśliwszych ludzi, jakiego ta ziemia nosiła, — lecz na nieszczęście swoje miał interwala, w których miał tak zimny i bystry rozum, że się widział pijanym szaleńcem wśród trzeźwego świata. Wtedy jego czarno-księżkie koło rozszerzało się w nieskończoność... zaczarowane postacie i duchy zapadały się w ziemię, a on zostawał sam, bez łez i pieśni i wracał między gady, jak-to sam mówi w swoich pismach. Widzisz, że i ja czytałem poetów i może rozumiałem, choć ich piękności nie czułem.

— A kobieta?...

— A tak... i kobietę jedną znałem w młodości, przypominam ją sobie do dziś dnia, lecz nie dla niej, boby to było głupstwem, lecz dlatego, iż w tę awanturę był wwikłany mój kuzyn, a raczej mój brat stryjeczny, który podobno z tej przyczyny tuła się do dziś dnia za granicą.... Z jej to przyczyny miałem pojedynek z człowiekiem, którego choć nie żałuję, jednak.... mogło się być obejść bez tego... ale wiesz, od owego to czasu datuje się ten Ka-

to, którego mi przyczepiono..... głupstwo zresztą, niema o czém wspominać.

— Nie opowiesz mi tego?

— Może... lecz kiedyindziej... to nudne rzeczy, tyle razy już o tém myślałem...

— Tém bardziej... to musi być interesujące...

— Dla ciebie i dla wszystkich łakomych na cudze wypadki, dla mnie nie... Przeklęcie nudne to miasto, — proszę cię, co wy też po całych dniach robicie?

— Co?... o! gdyby i dwa razy tyle dnia było, toby się go jakoś przeżyło. Jak u mnie, czytanie zabiera mi największą część dnia, zresztą obiad z przyjaciółmi i gawędka, po objedzie odwiedziny znajomych, wieczorem, jak teraz w zapusty, balik jakiś, herbatka, teatr, reduta.....

— Strasznie nudne!... obiad z przyjaciółmi, raz, drugi, to nie złe, lecz potem... wiecznie te same figury... wizyty? Aaal to okropnie nudne! Balik, herbatka?... to się także przejada, zwłaszcza tu, gdzie salony tak ciasne i puste, kobiety tak źle mówią po francuzku, młodzież tak źle ułożona, tak mało wie, tak nic nie umie.. a przytém tak bardzo niewiele ma uczucia własnej godności, a tak wiele dumy, zarzumiałości... młodzież, która starła ze siebie ślad polskości, a nie nauczyła się oglady europejskiej.... teatr? ah jakież nudny!... Fredrowskie sztuki już się wygrały, Korzeniowskiego salonowe niezłe, ależ znowu aktorowie tak nie salonowi... a nasi panowie pisarze ładnie piszą, ale nie mają inwencji, nie mają oryginalności w pomysłach... Znam kilka przedmiotów z historyi, które niemal wszyscy pisarze kolejną obrabiają..... Z tego samego przedmiotu jeden robi dramę, inny epopeję, trzeci powieść, a czwarty bajkę, jeszcze piąty pisze na ten sam przedmiot i jego wszystkie formy ogromnie długą krytykę..... Magnuszewski umarł, a z nim najpiękniejsze sceny polskiej nadzieje!..... Opery tu niemasz!... jakże to? stolica tak wielkiej prowincyi jak Galicya, słucha z cierpliwością, jak chrypliwe i niewprawne zbankrutowanych gdzieindziej śpiewaków głosy śpiewają jój parodyą „Roberta diabła“ albo „Wolnego strzelca“!... Otol... mości panie! my nie mamy prawa należeć do Europy..... cywilizacya jest najgrubszą ironią europejskiej oświaty... aaa! Reduta mówisz?..... zabawna to musi być reduta..... cóż-to za maski, jakie kostiumy!... ale pójdę kiedy z tobą na redutę.

— Chodźmy dzisiaj.

— Dobrze, — lecz któraż godzina?... siódma?... ah!... cóż tu robić do dziesiątej?

— Opowiadaj mi tę historiją, o której wspomniałeś... ja będę słuchał z zajęciem, a dla ciebie to jeszcze najlepsze zatrudnienie... bo jużciż lepiej przypomnieć sobie dobre stare, niżeli...

Pan Adam wstał i przeszedł się po pokoju. Był on wysokiego wzrostu i bardzo poważnej, lecz nie sztywnej postawy; na twarzy

jego ściągłej była rozlana bladeść lodowata, zdawało się, że jakieś wulkany, które nigdy w tej głowie gorzały, wypaliły się całkiem i rozlały się lawą po twarzy, a lawa zastygła: w oczach był jakiś ogień, który acz łagodnym błyskał promieniem, jednak zdawał się groźne za sobą ukrywać pioruny; czoło szerokie, czarnym niegęstym ocienione włosom, a na niém zmarszczki, które nie wiek zostawił, lecz umysłowe natężenie i praca; usta jego były ściśnięte, a w koło nich igrał uśmiech czasem zimny i obojętny, czasem szydery i szatański, — cały wyraz twarzy miał w sobie coś poważnie surowego, co nakazywało szacunek i oddalenie. Budowa ciała, olbrzymia i muskularna, świadczyła o niepospolitej sile fizycznej.

— Widziałeś kiedy pająka, — rzekł nareszcie pan Adam, siadając napowrót w swoje krzesło poręczowe, — widziałeś go, kiedy swoją pajęczyną muchę uwikła, z jaką on wściekłością na nią się rzuca, jak ją ssie, aż póki z niej cały żywot, całą duszę nie wyssie.

— Widziałem.

— Takim pajakiem jest każdy literat, który myśląc coś pisać o ludziach, czy dramata, czy powieści, chwytą ludzi w swoją póląpkę i ssie z nich wspomnienia życia i kradnie im ich przeszłość, aby nią pożywić głupią i łakomą publikę... to mnie nudzi, nie chcę być muchą, — dodał pan Adam.

— Ale śmieszność, kochany Adamie, — odrzekłem mu na to.

— To prawda, że śmieszność... ale... bo nie rzecz sama mnie nudzi, jużciż dobrze ten robi, kto się znajomości ludzi uczy na ludziach, a nie na martwych szpargałach... ale nudzi mnie forma tej rzeczy, jest bowiem w niej fałsz i obłuda...

— A przepraszam...

— Nie przepraszaj... wiem to z doświadczenia i rzucając kłutwę na tę formę, rzucam tém samym kamień i na siebie.... bo i u mnie jest teka rękopismów.... W moich dziennikach podróży znajdziesz cało-tomowe powieści, ja je także ssałem z muszek które ułowiłem... nim się muszkę ułowi, używa się przeróżnych sposobów i sidełek... wyssawszy zaś z niej to, co miała najdroższego w sobie, rzuca się trupa na stronę, nie prawda?... ale to mniejsza! wyssawszy z niej ten sok żywotny jej przeszłości, poniewiera się nim nieraz... i mówi się: ot! głupstwo. Raz jadąc statkiem parowym z Grecyi, miałem towarzysza Anglika, który już lat dziewięć podróżował... przed kilku laty był w Chinach, — ten kraj był dla mnie bardzo interesującym, — kraj, który jest prawie odrębnym światem wśród świata... Po długich korowodach doprowadziłem nakoniec do tego, że mi Anglik opowiadał swoją podróż i pobyt w Pekinie. Przy końcu jego opowiadania rozśmiałem się z czegoś... Anglik się zerwał i rzekł: wacpan mnie obraziłeś!... Jak się podoba, — odpowiedziałem, — lecz zawsze chcę wiedzieć czém? — Dałem się uwieść sercu i wynętrzałem się z tego, co winno było być tajemnicą. — Wacpan byłeś niedyskre-

nym i słuchałeś tego. — W Marsylii strzelaliśmy się, pierwsze nasze strzały chybiły, a za drugim moim padł Anglik ugodzony w samą głowę. W Marsylii na cmentarzu kazałem go pochować i położyłem na jego grobie głaz z napisem:

Ci-git un Anglais
Avec la moitié
De ses secrets.

Dostałem potem dziennik jego podróży i wyczytałem tę drugą połowę jego tajemnic, ale... nie było się za co dać zabijać.

Pan Adam opuścił głowę na piersi i zamyślił się; zapewne sobie w tej chwili przypomniał lata ubiegłe i szczegóły owych zdarzeń z jego młodości, o które się tak upominałem, potem wstał milcząc i zadzwonił.

— Na godzinę dziesiątą niechaj będzie mój powóz, — rzekł on do służącego, a do mnie: — Jest rzecz szczególna, której już dawno nie doświadczałem; wiesz, o czém myślę?

— Nie wiem.

— O dzisiejszój reducie, i tak się na nią cieszę, jak ów żak, którego po długich prośbach i naleganiach rodzice biorą z sobą na przechadzkę. Jakaś manifestacya nerwowa!..... rzecz czysto zwierzęca... Jeżeli mnie to nie minie, to na przekór temu zachceniowi nie pojedę.

W tej chwili zdawało mi się że pan Adam mijał się z prawdą, utrzymując że nie ma serca, zdawało mi się że pan Adam się tak z sercem urodził jak wszyscy inni, że jeszcze za młodu starał się zabić to serce w sobie, i zabijał go całe życie, ale nie mógł mu podołać; zdawało mi się że czuł, lecz tylko uczucia pokrywał, i że go to wiele kosztować musiało, i zaczęłem myśleć o tém i rozbiierać to pytanie u siebie, kiedy on usiadł i zaczął mówić to, co następuje; a w jego opowiadaniu były nieraz ustępy, które mówił z zapalem bez najmniejszój na słuchacza uwagi, wyraźnie tak, jak gdyby się dał porwać i unieść swoim wspomnieniom i tylko głośno myślał.

II.

Działo się to w roku 1829 w zimie. Mój stryj, człowiek majątny i dumny z rodu i nazwiska, człowiek wielkiego serca i poświęcenia, ale małego rozumu, niegdyś waleczny żołnierz, potem uczuciowy polityk i niepowołany poseł, nakoniec lichy i niewyrachowany gospodarz, ale natchniony i pokutujący rycerz po zawiedzionych nadziejach, mieszkał był w Szczepieszowicach, majątku położonym w Galicyi w dość urodzajnej ziemi, lecz nieprzynoszącym jak kilka tysięcy rocznego dochodu. Mój stryj miał syna, o rok młodszego odemnie, którego wychowywał w domu, a któremu także Adam było na imię. Ja byłem sierotą, matki mojej nie znałem nigdy, a ojciec mój zginął nad Berezyną, kiedy miałem lat sześć. Majątek nasz poszedł w poniewierki, — o czém dowiedziawszy się mój stryj, przyjechał na Wołyń, z majątkiem zrobił jaki taki porządek, a mnie zabrał z sobą do Szczepieszowic, gdzie mnie i Adama jedni nauczyciele jednych i tych samych uczyli przedmiotów:

My obadwa chłopcy byliśmy powierzchownie nadzwyczaj do siebie podobni, uczyliśmy się z jednakową pilnością i jednakie robiliśmy postępy, — ale usposobienia nasze już od dzieciństwa były nietylko do siebie nie podobne, ale całkiem sobie przeciwne.

Miękki i mazgajowaty Adaś lubił słońce wschodzące i kwiatki, lubił ogród i łąki, lubił piękne widoki wiośniane i bezmyślne śród bżów i akacyj marzenia. Mając już lat około dwudziestu, chodził z Maryą Malczewskiego po wzgórzach i śpiewał włoskie pieśni, wieczorami milcząco słuchał pienia słowika, grywał na gitarze

i pisał więrsze, tłumaczył Petrarke i sielanki Gesnera, ubierał się starannie, tańcował namiętnie i miał zawsze powozik miękkimi wybity poduszkami, — pamięć miał silną i dość bystre pojęcie, lecz ani kształtu krytycznego rozsądku; był pobłażającym, dobrotliwym i pełnym litości i współczucia, modlił się i dawał jałmużny, do wszystkiego zapalał się prędko, lecz jeszcze prędzej ostygł, wielbił cnotę i czystość, lecz nie zawsze tego dowodził praktycznie, był słabym i cierpiał spazmy, nie mógł znieść silnego głosu i wybuchów gniewu, podczas burzy i grzmotów drżał i był niespokojnym, na widok krwi i trupa odwracał oczy i zwykle potem na trzy dni tracił apetyt.

Ja byłem kalkiem innego usposobienia; ogród i kwiaty nieobchodziły mię wcale, słońce wschodzące widziałem raz i miałem dosyć, ale lubiłem patrzeć w niebo czarnemi obciążone gromami i poić piersi wichrem jesiennym, który się puścił bez kielzny uwiedniałą ziemią i wywracał drzewa z korzeniem. Czytałem także niegdy Malczewskiego i Petrarke, ale nie znalazłszy w sobie nic z nimi wspólnego, rzuciłem ich na stronę i przenosiłem nad nich Danta i Homera; dni całe trawiłem nad historią Grecyi i Rzymu, namiętnie czytałem Plutarcha i wszelkie książki, które pisały o rewolucyi francuzkiej; życie Napoleona i starożytnych bohaterów umiałem na pamięć, a historia Anglii była moim ulubionym przedmiotem. Lubilem konia, ale póty, pókim go dobrze nie wyjeździł; koń oswojony z siodłem i wędzidłem był mi nieznośnym, nie wsiadłem nań nigdy. Wszelkie czułości nudziły mnie niesłychanie, nie lubiłem kobiet i muzyki, łez prawie nie znałem, nie miałem żadnej odrazy do krwi, lubiłem broń wszelkiego rodzaju i polowania na dzikiego zwierza, a wszystkich umarłych chłopów odwiedzałem po chatach, aby się z śmiercią oswoić.

Takie usposobienia rozwinęły się w nas, kiedyśmy dochodzili lat dwudziestu. Adaś, pomimo takiego ze mną przeciwieństwa, lubił mnie dosyć, bał się nawet, lecz miał szacunek, przyzwyczaiłem się do niego, ale rozdział z nim, choćby nazawsze, nie byłby mi żadnej uczynił przykrości.

Stryj mój, acz człowiek więcej serca niż rozumu, znalazł wielkie we mnie i w moim charakterze upodobanie, polubił mnie i zawsze wyżej mnie stawiał nad swego syna, a kiedy odjeżdżał, to mnie i nad nim i nad całym gospodarstwem poruczał opiekę. Wtedy utrzymywałem ścisłą karność i porządek, ludzie mnie może nie tyle lubili, ile się obawiali, a kiedy stryj powrócił, zwykł był mawiać: „Zrobiłbym cię gubernatorem albo wodzem naczelnym, a rękę, żebyś umiał zadosyć uczynić twoim obowiązkom; jesteś prawdziwym Katonem.”

Raz, kiedy stryj gdzieś na kilka tygodni odjechał, a my obydwaj wieczorem siedzimy nad naszymi książkami, wpada do naszego pokoju kilku wystraszonych służących, z doniesieniem, że trupy złożone w trupiarni powstawały i chcą rozwalić trupiarnię. Ko-

ściół o kilkaset kroków tylko był odległy od dworu, a obok niego mała z drzewa wystawiona trupiarnia. Była to jesień i chłopci marli na jakąś nerwową gorączkę; ksiądz nie mógł nastarczyć z pogrzebami, więc zdarzało się, że nieraz kilku umarłych czekało przez noc w trupiarni swojego pogrzebu. Tęj nocy było dwóch chłopów tam złożonych i jedno dziecko.

Na tę wiadomość mój Adaś zbladł cały, mówiąc że musiał zjeść coś niestrawnego i ztąd go wzięły nudności. Roześmiałem się z tego i przedsięwziętem go z takich nudności wyleczyć. Tymczasem przestрах się powiększył, pomiędzy służbą we dworze, wyszedłem na dziedziniec, słucham — istotnie jakiś gwar dziwnych, charczących głosów i jakiś turkot dochodził mnie od strony trupiarni. Niewiedząc co jest i jakiś niedomyślając się coby to być mogło, lecz wiedząc, że umarli nie wstają, rozkazałem kamerdynerowi naszemu iżby tam poszedł przekonać się co jest. Kamerdyner przeżegnał się i uciekł, to samo i dwóch innych służących, którym kazałem iść do trupiarni; — odwróciłem się więc do Adasia i rzekłem:

— Chodźmy sami, — trzeba tych ludzi przekonać, że nie masz zmartwychwstania na ziemi, a choćby było, to niema się czego obawiać.

— Ja nie pójdę, — odrzekł Adaś blady jak ściana, oni umarli na nerwową gorączkę.

— Chodź! — krzyknętem mu w ucho, — przecież i mnie także życie miłe.

— Ha! Kato! — odpowiedział Adaś i dostał spazmów.

Ja tymczasem wziętem parę pistoletów i poszedłem do trupiarni. Noc była miesięczna, więc idąc widziałem jak z za płotów dworskich wyglądali służący nasi w jedną kupkę zbici i trzymający się wzajemnie za poły. Im więcej zbliżałem się do trupiarni, tém wyraźniej słyszałem zmieszany gwar prawie nieludzkich, okropnie przeraźliwych i wyraźnie zwierzęcych głosów, a stanąwszy przy samych drzwiach trupiarni, która była blisko na łokieć w ziemię wsiąkniętą, słyszałem jeszcze jakieś drapanie się po ścianach i nabijanie o ziemię. Zastanowiwszy się chwilę, oderwałem skobel od drzwi i otworzyłem je, a w tej chwili zwierz jakiś jednym gwałtownym skokiem przesunął się koło nóg moich i wyleciał na cmentarz. Wszedłem do środka i zaledwie krok jeden zrobiłem, natychmiast mnie obskoczyły dwa dworskie kundysy, które tam wewnątrz były i poczęły się łasić koło mnie, obadwa były okrwawione i pokaleczone. Na środku stały trzy trumny, w jednej leżał chłop umarły tak jak go położono, z drugiej inny trup był przez połowę zwieszony na ziemię i miał piersi rozżarte, trzecią trumnę małą zastałem prózną, trup dziecka leżał na ziemi, ale żaden z nich nie był żywym, ni ciepłym nawet. Rozpatrzywszy się bliżej, znalazłem pod ścianą lisa zażartego przez kundysów, a drugi zapewne uciekł, — otóż nie było tam nic straszego. Domyśla-

łem się, że lisy musiały się zakraść do trupiarni przez wyrżnięte w ścianie okienko, przez toż okienko i psy za niemi tam wpadły, a że trupiarnia była w ziemię zapadniętą, i tém samém wyżej było do okna z wewnątrz, więc żarło się to tam razem, a żadne z nich nie mogło napowrót wyskoczyć.

Kiedy powróciłem do dworu, Adaś i dworscy ludzie obskoczyli mnie społem i jęli się dopytywać ciekawie, coby tam było. Rozpowiedziałem im, lecz za karę wziętem tych trzech ludzi, którym rozkazałem był iść a nie poszli, ze sobą i Adasia także, i zamknęłem ich na godzinę w trupiarni, miałem nad całym dworem władzę i musiano mnie słuchać, — po godzinie poszedłem po nich; wszyscy byli cali i nienaruszeni, tylko trochę poziebli, Adaś chorował ze dwa tygodnie, stracił był całkiem apetyt i miał jakieś straszne po nocach widzenia.

W następnym roku odbyliśmy podróż przez Niemcy i Francją, a z woli stryja mego byliśmy także w Hiszpanii i zwiędzaliśmy wszystkie te miejsca, w których stryj mój, służąc w legionach, odbywał kampanie. Hiszpania bardzo się podobała Adasiowi, osobliwie kobiety, gdybym był na to pozwolił, byłby się tam ze dwadzieścia razy zakochał; jest to kraj gorący i żyzny, ale oświata żadna, a ludzie w nim głupi i nieoświeceni. Gdyby nie to położenie geograficzne, byłby się już kilka razy rozpadł i pod obce przeszedł panowanie, ale źle mówię, raz tylko by się rozpadł i więcej jużby się zrość nie potrafił.

W roku 1828 w jesieni powróciliśmy do kraju, a w roku 1829 w ziemie stryj mój wyjechał na Wołyń do mojego majątku, który miał naówczas sprzedąć i niektóre swoje interesa tam pozalać, trzeba ci bowiem wiedzieć, że stryj mój miał tam i własny majątek, ztąd kłopoty i uszczerbek w dochodach, więc i to miał zakończyć, aby się całkiem przenieść do Galicyi. Zamyślał tedy z rok tam zabawić. Odjeżdżając, powiedział mi: powierzam ci całe moje gospodarstwo a nadewszystko Adasia; proszę cię, uważaj na niego, aby sobie chłopiec czém głowy nie zawrócił, gdyby ci źle szło, wyrób mu paszport i odeszlój go do mnie.

I nie mówił stryj tego bez powodu, rzeczy bowiem miały się tak.

W naszym sąsiedztwie w Jędrzejówce mieszkał stary hrabia ... którego nazwiska ci nie wymienię, nic bowiem na tém nie zależy. Hrabia był to człowiek odcytany i obyty w świecie, za Księstwa Warszawskiego podobno miał jakiś urzędzik u dworu, nie miał słołości, których był niewolnikiem, nie mając siły panowania nad niemi, co chwila upadał i coraz nowy cios zadawał i szczęściu rodzinnemu i majątkowi swojemu, który acz był dość znacznym, jednak tyle długów na nim ciążyło, że potrzeba było tegiej głowy i sprężystości, aby się z interesów wydobyć; hrabia nie miał dość rozumu, nie umiał rachować i był tego mniemania, że każde oszczędzenie się w wydatkach przyniesie jakiś wstyd, czy hańbę nawet

jego nazwisku, i im bardziej na majątku podupadał, tém większe jeszcze czynił wysilenia, iżby na oko pokrył stan rzeczywisty. Hrabia miał córkę, dziesiętnastoletnią panienkę, której na imię było Kamilla, wychowanie jój było nibyto staranne, lecz w gruncie całkiem chybione. Język i literatura francuzka była całą jój nauką: zasady moralne, wyobrażenia o ludziach, o życiu i świecie, o obowiązkach kobiety czerpane z francuzkich nowszej szkoły romansów, — serce jój było zepsute, wyobraźnia rozgrzana i żadną wiarą ani zasadą nie okielzana, słabość charakteru ojca dokonywała reszty zepsucia w córce.

Zdawna bywaliśmy w tym domu, — z Kamillą znaliśmy się od dziecka i żadnemu z nas nigdy się nie podobała, ja przynajmniej długi czas byłem tego zdania; i upewniwszy się z téj strony, nieobawiałem się wcale o Adama, pozwalając mu tam bywać tak często, jak mu się podobało.

Jestem z natury upartym, realnym i lubię być pewnym siebie; wszelkich złudzeń, domysłów i niepewności nienawidzę i na wieczne czasy unikam, — i gdyby mnie kto oszukał, omamił, oślepił, pomimo całej zimnej krwi mojej, zemściłbym się na nim najokropniej.

Raz w życiu byłem oszukany, — i to wtenczas przez Adasia. Przekonawszy się o tém, wściekałem się ze złości, i dzisiaj jeszcze, kiedy sobie przypomnę, to mi krew uderza do głowy i czuję drżenie nerwów, chociaż mam nerwy jak postronki!..

Pan Adam wstał z krzesła i przeszedł się kilka razy szybkim i niecierpliwym krokiem przez pokój; popatrzyłem mu w twarz, a twarz jego była czerwona i żyły w niej nabrzmiały, krwią nabiegły i były jakby czerwone robaki, które mu pełzały po twarzy.

— Raz w życiu, — zaczął znowu pan Adam, — dałem się oszukać, i wtedy pan Adam zerwał się i zapytał: która godzina?... może już czas na redutę?

— Godzina siódma, — odrzekłem.

— Niech będzie która chce, nie będę już... krew mi się psuje... to są rzeczy, przed którymi żegnać się będziesz, jeśli jesteś człowiekiem wiary... masz serce, na cóż je drażnić?... na cóż rozkrwawiać?..

W téj chwili zdawało mi się znowu, że pan Adam to czuje co mówi, więc że...

— Może i ja miałem kiedy serce, lecz zabiłem je, wydarłem sobie z piersi, bo mnie nudziły uczucia innych... nie chciałem aby mnie nudziły moje; dziś mi lepiej bez serca, jestem zdrow i nieznam tego wszystkiego co duszę boli, utylbym nawet, gdyby.... gdybym miał żonę.

Adaś się kochał w Kamilli od roku i ja tego nie dostrzegłem. Jednego dnia, gdy chciałem jechać na jarmark dla kupna koni i bydła, mówiłem Adasiowi iżby zemną jechał, nie chciał. Ude-

rzyło mnie to, zwłaszcza, że miał dawno w projekcie kupno nowych koników do powozu i kilka razy już się był niecierpliwił na ten jarmark. Począłem więc nalegać na niego. Adaś był uparty i nie umiał mi się wytłumaczyć, bo był zdrow i nie miał nic do czynienia.—Czy pojedziesz gdzie? zapytałem. — Nie,— odpowiedział,— lecz się zarumienił. Wyjechałem, lecz wróciwszy, dowiedziałem się od jego kozaka, iż jeździł tego dnia z paniczem do Jędrzejówki. Nie mówiąc nic Adasiowi, pojechałem drugiego dnia sam do Jędrzejówki i przysiadłem się do panny Kamilli, mówiłem o nim z nią pół godziny, lecz byłem umyślnie małowiący i smutny,— ostrożna dziewczyna umiała mi zręcznie na wszystkie odpowiadać pytania, nie wydała się z niczém, przynajmniej nie tyle, iżbym miał dostateczne moich podejrzeń dowody. Nareszcie pyta mnie panna Kamilla, czemum tak smutny? ja odpowiadam jój na to: Jakże nie mam być smutnym, kiedy ten lekkomyślny Adaś zacho-chał się na śmierć w pani Adeli?... Panna Kamilla zbłądła jak chusta i usiadłszy, poczęła gryść końce chustki od nosa, a ja ciężnąłem z największą flegmą moje uwagi o całej niemoralności takiego uczucia, o lekkomyślności pani Adeli, która, będąc żoną tak szanownego męża, tyle się zapomina, i t. d. Kamilla bładła coraz bardziej, jój oddech stawał się szybszym, a kiedy coraz więcej dorzucał szczegółów téj zmyślonej intrygi, była już bliską omdlenia. Wtedy, wpatrzywszy się jój w oczy, ujęłem ją za rękę i rzekłem łagodnie: Bądź pani spokojna, o to mi tylko chodziło. — Jakto? — krzyknęła ona, — to wszystko nieprawda?... — Nie, pani. Zabawiłem jeszcze pół godziny i pozyskałem jój całe zwierzenie.

Jak głęboko czułem się obrażonym przez Adasia, to tylko ja rozumiem. Postanowiłem zemścić się. Sposobność ta łatwo się zdarzyła, bo na miłość jego dla panny Kamilli, z urzędu mojego jako opiekun, nie powinienem był pozwolić; nie była to ani dobra żona dla niego, ani by się to z wolą ojca zgadzało. Na drugi dzień rano poszedłem do jego pokoju i po krótkiej wcale z innego tonu uczynionej przedmowie, powiedziałem mu: Postąłem dla ciebie po paszport, za parę dni pojedziesz na Wołyń.

Adaś zgłupiał i rzekł mi:

— To być nie może! ty żartujesz!

— Wiész że nigdy nie żartuję, — odpowiedziałem, — zresztą twoje postępowanie jest tego rodzaju, że nie możesz tu dłużej pozostać.

Adaś wpatrzył mi się w oczy, lecz nie mógł mego wzroku wytrzymać, milczenie trwało całą godzinę, Adaś płakał. Poczém ochłonął cokolwiek z żalu i z jakichś tam uczuć urojonych, i począł mi rzecz całą obszernie przekładać, zmyślając nieskończoną ilość powodów, dla których jechać nie może; chwilami wpadał w szal i znamienitą błyszczał wymową, mówił bardzo pięknie, porywająco, — gdyby tak mówił do masy ludu, albo do kobiet, toby je porwał ze sobą i uczynił wedle swój woli — ale ja nie byłem

massą, ani na mnie wymowa żadnego wpływu zrobić nie jest w stanie, tylko rzecz sama — więc zostałem przy swoim. Potem chciałem mnie magnetyzować, porwał mnie więc za ręce i wpatrzywszy mi się w oczy, zawołał gwałtownie. — Nie pojedę! i basta! — Lecz ja jeszcze silniej krzyknęłem: — Pojedziesz! — i Adaś umilkł. Potem jeszcze ostatniego doświadczył sposobu, rzucił mi się do nóg i płacząc i jęcząc błagał litości, ale nie dałem się wzruszyć; więc wstał i otarłszy łzy, rzekł znowu:

— Ha! Kato!

Za kilka dni jeszcze przed świtem powóz jego wypakowany stał już przed gankiem, nie mówiliśmy z sobą prawie ani słowa, Adaś, nie żegnając się ze mną, odjechał. Przez tych dni kilka nie był on w Jędrzejówce; zdawało mi się, że panna Kamilla nie mogła wiedzieć o jego odjeździe, lecz i tu mnie oszukał. Kiedy bowiem powóz jego wyruszył, ja kazałem sobie podać konia i ruszyłem na przełaj ku Jędrzejówce; Adamowi bowiem tamtędy wypadła droga. Przyjechawszy tam pierwój, stanąłem o paręset kroków od dworu i skryłem się z koniem za krzakami olchowemi na miedzy i opodał od drogi. Wpatrzyłem się w dwór i ujrzałem że zeń wyszła jakaś postać niewieścia w białą owinięta szatę. Był to dzień majowy, a raczej poranek, bo tylko ko słońce pokazało się na krańcach wschodu i ozłociło wierzchołki topol i jesionów okrążających dwór w Jędrzejówce. Rosa się perliła na liściach, a w powietrzu czuć było świeżą woń polnego kwiecia. W okolo dworu był ogród częstokołem obwiedziony i żywemi płotami z róż i akacyj — postać niewieścia, w której nietrudno mi się było domyślić Kamilli, przybliżyła się do częstokołu i ukryła się w zieleńjących się świeżemi pączkami krzewach. Niebawem powóz Adasia nadjechał i zatrzymał się zdala od dworu, Adaś wyskoczył i biegł prosto w tę stronę — widać rzecz była umówiona. Na widok jego panna Kamilla wyciągnęła ramiona i rzuciła się w jego objęcia. Nie mogłem widzieć ich twarzy i rozeznac rysów i wyrazu, ale zapewne były tam łzy i westchnienia i przysięgi, i zaklęcia, i uściśnienia — ale ostatnie. Pożegnanie to trochę zadługo mi trwało, chciałem dojechać do nich i zrobić im uwagę, iżby się już rozeszli, bo tylko boleści tém sobie przysparzają; w tej chwili, kiedy chciałem naprzód postąpić, spostrzegłem jakąś figurę wychodzącą z dworu, zdawało mi się, że to był hrabia. Spostrzegła to i panna Kamilla i rzuciwszy się jeszcze raz na szyję Adasiowi, odskoczyła i wolnym krokiem odeszła. Adaś pobiegł ku powozowi, trzymając chustkę przed oczyma.

Pan Adam zatrzymał się chwilę i zamyślił, poczem znowu rozpozczął:

— Po wyjeździe Adasia zaczęłem się nudzić trochę i z nudów bywałem częściej w Jędrzejówce. Panna Kamilla bolała parę tygodni za kochankiem, mówiła ze mną o tém i zwierzała mi się ze swoich smutków i tęsknoty. Dziwiło mnie to, że ona mnie spr-

wcę ję żalu, nie znieawidziła.. bo juźciż nie mogłem się spodzie-
wać, iżby nie wiedziła o tém, że to ja kazałem Adasiowi wyjechać..

Cóż powiesz na to? i tu Adaś mnie oszukał! lecz nie, źle mó-
wię, była to wielka szlachetność z jego strony, którą dostatecznie
ocenić umiałem. Adaś zataił przed Kamillą moje z nim postąpie-
nie, zmyślił inny powód swego wyjazdu, a mnie zostawił czystym
i nienaruszonym. Po młodym chłopcu miękkiego i rozżalonego
serca, po jego charakterze zmiennym i każdego rodzaju wrażeniom
podległym, któżby był się spodziewał tyle tęgości, tyle siły i za-
parcia się siebie samego, dla cnoty urojonęj miłością braterską?...
Lecz jeżeli z jednéj strony umiałem ocenić całą wzniosłość takiego
postępkę, jeżeli temu jego krokowi oddałem hołd należyty, toż
znowu z drugiejęj strony uważając go stosunkowo do mnie, musia-
łem uczuć niechęć ku niemu i pewną obrazę, — bo byłem poniżo-
nym, zdeptanym, bo mi Adaś za moje srogie obejście się z nim
wypłacił cnotą i pogardą. Tego odniesionego przezeń zwycięstwa
nademną nie mogłem mu zapomnieć i nie zapomniałem do dziś
dnia; kto inny na mojem miejscu byłby się dał ująć i podbić taką
zapłatą, byłby żałował tego wprawdzie, lecz zawsze w towarzy-
stwie ludzkim drogo cenionęj cnoty nazwanęj, com z Adasiem uczyni-
ł, byłby go objął w ramiona i został jego przyjacielem na wieki...
ja... nie, jestem dumnym i mam szyję żelazną, a podobny postępek
tylko mogłem wziąć za sroźszą jeszcze obrazę, która zrodziwszy
wemnie nienawiść, mogła się tylko stać bodźcem do odwetu.

Kto inny na mojem miejscu, przekonawszy się o tém, że
Kamilla nie wie właściwéj przyczyny dla której Adaś wyjechać
musiał, byłby się starał utrzymać ją w tém mniemaniu i uniknąw-
szy ję nieprzyjaźni za pomocą Adasiowéj cnoty, nie starałby się
umyślnie o ję nienawiść. Ja pozorów nie lubię i zawsze ich unik-
kam, a kiedy mam wewnętrzne przekonanie, że tak uczynił jak-
kam był powinien, to mi zupełnie o pozory nie idzie; nie lubię
być ludzonym, lecz i nie ludzę nikogo. Powiedziałem Kamilli jak
się rzecz miała w istocie. I cóż myślisz? odwróciła oczy odemnie
z żalem i niechęcią? spłakała się? czyniła mi wyrzuty? znieawid-
ziła mnie? Gdzietam!... kobiéta jest książką, w której bez roz-
działów i paginacyi na każdéj kartce jest artykuł na całkiem inny
temat napisany; na jednéj stronnicy są ognie wulkaniczne, a na
drugiejęj lody sybirskie, u góry miłość i poświęcenie, a trochę niżej
nienawiść i zemsta. Panna Kamilla, wysłuchawszy mnie, całkiem
zimno odpowiedziała: Tak?.. to pan mi kazałeś wyjeżdżać? proszę,
nic mi o tém nie mówił pan Adam.

Bywając częściej w Jędrzejówce, zauważałem że panna Ka-
milla dosyć mnie chętnie widywała, zdawało mi się nawet, że
chciała mną zapełnić tę lukę w sercu, którą jęj wytrąciłem, wy-
prawiwszy na Wołyń Adasia. Dziwną i nieodgadnioną jest rze-
czą, jakich dwóch serc na to potrzeba, iżby się ukolysały wza-
jemnie? Czasem zupełne podobieństwo usposobień i uczuć rodzi

tę moralną atrakcją, czasem ją rodzi jaknajzupełniejsze tychże usposobień przeciwieństwo. Miękki bluszcz do twardego lgnie glazu, chmiel się owija o drzewo, a dwa ślasy łączą się także i wiją się około siebie. W pół roku byłem pewny, że mnie Kamilla kocha, lecz ponieważ nie widzę sensu w takich związkach bez celu, więc poczęłem myśleć nad tém, czyby mi wypadało z nią się ożenić, czy nie? Obliczyłem stan mojego majątku i jej posagu, zastanowiłem się nad jej usposobieniami serca i umysłu i ich stosunkiem do mego charakteru i temperamentu, kombinowałem to wszystko i zapomocą wyrachowań chciałem dojść do ułożenia sobie planu przyszłego życia. Nie kochałem jej, bo głupstwem jest każda rzecz bez fundamentu, tak samo i miłość nieoparta na pewności ożenienia się; tymczasem liściki jeden za drugim przybiegały do mnie z Jędrzejówki, zrazu zajmowało mnie to i bawiło, bezc potem znudziło, więc zakazałem wszelkie pisanie, zwłaszcza, że już się plotki zaczęły rozsiewać po okolicy o blizkiem ślubie moim z panną Kamillą, a nie lubię, kiedy ludzie o mnie mówią coś takiego, o czém ja sam niewiele mogę powiedzieć. Hrabia był w téj całej sprawie woskową figurką, która na wszystko kiwa główką, mówiąc: Niech się dzieje wola Boża!

Wyrachowań i kombinacyj moich nie mogłem tak prędko ukończyć, bowiem nie miałem jeszcze niektórych szczegółów o stanie mego majątku z Wołynia, które mi stryj mój miał nadesłać; i rzecz tymczasem została w zawieszeniu. Stosunek między mną a Kamillą trwał ciągle, jednakowoż starałem się go cokolwiek oziębic tak, iżby na wypadek, gdyby mi go całkiem zerwać przyszło, nie było w tém nic dziwnego i uderzającego; Kamilla była do mnie tak przywiązana ile tylko serce kobiece do kogoś przywiązać się może, ostrość zaś i surowość mojego charakteru zrodziła w niej pewien szacunek dla mnie, taki właśnie jaki się każdemu mężowi od kobiety należy.

Nadeszło lato roku 1830. W pobliżu Jędrzejówki w małym miasteczku stał jeden szwadron pułku dragonów, oficerowie tego szwadronu bywali wszyscy w Jędrzejówce, hrabia, który nie umiał nikogo ani przyjąć ani nieprzyjąć, znosił te wizyty, i ani się domyślając, że to było nie w swoim miejscu, sadił się jeszcze na wystawne dla nich obiady i herbaty. Pomiedzy tymi oficerami był niejaki pan Flotterwell, Anglik podobno czy Hollender, człowiek młody, zimny, milczący, który miał najlepsze konie i najwięcej pieniędzy, i w Jędrzejówce bywał najczęściej; zrazu nie uważałem na to, i jego częstsze wizyty przypisywałem nudom małego miasteczka i tęsknocie za lepszym towarzystwem, którego nie miał w swoim szwadronie, lecz nie mogłem nie zauważyć pewnej zmiany w Kamilli i wzrastającej w niej z każdym dniem większej dla mnie obojętności. Myśl, że Kamilla mogła się tak przenieść sercem ze mnie na Anglika, jak się przeniosła z Adasia na mnie, zaburzyła moje spokojność, odebrała mi sen i nudziła

mnie bezustannie... postanowiłem przekonać się naocznie, ile prawdy zawierać mogły moje podejrzenia.

Trzydzieści nocy czatowałem za temi samemi krzakami opodal od ogrodu jędrzejowieckiego, z za których widziałem Adasia żegnającego się z Kamillą. I wyobraź sobie, czego nie może przypadek?... Jednego ranka, kiedy już tak byłem znużony, że prawie upadałem na siłach, a oczy moje tak się do snu kleiły i tak osłabły, że mi się jakieś widma pokazywać poczęły... chyląc się tak ku ziemi, zaczerpniętem rosy porannej, która się szklila na liściach i kroplami spadała na trawę, przemyłem nią oczy i odświeżyłem twarz moją pałającą od ognia i znużenia. Orzeźwiłem się cały, i rzuciłem okiem ku ogrodowi... cóż ujrzałem?... Oto w tém samym miejscu przy częstokołach, pomiędzy krzakiem róży i akacyi, jak przeszłego roku przy pożegnaniu z Adasiem, stała, zda mi się nawet że w tém samym ubraniu białem i różową gazą osłonięta... Kamilla, głowę miała schyloną ku kwiatowi róży, na których liściach opierały się końce jęj rozpuszczonych ciemno-blond loków... przy niej stał oficer Anglik i trzymając ją za prawą rączkę, dziwnie lubieżnie szeptał jęj jakieś słodkie wyznania do ucha.

Na ten widok krew się wzburzyła we mnie i jakby fala morza wściekłego uderzyła mi do głowy... porwałem za broń, którą miałem przy sobie i pierwsza myśl moja była Anglikowi w łeb palnąć; lecz powoli fala tęg krwi wzburzonej potoczyła mi się kłębami od głowy, czułem to żem zbladł natychmiast i skamieniał... jeszcze chwilę stałem tak nieruchomo, i byłem podobny owym posągom, które wśród krzewów stoją w Tuileriach. Niebawem zimny rozum mnie zbudził, ochłoniłem, lecz nie na to, iżby przekonawszy się o zdradzie Kamilli, spokojnie powrócić do domu i zapomnieć, — lecz aby się zemścić głębokiej urazy, która czerwono-ognistą ranę wypaliła w mym mózgu.

Postąpiłem więc naprzód i zbliżyłem się na kilkanaście kroków ku częstokołom. Kochankowie byli tak sobą zajęci i tak zatopieni w czułościach, że wcale nie uważali na to, co się w okolo nich działo, mogłem być ich podejść i zabrać ze sobą, lecz ja przystąpiłem tylko z nienacka i pochwyciwszy całą siłą za ramię Anglika, zawołałem mu w ucho:

— God dam, master Flotterwell!

Anglik się zimno obejrzał, jakby go tylko komar był ukąsił, i odpowiedział mi sucho:

— God dam! — Kamilla zniknęła, jakby jakie napowietrzne widziadło. Poczém zapytał mnie Anglik całkiem obojętnie, co mnie spowodowało do wyszpiewowania jego tajemnej schadzki, — odpowiedziałem mu na to, że niech mi wolno będzie nie odpowiadać na to zapytanie i ofiarować mu inną odpowiedź, a to taką, któraby jednego z nas uprzętnęła drugiemu.

— Masz pan jaką broń z sobą? — zapytał mnie znowu.

— Mam pistolety.

— A moje są w olstrach na koniu, który tam czeka za dworem, — możemy tę rzecz natychmiast ukończyć, przy wschodzącym słońcu, a że w parę minut po schadzce miłosnej jeszcze się nigdy nie strzelałem, będę się strzelał z prawdziwą satysfakcją.

To mówiąc puścił się prosto na prawo po pod częstokół ku końcowi ogrodu, gdzie w cieniu drzew stał jego koń osiodłany; ja szedłem tuż przy nim.

Przyznam ci się, że ta zimna krew trochę mnie uderzyła... tyle angielszczyzny nie spodziewałem się wtenczas nawet w Angliki, dzisiaj mam jęj sam może więcej, a przynajmniej daleko więcej jęj widziałem w Londynie, jest to prawdziwa satysfakcja.

Doszedłszy do konia, który cienką i długą wyciągnąwszy szyję, skubał sobie trawkę ze ziemi, Anglik wyciągnął swoje pistolety z olster i oddał mi je do ręki, mówiąc: Pokaż mi pan swoje. Uczyniłem to, oglądnął je i oddał mi je napowrót, a swoje odebrał i położył na płocie. Późem dobył pugilaresu i oparłszy się na siodle, pisał coś ołówkiem na małej karteczce papieru, — skończywszy rzekł mi: „Jeżeli zginę, zechcesz pan tę karteczkę wraz z tym pierścionkiem, który oto tu mam na palcu, odesłać wedle adresu wymienionego w tej karteczce. Czy pan masz także coś do przekazania?”

— Nie, mości panie, — odrzekłem.

— Więc siużę panu.

Flotterwell wziął konia za uzdę i idąc naprzód, wiódł za sobą, ja szedłem tuż przy nim; tak uszliśmy kilkaset kroków i nie zatrzymaliśmy się aż na miejscu, zkąd już dworu widać nie było. Tam wycedził znów Anglik.

— Do baryery, nieprawda? po osiem kroków.

— I owszem, — odpowiedziałem. Rozmierzyliśmy plac i porzucawszy ze siebie zwierchnie suknie, stanęliśmy. Z wyciągniętymi przeciwko sobie pistoletami przystąpiliśmy obadwa do baryer, któreśmy sukniami naszemi oznaczyli, Anglik chciał mnie wyraźnie przetrzymać... przy baryerach staliśmy jeszcze po parę sekund... Anglik mierzył mi w samą głowę... zdawało mi się nawet, że widziałem tę kulę, która mi miała w mózgu uwieźnać... ja mierzyłem w serce, w tą miłość angielską dla Kamilli... i wypaliłem pierwszy, kula moja przeszła pierś Anglika trochę poniżej prawego ramienia. W tym samym momencie i Anglik wystrzelił, lecz spudłował, i upadł krwią zbroczony na ziemię. Przyskoczyłem do niego i obwiązałem mu moją własną bielizną i chustkami ranę tak silnie, ile to było podobnym, poczem, wskoczywszy na jego konia popędziłem do dworu po ratunek. Za pół godziny leżał Anglik na łóżku w pokoju sypialnym hrabiego a Kamilla siedziała przy nim i podawała mu wodę i chłodnik...

W parę tygodni potem, kiedy się dowiedziałem, że pan Flotterwell ma się daleko lepiej i jest na drodze wyzdrowienia, poje-

chałem do Jędrzejówki, aby go odwiedzić. Anglik leżał na tém samym miejscu, gdzie go był owego dnia zostawił, w jego nogach stary hrabia z swoją twarzą głupekowato-rumianą, a obok łóżka Kamilla z książką francuzką w ręku, którą głośno czytała. Kiedym wszedł, hrabia się zerwał, aby mnie powitać, a Kamilla zbladła, zachwiała się i omdlała; otrzeźwionej wstyd zarumieniło czoło, nieśmiała oczu podnieść i na mnie popatrzeć, siedziała chwilę milcząca, lecz niebawem, skarżąc się na ból głowy, wyszła do swego pokoju.

Inną razą, kiedy znów przyjechałem odwiedzić chorego, Kamilla była wesołą i dziwnie dobrze usposobioną. Uważałem, że ciągle się kręciła jak gdyby miała coś na języku i nie miała odwagi powiedzieć, a nareszcie zbliżyła się do mnie i podała mi list, robiąc przytém minę dumnie głupią i naiwnie tryumfującą. Odebrałem list i poszedłszy do okna odczytałem. Adaś pisał do niej poezją swojej miłości, lecz ten list, pomimo tego, że mnie takie rzeczy nie wzruszają zupełnie, miał w sobie tak głęboko smętną tęsknotę, taki krwawy żal za zniszczoną przeszłością i zawierał tak gorące uczucia, że musiałem przyznać, iż był po mistrzowsku pisany.

W pięć miesięcy potem Anglik wyzdrowiał i ożenił się z panną Kamillą, przestawszy służyć u dragonów, — było to właśnie na początku grudnia 1827 roku. Stryj mój powrócił a Adasia został na Wołyniu. Mnie się gospodarstwo znudziło, więc wyjechałem do Warszawy i zaciągnąłem się do artylerji. Były to chwile, które z prawdziwą przyjemnością wspominam. Służba artylerji pod dobrym i zdolnym dowódcą jest prawdziwą rozkoszą.

Adaś także podówczas służył w wojsku, lecz w konnicy, jak zwyczajnie wszyscy, którzy w rzeczy nie cenią treść, jeno powierzchowne świecidla i piosneczki przy obozowych ogniskach, i wronego konika, który rzy za swoim jeźdźcem, jak w poezjach Bohdana. Adaś był chory i leżał w lazarecie w Warszawie; w kwietniu byłem także w Warszawie, dowiedziałem się o nim i poszedłem go odwiedzić.

Na lichém łożu leżał on blady i boleściami strawiony, twarz jego zdawała się łaknąć wody, jak wyschnięta palma na piaszczystej pustyni. Serce jego zdawało się śnić jakieś niepewne wspomnienia. Oczy jego były mgłe, jakby z za mgły się dobywając i martwo w sufit wlepione, — leżał na wznak i rękę prawą zwiesił z łóżka na ziemię.

Wszedłszy tam, stałem chwilę we drzwiach i wpatrywałem się w niego. Ujrzał mnie i wyciągnawszy obiedwie ręce, zapytał:

— Kamill'a?

— Poszła za męża, — odrzekłem zimno.

— Kato!... — wykrzyknął Adaś i konwulsyjnie się rzucił ku ścianie, po chwili obrócił się znowu ku mnie i rzekł spokojnie:

— Mój Adamie, idź ztąd i nie widzimy się nigdy, a przynajmniej długo.

— Jak chcesz, — rzekłem i wyszedłem.

Wierzę bardzo, że ludzie serca, kiedy im przyjdzie chwila szalu, i jeżeli posłużą okoliczności, zdolni są wielkiego czynu, lecz jeżeli nie posłużą, zdolni są wielkiego głupstwa. Jest-to zwyczajna kolój wszystkich przedsięwzięć nieopartych na pewnym wyrachowaniu, na pewnej podstawie; uda się, będzie wielki czyn i sława, nie uda się, wielkie głupstwo i wstyd w obec rozumu, nie w obec serca, bo serce nie patrzy na skutek, tylko na chęci, serce nie patrzy na środki działania i przebacza częstokroć nawet szaleństwa, a to jest wielką niedorzecznością.

Pojechałem do Francji, bawiłem jakiś czas w Paryżu, na wiosnę pojechałem na południe, byłem we Włoszech. Znudziwszy się tam, zaciągnęłem się do wojska i pojechałem do Algieru; wojna w Algierze nie podobała mi się, nie miałem w niej żadnego moralnego udziału.

Porzuciłem więc tę bójkę z Arabami i ruszyłem do Londynu; tam czas jakiś strawiłem wśród ciągłej umysłowej pracy. Życie polityczne i ruch handlowy w Anglii mają w sobie coś zupełnie odrębnego; mądrość i praktyczność tego narodu wywiera zabawny wpływ na wszystko, co tylko jest w kraju. Wszystko, co tylko tam jest, jest rozumne, sztuki piękne nawet, rzecz najmniej praktyczna na świecie, mają tam całkiem inną podstawę i przeznaczenie, miara jest zachowana we wszystkiem. Są i tam wprawdzie rzeczy złe w samych sobie i złe w skutkach swoich, lecz Anglicy mają przynajmniej ten rozum, że się nie kuszą o niepodobieństwa. Dziś, jeżeliby mogła być jaka rewolucya w Anglii, ta albo będzie zgniecioną w samym zarodzie, albo zwycięży tak, że już nic nie pomoże. Tam nie przyjdzie nigdy do tego, iżby się obiedwie strony wodziły z sobą za łby i wyglądały przypadku, który ma szalę zwycięstwa na jedną stronę przechylić. W Anglii przypadkowi całą moc odebrano, tam przypadek może tylko okręt zatopić, albo wóz rozbić parowy, na losy państwa przypadek nie może wyrzucić żadnego wpływu. Dlaczego? bo tam jest rozum władzą rządzącą, przeciwne sobie partie zawsze są na jaśni dziennego światła, zawsze się z sobą ścierają, zawsze się znają nawzajem, jakby najlepsi przyjaciele, a niejeden już spór pomiędzy nimi, który gdzieindziej najkrwawszą rzeź-by wywołał, przyprowadził ich tylko do lepszego wyrozumienia się; one wzajemnymi koncesjami otrzymają to, czego stronnictwa postępowe w innych narodach rewolucjami nie otrzymają. Anglia jest państwem najrozumniejszem na ziemi. Podobało mi się tam, i gdyby nie ten niestosunek naszych większych majątków do ich większych majątków, byłbym tam osiadł na zawsze. Co dziś czytam o wewnętrznem urządzeniu Stanów Zjednoczonych, podoba mi się także, gdyby nie rząd republikański, reprezentacya jedno-izbowa, których

obojga nie jestem zwolennikiem, byłbym tam już dawno pojechał, lecz i tak jeszcze, jeżeli mi się już bardzo sprzykrzy nędza materialna i moralna naszego kraju, to tam wyjadę i osiadę...

Ale... a! otóż będąc naówczas w Londynie, to jest w roku 1834, dla przypatrzenia się różnicowemu tamtejszego życia objawom, należałem kolejną do różnych klubów; życie klubowe w Londynie... e! ale cóż ci będę tak oklepane rzeczy opowiadał!... znasz je zapewne, a jeżeli nie znasz, to w każdej książce wyczytasz. Otóż jednego dnia wchodząc do klubu, nie pamiętam już do którego, właśnie zrzucąłem ze siebie płaszcz w przedpokoju, kiedy we drzwiach od sali pokazał mi się mężczyzna, którego twarz mi się zdawała być znajomą. Wychodzący popatrzył się na mnie, chwilę wzrokiem odpoczął i rzekł:

— God dam, Flotterwell!

Był to ten sam Flotterwell. Przywitaliśmy się obojętnie i wymieniliśmy pomiędzy sobą adresy.

Na drugi dzień służący zapowiedział mi pana Flotterwell. Wyszedłem przeciw niemu i przyjąłem go z szczerą-polską gościnnością, obadwa byliśmy sobie nadzwyczaj radzi. Po krótkiej rozmowie przeszliśmy na obchodzący nas obudwu przedmiot, na Jędrzejówkę i panią de Flotterwell, a dawniejszą pannę Kamilę. Pytałem go, czy przywiózł żonę swoją do Londynu i jak się jej Londyn podoba?

— Żony mojej tu niema, — odpowiedział Anglik, — pani Flotterwell jest bardzo dobrą kobietą, ale ja byłem dla niej nieznośnym mężem... nie pozwalałem na to, aby się w kim innym kochała i rozeszliśmy się. Staram się obecnie o rozwód i mam nadzieję, że go niebawem uzyskam. To jest nawet bardzo potrzebnym dla pani Flotterwell, bo ona nie ma żadnego majątku, jej potrzeba pójść za mąż.

— Jakto? — spytałem — czyż interesa hrabiego w tak bardzo złym stanie?

— Tak jest, — odpowiedział Anglik, — jest jeszcze w posiadaniu Jędrzejówki i wszystkich przyległości, ale to już nie długo potrwa. Czy pan masz brata? — zapytał mnie.

— Stryjecznego.

— Adam mu na imię?...

— Tak jest. Czy pan coś wiesz o nim?

— Nie, nic nie wiem, — odpowiedział Flotterwell, — znalazłem jakieś listy jego u mojej żony, pisane wtedy, kiedy leżałem chory. Pani Flotterwell zapewne teraz pójdzie za niego.

Widywałem się potem z nim dosyć często, spadł na niego znaczny majątek po jakimś stryju, zasiadał w izbach i był bardzo tegim człowiekiem.

Co się potem stało z panią de Flotterwell, nie wiem i nie dowiaduję się; niedołężność hrabiego w administrowaniu majątku,

lekkomyślność Kamilli pod każdym względem każą się domyślać, że koniec ich obojgu był najgorszy.

— Był już? — zapytałem.

— Ja nie wiem, — odpowiedział pan Adam, — ale tak sędzę, bo to temu już lat kilkanaście. Ja tylko cieszę się tém, że uwolniłem Adasia od żony, która człowieka tak miękkiego serca byłaby już dawno zapędziła do grobu — chociaż z drugiej strony znowu nie bardzo mnie to cieszy, bo zatrąłem kilka lat życia Flotterwellowi, a szkoda go, bo to był rozumny człowiek, z mało rozumny zapewne, aby się z tak trudnych okoliczności wywikłać, lecz ot wszystko ma swoje ale.

— Cóż się stało z Adasiem? — zapytałem znowu.

— Z Adasiem? — wycedził przez zęby pan Adam, — wiesz, że nie umiem ci nic dokładnego powiedzieć.

Po skończonej wojnie roku 1831, Adaś równie jak my wyszedł za granicę; wiem że siedział czas jakiś w Paryżu i zajmował się polityką. Jaka to była polityka, którą się nasza emigracja tam zajmowała, wszystkim wiadomo. Towarzystwo, które dziś tak bardzo rozpowszechniło swoje zasady, formowało się dopiero na ów czas. Będąc tedy w Paryżu i wiedząc o wszystkim, starałem się dotrzeć do jądra rzeczy, która tak śmiało wywiesiła sztandar z niezawodną obietnicą zbawienia. Dotarłem i przekonałem się... niema o czém mówić.

— Więc jakże? — zapytałem ciekawie.

— Krótko ci powiem: utrzymują, że w polityce najgłówniejszą rzeczą jest prawdziwość i trafność zasady, na której się coś ma budować, ja zaś powiadam, że zasada jest tylko jedną połową, a drugą rozum i dobra wiara pracujących. Tam zaś przekonałem się, że ludzie, którzy się około téj zasady krzątali, była to młodzież zapalona, zarozumiała i głupia. Przyjdzie czas, kiedy wszyscy się o tém przekonają i moje zdanie potwierdzą. Tomasz także nie chciał wierzyć, aż póki rękę w ranę nie włożył, lecz włożywszy, krwią mistrza się zmasał. I tu tak będzie. Polityka, która nie działa zimno i nic nie potrafi przewidzieć, nie jest polityką; kto się spuszcza na przypadek i cuda, głupim jest, bo czasy cudów minęły; panem dziewiętnastego wieku jest rozum; kto go nie ma, musi z natury rzeczy być poddanym. Aby przyjść do przewagi nad innymi, potrzeba ich przewyższyć rozumem... etc. Są to prawdy tak jasne jak słońce; dziwi mnie, żeśmy ich dotąd nie pojęli.

Adaś się rzucił w wir ówczesnej polityki... zapewne tam z połowę majątku stracił, bo wiem że po śmierci jego ojca interesa źle stały. Zresztą nie widywał się ze mną, nie pisał do mnie, to i trudno mi odgadnąć, nie dopytuję się o niego, bo nie jestem jego opiekunem.

W roku 1834 pisałem do niego list w Paryżu, z ulicy Saint-Augustin, posłałem mu go na quartier latin. Czyniłem mu niektóre uwagi względem jego życia i napomniałem, wystawiając niedorze-

czność jego postępowania i bezzasadność całej jego i jego kolegów polityki. Na to odebrałem dwa listy od niego, jeden natychmiast, w którym mi wyrzucał moją nieczułość dla sprawy publicznej, zakamieniałość, egoizm, skłonność do zasad szatańskich i Bóg nie wie co jeszcze. List ten był pięknie pisany, miał wiele natchnienia i poezji, lecz zawierał w sobie nieprawdę. Ten który go pisał, puścił już był swojemu sercu wodze na wiatr i burze, i oślepił się naumyślnie. Rzuciłem ten list z niechęcią, bo gniewa mnie to, kiedy widzę człowieka zatruwającego sobie życie w złudzeniu, że to dla dobra publicznego, podczas kiedy to jest najwyraźniej na szkodę publiczną. Człowiek społeczeństwa, który traci rozum i hotduje tylko swojej chorobliwej fantazy utworom, jest bezzawodnie najzapamiętalszym egoistą i przynosi szkodę ogółowi. Aby to widzieć, potrzeba mieć oko na to, potrzeba umieć rozeznaczyć prawdę od fantazmatów, podobieństwo od niepodobieństwa, rzeczywistość od złudzenia, każdy to może, kiedy chce.

Rzuciłem ten list, mówię, bo się zresztą nie poczuwałem do żadnych błędów, nie należałem do żadnej partii. Tak, partii, bo Mochnacki grubo się omylił, utrzymując że nie będzie partij w emigracji; były, będą i być muszą, niemasz życia bez stronnictw, Anglia tylko na stronnictwach stoi, jak i każde oświecone państwo.

Drugi list odebrałem od Adasia z kraju w roku 1835, pisze tam o Kamilli, nie będę ci o nim mówił, bo możesz go sobie sam przeczytać. Lecz czy nie czas już na tę redutę?

Popatrzyłem na zegarek, była już jedenasta. Pan Adam wstał i postąpił ku biurku, kiedy wszedł służący i zapytał, że pówóz już od godziny czeka w dziedzińcu hotelu.

— Niech czeka, — odpowiedział pan Adam.

— Konie nie chcą stać i niecierpliwią się, Bartłomiěj nie może sobie dać rady, — rzekł znowu służący.

— Niech czeka, — odpowiedział pan Adam, przerzucając papiery, a ty daj mi rzeczy do ubrania.

Poczém podał mi list i rzekł:

— Jeżeli lubisz poezją, to ci się to podoba.

Wziętem list do ręki i podczas kiedy pan Adam przeszedł do drugiego pokoju dla ubrania się, ja czytałem jak następuje:

Szczebrzeszowice dnia 20 maja 1835.

Kochany Adasiu!

„Po naszym rozstaniu drugi list piszę do ciebie, który zapewne będzie już ostatnim; w tamtym mówiłem o rzeczach dotyczących sprawy publicznej, w tym tylko o naszej sprawie prywatnej. Ten list chociaż do ciebie, piszę go jednak li dla siebie, chcę się wypowiedzieć z ostatniego mojego widzenia się z Kamillą, chcę

się przekonać, że niszcząc w niej święte uczucie miłości dla mnie, zniszczyłeś jój cnotę, zatrąłeś jój życie, zabiłeś kobietę.

„Powróciwszy do kraju, pojechałem zaraz w dni kilka do stolicy; powiedziano mi, że się tu znajduje pani de Flotterwell, że tu mieszka wraz z ojcem swoim, dobijając nierządem i rozrzutnością resztek majątku swego. Zabolało mnie serce i zakrwawiło mi się, o! gdybym był tę, którą utraciłem na zawsze, widział przynajmniej szczęśliwą!... gdybym przynajmniej za widzeniem się z nią nie był musiał roztargać najpiękniejszych wspomnień przeszłości mojej!....

Nie wiedząc o bliższych szczegółach życia Kamilli, nie wiedząc więc jak to, że się rozdzieliła z mężem i źle jest w majątkowych stosunkach, zastanawiałem się jeszcze, co mi uczynić wypada, chciałem już wyjechać i nie widzieć tej, której obraz na wieki był w duszy mojej wyryty... lecz serce przemogło... raz ją jeszcze obaczę i pożegnaj na wieki! pomyślałem i poszedłem.

„Pani de Flotterwell mieszka w jednej z najnowszych kamienic tego miasta; kiedy wszedłem do przedpokoju i kazałem się zapowiedzieć, zastałem tam kilku ugalonowanych ludzi i kilku Żydów, którzy, jak mi sami wyznali, czekali tam od samego rana. Było to wieczorem. Niebawem powrócił lokaj i spytał mnie, czy jestem Katonem czy Adamem. Wiedziałem, co to ma znaczyć i wszedłem. Piękny salon, bogato i ozdobnie ubrany, meble nie krajowe, franki i kotary, z jedwabiu i muślinu, pełno modnych gracyków i lśniących świecideł dokoła, moda, wytworność i przepych. Po prawej stronie przy ścianie stała półokrągła, safianem wybita otomana, przed nią stoliczek, na którym płonęła lampa w kolorową klosz objęta, woń kwiatów i kadzideł roznosiła się w powietrzu. Na otomanie siedziała Kamilla... o wiele starsza i bledsza cokolwiek, ale zawsze tak piękna jak piérwéj, piękniejsza nawet, bo łączyła w sobie świeżość młodziutkiéj dziewczyny z wdziękami dojrzałéj kobiety. Miała na sobie suknię z białego muślinu, wolniejszego kroju i w niedbałe układającą się fałdy, na głowie białą muślinową chusteczkę koronkami obszytą, żadnej innej barwy na sobie, i niewymownie pięknie jój tak było. Ręczę, gdybyś ją był widział naówczas, jakkolwiek twardy jesteś, byłbyś zmięknął i przypomniał sobie te chwile, w których ją także kochałeś... Adamie! lecz nie, zamilczę, bobym cię musiał obwinić o rzecz, któraby ci odjęła nazwisko Katona.

Kiedym wszedł i spojrział na nią, zdawało mi się że widzę anioła, który zstąpił na ziemię, aby ziemskich cierpień doświadczyć, lecz rozczarowałem się niebawem, był to anioł przed laty, aleś ty z niéj zrobił szatana.

Kamilla podniosła lornetkę do oczu i powstawszy, lodowato grzecznym głosem mnie powitała, mówiąc:

— A, nasza znajomość z sąsiedztwa!

Mróz mi oziębził wszystkie członki, oniemiałem na chwilę, pani

de Flotterwell tymczasem wymówiła kilka obojętnych frazesów, potem rozgadaliśmy się cokolwiek, lecz moje serce ściśnione odebrało mojej wymowie wszelką swobodę. Byłem gorzki i zbolący, Kamilla zimną i obojętną, zdawała się być roztargnioną, uważałem, że chciała mnie się pozbyć czémprędzej, lecz nie umiała mi tego dać poznać dobrze, ani się dobrze utaić; nagle posunęła ręką po czoło, jak gdyby jej jakaś nowa myśl wpadła, i zaczęła mówić żywo i wiele, zrazu mówiła o rzeczach potocznych, lecz niebawem przeszła na swoje interesa majątkowe. Skarżyła mi się na pana de Flotterwell, że jej starzy wierzycciele zaczęli dokuczać, że przy bezrządzie musieli się zjawić nowi, że już od kilku miesięcy jest w dosyć niemiłym położeniu, że nareszcie dzisiaj taki dzień ciężki dla niej... że ci Żydzi... etc. Śród tej rozmowy przysuwano się do mnie coraz bliżej, śród tej rozmowy odbiegała od swego przedmiotu i przypominała mi chwile naszej wzajemnej miłości... wzięła mnie za rękę... oparła mi głowę swoją na moje piersi... jej usta zeszyły się z moimi... drżałem na całym cielem... jej obraz, jej oczy, jej ostatnie uściśnienie przy akacyach w ogrodzie stanęły mi przed oczyma... łzy mi się zakręciły w oczach... lecz nagle oparłszy się rękami o moje piersi, przegięła się napowrót na otomanę, i ze łzami w oczach i bolesnym wyrazem w twarzy wyszeptano te słowa: Adamie! ratuj mnie! Wstrząsnęłem się cały, jakieś zimno przeszło mnie od stóp aż do karku, dobyłem pugilaresu z kieszeni, w którym miałem kilkanaście tysięcy, i rzuciłem go na stół.

Nie anioł-kobieta, ale tygrys z roziskrzonymi oczyma, z wyrazem wściekłej radości rzuciła się na mój pugilares. Konwulsyjnie prawie porwała go w ręce, i wysunąwszy zeń banknoty, z lichwiarskim zadowoleniem przeliczyła je na stole. Stałem zastygły, wryty, nieruchomy jak statua Komandora. Wtém hrabia pokazał się w drzwiach pobocznych, ten sam dobroduszny, śmiejący się staruszek, tylko od zgryzot zapewne twarz jego trochę zbladła i przeciągnęła się, witał się ze mną szczerze i serdecznie, jak to niegdy bywało w Jędrzejówce, pani de Flotterwell zniknęła z salonu.

Po chwili, w której mi hrabia coś opowiadał o zimowym zjeździe w stolicy, lecz czego ja nie słyszałem ani rozumiałem, bo krew mi się w żyłach ścięła i zastygła, pani de Flotterwell znowu weszła do salonu; miała mnie zadowoloną lecz zimną i trzymała w ręku pączek róży, którym się tak zajęła, jak gdyby z nudów nie miała o czém myśleć. Hrabia wyszedł do swego gabinetu, a pani Flotterwell znowu usiadła na otomanie i spojrzawszy na mnie, który cały bólem przejęty, nie ruszyłem się z miejsca, rzekła pół-żartem:

— Pan smutnym jesteś, i ja wiem dlaczego, lecz wyglądasz w mych oczach jak dziecko, które szklaną zepsuło zabawkę, i widzi, że już nie jest do naprawienia. Mais á propos! demain

j'aurai du monde chez moi et je compte aussi sur vous, ne c'est pas! vous ne me refuserez pas?

Ciężkie westchnienie żalu i rozczarowania wydarło się z piersi mojej, poczem znowu mówiła pani de Flotterwell:

— O jakże ciężko pan wdychasz, panie Adamie! i ja tak niegdyś wdychałam.. kiedy mnie Flotterwell porzucił, nie jedną noc przeplakałam... myślałam że umrę z boleści.. mais maintenant je me suis persuadée, qu'on ne meurt pas de ses douleurs — i pan, jeżeli masz jakie boleści, także nie umrzesz, mogę zaręczyć.

— Ou ne meurt pas de ses douleurs, c'est vrai, mais on meurt bien de faim et de misère — rzekłem i wyszedłem z salonu.

Adamie! taka jest dzisiaj Kamilla!..”

— Czy już skończyłeś? — zapytał głośno pan Adam.

— Nie jeszcze, — odrzekłem, — jeszcze jedna stronnica.

— Tój już możesz nie czytać; są to tylko wykrzykniki do mego serca i sumienia, są to wyrzuty, które morze zrobić człowiek na połowę szalony, i jeszcze kilka wspomnień róż i akacyj w je-drzajowickim parku. Jedźmy, bo już czas jest podobno.

— Więc jedźmy! — odrzekłem.

Potem wsiedliśmy oba do Adamowej karęty i pojechaliśmy na redutę.

III.

Reduty odbywały się naówczas w gmachu teatralnym, nad parterem wznoszono posadzkę i łączono ją ze sceną, tym sposobem tworzone ogromną salę, mogącą kilka tysięcy ludzi w sobie pomieścić. Zapusty owego roku były huczne i szalone, ścisk był na wszystkich zabawach. „Circenses”! wołano zewsząd—„panem” miano dopiero jutro zawołać, i to nie „panem quotidianum,” który ma sycić żołądki, lecz panem, który łaknącym i uciśnionym duszom miał przynieść oddech wolniejszy; jedni więc marzyli tylko swobodę, inni wolność, a jeszcze inni rozpustę i szaleństwo. Ot różni różne mają zachcenia i wedle tych zachceń wyobrażają sobie przyszłość szczęśliwą. Tajemniczość jakaś, która wtedy była w powietrzu, o wiele podnosiła zwyczajny interes balów maskowych—tajemniczość owa była wprost przeciwną téj otwartości i szczerości, która we dwa lata później także przyszła z powietrzem, tajemniczość owa nakoniec uczyniła to, iż niekoniecznie potrzeba było iść na bal maskowy aby maski obaczyć, cały świat był zamaskowany; — jedni maskowali swą cnotę mniemaną, drudzy swą przeszłość może niebardzo czystą i cnotliwą. Oczekiwano czegoś, co miało przyjść i świat zadziwić, — ogółem zaś nie wiedziano, co to będzie to coś tyle oczekiwane, i nie wiedziano gdzie się pojawi, może w mieście, na rynku, może w kościele, może nawet na reducie. Ciekawi a niecierpliwi zaglądali dziwniejszym maskom pod larwę, czy nie biją promienie od ich twarzy— i na plecy, czy nie mają tam skrzydeł ukrytych—i do ręki—czy nie mają w niej... noża — uważano pilnie na każde słówko głośniejsze, badano je i roztrząsano, ażali niemasz w nié m objawionéj jakiej politycznéj zasady,

a często się zdarzało, iż powtarzano sobie jakieś nic nieznaczące słowa, wykładano je wedle natchnienia rozgrzanéj wyobraźni i przywiązywano do nich ewangeliczne znaczenia. Cóż to było?.... Oto duch unoszący się nad ziemią upuścił ziarnko aloesu—nasienie zeszło, wybujało w niezliczone lecz koszlawe gałęzie, na których wierzchu pokazał się węzeł zielony i zawinięty. Ludzie go obstąpili do koła i niecierpliwie czekali strzału, aby rychło obaczyć co też wyjdzie z zawiązanego węzła—prorocy mówili że będzie kwiat, jakiego jeszcze nie widziała ziemia. Węzeł pękł i nie strzelił, lecz rozdarł się pomału, a z jego wnętrza zamiast kwiatu, bluznęło trochę krwi... i rozlało się po ziemi. Po takim wypadku w naturze roślinnéj, naturaliści zasiadają z księgami za stołem i badają przyczynę, i dochodzą sumiennie dlaczego jéj nie odpowiedział skutek; zaś po takim wypadku w świecie ogrodnicy nikną z horyzontu i z za morza się znowu odezwą, że to właśnie dobrze, że nie kwiat wytrysnął odrazu, bo byłby słabym, lecz ze krwi dopiero będzie kwiat, a kiedy ze krwi znów pokaże się kość i dym i ludzkie głupstwo i nic więcej.... to ogrodnicy znów z za łądów i z za mórz przysła tylko przekleństwo przeszłości i nadzieję na przyszłość; terażniejszości, mówią oni, niemasz na świecie, a ta nędza, która jest w terażniejszości? oni nędzy nie znają. — Tak mówiła maska stojąca przy samych drzwiach redutowéj sali, — miała ona na sobie płaszcz czarny długi i na rękę pierścień złoty, na którym była wryta jakaś część krzyża i kawałek podkowy. Pan Adam mówił, że plecie jak na mękach.

Weszliśmy na salę. Ścisk, gwar, pisk masek, różność ubiorów, pojedyncze ztąd i owąd dolatujące i mieszające się z sobą głosy, są istotnie w stanie tak oszołomić człowieka, iż pomimo woli, podzielać musi radość powszechną, niosącą na sobie najwyraźniejsze piętno szaleństwa. Wrażenie to, pomieszane ze świeżem wrażeniem Adamowéj powieści, uczyniło mnie głuchym na wszystkie masek zaczepki i ich niezdarne, odgrzewane dowcipy, które nasunęły Adamowi bardzo słuszną uwagę: że te maski podobne są do przeszłorocznych kalendarzów, lub zawczorajszej gazety. Postępując tak wolnym krokiem naprzód i trzymając się ramienia swego towarzysza, nie uważałem wcale, że pan Adam, przyłożywszy lornetę do oczu, najpilniéj obserwował ten tłum różnobarwny, głupi jak każdy tłum, lecz w niektórych partyach bardzo malowniczy; takie było jego zdanie. Rzuciwszy nakoniec okiem na niego i spostrzegłszy to, rzekłem:

— Nie spodziewałem się nigdy, abyś się tu bawił tak dobrze.

— A któż ci powiedział, że ja się dobrze bawię? — zapytał Adam zaprzeczający chętnie wszystko, co tylko mógł zaprzeczyć.— Nie widziałem nigdy tutejszój reduty i chciałbym mieć o niéj jakieś zdanie, a chciawszy mieć jakieś zdanie o czémś, potrzeba się temu przypatrzeć.

Wtém przybliża się do mnie chłop mazurski z niezapaloném

cygarem w ustach i zaglądawszy mi w oczy, pyta mnie: — Nie masz noża?... Popatrzyliśmy obydwaj na niego, bośmy go obydwaj nie zrozumieli, — lecz ja tego chłopca i słów jego nigdy nie zapomnę i do dziś dnia nie jestem pewny, był-li to chłop rzeczywisty, czy utwór mojej wyobraźni, bo w sześć tygodni po owej redukcji, kiedy stałem związany wpośrodku trzechset chłopów na moim dziedzińcu, przystąpił do mnie taki sam, rzekłbym że nawet ten sam chłop, i zapytał mnie tym samym głosem:—A nie masz noża?

— Nie mam, — odrzekłem, — ale ty go masz!

— I ja nie mam, — odpowiedział mi na to chłop z żalem, — wszyscy sobie noże zabrali, a mnie się już żaden nie dostał.

O parę kroków dalej uczeplił się nas doktor jakiś w ogromnej upudrowanej i wypiętrzonej peruce i pytał o nasze słabości, — szepnąłem mu do ucha, że mój towarzysz potrzebuje lekarstwa na nudy. Zerwał się natychmiast nasz lekarz i przystąpiwszy do Adama, rzekł:—Nudzisz się, nudzisz, mój panie, musisz mieć wielki majątek... muszą ci płynąć dochody bez trudów i pracy... musiałeś już widzieć świat i wszystko na świecie; jednakże czyż nie możesz sobie wynależć żadnego zatrudnienia?

— Żadnego, — odpowiedział sucho pan Adam.

— Wypełniłeś już wszystkie swoje obowiązki? — Pan Adam milczał.

— Masz wieść? — zapytał lekarz.

— Mam i nie jedną.

— A masz ty tam szkółkę?... a masz ty...

— Nudnyś jest, — rzekł pan Adam, — chodźmy dalej.

Byliśmy już w drugiej połowie sali, w miejscu gdzie był ścisk największy i nietyle prochu się unosiło w powietrzu, który w przeciwną stronę wydobywał się z pomiędzy desek wzniesionych nad parterem.

— Czy pamiętasz ulicę Richelieu? — zapytało Adama czarne domino w tej chwili.

— Pamiętam, — i cóż? — odpowiedział z widocznym zajęciem.

— I pamiętasz Klotyldę, tak nazwaną la mouche du printemps?

— Pamiętam.

— Nie, zapomniałeś ją... zapomniałeś i pierwszy jej list odesłałeś nierozpieczętowany.

— Ktoś ci coś powiedział, lecz nie wszystko...

— I owszem, wszystko, bo wiem i to, że Klotylda, odebrawszy list swój nierozpieczętowany napowrót, odesłała ci natychmiast wszystkie podarunki, które miała od ciebie.

— Ale ich nie przyjąłem, — ofuknął pan Adam.

— Odesłała jej znowu, lecz i ona nie przyjęła, oddała je na fundusz domu podrzutków! — rzekło domino.

— Szczególna kobieta! — mruknął sobie pan Adam.

— Więc jeszcze jedna, — odezwał się półgłosem do niego.

— Dom podrzutków! — powtórzyło domino.

— No i cóż jeszcze? — zapytał pan Adam.

— Znam cię dobrze! o znam cię, — ciągnęła maska dalej, — pamiętam dobrze kiedyś w Marseille zastrzelił Anglika wojażera i położyłeś kamień na jego grobie.

— No, to rzecz zanadto wiadoma.

— Wiem ja i niewiadome.... wiem naprzykład, że od dnia urodzenia twego maskujesz się przed światem... udajesz charakter zimny, obojętny, niewzruszony, a tym czasem tak nie jest. Silisz się na to, iżby światu pokazać, że nie masz serca, ale masz rozum głęboki i obszerny, a tymczasem ty masz połowę serca, a niemasz rozum i sam się nieraz gniewasz na siebie, że ci ten rozum nie wystarcza. Pragniesz-li dowodów? dam ci na jedno i na drugie. Kiedyś zastrzelił Anglika.... chorowałeś trzy tygodnie; kiedyś się zdybał z Flotterwellem w Londynie, drżałeś na drugi dzień...

— Z Flotterwellem? — zapytał Adam zdziwiony, — czy znasz go?

— Znam. Po trzechletnim pobycie za granicą tak tęskniłeś za krajem, że zdybawszy się w Paryżu z Ignacym L., który dopiero przyjechał z kraju, rzuciłeś mu się na szyję, chociaż go nie znałeś...

— To nieprawda, — rzekł Adam.

— Więc musisz mieć jakieś serce... zresztą kochałeś się w Kamilli, zazdrościłeś twojemu bratu jęj miłości... a nie zazdrości się głową, tylko sercem... ale to serce!.. okropnie! pamiętasz trupiarnią w Szczebrzeszowicach? pamiętasz Adasiu?

— Cha, cha, cha, ten człowiek ma szczególny sposób wnioskowania, — rzekł do mnie Adam.

— I pamiętasz także, — odezwało się domino, — kiedy przyjechawszy do Paryża, należałeś do towarzystwa naukowego...

— No?

— Jakie tam zwodziłeś dysputy... jak dążyłeś do przewagi.. jak dnia,.. nie pomnę już którego, walczyłeś z Pacem na słowa... lecz upadłeś, twój rozum nie wystarczył. Dawniej jeszcze, chciałeś, o ja wiem jak gorąco chciałeś zaślubić Kamillę... lecz i tu twój rozum nie wystarczył. Przynajże, że cię znam cokolwiek.

— Gdzie się rodził? — zapytał Adam nagle.

— Na Wołyniu.

— Mój ojciec?

— Zginął nad Berezyną.

— Wychowywałem się?

— W Szczebrzeszowicach.

— Potém?

— Podróżowałeś z bratem.

— Potém?

— Służyłeś w artyleryi, wyjechałeś do Francyi i...

— A byłem kiedy w Besançon?

— Byłeś... przyszedłeś do Zakładu z misją, ale niezręcznie się wzięłeś do rzeczy, upadłeś i we trzy godzin odjechałeś.

— Dostosy! — rzekł Adam masce do ucha, — znam cię, wiem kto jesteś i poco tu przybyłeś, mam tylko zaszczyt ostrzedz cię, że tak jak ja, jak mówisz w Besançon, tak ty tu upadniesz z twoją misją, pamiętaj tylko na to, że ja z Besançon wróciłem do Paryża, ale ty ztąd nie wrócisz. Adieu! mieszkam w hotelu Drezeńskim i bywam cały dzień w domu.

— Czekajno jeszcze! — zawołało domino, — co się tyczy misji, to zostawmy każdy samemu sobie, lecz powiedz mi kiedy ostatni raz widziałeś Kamillę?

— Dawno już, nie pamiętam kiedy.

— Katoniel kiedy ostatni raz widziałeś Kamillę?

Adam się wzdrygnął i krew mu uderzyła do twarzy.

— Nie wzdrygaj się tak przed Katonem, — lat dziesięć może jak nie słyszałeś tego nazwiska, ludzie się kuli boją, lecz są tacy którzy się jój nie boją... a może i ja się nie boję. Dzisiaj jeszcze będziesz widział Kamillę..... i może się dowiesz co o twoim bracie.

— Kamilli widzieć nie chcę, o Adasiu nic się dowiedzieć nie pragnę, ale ciebie chcę widzieć! — wrzasnął Adam i wyciągnął konwulsyjnie rękę ku larwie domina, lecz ten się usunął i rzekł:

— Jutro się obaczymy gdzie chcesz, a jeżeli chcesz, to i dzisiaj.

— Dzisiaj! — rzekł Adam stanowczo.

Domino dobyło z zanadru karteczkę, wsunęło ją w rękę Adamowi i zniknęło, na karteczce były ołówkiem napisane te słowa:

W rynku, Nr 748 na czwartém piętrze, natychmiast.

Adam odczytał karteczkę i schowawszy spokojnie do kieszeni, wziął mnie pod ramię i rzekł:

— Zdaje mi się, że to jest pewien kolega wojskowy i emigracyjny Adasia, który się raz ze mną zacięcie kłócił w Besançon. Zresztą mniejsza o to kto, obaczę go, chodźmy do bufetu; bo nudna reduta.

Ja-bym był myślał, że reduta wcale nudną nie była, osobliwie dla Adama, lecz trudnoż się sprzeczać o to, na co niema dowodów.

Poszliśmy do bufetu i zasiedli do jedzenia. Adam mało mówił i nic prawie jeść nie mógł, w jego twarzy grały niezwyčajne kolory, oczy jego błyskały ogniem i niespokojnością, lecz słowa z nich wypływały zimne i lodowate jak zawsze; zaczęłem w tej chwili wierzyć, że pan Adam ma jeszcze jakąś połowę serca, które się czasem wije w jego piersi jak gad jadowity, lecz władzy nad sobą i przemocy nawet nie mogłem mu nigdy odmówić. Przy stole zastaliśmy kilku znajomych, zawiązała się gawędka, niebawem pokazał się szampan na stole, a z nim wesołość i swoboda. Kiedym popatrzył na zegarek, była druga godzina z północy.

— Chodźmy, — rzekł wreszcie Adam, biorąc mnie pod ramię, niepodobieństwo jest wprawdzie strzelać się natychmiast i tam gdzieś na czwartém piętrze, ale jeżeli zechce i będzie miał kogoś ze swojej strony, to cię proszę na świadka. Wyjdziemy innemi drzwiami, — dodał jeszcze nakoniec, — i pójdziemy pieszo, bo nie chciałbym zostawiać powozu przed tą kamienicą, gdzie może być awantura.

— Masz słuszność — rzekłem i poszliśmy.

Ciemno było w mieście jak w garnku, roztopiony śnieg spadał się pod nogami i bryzgał, szliśmy prawie po omacku, zdybując tylko tu i owdzie pojedynczo kręcące się maski i jeszcze piskliwym rozmawiające głosem. We wszystkich oknach pogaszone światła, gdzie niegdzie tylko błyszczała jakaś lampka gasnąca, albo przy łożu chorego, albo na stoliku jakiegoś nędzara.

— Jakżeż się doczytamy numeru, kiedy tak ciemno, że ja ciebie nie widzę? — rzekłem do Adama, brodząc w kałuży błota i śniegu.

— To prawda — odpowiedział on, — numeru przeczytać niepodobna, ale patrzmy po oknach, przecież się tam świecić musi.

Patrzmy, — rzeczywiście w jednej kamienicy po prawej na czwartém piętrze, ileśmy mogli uważać po odległości, w jedném oknie błyskało słabe światełko. Zadzwoniliśmy.

— Który to numer? — zapytaliśmy stróża.

— Siedemset czterdzieści i osiem — odpowiedział tenże.

— Więc chodźmy.

Wydrapawszy się na czwarte piętro po ciemku i domacawszy się jakiejś klamki, otworzyliśmy drzwi i weszli do nędznej izdebki, w której ku zdziwieniu naszemu taki nam się przedstawił obraz.

Izba mała i niska, której ściany brudne i porysowane, nosiły na sobie wielkie plamy, jak gdyby wilgocią zaciekle, po prawej w kącie stare i brudne łóżko, wielce do łóżek szpitalnych podobne, na niem na brudnej i lichej pościeli leżała chora kobieta. Kobieta ta mogła mieć lat blisko czterdziestu, lecz na jej żółkniałej twarzy były głębokie ślady nędzy i długiej choroby; głowa jej była o poduszkę oparta i twarzą obrócona do wnętrza pokoju, oczy miała zamknięte i tylko je czasem otwierała, aby przerazić przytomnych wzrokiem zastygniętym i trupim, wychudłe policzki zwiesiły się w długich zmarszczkach wzdłuż twarzy i zkarbowwały się około ust, usta były na pół otwarte, a między nimi było widać zęby cudownej piękności, lecz konwulsyjnie dziś zacisnięte, jakby po zażyciu cierpkiego lekarstwa. Rękę prawą zwiesiła z łóżka na ziemię, i trzymała ją tak nieruchomie jakby gałąź odciętą od drzewa i wiszącą jeszcze na jednej niteczce kory. Przy łożu, na jakiejś skrzynce drewnianej, dość nisko siedział starzec całkiem już siwy i łysy cokolwiek, był on małego wzrostu

i jeszcze nie ze wszystkiem stracił otyłość, którą jak widać się cieszył za lepszych czasów, o czém świadczył o wiele od niego obszerniejszy, wytarty frak granatowy. Na jego twarzy widać było zgryzotę, która wszakże nie zatrula lecz tylko przeszliźnięła mu się po sercu; można było być pewnym, że do jego szczęśliwości i głupio wesołego humoru, nie brakowało nic jak dobrego obiadu i szklanki wina. Siedział on tak pochylony ku twarzy choréj kobiety i trzymał w rękę wyszczerbioną filiżankę do polowy napelnioną lekarstwem, którego chora zapewne zażył już nie chciała. W innym kącie po lewéj stał drugi starzec, w długiej szaraczkowéj kapocie, która miała na sobie ślady liberyjnego kroju; starzec ten był bardziej zasmucony i opuściwszy głowę opartą o końce palców podniesionéj ręki, stał tak w kącie i dumal. Nie było na nim widać głodu ni nędzy; ten kawałek chleba, który tamtemu nie starczył, był dla niego dostatecznym, całe życie może nie znał innego, lecz w jego postawie widać było uszanowanie, które miał dla choréj niewiasty i siedzącego przy łóżku staruszka; uszanowanie, z którym wzrósł od dzieciństwa, które mu się stało drugą naturą, i dziś jeszcze przy grobie kazało się podzielić chlebem i pracą z swoimi dawnymi panami.

Kiedyśmy weszli do izby, staruszek we fraku wstał i przypatrywał nam się nieśmiało, poprawiając swéj kamizelki, tak prawie jak to zwykł dawniej być czynić, kiedy gości przyjmował w salonie. Kobiéta nas nie spostrzegła i nie ruszyła się nawet, — drugi starzec w liberyi, spojrzawszy na nas, ocucił się ze swojego gorzkiego marzenia i wyprostował się, jakby do wysłuchania rozkazów. Mnie cały ten widok niespodziękany nieprzyjemnie przeraził, serce mi zaczęło bić trochę, zaciekałem się w różnych ciemnych domysłach, lecz nie miałem odwagi coś stanowczego pomyśleć. Adam stanął jak wryty, zbladł i założywszy prawą rękę, w której trzymał kapelusz, pod lewą pachę, wpatrzył się silnie w kobiétę, której twarz zaczęła się trochę ożywiać i drgać konwulsyjnie. Zdawało się, że kona.

— Zdaje mi się, że to pan Adam, — rzekł staruszek we fraku, przystępując cokolwiek bliżej do pana Adama, — lecz ten zdawał się go nie słyszeć i twarz jego przeciągnęła się długo, nieznane dotąd zmarszczki się na niéj wyryły, niemy ból osiadł w oczach i na czole, i cała postać jego nagięła się cokolwiek ku łożu, z wyrazem żądzy i żalu, pragnienia i rozpacz, i tak skamieniała. Wewnętrzny głos jakiś, który był silnym w panu Adamie, dał mu odrazu poznać niepodobieństwo pomocy i żelazną konieczność tego, co miało się stać nieodwrotnie.

Na głos staruszka chora kobiéta otworzyła oczy, i jakby dwie szklane pochodnie wlepiła je tak konwulsyjnie w Adama, że aż jéj się głowa podniosła z poduszek, zdawało mi się, że ten wzrok trupi pije mózg z jego głowy, że go ssie i połyka po swoim promieniu, zdawało mi się nawet, że widzę ten promień

trupiego wzroku wiążący z sobą obie te głowy, obie te dusze bez serc i uczucia, że je nakoniec ściągnie ku sobie i albo życiem natchnie, albo zabije. Kobięta jeszcze wyżej głowę podniosła, jeszcze się silniej wpatrzyła i głosem umarłych rzekła: — Ha! Kato! — Jój ręka prawa podniosła się z ziemi nad łożo i upadła jak drewno na piersi, głowa się na bok zsunęła, usta się zamknęły, oddech chrypliwy oniemiał, tylko oczy zostały otwarte, w sufit wlepione, i jakby dwie zimne krynice, przezroczystym lodem obciążnięte, umarłe. Pani de Flotterwell skończyła.

Wtém dał się słyszeć dzwonek za drzwiami, które się niebawem otwarły, wszedł ksiądz z przenajświętszym Sakramentem i ostatnim olejem. Obróciłem się do drzwi i rzekłem księdzu, że chora już nie żyje, — ksiądz ukląkł we drzwiach i mówił modlitwę: rzuciłem okiem na umarłą, a przy jój łożu klęczeli już obadwa starce i pochyliwszy głowy, odmawiali paciérze za duszę umarłej. Jeden Adam tylko stał niewzruszony z wlepionemi oczyma w tą twarz zastygłą, może sobie przypominał jój rysy przed laty, może sobie czynił wyrzuty, a może tylko układał jaką zimno praktyczną zasadę, która miała być nową cegielką do gmachu jego empirycznej filozofii.

Po chwili ksiądz wstał i zapytał:

— Jakaż choroba stała się śmierci przyczyną.

— Nędza, mój panie, nędza! — odpowiedział stary sługa, wstając od paciérza.

Adam się ruszył i dobywszy paczkę banknotów z kieszeni wręczył ojcu zmarłej, — starzec je przyjął i machinalnie się uklonił, — Adam miał już twarz spokojną, jak zawsze, jak gdyby nic nie było, wziął mnie pod ramię i zabiérając się do wyjścia, rzekł:

— Ani śladu niemasz tój uderzającej piękności, jaka była przed laty szesnastu.

Wtém drzwi się otworzyły z łoskotem i wpadł człowiek średniego wzrostu, elegancko lecz niedbale ubrany, z włosami rozrzuconemi na głowie, z chustką przekręconą na szyi, zadyuszany i cały czerwony na twarzy, i przystąpiwszy do Adama, zawołał:

— Widziałeś ją! widziałeś!...

— Panie Adamie! — rzekł do niego ojciec Kamilli — moja córka już nie żyje.

— Nie żyje! — wrzasnął Adaś i upadł na kolana, — a myśmy obadwa wyszli z Katonem.

— Nie widziałem go lat szesnaście, — rzecze mi Kato na schodach, alem go poznał odrazu; taki sam jest, jaki był wtedy, kiedy go widział żegnającego się z Kamillą przy akacyach w Jędrzejówce.

Nie odpowiedziałem nic na to, — przeciwieństwo usposobień obudwóch tych braci i ich manifestacye przy łożu umarłej kochanki tak mnie zmieszały i tak różne we mnie wywołały uczucia, iż nie uważałem wcale kiedyśmy zesli ze schodów i przeszli całą drogę po błocie i śniegu aż do bramy Drezdeńskiego hotelu. Aż kiedy pan Adam pociągnął za dzwonek, obudziłem się z tego nocnego snu, odbytego na jawie.

— Dobranoc ci! — rzekłem, biorąc go za rękę. Adam nic nie odpowiedział, — odszedłem, a aż o kilkanaście kroków od niego usłyszałem słowa: — Jeżeliś łaskaw, odwiedź mnie jutro.

Na drugi dzień przed wieczorem dopiero wybrałem się odwiedzić pana Adama; przyszedłszy, zastałem go po podróznemu ubranego i rozmawiającego z adwokatem.

— Cóż się dzieje? — spytałem go, widząc że wszystkie rzeczy już były w walizach, a z dziedzińca się trąbka pocztowa odzywała.

— Jadę.

— Dokądże?

Adam nic nieodpowiedział, rzuciłem okiem na stół, gdzie leżał paszport otwarty, — spojrzałem, wiza była: Przez Francją do Zjednoczonych Stanów Ameryki.

— Nudne to wasze miasto — rzekł on nareszcie, biorąc futro na siebie, — niepodobna w niém dłużej jak miesiąc wysiedzieć — bądź zdrow! z Paryża przysłę ci adres, napisz mi jak się skończą te ruchy wasze, o których dziś już tak głośno gadają; będzie mnie to interesować. — Trąbka się jeszcze raz odezwała, pan Adam wsiadł i wyjechał.

W parę dni poznałem także Adasia. Był to człowiek szczególny, o rok tylko młodszy latami od swego brata, lecz życiem, ruchem, sercem młodszy o lat dwadzieścia od niego. Zabraliśmy z sobą dobrą znajomość — było jakieś powinowactwo pojęć i uczuć pomiędzy nami. Opowiadał mi on obszernie całą młodość swoją i swój stosunek do Katona, opowiadał mi miłość swoją do panny Kamilli i wszystkie téj miłości szczegóły. Nie mogę powiedzieć, żeby się różnił w podaniu faktów ze swoim bratem, ale te fakta w jego opowiadaniu nabierały innego znaczenia. Adaś był to człowiek gorący i zapalony, jego serce otwierało się równo dla wszystkich; był słabym, podlegał najróżniejszym wrażeniom, lecz w pewnych chwilach zapału był zdolnym do wielkiego czynu, do poświęceń był prawie stworzony, a kiedy się czém zajął, to całą duszą. O swoim bracie nie mówił źle, a nigdy z ujmą jego charakteru, i owszem, to wszystko co w nim widział złego, starał się pokrywać i uniewinniać. Nie mogliśmy długo być z sobą, bo ówczesne okoliczności powoływały każdego na to miejsce, na którym zajmował pewne stanowisko w społeczeństwie; lecz rozjechaliśmy się z prawdziwym żalem, że się rozłączyć musimy, przy-

rzekliśmy sobie pisywać do siebie i obaczyć się jaknajprędzej. Lecz nie stało się tak.

Nadeszły nieszczęścia roku 1846. Los rzucił ludźmi wedle swego kaprysu, długo nie mogłem mieć żadnej o Adamie wiadomości; w rok dopiero potem dowiedziałem się z żalem, że Adaś zginął we Włoszech.

KONIEC KATONA.

BRACIA ŚLUBNI.

Nie to mąż, który żoldem rycerskim się bawi,
Nie ten, który nad błaznem pomstą ręce krwawi,
Nie to, który dość serca ma i wielkość siły,
Ani téż to, któremu i żywot nie miły,
Nie to, który postronki targa, a podkowy
Żelazne w ręku łoma, nie to, kto stołowy
Góźdz kręci, albo młyńskie zastanawia koło,
Albo talérz dębowy rozbija o czoło;
Nie to, który swą głową cudze drzwi wybija,
Ani to, który garnców kilka duszkiem pija.
Nie to, który szczęśliwie pojedynki stroi
A nieprzyjaciela się żadnego nie boi,
Nie to, który duż w ręku albo na raz trwały,
Nie to, który szwank może wytrzymać niemały:
Ale ten, który mężnie fortuny skaranie
I swe frasunki nosi, a żadnej odmianie
Tak w złym jako i w dobrym nie podległ. Takiego
Mężem zowę i dank mu daję męztwa swego.

Hieronim Morsetyn.

I.

W ogromnej gór rozwalinie, ciągnącej się od granic wsi Bereźnicy aż do brzegów rzeki Hoczewki, w prostej prawie linii od wschodu do zachodu, leżą dwie wsie graniczące ze sobą. Wsie te, z których większa zwie się Żernica, a mniejsza Żerniczka, dawniej zapewne jednego domu bywały własnością, może nawet zgola przez jednego były założone szlachcica; o ile wszakże świadczą najstarsze papiéry i najdawniejsze podania, zawsze Żernica była gniazdem starożytnego domu Bobowskich, a na Żernicze siadawali nieustępujący tamtym w niczym Osuchowscy.

Obadwa te domy, od niepamiętnych czasów tak blisko sąsiadujące ze sobą, piękną téż i nigdy niezakłóconą przyjaźń zawsze żywiły dla siebie, a lubo główną téj przyjaźni przyczyną było raz tak blizkie sąsiedztwo, a powtóre poczciwość i dobre serce chowające się spadkowo w obudwu tych rodach, toż jednak inni, czy to cudzej przyjaźni zazdrośni, czy to wszystko na świecie swoim rozumem tłumaczyć chcący, przypisywali to raczej temu, że tak Bobowscy jak Osuchowscy zarówno wiele wazyli sobie znakomitość swojego rodu i przybiierając do siebie li tylko jeszcze Żurowskich, zawsze za pierwszych pod tym względem chcieli uchodzić w całej sanockiej ziemi. Wszakże gdyby nawet i ta była ich pięknych ku sobie afektów przyczyna, nie można im tego było brać za złe, bo rozpytawszy się starych ludzi i ksiąg starych się poradzwszy, nie można im było nie przyznać pewnej słuszności.

Bobowscy bowiem należeli rzeczywiście do najstarszych nie tylko w ziemi sanockiej, ale nawet w całej Rzeczypospolitej rodów, a pieczętując się Gryffem, wiele mieli o sławie swoich przed-

ków do opowiadania, i jeżeli sławny jest w dziejach on Zygmunt z Bobowy, podsędek ziemski krakowski, którego podpis czytamy na przywileju jedlińskim Władysława Jagiełły, a który na grunewaldzkiej potrzebie, obyczajem starych Polaków, kiedy się wszyscy herbowi, chociaż pomiędzy sobą nie krewni, pod jeden znak gromadzili, chorągiew Gryffów przywodził; jeżeli sławnym jest Jan Bobowski, którego regiment pieszy za Zygmunta III-go taką odznaczał się chwałą, a z którego to regimentu wyszedł on późniejszymi czasy tak sławny wojownik Aleksander Lissowski; jeżeli sławnym nakoniec jest Albert Bobowski pod imieniem Ali-Beba znany, który za młodu przez Turków w niewolę wzięty i tam się poturczywszy, siedmnastu języków się nauczył i książki takie na świat wydał, które swojego czasu znała cała Europa; — toż i Osuchowscy, pieczętujący się Gozdawą, a liczący niemnie sławnych siedmiu swych przodków w grunewaldzkiej, czterech na cecorskiej, a jedenastu na wiedeńskiej potrzebie, nie mieli zupełnie powodu kłaść siebie niżej od swoich znakomitych sąsiadów.

Przyjaźń też tych obudwu szlacheckich rodów pomiędzy sobą, której dawność i trwałość nie na lata jak dzisiaj, ani na lat dziesiątki, ale na wieki liczono, nie objawiała się światu samemi czczeni komplementami, powtarzanemi sobie wzajemnie, ani drobnemi przysługami sąsiedzkimi, które albo nic, albo niewiele kosztują; ale potwierdzoną ona była tysiącami opowieściami, które od lat najdawniejszych tradycyjnie od pokolenia do pokolenia przechodząc, świadczyły jawnie, że nie było tego dobra ziemskiego, któregooby w nagłym razie odmówił był kiedykolwiek dziedzic Żernicy dla dziedzica Żerniczki, albo przeciwnie. Opowiadano tedy, jako jeden Bobowski na wojnie chocimskiej własną pierśią zastonił walczącego przy swoim boku Osuchowskiego, i sam poległszy, życie tamtemu ocalił. Opowiadano dalej, jako znów na drugiej chocimskiej Osuchowski dał się samowolnie wziąć w jasyr bisurmanom dlatego, ażeby już pojmanego wcześniej nie zostawić bez siebie Bobowskiego. Inna też niosła ze szczegółami wiadomość, jako jeden Bobowski za zginionym wśród burzliwych za Jana Kazimierza zamieszek Osuchowskim, lubo sam cało i zdrowo powrócił do domu i jeno mu było siedzieć i chwalić Pana Boga na dworze żernickim, puścił się na długoletnią po całym świecie wędrowkę i póty się tułał po krajach zamorskich, póki swojego sąsiada, ożenionego już w Danii, nie odszukał i nie przyprowadził ze sobą; z interczy zaś ślubnej panny Bobowskiej, która za panowania Jana III-go wyszła była za Bukowskiego, sędziego ziemskiego pilźnieńskiego, można się dowodnie przekonać, że obdłużona powyżej wartości Żernica, byłaby już wtenczas wyszła z rąk Bobowskich, gdyby był Osuchowski, podczaszy naówczas przemyski, świeżo nabytej wsi swojej Procisnego nie sprzedał i tą sumą Bobowskiego z rąk wierzycieli nie wykupił.

Przyjaźń ta tak poświęconych dla siebie sąsiadów w począt-

kach panowania pierwszego Sasa doszła nawet była do tego stopnia, że naówczas żyjący Żernicy i Żerniczki dziedzice budowali sobie tak zupełnie wedle jednego planu dwory i inne zabudowania, że przy zupełnym podobieństwie obudwóch wsiów położenia i miejsca, na którym też dwory stały, żadnej innej pomiędzy nimi nie było różnicy, krom tej, że przeciwko okien żernickiego dworu, na drugiej stronie rzeczki, która także i wieś Żernicką przecinała, był las dębowy starożytny, którego już w Żerniczce niepodobna było zasadzić. Zresztą obadwa te dwory, które nietknięte prawie dotwały aż do końca panowania Stanisława Augusta, zupełnie były podobne do siebie. I tak: naprzód przy samym wjeździe tu i tam stała brama wysoka, murowana, czworograniasta, nad którą niewielkie się podnosiło piąterko, a w niem dwie izby dla wartowników. Za bramą rozciągał się coraz w górę podnoszący się dziedziniec, na którego środku nie było po staremu drzew żadnych, ani onej lipy rosochatęj, samotnej, pod której cieniem zwykli zasiadać starszowie biali do kubka miodu, do paciędzy za poległych na wojnach dalekich ukochanych swych towarzyszy, do marzeń o dawnych czasach i do rozmyślań o onej trumnie dębowej, która stała nagotowana pod łóżkiem, o Bogu odpuszczającym w łasce swęj grzechy tego świata, o onym świecie nakoniec, przez nikogo nieodgadnionym, a zapełnionym duchami ojców naszych, przyjaciół, krewnych.... ale na tém miejscu tak w Żernicy jak i w Żerniczce stał słupek w pół człowieka wysoki, drewniany, z tablicą kwadratową na sobie, na której zamieszczony był zegar słoneczny. Około tego słupa w przytomności pańskiej, który z gościśmy siadywał w ganku, stawali masztalercze, kiedy na linewce puszczali na około dziedzińca tureckie ogiery, albo doma chowane żrebce, dla sprezentowania ich gościom; około tego słupa karmiono pańskie ogary codziennie, i po powrocie z polowania, łakomą dla nich dawano odprawę; około tego słupa nakoniec za nieposłuszeństwo, lenistwo lub inną swawolę, stawiano sługi dworskie na wstyd i poprawę, bo nie było zwyczaju ani u jednego ani u drugiego z sąsiadów za lada powodem bizunem boćkowskim okładać plecy chłopskie.

Dalęj za onym słupem, a wprost naprzeciwko bramy, stał dwór murowany z kamienia; bo tak w jednej wsi jak i w drugiej łatwiej o kamień i wapno, niż o drzewo budulcowe. Dwór był murowany po staroświecku, ganek miał z przodu na czterech słupach oparty i ławami opatrzony po bokach, w środku sień wielką kamiennymi wyścieloną płytami, po prawęj izbę wielką gościnną, w której wszystkie po przodkach odziedziczone i przez każdoczesnego dziedzica nabyte, niby na wystawę gościom były zgromadzone bogactwa: więc złotem tkana makata na Turkach pod Chocimem przez jednego z Bobowskich zdobyta w żernickim dworze, i podobna maka w Żerniczce przez jednego z Osuchowskich przywieziona z pod Wiednia; dalęj tu i tam perskie dywany, drogo-

cenne, po brzegach złożone, a z za morskiego drzewa misternie rzezane sprzęty, w metalowe a grubo złożone ramy poujmowane zwierciadła, grające i kukające zegary, misterne malatury z historyi świętej i lada jakich rycerskich przodków portrety, dalej hełmy, misiurki i rdzą już zarosnięte pancerze, których ich właściciele zapomnieli wziąć ze sobą do grobów, nakoniec srebra domowe, które herbownemi cechami swojemi i napisami z szaf dębowych przez szkła wyglądały. Za tą komnatą szły dalsze izby naokoło domu, i było ich siedem, aż ósma, która się już po lewej stronie od sieni na samym rogu domu znajdowała, była tak tu jak i tam sypialnią pańską i kancelaryą.

Po lewej stronie dworu, tak w Żernicy jak i w Żerniczce, stała wązka i długa oficyna, w której kuchnia, parę pokoiów gościnnych i pomieszkania sług co przedniejszych; po prawej zaś już jedno za drugimi wyciągały się stajnie i obory, stodoły i brogi, które znów drugi formowały czworogran, i znów odpowiedni dworskiemu miały w smym środku dziedziniec, z tą jednak od tamtego różnicą, że tamten był czysty i gładką, w lecie co tydzień podkaszana wyścielony murawą, ten zaś z jednej strony brunatnemi zarzucony mierzwami, z drugiej w całej rzeczy był stawem, ciemno-zieloną i swemi wyziewami zabijającą napelniony gnojówką.

Takie wybudowali sobie dwory i obejścia nierozzerwaną przyjaźnią ze sobą powiązani sąsiedzi; jednakże z tą przyjaźnią, o której powiadano, że od niepamiętnych czasów nigdy się nie rozzerwała ani na rok jeden, bo jeszcze zawsze za życia ojców synowie statecznym się ze sobą wiązali afektem, już zaraz z końcem panowania Augusta II-go zdarzyło się tak, że się rozzerwała na czas dłuższy i nie mogła mieć nadziei tak prędkiego zawiązania się nanowo. Stało się bowiem tak, że pan Fryderyk Osuchowski, łowczy sieradzki, a Żerniczki naówczas dziedzic, jako to żołnierź sławny swojego czasu i niepraktykowanie gorący w boju, poszedłszy z królem Stanisławem Leszczyńskim do Gdańska, tam drapiąc się kędyś niepotrzebnie na mury forteczne, ustrzelony w samo skronie od Sasów, padł i ducha wyzionął na miejscu, zostawiwszy w Żerniczce żonę i syna wprawdzie, ale takiego, któremu było dopiero lat kilka; — na Żernicy zaś jak siedział tak siedział zawsze jeszcze stary pan Michał Bobowski, stolnik sanocki.

Około połowy panowania Augusta III-go, pan Michał Bobowski miał już lat siedemdziesiąt z okładem, a ci, którzy go pamiętali od dawna, powiadali nawet że więcej. Starzec to był wysoki wzrostem i tak chudy, że po obudwu stronach kontusza miał poprzyszywane szlifki sukienne, przez które pas musiał przeciągać, ażeby się z niego nie zsunął. Czuprynę na głowie miał białą jak mleko i tak gęstą jak szczotka; twarz miał obdłużoną, której barwa żółta była na czole jakby pergamin a na pucyckach sinawa, nos wielki orli i oczy wielkie niebieskie, prawie zawsze nieruchome i zamyślone. Pan stolnik sanocki bywał po kilka razy

posłem na sejmach i deputatem na trybunałach i wielkiego zachowania używał u szlachty; zachowanie to jednak nie tyle miał do zawdzięczenia swoim poselstwom i deputacyom, ile swojej nieporównanej znajomości wszystkich praw, statutów i konstytucyj, którą nawet najzawołańszym imponował legistom, jako też i onęj subtelnej sumiennosci, której aż nadto dostateczne dowody dawał niegdyś na swoich funkcjach sądowych, a dzisiaj jeszcze na kompromisach, na które zwykła się była zapisywać nie tylko cała ziemia sanocka, ale nawet szlachta z ziem oddalonych. I te to funkcje sądowe, na których cały swój młodszy wiek strawił, jakoż i ustawiczne sądenie sporów sąsiedzkich na sądach polubownych, od których nigdy wolnym być nie mógł, głównie zaś jego wrodzone do pracownictwa zamiłowanie, uczyniły z niego tak zapalonego jurystę, że lubo go do tego później już żadna nie zniewalała potrzeba, on jednak przez cały czas od zatrudnienia gospodarskiego lub innych obowiązków rodzinnych, kodeksami i paragrafami tak był zajęty, jak gdyby krom tego nic już innego nie istniało na świecie.

Pań stolnik sanocki miał, jak się to wyżej już rzekło, wieś dziedziczną Żernicę; prócz Żernicy dziedziczył jeszcze i na Rogach, wsi pięknej i bardzo intratnej, a położonej pomiędzy Rymanowem i Krośnem, i zbyteczne to natężenie się nad paragrafami nic nie szkodziło tym obudwu dziedzictwom; bo wsie te były tak czyste od wszelkich długów, a nawet od jakichkolwiek wątpliwości granicznych, że pan stolnik raz rozgadawszy się széroce z palestrantami w Sanoku, sam z własnej woli ofiarował tysiąc czerwonych złotych temu, któryby coś na nim sądownie wygrać potrafił, i żaden nie podjął się tego; biegłość ta jego w jurysteryi i te jeszcze zresztą przyniosła pożyteczne owoce, że dziedzic Żernicy i Rogów nie tylko nigdy nie pożądał cudzego grosza, ale nawet, jak powiadano, skrzynię w swęj kancelaryi miał dobrze zaopatrzoną i gotowizną i rewersami mniej gospodarnych sąsiadów, a że nie jedna drapieżna ręka, sięgająca po cudzy majątek i nie jednej familii majątkowy upadek tylko jego pancerną paragrafami głową powstrzymane zostały, o tém wiedziała swojego czasu cała ziemia sanocka, wiedziały i dalsze krainy.

Ale pan stolnik miał syna, rówieśnego prawie latami Łowczycowi Osuchowskiemu z Żerniczki, a synowi temu Józef był na imię. To dziecko można powiedzieć że umęczone było za życia ojca. Ubrdało się bowiem panu stolnikowi koniecznie z Józefka wielkiego uczynić legistę. Męczył też to dziecię tak statutami i paragrafami, że Józefek w dwunastym roku swojego życia, jakie tylko były znane natenczas w Polsce statuta i prawa, nie wyjąwszy nawet Speculum Saxonum i wszystkie Magdeburgie, umiał na pamięć jak paciérz, a oprócz tego wprawiał go był już ojciec w taką praktykę, że ten maluczki chłopiec sam musiał utrzymywać dekretarz wszystkich ojcowskich sądów kompromi-

sarskich, a oprócz tego prowadzić także i sentencyonarz spraw takich, które nie dostały się nigdy panu stolnikowi do sądenia, a które on, dowiedziawszy się o nich tylko ze stuchu, rozsądzał sobie w domu dla ćwiczenia.

Pan Bobowski miał dwie wsie dziedziczne, skrzynie pełne gotowych zasobów i reputacyą jednego z najzamożniejszych szlachty na całą ziemię, i był téż nim w rzeczy; więc wpadło to w oczy sąsiadom, że będąc w tak pięknej sytuacji, jedynaka syna męczy tak bezpotrzebnie naukami, i litowali się nad Józefkiem i prosili za nim ojca; ale to nic nie pomagało. Pan stolnik powiadał:—Majątek w dzisiejszych czasach rzecz bardzo krucha. Najbogatszy u mnie jest ten, który majątek ma w głowie. A zresztą, choćby i nie to, to warto coś także i dla sławy uczynić, bo już ciż rzecz oczewista, że kiedy ja, którego nic nie uczono za młodu, sam do tego doprowadziłem, że mnie znają na kilkadziesiąt mil naokoło, toż on, który już teraz zna wszystkie prawa na pamięć, kiedy do swoich lat przyjdzie, powinien być znany przynajmniej połowie Europy. Pan Albert Bobowski jeńcem był przyprowadzony do Carogrodu, a przecież nauczył się jeszcze siedemnastu języków; został pierwszym tłumaczem sułtana, a Ali Beba zna dzisiaj świat cały.

Napróżno argument pana stolnika argumentem zbijali sąsiedzi, że nie dla niego to sława, na którą zarabia się piórem i niemieckim nad bibulami ślęczeniem, że nie rzecz jest rycerskiego szczepu potomstwo do mniszego zatrudnienia zaprawiać,—wszystko to było napróżno! pan stolnik bowiem, jak raz co w swojej ułożył głowie, to *et sinam fractus dilabatur orbis*, nie odstępował od tego; więc biedny Józefek bladł coraz bardziej i mizerniał pod pandektami, a starożytna krew Gryffów, która za igraszkę sobie miała gruchotać kości wyborowi krzyżackiego rycerstwa pod Grunewaldem, wysychała w nim już do szczętu.

Ale niedość jeszcze było téj męki, którą mu cierpieć przyszło pod okiem ojca: Kiedy bowiem Józefek doszedł lat kilkunastu, oddał go pan stolnik do pana pisarz i grodzkiego sanockiego na aplikanta, ażeby tam praktycznie poznał całą jurysteryą od deski do deski. Biedny chłopczyzna, kiedy się nagle znalazł w Sanoku, i to ulokowany na najniższym szczeblu sądowniczej hierarchii w powiecie, sam nie wiedział co się z nim stało. Nie miał matki nieborak, któraby się swego dziecka ujęła i nie dała mu się poniewierać pomiędzy sądowniczym motłochem, nie miał krewnych statecznych, którzyby byli potrafili przemódz niecofnione postanowienie ojca; nie miał przyjaciół nawet, którzyby go dobrą radą wspomagali, łzy jego ukoili i pocieszając na teraz, pokazali choć w oddaleniu nadzieje. Cierpiał téż biedny Józefek w milczeniu, pracował po dniach i po nocach, a potyrany przez wszystkich, był jeszcze przedmiotem urągania i gburowatych przycinków dla podłej halastry Popowiczów i Kutasińskich, którzy radzi widzieli

potomka znakomitego rodu choć na chwilą na równi ze sobą. Jednakże i w tym małym i paragrafami zagłuszonym dzieciaku przebrała nakoniec miarkę swoją cierpliwość, a chociaż umiał sobie taki gwałt czynić w domu, że ani poznać nie dał po sobie wrodzonej do paragrafów niechęci, tutaj jednak zdobył się na to, że nocą uciekwszy z kancelaryi pana pisarza, przybiegł piechotą do ojca do Żernicy i do nóg mu upadłszy, zaklął go na wszystko, że raczej w piecach palić będzie w żernickim dworze, niżeliby miał być torbiferem w Sanoku. Zgniewał się pan stolnik na syna, nie tyle za to że uciekł z funkcji, ile za to, że palenie w piecach przyniosło nad stan jurysty, i nie odesłał go już napowrót do pana pisarza, ale też go i ze swojego paragrafowego objęcia nie wypuścił już aż do śmierci. Męczył się tedy znowu Józefek nad pandektami i po staremu, a nawet z wrastającym wiekiem i objęciem coraz obszerniejszą i cięższą musiał pędzić służbę około dekretarzy i sentencyonarzy, i było tak, że kiedy pan stolnik już był ociemniał, a pan Józef już chłop setny natenczas i pod wąsem, czytając mu różne konstytucye albo dekreta sejmowe przy łożku, gdy w czym się omylił, to takiego jeszcze nieraz kpa wziął za to, jak gdyby miał dopiero lat dziesięć albo dwanaście. Tymczasem kiedy wychowanie odbierał przyszły dziedzic Żernicy, całkiem inaczej się działo w Żernicze. Pani łowczyna Osuchowska, kobieta już nie młoda wiekiem i podobno niegdy niebardzo szczęśliwa w pożyciu z mężem, z siedmiorga po kolei pomarłych dzieci modlitwami sobie u Pana Boga uprosiwszy życie tego jednego, takie dawała wychowanie swojemu ukochanemu Stasiowi, jak Bóg dał, albo zrzędały przypadki. Najprzód tedy, lubo wiedziała dobrze że w tych czasach i szlachetnie urodzonemu dziecku koniecznie potrzeba nauki, i lubo pragnęła z duszy, ażeby jej Staś ukochany, jeżeli nie więcej, to przynajmniej tyle posiadał nauk co wojewoźdź który, lub kasztelanik krakowski, toż jednak tak długo nie mogła się oswoić z samą tą myślą, że w tym celu trzeba go będzie odwieść do miasta, do jakiego konwiktu, i samęj pozostać w Żernicze, że Stasio już dwunasty rok kończył i zaledwie to wiedział, że są jakieś druki i litery na świecie. Ale za to umiał on celnie z łuku strzelać do tarczy, koni oklep dosiadać, ptaki imać na siłki lub w samotrzaski, a nawet i do flinty już się nie raz porywał, czemu wszystkiemu nietylko nigdy nie przeszkadzała, ale owszem nawet sama lubiła przyglądać się matka i cieszyło ją to, i powiadała: — Nieodrodna to krew Gozdawitów, czysto ojcowska natura. — A trzeba wiedzieć, że pani łowczyna była z domu Orzelska i jej ojcowie pieczętowali się także Gozdawą.

Sróż tego czasu pan stolnik sanocki téj i owéj niedzieli pozwalał swojemu Józefkowi przejść pieszo, albo przejechać się wózkim, do Żerniczki do Stasia. I było to wielkie szczęście dla Józefka natenczas i największa uciecha. Jednakże kiedy tam przyjechawszy, wybiegł z swoim rówieśnikiem w podwórze i sam chudy,

blady, z poźółką na twarzy i do pargaminów podobną cerą, z zapadniętymi piersiami, zaledwie zdaleka śmiał patrzeć, jak tamten chłopiec czerstwy, rumiany i z natury odważny, koni śmiało dosiadał, przez płoty i rowy swawolnie sadił i po drzewach się wspinał dla założenia tam siłek lub otrzęsienia owoców, to aż się dusza w nim radowała i śmiał się, ale często śród śmiechu odwracał się nagle, wzdychał ciężko i płakał. Staś poczciwy, lubo niewiele się znał na westchnieniach i płaczu, jednak zasmuconego ujrawszy sąsiada, rad porzucił swawolę i pocieszał go jak mógł w tym frasunku, a kiedy nie wiedział już co wymyślić, doradzał mu iżby namówił ojca, aby go do szkół odesłał: tam—powiadał—napędzimy księży ze szkoły i będziemy swawolić do syta. Ale wkrótce i Stasiowa swawola niespodziewanie się zakończyła: przyjechał bowiem około tego czasu brat stryjeczny pani łowczynej do Żerniczki, brat który był pijarem, księdzem mszalnym i profesorem w konwikcie warszawskim, a który miał w imieniu swojego rodzeństwa ułożyć się o podział jakiegoś świeżo spadłej spuścizny z panią łowczyną, Książd ten, kiedy obaczył 12-letniego chłopca, urodzenia szlacheckiego, nie umiejącego ani czytać ani pisać, ledwie chciał wierzyć temu, i odprawiwszy kilka mszy świętych na przebłaganie Pana Boga za taką herezyą, płaczącą matkę zostawił w domu, a ciekawego Stasia zabrał ze sobą.

Odpadła tedy Józefkowi natenczas nawet i ta ostatnia rozrywka. A kiedy w lat dziesięć potem pan łowczyk Osuchowski, strawiwszy te lata częścią na naukach, częścią na jakiegoś służbie dworskiej, już młodzian pod wąsem, piśmienny i dabrze po świecie otarty, na swoje dziedzictwo powrócił, to zastał wiele odmian, jak zwyczajnie w lat dziesięć na świecie: wielu sąsiadów i przyjaciół wymarło, wiele młodzieży podrosło; matka jego już się zestarzała na dobre, pan stolnik już był ze starości ociemniał, ale pan Józef, lubo już był także wyrósł potężnie i zmężniał, jednakże zawsze jeszcze śleczął dniem i nocą nad coraz nowemi księgami i zapewne o niemało statecznych wiadomości wzbogacił się jego głowa, ale ze świata żywego znał tylko tyle przybyło mu wyobrażeń, ile ich na kilku-miesięcznej praktyce u pana pisarza w Sanku mógł nabyć.

Przybywszy pan łowczyk do domu i nacieszywszy się z matką swoją do syta, niebawem też pojawił się i w Żernicy, a tam ujrawszy co się z jego towarzyszem zabaw dzieciennych jeszcze wciąż dzieje, jako to człek już światowy i pomiędzy młodzieżą miejską i dworską cokolwiek już ośmielony, i tą śmiałością swoją témci bardziej na prowincyi pochwalić się chcący, zaraz też ze swojemi uwagami w tym względzie przed panem stolnikiem wyjechał. Ale pan stolnik nie był tym człowiekiem, któremuby ktoś swoim rozumem mógł imponować, a témbardziej człek młody i niedowarzony; wyciął on też zaraz panu łowczycowi potężną oracyą, a nakoniec dodał: — Jeżeli łaska, to przyjeżdżaj sobie do mego

Józefka, bardzo mnie to kontentować będzie; zawsze to Osuchowscy zaszczycaли swoją przyjaźnią Bobowskich, więc i wy możecie sobie razem koni dosiadać, albo w palcaty pójść czasem ze sobą, bo to młodzież to lubi swawolę, ale opiekę nad Józefkiem zostaw z łaski swojej już temu, któremu ją Bóg sam poruczył. — I tak zostało znowu po dawnemu. Pomimo to jednak łowczyc zrazu, już to przez dobre serce i przyjaźń, którą miał dla stolnikowicza, już to z nudów, których po dworskiem i miejskiem życiu doznawać musiał w Żernicze, szesto się jawił Żernicy; lecz kiedy się z czasem pokazało, że jego usposobienia z usposobieniami Józefa, jego cały nawet charakter z charakterem tamtego tak nie są zgodne, że się pomiędzy nimi żadna bliższa nie zawiązuje relacya, to przestał całkiem bywać w Żernicy, a znalazłszy dla siebie odpowiedniejszą kompanią w powiatowej młodzieży, a głównie pomiędzy jój junakami, których natenczas kilkunastu było w sanockiej ziemi, zostawił Józefka i nadal opiece Boskiej i pana stolnika.

W kilka lat jednak potem, postać rzeczy całkiem się zmieniła: pan stolnik bowiem, obłożony kodeksami i konstytucyami, oblany łzami swojego szczerze do siebie przywiązanego syna, przeniósł się na świat tamten, ażeby stanąć także pod oną Grunewaldską Gryffów chorągwią, pod którą wszyscy jego ojcowie się gromadzili, ale pod którą jeszcze dotychczas żadnego Gryffa legisty nie było.

Po śmierci ojca, pan stolnikowicz gorącemi zalał się łzami. Pojrzał po świecie i widział świat wielki i szeroki i zimny, trudny do przejścia, niepodobny do zrozumienia, tak jako jest w książkach; pojrzał po swoim majątku i widział dwór i wieś ludną, sług pełno, poddanych, dobytku i sprzętów; pojrzał po sobie i widział siebie osieroconym, samotnym, niedoleżnym i nieumiejącym nawet jednego dać kroku — i znowu zalał się łzami. I jeszcze raz zalał się łzami, kiedy się przekonał u siebie, że nawet pogrzebu ojcu zarządzić nie będzie w stanie.

Tak długo płacząc samotnie i rozmyślając nad sobą, posłał nareszcie po pana łowczyca. Pan łowczyc natychmiast przyjechał, jak mógł tak sąsiada swego we łzach i żalu utulił i nie odstępując już ani krokiem od niego, pogrzeb piękny zarządził, nabożeństwo wielkie rozkazał, gości siłą pospraszal, w kuchni ład przyzwoity uczynił, piwnicę od lat kilkunastu nietkniętą otworzył, i wszystko tak pięknie zrobił, że było aż nadto dobrze, jak na smutny obrzęd pogrzebu. Józefek, który do niczego ani się nie odezwał, nie mógł się dosyć nadziwić, jak to Staś wszystkiemu podola, będąc tak młodym jak on i nie mając nikogo starszego nad sobą, ale przy stypie jeszcze bardziej się dziwił, jako ludzie starzy i bardzo stateczni jego zdrowie pili wielkimi puharami, kłaniali mu się wszyscy i z taką się oświadczałi przyjaźnią, jak gdyby jakieś największe do tego ich zniewalały obowiązki. A ponieważ wiedział, że ci ludzie żadnych względem niego obowiązków

nie mają i tylko z dobrego serca to czynić mogą, więc nabrał innej otuchy i innych wyobrażeń o ludziach i świecie, niżeli te, które mógł o nich powziąć z akcyj sądowych i karnych kodeksów.

Tymczasem przez zawezwanie pomocy pana Łowczyca do urządzenia pogrzebu, zawiązał się znów bliższy stosunek pomiędzy obudwoma młodymi sąsiadami, a ponieważ pan stolnikowicz ciągle jeszcze nie mógł się obchodzić bez rady i pomocy pana łowczyca, i prawie gwałtem go trzymał u siebie, więc ten stosunek ściśniał się coraz bardziej, że nakoniec przypomniały się im chwile ich pacholeństwa, odświeżone zostały one stare powieści o Bobowskich i Osuchowskich przyjaźni i wzajemnych poświęceniach dla siebie, nastąpiły niebawem ich same wywnętrzenia się i spowiedzie, pragnienia i żale, aż też przyszło do tego, do czego pomiędzy młodymi tak łatwo przychodzi, że w sercach wnuków zasiane zostały nasiona tej samej przyjaźni, która przez tyle wieków kojarzyła ze sobą ich ojców i dziadów.

W kilka tygodni też po śmierci pana stolnika, siedzieli obadwa sąsiedzi w ganku na ławie, a pan łowczyk tak mówił:

— Bóg widzi, panie Józefie, że już nie co innego, jedno rzeczywiście taka wola Boża być musi, ażeby Bobowscy nie rozrywali swojej sławnej przyjaźni z Osuchowskimi. Bo jużciż ja tyle świata przedeptałem, tyle różnych ludzi, a tyle młodzieży poznałem, a jak moję matkę rodzoną kocham i lat setnych przy dobrém zdrowiu jęj życzę, tak jeszcze przed nikim moje serce się tak radośnie otwierało, jako przed tobą.

— Bóg-że ci zapłać za to, panie Stanisławie — odpowiedział smutnym tonem pan stolnikowicz — i Bóg daj także w łasce swojej, ażeby ta przyjaźń nasza, która się zawiązuje tak pięknie, tak szczęśliwie przynosiła owoce, jako przynosiły wszystkie przyjaźnie naszych ojców i dziadów. Nikomu bo też zapewnie z moich przodków tak przyjaźń Osuchowskiego nie była potrzebną, jak mnie nieszczęsnemu: żaden też pewno Bobowski, tak niezaradny i tak niedołązny, nie był rzucony na świat jak ja.

— Ej! nie jest to tak złe, panie bracie — przerwał znów Osuchowski — jak ci się widzi. Nie znasz wprawdzie jeszcze świata, tak jak potrzeba, ale masz ty swój rozum, który snadno się czuć daje w każdym twém słowie, i dasz ty sobie z nim radę.

— Gdzie tam, panie bracie, gdzie tam, tak nie jest. Nie znasz mnie jeszcze dobrze i dlatego tak pochlebnią masz o moim rozumie opinią. Neślęczało się wprawdzie nad książkami niemało i wie się dziś pewno, jak wyglądał Grecya, wie się jakie prawa dyktował Solon, jakie Drako, jakie Lykurgus, zna się pisma Justyniana, zna się Pandekta, a Cyceroniańskie oracye co przedniejsze umie się prawie na pamięć: ale czy to mnie nauczy, jak gospodarować w Żernicy, jak siać, jak orać i zbierać, jak konie chować i bydło, jak to sprzedawać, jak inne kupować, tak, aby fortuna

rodzicielska, nie rozleciała się w cztery wiatry? Zna się to też jeszcze statuta wiślickie i sandomierskie, ba, całe Volumina Legum gdyby drugi paciérz tkwią mi jeszcze w pamięci, ale czy to mnie nauczy, jak przyjąć sąsiada, jak się nachodzić w gościnie, komu jaki dać pokłon i jaką cześć oddać, a głównie czy to mnie obroni od śmiechu i szyderstwa sąsiadów, kiedy się dowiedzą, że ja, potomek przodków rycerskich i z miecza po wszystkich wojnach wstawiony, dzisiaj konia dosiąść nie umiem, szabli nie podołam, marniej flinty nabić nie umiem?... O Boże! czyż pokazać mi się tak ludziom?

— Daj-no pokój, daj-no pokój, panie Józefie — odezwał się na to pan Osuchowski — nie święci to garnki lepia, mospanie. Nie wiele to potrzeba na to, ażeby ten marny świat poznać, a z niektórej strony może nawet lepiej całkiem go nie poznawać. Nie tacy to straszni zresztą ci zuchowie, którzy się radzi z innych naśmiewają. Czynią oni sobie rum szabłą, czynią, aż trafi się taki, który cięcie pochwyli i nakręskuje leb junacki tak dobrze, jak i niejunacki. Ot ja, mospanie, fechtmistrem nie jestem, sztuk niemieckim nie rozumiem, anim też nowe jakie cięcie wynalazł, a kiedym stanął przed dwoma laty z panem Chryzantym Nowosieleckich, który się do piérwszych junaków téj ziemi liczy, to któż się piérwszy za gębę złapał i krzyknął gwałtu? on a nie ja pewnie. A u pana Dzianotta, przeszłego roku, kiedy pan Deręgowski, który już zapewno jest gracz najpiérwszy, bo i niema co mówić, but mój wsadził sobie na głowę jak czapkę, i naśmiewał się ze mnie mówiąc że chyba jeno stoń afrykański, ale żaden człowiek, tak grubej nogi mieć nie może, i powadziliśmy się ze sobą, że przyszło do bitwy: to komuż pół czupryny ze łba zgolono, aby ranę opatrzyć? jemu a nie mnie pewnie. A ot znowu temu kilka tygodni u pana Urbańskiego w Jabłonkach, kiedy nastawiano płatów w dziedzińcu, kilka jeden za drugim, i certowano się o to, kto je bez ustanowienia się po kolei przeskoczy, to kogóż niecierpliwość wzięła, że wsiadł na konia i bez certowania się przeskakiwał je wszystkie najpiérwszy? mnie pewno, a nie którego z onych wielkich rycerzów. Owóż to nie tak znów bardzo straszno pomiędzy junakami tego świata, jak to sobie wystawiasz, i to ci powiadam, że jeżeli w tobie prawdziwa krew starych Gryffów płynie, a przyłożysz ktemu ręki a głowy, to taki nic nie będzie ze szczérych chęci pana stolnika, Bobowski za kratkami stawać nie będzie, jeno po staremu, jak Bóg przykazał, obciąższy i nakręskowawszy tego owego, będzie tak żył, jako żyli ojcowie jego.

— Pan Bóg z ciebie mówił, panie Stanisławie — rzekł na to z westchnieniem pan Stolnikowicz, ale jakoś ja niewiele mam w tém nadziei.

— Tém większą ja mam za to nadzieję, — podchwycił łowczyc — jeżeli bowiem taki, który już ma wprawną rękę do broni i konia, dobre ma rozumienie o sobie, to lepiej dla niego, bo tém

większych sztuk dokazywać będzie i nic mu się nigdy nie stanie; ale gdyby zasie taki, który nic jeszcze nie umie, wiele rozumiał o sobie, to na nic, bo w rychle albo karku nadłamię, albo go lada kto zrąbie na trzaski.

— Prawdę powiadasz, jak mnie Bóg miły, tyś mądry człowiek.

— Gdzież tam, panie bracie — powiadał dalej pan Osuchowski — jam jest człek prosty, a mądrości u mnie tyle, ilem jój sam wynalazł; ale jeżeli mnie słuchać będziesz, to się na człowieka wykierujesz, za to ci ręczę.

— Co mówisz! — zawołał na to z radością Bobowski — chciałżebyś się ty mną tak zająć, ażebyś mnie na takiego człowieka wykierował, jak wszyscy inni?

— Dla czegoż nie! — odpowiedział tamten — uczynię to z chęcią i z serca. Tylko słuchać mnie musisz tak, jako słuchałeś niegdy pana stolnika.

— Słuchać cię będę we wszystkim.

— Więc kiedy tak — rzekł na to Osuchowski, poprawiając się na swojej ławie — więc niema czego oúwlekać. Kaźden dzień nadaremnie miniony nigdy się już nie powróci. Zaczynamy więc zaraz dzisiaj, a zaczynamy od tego, żeby się jakoś tych bibuł pozbyć, których ono tyle widzę w kancelaryi nieboszczyka stolnika, a które mnie tak rażą w oczy, że się zawsze plecyma obracam do tego uczonego izbiska. Bibuły — mówił dalej pan łowczyk — rzecz to potrzebna na świecie, bo człowiekby i listu napisać nie potrafił, nie mając z niemi znajomości, ale chroń Boże tego, któryby im całą swą duszę zapisał. Uczyli ci i mnie pijarowie i nie mało się także nasiedziałem nad bibułami, bo prawie trzy lata mnie uczono samego czytania; nabijali mnie potem w głowę i łacinę i różne filozofie pogańskie, ale to sobie powiadam i zawsze powiadać będę, żem się na dworze hetmańskim za rok jeden daleko więcej rozumu nauczył, niż u pijarów za dzieśięć, a jedna baba dała mi więcej poznać diabelstwa tego świata, niżeli mnie nauczyły moralów... Potem — powiadał dalej pan łowczyk — pójdziemy do stajni i obaczmy, jakie to konie łacinnicy chowają i czy to będzie wsiąść na co; dalej obaczmy broń, jaka się ostała po panu stolniku, bo to rzecz główna, a zresztą niech już sam Bóg radzi o swojej czeladzi.

Pan Stolnikowicz, zapewniwszy się już dowodnie z tych słów pana łowczyca, że się nie zostanie bez przewodnika na tym strasznym dla niego świecie, który, znając go li tylko z procesów i opowieści, wystawiał sobie napełnionym samymi rębaczami, czyhajęcymi na krew ludzką, i samymi jurystami, czyhajęcymi na majątki szlacheckie, bardzo się uradował, a nie umiejąc utaić swojej radości, rzucił się swemu rówieśnikowi na szyję i obcałował go tak, jak nigdy jeszcze nie całował nikogo w swém życiu. Nie popuścił też już ani na chwilę pana łowczyca, nagląc go, ażeby jak

najprędzej zarządził nim, jego biblioteką, stajnią, piwnicą, gospodarstwem, zgoła całą fortuną. I tak zaczęła się nowa robota w Żernicy.

Najpierw tedy nałożono stos wielki na środku dziedzińca i wrzucono weń wszystkie książki i pisma, jakie się znajdowały w kancelaryi pana stolnika, a kiedy płomień wielki wystrzelił w górę i pożerał łakomie Volumina Legum i konstytucye, Cyce-rona mowy i dekreтары pana stolnika, pan Józef wpatrywał się w to dziwne widowisko i tak nagle posmutniał, że nietylko westchnienia jedne za drugimi wciąż wydobywały się z jego piersi, ale nawet i łza jedna i druga zakręciła się w oku. Pan Józef bowiem miał serce czułe i kochał ojca swego nad życie, więc żał mu się zrobiło tych prac ojcowskich, tak niegdy przez niego ceni-onych, i żał tych smutnych wprawdzie, ale zawsze własnych jego młodości pamiątek. Pan Stanisław miał także serce nie z głazu, ale nie na straty tak rzeczy obrzydłych, jak pergaminy, patrząc tedy na niepotrzebną czułość pana Józefa, odezwał się zaraz w ten sens:

— Widzisz, nieźle się to robi, że się niszczą te księgi i szpar- gały, bo to czém skorupka nawrze, tém koniecznie cuchnąć musi, a tém bardziej téż wtedy, kiedy się w nią tę samą ciecz wleje, którą niegdy nawarła. Nawróciłbyś się ty kochanku za lada po- wodem do tych wolumów, gdybyś je miał pod ręką, a tak gdy ich nie będzie, a przyjdzie ci chwila markotna, to raczój na konia wsiądziesz i poharcujesz trochę, albo z pistoletu sobie postrzelasz do tarczy i to się przyda na coś tobie. Ale to niema jeszcze o tém z kim gadać, kiedy nie wiesz nawet, co to jest Rzeczpo- spolita.

— Tak znowu nie jest — odezwał się na to cały zarumienio- ny Bobowski — wiem przecie czém są i czém stoją wszystkie po- tencyje na świecie.

— Tego nie zaprzeczam — odpowiedział Osuchowski — rozu- niem nawet że wiesz o tém więcej niżeli ja, a może i więcej, ni- żeli który akademik krakowski, ale zawsze to inak jest w książce a inak w naturze, i za prawdę powiadam tobie, że dużo jeszcze obaczysz, kiedy się obejszysz po świecie.

— To téż ta nadzieja, że nie taki jest świat w naturze, jaki wymalował mi się w owych księgach prawniczych, daje mi jeszcze otuchę jakiś znośnej przyszłości, jednakże tylko wtedy ta otucha mnie nie opuści, jeżeli ty mnie nie zechcesz opuścić, panie bracie.

Zapewnił go tedy pan łowczyc krótko a węzłowato, że na niego liczyć może jak na Zawiszę i jeszcze kilka innych do tego przyłączył sensów moralnych o życiu i świecie, z których jeżeli widać było, że lubo młody, znał już dosyć świata i ludzi, toż nie mniej także się pokazywało, że pan Stanisław, chociaż nie wiele sobie ważył mądrość książkową i nie mówił ozdobnie, jednakże z poważnej strony patrzył na świat, na życie i ludzi, i serce miał,

w ciele piękne i ozdobne. A kiedy stos książek i pergaminów, przypominający czasy Zygmunta III, już począł się zniżyć, zapadać, przeszli panowie młodzi do stajen i do całego gospodarstwa, przeszli mówię, ażeby zburzyć wszystko od gruntu i nie namyślając się wiele, nowy ład i nowy rozum zaprowadzić we wszystkich kątach, tak jak to zwykle bywało, kiedy młody syn nagle odziedziczył fortunę po ojcu.

I cokolwiek o tym nowym ładzie w domowym i po za domowym gospodarstwie żernickim, kto sobie myśleć może, albo co już natenczas o tém szeptali i do zrozumienia sobie dawali zawsze spraw cudzych ciekawi sąsiedzi, nie będą tutaj opowiadał széroce i długo: jednakże tego pominąć nie mogę, że ktoby był pana Bobowskiego młodego znał dobrze natenczas, kiedy go ojciec zostawił swęj rozległęj fortuny dziedzicem, i ktoby był znał młodzież ówczesną prowincjonalną, jak była żwawą, tylko bronią, łowami i końmi zajętą i w swém junactwie pod każdym względem prawie zawsze aż do szaleństwa jest dosięgającą: ten byłby nigdy nie przypuścił, ażeby człowiek taki, który od niemowlęctwa aż do dwudziestego piątego roku swojego żywota, wszystkie dnie swoje i połowę nocy nad księgami prześlęczał, który do tego czasu jeszcze szabli wziąć w rękę nie umiał, konia dosięść nie zdołał, dzikiego zwierza w kniei nawet nie widział, ażeby człowiek taki mówię, mógł się nietylko całkiem na podobnego wszystkim ówczesnym szlacheckiego młodzieńca przerobić, ale nawet ażeby tylko mógł być wstąpić w ich grono z innym skutkiem, jak przyjmując przy pierwszym kroku zaraz chóralny śmiech szyderstwa, a może i wzgardy na siebie, a na przyszłość i na zawsze już rolę niedołęznego papinka, służącego tylko za cel wcale nieogłędnym przyćinkom i częstokroć grubym żartom powiatowęj młodzieży. I miałby być może słuszność ten, któryby tak był się domyślał, bo stoi gdzieś w książkach takie prawo przepisane z natury, że jeżeli się drzewo skrzywi za młodu, to już krzywo rość będzie aż do samęj starości. Ale jest drugie prawo istniejące w samęj naturze, a to prawo dziedzictwa we krwi ojcowskięj i w mlęku matczyném cnót i przywar po swoich przodkach. I dlatego to prawa, które póty było w całej swęj mocy, póki ściślęj się w sobie zamykały familie, póki ojcowie familie w swych testamentach piérwęj rozporządzali dobrém moralném i zdolnościami swoich następców, a dopiéro fortuną, póki hańba syna lub córki spadała na czoło całego domu, póki nakoniec męzowie żenili się w sile i czerstwości swojego wieku, a panny idąc za mąż, umierały dla świata, a poczynaly żyć dla tęg, w którą wstępowaly, familie — dlatego to prawa właśnie i pan Bobowski, choć nakrzywiony za młodu, kiedy przyczyna skrzywienia się jego kolei życia usunioną została, jak gdyby różczką czarodziejską dotknięty, stał się odrazu tak pełnym dobrych i złych, ale zawsze tych samych usposobień, jakich bywali oni przodkowie jego, którzy sami sobą chorągiew postawili pod Gru-

newaldem i którzy swym własnym sumptem pułki posyłali na wojny. Krew Gryffów odezwała się w panu Józefie tubalnym głosem i w mgnieniu oka zdobyła dla siebie napowrót te prawa, które jój wydrzczyć usiłowano. I słyszeli o tém już wszyscy, i dziwowali się temu, i niedowierzali niektórzy, a jednak tak było w istocie. Jeszcze bowiem nie porósł był dobrze trawą grób nieboszczyka stolnika, kiedy na egzekwiach za duszę tego sławnego jurysty i sędziego polubownego, przez jego syna wyprawionych w Żernicy, zdarzyły się dwa wypadki, które jeżeli nie dowiodły zgromadzonej tam szlacheckiej młodzieży, że stolnikowicz godzien jest zupełnie ich towarzystwa, to przekonwały ją przynajmniej, że już wstąpił on na drogę, na której wielbiciele starożytnej, rycerskiej Gryffów chwały widzieć go sobie życzyli. Kiedy bowiem starosta Giebułtowski, chcąc się obrachować z panem Kossowskim z Myczkowa z należytości za zboże, którego mu był po spaleniu się jego do siewu dostarczył i nie mógł w to potrafić w pamięci, to ani kawałeczek papieru nie można już było wynaléć w całym żernickim dworze i to był jeden wypadek który tak mocno zadziwił wszystkich, że aż szlachta, przyzwyczajona dwór żernicki nazywać papiernią, sama nie chciała uwierzyć; drugi zaś wypadek był ten, że pan Deręgowski, stolnik ostrzewski, wielki junak i biba swojego czasu, kiedy na onej stypie spiwszy się setnie, chciał się przespać cokolwiek i w tym celu wylazł na one pięterko umieszczone nad bramą, to zamiast zastać tam tak jak dawniej bywało, spokojną izbę trębacza i wartownika, wpadł do psiarni pomiędzy wygłodzonych czterdzieści ogarów i brytanów, od których omal że żywcem zjedzonym nie został. A kiedy w rok potem na imieninach w Jabłonkach, pan stolnikowicz, ujmując się za przycinki, z którymi się tam przytomny Węgier, niejaki graf Syrmaj, po kilkakrotnie przeciwko całej szlachcie sanockiej wypuścił, tegoż grafa Syrmaja na rękę wyzwał i tak go zesiekł, że w kilka tygodni potem pana Deręgowskiego, który tam był z końmi pojechał na jarmark, aż za to pojmano i już pod szubienicę prowadzono na Węgrzech, to nie tylko mu za to cała ziemia chórem takie wrzasnęła laudum, że przez kilka miesięcy jego echa jeszcze się odzywały, ale pan Osuchowski zaraz mu się rzucił na szyję i zawołał one wszystkim pamiętne słowa:

— Panie Józefie, masz mnie na całe życie.

Jakoż rzeczywiście od tego snąc dopiéro momentu pan Osuchowski, czy już z natury przezorny i nad każdym uczynkiem poważnie namyślać się lubiący, czy wypadkami swojego życia téj cnoty nauczony, oddał duszę i ciało panu Bobowskiemu, a już w parę tygodni potem obadwa przyjaciele zgodzili się na to, ażeby tę przyjaźń swoją, w dawnych wiekach przez ojców naszych używanym zwyczajem, Panu Bogu ofiarować i w Jego oczach trwałym i statecznym ślubem uświęcić.

I piękne to było widowisko w horczewskim kościele. A działa

się to w samą niedzielę Zielonych świątek i wszystka szlachta okoliczna była zgromadzona w kościele. Po sumie i po odśpiewaniu pieśni nabożnych, kiedy już lud prosty się wyniósł i sami tylko honoratiores zostali, panowie Bobowski i Osuchowski, w świąteczne suknie ubrani i świątecznie na duszy przystrojeni, bo po spowiedzi i św. komunii będący, trzymając się za ręce obadwa, przystąpili do ołtarza i uklękli na stopniach, na których już ksiądz, stuletni staruszek i pleban tamtejszy, czekał na nich, na krześle, bokiem do ołtarza obrócony, siedzący. Gdy uklękli, ksiądz powstał i przeczytawszy najpierw nad ich głowami modlitwę, słuchał potem statecznie, jak ci obadwa panowie ślubowali sobie w głos: iż się wzajemnie kochać jako bracia rodzeni i wspierać będą zdrowiem, fortuną i życiem, i że się w żadnym terminie nie opuszczą, ani porzucą aż do śmierci.

— A kiedybyśmy obadwa, — czytał dalej w głos Osuchowski rotę swoją napisaną na karcie, — tylko jeden grosz mieli, tedy połowa należeć będzie jednemu a połowa drugiemu. A kiedyby nam obudwom tylko jedna pozostała ręka, tedy ta ręka ma pracować na chleb dla obudwóch. A kiedyby nam obudwom tylko dwie pozostały nogi, tedy te nogi mają nosić ciała obudwóch. Czego daj Boże dotrzymać i co do słowa ziścić, a ku Twojej wiecznej chwale obrócić, Amen.

Potem ksiądz im powkładał obrączki na palce, mieniając tak, jako to czyni przy ślubie małżeńskim, a pobłogosławiwszy ich z góry, rzekł do nich głośno:

— A aby to było ku chwale Tego, który tu na nas patrzy, i ja życzę z całego serca.

Poczem jeszcze poklonili się obadwa aż do ziemi i ucałowali stopnie ołtarza Pańskiego, a wzięwszy się znowu za ręce, szli precz wesoło patrząc i kłaniając się szlachcie, czyniącej im rum przez sam środek kościoła. Piękne bo też i bardzo budujące uczynił ten obrząd na obecnych wrażenie i tak chwycił za serce wszystkich, że nawet wiele dawnych i długo-trwałych nienawiści i kłótni pomiędzy sąsiadami zagładzonymi zostało natenczas, a jeżeli mnie pamięć nie myli, w onej to chwili także ze łzami w oczach podał rękę pan Dziannot, Zachoczewia dziedzic, panu Osuchowskiemu, cześnikowi bielskiemu, z którym przez lat kilkanaście nie przystojną miał kontrawersyą o chaszczce zachoczewskie, i w onej chwili także pan Urbański z Jabłonek kazał przed kościołem własnie co ze mszy świętej wychodzącego leśniczego swego zawołać przed siebie i przyrzekłszy mu dworek i grunta przywrócić, z którego go był przed pół rokiem wypędził, przyjął go napowrót do służby i łaski swój.

O przyjaźni tych dwóch kawalerów, o której już i przedtem wiadano, a która teraz tak uroczystym stwierdzona ślubem, zwróciła na siebie uwagę całej ziemi, wiele sobie tuszyli sąsiedzi a lubo pan Deręgowski, i z najświętszych rzeczy igrać sobie

biący, i tam był powiedział: — Rwie się już tam sentyment podobno, gdzie go aż ślubem wiązać potrzeba; — toż jednak nie była ta uwaga na swoim miejscu, a przynajmniej nie było do niej powodu. Chociaż znów z drugiej strony niepodobna było nie dać posłuchu o tej rzeszy rozprawiającym, osobliwie też tym, którzy są tej opinii, że tylko pomiędzy takimi może trwać ścisła przyjaźń, którzy są usposobieniami umysłu i serca do siebie podobni, im zaś te usposobienia mniej do siebie podobne, tym mniej tuszyć sobie można o trwałości przyjaźni. Niepodobna, mówię, tym było nie dać posłuchu; — usposobienia bowiem tych braci ślubnych mało było do siebie podobne.

I tak, pan Osuchowski, który był olbrzymiego wzrostu i olbrzymiej budowy, jasnych włosów, twarzy okrągłej a raczej graniastej, oczu niebieskich i brwi gęstych nad temi oczyma, — miał serce łagodne i w gruncie nieposzlakowanie pocziwe, ale to serce było silne, do czułości nad drobnymi rzeczami wcale nie skłonne, drobnych pochuci za szczęśliwostkami ziemskimi wcale nie znające, ale do wielkich poświęceń zdolne, do wzniosłych celów często się podnoszące, cierpieć zdolne, ale zarazem zdolne i w największym cierpieniu ustom nakazać milczenie.

Pan Bobowski, — który był także wzrostem wysoki, choć nie olbrzymi, twarzy pociągłej, orlego nosa, włosów i oczu czarnych, w których wraz z bledością na twarzy wiecznie jakaś smętność się przebijała, — miał serce tak czułe, jako je mają te niewiasty, którym świat się najpierw przez smutki i cierpienia objawił; on się unosił nad świeżemi odnawiającej się wiosny barwami, on wzdychał nad kwiatkiem bezpotrzebnie zerwanym, on od nędzy oczy odwracał, a drugą ręką sypał jej garściami pieniądze, on nigdy nikogo nie uderzył, on nie mścił się nigdy, on nie karał nikogo, on się krzywd nawet sobie samemu na majątku doczesnym zadanych nie upominał, jeżeli tylko ten, który je zadał, uczynił to z potrzeby i niedostatku. Serce takie, panujące nad całą jego istotą, nie podnosiło się nigdy do żadnej wysokości, a żyjąc tylko jaknajdrobniejszymi muszkami, i zawsze tylko z dnia na dzień, z dzisiaj na jutro, nigdy nie zapragnęło nawet wielkiego szczęścia, a jeżeli coś takiego miało w oczekiwaniu, to więcej radowało się wszelkimi drobnymi przyborami, niż samą rzeczą. Serce to lubiło namiętnie złudzenia, może nawet więcej niż rzeczywistość, ztąd też miało zawsze tysiące uczuć na pogotowiu, i jeżeli tysiącami dróg się puszczało codziennie, to codziennie ze wszystkich powracało się nazad, żadną nie doszedłszy do końca. Serce to umiało także i cierpieć i mięwało momenta takie, w których cierpienie przeniosłoby było nad rozkosz, a może nawet snowały się po niem myśli takie, ażeby się dać zabić za coś lub za kogoś. Takie serce, jeżeli go Bobowski nie dostał już od natury, wychował sobie, ślęcząc przez lat kilkanaście nad arcydziełami ludzkiego

rozumu, i któżby to był pomyślał? a tymczasem tak było w rzeczy.

Rozum, ona główna potęga ludzkiego ducha, lubiąca mieszkać li w organizmach zdrowych i mocnych, nie znosząca się z drobnostkami tego ziemskiego życia, powinien być wedle tego podziału przymiotów serca zamieszkać w Osuchowskiego głowie i tam byłby miał serce mocne, wolę silną i wszystko po sobie; ale los tym razem igraszkę sobie uczynił, bo rozum za obydwóch dał Bobowskiemu. Tak więc i tędy nie zgadzali się z sobą bracia ślubni. Bobowski bowiem, pomijając już jego nauki, które doskonałą wspomaganą pamięcią, w samej rzeczy były obszerne i znakomite, miał jeszcze i on zmysł gospodarski, mocą którego zawsze wiedział jak co zrobić należy, chociaż nie zawsze tak zrobił; Osuchowski byłby wszystko zrobić potrafił, ale nieborak rzadko kiedy wiedział, jak sobie ma począć w którym wypadku, a lubo miał przed oczyma i te i owe wielkie cele i przedsięwzięcia, jednak na drogi do nich wodzące ślepym był całkowicie, I ztąd to pochodziło po części to jego rozmyślanie się długie i poważne przed każdym uczynkiem.

Daléj pan Józef, pomimo wszystkich swych nauk i całego rozumu, nie miał prawie nic doświadczenia, nic znajomości świata i życia, a lubo po śmierci ojca był już z panem łowczycem w Warszawie, był i w Krakowie i wiele widział, wiele pojął, wiele zrozumiał, toż jednak poznał dopiero rzeczy z ich barw, jakimi uderzały w jego źrenicę, ale nic z ich treści istotnej. Pan Stanisław zasie przeciwnie: na ile stać było bystrość jego pojęcia, poznał on dosyć już świata i ludzi i na życie człowieka na ziemi, na jego obowiązki względem państwa i towarzystwa zapatrywał się z téj strony, która naówczas wszystkim prawego serca ludziom zdawała się być praktyczną, a jeżeli można było dać wiarę niektórym jego powieściom, i jeżeli niektóre przez niego wypowiedane opinie można było wziąć za owoce jego własnych doświadczeń, to pan Osuchowski przez te lat kilka, które strawił po miastach i dworach, wiele sam na sobie doświadczył, a jego ostrożność i zastanawianie się nad wszystkiém było nietylko skutkiem nie bystrego i niezaradnego rozumu, ale także skutkiem wielu zawodów, które go przy wstępie na świat powitały. Na ten domysł naprowadzało głównie jego aż nadto często wspomnianie o celibacie, którego, jak się to niżéj pokaże, tak zawziętym był zwolennikiem, jak nim nawet żaden średniowieczny asceta być nie mógł, i lubo upartéj, do ciągłego myślenia siebie zniewalającéj, a nie wszechstronnie pojętnéj głowie, taka myśl może przyjść sama z siebie, toż jednak tutaj były pewne powody, które wnosić kazały, że pan Osuchowski, jeżeli sobie wieczną bezżenność a rodzajowi kobiecemu nienawiść poślubił, to uczynił w skutek rzeczywistych doświadczeń uczynionych w swém życiu. Zaś pan Bobowski wcale nie był zwolennikiem bezżenstwa i wszystkiém tém

nie był, czém był pan Osuchowski—i dlatego nie można było nie dać posłuchu tym, którzy nie rokowali długiej trwałości téj świeżo co poślubionój przyjaźni.

Pomimo to jednak, pierwsze lata tego bratniego związku, całkiem o czém inném przekonaly sąsiadów; bracia ślubni bowiem, ćwicząc się ciągle i ustawicznie w wszelkich sztukach rycerskich, które namiętnie kochał i w których arcy biegłym był Osuchowski, nie zapominali ani na chwilę o ćwiczeniu się w cnotach obywatelskich. I uważali na to baczném okiem sąsiedzi i oddawali im sprawiedliwość, a kiedy zaraz z początku tego i owego wspomogli, za tamtym pokrzywdzonym gromko się ujęli, obelgi na ludzi uczciwych miotającą gębę rozplatali, kilka sprawiedliwych wyroków sądowych z szablami w ręku wyegzekwowali i na sejmiku elekcyjnym, liczną partją sobie zebrawszy, swoją i większości opinią przeciwko burmistrzującej już prywacie utrzymali, to i uwaga publiczna zaczęła się pomału obracać na nich i tajone przedtém afekta szlachty poczęły na jaw wychodzić i roznosić się po całej ziemi, a nawet i dalej. Więc kiedy ciż kawalerowie tych cnót swoich praktykować nie przestawali, a przy wszelkich praktykach swoich zawsze umieli się ustrzedz od tego, coby było nad miarę, i ponieważ czy to na sejmikach, czy na konfederacjach, czy przy jakich bitwach albo nieporozumieniach powiatowych, zawsze trzymali się téj partji, która miała sprawiedliwość i prawdę za sobą, albo przy której honor ziemi lub kraju stać przykazywał; więc postawili się niebawem w takiej pozycji w powiecie, że wazyli wiele w publicznej opinii, a z dniem każdym już coraz mniéj się zdarzało wypadków takich, w któreby się szlachta tłumnie wmięszała, a do którychby braci ślubnych nie przywołano. Przyszłoż nakoniec do tego, że jak niegdy do pana stolnika garnęła się szlachta tłumami, ażeby jój spory lub procesa rozsądzał, albo w uciśnieniu mądrością paragrafową ją zapomagał, tak znowu dzisiaj do syna cisnął się ten i ów na majątku lub na czci pokrzywdzony, ażeby nie kodeksem, lecz sercem lub z szablą w ręku stawał w jego obronie, a ponieważ takich posług braterskich nigdy nie odmawiali zgodni ze sobą przyjaciele i ponieważ zawsze, jeżeli tylko sprawiedliwe było żądanie, pomoc ich była doraźna i zawsze skuteczna, więc i sława ich rosła z każdym dniem coraz bardziej i zachowanie ich u sąsiadów rozszerzało się coraz dalej i dalej. I rozpowiadała sobie szlachta o nich natenczas wiele, i trudniła się ich losami i nazwała ich obrońcami swoimi, nie zatrudniającymi się czém inném, tylko dawaniem uciśnionym pomocy; bo téż rzeczywiście natenczas można ich było widzieć, tych braci ślubnych, osobliwie w przedwieczornych godzinach, prawie zawsze siedzących w ganku w żernickim dworze, dymiących lulki, rozmawiających statecznie i często w bramę pogląających, jak gdyby tylko wyczekiwali, rychło się ktoś pojawi, który zawezwie ich pośrednictwa albo pomocy.

II.

Rozpadlina gór tych wyniosłych wprawdzie, ale prawie bez leśnych i tylko jałowcami i inną karłowatą krzewiną okrytych, w której leżą wsie Żernica i mniejsza od niej Żerniczka, ciągnie się jeszcze i dalej, a rozwierając się coraz bardziej, kończy się wreszcie tém, że daje piękny i wspaniały widok na brzegi rzeki Hoczewki, od Bieszczadu prosto ku północy płynącej, i na stojące rzędem po tamtéj stronie rzeki wzgórze strome i różno-kształtne, pięknymi zaroślami okryte i dzikimi skaliskami przyozdobione. Do piękności tego widoku przyczyniają się jeszcze niemało brzegi górskiego strumienia, o wiele już położywszy i bujniejszą roślinnością zaścielone, droga większa ku Bieszczadowi idąca i zawsze prawie ożywiona, dwie wsie stykające się tutaj z sobą, a nakoniec zamek żahoczewski, o najdziksze pod słońcem gór urwisko plecyma oparty, z dwoma basztami narożnymi w zapienionych fałach Hoczewki się pluskający.

Zamek żahoczewski, przedostatni już z zamków polskich, granicy węgierskiej dosięgających, kiedy i przez kogo był zbudowany, nie wiadano już z pewnością natenczas, a lubo jedni chcieli utrzymywać upornie, iż Balowie z Węgier do Polski przyszedłszy, tę najpierw dla siebie wymurowali siedzibę, drudzy zaś niby jako wieść dawną powtarzali, że Kmitowie, do których ongi i Żahoczewie należeć miało, tu sobie drugą wystawili rezydencyą; toż jednak głośna i różnymi plotkami upstrzona tradycya o jakimś Pohogu rycerzu, który czasów już dzisiaj zamierzchłych, żonę swą własną zabiwszy, tu w tych górach miał osiąść, ów zamek zbudować i w nim życie na modlitwach pokutnych zakończyć, tak to

wszystko zmieszała, że przy braku wiadomości o tém po starych księgach, ani się kusić komu o wymyślenie sposobu, w jakiby dojść założenia i założyciela tych murów. Ale nietylko te daty są dzisiaj i pozostaną już na wieki nieznanie nikomu, ale i kształtów jego pierwotnych, jego baszt dzisiaj zwalonych, jego otoczenia i całej jego figury, tak jako był niegdy, najstarszy nawet człowiek dziś nie pamiętał... to wszakże pewna jest i niezawodna, że onego czasu, w którym bracia ślubni mieszkali na swoich dworach, korpus żahoczewskiego zamku stał jeszcze w całości i baszta jedna od południa, o której wieść taka była, że z jednej galeryi niegdy widać było okna leskiego zamku, podnosiła się jeszcze o kilka sążni po nad dachy miedziane, dziurawe już, i tędy owędy deskami ponaprawiane. Mury zresztą środkowe stały jeszcze w całości, a lubo gmach cały nie był bardzo obszerny, toż jednak na piętrze znajdowało się kilka komnat ogromnych taflowaną posadzką, rzezanemi stropami i malowanemi ścianami ozdobnych, a przed temi zaś komnatami od strony zachodniej znajdowała się tak obszerna galerya, że na nią latem wydawano biesiady na dwadzieścia i cztery osób. Przez tę galeryą, kamiennemi wschodami po obudwu stronach zaopatrzoną, wchodziło się do wszystkich komnat pierwszego piętra, które miało pod sobą izb kilkanaście sklepionych, na drzwi żelazne się zamykających, pod któremi znówu rozprzestrzeniały się także mocno skiepione i jakby gmachy jakie rozłożyste piwnice. Po lewej stronie zamku ciągnął się długi szereg murowanych stajen i izb, pewno gościnnych albo służalskich, co wszystko kończyło się spichrzem na piętro wysokim, czystym i schludnym, widocznie już później domurowanym; od spichrza na poprzek, a równoległe z frontową ścianą zamku, wlokła się długa, stara i natenczas już zapuszczona grabowa aleja, która mając w swym środku murowaną bramę zajeżdżną, drugim swym końcem otwierała wdzięczny widok na zielone i bujne łożyną zarośnięte brzegi Hoczewki, nad któremi w oddali stał i wiecznie szwargotał młynek maleńki, dwoma szczyrbatemi kołami mielący, starą omszoną strzechą nakryty i zielonemi osadzony wierzbami. Od tego końca alei, znów równoległe z północną ścianą zamku, ciągnął się mur niegdyś pewno wysoki i butnie na przechodniów poglądujący, ale dziś już niski, pokorny i grzbietem rozwalonym świecący, na którym miasto dawno zebranej miedzi rosły tylko dzikie chwasty i piołuny. Ten mur zapadał się na ostatku w bałwany rzeki, która za plecyma zamku płynęła, i kończył tym sposobem ogrodzenie całego obejścia, w którym było i kilkadziesiąt drzew owocowych: maleńki wirydarz, staranną ręką pielęgnowany, i nakoniec wielki i obszerny dziedziniec, na którym może niegdy stawało po kilkadziesiąt koni rycerskich, parskających rozwartemi nozdrzami i z rąk uzbrojonych giermków gwałtem się wydzierających, i wrzał przytém rozgwar wojenny, odgłosem surm bojowych przerywany, — a dzisiaj już tylko białe

się przechodziły gołębie i wlokły się psy domowe z pospuszczanymi ogony.

Gwar jakkolwiek rzadko już kiedy przerywał smutne milczenie zahoczewskiego zamku, bo na tym zamku mieszkał onego czasu pan Dzanott, człek spokojny i cichy, biesiad ani uczt nie lubiący, gospodarstwem tylko i domem zajęty, mający żonę chorą i od lat kilku już w łóżku leżącą, syna młodego i pełnego nadziei, który siedział w Warszawie, w kancelaryi królewskiej się aplikował, na wielkiego ministra się kierował, ale o tyle też więcej pomocy potrzebował od ojca; nakoniec i córkę miał młodą i piękną, ale smutną i zamyśloną, książeczkami zajętą i także miłą, spokojną i lubiącą. Więc nie było nigdy gwaru na tym zamku onego czasu.

Pan Dzanott jakiego był pochodzenia, Bóg to sam wiedzieć raczy; powiadano że Włoch jest i brzmienie jego nazwiska, jeżeli tak jak wszystkie cudzoziemskie w Polsce późniejszemu przekształceniu uległo, nie zaprzeczało temu podaniu; powiadano dalej, że dawniejszemi czasy we Włoszech wielkie się tej familii dzierżyły splendory, o czém wszakże żadnego nigdzie nie było świadectwa; ale natomiast to była pewna, że Piotr Dzanott, szlachcic włoski, jeszcze dawnemi czasy indygenat w Niemczech otrzymał, a to jeszcze pewniejsza, że tenże sam Piotr przeniósł się z Niemiec do Polski i do wojska się koronnego zaciągnął, a gdy pod husarską chorągwią długo służył, do indygenatu w Polsce przypuszczony został na sejmie roku 1662. Włoskie pochodzenie pana Dzanotta potwierdzało się atoli nie tylko brzmieniem jego nazwiska, ale i cała jego figura zdawała się świadczyć o tém; był to bowiem człowiek bardzo miernego wzrostu, pomimo pięćdziesięciu lat wieku tak lekki i zgrabny, jak oni linoskokowie, którzy z południowych w zimne wyciągając krainy, różne sztuki łamane wyprawiają po naszych jarmarkach; zresztą krew wszystka była w nim tak gorąca, że kiedy co mówił, to także przytém gięsta rękami i nogami wyrabiał, jak gdyby stał na teatrum. Jednakże to nie zawsze, bo kiedy mu tego potrzeba było, umiał także i krew zimną zachować i mówić poważnie i statecznie, lepiej niżeli który ksiądz na ambonie; co więcej, on umiał milczyć także jak głaz i nie miał nigdy zwyczaju swarzyć się głośno, wyrzucać komu winę na oczy, do odpowiedzialności za jaką winę słowną pociągać, ale za to umiał on swojej opinii dowieść zawsze, choćby późniejszym czasem, umiał zdaleka i nieznacznie wpływać na cudze sprawy, umiał mścić się cudzemi rękami... a ludzie lubiący szukać przywar w swoich sąsiadach, powiadali o nim, że jest człek charakteru skrytego, że przy cudzym płomieniu pieka swoje pieczenie, że plotki okoliczne w bieg puszcza, że na handlach i facyndach nigdy nie traci, że kupna i przedaże innym psowa na targach, i Bóg nie wie co jeszcze, a to wszystko świadczyło także o jego powinowactwie z Włochami, którzy ze skrytości i podstępności umysłu znajomi są wszemu światu. Ale lubo opinia taka była o panu Dzanocie

w sąsiedztwie, toż jednak nie było żadnego faktu, któryby jej prawdziwość potwierdzał, i lubo wiele o tém bajano, wszakże nigdy nie znalazł się taki, któryby powiedział: oto on tego oczernił, tego oszukał, a tamtemu stał się takięj a takięj szkody przyczyną. Bo w samęj rzeczy pan Dzianott był człowiek spokojny, mało kogo nawiedzał, mało kogo u siebie przyjmował, a jak mu mało na blizkich ze sąsiadami stosunkach zależało, widać ztąd jawnie że się nawet nigdy o żaden urząd nie starał. Gospodarstwem i swojemj dziećmi zajęty, wiecznie siedział on w domu i zmuennie pracował, a nieraz można go było widzieć nie tylko stojącego po całych dniach przy robocie na polu, ale nawet o żniwie siedzącego na pełnym wozie i własnorecznie wiozącego snopy do stodoły.

I miał tęż słusznosc pan Dzianott, że tak zmuennie pracował, miał on bowiem żonę, przez któręj długoletnią chorobę gospodarstwa kobięcego prawie całkiem nie było w Zahoczewiu; więc grosz wszystek, którego potrzeba było na opędzenie domowych wydatków, musiał być wyciągnięty z samęj roli i stajni, a grosza tego, pomimo całej oszczędności pana Dzianotta, wiele tam trzeba było; nietylko bowiem dom kosztował już niemało pod owe czasy, nietylko kosztowały léki i lekarze dla choręj pani, ale kosztował syn jeszcze w Warszawie na równości z synami pańskich domów utrzymywany, kosztowała i córeczka niemało, która wychowana w jakimś panięmskim klasztorze w Warszawie razem z pańskimi dziećmi, przyzwyczaiła się do pięknych sukienek, które wiele grosza chłoneły, do ksiązek cudzemi drukowanych językami, które także potrzeba było sprowadzać, a nakoniec przyzwyczaiła się do niezajmowania się niczém, co chociaż nie pociągało za sobą wydatków, jednak nie przyspażało dochodów. I nie naganiali jęj już tego rodzice, a żeby rzec prawdę, to może ją jeszcze starali się utrzymywać przy strojach i ksiązkach, bo było tak, że jeżeli o synie tuszyli sobie, że lada dzień zostawszy sekretarzem królewskim, niebawem na ministerstwie jakim osiądzie, to i dla córeczki rokowali sobie niemnięj świetne nadzieje.

I niemasz się co dziwić rodzicom, którzy choćby jak niepodobne do prawdy, tuszą dla swych córek zameścicia, bywa to bowiem prawie zawsze tylko ich miłości rodzicielskięj dowodem, tylko ich troskliwości oznaką, którą, gdyby mogli, niebaby przychyliły swym dzieciom, a tém tęż bardzięj nie było się co dziwić zahoczewskiego zamku dziedziom, mieli bowiem córeczkę taką, która pod one czasy, gdzie wprawdzie niełatwo było znakomitego domu sypowi ożenić się z pospolitą szlachcianką, ale tęż zato wiele było nie nadto znakomitych familii synów tak opatrzonych, jak drudzy magnaci, a nie sadzących się koniecznie na to, ażeby splendor swojego domu, o którym nigdy zamało nie rozumieli, przez ożenienie się podnieść, mogła z łatwością trafić na kogoś takiego, którego i w senatorskim nie odrzucono domu. A córeczce tęj było Julia na imię. I była ona tak piękna, jako lilia

kwitnąca w pełni, kiedy swą główkę pochyli, na drobniejsze kwiateczki spogląda i anielskimi się dumaniami obwija. I była tak piękną jak gwiazdka, która w mgły gazowe obwinęta, po lazurowych błędząc błękitach, nikogo blaskiem swoim olśnić nie pragnie, a jednak oczy wszystkich za sobą obraca, dla wszystkich szczera i otwarta, a jednak dla nikogo niepojęta, nieodgadniona. I była ona tak piękna, jako posąg z białego marmuru, wzniosły i uderzający wspaniałością swą wszystkich, rozmawiający z każdym i myśli swoich udzielający, a jednak nie obudzający w nikim nic więcej, prócz czci bałwochwalczej u pogan; uznana w piękności swojej u rozumnych, a przez szeroko rozwarte usta wybiegającego podziwienia u gminu. Takie czyniła Julia wrażenie na świat ją otaczający, ale powinna była inne czynić wrażenie.

Julia była wzrostem więcej słuszna niż mierna, budowa jej ciała była więcej szczupła, niżeli potężna, ale za to okrągłości jej form nic już nie mogło przewyższać pod słońcem. Twarz jej była pociągła, nos równy zupełnie, czoło ani zbyt niskie, ani wyniosłe, ale przed białością jej lica, gorsu i ramion i przed promieniami jej świeżych, ciemno błękitnych oczu, padało wszystko na twarz, co żyło. Włosy jej czarne i szklące jak jedwab, stały się przedmiotem zazdrości u wszystkich kobiet, a chód jej niewyniosły ni dumny, ale jakiś tak lekki i uroczy, że nie zdawała się iść ale płynąć w powietrzu, obyczajem duchów skrzydlatych, unoszących się nad grobami, czynił to, że gdziekolwiek przechodziła, wszyscy nawet bez myśli ustępowali jej z drogi. Takie przymioty powierzchowności lubo wzbudzały u jednych cześć i uznanie, u innych uwielbienie i podziw, niewiele jednak serc podbiły dla Julii: kobiety ją niecierpiały, unikały i różnemi wymysłami piękności jej ująć usiłowały; starzy chwalili na zimno, mówiąc że okrutnie gładka to dziewczka — a kawalerowie, lubo nie jednemu może i taka i owaka myśl na widok jej przychodziła, jednak nie mieli jakoś odwagi zbliżyć się do niej, lub zbliżywszy się, dłuższą utrzymać rozmowę, i podziwiali ją tylko zdaleka. I musiało już tak być zawsze i nieodmiennie, i oziębłości tej całego świata dla Julii nic już przemódz nie mogło, były bowiem temu dość ważne przyczyny. A pierwszą zaraz było to, że panienska ta była córką takiego domu, który nietylko nic nie ważył w powiecie, ale nawet bywał przedmiotem niepoczciwych przycinków i żartów takich, które tylko jego poniżenie, a może nawet i podeptanie zupełnie miały na celu, powtóre, że matki zdrowej i ze sąsiadkami powiązanej przyjaźnią i innemi stosunkami nie miała, a miała ojca, który był cichy i spokojny, z nikim garnca nie wypił, nikogo nie wybił, nie posiekał, z nikim nie przenocował się w rowie, w słodkich pijanego afektu objęciach, z nikim nie miał procesów, sporów granicznych, zajazdów nie czynił, do burd nie należał...

Trzecią zaś przyczyną onej oziębłości, o której mowa, było o wiele staranniejsze i starannością swoją wszystkich oczy ude-

rzające wychowanie panienki, a że nieukrywaną wyższość moralną nie znosili naówczas i nie znoszą do dziś dnia sąsiedzi i sąsiadki w powiecie, niedługo potrzeba dowodzić. Do tych powodów nakoniec przyczyniało się niemało i samo usposobienie Julii, które nie z serca, nie z wyrachowania, ale poprostu z natury, z wrodzonej wstydlivosti dziewczęj, ze skrumności, z braku pretensyi do świata, wyrobiło się w niej zachowanie się tak zimne i trudne, tak milczące i mało otwarte, że to ją już dobijało z kretesem, bo nietylko odstręczało nawet najchętniejszych, ale stawało się powodem do najzłośliwszych wniosków, a nawet do rzucania podejrzeń o zupełny brak serca, dumę, próżność i pogardę dla otaczających ją osób.

Tymczasem usposobienie moralne Julii było całkiem inne w rzeczy, niżeli wyobrażenia, jakie o niem mieć chciano. Wychowanie jej było wprawdzie wyższe nad to, które owego czasu popolicie dawano kobietom, i w głowie jej pięknej znajdowało się cokolwiek więcej wiadomości, niżeli w wyczubionych głowach jej innych sąsiadek, ale jej wyższości istotnej nad inne nie stanowiło głównie samo wychowanie i ilość nauki, tylko że ona to, czego się nauczyła w konwikcie, umiała zachować, podnieść i rozprzestrzenić w domu rodziców, podczas kiedy inne kobiety, zamieszkawszy raz na wsi, już o wszystkim, czego się niegdy uczyły, zapominały; a nakoniec jej wyższość stanowiło głównie jej serce, piękne i czułe z natury, a później wykształcone i wyrobione do tego stopnia, że ani dziw nawet, że nie znachodziło w żadnym innym sercu sympatyi, bo do tego potrzeba równego sobie: a ono nie znalazło takiego.

I jeżeli co można było zarzucić Julii, to chyba to tylko, że to serce było zanadto tkliwe, rzewne, że się roznosiło w samych najprzedniejszych uczuciach, i właśnie tak jako lekki zefir wiosenny, który się rankiem nad pełnemi różami unosi, ich westchnieniami oddycha i płacze ich łzami, unosi się nad ich różowemi myślami. Ale na różę łązy roniące o świcie wschodzi rankami słońce, które mgły chłodne rozpędza i łązy ich osusza; a jej serce nie miało żadnego słońca, któreby się nad niem uniosło i łązy osuszywszy, dało mu wesołość i uśmiech na cały dzień letni: jej serce znało tylko błądy i chłodny promień księżycy, któremu przystało li nocą na niebiosy wypływać, stare baszty zamkowe i lodowate groby oświecać, a chłodząc wszystko dokoła, z ludzkiego serca smętne wydobywać westchnienia. Prócz łez i westchnień, które znało jej serce, znała jej głowa jeszcze bezgraniczne marzenia; głowa, która nie umiała dzielnie sterować myślami i wyobrażając sobie świat raz niebem, a drugi raz piekłem, a ludzi raz szatanami, a drugi raz aniołami, dziwne z jej piękną duszą wyprawiała igrzyska.

Julia namiętnie lubiła książki i wiele czasu trawiła nad ich czytaniem, ale jej ojciec za wszystką naukę i rozrywkę nie kazał

jój czytać biblii obojga zakonów i świętych żywotów, — a ona, mając sobie samą wybór ten zostawiony i dany grosz na to, nie wiedząc co czytać w języku polskim, a umiejąc francuzki, czytała wszystko, o czém tylko wieści zasięgnąć mogła zdaleka. Znała więc ona lepiej niż wszystko sławną Heloizy historią, znała swoje imienniczkę kochankę Romea, znała i wszystkie inne, które poumiérały, albo przynajmniej nieszczęśliwemi były z miłości; znała ona dalej Barbarę, Gasztoldową wdowę, znała Dorotę z Tenczyna i Oświecimównę, a ponieważ nie doszła do niej wieść o głośnych rycerskich Chrzanowskiéj i o cichym domowych Anny Jagiellonki cnotach, więc nie myślała o niczém, jak tylko o miłości, o jój cierpieniach i smutkach, o śmierci dla niej, lub innych męczarniach, mało kiedy myśląc, bo może nawet zgoła nie wiedząc, że miłość jest jako róża i obok kolców które ranią i krwawią, ma także swoje kwiaty i rozkosze. Ona krom tych, które pielęgnowała w swym wirydarzu, o żadnych innych nie myślała tego żywota kwiatach, właśnie jakoby treścią i jądrem tego życia były same cierpienia, a całą rozkoszą to tylko, a żeby cierpieć za rzeczy piękne i dobre. I było jój życie podobne do wieńca, z samych czarnych wijącego się kwiatów.

Więc nabiwszy sobie takimi myślami głowę, jednego wieczora umiérała już z bólu nad trupem wyśnionego Romea: inny raz, nie umarłszy zupełnie, w czarnej, wlokącej się szacie, szła na grób jego, tam, przy bladych promieniach jedynego jój powiernika księżycy, łzami się obléwała żywemi, cierpiąc, jak drugi Chrystus w Ogrojcu, i głową tłukąc o marmur grobowy i wołając doń głosem lkającym, aby jój oddał zwłoki ulubionego, albo ją połknął i przy nim położył. Ale marmur był zimny i milczący, jak cały świat naokoło, i nie wysłuchał jój próśby, a ona nie ustając w swoich zaklęciach, padła zemdlona i objęła on gład nieczuły obydwoma rękami, a żeby go ogniem swojego serca spalić na popiół, albo łzami roztopić. Ale i to się nie stało i z onego snu nadgrobnego obudziły ją dopiero słowiki, uderzające w chór swój wyniosły w chaszczach nadbrzeżnych i obudziły ją na to, a żeby powróciła do domu i cierpiała dalej już aż do śmierci.

Inną razą, kiedy już dosyć się nablądziła po cmentarzach i grobach, kiedy już serce w niej zdrętwiało od samych bólów i cierpień, kiedy już oczy się jój zamykały od łez i piersi wysychały od westchnień, a ona z warkoczami rozrzuconemi i rękami opuszczonemi ku ziemi siedziała samotnie pod gruzami jakiegoś kościoła i chłodziąc się nocy majowej powietrzem, słuchała echa przynoszącego ostatnie słowa jakichś psalmów pokutnych, on przyszedł do niej, on, widziany już dawno w snach przedpółnocnych i wszystkiemi drżeniami serca pragniony... miał twarz bladą i smutną, oczy czarne płomienne i krucze kędziory na głowie, któremi wiatr igrał i unosił w powietrzu... miał suknię czarną aksamitną, bramowaną złotem i perłami nabitą, miał drugą białą atlasową

pod spodem, na której pas był złoty, kamieniami sadzony, a z tego pasa widać było sztylet zabójczy, z rękojeścią dyamentową na sukni czarnej miał lilią białą przypiętą, w lewém ręku na czapkę okrągłą, z białém piórem chwiejącém się za nią, a w prawém drugą taką lilią dopiero zerwaną... przyszedł, spojrzął na i upadłszy jęł do nóg, długo łzami obléwał śnieżne jęł ręce. „Jestem rzekł on potém głosem czystym i takim, jakiego żadna pierś śmiertelna nie wyda, jestem i przyszedłem po ciebie, ażebyśmy serce i serce podali na wieki.” Julia wstała i pochyliwszy się nad nim, łez gorących strumieniem oblała te wieści, które on przyniósł, ażeby on wieniec kwiatów czarnych, przez jęł całe życie splatających, dwiema białemi liliami zakończyć. I wstawszy, dała mu rękę i szła z nim precz, w świat gdzieś daleki i samotny, w długą do jakiegoś wielkiego grobowca wędrowną. A ponieważ wojna była natenczas tylko co przygasła w narodzie i w ruinach stały wszystkie zamki i grody, więc szli do chaty małej, słomianą strzechą przykrytej, nad zieloną sadzawką położonej, ażeby w niej, zdala od gwaru świata i zimnych ludzi, spędzić tę resztę życia do śmierci. A koło téj chaty był cały górz róż woniejących i cała łąka lilij kwitnących i cały las pełen ptaków śpiewających. A na brzegu sadzawki stały wierzby zasłane, w biały puch owinione i w wodzie się przyglądające, a sadzawce pływało dwoje śnieżnych łabędzi, które do onych wieści przypływały, puch chwytaly w dzioby czerwone i pluskały w wodzie. Po drugiej stronie sadzawki, pomiędzy płaczącemi brzoźkami, stał maleńki krzyżyk drewniany: jego czoło wiecznie się opalało w skwarnych promieniach słońca, a jego stopa owiniona była w bluszcz do góry się pnący, wiecznie zielony i kwiateczkami okryty. W onęj chatce mieszkali oni i oddając swe ranki lilii i różom, dnie karmieniu łabędzi i ogrodowym robotom, z słońca onemu krzyżowi, który z ich ust odbierał modlitwy, a on tomiast wlewał w ich serca słodycz spokoju i złociste strumienie nadziei, wieczory zaś trawiąc na słuchaniu słowików i bujaniu w światach swych myśli i marzeń — było im bardzo błogo na ziemi. I było wieczne szczęście we wnętrzu chatki i wieczne kwiaty w chatką i wieczna wiosna na ziemi. Aż znowu kiedyś grom śnieży szliwy uderza w chatę, burza łamie lilie i kwiaty, strzały wojenne wypędzają słowiki z ogrodu, łabędzie ulatują w powietrze, krzyżyk się druzgocze w kawałki i upada z trzaskiem na ziemię — a z onego wieńca zakończonego dwiema białemi liliami, poczynają znowu zaplatać kwiaty czarne jeden za drugim.

Taką głowę i serca zajęta robotą Julia, nie dziw że nie myślała o tém, jakim sposobem sobie sympatyą u sąsiadek pozyskała i nie dziw, że dotychczas żadnego nie przywabiła do siebie i kurenta. I jęł to może nic nie szkodziło, jęł może i nie potrzebowało do szczęścia kończyć tak życie swoje, jak je kończą wszystkie kobiety w powiecie: ona może i nie myślała o tém, że nako-

dobrzeby było pójść za mąż i mieć dom swój własny i gospodarstwo i kogoś takiego, na którego barki możnaby złożyć brzemię trudnych i nudnych trosków pospolitego życia; ję, aby prawdę powiedzieć, ani na myśl nie przyszło, jakby kochać mogła, poślubić i na wieki żyć razem z którym z onych wąsatych i barczy-stych młodzieńców, których krzyk hałaśliwy i brzęk pałaszowy ciągle na gościńcu i po sąsiedztwach słyszała. Ale ojcu i matce nieraz przychodziło to na myśl, bo oni, mając oczy zdrowe i księżycowemi niezamglone myślami, widzieli to dobrze, że Julii coraz bardziej owa dawna wesołość i świeżość dziewicza znika z krasnego lica, zaczęli poznawać, że jakoś nie wywijają się dobrze ich wielkie o ję przyszłym losie nadzieje, liczyli dobrze, że Julii już minął rok dwudziesty, a po nim jeszcze jeden i jeszcze jeden. I gryzło ich to niepomału i zaprzatali tęp myśli swoje i rozmawiali o tęp nieraz pomiędzy sobą starzy. Ale ani myśli, ani rozmowa nic na to nie pomagały i pan Dżianott sam wiedział o tęp, że to nie pomoże, ale że to dwadzieścia i dwie latek jeszcze nie wiek jest, a miłość ojcowska także i u niego, tak jak u każdego ojca, votum swe miała, więc pan Dżianott lubo myślał o tęp, nie zabięrał się jeszcze do żadnego czynu, ani nawet żadnego pewnego nie układał planu.

Aż dnia jednego o wiosnie, właśnie wtenczas kiedy sława cnot obywatelskich braci ślubnych, a jego tak blizkich sąsiadów, roznosiła się już skrzydłami wichru po całym powiecie, matka Julii, opuściwszy na chwilę długo przez siebie strzeżone łożę, wyszła była przy pomocy sług na galeryę, ażeby tam usiąść w poręczowym krześle i godzinę przepędzić na świeżém powietrzu i słońcu. Obok matki usiadła Julia i po zwyczaju książkę jakąś trzymając w ręku, nie czytała ję, lecz rozmawiała z matką, starając się ją zabawić i rozweselić. I rozmowa toczyła się właśnie o tęp, że rok mija po roku, wszystko dokoła się zmienia, młodzień podrasta, żeni się, nowe domy się otwierają w sąsiedztwach, tylko w Zahoczewiu od lat już dwudziestu wciąż jedno jest i to samo.

— I nie rozumiem, moje dziecko kochane, — mówiła dalej matka — co to ma znaczyć. Piękną jesteś i młodą, wychowanie twoje pewno lepsze niż wszystkich twych rówieczniczek, bogatą nie jesteś, ale są i uboższe panny od ciebie i nie daleko ich szukać i wszystkim tym, jeżeli nie powychodziły już za mąż, to choć swaty się jakieś trafiają, choć się nawinie ten albo drugi kawaler i choć pokręci się koło domu i drugiego za sobą pociągnie i przecie nakoniec.... tu tylko wszystko jakby zakłęte.... i droga do nas, gdyby nią ojciec snopów nie woził z pola, zarosłaby była już dawno w pas trawiskami, a może i człowieka dosięgającą krzewiną.

Julia kochała matkę aż do pieczczołliwości i miłość tę zawsze

starła się uległością jej woli i nigdy nie ustającą troskliwością o jej wygody okazać; ale tego przedmiotu o którym teraz mówiła matka tak nie lubiła, że pomimo to, iż wiedziała, że prowadząc go dalej, najmilszą dla matki utrzymałaby rozmowę, spuściła tylko oczy nadół i smutne zachowała milczenie.

Matka Julii była to kobieta prostego serca i ducha, nabożna, skromna, kochająca cały świat równo i przepuszczająca wszystkim wszystko, a ponieważ do tego jeszcze skołatana była cierpieniami długiej choroby i w skutek tego od lat kilku już codzień do przejścia w świat inny przygotowana, więc stała się jeszcze pokorniejszą i wyrozumialszą na wszystko, niżeli była przez całe życie. I dlatego widząc, że mowa o braku szczęścia Julii do ludzi sprowadza jej smutek, także umilkła, usiłując tymczasem zabawić się jakąś drutową robotą.

Ale wtém obca jakaś pokazała się na galeryi osoba. A osobą tą była słuszno wzrostu i letnia już jakaś kobieta. Ile na oko sądzić było można, nie należała ona do całkiem prostego gminu, ale z jej zaniedbanego i brudnego ubioru znów wnosząc, niewiele ją można było wyżej nad on gmin prosty postawić. Miała ona bowiem koszulę cienką wprawdzie i w dziwne jakieś floresy wyszywaną, ale pomiętą już i nieświeżą; spódnica na niej była w żółte i czerwone szerokie pasy, buty niegdy żółte, ale dzisiaj mocno już wytyrane, chustka na głowie biała czarnymi upstrzona malowidłami, a lubo w tak ciepłym czasie miała na sobie i inderak granatowy wytarty, toż na wszystko zarzuciła ona jeszcze chustkę jakąś szarą i tak ogromną, że ta, okrywając jej głowę, brzegami swemi sięgała jej aż do kostek. I ubiór ten nie miał nic w sobie osobliwego i nie mógł nikogo uderzyć; jednak coś było w całej istocie tej baby, że patrząc na nią, jednych niezmiernie opanowywała ciekawość, a drugich dreszcz przejmował od pięt aż do czupryny. I zdaje się, że twarz jej głównie taki wpływ jakiś nieodgadniony wywierała na wszystkich, i twarz ta była rzeczywiście dziwném jakiémś zjawiskiem. Niedosyc bowiem, że była cery tak ciemno oliwkowatej, że ją koniecznie trzeba było o pokrewieństwo z cygaństwem posądzić, niedosyc, że otoczona dziwnie bujnemi a dobrze już szpakowatemi włosy, miała takie oczy jakies, że takich drugich żadną miarą nie można było znaleźć u innego człowieka; niedosć nakoniec, że twarz ta była okryta zmarszczkami w taki sposób się po niej rysującemi, w jaki na żadnej innéj nie rysują się twarzy: ale nad to wszystko cała twarz tak jakoś ruchoma i tak jakiejś czartowskiej sztuce podległa, że podczas kiedy przypatrzysz się już raz dobrze, zdawało ci się żebyś ją poznał i między najliczniejszymi tłumami, toż spoglądawszy drugi raz na nią, widziałeś już twarz całé inną i do tamtéj ani krzty niepodobną. Więc nie można było tego naganić, że nie jednemu, który się tej kobiecie zbliżka przypatrzył, przychodziły na myśl one wier-

sze, które w swoim statucie Jan Dzwonowski, sławny swojego czasu poeta, zamieścił, a które mówią:

I ta dobra gospodyni, która z wody mleko uczyni,
I z powroza nadoi i niezłe, gdy się ustoi.
Gdzie chce, choroby nabawi; komu chce, zdrowia naprawi;
Komu chce, naczyni złości, pozbawi go majątności,
A kto się z nią zachowa, wielka podpora domowa.

Kiedy weszła ta kobieta na galeryą, Julia, spojrzawszy na nią, wstrząsała się mimowolnie i zadrżała, ale matka, drżącą i wychudłą ręką oczy zasłoniwszy od słońca, rzekła w głos:

— Czy mi się zdaje, czy w samej rzeczy to Ewa?

— Nie zdaje się jéjmości, ja to sama, — odrzekła baba, kłaniając się nisko.

— No proszę, — wzięła znowu głos matka, — któżby się tego spodziewał. Gdzieżeś to się bawiła przez tyle czasu?

— Nigdzieś się ztąd nie oddalała, moja jéjmość kochana, — odpowiedziała znów Ewa; — zawsze mieszkam na balogrodzkiej granicy i ot żyję jakoś z łaski Pana Boga. — A pani znowu...

— Jakże ci się powodzi? czyś za mąż poszła? zkądże teraz powracasz?

— Nie, jéjmość droga, męża nie miałam i nie mam, a powodzi mi się ot! jak Bóg da z łaski swojej. Temu powrózę, tego poswatam, pokłóconych pogodzę, a zresztą pracuję gorzko a krwawo, i jeżeli nie ztąd to z owąd kapnie grosz siaki taki, i nie umiera człek z głodu, bo dobrzy ludziska na świecie.

— Wy wróżycy umiécie? — spytała się nieśmiało, lecz z pewną ciekawością Julia.

— Umiem, panienko, — odpowiedziała przybliżając się do niej zagadniona, — i pannie powrózę.

Ale wtém matka ruszyła się żywo w swém krześle i pewna niecierpliwość odbiła się w tym ruchu, tak jak gdyby nie chciała, ażeby wróżb tych słuchała jéj córka. I rzeczywiście tak było, że ona tego nie chciała i dlatego niecierpliwość swoją dalej okazywać usiłowała; ale Julia, zajęta już całe wróżką, nie uważała na to i tymczasem podała już Ewie swą białą rękę, mówiąc:

— No, to mi powróćcie.

Niecierpliwość matki nie uszła baczności Ewy, w skutek czego nie przystąpiła ona zaraz do ręki Julii, ale natomiast, zbliżywszy się do matki, pokłoniła jéj się nisko, mówiąc:

— Ale nie wiem, czy jéjmość pozwoli?

Jéjmość, dając piérwój znak swojej niechęci dla téj wróżby, nie tyle była samejże wróżbie przeciwną, ile chciała tylko powiedzieć, że ta właśnie wróżba niewiele mieć może wagi, bo chciała dalej Julii powiedzieć, że zna ona oddawna już Ewę, wszakże służyła niegdy u jéj rodziców, a prowadzenie się jéj zawsze było ta-

kie, że niepodobna aby stworzenie to mogło kiedy władzy wróżenia dostąpić; nie przywiązując tedy żadnej wiary do téj wróżby, a obawiając się, ażeby z niej się nie wyjawilo co takiego, coby zakłóciło spokój domowy, rozumiała że lepiej się stanie, jeżeli żadnej wróżby nie będzie. Lecz teraz, kiedy wróżka sama tak pięknie i łagodnie odwołała się do woli matczynéj, ujęta tém za serce, odezwała się matka:

— Jeżeli nic w tém złego nie będzie, to powiedz, moja kochana, co wyczytasz, — wszakże zawsze dodała, — ale nie rozumiem doprawdy, gdziebyś ty się wróżenia wyuczyć mogła?

— Wprawdzie nie łatwa to sztuka, — odpowiedziała na to Ewa, — ale kiedy człowiek chce, to sobie do wszystkiego nauczyciela wynajdzie; a o złe niech się jéjmość nie boi; umiem ja milczyć i nie chodzę po to pomiędzy ludzi, ażeby ich straszyc złém takim, na którebym zaraz nie podała lekarstwa.

Tu przystąpiła Ewa do Julii i wzięwszy dłoń jéj w obydwie ręce, mocno się w nią wpatrzyła. W téjże chwili twarz jéj się dziwnie zmieniła, brwi się podniosły, oczy się roziskrzyły, włosy się wzniosły na głowie, a z ust przedtém sinych, a teraz rozczwienionych jak szkarłat, takie wrywały się słowa:

— Za mążby pannie potrzeba, bo tak jest niedobrze. Schniesz, nudzisz się i latasz tamtędy, kędy się jeszcze dosyć nalatasz po śmierci. Wiem o tém dawno, moje sługi cię tam zdybywały i dziwowały się tobie... Gospodarstwa ci trzeba, domu, zatrudnienia, za mąż potrzeba.... Ale nie było dotąd żadnego.... nie było i nie będzie takiego, o jakim myślisz.... ale będzie inny, dwóch ich będzie... dwóch ich będzie i to z blizkiego sąsiedztwa....

Wtém pan Dzanott, w dreliszkowym żupanie, pasem opasany skórzanym, w butach ze szaréj skóry do kolan, w kapeluszu pilśniowym z szeroką kanią, z kijem laskowym w ręku, powracając od rzepy, którą siano natenczas, wpadł, jak to miał zwyczaj, prędko i pośpiesznie na oną, gdzie się to działo, galeryą. Pan Dzanott, troskliwy ojciec i dobry mąż dla swéj żony, porzucił robotę w polu i przybiegł tylko na chwilkę, ażeby obaczyć, jak się ma żona i jak jéj służy powietrze, lecz obaczywszy obcą jakąś kobietę, trzymającą dłoń jego córki w obudwu rękach, stanął zdziwiony i rzekł naprędce:

— Czémże to ichmość się bawią, czy niejedno wróżbami?

— Zgadłeś, mężu kochany, — odpowiedziała mu żona — przysła wróżka i dla krotochwili Julcia kazała sobie powróżyć.

— Nie na wiele się to snać przyda — rzekł na to ojciec, — bo i mnie wróżono wielkie rzeczy onego czasu, a do dziś dnia nic z nich nie przyszło, ale przecież cóż mówi? — Ewa przyściem pana Dzanotta spłoszona, stała już w zwyczajnej swojej postaci, plecyma o poręcz od galeryi oparta i zamyślona, a kiedy pan domu, co wywróżyła, zapytał, odpowiedziała głosem zimnym i obojętnym.

— Mówiłam pannie, żeby jój za mąż potrzeba, że dotychczas jeszcze kawalera nie było, ale że będą.

— Będą? — zapytał Działott.

— Będą, dwóch ich wraz będzie, dwóch a obadwa z blizkiego sąsiedztwa...

— Z sąsiedztwa? — zapytał znów Działott i stanął i zamyślił się mocno.

Potem zaś chodził i myślił ciągle, a dalej już i wrózkę odprawili kobiety, dawszy jój datek nie skąpy i zapomniący już może o wróżbie, a on jeszcze chodził ciągle i myślił. Po chwili jednak kazał sobie konia osiodłać i pachotkowi wsiąść na drugiego, a ubrawszy się pięknie i powiedziawszy żonie, że dla jakiegoś kupna musi na parę godzin z domu wyjechać, z myślą: Kto sobie pomaga, temu Bóg pomaga, — ruszył gdzieś w niedalekie sąsiedztwo.

W kilka dni potem, o tój samej właśnie porze popołudniowej jak wtenczas, siedziała znowu Julia z chorą swą matką na galerji, kiedy nagle dał się słyszeć tentent kopyt i szcęk broni przy bramie, a niebawem konno, buńczuczno i strojno wjechało trzech jezdnych w dziedziniec. Matka nie mogła tak prędko i o swoich siłach podnieść się z krzesła, ale panna skoczyła i popatrzyła na dół z galerji, i widziała tych jezdnych, ale ktoby byli, powiedzieć nie umiała.

Tymczasem oni, konie pachotkom swoim oddawszy, poprawili coś koło ubiorów i szli prosto na górę. Ale wszedłszy na galerję i tam kobiety zastawszy, nie szli już dalej, tylko się do nich zbliżyli, pokłon piękny oddali i najpiérwój o pana pytali, a kiedy się dowiedzieli, że go niemasz w domu i już posłano pón w pole, to jeszcze raz się kłaniali i prezentowali się paniom, wymieniając swoje nazwiska. Więc dowiedziały się panie odrazu, że jeden z nich, co najpotężniejszy budową i wzrostem, był pan Osuchowski, łowczyc sieradzki a dziedzic Żerniczki, drugi, cokolwiek mniejszy i szczuplejszy, ale cudnie piękny młodzieniec, pan Bobowski, stolnikowicz sanocki a dziedzic Żernicy, a trzeci całé już mały, nie bardzo młody, brunet i cokolwiek łysawy, pan Grott, herbu Mora.

Pan Grott byłto szlachcic herbowy polski, ale nie posesyonał; pieczętował się herbem Mora i powiadał, że mu się to z prawa należy i że jest krewnym onych Grottów, siedzących w błotach pińskich, ale posiadłości swój nie miał ani tam, ani na błotach, ani owdzie na piaskach, ani tu w górach. Zjawił się on niedawnemi czasy tu w ziemi sanockiej, a jako to pomiędzy szlachtą zawsze i ten i ów pożywić się może, tak i on, nie siejąc ani orząc, jako szpak albo wróbel około strzech latający, żywił się z cudzej stodoły. Pomiedzy szlachtą onego czasu bardzo wielu żywiło się takich ludzi, bo téż i w Polsce było ich bardzo wielu: spokój trwał już dosyć długo, pokolenia młode podraszały zwawo w tój dobrój

doli, młódź rosła w coraz to większą liczkę, w cudze kraje nie wychodziła, na wojnach jój nie wybijano, głódów i pomorów nie było, a nawet Tatarzy już zaprzestali byli swoich zagonów, więc siedziało to wszystko w dobrém zdrowiu we wnętrzu kraju; a że posiadłości Rzeczypospolitej przez ten czas nie przybyło, więc jój szlachcie nie ubyło i niektórzy z nich byli bez posiadłości. Ale żywiła szlachta takich z dobrego serca, a im który z nich więcej miał przyrodzonego dowcipu, tém mu łatwiej było o dobry stół i wygodę. Różnych téż sposobów dobiérali sobie oni proletaryuszowie dla opatrzenia potrzeb swojego życia: więc jedni byli pokorni i cisi, wyęczeni swych gospodarzy w zatrudnieniach domowych, w handlach jakich albo przemyśle, i uciufawszy sobie przytém dla siebie grosz jaki, osiadali potém sami na dzierżawach, albo wcale i na dziedzictwach; drudzy znowu, także pokorni i spokojni, uczyli tylko dzieci czytać i stawiać litery, i mając za to chléb powszedni i czasem jaką przetartą suknię z garderoby pańskiej, na tém poprzestawali; najwięcej jednak było pomiędzy nimi takich, którzy pamiętając na swoje urodzenie szlacheckie, zapominali o swém położeniu, i nie dając do siebie przystępu pokorze i pracy, wieszali się tylko przy szlachcie, za pan brat z nią żyjąc, gościnność jój nie za łaskę, ale za obowiązek uważając, i wybierając na swoją siedzibę zawsze tylko domy kawalerów, wdowców lub hulaszczęj i o jutro niewiele dbającój szlachty. Ci ludzie byli dowcipni, junakowaci na oko, ale często dobrze tchórzem podszyci; gardłujący wiele za cudzemi sprawami, a podczas gdy ciągle o tym rozprawiali jako u nich gardło dać za przyjaciela byłoby niczém, nigdy gardel swych nie dawali. Takim wiodło się prawie zawsze najlepiej i nigdy im domu ani przyjaciół nie brakło, i mogliby oni byli daleko piérwój przyjść do własnego chleba, nizeli tamci piérwsi, ale z tych żaden nigdy do niczego nie przyszedł, bo każdy z nich co miał, to przehulał. Dlatego téż już największą zacnością takiego człeka było, jeżeli miał garderobę porządną, parę koni własnych i swego sługę, i lubo goszczenie takiego daleko więcej wynosiło nizeli innego, jednak zawsze tak było, że taki prędzej znalazł dom otwarty dla siebie, niż inny.

Do tego téż rodzaju należał i pan Grott, herbu Mora. Bywało ci wprawdzie i u niego tak jako Bóg dał, i nieraz nietylko koni i sługi, ale i i żupana dobrego nie było, a zwłaszcza już naticzas, kiedy się w karty zgrał, albo kości go omyliły; ale nigdy stan taki nie trwał u niego długo, a czasem i kilku tygodni mu na to nie było potrzeba, żeby miał dwa albo trzy konie, kontusz sajetowy jeden i drugi, pas lity, zégarki i pierścienie, i trzosik niepróżny. A wždy przeto nikogo nie obdarł, nie okradł, ani téż oszukał tak, ażeby go potém o fałsz obwiniono w powiecie. Więc gra tylko szczęśliwa i przemyśl misterniejszy od owoczesnych rozumów były źródłami, które go pożywiały; nad te obadwa źródła jednak jeszcze obfitszém i pełniejszym były serca szlachty, naścię-

zaj otwarte dla niego. Umiał bo też on pozyskiwać sobie te serca, tak jak nikt z jego kolegów; żaden bo też z nich nie miał ani tego dowcipu, ani tych wiadomości, ani téj fantazyj wiecznie żywej i krotochwilnej i niczém niespożytej. I rzeczywiście, z kąd on się tego wszystkiego wyuczył, co umiał, Bogu tylko wiadomo, ale to pewna, że co wyczytać można w księgach starożytnych filozofów, co w klasykach rzymskich, co w oratorach, czém się natchnąć z Pisma świętego, czego nauczyć się od doświadczonych stuletnich starców, to wszystko Mora miał w jednym palcu. A i wiersz jaki mu zacytować z pamięci, Horacyusza na świadectwo powołać, Kochanowskiego, Reja, lub którego innego z poetów, było to rzeczą powszednią. Co więcj, Grott umiał nawet sam wiersze składać i nieraz niemi wprost odpowiadał na zapytanie, a kiedy mu taka wena przyszła, to niby nic powiedział ich sto albo dwieście. I to było, czém się głównie różnił od swoich kolegów pieczeniarzy i czém nietylko sobie zaraz wszystkie serca otwierał, ale czém nawet dostąpił takiej u szlachty swobody, że na przycinki i żarty odpowiadał daleko ostrzejszemi żartami, a nieraz tak cierpką a jędrną prawdą, że wartoby ją było i w księgę zapisać. I te żarty i prawdy jego znosili wszyscy, jeden ze śmiechem, drugi zasie ze wstydem, ale obruszać się za to nikt nie śmiał, bo już on zyskał był dawno taki przywilej, jakim się szcycili pan Stańczyk lub Gaska. I dobrze z tém było jemu, dobrze i sąsiadom, on miał chléb i poddasze, oni zabawę, wystugę, a na czas i dobrą radę, i dlatego wszyscy mu radzi byli u siebie, a już z otwartemi rękami przyjęli go bracia ślubni, kiedy przed kilkoma tygodniami do Żernicy zajechał i na czas dłuższy tam zasiedział. Taki był on trzeci kawaler, który z braćmi ślubnymi do Zahoczewia przyjechał, — ale wróćmy do rzeczy.

Kiedy goście ci weszli na galeryą, kobiety tam siedzące trochę się pomieszały, dawno już obcych ludzi widziały u siebie, dawno takich kawalerów pięknych i strojnych; ale i kawalerowie jakoś także niewiele okazali śmiałości, bo już to pan Osuchowski nigdy prawie nie wiedział albo wiedzieć nie chciał, od czego zacząć dyskurs z kobietą, a pan Bobowski tak się jakoś na panienkę zapatrzył, że zaprezentowawszy się, dalej i słowa powiedzieć nie umiał, i byłby nakoniec nikt rozmowy nie zaczął, gdyby nie Grott herbu Mora. Ten, przysiadłszy się do jójności, jak to miał zawsze zwyczaj czynić, kiedy przyjeżdżał z kawalerem w dom taki, gdzie była pani stara a panna młoda, i począwszy rzecz od pogody, przeszedł potem do zdrowia, którego brakowało jójności, i tyle nagałdał rzeczy różnych, że to wprawdzie nic nie nauczyły nikogo, ale zawsze przerywały milczenie. Bracia zaś obadwa mając sobie zostawioną panienkę, w żaden sposób nic nie mogli wydobyc ze siebie; w dobrą chwilę dopiéro potem Bobowski, wcale nie z wewnętrznej potrzeby mówienia, ale li tylko dlatego, ażeby

go za niemego nie wzięto, przysunął się z krzesłem swoim do panny i tak zaczął półgłosem i z głębokim westchnieniem:

— Mój Boże! jak też to ludzie na tej ziemi mieszkają tak blisko siebie, że się miedzami stykają, a przecie się wcale nie znają. I to się nazywa hulaszczą i wciąż się włączącą szlachta nasza; jacyż zasie są ci, którzy sławni są światu z tego, że wciąż w domu siedzą?

— O! tak, — odezwał się zaraz na to Mora — ludzie siedzą sobie pod miedzą, a tyle o sobie wiedzą, co wypiją i zjedzą; a ręczę za to, że nie jednemu u nas szlachcicowi możnaby jego sąsiada podać na półmisku, i byleby był ladajakim przyprawiony saporem, zjadłby go i nie wiedział, że to sąsiad jego. Gdyby sąsiad sąsiada zjadł i bez saporu, nie byłaby to nowina. Nie znają się u nas niektórzy pomiędzy sobą, ale drudzy zasie tak się kochają, że się aż zjadają.

I tak dalej w ten sens, wpadłszy na nowy tor, prowadził swoją rzecz pan Mora, a pan Bobowski milczał, patrząc na Julię, a Julia milczała, patrząc czasem na Bobowskiego. Osuchowski także czasem spojrzął z ukosa na Julię, bo lubo był zaciętym bezżeństwa zwolennikiem i kobiet nie lubiał, jednak na piękną rzecz same od siebie obracają się oczy.

Wśród tego czasu przybiegł z pola pan Dzanott, a skoro przybiegł, zaraz ożywiło się towarzystwo. Pan Dzanott bowiem rzucił się najprzód do powitania i sprawił się z tém bardzo wymownie i grzecznie, bo i komplementów nie oszczędził swoim miłym i ukochanym sąsiadom, i dał im poznać to zlekka, że dawno mu się to należało; dalej kazał stół przynieść w galeryę, nakrył go pięknie i takim winem i różnemi marcypanami zastawił, że trudno było odgadnąć: senatorska to gościna, czy zgoła królewska? a kiedy jeszcze do tego tę gošcinę swoją żywą rozmową, układnošcią i różnemi facecyami umił i przyozdobił, to tak kilka godzin minęło, jak gdyby jedno mrugnienie oka.

Śród tych kilku godzin pan Grott szedł ciągle o lepszą w facecyach z Dzanottem, i obadwa dobrze sobie dotrzymywali; już też i peni się rozmówniejszą uczyniła cokolwiek, i Osuchowski się rozgadał na dobre, i Julia nawet jedno i drugie czułe albo uczone słowo wrzuciła; Bobowski tylko jeden milczał i jak słońceznik głowę swoją obracał za Julię.

Tymczasem słońce zaczęło już zapadać za bujnemi lasami zjeżone góry i chłód poczynał na otwartą zawięwać galeryę, co zauważywszy pan Dzanott, zniewolił żonę swoją, że się z galeryi wyniosła, a kiedy tylko jednej osoby ubyło temu gronu, zaraz i pan Osuchowski za swoją czapkę się obejrzał, i pan Bobowski rad nie rad za swoją, i zabrawszy się pomaiu wszyscy trzej towarzysze, pomimo nalegań i prósb gospodarza, aby dłużej zostali, podziękowali za gošcinę, prosili o wzajemność; i wsiedłszy na konie, grzebiące kopytami przed gankiem, odjechali.

Za bramą i aleją grabową zniknęli oni zaraz całemu zamkowi z oczu, bo ich droga skręcała się zaraz na lewo i niknęła pomiędzy chaszczami i wąwozami, ale pomimo to, Julia, oparłszy się o galerią, stała jeszcze długo, i swe wielkie błękitne oczy w skały i lasy, na rumianém od ostatnich promieni słońca niebie się rysujące, wpatrzywszy, długo jeszcze tam stała. Myśli, które na ten czas przesuwały się przez jej głowę, i uczuć, które się kłębiły w jej sercu, nikt opisać nie zdoła, bo to są rzeczy tak niedające się pochwycić umysłowi ludzkiemu, jako nie dają się pochwycić one cudne harmonie płynących po niebie światów, jakoż i ona sama nie bardzo jasną z tych myśli potrafiłaby była sobie zdać sprawę; to jednak pewna, że twarz Bobowskiego tak jej zdała się być znajomą, jak gdyby już wiele lat w jej obecności przeżyła; oczy jego widywała już pewno gdzieś dawniej, ten jego żupan biały atlasowy, ten pas srebrny kamieniami sadzony, ten kontusz aksamitny bramowany złotem, ta cała pódstać zgoła tak skromna, milcząca i zamyślona, była jej już od dawna znajomą. Jakoż już i chłód wieczorny całe orzeźwił powietrze, ptaki się już popowieszały do snu po zielonych gałązkach, i księżyc już wielki i biały wyszedł na niebo, aby przyświecać samotnemu słowikowi uderzającemu gdzieś w dali w urywanych tylko akordach, a ona jeszcze stała o galerią oparta i zamyślona i w białej długiej sukni odbijającej mocno od poczerńiałych murów, wydawała się jak on duch zamkowy, który się w pewnych nocach jawi na wysokich krużgankach, zwiastując do nieszczęść przyzwyczajonym wnukom nowe jakie nieszczęście.

A tymczasem trzej kawalerowie jechali sobie stępą w górę oną ogromną rozpadliną, w której leżą wsie Żernica i Żerniczka. I dziwna, że pomiędzy nimi także nieme panowało milczenie i Grott nawet nie miał jakoś ochoty ust swoich otworzyć. Raz tylko jeden stolnikiewicz odezwał się był do Osuchowskiego, mówiąc:

— Niepospolicie gładka to dziewa, panie bracie, ta córka Działotta, — a kiedy Osuchowski nic na to nie odpowiedział, dodał tamten:—A i Działott sam grzeczny człowiek i nie rozumiem, czego chcą od niego? — Dopiero pan łowczyk:

— Ot! głupi ludzie! żeby dał temu w łeb, drugiemu w bok, a na onego żeby wymalował z jakie sto tysięcy przed sądem, toby się z nim wysiekli, wyprocesowali, a pogodziwszy się, pokochali; ale że spokojny i cichy, to psy na nim wieszają.

I na tém skończyła się cała rozmowa.

Ale w łydzień niespełna potem, Bobowski, niby to mimochodem, znowu zajechał do Zachoczewia; a dalej raz z Osuchowskim, raz z Grottem, a czasem i sam jeden, lubo zawsze zastaniając się różnemi pozorami, jednak dość często skręcał swojego konia do onej bramy, która jak gdyby upiór jaki, stała we środku starzej i próchniejącej alei. Rodzice widząc to, radzi byli, a nawet czasem aż nadto radzi, a że ojciec zwyczajnie zajęty był gospo-

darstwem i sm pola doglądał, matka zasie nie każdego dnia mogła wyruszyć się z łóżka, więc państwu młodym nic tylko sposobności nie brakło rozmawiać sam na sam, ale wstydliwemu stolnikiewiczowi nieraz już aż nadto było tych chwil szczęśliwych, w których wiele czuć i wiele rozmyślać, ale wiele mówić nie umiał.

Ale i bez częstéj i długiéj rozmowy w krótkim czasie o wiele się odmieniły myśli i usposobienia tych dwojga ludzi.

I jeżeli Bobowski coraz bardziéj przestawał zajmować się swojém ulubioném rycerstwem, końmi, łowami i słuženiem uciśnionej braci, a krom myśli ustawicznéj o piéknéj pannie z Zahoczewia miał tylko tę jeszcze, że niedorzeczną i cale niepraktyczną, jest opinia łowczyca o małżeństwie; to Julia dawno już zapomniała o swoich piékných po nieznanym świecie żeglugach, dawno zapomniała o kochankach umarłych i ich marmurowých grobowcach, zapomniała nawet o chatce onej nad zieloną wierzbami okoloną sadzawką, a natomiast wszystkie jéj myśli i uczucia, wszystkie sny i marzenia zajął żywcem tak jako był młody dziedzic Żernicy. Tego Julia całą mocą swéj duszy zaklęta w swoję głowę i serce, tego obraz żywy niosła wszędzie ze sobą, temu poświęciła wieczną miłość i poświęcenie się, za tego postanowiła sobie umrzeć, zginąć, dać się zamęczyć lub ukrzyżować. Wiécej jeszcze nie pragnęła dotychczas, a nawet jego sentymentami, jego sercem dla siebie tak mało się zajmowała, że tylko raz szczególny wzięła ją ciekawość, czy téż on także myśli o niéj.

Po téj ciekawości byłaby Julia i sama poszła już daléj i zaszła tam, dokąd wszystkie panny ze swemi myślami zachodzą, ale ją w tém uprzedził sam stolnikiewicz. Jednego dnia bowiem, pojechawszy on do Zahoczewia o przedwieczornéj godzinie, znalazł się sam na sam z Julią we wielkiéj zamkowej sali, która zapewne dawniéj kiedyś świetnością swych ozdób odpowiadała zamożności dziedziców i wspaniałości samego zamku, ale dzisiaj już tylko, odpowiadając ubóstwu dziedzica i zamkowemu zniszczeniu, świeciła tylko zakopconym pułapem i wybladłemi malowidłami. Tam w głębokiéj framudze od okna stojąc oboje i długo patrząc na dzieki urwisko góry i spienione nurty Hoczewki, nagle się odwróciłi, jednocześnie spojrzeli po sobie i — znowu się odwrócili od siebie. Ale niebawem potém, świeżego w piersi nabrawszy oddechu, tak się odezwał pan Józef:

— Nie wierzysz mnie panna Julia, jak mnie to jest ciężko na sercu, jak przykro, że od tak dawna bywając już w domu jéj rodziców, od tak dawna mając miłą przyjemność rozmawiania z panną i uwielbiania przymiotów jéj serca i duszy, muszę się jeszcze zawsze zachowywać jak on młodzieniaszek nieletni, któren, bojąc się różgi swych opiekunów, nie śmie wydać na jaw tych, któremi jego serce goreje, afektów.

Na te słowa Julia się mocno zarumieniła, oddech w piersi zaparła, ale milczała, Bobowski zaś mówił dalej:

— Wprawdzie nie tać mi tego, że lubo nie mam żadnych opiekunów nad sobą i tylko tych i owych doradców, którzy mi są przyjaciółmi, ale temu mogliby przecie stanąć na drodze; jednak z niemalém biciem serca i z niemalą bojaźnią, odważyłbym się przyznać się pannie Julii do tego, co mnie od niejakiego czasu tak ciśnie i boli, jak gdyby mnie kto kamień młyński przywiązał do serca...

Tu się zatrzymał stolnikowicz a Julia, widząc że wyczekuje jej odpowiedzi, wymówiła półgłosem:

— Niech mówi pan Józef. — A on dalej:

— Ale koniec końców niechaj mi się stawią przeszkody jakie chcą, ja je koniecznie przekonąć muszę, i choćby mi przyszło w tém życie położyć moje, szczęśliwym będę...

— O! Boże! — westchnęła panna.

— Szczęśliwym będę, — mówił dalej Bobowski, jeżeli mi Bóg pozwoli położyć życie za tę, bez której, jako widzę, niczémby dla mnie były wszystkie dni moje. Będęż mógł liczyć na to, że smutki moje albo li nawet i straty, jakie mi w tém przedsięwzięciu znieść przyjdzie, będą przyjęte z takim sercem...

— Ach! panie Józefie! — przerwała Julia — nie narażaj się na żadne smutki i straty, niech ciebie Bóg zachowa takim jak jesteś, bo gdybyś... o Boże! jaby nie przeżyła téj chwili.

— Ale to już inaczej nie może być — rzekł pan Józef, a ujawszy ją za rękę, mówił z zapalem: — ja wiem co robię, ufaj mi tylko i wier...

Wtém nadszedł do onéj sali pan Dżianott... i nic. Witął się tylko z Bobowskim i był bardzo grzeczny i czuły, rozmawiał ze stolnikowiczem o różnych rzeczach i zabawiał go po swojemu, a gdy ten się do odjazdu zabięrał, żegnał go równie grzecznie i mówił: do widzenia.

Po téj wizycie bywał pan stolnikowicz dalej na zochozewskim zamku i miał zawsze sposobność rozmawiania sam na sam z Julią, i nastąpiły pomiędzy nimi różne jeszcze dokładniejsze rozmowy i wszystkie wzajemnych ciężarów sercowych zwierzania, jak to zwykle bywa w miłości.

Tak działy się te rzeczy: co atoli Bobowski rozumiał pod onemi przeszkodami, któreby mu w téj sprawie mogły być stanąć na drodze, niewiadomo; niewiadomo także, jakich smutków albo zgoła strat się spodziewał, któreby z przewyciężenia tych przeszkód wyniknąć miały; zdaje się jednak, iż wedle jego przecucia źródłem tych wszystkich przeszkód, których następstwami mogły być smutki i straty, nie miało być co innego, jeno ona zawziętość Osuchowskiego przeciwko małżeństwu, z którą pewnoby swemu przyjacielowi stanął był na drodze. Smutkiem zaś ztąd wyniknąć

mogącym mogły być przy równej zawziętości stolnikowicza z drugiej strony nieporozumienia pomiędzy braćmi ślubnymi, może nawet gorszące spory lub zgoła gniewy, a stratą całkowite przyjaźni i rozdzielenie się i rozejście.

Nie będziemy tu sądzić pana stolnikowicza z tych jego myśli i uczuć, nie będziemy roztrząsać; były li one istotną prawdą jego duszy i serca, czy tylko czczemi w chwilowym sentymentów zapale wyrzeczonymi słowy: ale natomiast powiemy, że jeżeli przy spełnieniu swych życzeń z tej strony się przeszkód spodziewał pan stolnikowicz, to miał słuszność zupełną.

Pan łowczyc bowiem od kilku tygodni już dostrzegał jakiejś zmiany w swym przyjacielu, coś przeczuwał i domyślał się czegoś; nie mając atoli ani bujnej imaginacji, któraby mu co chwila nową tworzyła myśl w głowie, ani podejrzliwości w swém sercu, ani nakoniec onego sprytu żartkich i obrotnych umysłów, które w każdej sprawie w skok sobie poradzić umieją, pragnął był dusznie dowiedzieć się prawdy, ale jój jeszcze nie wiedział. Rozmyślając atoli codziennie więcej nad tém, postanowił nakoniec nie podstępnie i skrycie śledzić spraw swego brata, ale na jego wydalania się z domu pilne dawać baczenie i na jego słowa więcej cokolwiek uważać. Tymczasem stolnikowicz, wierny jeszcze swoim afektom i przedsięwzięciom, ułożył był w swojej głowie oswajając pomału swego brata z tém przekonaniem, że on wcale nie pochwała ani podziela jego opozycji przeciwko małżeństwu i że dziś, czy jutro, za rok jeden czy za lat więcej, zawsze to stać się musi, że połowa panowania w żernickim dworze oddana zostanie pani jakiejś pięknej i w przystojnym domu wynalezionej.

A kiedy z jednej strony było przedsięwzięcie badania i dochodzenia tajemnic drugiej strony, a w téjże drugiej stronie znów przedsięwzięcie powolnego swych uczuć i myśli wylania, więc niedługo czasu potrzeba było na to, ażeby pan łowczyc, pomimo całej ciężkości swojego objęcia, po odszukany już raz tropie wpadł na samo to miejsce, gdzie wedle jego zdania diabeł się był zagnieździł.

Jakoż jednego przedwieczora, kiedy obadwa bracia po zwyczajcu usiedli w ganku do poufnej pomiędzy sobą gawędki, pan Grott zaś był zajęty ujeżdżaniem swych koni, nad którymi, kiedy się już raz w jego dostały ręce, tak się mozolił, że ledwie ich czytać i pisać nie uczył: pan stolnikowicz, nagadawszy wpiérw dużo o różnych rzeczach, skierował mowę swoją do obowiązków każdego człowieka względem ludzkości i społeczeństwa, a powiedziawszy mało co o troskach i trudach, tak széroce się rozwiódł nad przyjemnościami wynikającymi ze spełniania tych obowiązków, że aż mu wypadło swą mowę zakończyć słowami:

— Wiész, panie bracie, że to nie głupi wynalazek małżeństwo.

Pan łowczyc, lubo w skutku dawniejszych względem swego przyjaciela podejrzeń powinien był być przygotowany na takie

dictum, tak się jednak tém jego otwartém wyznaniem przestraszył, że aż się rzucił na swojej ławie, lulka mu z ust wypadła i krzyknął:

— "W imię ojca i syna i ducha! a to co takiego?"

Ale stolnikowicz nie był przygotowany na taki wykrzyk i także się wzdrachnął, wszakże będąc dla swego przyjaciela tak delikatnych sentymentów, że nawet każde przykre uczucie, które dotykało tamtego, jemu równą czyniło przykrość, odpowiedział łagodnie:

— Nic, panie bracie, ot tak myśl jakaś przeleciała koło mnie.

— Ba! myśl — rzekł znowu tamtem — ale bo to myśl myśli nierówna, a są myśli takie, za które, kiedy raz przyjdą, drogo się potem płaci.

Na to nic już nie odpowiedział Bobowski, a i Osuchowski, nie chcąc przedłużać téj niebezpiecznej materji, także umilkł na czas przydłuższy, ale co tamten czynił, poprostu z braku dalszego conceptu, to ten li tylko ze smutku, a nawet boleści, którą go przyjęła jawna już teraz stolnikowicza ożenienia się chętką. Tak jest, boleść prawdziwa, szczera, dojmująca boleść przejęła Osuchowskiego, kiedy już nieodmiennie przekonał się o tém, że jego przyjaciel jest na téj drodze, po której jeżeli nie wprost do piekła, to wprost do wszystkich nieszczęść tego życia się leci. Człowiek ten bowiem, jak się to już wspomniało powyżej, niczego tak nienawidził na świecie jak kobiet, i wcale nie wahał się z tém występować publicznie, że najsprawniejszém narzędziem czarta zatraciciela dusz ludzkich są te właśnie istoty, które wedle młodych zapaleńców widzenia mają często postać aniołów. Powstało li to przekonanie w nim, w skutek jakiejś nieszczęśliwej z kobietami praktyki, czy było ono tylko tak, bez żadnej przyczyny ufiksowaną sobie teorią, nie można było jeszcze dotychczas odgadnąć, to jednak pewna, że teoria ta zdawała się być tylko jedném ogniwem całego łańcucha pewnych przekonań, któren to łańcuch, objawwszy wszystkie myśli Osuchowskiego, wodził je w swoich granic obrębie jakby w kole obłędném. A domysł ten, uczyniony przez znających go bliżej sąsiadów, gruntował się na tém, że ile razy pan łowczy począł mówić o celibacie, wystawiając go jako supremum bonum swoim słuchaczom, to zawsze przytém aplikował i tę naukę, która w krótkich tutaj zamknięta słowach, przykazywała młodzieży: iż ta, jako kardynałna kraju i państwa podpora, powinna zawsze być jako żołnierz w obozie, słuchający li trąbki i wodza rozkazów. Młodzież powinna całe jestestwo swoje trzymać li na usługi ludzkości i w ustawiczném oczekiwaniu powołania do służby, winna rozumnie i zręcznie wszystko to oddalać od siebie, co takiemu powołaniu mogłoby stanąć na drodze; a ponieważ nic tak nie obciąża człowieka i nie ogranicza jego osobistej wolności, jak żona, za którą wloką się zaraz dzieci, dom ludny,

ślug liczba, pierzyny, bety i różne inne zniewieściałości, więc chyba ten tylko może się żenić, któren z prawego obywatela chce się uczynić niedołęgą i stróżem śmieci domowych.

— Rozumiem ja to dobrze — mówił nieraz pan lowczyc, — że gdyby mężowie dzisiejszych czasów byli tacy jako byli dawniejszych; gdyby mąż dzisiejszy miał umysł tak czerstwy, serce tak twarde i tak umiał być żonie mężem i panem; a zaszę żony gdyby tém były co dawniej, gdyby ich panowanie rozciągało się tylko nad zamkowemi babami i dziećmi, a gdyby im, kiedy mąż wyjeżdża na wojnę, płakać nie wolno było aż wtenczas, kiedy po spuszczeniu mostów zamkowych w kole swych służebnic do przęśliicy usiędą; to i ożenienie się, nawet ranne, nikomuby nie wadziło. Ale kiedy mężowi dzisiejszemu więcej jeżdżą kufle, karty a kości po głowie, niżeli kraj i dobro pospolitéj rzeczy; kiedy sam żwawiej umię wskoczyć pod pierzynę i sprawnie pójść gonionego albo li drabanta, niżeli na koń wskoczyć i pójść z szablą o lepszą; kiedy pani ma więcej dowcipu od niego, i wygłaskawszy go pod brodę i pomrugawszy oczkami, tak mu swojemi kornetami, robromami, kolebami poszóstnemi a różnemi innemi świecidełkami nabije głowę, że nieborak sam nie wie, czy prócz świecidełek jest co więcej na świecie, a kiedy jęj nie dogodzi, taką mu wojnę uczyni w domu, że w kąć przed nią cecorska albo i grunewaldska: to dzisiaj złe zabijać w samém gnieździe i kawalerem każdemu być póty, póki przynajmniej siedem razy krwi się nie przelało od broni nieprzyjacielskiej.

I tak był przekonany o téj prawdzie pan Osuchowski, że nie mówię aż do znudzenia nieraz ją powtarzał okolicznej młodzieży, ale ogoła za zgubionego każdego poczytując, który się żeni, za niejednego byłby sobie palec pozwolił być uciąć, gdyby go tém od małżeństwa wykupił.

A gdy tak było, nie dziwno będzie nikomu, że dowiedziawszy się o zamysłach, a przynajmniej o pochuciach swojego ukochanego brata, nietylko się srodze nad nim rozboleł, ale zaraz począł głęboko nad tém się namyśliwać, i różne myśli mu już zaczęły przychodzić do głowy. W kilka dni potém, miał li już jaki plan ułożony, czyli go nie miał, jednak już tylko głównie chodziło mu o to, czyli tu nagle niebezpieczeństwo już grozi, czy dopiero powolne, a mianowicie, czy stolnikowicz te swoje chęci zwraca już do jakiego przedmiotu, czy tylko im puszcza wodze w świat tak na ślepo?

Rzecz ta atoli wyjaśniła mu się sama ze siebie; jednego dnia bowiem, gdy po obiedzie ze Żernicy powracał do siebie, napał się pan Józef koniecznie odprowadzić go aż do bramy i tak się stało; kiedy atoli pan Józef, pożegnawszy swojego przyjaciela, niby od bramy ku domowi nawrócił, a w rzeczy zaraz za pierwszemi krzakami konia skręcił i dwór objechawszy, ku Zahoczewiu się

puścił: już Osuchowskiemu więcej nie było potrzeba, a jego postanowienie już było gotowe.

Jakoż zaraz nazajutrz przyjechał pan Osuchowski do Żernicy i zaledwie zszedł z konia, rzekł do Bobowskiego obcesem:

— Panie bracie, już darmo, jakem żyw, tak nic z tego nie będzie.

— Z czegoś to? — zawołał prawie z przerażeniem Bobowski.

— Kwasić się tutaj dalej w tych górach, to niepodobna. Bądź co bądź, w świat nam trzeba koniecznie.

— Ale zkądże znowu tak nagła ochota? — mówił zwolna pan stolnikowicz.

— Nie nagła to, panie bracie, — odpowiedział znów tamten, — dawno ja o tém już myślę, ale nie wszystko się gada, co chodzi po głowie. Teraz zasie namyśliwszy się dokumentnie, powiadam wyraźnie: w świat nam trzeba, precz w świat koniecznie, bo na psy tu zejdziemy z kretesem.

— Bał dobrze, w świat, — mówił na to Bobowski, — ale gdzież to? na wojnę? a gdzież dziś wojna? chyba że na handle jakie. — Na to pan łowczyc:

— Żaden Osuchowski za handlem nie chodził, to i ten nie pójdzie. Żaden też Bobowskiego do handlów nie kusił, to i ten kusić nie będzie. Ale na praktyki zawsze z sobą chadzali, owo i teraz tam pójda.

— To wszystko dobrze, — mówił znów stolnikowicz — ale gdzież dzisiaj szukać takiej praktyki, kiedy cały świat kiśnie w spokoju?

— Nie cały on kiśnie, nie cały, są Turki i Tatarzy którzy gnębią wiarę świętą i lud chrześcijański; jest Wołosza, która się dosyć natłukła naszych ojców, są nakoniec dzikie bestye i diabły po świecie, więc iść i bić co się zdarzy na chwałę Bożą, a co bądź się pobije, zawsze to lepiej, niżeli tu siedzieć i zegnić, świata nawet nie widziawszy.

— To prawda że lepiej, ale kiedy nas pobiją? — zarzucił pan Józef.

— To i tak dobrze; piękniejsza śmierć w młodości na polu, niż w starości za piecem.

— Ta chętka waszeci — mówił zawsze jeszcze niby pół żartem Bobowski — przypomina mi pana Cieszanowskiego najmłodszego, który, jak starzy rachują, lat prawie temu trzydzieści także tak wyszedł w świat bić co się zdarzy i do dziś dnia jeszcze nie wrócił..

— Ty widzę żartujesz — rzekł na to cale surowo pan łowczyc — a ja mówię prawdę od serca. Postanowiłem i już inaczej nie może być.

I dopiero wtedy twarz się widocznie przeciągnęła panu Józefowi, zaczął coś belkotać ni to ni owo, ale jakoś dobrego argu-

mentu nie mógł wynaléźć w swojej głowie. A pan łowczyk tymczasem dosadzał, mówiąc dalej:

— Chyba że nie chcesz... chyba że masz jakieś powody, o których nie wiem, może zgoła obowiązki sieroty pod opieką oddane, majątki cudze w rękach, procesa cudze, za którymi masz gardłować przed kratką...

— Nie... jękał Bobowski — tak, właściwie nic nie mam, ale jednakże...

— Cóż, ale? powiadaj, bo jeżeli jest jakie słuszne ale, to ja cię za kark nie biorę, sam zresztą pojadę...

— A broń Boże! — zawołał pan Józef.

— No więc; do zebrania się trzy dni czasu, koń jeden pod siebie, drugi pod pacholka, szablę do boku, szkaplérz na piersi i parę złotych do pasa, owóz wszystko czego potrzeba, a to przecie jest w domu.

— Koniecznie; — odpowiedział sucho pan łowczyk, a postawszy i uśmiechając się sam do siebie, powtórzył on wiersz znajomy, który powiada:

Długo myśleć, w skok czynić, jest to zwyczaj stary,
Tym sposobem pan hetman pogromił Tatary.

I tak pan Józef przystał, musiał przystać na dziki projekt pana łowczyca; nie miał on tyle siły w sobie, ażeby się żelaznej woli tamtego mógł oprzeć, nie miał widać dosyć silnego i prawdziwego afektu dla Julii, ażeby go ten afekt natchnął i do oparcia się pobudził, wiązały go zresztą nierozzerwane śluby z panem łowczycem... więc przystał; ale się bardzo smutno zrobiło Bobowskiemu. Stała mu Julia przed oczyma, jój miłość, jój dusza piękna, jój postać cała... stanął mu dom jego przed oczyma, dom, świadek jego młodości, powiernik jego tylu marzeń i smutków... i stanęła mu cała wieś przed oczyma, w niej ile ludzi tylu przyjaciół, w niej grób nieboszczki matki, kości ojca, prochy wszystkich Bobowskich.. i bardzo smutno zrobiło się panu Józefowi. Jednakże myśląc o tém i zasmucając się coraz nowemi myślami, pocieszył się także z nich niektórymi. I mówił tak do siebie: Przecie da Bóg, że jeszcze na téj wyprawie nie zginę... szaleństwo to oczywiste, ale przeciwieć się nie mogę, śluby mnie wiążą. Wieś pożegnaj, ludziom rozdaj pamiątki, pomodlę się na grobie rodziców... i przecie wrócę jeszcze. Ale Julia.. biedna Julia! będzie płakać i tęsknić i nawet zwierzyć się swoich smutków nie będzie miała przed kim. Ale i ją jeszcze pożegnaj, nie dziś to jutro skoczę do Zahoczewia, powiem wszystko, pocieszę, a kiedy wrócę, będę już jój na całe życie. Zresztą... może to i dobrze, będzie to próba... jakiś czas mnie nie będzie, pozostanie mi wierna: jój jestem... zapomni, ha! to i ja przeboleję. — I tak różne rzeczy jeszcze myślał Bobowski, ale we wszystkich się mylił.

A najpierw mylił się w tém, żeby mógł jeszcze pożegnać

Julia: pamiętał o tém bowiem pan łowczyc lepiej, niżeli o wszystkim inném, i jak shwycił pana Józefa w swoją opiekę tegoż jeszcze wieczora, tak go już nie wypuścił z niej przez całe trzy dni i ani kroku mu nie dał zrobić bez siebie. Więc kiedy czyniono przygotowania do odjazdu w Żernicy, Osuchowski w nich dopomagał, a kiedy toż samo przedsiębrano w Żernicze, to on brał Bobowskiego ze sobą. I tak ani podobieństwa nie było do tego, żeby pan Józef mógł jeszcze widzieć się z Julią, aniby to się było stać mogło natenczas, gdyby się termin téj podróży był odwłókł, co bardzo łatwo się stać mogło, bo jednakże, wybierając się wydawać całemu światu wojnę we dwójkę, warto się choć nad tém namyślić, od kogoby zacząć — ale nawet i ten krótki termin się nie odwłókł tym panom.

Zdarzyło się bowiem tak, że właśnie natenczas stała się była w ziemi sanockiej ona cygańska historia, o której mi już raz przyszło wspominać. W okolicy zagęścili się byli cyganie i tak kradli, że ich niektóre kradzieże można było prawie rozbojami nazywać: chodzili wielkimi kupami i brali dobytek i sprzęty z domów prawie na oczach właścicielom. Przeciwno tym rozbojnikom nie chciała chorągiew konna koronna dać żadnej pomocy, bo nie miała do tego rozkazu. Ale czterej najpiérwsi junakowie owocześni téj ziemi, a mianowicie pan Chojnacki, pan Doręgowski, pan Sobolewski i pan Nowosielski Chryzanty, dobrawszy do siebie ile tyle pospolitego ruszenia, zrobili na nich tak skuteczną obławę, że główna banda popadła w ich ręce, z których co przedniejszych kilkunastu obwieszono, innym zaś dobre *pro memoria* dawszy, rozpędzono na cztery wiatry. Ztąd jednak wywinęła się druga plaga na nieszczęśliwy ten powiat. Reszta bowiem niepojmanyh i porozpuszczani łotrowie jak wzięli podpalać dwory, tak nie było téj nocy, w którejby choć jedna łuna nie zakrwawiła nieba. Kilkadziesiąt dworów i dworków zgorzało, poszły w niwecz znakomite szlacheckie zasoby, a niektórzy dzierżawcy, wdowy samotne i co mniej zaradni a drobni posesyonaci, poczęli już poglądać na torbę i kij żebraczy. Wzruszyło to tedy acz zupełnie niewinnie sumienia onych junaków do tego stopnia, że się wybrali na wojnę, ażeby łotrom odebrać się mającemi łupami tutaj choć w części zapomódz niedostatek i nędzę. Ta wyprawa dość się szczęśliwie powiodła, jak to opowiedziano było na swoim miejscu, ale wieść o wyjściu onych na hajdamacką wojnę właśnie tych dni się była po świecie rozeszła, kiedy pan łowczyc dał trzydniowy termin panu Józefowi do wybrania się w świat na wędrowkę.

Więc kiedy ta wieść się do nich doniosła, nie mieli się już nad kierunkiem swojej wyprawy co długo namyślać, — i poszli w skok za tamtymi na hajdamacką wojnę.

III.

Wyjście braci ślubnych na hajdamacką wojnę, lubo tak nagłe i niespodziewane, jednak żadnego nie uczyniło na ogóle szlachty wrażenia. Wypadki takie były dość częste naonczas, duch awanturniczy coraz jawniejszemi znakami się w społeczności objawiał; dalekie wyprawy i w nieznanym krainach wiedziona wojna, których tyle nam opowiada historia, dosyć świeżo się utrzymywały w tradycyi, unudzenie się długim pokojem i tęsknotą za nowościami znać już było na umyśle całego ogółu, więc ani się kto dziwował dwóm młodym ludziom, którzy żadnych obowiązków nie mając, wyszli sobie w świat dla rycerskiej albo i nierycerskiej zabawy.

I jeżeli jeden zadrwił sobie z niedorzeczności takiej wyprawy, drugi zasie westchnął głęoko na takie czasy, w których tak piękne siły nie mają innego do popisania się pola, jak imanie zbójców i złodziejów; to już było wszystko, co o braciach ślubnych mówiono po ich odjeździe z sanockiej ziemi.

Odjazd téż ich żadnej w tym ludnym naówczas kraju nie pociągał za sobą odmiany: szlachty statecznej zostało jeszcze dosyć w powiecie, krzyki ich pijane i biesiadnicze hałasy rozlegały się i tak aż nadto rozgłośnie; w Żerniczce gospodarowała sobie spokojnie i roztropnie matka pana łowczyca, w Żernicy plenipotentował niezgorzdej pan Grott herbu Mora i wszystko zresztą szło tak po dawnemu, że ubytku pana Bobowskiego i Osuchowskiego ani znać nigdzie nie było. — chyba że który z uciśnionej ubogiej szlachty, nie mając udać się do kogo o pomoc, westchnął za nimi boleśnie, albo że za którym z nich ciche łzy gdzie płynęły w ukry-

ciu i z milczącego serca rzewne w step ukraiński wylatywały westchnienia.

W takim maloważeniu pamięci sąsiadów minął nareszcie rok całkowity. Minęło i jeszcze coś nadto i przyszło lato, wolne od gospodarskich zatrudnień, czas pomiędzy zasiewami a zbiorami, środek miesiąca czerwca. O tej porze, ile że jej najczęściej stała sprzyja pogoda, najwięcej zwykła była włączyć się szlachta, a kto-by był ją prawie *in pleno* chciał był obaczyć, tenby był nie potrzebował, jak tylko o tej porze nawiedzić targ w którym handlowniejszym miasteczku. Tam byli wszyscy.

Na takim też targu o tej właśnie porze, zgromadziła się po zwyczajowi szlachta nasza do miasteczka Leska, które że było jednym z najhandlowniejszych miasteczek podgórze a środkowym punktem całych gór sanockich, nie potrzebuję powiadać. Zgromadziła się tedy tam szlachta hurmem i byli między nią i bogaci i ubodzy, i mądrzy i głupi, i starzy żołnierze i młodzi piecuchowie, bo każdy z nich na wsi w górach mieszkając, ma swoją sprawę na targu. A ponieważ także z nich każdy po targu musi się posilić i napoić na drogę, każdy przy swobodniejszej chwili z tym i owym sąsiadem lub przyjacielem się widzieć, każdy zresztą pogawędzić i o nowiny ze świata popytać: więc przed wieczorem wszyscy niemal targowi zgromadzili się w Łatesowej winiarni, izbie leżącej w domu murowanym przy samym rynku, a tak obszerną, że się w niej mogło i kilkudziesięciu pomieścić. I ktoby był powiedział, że to zgromadzenie kilkudziesięciu szlachty na winie jest prawdziwą reprezentacją całego ogółu szlachty sanockiej ziemi, ten byłby miał prawdę, a ktoby był zasie powiedział, że to zgromadzenie jest wiernym obrazem całego ogółu szlachty całej Rzeczypospolitej, to i ten byłby miał prawdę.

Izba, w której zesła się ona szlachta targowa, była, jak powiedziałem, obszerna; po pod ścianą najdłuższą a drzwicom przeciwną był wyciągnięty stół jednostajny, szeroki a długi od kąta do kąta. Przy tym stole siadali ci, którzy pierwsi przybyli, i rozpakowawszy za sobą przyniesiony garnek albo rądel z bigosem lub inną przekąską, zrazu w jednym gromadząc się kacie, cichuteńko sobie gwarzyli, popijając po kropli. Kiedy ten stół się już gośćmi zapełnił, ci co później przybyli, siadali przy drugich, pomniejszych stołach, pod innemi ścianami stojących, także posilając się każdy ze swojej torby, o cenach zboża, o sprawach familijnych i innych drobniejszych rozmawiając i wszystko winem żydowskim zakrapiając; — chybaby to aż któren ze starców poważniejszych i znakomitszych był wszedł do izby, ażeby go do onego głównego stołu zaproszono, tak tam pilnie miejsc swoich strzeżono i o nie się dobijano. A działa się to dlatego, że kiedy już po przekąsce i po załatwieniu sprawek prywatnych, rozpoczynał się dyskurs o rzeczach publicznych lub innych jakich z wielkiego świata nowinach, to głównejsze głosy zawsze mięwały miejsce przy wiel-

kim stole, więc ci którzy byli przy mniejszych mały co mogli sły-
sząć, albo musieli powstawać i stojący się przysłuchiwać lub perorowa-
wać, której to niedogodności uchodząc, wszyscy zawczasu się
cisnęli do wielkiego stołu. I były ztąd o to kłótnie żwawe i spory
tak ożywione, że aż czasem przychodziło do tuzów i wzajemnego
wyrzucania się oknem lub drzwiami, a pewien szlachcic, do nie-
dawnego czasu jeszcze żyjący, którego jednak nie wymienię nazwi-
ska, bo był zresztą mąż obyczajny, do samej śmierci prawem okiem
oplakiwał swe lewe, które przy kłótni o miejsce przy wielkim
stole utracił.

Jednakże dnia onego, o którym mowa, lubo liczny tłum szla-
chty pozasiadał wszystkie stoły w Łatesowej winiarni, i byli tam
Balowie i Osuchowscy, Górscy i Brześciańscy, Pieniążkowie i Las-
kowscy, Nowosieleccy, Białobrzescy i Krakuszowscy, Krajewscy,
Walewscy i Grott i Jundziłł i Ślaski, zgoła wszyscy mniej więcej
z bliższych i dalszych okolic, i lubo już dawno załatwione były
przekąski i o rzeczach targowych i familijnych rozmowy,—jednakże,
mówię, nic ważnego nie wniesiono na stół z rzeczy publicznych.
I nie dziwić się temu; nie było bowiem żadnej wojny natenczas
ani w kraju ani za krajem;—nowin żadnych z wielkiego świata
nie było; w Warszawie Bryl minister rządził na wspólkę z zięciem
swoim, Jerzym Mniszchem, marszałkiem wielkim koronnym, bar-
dzo spokojnie, i cała polityka ówczesna kręciła się tylko około
dwóch partyj, partyj książąt Czartoryskich i partyj królewskiej,
ustawicznie się ścierających ze sobą. Ale cała treść téj rzeczy,
wraz z obustronnemi jęj dążnościami, tak już była wszechstronnie
obgadana i szlachta sanocka tak jednozgodnie dzierżyła się naów-
czas partyi królewskiej, że kiedy Czartoryscy nanowo jakiego
sejmu nie rozerwali, nie rozpędzili sejmiku, nie złożyli ze swych
popleczników trybunału, nie kazali zdjąć głowy komu dla odświe-
żenia swojej powagi i napędzenia grozy swym przeciwnikom, to
już o ich trzymaniu się silném, o ich dążności do opanowania tronu
i o środkach do tego celu obieranych nie było co i rozprawiać.
I było tak, że chociaż jeden lub drugi podrzucił tę lub owę o rze-
czy publicznęj opinią przy wielkim stole, na nic się to nie przy-
dało, bo nikt na nią nie odpowiadał, a drugi jeszcze i zadrwił
sobie z takiego nowiniarza, mówiąc po staremu:— Królowa Bona
umarła.

Przy takim braku ważniejszego i kraj cały obchodzić mogą-
cego do rozmowy przedmiotu, niedziw że pomimo tak licznego
tłumu gości w winiarni, tylko urywkami rozmawiano po kątach,
a podczas gdy jeden już zięwnął sobie na dobre, drugi zasie we-
stchnął głęboko na czas i zupełna cisza ogarnęła stół wielki, co
gdy nigdy dawniej się nie trafiając, dzisiaj po kilka razy się po-
wtórzyło, pan Krakuszowski, który był szlachcic partykularny ale
niezle czasem koncepta miał, odezwał się w głos od jednego
z małych stolików:

— Oh! złe czasy mosanie i haniebnie złe czasy być muszą zaiste, kiedy izba senatorska tak folgę daje swym gębom.

Stół wielki w onój winiarni, ci którzy się doń nie mogli do-cisnąć i pospolicie przy mniejszych siadali, przez uszczypliwość różnemi nieraz przezywali imioniskami, pomiędzy któremi izba se-natorska miała także swe miejsce; ale senatorowie targowi nie przepuszczali tego swój braci młodziej i wetowali się na zgroma-dzonych przy mniejszych stołach tak jako mogli; jakoż zaraz na to odezwał się pan Górski z Lutowisk, przy stole wielkim sie-dzący:

— A prawdę mówi imć pan Krakuszowski, bo to i w izbie poselskiej czasem się komu uda powiedzieć co do rzeczy: prawdę mówi, powiadam, jedno tobym w jego oracyi poprawił, że nie czasy złe mamy, jeno dzień zły nam się trafił. Ale dzień zły bez kwestyi, bo jako jeżdżę już na leskie targi przez lat trzydzieści z czubem, tak ani razu mi się jeszcze nie trafiło przyjechać do domu....

— Przyjechać do domu bez czuba, — poderwał ktoś z kąta.

— Nie, — odpowiedział na to pan Górski śród ogólnego śmiechu, — nie bez czuba, ale bez ciekawych nowinek.

— Ba! co za sztuka! — odezwał się na to pan Górski z Stef-kowój, brat tamtego stryjeczny, — ba co za sztuka przywozić no-winki do domu z targu, kiedy przez całe one lat trzydzieści pan brat może ni razu po jednym targu nie powracał do domu, jeno przez dwa albo i trzy wtorki wałęsał się po gościnach, trudnoż nie miało się przy powrocie coś nowinek dla pani bratowój przy-zbiierać.

— A zresztą, — dodał do tego pan Grott herbu Mora, — dwa lub trzy tygodnie doma nie bywszy, kiedy się żonie pokazał, sam już był dla niej nowiną.

Śmiech powszechny rozległ się po całej winiarni, a pan Górski z Lutowisk mówił tymczasem coś na swoją obronę, kiedy znowu Pieniążek odezwał się z po za stołu:

— Dziwny to, widzisz diable, naród ta szlachta polska, jak mnie Pan Bóg miły! niemasz nówin i cichość, a piękny spokój kwitnie po kraju jój, widzisz diable, nie na rękę; zdarzą się no-winy, przyjdzie wojna lub inna jaka potrzeba, w której, widzisz diable, iba trzeba nadstawić, jój i to nie na rękę; jakichże chcecie nowinek, powiadanych, widzisz diable pod piecem, czy w książce czytanych?

— Iście niezłe takie nowinki, — odezwał się któryś z dru-giego kąta, zwłaszcza kiedy się człowiek spracuje i radby chwilę wypocząć.

— O! bardzo się tym razem, widzisz diable, spracujesz, jeden i drugi i trzeci bardzo i wierzę, bo to zemleć, widzisz diable, gę-bami dwa łokcie wędzonej kiełbasy, zwłaszcza kiedy pani żona za-myśliwszy się o poczwórnej kolébce sąsiadki, da jój się, widzisz

diabie, na skwarek wysuszyć w kominie, a dotego spytłować misę kaszy z słoniną i wydoić antałeczek podpiwku na wieczór, to pewno że niemała robota, i wierzę że potrzeba spoczynku po takiej pracy.

— Jaka szkoda — zauważył na to pan Brześciański, — że ten widzisz diabie Pieniążek rewerendy nie oblókł na siebie; nie wiem wprawdzie jakby spowiadał i mszą czytał przy oltarzu i nie wiem, czyby czasem ojcowie nie dali mu za co *castigationem domesticam*, albo nie wskazali go na *recolectionem in fundo* dzwonnicy; ale że kazanie mógłby miéwać niegorsze, tego nikt nie zaprzeczy.

— Gdzie tam! — odezwał się na to pan Grott herbu Mora:

Zamknęliby mu duchem gębunię ojcowie,
Nie za kazanie, ale za przystowie.

Śmiech znowu powszechny obił się o ściany winiarni, ale pan Pieniążek, nic nie zważając na to, powiadał dalej:

— Śmiejcie wy się jak chcecie, a ja wždy, widzisz diabie, swoje wypowiem do końca. A więc kiedy chcesz takich, widzisz diabie, nowinek, które ci spokoju twego pod piecem nie naruszają, to czegóż jeden z drugim rozpytujesz się o nie po kraju? Weź sobie, widzisz diabie, pierwszego lepszego pielgrzyma doma, posadź go koło siebie pod piecem, a kiedy go nakarmisz i napoisz, to on ci, widzisz diabie, takich nowinek naplecie, że będziesz syt i ty, i twoja, i krewniaczkowie i dziateczki i dla sług jeszcze co pozostanie. A biorąc takiego pielgrzyma ped strzechę, chrońże się jeno dobrze, żeby pod suknią pielgrzymką (to mówiąc, odwrócił się na bok od Grotta), nie był ukryty jaki rycerz od Pińskiego błota, bo kiedyby ci się, widzisz diabie, ten trafił, to jużbyś zaraz i ślub z nim wziąć musiał na wieczne czasy, jako pan Osuchowski z Bobowskim, albo zasie jak inć pan Grott z Bobowskiego Żernicą...

— Hej, hej! — zawołał na to pan Grott herbu Mora, — panie bracie!

A Pieniążek na to z uśmiechem:

— Widzisz diabie, u każdego kija zawsze są dwa końce, a dzięciół chociaż drzewo psuje, ale i nos sobie psuje.

— Dzięciół, kiedy drzewo psuje, — odpowiedział na to Grott, — to nos sobie psuje, ale kiedyby się człowieka przychwycił, to siłaby go mógł napsuć, a nosaby sobie nic a nic nie popsuł.

— Kiedy to u każdego dzisiaj nos bywa twardy, odpowiedział Pieniążek, — ale co tam! nim co sobie zepsujem, ja będę powiadał dalej. A któryby zasie chciał koniecznie nowinek, a widzisz diabie nie chciał nikogo za nie karmić ani doić, to niechaj sobie kupi Nowego sowizrzala, a w nim się tyle nowinek naczyta, że z na targ po nie jeździć nie będzie.

— Z przeproszeniem, — odezwał się na to pan Białobrzeksi Wetliny, — nie chcę ja tu nikogo obrazić, ale kiedy wspomniono,

z przeproszeniem o Sowizrzale, pan Grott mi przyszedł na myśl. Tenby nam co powiedział, gdyby miał wolę po temu.

— A to prawda! prawda! — odezwało się kilka głosów, — powiedz, co panie Mora.

— W samą rzecz, — mówili inni, — do domu czas jeszcze, powiedz nam co krotochwilnego! powiedz, powiedz! — wołali trzeci od mniejszych stołów; i gwar ten, domagający się krotochwili, rozlecił się po całej winiarni.

Tymczasem Grott, człek niewielki i niepokazny, siedział w środku wielkiego stoła pod ścianą i z po za blaszanego kufła tylko głową łysą błyszcząc, właśnie tak jak dynia dojrzewająca z po za swych liści, kiwał się tylko, w krawędź stołu spoglądał i milczał. Aż dopiero kiedy gwar się położył i cisza się zrobiła zupełna, on powstał i rzekł:

Grott herbu Mora, powiadał wczora,
I przed tygodniem i przed półtora,
I jako szpak albo sroka
Gada już imci panom od roka,
Niechżeż dzisiaj z kolei....
Pan Białobrzęski co skleci.

— Prawdę mówi pan Grott! prawdę, jak nam Bóg miły! — odezwało się kilka głosów, — on zawsze nam coś przepowiada, ale powiedz ty nam coś także, panie Białobrzęski!

Na to śmiech już chóralny rozniósł się po izbie, bo wiadano jaka głowa u wetlińskiego dziedzica, a tymczasem Grott począł swoje w ten sens:

— Grott gadaj, Mora gadaj, zawsze te same słowa obijają mi się o uszy, odkąd goszczę w sanockiej ziemi. I niemasz w tém nic tak złego i owszem, dobre, że lud Boży tak łaknie słowa; ale w tém pewno niemasz nic dobrego, że ten lud nie łaknie słowa dlatego, ażeby z niego wyciągnąć jaką naukę, ale dlatego, że słowo to jest krotochwilne. Ja gadam i opowiadam z dobrej chęci, a z serca to czynię, ale Boga sobie na świadka biorę, że słowa moje, które tak na wsze strony rozsięwam, nic nie mają innego na oku, jedno to, ażeby tych i owych, czego nie umieją albo o czém zapominają, nauczyć, ale nie żeby stańczykować pomiędzy wami. A jeżeli pomiędzy słowami mojemu znajdują się krotochwilne, nie jam temu winien, jedno ten któren myśli ludziom do głowy podaje, a jeżeli zasie ludzie w słowach nic nie widzą krom krotochwili, to i temum nie winien, jedno oni sami, którzy mają oczy na krotochwilę a ślepi są na co innego. Ale to zawsze tak między ludźmi. W jednym domu szabla wisiała na ścianie. Szabla to była niepospolita, brzeszczot u niej był z stali wyborniej, ważny w samo prawie i ostry jak brzytwę; ale i główia była wyborna, perlami i kamieniami sadzona i błyszcząca z daleka tak, że więćci w oczy biła, niż brzeszczot. I przyszło pod tę ścianę dwóch mę-

zów i oglądali tę szablę, a jeden wziął ją do ręki, złożył się, machnął nią kilka razy w powietrzu i rzekł: Dobra to szabla, bodajbym taką miał w rękę, kiedy się potykać będę z nieprzyjacielem. A potem oglądnięt głownię i rzekł: A i głownia to piękna i stosowna, prawniej przez nią szabla trzyma się ręki. Drugi zaś przyszedłszy, jął także oglądać tę szablę, ale świecidlami uderzon w oczy, tylko na jej głownię poglądał, obracając ją w rękę na tę i ową stronę. I obracał ją tak długo, aż drugi na niego zawołał, mówiąc: idźmy. I poszli i obadwa przez drogę myśleli o onej szabli i obadwa chcieli ją nabyć. I za dni kilka nabył ją ten, któremu podobała się głownia, bo ten był majątniejszy. A nabywszy ją, powiesił u siebie na ścianie i przychodząc tam często, przypatrywał się misterniej oprawie głowni. Ale później coraz rzadziej już tam przychodził i nie tak często spoglądał, aż nakoniec spowszedniały mu już w oczach one błyskotki i znudziło go i odprzedał ją zaś tamtemu. A tamten, nabywszy ją, nie powiesił na ścianie, jeno przypasał ją sobie do boku i bił nią swych nieprzyjaciół w przygodzie. A kiedy się zestarzał, dał ją swemu synowi, i ten ją także nosił przy sobie i używał w przygodzie, a po nim to sam czynił i wnuk jego i prawnuk. I tak szabla ona, skóra w domu jednego nie miała co robić i kilka tygodni, w domu jego sąsiada służyła wieki i szła z ojca na syna, każdemu dobrze się wysługując. Ale to zawsze tak bywa u ludzi.

— Otóż i ja jestem tej opinii, — rzekł na to poważnie pan Laskowski z Polany, — że nie wszystko jest krotocwilą co krotocwilnie wygląda, a nad niejedną rzeczą, która nas na pierwszy rzut oka do śmiechu pobudziła, kiedy się dłużej zastanawiamy, rzewnie przychodzi zapłakać.

— Płakać chroń Boże! — rzekł na to Grott, — wstyd płakać temu, kto ma wąsy pod nosem. Dzieci niech płaczą i baby. Ale wracając do rzeczy, — mówił dalej orator, — jakżeż tu dzisiaj powiadać co szlachcie, kiedy ta szlachta zrobiła się tak nieposłuszna, jak nigdy jeszcze nie była. Przeszedłem ja całą Rzeczpospolitą wszędy i wzdłuż i napoprzek, i wstępowałem po wszystkich dworach, jakby rybałt jaki wędrowny, i nalazłem, że ta szlachta wszędzie jest jednakową. Jeść ci dadzą i pić ile chcesz, dom ci swój każdy otworzy, a ten i ów dobrem się swoim nawet z tobą podzieli i gadać sobie każdy ci każe, ale każdy li krotocwilę, z rzadka zaś znajdzie się, który nauki wysłucha. Na naukę ten uszy zatknie, inny odejdzie, trzeci, jeżeli jego grzechów na oczy nie rzuca, poziwierać zacznie, ale najwięcej jest takich, którzy się oburzają na ciebie, mówiąc: A cóżes ty za jeden, żebyś opowiadał nauki? Doktor ty filozofii, czy prawa, czy sztuk wyzwolonych, albo choć przynajmniej magister? Uczono ciebie na akademii krakowskiej, czy w Bononii, czy w Padwie? gdzieś to nabrał tej twojej nauki? — Inny zaś co potulniejszy mówi: — Ej! daj pokój, panie bracie, z tą twoją nauką; uczy się człowiek codziennie,

uczy go bięda pilnie, chciałby się raczej trochę rozerwać i poweselić. Mówię jemu co o królu, o sejmach i radach, tłumacząc kędy się to dzieje, to on zasie: A cóż ty mi pleciesz za androny? zkąd to wiész? jesteś senator, biskup albo choć królewski sekretarz? byleś gdzie na poselstwie, u papieża, albo u cesarza rzymskiego, zkądże przyszedłeś do wiadomości tego, co jest *arcanum imperii*? I tak ten tak pyta, a tamten owak. A właściwie żaden o nic nie pyta, jedno się każdy pytaniami od słuchania rzeczy poważnej wykreca. A możeby to czasem i nie zawadziło co poważnego posłuchać, i częściejby się co takiego przydało niż krotochwila, bo kto ma już rozum w głowie, ten może rano i wieczór, i w południe i o północy mówić poważnie a mądrze; zaś gdyby kto i nie wiedzieć jak krotochwilny umysł miał, to przecie na każde zawołanie krotochwili nie powie, jeno ją powie natenczas, kiedy mu sama nadejdzie. Stańczyka raz w dzień chmurny i dżdżysty zdybało kilku wałęsającej się młodzi podle ratusza i zatrzymawszy go, rzekli do niego: Stańczyku, powiedz nam co wesołego. A on, poglądnawszy w niego, im na to: Zróbcie tak, żeby słońce teraz błysnęło, a ja wam powiem co takiego, że pukniecie od śmiechu. A nie powiadał natenczas nic Stańczyk, bo smutno było na duszy; owo panowie hracia i mnie dziś niewesoło.

— Cha, cha, cha! — zaśmiała się szlachta na to nieznośnie, mówiąc tędy owędy: — Bogdaj tego Grotta! kiedyby krwawemi łzami zapłakał, to jeszcze i wtenczas śmiechby dokoła obudził. — A on też na to:

— Owo trafiłście w to chcąc niechcąc, bo to jest właśnie ten mól, który mi serce strzyże i tak częstemi smutkami duszę moję napawa. Ale nienad sobą ja płaczę, i nie dlatego płaczę, że kiedybym leżał jak on Łazarz głodny i odarty na cudzém śmieciu, każdy z wasby się najpierw roześmiał ze mnie, nie nad sobą, powiadam, bo ja na cudzém śmieciu nigdy leżeć nie będę, a gdybym i legł kiedy, to wiem to dobrze, że każdy, roześmiawszy się wprzód, podałby mi potem koniecznie łyżkę stawy i okryłby nagość moję; ale to mi serce zakrwawia, że wy z cudzego nieszczęścia śmiać się możecie. Wesołość w sercu i krotochwilność umysłu jest pewno znakiem zdrowej duszy i nietęgiego rozumu, ale śmiech gardlany, głośny, krzyczący, nigdy nie da się usłyszeć w towarzystwie z ludzi oświeconych złożoném. Śmiech gardlany i głośny jest tylko wielkiej barbaryi dowodem, i barbaryi dowodem jest krotochwili i ustawicznej krotochwili pragnienie. I barbaryi dowodem jest śmiech nad krwią cudzą albo cudzém nieszczęściem się roznoszący; bo ciemność i barbarzyństwo tam było, gdzie się tłumami ludzie zbiegali na walki byków i gladiatorów; a w oświeconym Rzymie którzy wołali *Circenses*, wołali zaraz i *panem*! Otóż nie powiem nic krotochwili nego, bo mnie jest smutno na duszy.

To rzekłszy, Grott wziął kufel przed sobą stojący w obydwie

ręce i napiwszy się zeń, postawił go nazad przed siebie, milcząc i po swojemu w krawędź stołu się wpatrując. Ale szlachta, która i takie Grottowe oracye rzeczywiście za krotochwilę sobie miała, a jako w większej części cale nie oświecona i przeto lada czego ciekawa, zawołała znów głośno:

— To powiadaj nam jako chcesz, niechaj to będą i rzeczy smutne. I tak wielki post minął już dawno, a do adwentu jeszcze daleko.

— W samej rzeczy, — odezwał się na to pan Laski z Polany, — mów panie dalej, tak jakoś począł. Miło słuchać, bo powiadasz rozumnie, tak jak gdybyś myśli i słowa mnie z ust wyjmował; — a odwróciwszy się pan Laskowski do swego sąsiada, dodał półgłosem: — jak żonę i dzieci kocham, tak wielka szkoda tego Grotta, że się marnuje tak na wsi. Poszedłby on wysoko, gdyby się panom i królowi na oczach postawił.

Tymczasem zaś pan Pieniążek już był rzekł po swojemu:

— Widzisz diable że to dobrze czasem, kiedy cię kto zaraz zbije z terminu, bo potem mądre rzeczy przychodzą do głowy. — Na to Grott:

— Owa to przeciwnie jak bywa u innych, u których najczęściej głupio się po łbie kręci, a kiedy ich kto zbije z terminu, to się cale łba swego domacać nie mogą.

— Już, widzisz diable, zaczynasz, — odbił się na to Pieniążek, ale znów zakrzyczeli go inni, domagając się od Grotta powieści; wszakże byli pomiędzy nimi i tacy, którzy milczkiem powynosili się z izby, mówiąc:

— Myśleliśmy, że się ubawimy cokolwiek, a ono nam każą słuchać kazania; dobra noc.

Tymczasem Grott, którego życie w istocie nie było tego rodzaju, żeby mogło popierać nauki moralne dawane szlachcie, rzeczywiście zawsze swe krotochwile tak umiał zastosować do prawdy i do błędów owego czasu, że gdyby one wychodziły z ust człeka takiego, któryby miał wiarę i powagę, to mogłyby być dobre w umysłach i sercach przynosić skutki. Wychodząc z ust człeka, nie posesyonata, nie zaszczyconego żadnym urzędem ani okrytego księżą sukienką, co jednak wiele znaczyło natenczas, jedno z ust człeka mającego sobie swe własne życie za krotochwilę i wałęsającego się bez żadnego statecznego zajęcia od strzechy do strzechy, nie przynosiły one dla pospolitego dobra wprawdzie żadnych innych owoców, krom tego, że częstokroć wstydem oblewały policzki poczuwających się do jakiego grzechu lub winy; nie można atoli powiedzieć, ażeby te częste Grotta oracye nie przynosiły dla niego samego owoców. Grott bowiem był to człek dowcipny i bardzo przezorny, a przenosząc bystrością rozumu wielu swich współczesnych, umiał on wiele rzeczy przewidzieć takich, które zakryte były pospolitemu oku; w tej mętnej tedy dla innych, ale dla niego przejrzystej wodzie, umiał on nietylko spr-

wnie łowić ryby dla siebie, ale nie jedna jego krotochwila, albo oracya, o której celach nikt nic ani pomyśleć nie umiał, była już niewodem zarzucona przez niego, w któren prędzej czy później ale zawsze nakoniec upadło to, na co niewód był zarzucony; a jeżeli nieprzewidziane okoliczności tak zrzędziły, że te słowa jego zamierzonego nie osiągnęły celu, toż zawsze jeszcze nie pozostały one bez żadnego celu, bo były zabawne i bawiły, były moralne i nauczały, były satyryczne i karmiły złe obyczaje, więc zawsze zbierając sobie pochwały u słuchaczy, podnosiły coraz większe zachowanie dla mówcy.

Od dnia wyjazdu braci ślubnych na hajdamacką wojnę aż mniej więcej dotychczas, położenie Grotta było tego rodzaju, że nie potrzebował na nic niewodu zarzucać, krom na ludzkie umysły i serca. Bobowski bowiem, odjeżdżając, zostawił mu pewną moc zarządzenia Żernicą, a że to były czasy, w których ludzie jeszcze mało się znali na rachunkach, a o prowadzeniu rejestrów ekonomicznych ledwie dziesiąty co wiedział, głównie zaś że to były czasy, w których pieniądze nie były celem życia, jedno jednym z pomiędzy wielu środków do życia, więc zostawiając Grotowi moc pełną, Bobowski za całą instrukcją nie dał mu nic więcej, jedno to słowo: Żyźe tu sobie wygodnie i dobrze i patrz, aby mi nie rozkradziono dobytków. Grott wszakże, pomimo całego rozumu swego i przezorności, nie miał jednak ani krzty w sobie łakomstwa; żył on zawsze jak ptak, biorąc ziarno dla siebie z cudzych zasiewów; ale też jak ptak także nigdy o żadnych zbiorach nie myślał. I czy to przez pewną ugruntowaną poczciwość, czy tylko przez wrodzoną lekkość umysłu i małoważenie sobie tego ziemskiego życia, jak zawsze tak i teraz, żył wprawdzie dobrze w Żernicy, konie swoje powypasał jak gałki, w garderobę się zaopatrzył, kilka groszy do kalęty zachował, ale zresztą nic z gruntu nie ruszył, dobytków nie nadwerężył, i owszem, tak wszystkiego pilnował, że jeżeli jego konie tłuste były, to nie chude były i dworskie. I dotychczas dosyć mu było na tém i nie dbał o więcej — teraz atoli, kiedy już od wyjazdu pana stolnikiewicza z domu rok minął z okładem, wojna hajdamacka nie wielka, nie obowiązkowa, do niej nikt nie przywiązany ani na zawsze, ani nawet na długo, i bracia ślubni mogli już lada dzień się powrócić, uważał Grott to za konieczne dla siebie, ażeby przy ich powrocie nietylko uczciwością swoją w gospodarstwie żernickim się przed nimi wykazał, ale ażeby także doniosło się do nich, że jego serce było zawsze dla nich wylaném i że pamiętało o nich tak, jak nikt w całym sąsiedztwie. Do zapewnienia sobie takiego od sąsiadów świadectwa najlepszą porą zdała mu się dzisiejsza, jakoż naglony od tłumem zebranęj szlachty, aby powiadał co poważnego, pociągnąwszy nanowo ze swego kufia, zaczął w ten sens:

— Powiedziałem, że nie powiem dziś żadnej krotochwili, bo

mnie jest smutno na duszy, ale nie powiedziałem, dlaczego mnie tak smutno na duszy.

— Może ci kości nie dopisały, przyznaj się, — odezwał się na to pan Osuchowski, cześnik bielski, człowiek który właśnie powinien był słuchać jaknajwięcej morałów; ale mu odciął zaraz pan Pieniążek, mówiąc:

— Słuchajże już, panie Marcinie, bo widzisz diabła, kiedy będzie rzecz mądra, to i tobie się przyda.

Grott zasie, popatrzywszy się tylko z pod oka na Osuchowskiego, powiadał dalej:

— Smutno mnie jest na duszy, bo mnie razi ta terażniejsza nieczułość wszystkich, nieczułość i obojętność na losy bliźniego.

Obojętni dziś wszyscy i na losy swych bliźnich, a niechaj który z téj albo owéj przyczyny ginie z kretesem, rzadko mu drugići poda rękę i chyba tém tylko czułość swojego serca pokaże, że się odwróci od nieprzyjemnego widoku. A wždy tak nie bywało dawnego czasu. Nie bywałoby onych wojen wielkich, z których wiekami niespożyta sława naszemu narodowi urosła, nie byłoby zwycięstw onych, o których i wyobrażenia mieć dzisiaj nie możemy; sto razy byłaby ta arka starożytna już padła i dawnoby już było panowało bisurmaństwo po całym zachodzie, gdyby nie było w ojcach naszych miłości braterskiej i czułości na losy bliźniego. Ale gdy dawniej czułość ta dosięgała granicznych Niemców i inne nawet dalsze narody; dzisiaj nie dosięgnie ona nawet sąsiada, krewniaka już często ominie, i ledwie spocznie na żonie i dzieciach. I tak onych ojców wielkich puścizny nie chcą dziedziczyć maluczcy wnukowie i roztrwonili już ją tak, że lichaby zjadł ten, ktoby poznał ich pochodzenie, gdyby w księgach nie stało zapisane. A popatrz się dzisiaj na którego z nich, kiedy weźmie gadać a sobą wywijać, jużbyś myślał, że iście to rycerz wielki a żołnierz obywały po wojnach lepić niż Czarniecki albo Chodkiewicz; a ono rycerz w nim do tego, żeby się powadzić z swym bratem i gębę mu nakręskować, albo kiedy Bóg da, to i wyprawić go ad patres. Jeszcze dobrze jeżeli i to, bo drugi i przed szerpetyną ucieknie i ziemię gryść będzie, przepraszając a mówiąc że umarłby zaraz, gdyby spojrzął na krew bratnią przez siebie wylaną. O! bo gardło wielkie i do kufła i do pochwałek, a i rozum się znajdzie do wykrętów. Owo zastanawiając się nad tém, co było a nie jest, smutno się człeku robi na duszy, bo smutno jest na tym świecie i rzecz prawie przyjdzie z poetą:

Nie tak się ludzie rodzą na świecie,
 Jak z drzew owoce, jak w polu kwiecie,
 Z słodkich drzew słodki owoc się rodzi,
 A z pokrzyw róża nigdy nie wschodzi.
 Lecz dobry ojciec jak często złego

Syna urodził i zły dobrego...
 Próżno się tedy wynosisz z tego,
 Co na cię spadło z kogo innego...
 Nic oko cudze nie da ślepemu,
 A cudza zacność nic nie da zlemu..
 On się prawdziwym szlachcicem rodzi,
 Który swych przodków cnotą dogodzi.

— Bardzo to pięknie powiadasz, — odezwał się na to pan Laskowski, — jak mnie kochasz, powiadaj dalej.

— Bardzo pięknie, bardzo pięknie, — chwaliła szlachta i ztąd i z owąd, popijając każdy ze swego kubka; a chociaż niektórzy i przedrzymywali sobie czasem nad stołem, inni zasie po kątach rozmawiali co z cicha, Grott przecie powiadał dalej:

— Aie gdybym ja i niewiedzieć jakich na świadectwo przywodził poetów, to na co się przyda, kiedy nikt mnie nie słucha, Napowiadałem ja się w tej materii niemało i nacytowałem się dosyć nietylko poetów, a i oratorów i filozofów, i na co się to przydało? A przecie ja nie z powietrza chwytam moje myśli i słowa, i nie kłamię jako bądź, byle gęby nie mieć zamkniętej, jeno wszystko co powiem, swojego czasu sprawdzić się musi. Przed dwoma laty, kiedy pan Pieniązek, ojciec to tego widzisz diabla, który tu siedzi, miał dawać siostrzenicę swoją za onego wielkiego rycerza, kiedy się tu nagle zjawił i tak wielkiego o swojej fortunie naczynił hałasu, że go już za magnata poczytano ogólnie, i kiedy w pocie czoła namyślał się nad tem, daćli czy nie? powiadałem mu jawnie: Ej panie Jakóbie, nie dawaj siostrzenicy temu człowiekowi, bo to pędziwiatr jakiś ze świata i cale niepewne subiektum. Fortuny wielkiej on nie ma, za to dam gardło moje, a bodajby i nie tak było, że ostatkami już goni, posagiem panny chce sobie trzos naładować, gdy mu się to uda, ludzkie oko go tu nie obaczy. Przyjął to jako tako pan Jakób i wypytywał mnie po czém to wnoszę i namyślał się znowu, bo pan Jakób jest człek mądry i ma doświadczenie. Ale inni krewniackowie, kiedy te same słowa usłyszeli odemnie, jak wsiedli na mnie, to:n i nie wiedział kędy mi głowa, a widzisz diabla pan Szczepan, gdybym się był nie wyniósł zawczasu, byłby mi pewnie uszy poobcinał, albo oko wystrzelił, tak mu na sercu był honor onego magnata. Co się stało, wie każdy, bo po owym kawalerze i miejsce już zastygło; a miasto posagu, jejmość piastuje dziś chłopca na ręku, którego gorącemi łzami obléwa. Owo może lepiej było posłuchać cierpliwie co Mora powiadał i nie pytać o to, doktor to gada czy filozof, jeno zastanowić się nad tem, a rozsądzić jak gada?

— Prawda to, widzisz diabla, jest co do joty, — rzekł na to Pieniązek, — tak przepowiadał Grott i tak się stało.

— Ej! nie raz to tak było i nie dwa; — mówił dalej pan

Grott; — także temu będzie dwa lata, kiedy pan Borowski tak zrażał Węgra w Jabłonkach, że go jeno trochę dychającego powieziono do domu, com szlachcie powiadał? Żeście zrobili, panowie bracia, żeście go tak niebezpiecznie chorego i tak zkiemowanego wypuścili z Jabłonek, bo chory może umrzeć na drodze z waszej prawie przyczyny, a przyjedzie tak spaskudzony do domu, toż to za czyste urągowisko wezmą jego sąsiedzi. Ale co się stało, to się już nie odstanie, teraz jeno tylko to wam powiadam, uważajcie dobrze, żeby z was który zaprędko nosa nie wychylił do Bieszczad, bo Węgrzy to naród mściwy i dobra jest miara u niego; jak odmierzy za swoje, to i przez wierch się przeleje. Ale panu Deręgowskiemu koniecznie się zachciało zaraz z końmi tam jechać, i cóż z tego wynikło? Konie wziął diabeł bez targu, a jeno prawdziwy cud Boży w tém stał się, że ich właściciela nie przesuszono na szubienicy. Ale nie koniec na tém. Kiedy pana Deręgowskiego tam pojmano i osadzono *in fundo*, zaraz wieść o tém przyszła tu do nas. Cóż powiadałem? Oto kiedy niema fantazyi po temu, żeby hufiec zebrać potężny, iść z nim zaraz na Bieszczad i odbić brata niewinnie tam *in periculo mortis* mdlejącego w okowach, to niechaj przynajmniej trzech słusznej szlachty się zbierze i pojedą statecznie temu się oponować i reklamować sąsiada. Słuchał mnie kto wtenczas, kiedym to mówił? jedni wzruszali ramionami, drudzy zagadywali czém inném, a trafił się i taki, który rzekł: Nie szkodzi, zjeść go nie zjedzą, a kiedy mu trochę czupryny natargają, to i lepiej, śnać potulniejszy zrobi się potem, bo butny bardzo i kąsa srodze. Tożto jest ludzkość, to miłość braterska, to rozum? A toż to kiedy tak będzie, to nie potrzeba, jeno żeby dwóch dobrych junaków tu przyszło, a powybięrają sobie z domów wszystką szlachtę po jednemu z całego powiatu.

— Prawda, prawda — odezwał się na to pan Błoński z Bereski, staruszek siwy jak gołąb.

— Może to i nie całkowita prawda — rzekł znowu na to pan Górski — bo wždy inna jest iść odbijać kogoś w kraj daleki i cudzy, a inna na swoim własnym śmieciu się bronić.

— Albo inna, albo i ta sama — odpowiedział Grott, — bo wiadomo każdemu, jako chwast rośnie prędko, kiedy już raz zjedzie. Zbytki rosną przy kuflu i przy misie, pieniactwo sądowe, które tak już teraz opanowało wszystko, że pono między nami wszystkimi nie ma już takiego, któryby choć jednego nie miał procesu, zagnieżdża coraz mocniej; domatorstwo, odwykanie od dalekich wypraw, od niebezpieczeństw, od służby twardej i surowej, coraz lepiej się praktykuje, więc nie może to być, że do czego jeszcze dziś zdolni jesteśmy, nie będziemy już za lat kilka? o bardzo być może, panowie bracia, bardzo może.

— Oj, może, może — powtórzyli jednocześnie pan Błoński i pan Laskowski.

— Pewno że może — odpowiedział Grott — i kto wie, co

jeszcze gorszego być może, bo kiedy człowiek raz wstąpi na złą drogę, to niemasz tego dowcipu na świecie, któryby mógł przewidzieć, dokąd on zajść może. . A tego złego dużo już między nami, bo jedno z drugiego się wylega i tak rośnie, jako trawa po deszczu. Jenó je trzeba chcieć widzieć, i uderzywszy się w piersi, przyznać się do niego. Ale czy przyzna się któren? Onego czasu, kiedy pan Osuchowski z Bobowskim śluby sobie czynili dozgonne w hoczewskim kościele, i ja tam byłem i zbudowałem się tém bardzo, i myślałem sobie z Danieckim:

Bodaj takich siła,
I nasza i wszelaka kraina rodziła
Przyjaciół: Boże! szczęść wam a słowem swém świętém,
Błogosław na długi czas sprawom tak zaczętym.

— A to kędy pisany jest rym taki? — zapytał pan Walewski, który się miał za uczonego.

— Pisano go przy szynkwasiu,
To jakoś rok o tym czasie.

odpowiedział Grott i znów mówił dalej: Owóz tym ślubem panów Józefa i Stanisława zbudowali się i inni, i chwalili to bardzo, a nawet niektórzy okazywali to jawnie, podając rękę zgody dawnym swoim nieprzyjaciołom. Ale przecie był tam i jeden i drugi, który za nic sobie ważył tę rzecz tak bardzo piękną i przez naszych ojców i inne słowiańskie narody praktykowaną, a trzeci zasie i zadrzeć z tego w głos nie wahał się. Wszakże wszyscy słyszeli, co powiedział pan Deręgowski, a ja znowu sam na stronie słyszałem, jak kto inny powiedział: Kiedyby to małżeństwo Bóg błogosławił potomstwem, a dużo tego było, tobym sobie jedno uprosił na wychowanie.

— Ej! zmyślasz, panie Mora, nie było tam tego, — powiedział pan Laskowski.

— Ale jakem Grott, tak nie zmyślam, a potwierdza to się tém jawnie, że przecie wszyscy słyszeli, jako niebawem potem u pana Giebułtowskiego w Wołkowi w głos dworowano sobie z onego ślubu. A ja i tam powiadałem i tutaj powiadam, że nie drwić nigdy z rzeczy takich, które z Panem Bogiem i w poczciwych intencyach poczęte, bo na nich zawsze jest błogosławieństwo Boże i owoc pewny w nich będzie. Jakoż na moje wyszło, bo już z przyczyny téj przyjaźni siła dobrych rzeczy się stało, o których wiecie, siła jeszcze może lepszych, o których nigdy nawet wiedzieć nie będziecie, a kto wie ile jeszcze się stanie? A stać się musi i jeno dobre rzeczy ztamtąd wypływać mogą, bo obadwa są ludzie poczciwi i godni, i jeno tém zajęci, żeby drugim dobrze czynić na świecie. Ale to zemną rzadko kiedy kto się zgodzi w opinii. Rok temu, kiedy bracia ślubni, naczyniwszy się dosyć,

a może aż nadto dobrego swoim sąsiadom i braciom, i nanudziwszy się dosyć, wybrali się na hajdamacką wojnę, znowu nie miałem szczęścia zgodzić się z panami bracią w opinii. Kiedy bowiem wszyscy ten krok chwalili, wynosząc go jako dowód rycerskiego ducha aż pod niebiosy, a braci ślubnych kładąc już między Żółkiewskich i Maszkowickich, co może czynili dlatego, że tamci sami idąc na wojnę, ich nie namawiali ze sobą? Ja tylko jeden byłem w duchu, przeciwny téj bohaterkiej wyprawie. I nie tylko w duchu ale i w czynie; bo kiedy ich zastał już zdecydowanych, na ganku żernickiego dworu stojących, tom się przeżegnał trzy razy i od takiej figury zacząłem moję oracyą, jak Cicero swoję *Quousque*. Nie zdało to się wprawdzie na nic, bo mi pan Osuchowski zatknął gębę natychmiast, mówiąc: Niéma o czém już gadać, *sic volo, sic jubeo, sic est*. Wiem ją dobrze, czém jest jego *sic volo*, i dlatego nie powiedziałem w téj materji już ani słowa; ale to mi zawsze nie przeszkadzało i nie przeszkadza nie pochwałać téj wyprawy w mém wnętrzu. I tak sobie powiadam: daj Boże żeby to się skończyło, ale nie mam tego przecucia. Panu Bobowskiemu nic się pewno nie stanie, bo nie on jest sprawcą téj rzeczy, pełni on tylko wolę swojego brata i czyni zadość ślubowi uczynionemu przed Bogiem, a takiego Bóg ma zawsze w swojéj opiece; ale czy pana Osuchowskiego już kiedy oglądać będziem, albo czy go takiego oglądać będziem, jakiegośmy go dotychczas widywali, to jest wiekie pytanie.

— Proszę, — odezwał się na to pan Laskowski, — Osuchowski to do tego myśl podał? a myśmy myśleli że to Bobowskiego inwencya.

— Ale nie o to tu idzie, — odpowiedział Grott, rzecz swoję przedłużając, — jedno o to, o czém gadać już cały wieczór. A to jest, że u naszej szlachty do tego przyszło w dzisiejszych czasach, że co innego poczynają mieć w ustach, a co innego w sercu.

— Jakże tego dowiedziesz? — zapytał pan Załęski.

— Zaraz się to pokaże, — odpowiedział Mora i tak rzecz swoję zakończył: — Kiedy bracia ślubni wyjechali na hajdamacką wojnę, pochwaliła szlachta ten ich krok całą gębą. Chwalili potém jeszcze z jaki tydzień, wspominali przez drugi, a dalej umilkli. I że się tak stało, nic w tém złego, bo jużci ciągle o jednéj rzeczy gadać i nudno i na nic się nie przydało. Zresztą wypadało czekać skutków lub nowych wieści i dopiéro co o tém powiedzieć. Ale minęło lato i jesień minęła i zima nadeszła. W zimie już powinni byli bohaterowie powrócić, bo jużci zimą wojny niemasz nigdy na całym świecie, jakoż i hajdamacy przepływają Dniepr późną jesienią i zasiadają w koszu na zimę. I wiele rzeczy u nas nagadano przez zimę, nabawiono się, natanłowano, napito, najedzono do syta, ale o braciach ślubnych aby téż słowo kto wspomniał, nie zdarzyło mi się usłyszeć. Ba! gorzej jeszcze. Teraz bowiem rok już minął z okładem, o braciach ślubnych dotychczas ani wieść

jedna nie doszła; z nich może i kości pobieleły na stepie, i prochy wiatr rozegnał na wszystkie części świata, a tutaj jeszcze nikt o nich nie wspomniał. Taka jest czułość wasza, taka miłość braterska, takie serca dla tych, nad których fantazyą i duchem rycerskim unosiliście się aż pod niebiosa, — i wy godni jesteście sławy ojców naszych i dziadów?...

Po tych słowach przez chwilę głuche zapanowało milczenie;— a gdy taki dowód dobrego skutku oracyi tak mocno rozradował Grotta, że patrząc śmiało całemu zgromadzeniu w oczy, nie tań się swojej radości, pan Laskowski rzekł na to:

— Już to trochę po kaznodziejsku zakończyłeś twoją oracyą, aleś prawdę powiedział. Zbytnią czułością na los bliźniego nie zgrzeszyliśmy jeszcze i snad nigdy już nie zgrzeszymy... prawda! z tych pocziwych ludzi może już dawno i śladu nie pozostało na ziemi, ich dusze może już, stojąc przed Panem Bogiem, nie od dziś oczekują od nas modlitwy i wstawienia się za nimi do Tego, który je sądzić będzie w dzień ostateczny, a myśmy nawet nie wspomnieli tu o nich. Prawdę mówisz, panie Mora, niech ci Pan Bóg zapłaci...

— To może z przeproszeniem, — odezwał się na to pan Białobrzeski, — daćby egzekwie odprawić za ich dusze.

— Dobrze, widzisz diable, to czynisz — odpowiedział Białobrzeskiemu Pieniążek — że kiedy co mówisz, mówisz naprzód z przeproszeniem, bo widzisz diable co powiesz, to nic do rzeczy. Jakże prawić nabożeństwo za czyją duszę, kiedy nie wiedzieć z pewnością, czy umarł?

— Aha! — odrzekł tamten, — ja myślałem że już zabici.

— Nic do rzeczy powiedział pan Białobrzeski, — odezwie się na to pan Laskowski, — ale n.e o wiele się myli, bo wcaleby to rzecz była przystojna, żeby dać piękne nabożeństwo odprawić, na którémbyśmy wszyscy byli przytomni, prosząc Pana Boga o szczęśliwe powrócenie nam braci ślubnych.

— A zapewne! rzeczby to piękna! — odezwało się naraz kilka głosów.

— Więc niema się nad czem długo namyślać, — odparł znów pan Laskowski, — dzisiaj jeszcze dajmy znać tutejszemu księdzu, a na przyszły wtorek zjedźmy się trochę wcześniej i bądźmy wszyscy tym modłom przytomni.

— Dobrze, dobrze! zgoda! bardzo ładnie! i ja! i ja! — wołali ze wszystkich kątów sąsiedzi, a pan Białobrzeski, namozoliwszy się znowu ze swoją kalétką skórzaną, która mu się niechcący na guz zawiązała, dobył z niej talar bity i położywszy go przed panem Laskowskim, rzekł:

— A to niech będzie na mszę świętą.

Ten dobry pana Białobrzeskiego uczynek wzbudził tylko śmiech i żarty u jarmarcznej gawiedzi, jak to często się zdarza z tymi, którzy lubo dobrze czynią, jednak czynią niezgrabnie;

wszakże lubo ten i ów zażartował sobie, że Białobrzieski z Laskowskiego uczynił księdza, talar dając mu na mszę, ten i ów także powstał i sięgając do swojej kaléty, dobywał co mógł, aby się do téj składki przyczynić.

Z tego zrobiło się zamieszanie i gwar powstał w winiarni, bo prócz pana Białobrzieskiego, niejednemu innemu także kalétką się zawiązała na guzek, inny nie miał drobniejszych pieniędzy i mieniał u sąsiada albo u Żyda, inny pożyczał na ten datek od kogo drugiego: a śród tego gwaru otworzyły się drzwi cichutko i wszekl pokornie i skromnie, jak to zawsze miał zwyczaj, pan Dziañott do łatesowój winiarni.

Szlachta, gdy zobaczyła zahoczewskiego dziedzica, który często na targu ale nigdy nie bywał w winiarni, wrzasnęła głośno:

— Al pan Dziañott! pan Dziañott! cóż się to stało takiego?

Ale pan Dziañott tylko kłaniał wszystkim uniżenie, machając czapką na tę i owę stronę i mówiąc:

— Sługa, sługa, sługa asaństwa dobrodziejstwa.

Pocześm kazał sobie dać wina i usiadł przy stole wielkim, cokolwiek już opróżnionym; ale kiedy podziwienie nad jego przyjęciem do winiarni i dopytywania się o nowiny nie ustawały, odpowiadał on zwolna, mowę swoją uklonami przerywając:

— I cóż w tém dziwnego? — sługa pana stolnika dobrodzieja! — zmachawszy się na targu, — ściele się do nóg panu podsędkowi! przyszedłem się także posilić, — do nóg upadam panu chorążemu dobrodziejowi! ale kiedy waszmość koniecznie chcecie, — jak się ma pan Białobrzieski dobrodzieju! to znajdzie się i nowina.

— No cóż? cóż? mów waszmość, a prędzéj, — odezwano się zewsząd.

— Jadą tu Żydki od Sambora, — mówił pan Dziañott, — i nie wiem czy to pewna, ale powiadają, że widzieli w Samborze powracającego z Ukrainy...

— Pana Bobowskiego — zawołało kilku.

— Otóż masz! — mówili inni, — o wilku mowa, a wilk tu.

— Otóż masz, a gdzież Osuchowski? — wołali trzeci.

— Pana Bobowskiego! — zawołał równocześnie z wszystkimi Grott, porywając się od stołu na równe nogi — a gdzież ci Żydzki?

— Na tyle pytań odrazu odpowiedzieć nie umiem — rzekł na to pan Dziañott — ale zwolna na wszystkie odpowiem. A najpierwéj, ku zaspokojeniu pana Grotta dobrodzieja zapewnić mogę, że ci Żydzi już dawno odjechali, bo oni jeszcze przed zachodem słońca tu byli.

— A to jadę do Sambora — zawołał Grott,

— Nie śpiesz się waszmość — odrzekł mu na to pan Dziañott — bo jeżeli pan Bobowski tam jeszcze wczoraj był rzeczywiscie, to on tu lada chwila nadjedzie, a jeżeli nie był...

— Ale powiadaj waszmość, co Żydzi mówili, gdzie Osuchowski? — przerwali mu inni.

— Otóż powiadali mi ci Żydzi — mówił Dzanott — że pan Bobowski zdrów jest i cały, tylko kréskę ma wielką przez prawy policzek.

— A Osuchowski?

— Z Osuchowskim Bóg wie co się dzieje; powiadają, że od hajdamaków pojmany, najpierw miał być Tatarom krymskim, hajdamaków wspólnikom, a od tych znowu Turkom aż do Carogrodu sprzedany.

— Oho! taj pewno już tam zjedzony — odezwał się pan Białobrzewski.

Kiedy Dzanott mówił, cisza była grobowa w całej winiarni i na niego oczy wszystkich zwrócone, ale kiedy nagle wśród téj ciszy odezwał się Białobrzewski, wszyscy się obrócili na niego, a pan Pieniążek zapytał:

— Widzisz diable, a gdzie Turcy ludzi jadają?

— Turcy sami może nie jedzą — odpowiedział na to pan Białobrzewski — ale są tam u nich ci... ci... Hermafrodyci, co jedzą, wiem dobrze, przecie mego stryjaszka tam zjedli.

— Tfu! widzisz diable — zawołał Pieniążek — jeszcze o żadnych hermafrodytach nie słyszał, coby ludzi jadal.

— Ale to pewno Troglodyci — wtrącił na to pan Grott — którzy w podziemnych pieczarach siedzą, a o których piąte przez dziesiąte słyszał pan Białobrzewski, ale tych niemasz na Turecczyźnie.

— To wszystko jedno — odrzekł znów tamten — tacy czy tacy, kiedy jeno ludzi jadają. Stryjaszka mego zjedli i panu Osuchowskiemu pewnie także nie darowali.

I tak od ważnej nowiny odwróciły się umysły ku głupstwu, ale tymczasem Grott znowu zaczął:

— No i cóż więcej mówili Żydzi?

— Nic więcej, jedno to com powtórzył — odpowiedział pan Dzanott.

— Dostyc i tego — rzekł na to smutnym głosem pan Laskowski — otóż macie nowiny! iście lepiej, żeby żadnych nie było.

— Otóż się doigrali — mówił ktoś drugi.

— Szkoda Osuchowskiego! kawaler piękny, mąż setny! — mówili inni.

— Ale to tam, widzisz diable — mówił Pieniążek — i niepospolicie ciasno musiało być koło niego, kiedy się dał żywcem wziąć, boć to przecie gracz jest nielada i widzisz diable siła jak u olbrzyma.

— Nie widzi mi się — zauważył na to pan Brześciński — żeby to już tak miało koniecznie być, bo przecież nie odstąpiłby w takim terminie towarzysz towarzysza, a nie dopiero brat brata.

Chyba że go gdzie w nocy i z po za płotku wzięto, że i nie widział tego Bobowski.

— Ej! musiał dokazywać — odpowiedział znowu pan Górski — bo to junactwo wielkie było u tego człowieka, a ufność w siebie większa, niż w całą chorągiew.

— Prawdę mówi pan podsędek — ozwał się znowu pan Gumowski — ja tam bardzo nie rycerzuję, ale ludzie wiedzą, że się szabli nie boję i ile razy mi przyjdzie się z kim pomierzyć, prawie za zabawkę to sobie uważam. Ale to powiadam szczerze, że kiedy się z Osuchowskim w jednej kompanii znajduję, to mnie zawsze jakiś taki lęk bierze, żebym z nim do zwady nie przyszedł, że kiedy on co powie, to musi po nim przynajmniej trzech perorować, nim ja jakie słowo dorzucę. Nie żarty, mospanie, co tam za ręka. Gracz Chojnacki, gracz Deręgowski, i prawda, że kto z nimi staje, może śmiało gotować łoże, ale kto z Osuchowskim, ten trumnę! Nie wiem jak tam hajdamacy go dostali.

Tak powiadała szlachta przy wielkim stole, oni zasię po kątach znowu inaczej sobie to tłumaczyli, ale gdy to się dzieje, wpada ktoś ze szlachty, kóten był już przedtém w winiarni i jeszcze za czéms był wybiegł na rynek, wpada, wołając już ze drzwi:

— Jest już tutaj Bobowski.

— Jest? jest? a gdzie jest? — zawołali gwarzący; a wtém drzwi się otworzyły powtórnie i wszedł w rzeczy Bobowski.

Wszedł, ale nie był to już młody, piękny i rumiany kawaler, jakim się dał poznać przed kilką laty, ale żołnierz smutny z nieszczęśliwej powracający wojny. Twarz blada, kręsa głęboka przez cały prawy policzek, włosy w nieładzie, oczy smutne i podsiniałe, kontusz na nim wytarty i prawie obszérny, bóty grube i zabłocone, czapka stara spłowiała i tylko szabla czysta i błyszcząca przy boku — owo obraz stolnikowicza, kiedy owego wieczora wszedł do winiarni.

Jakoż smutek ten jego odbijający się na twarzy i w całej postaci, udzielił się zaraz całemu zebraniu i nie witano głośno, ani radośnie, ani z okrzykami od serca, jeno prawie w milczeniu obstawili go wszyscy, a jaki taki, podając mu rękę, wzdychał tylko, mówiąc:

— Jak się masz, Bobowski.

A on z siebie witając się ze wszystkimi razem, do żadnego nie mówił z osobna, tylko powitawszy już wszystkich, rzekł, oglądając po sobie:

— Tak się z wojny powraca dzisiejszych czasów.

Nikt na to nic nie odpowiedział, tylko wszyscy westchnęli, a on znowu:

— Ciesz się mnie to, panowie bracia, że was wszystkich razem tutaj spotykam; ale czy nie masz tu mego Grotta z Żernicy?

— Jest, jest twój Grott kochany i właśnie nam tu taką wy-

ciał reprimandę, że o was zapominamy, żeśmy już mieli nabożeństwo odprawiać na intencją waszego szczęśliwego powrotu; owo nawet złożone dla księdza pieniądze.

— Tak? — zawołał Bobowski, — czy to być może?... niechże wam Pan Bóg zapłaci. Taki niechaj sobie mówi kto jako chce, ale zawsze to nie masz nad swoich.

Słowa pana Laskowskiego widocznie i odrazu rozweseliły umysł stolnikowicza, zdawało się nawet, że przekonanie o dobrych chęciach szlachty sąsiadów dla niego, które powziął w tej chwili, podało mu całkiem inne myśli i inną otuchę; jakoż zaraz siadł przy stole pomiędzy wszystkimi i rozkazawszy sobie dać wina, jął opowiadać szeroko i długo historią całej swojej wyprawy.

Opowiadał tedy Bobowski, jako tam idąc, bracia ślubni wstępowali wszędzie po dworach i zamkach, jako przyjmowani byli od wszystkich serdecznie, podejmowani i częstowani. Opowiadał dalej, jako na Ukrainę przyszedłszy, zastali tam kilka chorągwi konnych i petyhorskich i dragonii coś trochę, hetmanionęj przez pana Sulimirskiego, człeka bogatego i ziemianina z Mazowsza, a także ochotnika na onę wojnę. On Sulimirski namawiał ich koniecznie, ażeby pod jego komendę się zaciągnęli, ofiarując im zaraz rangi oficerskie i dając nadzieję podwyższenia tych rang w razie, kiedyby się jego komenda wzmogła i urosła. I Bobowski chciał przyjąć projekt pana Sulimirskiego, ale Osuchowski się temu oparł, mówiąc: — Na co nam tego? kiedy nam dobrze pójdzie, sami sobie złożymy oddział i mieć będziemy komendę. Jakoż w istocie w krótkim czasie przyszedł do tego, że już mieli własny hufiec o kilkudziesięciu ludziach, którym Osuchowski z wielkim szczęściem hetmanił. Opowiadał dalej pan stolnikowicz wszystkie większe rycerskie czyny Osuchowskiego, a niektóre z nich takie podziwienie wzbudzały w słuchającej go szlachcie, że aż gwar się robił w całej winiarni tak mocny, że Bobowskiemu opowiadanie przerywał. Dalej wynosił Bobowski jeszcze wciąż cnoty swojego brata i o niczem nie przepomniał, coby współczucie dla niego obudziło w słuchaczach, lecz kiedy przyszedł do opowiadania onęj okazji, w której Osuchowski dostał się do niewoli, tak coś jakoś pogmatwał i tak rzecz zbałamucił, że większa połowa całkiem go nie rozumiała; ci zaś, którzy pilnie uważali na jego słowa, nie mogli się nie domyślić, że pan łowczy napadnięty został samopas i w takim oddaleniu od swoich kolegów, że mu Bobowski w żaden sposób już nie mógł przynieść ratunku.

— Więc kiedy tę smutną wieść przyniesiono do nas, opowiadał dalej Bobowski, — ja struchlałem i aż mi się w głowie zamąciło, bom nigdy nie myślał, ażeby Stanisław, który jest ostrożny w każdym kroku, jakby już miał lat siedemdziesiąt, naraził się samowolnie na niebezpieczeństwo bycia pojmanym, albo zgoła po cichu zabitym. Jednakże zaraz wzięwszy kilku ludzi ze sobą, skoczyłem w pogoń... ale to step, jakby morze jakie! szukajże tam

kogo. I tak błędziliśmy już tylko po omacku po całym stepie i zamiast Osuchowskiego, nie napotkaliśmy nic więcej, prócz pewnych wieści o nim, które lubo nie były pocieszające, jednak zaspokajały nas w tém przynajmniej, że jeniec utrzymuje się ciągle przy życiu.

— Więc gdzie jest? co się z nim stało? — pytali słuchacze.

— Najpierw był w rękach jednej kupy hajdamackiej, która tam i sam chodząc, i jego ze sobą wodziła; potem taż kupa zdybała się z Tatarami krymskimi, którzy się po brzegach Dniepru za różnym przemysłem włóczą i ciż Tatarzy, obaczywszy w rękach hajdamackich Osuchowskiego, że to chłop tak olbrzymi i taki piękny, kupili go w nadziei zarobienia na nim albo wielkiego okupu, albo odprzedania go z korzyścią do Turecczyny.

— Taki to przemysł u tych łotrów? ludźmi handlować! — zawołało kilka głosów.

— Jakoż rzeczywiście, — mówił dalej Bobowski, — zaprowadzili go ciż Tatarowie do Bałty i tam na swoich trafili. Kupili go bowiem zaraz Turcy i do Carogrodu wzięli ze sobą. Byłem sam w Bałcie i od naocznych mam tę wiadomość.

— Turkom sprzedany! — zawołał pan Górski, — bywajże zdrów! już go podoba nasze oczy widzieć nie będą.

— Dlaczego nie? właśnie że będą — odpowiedział Bobowski, bo jeżeli go Turcy kupili i gotowy grosz za niego dali, to pewno nie na to, żeby go zabić, jedno aby od krewnych jego znaczny okup wytargować, albo go sułtanowi, za jakiego wielkiego hetmana go udając, za dobre pieniądze odprzedać.

— Ba! widzisz diable, a nuż sułtan go kupi i każe ściąć dla krotchwili — zarzucił Pieniążek.

— Ha! mogłoby to i tak być — odpowiedział z westchnieniem Bobowski, — ale przecie podobniejsza, że tak się nie stanie, bo ani nikt dzisiaj tak na wyrzucenie nie ma znacznej sumy pieniędzy, ani téż sułtan jest teraz tego usposobienia.

— To prawda! ma słusność Bobowski! nie będzie nic łowczy-cowi! — odezwowało się kilka głosów.

— Ale jakże go dobyć ztamtąd? to sęk; — zagadnął pan Laskowski.

— Wedle mego widzenia rzeczy — odpowiedział wręcz na to pan Józef, — dwa tylko są środki, zapomocą których Stanisław może być wydobyty z téj niewoli.

— No, powiadajże jakie.

— Jeden jest ten, żeby albo samemu jechać, albo przez jw. wojewodę zanieść prośbę do króla jegomości, żeby zareklamował Osuchowskiego z Turek. Król jegomość, czy tędy czy owędy proszony, swojej przyczyny nie odmówi i pisać będzie, albo zgoła poszle po niego i droga to pewna....

— Pewna, ale daleka, — przerwał w tém miejscu Grott.

— Otóż to jest, daleka — odpowiedział Bobowski, — bo nim

słońce zejdzie, rosa oczy wyję; bo chociaż nie zetną tam Stanisława, może on z samą zgrzyoty i z niedostatku ducha wyzionąć. Ale jest drugi środek, jeszcze pewniejszy i daleko prościejszy, a ten jest, zebrawszy dobrą sumę pieniędzy, pojechać do Carogrodu i poprostu pana Stanisława wykupić.

— To najlepij! — odezwał się Grott.

— Pewno, pewno, wziąć pieniądze, jechać samemu i wykupić; mówili inni.

— I ja tej opinii jestem — powiadał stary pan Błoński — bo tu nietylko idzie o to, ażeby pomoc była, ale ażeby była prędką, bo ani na pogańskie sumienie, ani na ich politykę wiele rachować nie można, a zresztą i cierpienia pana Osuchowskiego wiele znaczą a *bis dat, qui cito dat*, powiada przysłowie.

— Widzisz diable — mówił znów pan Pieniążek, — pogańskie to także przysłowie: a jabym był zdania, żeby chrześcijańskimi pieniędzmi nie nadziewać bisurmańskiej kalety, kiedy jest środek inny. Osuchowskiego tam już teraz nie zjedzą, kiedy go dotychczas nie zjedli, a mąż to setny i twardy, umysłu hardego, *tenax*, jako powiadali Rzymianie, frąsunkowi się tak łatwo nie podda; więc udać się do króla i król go odbierze; może nawet zgoła ma jakiego Turka u siebie, to go zamienia.

— I jabym był tego zdania, co pan Pieniążek dobrodziej — odezwał się na to delikatnym głosem pan Działott, — bo nietylko być może, że u którego z panów naszych albo u samegoż króla jegomości jest jakiś jeniec turecki, jak to się często wydarza, ale nawet, mając syna w Warszawie, możebym....

— Może, może, może — powtórzył na to Bobowski, patrząc z żalem na panów Działotta i Pieniążka, — a tu potrzeba pewności.

— Tak jest, tu potrzeba pewności — odezwało się kilku.

— I ja ani myślę — mówił dalej Bobowski, — wahać się w wyborze pomiędzy temi dwoma środkami i myślałem już o tém w Bałcie. Ale cóż, w rękę nie miałem pieniędzy, a lubom połowę kapitału obiecywał w procenie, nikt mi ani grosza dać nie chciał. Tej samej uczynności doświadczyłem i od swoich po drodze, a ci sami ludzie, którzy nas w pochodzie na Ukrainę ledwie nie na rękach nosili i pili zdrowie nasze, jako swoich obrońców, teraz i patrzeć prawie nie chcieli na mnie. Nie dosyć atoli na tém, ta sama bowiem przeszkoda w wykonaniu tego drugiego środka stoi mi i tutaj na drodze.... byłość wprawdzie u mnie kilkanaście tysięcy gotowych, które mi pan ojciec zostawił, ale te przeszły już dawno... są i teraz jeszcze sumki, ale te leżą po ludziach, których trudno mi teraz dławic o oddawanie, nie opowiedziawszy im naprzd... ale Panu Bogu niech będą dzięki, zem się już znalazł pomiędzy swoimi... nie bogata to wprawdzie ziemia, ale kilka tysięcy czerwonych złotych dać może bez zubożenia siebie, zwłaszcza że się da na to ewikcya i odda się w czasie....

Kiedy to mówił Bobowski, zrazu smutno bardzo zrobiło się w izbie, potem kilku, zauważywszy, że już jest bardzo późno, a oni daleko mają do domu, powynosili się milczkiem z winiarni, za nimi wysuwali się po jednemu i inni, a kiedy pan Bobowski wyjechał wprost z propozycją zrobienia składki aż do sumy pięciu tysięcy czerwonych złotych, to już ledwie połowa gości jarmarcznych ją słyszeć mogła.

To widząc, pan Józef umilkł nagle i tak się zasmucił, że jako powiadano łyzy mu rzęsiste puściły się po policzkach, a kiedy śród milczenia z tej połowy pozostałych jeszcze się za drzwiami wyniosła połowa, obrócił się on do Grotta, mówiąc w głos, ale ze łzami:

— Chodź mój Grocie do domu; gdzie są Żernica i Rogi, tam pięciu tysięcy dukatów nie brakuje, ale Bóg mi jest świadkiem, że między tę samą szlachtę rozdał więcej jak pięć tysięcy dukatów na wieczne nieoddanie.

To rzekłszy, wziął Grotta za rękę i prosto szedł ku drzwom, ale pan Laskowski, który z kilkoma innymi jeszcze pozostał był we winiarni, zastąpił mu drogę i rzekł:

— Panie bracie, co ty czujesz to i ja czuję, ale ty młody dziwujesz się, a ja starycale nie dziwię się temu, bo taki świat był, taki jest i chyba aż kiedyś inakszym będzie, w co ja jednak nie wierzę. Niema też o czem mówić. Ale słuchaj, leżą u mnie w skrzyni dwa tysiące czerwieńców, które chowam na posag dla córki, jak tylko powrócisz do domu, zaraz je sam przywiozę do ciebie; będzie mógł kiedy, to mi je odda pan Osuchowski, a nie, to niechaj i tak służą na chwałę Boga i wykupienie duszy chrześcijańskiej z rąk bisurmaństwa. Nie stary człek jeszcze tak bardzo, toż kiedy z lat kilka się jeszcze pożyje, zbiorą się inne dla córki.

Na to pan Bobowski rzucił się na szyję dziedzicowi Polany i rzewnemi oblał go łzami, a wtém pan Białobrzescki znów przystąpił do niego, mówiąc z ukłonem:

— Jeżeli waszmość z przeproszeniem nie pogardzisz moją chudobą, to i u mnie się znajdzie parę tysięcy złotych, któremi służę być na chwałę Boską.

— Poczciwy Białobrzescki! — zawołał na to pan Józef, — a jak mnie Bóg miły, że ani na jedno ździebelko nigdy odemnie ani od Osuchowskiego nie doświadczył grzeczności.

Za Białobrzeckim powstał jeszcze Pieniążek i przystąpiwszy do osieroconego brata ślubnego, rzekł, jękając się po swojemu:

— Widzisz diable, pieniędzy gotowych ja nie mam, ale u mego ojca się najdą, to się weźmie od niego. Ale ażeby i ciebie tam Turcy nie zjedli, to ja z tobą po Osuchowskiego pojedę.

— Chwałaż Bogu niech będzie na wysokość! — zawołał na to z nieudaną radością Bobowski; — Stanisław-by i tak nie przepadł, bo wieś sprzedam, ostatni pas i czapkę zastawię, a jego

wykupię, ale przykroby mi było na wieki, gdybym był wszystkich zastał tak usposobionych dla siebie, jak ci którzy wyszli.

Na to przystąpił jeszcze pan Dzanott do Bobowskiego i wahać się, a kłaniając, począł mówić:

— Miłoby też i mnie było przysłużyć się waszmości kilkoma tysiączkami złotych, które trzymam od nagłej potrzeby, chociaż znów z drugiej strony....

Ale mu przerwał zadowolony już zupełnie Bobowski, mówiąc:

— Już dziękuję waszmości dobrodziejowi, albowiem to, co mi dać przyrzekli ci ichmość panowie bracia, z tém co się u mnie jeszcze wynajdzie i z tą sumą, którą mam lokowaną u jw. wojewody, a która każdego momentu wypłaconą mi będzie, powinno mi nietylko wystarczyć, ale nawet i przenieść to czego żądałem. Bardzo tedy dziękuję.

To rzekłszy, pożegnał się stolnikowicz z pozostającymi jeszcze w winiarni i zabrawszy Grotta ze sobą, poszedł do gospody, ażeby zaraz wsiąść na koń i jechać do domu. Ale gdy im konie doprowadzono, znalazł się tuż koło nich pan Dzanott, który równo z nimi na swego konia wsiadając, mówił:

— Jedna nam droga do domu, miło mi będzie towarzyszyć waszmościom.

Bobowski niebardzo był kontent z tego, bo mając Grotta przy sobie, którego zastał tak szczerze wylanym dla siebie, radby był z nim jaknajprędzej i o tém i o owém pomówić, i o gospodarstwo swoje, o konie, o dobytki, wreszcie o wszystkie domowe nowiny i zmiany, które się przez czas jego niebytności zdarzyły, wypytać; ale trudnoż było towarzystwa ze sobą sąsiadowi odmówić; jechali więc razem drogą wiodącą równie do Zahoczewia jak do Żernicy, rozmawiając ciągle prawie o hajd mackiej wojnie Osuchowskim.

A kiedy przyjechali pod samą bramę zachoczewskiego zamku, kędy przechodzi gościniec do dalszych wsiów górskich, a gdzie się już ci podróżni mieli żegnać ze sobą, zatrzymał Dzanott swojego konia i rzekł:

— Późna to już godzina i jak na to noc nie bardzo jest widna; nie wiem, jak tam waszmość zajędziecie po tych wertepach. Jeżeli by łaska była, bardzobym się cieszył z tego, gdybyście waszmość przyjęli nocleg u mnie. Czém chata bogata tém będzie i rada, a jutro raniuteńko...

— Bardzo dziękujemy waszmości za jego gościnność — odpowiedział na to Bobowski z ukłonem, — ale przepraszamy najmocniej, że jój przyjąć nie możemy. Bóg widzi, że tak wiele mam rzeczy przed sobą, że gore mi pod rękami. Dobranoc waszmości dobrodziejowi.

— Dobranoc waszmościom.

Bobowski, odjeżdżając, spojrzął raz jeszcze na bramę zaho-

czewskiego zamku, ba i na sam zamek, tak, jakby był patrzył na drugi i na dziesiąty, w którym ani nogą nigdy nie stanął, głowa zaś jego tak była różnemi myślami zajęta, że w téj chwili nawet żadnego nie przypuściła do siebie wspomnienia. I tak rozjechali się ci panowie; Bobowski zagadany już z Grottem pojechał prosto do siebie, Dzianott zaś smutny i jakiś zamyślony zajechał u siebie przed ganek.

Późna już była natenczas godzina i cisza zupełna zalegała wszystkie zabudowania zahoczewskiego dworu. Stare zamczysko to, z porozwalanemi po rogach basztami, z których dzikie zieliska zwieszały się na dół, straszném wydało się pod pochmurnej nocy powłoką. Straszniejszém jeszcze przez to, że wśród téj ciszy grobowej, wśród starych i próchniejących drzew grabowej alei dawał się słyszeć chrobot jakiś, jakby budzących się, ze snu ponocnych ptaków, a podczas gdy jednostajny szum płukającej podwaliny zamkowe Hoczewki wydawał się długim jękiem, wychodzącym z piwnic podziemnych, puszczyk odzywał się co chwila z baszty narożnej, śmiejąc się śmiechem piekielnym.

Śmiech ten usłaszawszy, pan Dzianott stanął nagle na pierwszym wschodzie i wstrząsł się; myśli jego przerwały się i zdawało mu się, że na dobitkę tego dnia feralnego, duchy zamkowe szyderczym witają go śmiechem; ale spojrzawszy w górę, gdy ujrzał światełko błyskające w jedném oknie narożném, zapomniał o onym śmiechu i pobiegł prędko po wschodach na górę.

Światelkiem tém, które pan Dzianott ujrzał był z dołu, była to lampa olejna, banią alabastrową przykryta, a stojąca na stoliku pod oknem w sypialni jego córki. Przy téj lampie siedziała nad książką Julia i niby pilnie w nią coś czytała, jednakże często oczy odrywając od liter, podnosiła je w górę i długo patrząc w róg ciemny komnaty, myślała. Była ona tak piękną jak zawsze, ale dzisiaj o wiele już bledszą i taki jakiś smutek rozlał się po jej twarzy, że przy onej lampie, białe światło odrzucającej, wyglądała jak pokutnica, ciałem tylko błakająca się po téj ziemi, a duszą i sercem zawieszona już w niebie.

I prawie tak było w istocie. Od czasu jak Bobowski bez pożegnania się nawet na daleką wojnę odjechał, zrazu cierpiała ona wiele i miotając się w bólu i niecierpliwości, w chorobę była zapadła. W téj chorobie wybiegała ona jeszcze zbolalą duszą swoją w one światy, nikomu na ziemi, ale jej tak dobrze znajome, ażeby tam się zdybać ze swoim kochankiem. Lecz gdy go nie zdybała ani u gwiazd zawieszonych w błękitie nieba, ani u grobów marmurowych jej myślą stworzonych, ani u onej chatki otoczonej kwiatami w dolinie, a ból ziemski coraz bardziej osłabiał jej ciało i zużywał władze jej serca i duszy, zaprzestała ona swoich błędnych i bezcelowych wędrówek i pokorę a poddanie się losom wzięwszy na pomoc, obróciła swe myśli i serce do Boga. Śród modlitw i rozmyślań nabożnych wyzdrowiała ona cieleśnie,

a gdy powstała z łoża, już i myśli jej i uczucia innym posnuły się torem. Odtąd, jak mało żyła piérwój, tak teraz całkiem już prawie przestała żyć na téj ziemi, a zawiesiwszy się duszą u Boga, całe dnie przepędzała na odwiedzeniu myślą Ziemi świętej i grobu Chrystusa Pana, na błąkanii się około pieczar podziemnych, w których przez kilka wieków chowała się wiara święta przed zaciętością jej wrogów, około onych w głębi lasów na skał urwiskach z gałęzi pobudowanych pustelni, w których święci dokonywali swoich niepokalanych żywotów, około onych pól okrwawionych nakoniec, na których pod krzyżową chorągwią rycerze chrześcijańscy kładli swe kości za wiarę. A kiedy myśl jej była swobodniejszą i lżejszą cokolwiek i kiedy do jej duszy przecie ta ziemia przemówiła swoją pięknnością, to wylatywała na step ukraiński, nad brzegi Dniepru szumiącego po progach kamiennych i tam zbrojnym i jezdnym, z mieczami w rękach uganiającym się za sobą po stepie, zaglądała zdaleka w oczy, śledziła cienie ich migające po ziemi, przypatrywała się ich widmom odbijającym się na krańcach widnokregu, patrząc, ażali nie zdybie gdzie twarzy znajomój. I było to już najweselszą jej duszy zabawą.

Taką była teraz Julia, i taką zastał ją onego wieczora jej ojciec. Wszedłszy, pocałował ją w czoło i zapytał:

— Co tu słyhać? jak się ma matka?

— Dobrze, o ile to być może w jej słabości — odpowiedziała Julia, — dzisiaj cały dzień prawie przepędziła na nogach.

— No, chwala Bogu, — rzekł na to pan Dzanott i zaczął wielkim krokiem chodzić na wskos téj obszérnej komnaty. Zdziwiona tém córka, że ojciec tak późno wróciwszy, nie wynosi się zaraz do swego pokoju, zapytała pomimowolnie:

— Jakież tam z targu nowiny?

— O są nowiny i bardzo ważne nowiny — odpowiedział pan Dzanott trochę szyderczo, a trochę gniewnie.

— Cóż takiego? — spytała Julia i jakieś przeczucie trwogi albo zgoła sama już trwoga odbiło się na jej twarzy.

— Pan Bobowski przyjechał, — rzekł znowu tym samym tonem ojciec.

— Pan Bobowski przyjechał! — zawołała córka z dziwnym jakimś wyrazem radości, ale w tymże samym momencie spytała: I gdzież jest?

— Do domu pojechał.

Te słowa ojca, zdaje się, że musiały bardzo smutno przerazić Julią, bo zbladła nagle jak ściana i zachwiała się, a oparłszy się prawą ręką o krawędź stolika, głowę opuściła ku ziemi i długo tak stała w milczeniu; po chwili dopiéro, nic nie zmieniając postawy, ani twarzy, powtórzyła głosem cichym i niby spokojnym, ale głębokim i serce rozdzierającym:

— Do domu odjechał..

Ten głos tak bolesny swojego dziecka usłyszawszy, pan Dzia-

nott zatrzymał się koło córki i ze szczeremi łzami współczucia kręcącemi się w jego przygasających oczach, długo milcząc, patrzył na nią, a gdy mu łzy coraz mocniej parły się do oczu i smutek dziecka coraz boleśniej ścisnął go za serce, rzekł stłumionym głosem:

— Idź spać, moje dziecko, pomódl się Bogu i porzuć wszystkie nadzieje.

I wyszedł. Ale Julia nie poszła za radą ojca, bo długo jeszcze ono światełko błyskało w oknie jej sypialni i nie przygasło, aż je potężniejszy nad wszystkie światła blask świtu przygasił.

W kilka dni potem Bobowski, zebrawszy potrzebne do swój podróży pieniądze, śpiesznie do Carogrodu wyjechał. I znowu po pod bramą zahoczewskiego zamku przejechał, — i znowu do zamku nie wstąpił. On już całkiem o Julii zapomniał.

IV.

W pierwszy wtorek po św. Michale znowu liczny targ był w miasteczku Lesku. Jednakże, że to jeszcze o tym czasie nie wszędzie żniwa już pokończone w tej nie egipskiej ziemi i że w oczekiwaniu zimy wiele jeszcze robót około domu czeka na biednego rolnika, więc lud pospolity, załatwiwszy swoje niewielkie sprawy, wcześniej opuścił miasto, a jeszcze zmrok całkowity nie zapadł, kiedy już prawie żywej duszy nie było można zdybać w obudwóch rynkach.

Ale w Łatesowej winiarni płonęły światła nie skąpe i gwar tam huczał niemały, który za każdym drzwi otwarciem wylatywał jakby strzał moździerzowy na rynek i znów potem ucichał. O! bo szlachta uboga i nieuboga nie znała złej doli za Sasów, a podczas kiedy w oddalonych od wielkiego świata powiatach nie znano jeszcze onych zbytków i wystawności w domowym życiu, która chłonęła nieraz i magnackie fortuny po innych Rplitej krainach, szlachcic górski zaopatrując swoją spiżarnię i kuchnię tém tylko co się urodziło w polu i wychowało w oborze, grosz gotowy jaki mu przyszedł z wioski, jeżeli go nie schował do skrzyni, mógł przehulać bez szkody. Hulali téż sobie panowie ojcowie tak, że kiedy potem przyszły czasy powszechnego zamieszania i wojen, a z tém wszystkiém nowe i uciążliwe, od których byli odwykli, wydatki, a nawet nagłe i przewidywać się niedające, straty, to połowa ich całkiem powychodziła z dziedzictwa, ustępując swych dworów ludziom nowym, w mętnych tych czasach nagłe wzbogaconym, którzy za ustąpienie sobie miejsca tém tylko się wywdzię-

czali swym poprzednikom, że ich synów i wnuków brali do siebie na podstarościch i dyspozytorów.

Ale nie przeczuwali takiego dla swych następców losu oni ojce żyjące ze Sasów, bo gdyby tak było, byłiby się opamiętali w swoim rozpustnym hulactwie i biesiadnictwie i byłiby pewno inny nadali kierunek swojemu żywotowi, i mogło im się to może udać jeszcze choć w części, ale woli po temu nie było. Więc też nigdy nie była pustą Łatesowa winiarnia, i dzisiaj gwar się wzmagał w niej coraz większy; pito i bawiono się krotochwilnie, nic nie myśląc o jutrze.

Tymczasem na rynek miasta, drogą prowadzącą od Utrzyk i Sambora, zajechał wóz półdraby i zatrzymał się w środku. U woza były zaprężone cztery konie mołdawskie, kare jak galki i garbonose, a na wozie siedziało trzech mężów. Skoro ci mężowie z woza zeskoczyli na ziemię, nie trudno było poznać, że tymi mężami nie był kto inny, jeno pan Bobowski z Pięniążkiem, wiozący wykupionego już Osuchowskiego z niewoli. Jakoż, gdy tylko się trochę wyprostowali po tej dalekiej podróży, natychmiast rzekł Osuchowski:

— Nie rozumiem, cośmy tutaj stanęli, snadniej było wprost do gospody zajechać.

— Cha, cha, cha, widzisz diable, — zaśmiał się na to Pięniążek, — a cóżto za dzień mamy dzisiaj?

— Wtorek, — odpowiedział obojętnie pan łowczyc.

— A cóż widzisz diable za światło tam w onych oknach?

— Łatysowa winiarnia, — odrzekł znowu pan łowczyc, — ale cóż to ma do rzeczy?

— Już cię tam bisurmanie widzisz diable dobrze musieli obrać, kiedyś nawet zapomniał, że we wtorek wieczorem cała ziemia sanocka w Łatesowej winiarni.

— O! jak moje matkę rodzoną kocham, tak mi to ani na myśl nie przyszło, — odpowiedział pan łowczyc, — więc idźmy tam.

— Tak, idźmy! — odezwał się na to Bobowski, — przecieśmy dlatego takim wielkim krokiem jechali i z Drohobyczy z noclegu tu na wieczór stanęli, ażeby sobie zrobić ukontentowanie widzenia wszystkich przyjaciół i sąsiadów odrazu.

— A! to prawda, — odpowiedział uradowany tém Osuchowski, który długą znękaną niewolą, był teraz tak, że go każda fraszka cieszyła; jednakże zastanowiwszy się cokolwiek, dodał: — Ale widzi mi się, że wstąpiwszy szczęśliwie na ziemię rodzinną, wypadaloby piérwój pomodlić się Panu Bogu za one niespodziane i śnać niezasłużone dnbrodziejstwo, którego się doświadczyło, niżeli zaraz myśleć o zabawie i przyjemnościach. Na to Bobowski:

— Prawdę mówisz, panie bracie, chodźmy się piérwój Panu Bogu pomodlić.

Pięniążek coś na to mruknął sobie pod nosem, jednakże nie sprzeczał się temu, i owszem, zabrawszy się ze swymi towarzy-

szami podróży, i konie odprawiwszy do gospody, szli wszyscy trzej przed kościół, i tam **śród** dobrze ciemnej nocy przed drzwiami na wschodach uklękawszy, modlili się Panu Bogu na podziękowanie za szczęśliwy powrót do domu.

A w winiarni ani się **śni** komu, że się można modlić po nocy. Tam krzyk i wrzawa, tam **tartas** i wiwaty głośniejsze dzisiaj daleko niżeli onego wtorku, kiedy **sam** przyjechał był stolnikiewicz. I nie dziwna. Siedzi bowiem za stołem **prócz** Sanoczanów trzech szlachty Rusinów od samego Halicza, którzy stado wołów podolskich przyprowadziwszy, sprzedali je na tym targu. Fetują więc nawzajem sesiedzi sąsiadów, bo trzebę wiedzieć, że lubo ziemia sanocka od halickiej o mil dwadzieścia jest oddalona, jednak obydwie do województwa ruskiego należą; fetują się więc i dworują ze siebie nawzajem, każdy swój kraj nad zasługi wynosząc, a sąsiedni poniżej zasługi położyć usiłując. Śmiech więc ztąd i zabawa, bo wszystko dzieje się w dobrej woli. **Prócz** tego znalazła się i nowina. Karwicki, regent koronny a marszałek trybunału piotrkowskiego natenczas, kazał zdjąć głowę Sulerzyckiemu, szlachcicowi z województwa rawskiego, który burdowatym junakiem będąc przez całe życie i ztąd kilka kondemnat na sobie mając, kiedy deputatem na tenże trybunał ze swego województwa wybrany, przeczuł że przez komisją ziemską do przysięgi na funkcję dopuszczonym nie będzie, wpadł z partją dobranych rębaczy do kycioła i tam krwi dużo przelawszy, komisją do dyktowania sobie roty przysięgi przymusił. Zdjęcie głowy Sulerzyckiemu przyniosło w swych skutkach to, że trybunał ten pod Karwickiego laską dalej już z wielką przykładnością i rzadką pod owe czasy sprawiedliwością agitował się ciągle i z zadowoleniem wszystkich się skończył, ale wypadek ten rozszedł się **prędko** po całej Polsce i niemałego narobił rumoru. Jakoż onego wtorku wieść o nim przyszła do Leska i tak zajęła była rozумы wszystkich, że luktą dobrze li czy źle uczynił Karwicki, trwała przez parę godzin i żadnego końca znaleźć nie mogła.

— A już niech sobie **кто** mówi co chce, — powiadał głośno i z wielką niecierpliwością pan Laskowski, a wiele to potrzeba było na to, ażeby jego do niecierpliwości przyprowadzić, — a ja zawsze trwać będę przy swoim i mówię, że dobrze zrobił Karwicki, i bodajby żaden z następujących po nim marszałków inaczéj sobie nie poczynął, jak on.

— A bodajby już raczéj żadnego trybunału nie było, mieliby tacy być marszałkowie! — zawołał na to pan Bał, a za nim inni:

— Tak, tak, wolimy nie mieć trybunału, niżeli głowy nasze dawać na zabawkę marszałkom!

— Ale zmiłujcie się, co téż już nie gadacie! — mówił dalej Laskowski, — jakżeż? kraj bez prawa i sądu!? *juristitium* na wieki wieków! toby dopiéro było piękne!... ale wracając *ad rem*, proszę waszmościów tych, którzy znają się na ważności sądów

w państwie, cóż jest lepszego dla ogółu, czy utracić głowę jednego wszystkich zaczepiającego i spokój publiczny zamacającego junaka. czy utracić całoroczną trybunału kadencją? bo stracona na pewno byłaby kadencya, na której mieczem *laudum* sobie zdobywszy, takiby zasiadł był Sulerzycki. Któżby tam był marszałkował, jakaby tam mogła być sądu powaga, jaka sprawiedliwość takiego sądu, który sam akcyą poczyna od zbrodni?... Zapewne, że i to jest malum i owo malum, ale *ex duobus malis minus eligendo*, lepiej zaprawdę dać życie jednego burdy pod miecz katowski, niżeli tyle fortun szlacheckich, od których może także niejedno życie zawisło, a których własność miała się zdecydować na tym trybunale, puścić na los albo na łaskę takichże samych junaków i zajezdników, jakim był Sulerzycki.

— Tak! — zawołał szydyczko pan Krakuszowski, — dla kilku fortun brać gardło szlachcicowi posesyonatowi!

— Burda i napastnik! — zawołał znowu pan Krajewski, — napastnik Sulerzycki, a Karwicki to nie napastnik? nie napastnik Karwicki, który kazał *in expectate* porwać Sulerzyckiego w przedsiönku sądowej izby? nie napastnik, który go osądził bez sądu i kazał ściąć do trzeciego dnia milczkiem na kordegardzie? nie napastnik ten i prawdziwy gwałtownik, którego dekret zaraz skasowany jest wolą królewską? bo przecież powiadają wyraźnie, że brat Sulerzyckiego zaraz po osadzeniu go w kordegardzie pobiegł do króla do Grodna i przywiózł glejt królewski, ale się trzema godzinami spóźnił, jak pilno było imć panu marszałkowi.

— I dobrze, że mu tak pilno było! — odrzekł znów pan Laskowski — widać że pan Karwicki jest mąż rozumny i dzielny i umie wykonywać to, co inni mają zachowane gdzieś na dnie serca, a co jest prawdziwą cnotą obywatelską. I kiedy pana Karwickiego zdybię gdzie w świecie, to go *publice* ścisnę za kolano i oddam mu cześć przynależną, ażeby wiedział, że cnotę umieją czcić i pod Bieszczadami. Bo trzeba wiedzieć waszmościom, że lby ścinać szlacheckie albo inne to nie jest żadna przyjemność, i nietylko, ale ból to jest srogi dla każdego, który ma serce i miłość braterską. I czuł ten ból pewno i pan Karwicki, ale właśnie dlatego, że pomimo bólu nad tém umiał swój obowiązek wypełnić, zasługuje na tém większą cześć i szacunek. I gdyby był mógł, pewnoby był darował Sulerzyckiemu, ale że wiedział że sam postwach na nicby się był nie przydał terazniejszego czasu, nie podarował; jakoż i jabym był tak czynił. Bo tu nietylko szło o ukaranie popełnionej zbrodni, bo to może najmniejsza, ale to szło o to, ażeby trybunałowi temu, który się bierze do ostatecznego rozstrzygnięcia najważniejszych spraw ludzkich, nadać powagę i majestat najwyższej woli, bez której niczém byłaby taka władza.

— Tak jest, — odezwał się na to pan Górski, podsędek sakoński, — sąd musi mieć swoją powagę i *majestatem*.

— No! żeby jeno jeszcze kiedy i sąd sanocki nie wziął się do naszych gardel! — rzekł pan Krajewski.

— Oj! ścinałiby oni, żeby jeno im kto się podał, — dodał ktoś drugi.

— Ale ma prawdę pan Laskowski, — zarzucił na to pan Zaremba, — bo i ukarać tam należało i było za co; bo przecież nawylęwał się tam Sulerzycki krwi dosyć w kościele, a nawet, jak mówią, zaciął był pana sędziego sieradzkiego, który jest człek prawie stuletni i półbożek szanowany w powiecie.

A mówił to Zaremba dlatego, że on sędzia sieradzki był także Zaremba, do którego chociaż innego herbu i rodu, rad się przeciw przyznawał, bo inaczej nigdyby nie stawał przeciwko Sulerzyckiemu, sam będąc pierwszym burdą w powiecie; jakoż odciął mu zaraz ktoś na to, podnosząc nanowo spór o to, dobrze li albo źle począł sobie trybunału piotrkowskiego marszałek.

A podczas, kiedy tutaj taka agitowała się lukta i poruszały się głębie serc i umysłów, przy drugim końcu wielkiego stołu obiadła szlachta onych ze stadem wołów przybyłych Rusinów, i pijąc do nich spełna, słuchała Grotta, któren tak mówił:

— O! Rusinkowie! z wołmi jeżdżą, pieniądze rachują, do skrzyni je chowają i dworują sobie z małych i wielkich Polaków, że fortuny swe tracą, wysyłając je zwolna z wypróżnionemi beczkami do Węgier. Mają oni prawdę, albo i nie mają.

— Oj mają, mają! — odezwał się na to z westchnieniem pan Brześciński, — bo snąc niedaleko już jest ten czas, kiedy, jako ongi azyatyckie narody wędrowały na zachód, tak mazurska szlachta wędrować zacznie na wschód, aby na respekcie osiadać u ruskiej.

— Że mazurska szlachta, — rzekł na to Grott, — niebawem zacznie się już osiadać na respekcie u innej, tego ja nie zaprzeczam; ale że jej trudno będzie osiadać u ruskiej, to więcej jak pewna.

— To czemuż to tak myślisz, braciszku, — odezwał się jeden z Rusinów śpiewającym tonem, tak jako u nich obyczaj — ta czemu? niechaj Pan Bóg obroni waszmościom od tego, przyjmiemy was, jak Pana Boga kocham przyjmiemy. — Na to zaś Mora:

— Przyjmiecie, przyjmiecie, ja wiem, przyjmiecie, ale snąc nie siła respektowych pomieściłoby się pomiędzy wami.

— Ta czemu? — zapytał drugi Haliczanin.

— Bo niewielu téj szlachty na Rusi.

— A któż tam?

— Chłopi i wielcy panowie; — odpowiedział Grott, i tak mówił dalej: — Dziwny to kraj ta Ruś a Podole, byłem tam przed kilku laty i przypatrzyłem się dobrze wszystkiemu. I tak, wyjechawszy od samej Ukuiny prosto ku Lwowu, jechałem przez dni kilkanaście i minęłem wsi i miasteczek bez końca, a co się pytam czyja to wieś? pana Potockiego; a czyje to miasto? pana Potoc-

kiego! i tak aż pod sam Lwów, aż pod mury miasta, bo jeszcze i klasztor oo. pijarów, tuż pod samém miastem będący, stoi na gruncie Potockich. Drugi taki sam pas ziemi od samego Lwowa, brzegami Podola i ziemi bełzkiej idący, ciągnie się aż do Nieświeża na Litwę i ten cały pas czyj? Radziwiłłów. A pomiędzy temi pasami owo wsi kilkudziesiąt Rzewuskich, a tu kilkadziesiąt Dzieduszyckich, a jeszcze owdzie kilkadziesiąt Jabłonowskich, a jeszcze Buczacz a Halicz Potockich, a Stryj to starostwo, a kilkaset innych wsiów królewskiej, — więc gdzież tam siedzi ta szlachta? I niema jej jako żywo, a jeżeli jest jeszcze jaki tędy owędy, to także pan na wsiach kilkunastu i wcale nie szlachcic taki, jakich tu u nas jak mrowia. Byłem raz na sejmiku w Haliczu. Przyjechałem na trzy dni przed terminem i myślałem, że zastanę wmieście już brzęk jakby w ulu; ale gdzie tam! kilku Ormian i kilku Żydów spacerowało po rynku i to były wszystkie sejmikowe forpoczty. Pytam tedy: Snać już nie będzie nic z tego sejmiku! — A czemuż? — odpowiadają. Jakimż tedy będą sejmikować językiem, czy ormiańskim czy żydowskim? bo innej nacyi ja tu nie widzę. A oni na to: Oj! będą jeszcze na czas, będą, i nasłuchasz się waść i po polsku i po rusku, i le uszy zatykać będziesz. Czekam tedy dzień cały, nikt nie przyjechał ze szlachty, jeno jakieś wozy ze spiżarniami się pojawiły pod miastem; aż tu trzeciego dnia patrzę, a tu taki tuman kurzu wznosił się od wschodu, że aż niebo poczerwieniało i zaraz przeszło stu konnych wwalilo się w miasto, a za nimi ze trzystu kozaków. Pytam tedy ktoby to był? widzę, szlachta, ale z jakiegoż powiatu? — Nie, powiadają, to pan Potocki, starosta kaniowski. W chwilę potém drugi taki tuman kurzu podniósł się na zachodzie i znowu wpadło kilkuset jezdnych do miasta. A więc to szlachta? pytam, ale znowu mi odpowiadają: Nie, to pan Potocki starosta halicki, dalej trzecia taka kupa wpadła do miasta, a to był znowu Potocki brzeżański, — i czwarta nakoniec kupa jezdnych zajechała do miasta: i to znowu był jeszcze jeden Potocki. I zaczął się sejmik. Sporządzono akt, podpisano go i zaniesiono do grodu — i już ani śladu nie zostało z sejmiku. Owo to szlachta halicka.

A Rusini się śmieli z tej Grottowej powieści, mówiąc:

— O tak, tak u nas, tak, my się nie lubimy bardzo mieszać w sprawy publiczne, bo to ciężka potém odpowiedzialność za to przed Panem Bogiem, co już panowie uradzą, to niech tak będzie.

— O to prawda, — rzekł na to Grott, — wy się niebardzo lubicie mieszać w sprawy publiczne, stoi to nawet wyraźnie napisano w historii; bo za to ciężka odpowiedzialność przed Panem Bogiem; bezpieczniej w domu, ściany na zimę gnojem zaopatrzysz, w piecu słomą napaliwszy, siedzieć sobie przy miodzie i z gębą zapchaną słuchać bajek bab starych.

— Ale braciszku, — protestował się przeciw temu jeden z Ha-

liczan, ale wtém, krótkie a szczere modły swe ukończywszy, weszli do téjże winiarni bracia ślubni z Pieniążkiem. Kiedy ich za stolami siedzący ujrzeni, zaraz się wszyscy jakby piorunem ruszeni zerwali i taki hałas pomieszany a głośny w téj izbie podnieśli, że gdyby kto miał sto uszów przy najpotężniejszej pamięci, jeszczeby był nie potrafił dwóch słów zrozumieć i spamiętać. Oczy tylko każde widziały, że podczas gdy kilkunastu razem rzuciło się panu łowczycowi na szyję, drugich kilkunastu w pół go objęło, ci zaś, dla których już miejsca nie było przy Osuchowskim, uczynili to samo z Bobowskim, reszta zaś musiała się kontentować Pieniążkiem. Haliczanie tylko widząc po ferworze, że to musi być jakaś sprawa publiczna, dla bezpieczeństwa cofnęli się pod piec, ciekawie patrząc i czekając, co z tego będzie.

Z tego atoli nie wyniknęło nic tak nawet dziwnego, coby halicką ciekawość, na małym zwykle poprzestawać lubiącą, nadspodziewanie zając było mogło; aż dopiero kiedy beczki winne na rękach poczęła szlachta wnosić z Łatesowej piwnicy, pokiwała ziemia halicka głową i zakomunikowała sobie, że szkoda, że tu niemasz kaniowskiego starosty, bo miałby się z kim pobawić. Ale bo rzeczywiście tak było, że pod względem ochoty i ilości wina, którą wypito, był to dzień taki, którego do dzisiaj jeszcze czerwonymi głoskami stoi zapisany w tradycyi, a podczas kiedy pan Deręgowski do samej śmierci nie mógł wyżałować, że w kraju podówczas nie będąc, nie mógł się na téj stypie znajdować, to przez wiele i wiele lat potem jeszcze, kiedy Łates jakiego wina nie mógł gościom postawić, powiadano sobie zвычайnie: Wypito go wtenczas, kiedy bracia ślubni powrócili z niewoli.

Nad sposobami i przeróżnemi sztukami, któremi dnia onego pito i podwajano ochotę, szeroko się rozwódzić nie będę, bo te wszystkie sztuki do dwóch tylko się redukują; w jednej więc leją wino z beczki do kubka, a z kubka do gardła, a w drugiej prosto z beczki do gardła; sztuk zaś tych obudwóch, lubo tak różnych od siebie, koniec przecie zawsze jest jeden, a to taki że im głośniej beczka podzwania, tém coraz więcej ubywa ludzi, a przybywa więcej do koła. To jednak zawsze nadmienić wypada, że przy tych sztukach dzień biały uderzył w okna winiarni.

Blask słońca, owéj żrenicy światów na wszystko stworzenie przemożnie działającej, i ludziom choć pijanym inne przynosi myśli i inne pragnienia. Owoż i braciom ślubnym na widok słońca przyszła ta myśl, że czasby nakoniec podziękować łaskawym sąsiadom za tyle dowodów prawdziwego afektu i zabrać się precz z tego miejsca, w którym trudnoby było o spoczynek po tylu trudach już prawie niezbędnym. Gdyby ta myśl była im przyszła wcześniej, na nicy się zapewne była nie zdała, bo nietylko że wśród ustawicznego przy kielichach gwaru do głosuby byli nie przyszli, ale nawet gdyby do niego byli przyszli na to, ażeby się żegnać, byliby zakrzyczeni i przez gwałt zatrzymani; teraz jednak,

kiedy już i inni mieli dość tej zabawy, a niektórzy tak dosyć, że aż znać o tem dawali głośnym z pod ław i stołów chrapaniem, bracia ślubni i głos zabrali i zaproponowali koniec biesiady i nie doświadczyli żadnej opozycji, tę jednak przyjąć musieli w swoim votum odmianę, że nie sami pojedą do domu, jedno odprowadzeni będą przez wszystkich *in gremio* na miejsce.

Niebardzo na rękę przypadła ta poprawka powracającym do domu podróżnym, bo lubo zawsze chętnie przyjmowali gości w swych domach, jednak teraz woleliby byli choć kilka dni zostać w spokoju i samotności; ale drzwi i serca zamykać przed jadącymi do siebie w gościnę jeszcze dzisiaj nie potrafi nikt, a nie dopiero miałby to być ktoś potrafić za Sasów. Zebrali się tedy wszyscy, obudzone śpiących, otrzeźwiono nieczułych i poodzukiwano tych, którzy się pogubili, a dosiadłszy koni, uformowano hufiec nie mały, do pół drogi się jeszcze chwilejący, ale dalej już trzeźwy i trwały, i otoczywszy wóz braci ślubnych, puszczono się w bród przez San zwyczajną drogą do onych dwóch wiosek, które wiążąc się z sobą kopcami granicznymi, wiązały się zaraz i sercami swych właścicieli.

W Żernicy, dokąd cały ten orszak szczęśliwie i bez szwanku się dobił, trwała jeszcze biesiada przez całych dni kilka, a służył w niej panom braciom Grott herbu Mora, który jeszcze dzierżył sceptrum tamtejszego gospodarstwa; a ponieważ już tam nie było onych zbytków targowych i sztuk rozmaitych, które nie uchodzą tak w domu szlacheckim, jak uchodzą w winiarni i ludzie nawet przy beczkach wynoszonych z piwnicy pozostawali jeszcze ludźmi: więc tam i nie jedno dobre, jako to nieraz praktykowano onego czasu, swoją znalazło kolébkę i pozapominały się niektóre dawne urazy, pozagładzały się zastarzałe niezgody i nieporozumienia, a podczas gdy jedni przez te dni kilka bliżej się przysunęli do siebie, niżeli przez upłyniony rok cały, drudzy zgoła trwałe pomiędzy sobą pozawiazywali przyjaźnie. I tak pustą swawolą poczawszy a na mierności i statku skończywszy, rozjechali się wszyscy panowie sąsiedzi z Żernicy, a te dwie wioski, z nazwiska i położenia tak podobne do siebie, zaległa znowu cisza i spokój taki, że kto dawniej lubił nawiedzać te dwa dworki sąsiednie, aniby mógł być z czegokolwiek się domyśliwać, że przez ostatnie lat dwa niespełna tyle doświadczył i bólów przesunęło się przez serca ich właścicieli.

Znowu bowiem tak jako dawniej widywać można było braci ślubnych, siadających wieczorami w ganku żernickiego dworu i poufale z sobą rozmawiających, znowu też same ćwiczenia konne i rycerskie odbywały się na dziedzińcu, znowu także same polowania wyprawiano w sąsiedzkich lasach i znowu tak samo na pierwszą wieść zaraz o cudzém uciśnieniu albo niedoli biegli bracia ślubni groszem, powagą i szablą swoim bliźnim na pomoc. Ktoby był się pilnie tym różnym ich praktykom przypatrył, temu

zapewne że nie trudno byłoby dostrzedz niejaka od dawniejszych czasów odmianę: bo jeżeli w ich gawędach było więcej zdań zdrowych, więcej doświadczenia i różnorodności, to i w ich sztukach rycerskich więcej znajdowało się doskonałości i widać było jawnie, że Osuchowski do swojej siły przyrodzonej umiał przyczynić wiele wprawy i zręczności, a pan Józef swoją zgrabność dawniejszą zapomógł siłą i pewnością na hajdamackiej wojnie nabytą. Wszakże w ich sercach i umysłach większa jeszcze od tego czasu zaszła odmiana.

O pana łowczyca bowiem, który z natury był serca silnego i woli nie lada czém zachwiać się dającą, lubo carogrodzkie cierpienia i dolegliwości odbiły się jak o skałę niewzruszenie na gruncie morza stojącą, nie można jednak powiedzieć, ażeby one srogie bałwany, które weń uderzały, nie zostawiły na nim śladów swęj piany i pamiątki onego lodowatego chłodu, którym go przejmowały. Osuchowski był człek milczący i acz nieszczęścia nie działały na jego serce, jednak na umysł działały tak wiele, że za ich powodem rozum jego niewielki krwawo się nieraz poczył nad wypadkami świeżo doświadczonemi, nad światem, nad ludźmi i sobą samym. Osuchowski i dawniej patrzył się na świat okiem lubo trochę skrzywioném, jednak zawsze poważném, a życie ludzkie biorąc poprostu za służbę przyjętą około dobra pospolitego i wiary świętej, niczego tak gorąco nie pragnął, jak tylko częstych a dobrych okazji, w którychby służbę swoją mógł ofiarować. Przy tej opinii i pragnieniu on i teraz trwał jeszcze, ale podczas gdy dawniej zdawało mu się, że jakakolwiek burda sejmikowa albo jakabądź wojna już jest wielkiém do wielkiego popisu polem, byle w niej sprawiedliwej partyi się trzymać, teraz przyszedł do tego przekonania, że mogą być burdy domowe takie, w których obydwie partye ostatecznie niesprawiedliwe, że mogą być wojny, które nas niewiele obchodzić powinny, a nadewszystko że zdarzają się i takie zwycięstwa i takie heroiczne czyny na świecie, które miasto korzyści stratę jeszcze przynoszą zwycięzcom i żadnej nie dają sławy herbom. Osuchowski zaczął teraz powoli pojmować, że niestety wszystko jest względném na tym świecie. Na tém doświadczeniu się opierając, poznał on też niebawem, że poskramianie niszczących ukraińskie włości hajdamaków jest konieczniém potrzebniém, ale winno ono być czynnością ćwiczonego i silnie opatrzonego żołnierza i wtenczas przy pewności prawie każdorazowego zwycięstwa, przynosić ono może oczekiwany skutek i pospolitemu dobru pożytek; ale podjazdowe pojedynczych rycerzy z bandami rozbójniczymi utarczki, które więcej są harcem niż wojną, nie mają sensu i w najlepszym razie nawet mały tylko i nic nie znaczący a nigdy wyniknąć mogącej stracie odpowiedni przynieść mogą pożytek. O swojej i swego brata na tęż wojnę hajdamacką wprawdzie zamierzony swój skutek odniosła, bo Bobowskiego całkiem

od ożenienia się odwiodła, więc pan hetman niedługo myślał, w skok uczynił i pobił Tatory; ale pan hetman mógł nietylko nie pobić Tatarów, bo Bobowski i po wojnie mógł się do zahoczewskiej panny nawrócić, ale nawet mógł sam być pobitym. I teraz dopiero stanęła przed oczyma myśl owa, coby natenczas było, gdyby Bobowski był zginął. I zasmucił się srodze pan łowczyk i bił się w piersi ze szczérą skruchą za to głupstwo solenne, które uczynił.

— Bo i na cóż to było tego, — mówił pan Stanisław do siebie, chodząc wzdłuż grabowej alei w swoim ogrodzie, — na co tego? Rozmyślał się Józef w pannie; źle to było, źle bardzo, ale i diabełby był tego nie wymyślał, żeby dlatego ruszać na hajdamaki. Niechby był Boże uchowaj zginął tam Józef, cóż ja nieszczęsny byłbym począł natenczas? a niechbym ja był tam zginął, od czego ciałe już nie było daleko, czy stanęłaby była skóra za wyprawę? Złe jest żona, piekielne złe, ja sam żony nigdy nie-miawszy, niemało się już naciępiąłem z przyczyny kobiet, ale zawsze jeszcze widzi mi się złe mniejsze żona, niżeli śmierć dla jednego z nas; bo jużciż przeciwko żonie choćby i najgorszej znajdzie się jeszcze lekarstwo, a *contra vim mortis* powiadają *non est medicamentum in hortis*.

I długo jeszcze tak mozolił biędną głowę swoją pan łowczyk różnemi argumentami za i przeciw hajdamackiej wojnie, a gdy mu się nakoniec wszystkie przeciwko niej być pokazały, wyprowadził ztąd wniosek nietylko ten, żeby już drugi raz takiej wyprawy nie przedsiębrać, ale i ten także, żeby się Bobowskiemi w jego zamysłach i przedsięwzięciach niebardzo nadal upornie sprzeciwiać. Pierwszy wniosek Osuchowskiego, oparty na świeżem doświadczeniu, był może i prawdziwy, ale drugi nie miał prawie żadnego związku z pierwotnym założeniem i mógł się tylko wyrodzić w słabęj i nie bardzo logicznej głowie łowczyca, — i mniejsza zresztą z tém, że wniosek ten dawał świadectwo jego głowy, ale to ważna, że dawał zarazem świadectwo upadającego w nim zaufania w siebie i słabiejącego już charakteru. Jakoż rzęczywiście ona żelazna wola, którąśmy zrazu widzieli w panu łowczycu, poczęła odtąd znacznie w nim słabnąć i upadać, pragnienie wielkich czynów i przysług dla jakiegokolwiek pospolitego dobra poczęło w nim przygasać, ufność w siebie samego zmniejszać coraz bardziej, że nakoniec odkrywszy słabość swojego rozumu i ją sobie przyznawszy, stał się jeszcze ostrożniejszym, jeszcze więcej milczącym, jeszcze bardziej zamysłonym, niżeli był pierwój, a nawet srodze na umyśle posmutniał pan Osuchowski.

Takie zmiany w umyśle i sercu łowczyca przyniosło ze sobą doświadczenie, na hajdamackiej wyprawie zdobyte, ale i Bobowski także nie uchronił się od jej wpływów. Można nawet powiedzieć, że czas ten, który od ich pierwszego wyjazdu upłynął, chociaż nie tak stanowcze, jednak daleko głębsze pozostawił ślady na umyśle

i sercu pana Józefa, niż Stanisława. Jakoż musiało tak być z natury rzeczy. Bobowski bowiem miał nietylko umysł zdolniejszy do pojęć i oko duszy bystrzejsze, ale jeszcze i serce jego było miększe, dotkliwsze i więcej wrażeniom podlegające, niżeli umysł i serce Osuchowskiego. Bobowski téż pod względem znajomości ludzi i świata niezmiernie wiele przez ten czas skorzystał; widokrąg jego umysłu we dwójnasób się wtedy rozszerzył i widział on już dzisiaj z blizka i jakby na dłoni rzeczy takie, których dawniej cież tylko gdzieś mu migał zdaleka, albo których ciemne tylko i niewyraźne mógł mieć przeczucie. Uczynił téż on niemało doświadczeń i nagromadził niemało prawdziwych skarbów w swéj wiedzy, ale tak jako pierwéj swoje małe i niebogate, a po największej części ze świata książkowego wyniesione zasoby utrzymywał w nieładzie i w pomieszaniu ze sobą, bez podzielenia ich na rodzaje, bez zesumowania i w ciągłym narażeniu na wieczne zapomnienie, tak dziś postępował on sobie ze swemi zasobami większemi. Pomimo tedy zbogacenia się jego wiedzy, nie wykształciło się w nim wcale myślenie, nie umocnił się rozum, nie wyrobiły się żadne pewne i niezachwiane zasady a umysł jego całkowity, był tak dziś jak i pierwéj — z sercem atoli stało się jeszcze gorzej. Serce jego bowiem, zdawna już miękkie i drażliwe, przez tyle wrażeń nowych i mocnych, przez tyle uczuć różnych ostatniemi czasy przeszedłszy, lubo także teraz w uczucia i zapaly było o wiele bogatsze niż przedtém, jednak nietylko że się nie zahartowało do nieszczęść, nie utrwaliło w sobie żadnych stałych afektów, ale przeciwnie, nauczyło się tylko prędzej i mocniej wszystko uczuwać, nauczyło się rzewniej kwilić nad wszystkim, zapalać się prędzej, ale téż i prędzej przygasać i o niedawnych jeszcze zapominać zapalach — stało się zgoła słabszym jeszcze i drażliwszym. I tak, podczas gdy każde choćby téż najdrobniejsze uczucie zajmowało go całkiem odrazu, zabijając sobą wszystkie dawniejsze, podczas gdy każde nawet i głębsze wrażenie zaciérało się nowém, i tylko taki łańcuch uczuć i wrażeń, jakby obraz jaki ruchomy nieprzerwanie się przez jego serce przesuwał, nie dopuszczając prawie nigdy przypomnień, nikt się dziwić nie będzie, że Bobowski, odebrawszy tyle nowych i tak gwałtownych wrażeń na hajdamackiej wojnie, o Julii już nawet ani pomyślał, a nawet dawno już o niéj zapomniał.

Gdy tak rzeczy stały, pan stolnikowicz byłby może niebawem i do tego doprowadził, że nawet i imię jego pierwszój kochanki byłoby mu się zupełnie wydawało jak obce, gdyby nie przypadek, który zrządził inaczej. W kilka tygodni bowiem po braci ślubnych powrocie, zdarzyły się imieniny u pana Błońskiego w Berecce. Imieniny te były sute, zawsze odprawiane przy licznyim sąsiadów zjeździe, z tańcami i z wielką ochotą. Na tych imieninach byli obadwa bracia ślubni, była i Julia z swym ojcem. Stolnikowicz obaczył Julią i mówił z nią wiele, tańcował z nią

przez kilka wieczorów, ale przez cały czas ten ani razu nie uderzyło mu serce, ani dawniejsze w nim nie odżywiło się uczucie, ani zrodziło się nowe. Po powrocie dopiero do domu, przypominając sobie Bobowski różne szczegóły bereszczkańskich imienin, przypomniał sobie i Julię. Przypomniawszy ją sobie, myślał o niej wiele, ale myślał na zimno. Przypomniały mu się wprawdzie jedno po drugim zdarzenia, które z jego dawną dla Julii związek miały miłością, ale z tych zdarzeń zamiast wpaść na trop swoich dawnych dla niej afektów, wpadł raczej na ciemny jakiś domysł tego, co mu dotychczas było niewiadomem, a to: czy Osuchowski nie zabrał go dlatego tak nagle na hajdamacką wojnę, że jego częste bywanie w Zachoczewiu wydało mu się podejrzanem? I nad rozjaśnieniem tego domysłu zabawił się znowu dni kilka. Jednakże niczego nie doszedłszy, wrócił znowu do Julii. I przypominał sobie z każdym dniem coraz więcej, i przypomniał sobie na koniec wszystkie natenczas od niej odebrane wrażenia i wszystkie swoje uczucia i zatrudniał się tém wiele, i przyszło już na koniec do tego, że kładł się codziennie i wstawał tylko z myślami o Julii, ale przy tém wszystkiém pracowała li głowa jego, serce milczało jak glaz. Może z czasem i serce byłoby się odezwało w tej sprawie i możeby w sobie było odżywiło wszystkie dawniejsze uczucia i nową a może jeszcze silniejszą jak tamta rozgorzało miłością, ale temu znów nowy stanął na przeszkodzie wypadek.

W Jabłonkach, wsi położonej w głębokich górach i w nieprzebytych jodłowych lasach, a od Żernicy i od Żerniczki nie więcej jak o dwie mile odległych, mieszkał onego czasu pan Urbański. Pan ten (a można go śmiało było nazywać panem, lubo żadnych nie posiadał tytułów), mając rozległe i piękne ziemie, porzrucane po całym powiecie, największą część każdego roku zwykł był przemieszkować w Jabłonkach, a to li dla samych łowów na niedźwiedzie i dziki, które nigdzie się tak dobrze praktykować nie dały, jak w tamtejszych od świata potopu prawie jeszcze siekiérą nietkniętych lasach. Sławne téż u niego było myśliwstwo, które prawie całą ze wsiów kilkunastu pożerało intratę, sławniejsze jeszcze jego polowania, na które nietylko bliźcy sąsiedzi, ale nawet i szlachta dalsza, i Węgrzy sami tłumnie się zlatywali, ale już najslawniejsze nad to wszystko były one huczne festyny, które po szczęśliwie odbytych łowach czasem i po całym tygodniu szumiały w jabłońskim dworze.

Tej jesieni, o której mowa, pan Urbański długo zwlekał ze swemi łowami. Dziwowali się wszyscy temu w sąsiedztwie, a kiedy już dobrych kilka tygodni minęło po św. Michale, to już ten i ów polowania amator co godzina, co chwila tylko wyglądał oknem ze swego dworku, rychło się na jego dziedzińcu pokaże konny strzelec w zielonej barwie, zapraszający do Jabłonek na łowy. Bracia ślubni nawet, w pewnym oczekiwaniu tych łowów, z których pierwsze zwyczajnie już we dni kilka po św. Michale

się odprawiały, od czasu swego powrotu z hajdamackiej wyprawy ani razu jeszcze nie byli w Jabłonkach, chociaż ich piękna i stateczna przyjaźń wiązała z panem Urbańskim. Jednakże oni nie dziwowali się temu opóźnieniu tak bardzo jak inni, bo z listu odebranego od dziedzica Jabłonek wiedzieli, że nie z innej przyczyny nie poczyna się tam jeszcze nic w lasach, jeno z téj, że strzelcy dzień i noc brodząc po debrach i jarach, niczego dośledzić ani obejść nie mogą. Czekali więc bracia ślubni niecierpliwie wiadomości z Jabłonek, jakoż doczekali się jój niebawem, bo w dni kilkanaście po imieninach w Berezce, pokazał się rzeczywiście zielony strzelec na koniu na dziedzińcu w Żernicy.

Tego téż dnia jeszcze wyjechali bracia ślubni na łowy. Ale nie jechali aż do samych Jabłonek, tą razą bowiem pana Urbańskiego myśllwstwo obrało sobie główne stanowisko w lasach rabskich, tuż za miasteczkiem Balogrodem leżących. Za wioską Bystrém, na małej łączce nad rzeką Hoczewką a przy samej Rabskiej drodze leżącej, był główny obóz myśliwych. Tam zdybali się bracia ślubni z wszystkimi. Tam wyszedł naprzeciw nim konno jadącym i sam pan Urbański, ale nie przywitał ich jako zwykle wesolosią i dobrą fantazyą, jeno rzekł im te słowa:

-- Dobrzeście zrobili żeście przyjechali, bo snadź największą tych łowów uciechą będzie to, że was widzę. Strzelcy moi do dziś dnia nic nie obeszl, jeżeli jeszcze óo wieczora nic się im nie pokaże, to będziemy wojować na ślepo. Ma tu gdzieś być stado dzików pomiędzy rabskimi i maniowskiemi lasami, są nawet tego gdzieniegdzie ślady, ale legowiska ich szukają moi ludzie napróżno już cały tydzień. Jednakże znajdują czy nie znajdują, poprobujemy o świ ie.

Ale nietylko z téj str ny nie wiodło się temu polowaniu. Trzeba było bowiem jeszcze i tego, że właśnie w onych dniach żenił się pan Cieszanowski w Kalnicy, więc szlachta, pociągnąwszy na weselisko, także się tutaj nie mogła postawić tak licznie, jak to mieć chciał pan Urbański. Gniéwał się téż za to dziedzic Jabłonek, a fukając przed siebie i sapiąc, jeszcze przed rozpoczęciem był w tak złym humorze, jak gdyby już cały tydzień biegł po lasach i ani zajęcia nie widział. W feralny bo téż dzień poczęte było to polowanie.

Przed wieczorem przybyli do obozu z tropowcami na sforach myśliwi i dali znać, że rzeczywiście jest stado świń na polance maniowskiej. Z jaką taką tedy nadzieją pokładli się spać myśliwi, a ledwie co północ minęła, posiadłano konie, zabrano psy i ruszył w pochód cały ten tabor łowiecki. O świecie przyszedł na naznaczone miejsce. Tam, jak zwykle, najstarszy strzelec pana Urbańskiego objął komendę i porozstawiał wszystkich na stanowiskach, stosując się w tém nie do godności myśliwego światowej, ale do reputacyi myśliwskiej. Więc starosta czy podkomorzy nie dostał dobrego miejsca, jeżeli go znano z tego, że lubił pudło-

wać, a natomiast kozaczek pana Krakusowskiego, który o zakład piętnaście razy kulę kulą wybijał, dostał najlepsze miejsce, które waga lasów takim być wskazywała.

Po wyznaczeniu i obsadzeniu stanowisk puszczone psiarnię i kilku co najpotężniejszych chłopów z widłami do legowiska. I wyruszono stado. Krzyk powstał rozgłośny, kilkadziesiąt strzałów padło po różnych stronach, rozbiegło się potem całe myśliwstwo, ale trup ani jeden nie pozostał na miejscu. Koło południa, odgłosami trąbki się wabiąc, zebrali się znowu w jedno miejsce myśliwi, a lubo mina u wszystkich była rzadka i humor nieosobliwy, jednak po przekasce nanowo rozpoczęto robotę. Ale się na nic nie zdała. Nocowano więc w lesie a o świcie znowu zaczęto, ale ten upór, wszelkim prawom myśliwskim przeciwny, nie tylko już że żadnego nie przyniósł owocu, ale nawet to przyniósł za sobą, że pan Urbański, wyczerpawszy wszelką cierpliwość do ostatka, nic nikomu nie powiedziawszy, gdzieś zniknął bez wieści. Sturdy jego powiadali że już dawno na siedem ryglów zamknięty, spać musi w Jabłonkach w swym gabinecie, bo miał zwyczaj w ten sposób unikać wstydu przed ludźmi po każdej nieudanej imprezie. Inna szlachta także, nie widząc gospodarza, ani pewnej o nim nie mając wieści, gubiła się po jednym, a który mógł i miał ochotę po temu, śpieszył prędko do siebie i przebrawszy się, biegł jeszcze na wesele do Kalnic. Około południa myśliwstwo ze psami poczęło się także gromadzić i zabiierać do domu.

Słońce właśnie co rozpoczęło było drugą połowę swego dziennego biegu, kiedy bracia ślubni zdybali się także ze sobą na rabskiej granicy. Zdybawszy się i pogadawszy na sucho o feralności dnia dzisiejszego, w którym choćby zająca albo lisa ubić każdy z nich pragnął tak jak dusznego zbawienia, a i to się żadnemu z nich nie udało, wypróżnili swoje torby i wypocząwszy cokolwiek pod starych jodeł cieniem, puścili się na dół ku karczmie rabskiej, gdzie czekały ich konie. Tam wsiadłszy na nie i strzelby jeszcze nie wystrzelone zawiesiwszy na plecach, ruszyli w milczeniu do domu.

Przebrodziwszy atoli Hoczewkę i wjechawszy na drogę wprost ku Balogrodowi wiodącą, pomimo to, że już po kilka razy o fatalności dnia i o nieszczęściu tego polowania była pomiędzy nimi mowa, zabrał jeszcze głos Osuchowski i rzekł:

— Jak długo mnie nogi noszą, jeschcem z niewystrzelonym nabojem z żadnych choćby najmniejszych łowów nie wrócę.

— Ani téż ja — odpowiedział na to zamyślony Bobowski.

— Bo już téż prawdę mówiąc — poderwał znów tamten — ja od wczoraj od południa, lubo przedeptałem kilka mil lasu, przecie za onemi dzikami już nie chodziłem, jeno pieska mego za sobą wiodąc, radbym już był nakoniec i szarakowi, gdybym go był zbywał, i jarzábka byłbym może nie pozostawił w spokoju, aleby

téz wróbel przeleciał koło mnie, tfu! jako żyję, nic podobnego mi się nie wydarzyło.

— Ani téz mnie — odrzucił zawsze jednakowym głosem Bobowski.

— Ot, tu na tym źbyrku, — rzekł znowu pan łowczyc, wskazując prawą ręką na wzgórze olszyną i inném krzewiem zarośnięte, a po prawej stronie drogi się podnoszące, — kiedyśmy z panem halickim, podtenczas Balogroda dzierzawcą, za moich lat pacholejących z flintami biegali, mało sto zajęcy sam własną ręką zabiłem; nie mógłżeby teraz choć jeden wybiegnąć?

— Ej! daj pokój, panie bracie, — odpowiedział na to pan stolnikiewicz, — kiedy zając drogę przebiegnie, niedobra to odpowiednia.

— A nie dałbym mu drogę przebiecz, jak mnie Bóg miły, bo mnie już aż prze pod piersiami, że tak próżno wracamy do domu.

Wtém w saméj rzeczy z krzaków za oném wzgórzem, które śród téj rozmowy już bracia ślubni pominęli, wysunął się zając i skacząc z wolna i rozpatrując się, wybiegł na samą drogę, zmierzając prosto ku brzegowi, który wisiał nad rzeką, a którym prowadziła ta droga. Na widok ten, obadwa bracia nie będący dalej jak na trzydzieści kroków od tego zająca, przytrzymali swe konie i jak gdyby na komendę obadwa razem się do niego zmierzzyli, ale mając już palce na cynglach, obadwa także przez chwilę powstrzymali się z strzałem, a nie czynił tego żaden przez grzeczność dla drugiego, jedno przez zarożumienie o sobie i roztropność myśliwską, która każe naprzód zawsze gorszego strzelca wypuścić, a dopiero po nim poprawić.

Ale kiedy tak każdy z nich się ze strzałem ociąga, pada nagle strzał inny z po nad drogi po prawej stronie i zając wywraca się kozłem na drodze. Przestraszeni tym niespodzianym strzałem bracia ślubni, opuścili obadwa strzelby swoje ku ziemi, i nim jeszcze mieli czas słowo przemówić do siebie, zaszeleściło nagle coś w krzakach i w tymże momencie wsunęło się z nich dziwne zjawisko. A tém zjawiskiem była cudnej urody dziewica czy niewiasta, bo tego na piérwszy rzut oka nie można było rozpoznać, siedząca na małym kasztanowatym koniku i trzymająca flintę w prawicy. Dziewica ta była rzeczywiście niepospolitej urody. Twarz jój była biała jak mléko, a na niéj jaśniał świeży, jako kwiat wiosenny, rumieniec; oczy jój czarne jak heban i szklące jak stal polerowna, w długie splecione warkocze, były owinięte nisko około głowy, na której był zgrabnie umieszczony mały węgierski kapelus. Wyjehawszy ta dziewica na drogę, zatrzymała swego konia i z zimną krwią męża dojrzałego, spojrzała tryumfującym wzrokiem na przerażonych i cale nierozumne miny mających myśliwych; poczem lufą swéj strzelby wskazawszy na wyciągnię-

tego na środku drogi zająca, z równie zimną krwią i dobitnie rzekła:

— Proszę to przyjąć odemnie w podarku, a jeśli się waszmościom zdarzy kiedy zabić zająca, to mi go oddacie.

A ledwie te słowa doleciały do uszu już do reszty ogłupiałych przyjaciół, konik kasztanowaty zebrał się w kupę i ruszywszy z kopyta, w mgnieniu oka zniknął wraz z swoją panią w zakrętach drogi, pomiędzy coraz większą olszyną!

Tymczasem bracia ślubni, kolby strzelb swoich popocięwszy o kule kulbak, stali w miejscu, poglądając to na zająca, to na siebie nawzajem, sami nie wiedząc co mówić. Bobowski nawet tak jakoś srodze się odrazu zamyślił i taką miał minę, jak gdyby się zabięrał do wiekuiatego milczenia. Ale Osuchowski, poglądnąwszy jeszcze i tu i owdzie, odezwał się do niego:

— I cóż ty na to, panie bracie?

— Zabij mnie zaraz, — odpowiedział pan Józef, — jeżeli wiem sen-li to był, albo jawa? — A tamten na to:

— Sen nie był, wzdysmy trzeźwi i żywi obadwa; ale kimby być mogła ta baba na koniu czerwonym, ani nawet pomyśleć nie umiem.

— Ani ja także, — odpowiedział Bobowski, — przecież tu niema takiej żadnej kobiety w sąsiedztwie. — I począł nad tém myśleć pan Józef.

— I mniejsza z tém zresztą, kim ona jest, — poderwał znowu pan łowczyk, — ale to gorsza, że to wstyd dla nas niepospolity i hańba ztąd będzie, kiedy się o tém dowiedzą.

— Ale i to także ważna, — dodał pan Józef, — kim ona być może?

— Już! — odpowiedział z nieukontentowaniem Stanisław, — już! pokazała się jakaś podwika, to już najważniejsza dla ciebie, kim ona? a ja powiadam że to najmniejsza, bo kimkolwiekbądź ona, zawsze relacją ma z światem, i kimkolwiekbądź ona, zawsze się to rozniesie i wiedzieć o tém będą po całej ziemi, a może i dalej jeszcze.

— Z daleka nie może ona być, — mówił dalej wpół do siebie pan Józef, — jeno albo z Balogrodu, albo z Bystrego. Ale ani tu, ani tam nikt nie mieszka, prócz ekonoma, a to oczywiście jakaś pańska dziecina.

— I na dobitkę, — ciągnął znowu swoje pan łowczyk, — potrzeba nam jeszcze było obudwom tak stracić przytomność, żeby to licho przyjąć od niej w prezencie.... nie było to, mając konia pod sobą, podskoczyć zaraz i porwawszy w rękę zająca, rzucić go przynajmniej za nią, albo choć co odpowiedzieć.

— Powiadał mnie wprawdzie Grott przed kilkoma dniami, — mówił znowu Bobowski, — że wieść jest pewna, jakoby pan Karsznicki, podkomorzy halicki, miał się wynosić z swoich dóbr ruskich do żoninego Balogroda, ale anim temu wierzył natenczas, ani

tęż teraz wierzyć mogę... ale gdyby tak było w rzeczy, a to była ich córka...

— Teraz róbże z tém co chcesz, — mruzczał dalej pan łowczyc, — głowę moję dam za to, że za dni kilka cała ziemia wieździeć będzie o tym haniebnym wypadku... Ale bo tęż i potrzeba było panu Urbańskiemu dawać to polowanie, kiedy ani jednego tropu nie znaleziono w lesie... Nie widział nas przez półtora roku i nic to nam nie szkodziło, mógł nas nie widzieć jeszcze kilka tygodni, takżeby było nic nie szkodziło.

I tak bracia ślubni, jeden wymyślając na fatalność wypadku, który im się dopięro co zdarzył, drugi zasie mozoląc sobie głowę nad odgadnieniem, kimby była ta nieznajoma łowczyni, wjechali stępą w owę obszerniejszą dolinę, na której końcu rozlega się miasteczko Balogród. Ztamtąd, po prawej stronie, na stromym brzegu rzeki stojący, widać już zamek balogrodzki. Bobowski poglądał nań kilka razy, w strzemonach się nawet podnosił, jak gdyby chciał zajrzeć do jego wnętrza i przekonać się, ażali niemasz w niem jakiego niezwyčajnego ruchu; ale było to tylko dziecinne zachcenia, droga ta bowiem, którą bracia ślubni jechali, leży tak nizko a zamek tak wysoko, że gdyby nawet i zbyt wielkie oddalenie na przeszkodzie nie stało, nicby z tej drogi nawet w dziedzińcu zamkowym dostrzedz nie było można. Jechali tedy panowie bracia stępą dalej ku miastu, a kiedy się z ratuszem na rogu rynku stojącym zrównali, Bobowski skręcił swojego konia ku ratuszowi. Co widząc, Osuchowski:

— A to dokąd, panie bracie? — zapytał.

— Rozpytam się ludzi, kim być mogła ona sławna łowczyni, — odpowiedział pan Józef i zajechał na przedsień, a za nim ciągnął się pomału pan łowczyc.

Ratusz balogrodzki, kyła to prosta gospoda, dom zajezdny murowany i Żydem osadzony, a dlatego tylko nosił nazwę ratusza, że w nim znajdowała się izba, w której w dnie targowe i jarmarczne odbywały się sądy doraźne; a ponieważ dzień dzisiejszy nie był dniem targowym ani jarmarcznym, więc nie wyszli naprzeciw gościom panowie rajce i ławnicy, ani nawet sługa sądowy, jeno Żyd stary, siwiuteńki jak gołąbek, z liwarem blaszanym w jednej, a z czapką sobolową, którą kłaniał do ziemi, w drugiej ręce. Z tym Żydem wdał się pan Bobowski w rozmowę, a kiedy się zaraz ze słów pierwszych przekonał, że pan Karsznicki jeszcze przed tygodniem z całą familią i dworem na zamek balogrodzki zjechał i że ma córkę, która jeździ na koniu i w lot strzela gołębie, poprawił się na siodle, lejc opuścił koniowi i wziął Żyda na taki egzamen, na jakim może jeszcze od kolébki nie był siwobrody arendarz. Przez cały ten czas Osuchowski, głębooko się zamyśliwszy o wstydzie i hańbie niesłuchanej, przez słabą kobietę niepospolitemu swojego czasu rycerzowi i niedawnemu haj-

damaków pogromcy zadanój, stał opodal na koniu, nic około siebie nie widząc, ni słysząc.

Jakich tam pan Józef wiadomości o balogrodzkiego zamku dziedzicach od arendarza zasięgnął, nie będziemy tutaj powtarzać, bo i na cóż nam o tém dowiadywać się u ciemnego Żyda, co nam w następnym rozdziale usta chrześcijańskie, wedle pewniejszych źródeł, opowiedzą, o tém jednak tu wspomnieć musimy, że wiadomości świeżo co zaciągnięte musiały niepomału ucieszyć stolnikowicza, kiedy skończywszy swój dyskurs i od żyda pokłon należny odebrawszy, spał z fantazyą swojego konia i obróciwszy się do Osuchowskiego, rzekł głośno i wesoło:

— Dzień to fatalny, ale i nie fatalny. Łowczyni nasza jest-to imię panna Barbara Karsznicka, podkomorzanka halicka, piękna jak anioł i zuch taki, że w kął przed nią i najpiérwsi junakowie naszego czasu.

Ale Osuchowskiemu nie udzielił się ten dobry humor stolnikowicza; przeciwnie nawet, jeżeli smutno dotąd przed siebie patrzył i nic nie mówił, to teraz taki wzrok srogi i surowy podniósł na swego brata, jak gdyby dreszcz go jaka przejęła lub zgroza. Bobowski jednak, poznawszy zaraz co go tak przestraszyło, dodał w ten moment:

— Zmycie téj hańby, która nas dopiéro trafiła, już ja biorę na siebie...

— Bodajby i tak, — odpowiedział na to pan łowczyc, — że-byś jeno nowój jakiej nie przyniósł.

— A co to, to przepraszam, — zawołał gorąco pan Józef, — nie rozumiem, czym ją kiedykolwiek przyniósł w mém życiu.

— No, no, nie zaraz tak gorąco, — rzekł na to zwolna pan łowczyc, — wszakże wiesz dobrze, że pod hańbą nie rozumiem ja co innego, jeno rzecz taką, jak on zajęć zabity. Ale przytém zawszem jeszcze ciekawy, jakim to sposobem myślisz zmyć tę fatalność, która nas spotkała.

— Nie inaczej, jedno żeby odważnie hold oddać takiej ko-bięcie, która w mężkiem rzemiośle samych mężczyzn przechodzi.

— O! o! może też i zaraz jechać na zamek.

— Zaraz nie, ale za dni kilka rozumiem że będzie rzecz słu-szna i przyzwoita. Bo gdyby i nie to, to już sama dobra sława i stateczność pana podkomorzego wymaga tego po nas, abyśmy jemu piérwój, a nie on nam, złożyli nasze uszanowanie.

— A nie tyle podkomorzemu samemu, ile podkomorzance, — rzucił Osuchowski i dodał z westchnieniem:—Oj, oj! wielki z cie-bie rozpustnik, panie Józefie! Widzę ja to już jak na dłoni, że ci rady dać nie potrafię.

Na te słowa Bobowski się zarumienił i zmieszał cokolwiek, jednakże zebrał się jeszcze i rzekł:

— Oj, oj! podobno po nad miarę rygoru u pana brata.

— Może i po nad miarę bywa czasami, ale teraz to tylko

pod sztrych, bo kiedy kto ledwie co o jednej zapomniał a już głowę sobie nabija drugą, to temu dwa słowa surowe nie zawadzą.

Usłyszawszy, czego się wcale nie spodziewał, Bobowski spojrział tylko z pod oka na swego towarzysza i zarumienił się aż wyżej uszu, co ażeby pokryć przed swoim bratem, zaproponował, ażeby kłusem przejechać onę równinę aż do skrzyżowania na drogę żernicką, — i tak już nic do siebie nie mówiąc, puścili się oba równym kłusem do domu.

V.

W wąskiej i długiej, lecz dziwnie pięknie brzegami rzeki górskiej Hoczewki wijącej się dolinie, o milę prawie od wsi Zahoczewia, bliżej ku Bieszczadowi, leży miasteczko Balogród. Z jednej strony rozciągają się nieprzebyte, czarne, jodłowe lasy, pełne dzikiego zwierza i pełne krzykliwego ptastwa nieznanego błotnym myśliwcom — po drugiej stronie wznoszą się ogromne, nieurodzajne i bezleśne góry, które świecąc całe białymi kamieniami i gliną, głowy tylko mają ukoronowane gęstą i wyniosłą buczyną.

Miasteczko Balogród, pomimo dość ruchliwego handlu, które go od niepamiętnych czasów ożywia, jest jedném z najuboższych miasteczek na całą Polskę. Składa się ono bowiem li z kilkudziesięciu domów żydowskich, pomiędzy którymi głównie figuruje ratusz murowany, będący zarazem głównym szynkiem i gospodą. Miasteczko to założenie swoje, przenoszące dawnością swoją zaledwie panowanie Władysława IV, zawdzięcza szlacheckiej i znakomitej swojego czasu familii Balów,

Balowie, pieczętujący się herbem Gozdawą, wywodzą ród swój z Gotów, przyczém radzi wspominają Bałtę, księżęcia gockiego, swoim praszczurem, inni zaś chcą wiedzieć z pewnością, że nie Balta lecz Balas, wielkiego męstwa pułkownik w wojsku Justyniana cesarza, który sześciuset Masagetom przeciwko Wandalom regimentował, był protoplastą później tak szeroko rozkrzewionego rodu. Balowie pisali się najpierw z Balowa, jako świadczy podpis Mściugi z Balowa, Burgrabi krakowskiego, stojący na liście Jana Tęczyńskiego z roku 1401; potem zaś, kiedy Mikołaj Bał pojął Żdowską dziedziczkę Nowego Tańca, pisali się z Nowego

Tańca, a dalej z Oczwi i ze Srzedni. Dopiero Piotr, podkomorzy sanocki a syn Mikołaja, założywszy miasteczko Balogród, począł się pisać z Balogrodu. Tenże Piotr także i kościół w Nowym Tańcu fundował, a franciszkański w Sanoku po jego spaleniu się własnym kosztem z gruntu odnowił. Żona jego była Tarłówna z domu, wojewodzianka lubelska, i o niej ta się w tradycyi przechowuje wiadomość, że będąc sama zawziętą heretyczką, kiedy synowi swemu Stanisławowi w dzień Wniebowzięcia N. Panny nie pozwoliła się wypowiedać, tenże ze zgryzoty maligny dostał i umarł.

Po założeniu swoim przez Piotra, podkomorzego sanockiego, Balogród odrazu stał się miasteczkiem, ale dopiero Adam Bal, trzeci syn Piotra, który był deputatem na trybunał lubelski, deputowanym do uprowiantowania wjska na Ukrainie i posłem na sejm koronacyjny w roku 1633, na tymże sejmie otrzymał na wieczne czasy przywilej na składy winne w Balogrodzie.

Balowie bywali wzrostem niewielcy ale budową silni, włosy u nich jasne, oczy siwe, nos rozszerzony. Charakter u nich zawsze bywał mocny i wytrwały, a uporem i nieodstąpieniem od tego, co przedsięwzięli, zawsze się odznaczali nad innych. Odkąd osiedli w Polsce, rycerstwem już niewiele się zajmowali, ale natomiast często posłowali na sejmy, w komisjach wojskowych i cywilnych miéwali miejsca, sądownictwo dzierżyli w rękach i nad pomnożeniem fortuny ustawicznie i skrętnie pracowali, i to im się udawało do tego stopnia, że był czas, w którym w samej sanockiej i pogranicznych ziemiach przeszło dwieście wsiów mieli. Najwybitniejszą jednak cechą tej znakomitej i silnie się pomiędzy sobą trzymającej familii było to, że jeszcze długi czas tak zawzięcie się genezeńskich nowinek dzierżyli, że zrzadka z którego z nich miał kościół katolicki pocięchę. I trwało to prawie aż do roku 1667. Bo około tego czasu dopiero Piotr Bal, dziedzic Średniej-wsi, z synami swymi Bogusławem, Janem i Stanisławem, od Boga oświecony, do prawdziwej owczarni Chrystusowej się nawrócił, kościółek modrzewiowy w Średniej-wsi do dziś dnia stojący a przez jego przodków dla nabożeństwa aryańskiego wystawiony, na katolicki poświęcił i potomków swoich na wieczne czasy w wierze świętej katolickiej utwierdził. Dalszym potomstwem Bogusława był Michał z Mokrską i Adam z Ubyszówną pożenieni synowie, córka zaś tegoż Michała, podkomorzego sanockiego, imieniem Urszula, około końca panowania Augusta II, za pana Franciszka Karsznickiego, podkomorzego halickiego wyszedłszy, Balogród za sobą wniosła w dom Karsznickich.

W tym czasie, w którym powieść się nasza toczy, był jeszcze zamek murowany w Balogrodzie, na którym siadywali jego dziedzice. Zamek ten stał na tém samym miejscu, na którym dzisiaj dwór stoi, to jest na stromém i prawie nagle obciętem wzgórzu nad samą Hoczewką, w oddaleniu więcj jak o dwa tysiące kro-

ków od miasta. Zamek był murowany z kamienia, na jedno piętro wysoki, blachą żelazną przykryty, balkon obszerny u piętra mający i frontem obrócony w dziedziniec, a podług słońca uważając, na północ. W dolnych pomieszkaniach znajdowały się tylko kuchnie, izby dla sług dworskich i dworzan, ptaszarnia i lamus. Na górze było kilkanaście pokoi, pomiędzy którymi była jedna sala ogromna, zajmująca całą ścianę zachodnią, przytykająca do baszty obszernej wprawdzie, ale jedynéj, niegdyś do zamku przybudowanej, czworograniastéj, od zachodniéj ściany zamku ku północy się wyciągającej i przeto ze zamkiem mały kąt formującej, a w téj baszcie znajdowały się dwa pokoje zawsze przez samego pana zamieszkiwane, przy których osobna się znajdowała galerya i zkład osobne wschody sprowadzały w dziedziniec.

Naprzeciw zamku a z jego długością równolegle, wyciągały się stajnie obszerne i także z kamienia murowane, a tak uformowany zamkiem i stajniami dziedziniec zamykał z jednéj strony brzeg stromy i przepaścisty do rzeki się spuszcający, a z drugiéj, to jest od wschodu, mur potężny, w którego środkiem podnosiła się brama także na piętro wysoka i zupełnie do bram w Żernicy i Żerniczce się znajdujących podobna. Mur ten był zarośnięty ogromną berberysową krzewiną, która wzdłuż niego zewnątrz dziedzińca się wyciągała i gdzieś tam go przykrywała, ale pomimo to, że mur wschodniego rogu zamku dotknąwszy, sam się już kończył, berberysowe krzaki szły jeszcze dalej w linii zupełnie prostéj ku południowi i opierały się aż o lasek jodłowy, o paręset kroków od zamku będący. Tam bowiem wyciągały się zamkowe ogrody i sady, które z jednéj strony mając swe bezpieczeństwo w stromym brzegu rzeki, z drugiéj go szukać musiały w wale ze ziemi usypanym i berberysami gęsto zarośniętym.

Tak wyglądała siedziba balogrodzkich dziedziców i każdy przyzna, że w kraju, w którym szlachta na wykwinność a nawet wygodę pomieszkania niewiele dawała i nieraz zdarzyło się milionowéj fortuny dziedziców w dworkach zdybywać drewnianych, zamek balogrodzki nad wieloma szlacheckimi rezydencjami swego czasu mógł odnosić pierwszeństwo. Pomimo to wszakże zamek ten już od dwudziestu lat blisko stał pustką zupełną. Od kiedy bowiem pan podkomorzy sanocki umarł, a panna Urszula wyszła za mąż, co prawie o jednym czasie się stało, nikt tam prócz ekonomów i ciwunów nie mieszkał. Teraz dopióro, kiedy podkomorstwo haliccy tutaj na mieszkanie zjechali, nowe życie się dla niego zaczęło: oczyszczony z chwastów i zielsk, które na jego murach przez czas spoczynku wyrosły, odświeżony i zaludniony nanowo, zaszumiał po staremu gwarem codziennym i zabłyszczał conocnemi w swych oknach światłami, ale były to już jego ostatnie błyski i ostatnia jego świetności epoka, po której z wielu swoimi rówienikami w niepowrotną już upadł ruinę.

I lepiej może zresztą że tak się stało. Lepiej że obszerny i liczny dwór wymagający zamek zawczasu się w gruzy rozsypał; bo z tych gruzów ubogie wielkich Leliwitów potomstwo postawiło sobie gorzelnię, która przysporzyła dochodów, a na fundamentach zamczyska wybudowało mały domek drewniany, który ujął wydatków. Lepiej że tak się stało, bo czyż potrafiliby oni w to, żeby z samego Balogrodu intraty utrzymać sług tyle, aby nie puste były dolne pomieszkania, koni tyle, ażeby pełne ich były stajnie; czy potrafiliby kuchnię utrzymać i piwnicę taką, ażeby zawsze nasycone i napojone były one tłumy gości, które od niepamiętnych czasów nawykły były ciągnąć na balogrodzki zamek? Nie potrafiliby nigdy, bo mając jeszcze obszerne i intratne ziemie na Rusi, ledwie w to potrafił podkomorzy halicki.

Ród Karsznickich pieczętował się herbem Leliwą, pisał się z Granowa i jednej będąc z wielkim domem Sieniawskich dzielnicy, jeżeli nie większej i świetniejszej, to pewno równiej sławy zażywał nad Dniestrem, jak Balowie nad Sanem. Początków tego domu i rozradzającego się zeń w czasach następnych potomstwa opowiadać nie będę, bo nie potrzebuje tego nikt zbierać z luźnych i z każdym dniem bardziej znikających tradycyj, ale doczyta się każdy z łatwością w księgach; o panu Franciszku to jednak wspomnieć wypada, iż prócz podkomorstwa, na którym go osadziła szlachta halicka, był jeszcze posłem na sejm konwokacyjny w roku 1733, i na tym sejmie, lubo się nie odznaczył ani cyceroniańską wymową, ani żadnym innym heroizmem obywatelskiej duszy, jednak utrzymał się ostatecznie przy prawości i cnotcie, co się już wtenczas nie wszystkim zdarzało.

Jednak nie można powiedzieć, czyby był pan Karsznicki w sejmie lub po za sejmem jakim wielkim czynem się nie odznaczył, gdyby były okoliczności po temu. Niejeden mąż wielki sercem cale nieznanym światu układał się do snu wiecznego za Sasów. A podkomorzego halickiego charakter wcale nie był codzienny. Wychowany za młodu w wielkiej surowości obyczajów przez ojca swego zaprawiany do hartów wszelkiego rodzaju, miał w sobie duszę tak silną jak opoka i umysł tak silny jak stal. Serce jego było czyste jak kryształ, a sumienie jego było jak kamień, che, jako wód głębokich powierzechnia. Kiedyś, w roku 1704, już sprostać szabli, a wiek trudom wojennym, w którym rodzicielskich. A były to czasy, w których pan Karsznicki służył w Rzeczypospolitej. Bił też się pan Karsznicki z Turkami, którzy w 60,000 nadarę, a następnie przeciwko Szwedom, którzy chali Polskę naówczas, a nakoniec, w roku 1704, służył się z Adamem Sieniawskim, który służył jej wiernie i poczciwie, na ogromnej przebiegłości, gdzie bunt uśmierzano.

dole, w które się Tatarzy po raz ostatni zapędzali natenczas, strawiwszy, kiedy już się uspokoiła Rzeczpospolita a nanowo August II na tronie osiadł, i on do domu powrócił i chcąc nabyte doświadczenia naukami podeprzeć, zasiadł nad księgami z niepospolitą pilnością. Wkrótce, prócz ze sławy i cnoty rycerskiej, z której go już poznano, na sejmikach i zjazdach ziemskich dał się poznać ze zdrowego sądu o rzeczach, ze znajomości praw i potrzeb krajowych, a w życiu sąsiedzkim z cnoty i prawości. I poczęły się zaraz na niego sypać urzędy, które go wkrótce aż na podkomorstwo wyniosły. Podkomorzym już będąc i pięćdziesiątki już prawie dochodząc, poznał się przypadkowo z podkomorzanką sarnocką i z nią się ożenił. Ożeniwszy się, zabrał żonę ze sobą w halicką ziemię, gdzie miał urząd znakomity i fortunę rozległą. Tam na usługach panom braci, na służbie Bożej i gospodarstwie strawił lat z jakie dwadzieścia. Przez ten czas Pan Bóg pobłogosławił jego małżeństwo trojgiem potomstwa. Syn najstarszy, imieniem Wincenty, służył w chorągwi pancerniej i mając niezmyśloną chęć dochrapania się jakiego starostwa, od lat kilku już konsystował na Ukrainie, gdzie jedynie jaką taką czynność mogło mieć wojsko natenczas. Córka druga z kolei jeszcze w dziecięctwie umarła, a trzecia, której na imię było Barbara, wyrosła na piękną pannę i jako prezentowała się światu, widzieliśmy to z fatalnego wypadku, który z jej ręki spotkał panów Bobowskiego i Osuchowskiego.

Pan podkomorzy miał teraz blisko już siedemdziesiąt lat wieku; średni był wzrostem, ale dobrej tuszy. Twarz jego okrągła i pełna nie nosiła jeszcze na sobie śladów podeszłej starości, jako i głowa jego, lubo przez połowę już łysa, jednak dokoła okrażona była czarnym i mało co posiwiiałym włosem; ale na umyśle pana podkomorzego znać już było i wiek i pracę. Wprawdzie umysł ten jeszcze był dosyć czerstwy, sąd jeszcze zawsze zdrowy i poważny, i zdawał się rozumniejsze od wielu młodszych i mniej sprawnych; jednakże w niektórych rzeczach, w których zdawało się, że umysł nie był już tak czysty, jak w młodości, to było już coraz bardziej niefortunne. Wobec tego, chociaż był już rozsądnym a częściej nawet mądrym, jednakże nie wiedział, że z tym wiekiem, jak się zwykło, tak i w nim się stało, jak się zwykło, że z każdym rokiem, z każdym rokiem coraz bardziej między nimi żadnego nawet nie było, jak niemniej przeto prawdziwa, w każdym czasie może nawet aż nadto surowa i cenzorem, na starość stał się coraz bardziej zająającym prawie na wszystko, ale że kiedy kto już był za jaki postę-

pek potępiony przez całą opinią publiczną, w panu Karsznickim pewno znalazł jeszcze obrońcę. Nie bronił on wprawdzie nigdy uczynku, jeżeli uczynek był zły rzeczywiście, ale na obronę ludzkiego serca i sumienia zawsze umiał coś znaleźć takiego, że wina wedle niego pójść musiała na karb przypadku i okoliczności. Umysł podejrzliwy, przysłuchujący się częstym takim pana podkomorzego mowom obronnym, niezawodnie byłby zaraz wpadł na ten domysł, że nie co innego być musi téj jego pobłażliwości przyczyną, jedno to, że ostatnimi czasy sam musiał szwankować w jakim terminie pod ciężarem okoliczności; złe języki nawet, na których nigdy na świecie nie zbywa, tak utrzymywały z pewnością i jakiemuś podobnemu zdarzeniu przypisywały owo nagłe przeniesienie się podkomorzego z urodzajnej, pięknej i bogatej ziemi w mniej urodzajną, mniej piękną i wcale ubogą; jednakże nikt datami pewnymi tego domysłu podeprzeć nie umiał, a w rzeczy samej podkomorzy się tutaj przeniósł dlatego, ażeby zrzucić ze siebie pracę i ciężar urzędu, i reszty dni swoich w spokoju i spoczynku dokonać.

Podejrzliwość zresztą każda przeciwko panu Karsznickiemu już dla niego samego musiała upadać, że kto się tylko bliżej przypatrzył jego obchodzeniu się z ludźmi i kto się pilniej przysłuchiwał jego obronom ludzkich słabości, ten widział jawnie, że cokolwiek on mówił, nie mówił z wyrachowania, nie z rozumu, lecz prosto ze serca, które zawsze i wszędzie z taką miłością i dobrocią otwierał dla wszystkich, że niepodobna było być na to nieczułym i równym afektem nie odpłacić się za to. Przy tém wszystkiém wiele jeszcze pan podkomorzy zachował przymiotów takich, które jawnie świadczyły o dawnym harcie jego duszy i takiej surowości obyczajów, jaka dawnymi czasy była pospolitym naszych ojców przymiotem, a jakiej dzisiaj nie napotykamy już nigdzie.

Pan podkomorzy był bardzo nabożny i codzień rano ze swoim księdzem kapelanem, staruszką już białowłosą, długie odmawiał paciérze, później do mszy mu służył, księgami się bawił a w dniu postne biczował się z nim pospołu i różne inne nabożne eksercycja odprawiał. Przez resztę dnia każdego, która im od modlitew, dyspozycyi gospodarskich i sądownictwa, które zawsze sam podkomorzy odprawiał, zbywała, zabawiali się obadwa starcowie ptastwem i rybami, bo obadwa tego obojga wielkimi byli amatorami. Więc przez dwóch papug cudnie piérzastych, które w dwóch ogromnych druczianych klatkach, osobnego chłopca do swéj posługi mając, stały w podkomorzego sypialni i oprócz całego szeregu wypchanych ptaków, rzędami na szafach w téjże jego sypialni stojących, były jeszcze w dolnej części zamku dwa ogromne pokoje, li tylko na rezydencją dla tego skrzydlatego narodu przeznaczone.

Więc jednéj z tych izb po wszystkich ścianach od góry do dołu wisały same klatki, różnej formy i różnego rodzaju, pełne

samych rzadkich egzemplarzów różnego ptastwa. Więc były tam papugi większe i mniejsze, był dudek czubaty i cztery sroki z szpakami, był sęp z dziobem skrzywionym, jedna sowa ordynaryjna i trzy rzadkiej piękności puhacze, był kruk czarnopióry, dzięcioł i kilka kukulek, było kilkanaście słowików, siedem szczyglów, dwa oczka wołowe i dwadzieścia kilka kanarków. Każda z tych klatek miała swój numer, każdego ptak swój przydomek, a którego gatunku było więcej egzemplarzy, to jeszcze i osobne nazwisko. Więc kruk, że był ze wszystkich najstarszy, nazywał się Nestor, puhacz, który raz podkomorzego w palec ukąsił, nazywał się Piekarski, a drugi, który się śmiał ustawicznie, miał imię Pszonki. Sroka, która własne swe dzieci wydusiła, nosiła imię Rusinowskiej, szpak, który z własnego dowcipu gadać się nauczył, nazywał się Samozwaniec, dwaj inni w ustawicznej zgodzie ze sobą żyjący, Castora i Polluksa nosili nazwy, a szczygieł, który na palec księdzu kapelanowi zlatywał i do niego szczebiotał, nosił imię Gaworka, — cała zaś izba ta nazywała się pańską komnatą.

Druga izba przez większą połowę zaplantowana była drzewami szpilkowemi, w szeregi regularne ustawionemi i tam już żadnych klatek nie było; tam wróble z trznadłami i pliszkami, jakoż i ze szczyglami, które się niczego nie mogły nauczyć, jako tałałajstwo ptasiego narodu, latały sobie swobodnie po całej izbie, w której tylko po kilku miejscach były porozstawiane naczynia z wodą, rynewkami prosto ze studni sprowadzaną i ze ziarnem, którego dwaj chłopcy, umyślnie do tego odstawieni, codziennie dosypywali. Wszystkie te ptaki nazywały się jednem ogólnem imieniem: Chłopi, a izba gospodą, i w niej niedługo zabawiać się lubił pan podkomorzy; ale natomiast w drugiej często i po kilka godzin się bawił a wieczorne jadło zawsze sam własną ręką podawał. I pięknie było widzieć, jako obadwa ci staruszkowie, pozakasywawszy rękawy, w chustki pełne mięsiwa i różnych innych specyatów zaopatrzeni, do swojej roboty zasiedli w pańskiej komnacie, a rozpieszczeni się z ptaszkami, nieraz i w komplimenta dla siebie nawzajem się zapuścili. Wielka bo téż przyjaźń była pomiędzy tymi obudwoma starcami.

Ksiądz kapelan był synem poddanego z dóbr ruskich podkomorzego, przez jego ojca jeszcze i w dom wzięty i jego sumptem do szkół stanisławowskich dopóty posyłany, dopóki się na teologią do Krakowa nie dostał. Wyświęciwszy się na księdza, kiedy podkomorzy właśnie wstępował do wojska, i on także się tam zaciągnął, i podczas całej wojny szwedzkiej był spowiednikiem téżże samej chorągwi, w której służył podkomorzy. Przez cały ten czas służby swojej był prawdziwym ulubieńcem rycerstwa, dobrodziejem i patronem pocztowych, a pociechą i przykładem dla wszystkich. I tak: codziennie rano mszę czytał chorągwi i spowiadał chętnych; przy wolnych godzinach nauki im dawał i Pismo Święte czytywał, lazarety pod swoją dyrekcją utrzymywał; w razie ucisków

lub innych niedogodności do hetmana i wyższych komend posłował, a w potrzebie nieprzyjaciół bijął zarówno z żołnierstwem. Przy nacięciu na nieprzyjaciela widziano go zawsze, z krzyżem w jednej a z szablą w drugiej ręce, na przodzie chorągwi; kiedy strwożonych i rozproszonych mordowano z łatwością, jego już nigdy nie było na placu boju, za uciekającymi on nigdy nie gonił, ale swoim pierzchającym zawsze z krzyżem zastępował na drodze i w imię Chrystusa nazad na nieprzyjaciela obracał, a z bojowiska nigdy nie ustępował pierwej, póki konających nie wypowiedział, na śmierć nie pobłogosławił, nie zebrał rannych i nie pogrzebał umarłych. Nawet kiedy nieprzyjaciel plac boju otrzymał, on szablę odpasawszy i pieszo na pobojowisko przyszedłszy, umiał się od napaści nieprzyjacielskiej uchronić i swojej powinności dopełnić. Miał też ztąd wielkie zachowanie u całej chorągwi, ale większe jeszcze, ba! miłość prawie u pana podkomorzego. I nie dziwna! jako jeszcze młodego i niedoświadczonego natenczas ochronił on go nieraz od śmierci niechybniej, raz nawet samym sobą jego życie zasłonił, a wspomagając go zawsze dobrą radą i hamując niewczesne niecierpliwiej młodości zapędy, był jakby jego aniołem stróżem przez cały czas wojny.

Te zasługi kapelana cenić i zawdzięczać umiejąc, kiedy się wojna skończyła i spokój piękny osiadł na miodem i mlekiem płynących Rzeczypospolitej niwach, podkomorzy, sam powracając do domu, zabrał kapelana ze sobą. Nie miał wiele co robić ksiądz w kawalerskim domu i rwał się zrazu niecierpliwie, chcąc koniecznie iść gdzie na parafią lub do zakonu, ale nie puścił go podkomorzy, mówiąc: Ot, siedź u mnie księżę, kiedy ci dobrze. Pomagaj mojemu plebanowi w jego obowiązkach, a kiedy się ożenię, urządę kaplicę w moim domu i zrobię cię w niej kapelanem, a drugim sobą w mojej kieszeni. I dał się ksiądz kapelan namówić, i pozostawszy natenczas w podkomorzego domu, nie opuścił aż do teraz, a przyjaźń która jeszcze w młodości pomiędzy nimi się zawiązała, z latami tak się utrwaliła, że prędejby podobno podkomorzy rozstał się był ze swoją fortuną, niżeli z tym przyjacielem.

Oprócz tak pięknego związku nierozzerwanej przyjaźni, miał jeszcze pan podkomorzy i związek drugi, który za równie piękny przykład powinien był służyć sąsiadom i całemu otaczającemu go światu. A związkiem tym pięknym było jego małżeństwo.

Pan podkomorzy nie ożenił się był z miłości. Poznał on żonę swoją przypadkowo na leskim zamku, dokąd na imieniny jw. Standnickiej, wojewodziny wołyńskiej, z jw. Potockim, starostą haličkim, na kilka dni przyjechał. Na tym festynie wraz ze wszystką co znakomitszą szlachtą z sąsiedztwa był także i pan Bał, podkomorzy sanocki, z swoją córką Urszulą. Panna była młoda natenczas i znakomitej urody, a że ród jej był niepospolity i niemałe fama za nią niosła posagi, więc kawalerowie kręcili się koło niej,

jak pszczoły około najpiękniejszej róży. Panu Karsznickiemu ani na myśli nie były konkury; miał on lat przeszło czterdzieści i serce jego, zahartowane na daleko wynioślejszych afektach, ani by się umiało było zniżyć do zniewieściałej miłości. Ale przypadek zdarzył, że panna Urszula, której umysł był także poważniejszy i stateczniejszy nad lata, nie chcąc ośmielać ani więcej jeszcze zbliżać do siebie dobijających się o jej względy młokosów, kilka razy pana podkomorzego wybrała do tańca. Nie uważał tego prawie i za nic sobie to miał pan Karsznicki, ale zauważywszy, wziął to sobie *ad notam* pan starosta halicki. Podobno nawet zakomunikował to zaraz jw. wojewodzie, a jako to panowie lubią sobie przy zdarzonej okazji krotocwilę czynić z losów szlachty pomniejszej, nie wybadawszy rzeczy, ani wyrozumiawszy statecznie obustronnych okoliczności, rozpoczęły się swaty. Z początku szła ta igraszka uporem, ale kiedy się państwo wzięli do tego na zuchwał, to tydzień cały przeciągnięto festyny na leskim zamku i taki zakończono je zaręczynami podkomorzego z podkomorzanką. W kilka tygodni potem odbyło się huczne wesele w Balogrodzie, a w kilka dni po weselu przybył ziemi halickiej dom nowy, otwarty i gościnny, jakich, prócz domów pańskich, niewiele liczyła natenczas ta ziemia.

Pomimo tego ożenienia się tak nagłego, przed którym obiedwie strony prawie całkiem nie miały czasu na to, ażeby się poznać nawzajem, a nie mówię już, aby wzajemne ku sobie obudzić afekta, piękna i bardzo stateczna miłość zawiązała się z czasem pomiędzy tém małżeństwem. Podkomorzy był zawsze dobry, delikatny i grzeczny dla swojej żony, ona zaś tak cicha, potulna, całkiem domem i modlitwami, nad którymi zawsze wiele czasu trawiła, zajęta, że podczas kiedy się byłoby znalazło aż nadto wyrozumiałości z obojgiej strony, ani on, ani ona nie mieli do pokazania jej sposobności. Wyprzedzali się zatem tylko małżonkowie oboje w grzecznościach dla siebie i wyprzedzali się tak, że przez lat dwadzieścia kilka ich szczęśliwego pożycia, ani jedna chmurka nie zamąciła ich szczęśliwego spokoju.

Małżeństwo to, jakieśmy wspomnieli powyżej, pobłogosławione było dwojgiem żyjącego potomstwa. I jaki był syn ów, który przez służbę ukraińską chciał się koniecznie dorobić starostwa, dowiemy się wtenczas, kiedy on, otrzymawszy od króla starostwo, albo utraciwszy jego otrzymania nadzieję, przyjdzie do domu rodzicielskiego i zdybie się gdzieś z nami w niniejszej powieści; ale o córce, która już się nam pokazała na oczy, możemy powiedzieć z góry, że tak sercem jak i usposobieniem umysłu dziwnie się odrodziła od obojga rodziców.

I było-li temu przyczyną spacone cokolwiek wychowanie, czy ze zbytęznego afektu pochodzące pobażanie i nieuwaga matki na nią czasu jej dzieciństwa, czy nakoniec od natury już takie jej dane przymioty, trudno dzisiaj rozstrzygnąć; to jednak

pewna, że panna Barbara, albo jak ją ojciec lubił nazywać, Barbarka, nie miała w sobie ani statecznego rozsądku i niepokalanęj w poczciwości duszy po ojcu, ani owęj rzewnej tkliwości serca, owęj cudnie pięknej pokory i pobożności, którą nad wszystkie matrony swojego czasu podnosiła się matka. Były nakoniec jeszcze i takie w nięj zachcenia i upodobania, które jakkolwiek uderzały niezwykająnością i może kogo zajmować mogły, jednak żadną miarą ani przystawały natenczas, ani dziś przystoją kobiecie.

Panna Barbara była hardzo piękną z powierzchowności. Piękność jęj wprawdzie nie uderzała ani ową regularnością rysów, ani spokojnym blaskiem pięknego oka, ani przezroczyością i alabastrową białością płci, ani nakoniec owym smętném i poczciwém uczuciem, wybijającém się w całej twarzy wyrazie, jakeimi szczyć się mogła córka zahoczewskiego dziedzica, — i twarz jęj była cery smagławęj, nos orli, oko czarne pełne blasku ale zarazem i jakiegoś więcj przeszywającego anizeli ujmującego pełne ognia, a wyraz cały ostry i surowy; jednakże przy tém wszystkiém niepospolitéj piękności nikt jęj nie mógł odmówić. Panna Barbara była w ruchach prędką i żywą, w mowie dowcipną i poznająca się prędko na rzeczy, ale porywczą i niecierpliwą we wszystkiém, jako świadczyły wieczorem porozrywane tasiemki u gorseta i sukien, a rankiem nienaturalnie rumiane jęj garderobiany policzki. Nie modliła ona się nigdy, albo bardzo rzadko, a wtenczas prędko; ksiąg nie czytała żadnych i piórem się nie bawiła, ale za to dzielnie jeździła na koniu, strzelała celnie z flinty i z pistoletu, polowanie lubiła od serca, chartami sama szcuć umiała i często ją można było widzić przechodzącą się środkiem po końskiej stajni, albo przypatrującą się ciekawie, jak się ogary pożerały przy cebrach pełnych zaparzonej ospyki. Studzy balogrodzkiego zamku, zeszedłszy się ze sługami dworów sąsiednich, dziwne rzeczy opowiadali o tęj panience. I tak, między innemi utrzymywali oni z pewnością, że jest złą, złośliwą, zawziętą, a w swęj zawziętości nieubłaganą, że sobie często coś do kogo upatrzy i niektórych ludzi znieawidza już z piérwszego wejrzenia, że jest tyranem dla stajennych i masztalerzy, i że podczas, kiedy z woli pana i pani niktby może dotychczas nie był wytuzowany, z jęj rozkazu nie mało już bizunów rozdano. Dalęj opowiadali ci słudzy, że całe gospodarstwo balogrodzkiego państwa zostaje w jęj ręku, że tylko jęj wola dzieje się w zamku, że pan ani pani nie śmia jęj się w niczém przeciwić, a ksiądz kapelan drży przed nią, jak żołnierz przed surowym hetmanem. Te opinią potwierdzali oni opowiadaniem rozmaitych wypadków, których sami byli świadkami, a czasem na swoje nieszczęście i uczestnikami; jednakże wierzyć im natenczas było niepodobną, a to o tyle bardziej, ile że każdemu wiadomo, czego nie wymyślą niedobre sług zepsutych języki. Tym plotkom także i dlatego wierzyć nie było podobną, ile że niektórzy sąsiedzi, którzy już panu podkomorzemu oddali swą czołobit-

ność na balogradzkim zamku, uważali to wprawdzie, że panna Barbara śmielej mówi przy gościach niż inne córki szlacheckie, i jej głos ma swoją pewną wagę u rozpadających się nad nią rodziców, jednakże słowa jej były zawsze tak rozumne i umiarkowane, jej uszanowanie dla rodziców tak stateczne i szczere, że przy pomocy jej urody i fortuny same tylko pochwały roznosiły się dla niej po okolicy.

Tak opisał zamek balogradzki i figury w nim mieszkające, powracamy do dalszych wypadków.

W tydzień prawie potem, kiedy panna Barbara, ustrzeliwszy braciom ślubnym przed samym nosem zająca i wiedząc o fatalnym nieudaniu się polowania (bo o każdym polowaniu musiała ona mieć zawsze jaknajprędszą i jaknajdokładniejszą relacją), uczyniła im z niego złośliwy podarunek, — po wielu pochmurnych i dżdżystych, piękny dzień jesienny zawitał. Słońce bladym promieniem oświecało opustoszoną z urodzajów ziemię, i opierając się o coraz bardziej czerniejące szpilkowe lasy, nadawało całej okolicy smutny jakiś i ponurny, ale zarazem piękny i serca niewesołe do bujnych uczuć pobudzający widok. Piękną jest ziemia w lecie, kiedy dojrzałością darów Bożych, jakoby matka o los dzieci troskliwa, otwarte ku nam wyciąga ramiona; piękniejszą jest jeszcze o wiosnie, kiedy aksamitną okryta zielenią, pełna róż i słowików, jakby dziewica balsamicznym oddechem upaja serca nasze i rozplomienia umysły, piękniejszą jest wtenczas i lubią ją taką serca młode i rozkoszy życia pragnące, lecz serca mężkie, które już wiele doświadczyły uczuć i wielu zawodów, umysły poważne, które mniej o rozkoszach, a więcej o kapłaństwie tego żywota, które pragną nie uczuć, lecz czynów, nie złudzenia, ale pożytku, wołają wicher chłodny jesienny i szelest liści żółkłych, opadających z lasów, i step gładki i pusty, na którym widać w dali pełne wzniosłych pamiątek mogiły... wołają widzieć ziemię natenczas, kiedy pracowitego i pełnego chwały dokonawszy żywota, z błogosławieństwem dzieci swych, wolnym krokiem idzie na odpoczynek, niżeli w jaszkrawe jak tanecznik ustroiwszy się szaty, rozwartemi ustyma uśmiecha się i weseli do serc naszych zakrzepłych, do wesołości, ani do śmiechu niesklonnych.

Panna Barbara także musiała umieć uczuć piękność jesieni, a konające promienie słońca i wędniejące burzany i krzewy musiała w jej sercu obudzać także myśli ważne i zajmujące, bo one-go dnia po południu stała ona jednym ramieniem o drzwi oparta na zamkowej galeryi, i patrząc wprost na lasy czarne jak skrzydła nocy, zdała się bardzo być zamyśloną. Miała ona na sobie suknię długą wełnianą turkusowego koloru, na niej tunikę czarną aksamitną, jedwabnemi pętlcami ozdobną, a podczas, gdy na jej głowie spoczywał tenże sam mały węgierski kapelusz, który miała podczas swojej przedtygodniowej przejażdżki, w rękę prawą trzymała gręcik, misternie włosieniem opleciony i ruszając usta-

wicznie tą ręką, biła się nim w koniec zgrabnego skórkowego bucika, który wyglądał z pod sukni.

Po komnacie, w której drzwiach otwartych na galeryą wiodących, stała zamyślona Barbara, tam i napowrót z szkaplerzem w rękę przechodziła się pani podkomorzyna i poglądając często na obraz Matki Najświętszej, naprzeciwko drzwi zawieszony, mówiła paciérze. Był to dzień piątkowy i pani ta miała zwyczaj przez cały dzień taki być z suchotami, nadto jeszcze wdziewała ona wtedy na siebie włosienicę i pas skórzany goździkami nabity na gołe ciało, aby ból sobie ustawiczny zadając, tém lepiej pamiętała na rany Chrystusa Pana, przez które w tenże sam dzień otrzymane świat zbawiony został od grzechu pierworodnego. Cały ten dzień prawie mając modlitwami zajęty, wystrzegala się ona starannie wszelkiej z ludźmi rozmowy, i dlatego to zapewne jej córka tak samotnie i milcząco ulokowała się na galeryi.

W pana podkomorzego pokojach, lubo równie poważnie, nie było jednak tak smutno jak tutaj. Pokoje te znajdowały się w baszcie, o którejśmy już wspomnieli, i wchodziło się do nich z owęj komnaty przez jeszcze jedną izbę niewielką, całkiem do sieni podobną i po dwóch schodach drewnianych. W pierwszej izbie stało tylko wielkie biuro dębowe, od góry niby szafa bez drzwi wyglądające, na której wierzchu stał krucyfiks wielki drewniany, a koło niego po obudwu stronach dwie trupie głowy. Na półkach dawały się widzieć księgi w grubą skórę oprawne, pomiędzy którymi na pierwszy rzut oka poznać było można Biblią przekładu księdza Wujka, kronikę Bielskiego i herby rycerstwa Bartosza Paprockiego, a kto byłby je otworzył, ten byłby się zaraz przekonał, że to były tych ksiąg najpierwsze wydania, w czasie ukazania się światu przez przodka pana podkomorzego zakupione i do dziś dnia w tym domu się przechowywujące. Dalej znachodziły się innych znakomitych autorów dzieła, w wielkim poustawiane porządku, na pulcie zaś samym leżały porozrzucane rejestra i inne papiéry, na których wierzchu odmiennym od krajowego drukiem uderzała w oczy leżąca niewielkiej objętości książka, przez króla Leszczyńskiego napisana i przez niego w wielkiej egzemplarzów ilości do kraju przysłana, k óra swojego czasu wielkiego w Polsce narobiła rumoru, a której opinie ledwie w części poważył się podnieść o lat kilkadziesiąt późniejszy sejm czteroletni. Zresztą w tej izbie było li kilka stołków, narząd obszérny do mycia i zléwania się wodą, i wschodnim gustem złożona sofa, perskim prawdziwym ale już wyszarzałym kobiercem przykryta.

W drugiej izbie, która była wiele obszérniejsza od pierwszej, najpierw po obudwóch stronach drzwi stały dwie wielkie z mosiężnego drutu zbudowane klatki, w których na kółkach, także mosiężnych, kołysały się dwie ogromne i cudnie piękne papugi. Jedna z nich była zielona i nazywała się Trawka, druga biała jak mléko nosiła nazwisko Duszy. Koło klatek stał chłopiec nie-

wielki, może dwunastoletni, po kozacku ubrany, a ten chłopiec nazywał się Bięda. I prawdziwa to bięda była, nie sam chłopiec ale jego służba, bo papugi były tak nauczone, że kiedy ten chłopiec stał przy nich, nie wolno im było ani dzioba rozdziawić, więc kiedy pan słuchał jakiego czytania, sprawy jakie załatwiał, gości miał w swym pokoju albo spał po obiedzie, to ten chłopiec musiał ciągle stać koło klatek, ażeby papugi nie wrzeszczały, a ponieważ pan, mało już gdzie wychodząc, nic innego nie robił, tylko albo słuchał czytania, albo sprawy załatwiał, albo miał gości, albo spał po obiedzie, więc chłopiec po całych dniach nieraz wystawać musiał na tym szyldwachu.

W kącie naprzeciw drzwi po lewej stronie stało wielkie dębowe łóże. Łóże to postawione było na podwyższeniu podobnym, na jakim stawiają ołtarze, pod niemi zaś stała trumna czarnym sukniem obita, na której przodzie wyszyta była białymi nićmi lub jedwabiami trupia głowa, na pokrywie krzyż a po bokach napisy: Memento mori. Nad łóżem wisiał Zbawiciel świata na krzyżu; krzyż był czarny drewniany, a ciało Chrystusowe białe z kości słoniowej; pod tym krzyżem na gwoździu poświęcanym wisiał pasek ś-go Franciszka, przez obwiązanie nim gościec i łamanie kości leczący, także starcom słabiej już ręki w bitwach na szable skuteczny. Obok łóża stało dwie szable, jedna wielka w pochwie żelaznej, dla obrony w przypadku, druga w pochwie skórzannej do codziennego ubioru. Na stole leżała para pistoletów nabitych z odwiedzionymi kurkami, zwierciadelko, krédka i woda, wszystko to poświęcane i do obrony przeciwko złych duchów albo czarów napaści służące. Dalej stało kilka sprzętów zwyczajnych, prostych jako serce ich pana i surowych jak jego obyczaj.

W tej izbie na środku, naprzeciwko drzwi otwartych na galeryą basztową wiodących, na stolku poręczowym skórzanym siedział pan podkomorzy i warsztacik trzymając przed sobą, z kręconego podwójnie szpagatu robił włóczek na ryby. Miał on kontusz na sobie czerkasowy popielatego koloru, żupan stary karmazynowy, który już w domu donaszał, bóty proste czerwone i pas pojedynczy siatkowy, a tylko po furazerce okrągłej aksamitnej, suto złotem bramowanej, którą dla łysiny swój zawsze nosił na głowie i nawet przy gościach nie lubił zdejmować, można było poznać, że w nim więcej coś siedzi, niż pospolity szlachcic z zagonu, tak na nim cały ubiór był prosty i pospolity.

O dwa kroki od niego, na krzesle dziwnego kroju, było bowiem więcej jak o pół łokcia wyższym nad inne i miało pulpity przymocowany do siebie, siedział ksiądz kapelan, wielką księgę trzymając przed sobą i czasem w niej czytając, to znów z podkomorzym rozmową się zabawiając. Księgą tą w której kapelan nie mógł się na dobre rozczytać, było niedawno co wyszłe i dziwne zjawisko swojego czasu. Księga ta, którą podkomorzemu z miejsca jej druku, to jest ze Lwowa, dla jej nadzwyczajnej kurtozyi

przysłano, zadziwiła już samym tytułem, stało bowiem na pierwszej jej kartce napisano: „Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej Scyencyi pełna... mądrym dla memoryału, idiotom dla nauki, politykom dla rozrywki erygowana... Co wszystko stało się wielką pracą i kosztem Autora tu aenigmatice wyrażonego: Imię wiosna zaczyna, Wielkiej Nocy blisko, głowę w piwie i miodzie zawraca Nazwisko. To jest przez księdza Benedykta Chmielowskiego, dziekana Rohatyńskiego, Firlejowskiego i Podkamienieckiego Pastéra.”

Jest w tej książce wszystko, o czém tylko myśl ludzka zamaryć może, i rzeczywiście dziwić się trzeba z jednej strony, jakiej pracy użyć musiał ks. Chmielowski, ażeby tyle cytat z tylu różnych autorów, z drugiej zaś jak po takiej zmundnej pracy nie doprowadził nawet do tego, ażeby gdzie choć dwa po sobie następujące wiersze miały pomiędzy sobą jakikolwiek związek. Istny to dom waryatów, zamieszkaný nie przez, ludzi ale przez pomysły. Ostatni też to plód owego zepsutego w literaturze polskiej smaku, który począwszy się już od Zygmunta III, trwał na nieszczęście narodu aż do początków panowania Stanisława Augusta, w którym to czasie głowami podobnemi, jak dziekana rohatyńskiego, w zupełną niedorzeczność i brak wszelkiego zdrowego sensu przeszedłszy, wywołał sobie pierwsze odgłosy później tak sławnych stanisławowskich pisarzy. Nie czuli atoli tego upośledzenia swego żyjący za Sasów Polacy, i książka dziekana Rohatyńskiego rozeszła się szybko po Polsce, a podczas, gdy jedni li z niedowierzaniem kiwali na nią głowami, co i tak już było dowodem wielkiej literackiej odwagi na owe czasy, drudzy bawili się w najlepsze niezdartnemi conceptami i unosili się nad nieszczęśliwemi kalamburami, Przeczytać ją przynajmniej każdy światlejszy miał sobie za obowiązek, dlatego ksiądz kapelan, przeczytawszy ją pierwszą u siebie od deski do deski, stał już teraz na trzecim rozdziale i czytał w ten sens:

— „Tytuł treści tej księgi. Jaka wiara, taka ofiara. Wzywanie bez pomocy. Wołanie na Głuchów, gadanie na Niemych, albo Scyencya o Ofiarach pogańskich. O Świętach, Solenizacyach, tudzież o Rzeczach Bożków opiece powierzonych. W jakowej u Pogan rewerencyi byli Bożkowie i ich ofiary, opisuje *Cicero lib. 2. de Legibus. Ad Dives caste adeunto, pietatem adhibento. Qui secus facit, Deus ipsa vinaex erit. Impius ne adesto donis placare inam Deorum.* Tibullus wspomina, z jaką nienawiścią do oltarzów przystępywać należało: *Discedat ab aris: Cui sulit hesterna gaudia nocte Venus: Casta placent superis.* Toż samo twierdzi Hesiodus: *Mane Jovi ac reliquis Superis libare caveto illotis manibus: Dii sortida Saera recusant* i t. d.”

Ale z niechęcią to czytał i prawie tylko przez zęby cedził ksiądz kapelan, co kiedy spostrzegł pan podkomorzy, przerwał mu i rzekł:

— Głowę moję daję, że już ci się coś nie podobało w tój książce, bo czytasz jakby najęty. — A ksiądz na to:

— Trudno mi się to ma podobać, jw. panie, co jest głupstwem wierutném; — tak bowiem tytułował pomimo tyloletniej przyjaźni, ksiądz kapelan podkomorzego, wyjąwszy wtenczas, kiedy go za co z góry nabięrał.

— No, jakże to? — rzekł podkomorzy, nie przerywając swojej roboty, — powiedz-no mi, mój księże, boś ty człek mądry i znasz się lepiej na książkach, niżeli ja na ptakach.

— Ej! widzisz jw. pan lepiej wszelką niedorzeczność w tój książce niżeli ja, bo masz zdrowy rozum i oko czyste! Na co tu mnie co powiadać?

— Jak mnie Bóg miły, ja nic nie widzę, — odpowiedział na to z uśmiechem pan podkomorzy, — jedna książka jak druga, ten pisze to a ten owo, a że nie wszyscy mają jednakowe *facultates* i jednakowe *ingenium*, jako też że i każdy nie o jednej pisze materji, więc też i nie każdego jednakowo wywiązuje się z swego *proposito*. Jednak jeżeli któren trochę słabiej rzecz napisze od drugiego, niekoniecznie zaraz za to kamieniem na niego, bo to nie każdemu być Ovidiuszem albo Seneką. Jakoż dobrze powiada w tym sensie więsz łaciński: *Qui nihil aedificas, aliena quid improbe carpis? Haec damnare cave, vel meliora strue.*

— Nie zaraz ja też kamieniem na Aten autora, — zawołał znowu w głos ksiądz kapelan, bo i co mnie do tego, że się tam kto porwie z motyką na słońce i śmiech ściągnie na siebie; ale tego mnie żal serdeczny, że tym autorem jest ksiądz mszalny i licznój parafii pasterz, bo przez takie rzeczy to jeno jest upadek i ruina powagi kościelnej i wiary przენajświętszej. Ksiądz nie jest to człek wolny, który jako szlachcic ziemianin może dogodzić swojej fantazyi i nawet co godzina i co chwila głupstwo powiedzieć bez czyjéjkolwiek szkody, ale na niego obrócone są oczy wielkiej gromady i wiele jest ludzi takich, którzy każde słowo księdza biorą tak, jakby wychodziło z kościoła: więc ksiądz albo mądrze powiadać, albo milczeć powinien. Oj! nie głupi są rabini żydowscy że tak milczą ustawicznie! — dodał ksiądz z westchnieniem.

— Może ty masz i prawdę w tém co powiadasz, — rzekł znów podkomorzy, — i zapewne niedobrze to jest, kiedy się księdzu uda co głupio powiedzieć; ale znowu w tych Atenach nie widzę ja nic tak osobliwie głupiego.

— Bo jw. pan nie czytałeś całości, — odpowiedział ksiądz na to, — a sąd *ex parte* rzadko kiedy *convalet*; jakoż i tutaj jeszcze się to tak dobitnie nie pokazuje, ale przeczytawszy dalsze *capita*, pokaże się to aż nadto jawnie. A już o ks. Chmielowskim nie potrzeba nic więcej powiadać, jeno to, że w tój książce swojej chce ludzi wszystkiego nauczyć, a przeciw wiadoma rzecz, że Pan Bóg tak nie usposobił człowieka, aby mógł wszystkie *sciencye*, których taka moc jest teraz na świecie, sam doskonale zrozumieć, a nie

dopieroż jeszcze wszystkiego drugich nauczać. Ale niepotrzeba i tego, bo przeczytawszy co on pisze o Arce Noego, i Gigantach albo Olbrzymach, o Anacephalach *alias* bez głowy, o Cynocephalach *alias* psią głowę mających, i o innych dziwną formę mających ludziach, niepotrzeba się długo namyślać nad ferowaniem o jego głowie opinii.

— A kiedy on tak o wszystkiém pisze,—zarzucił pan podkomorzy, — to może on co pisze także o ptakach albo o rybach?

— Pisze.

— Czytajże to, księżu, a kiedy powiadasz, że niedorzeczny, to tam go pewno złapiemy.

— Nie trzeba go długo łapać, — odpowiedział kapelan, — bo z pierwszych słów zaraz widać, że ani wyobrażenia niema o rzeczy.

— Ale czytajno, czytaj.

Ksiądz zatem przewróciwszy kart kilkadziesiąt, tak począł:

— „Tytuł szesnasty téj księgi. Matnia, na ryby dostatnia. Wór, na ryby wybór, Sadzawka ryb morskich i rzecznych pełna, lub o wodnych zwierzętach naturalna Scyencya. Po ptastwie kładę ryby, bo to oboje z jednego wodnego od Boga kreowane elementu.”

— Jak, jak? — przerwał podkomorzy, — ptastwo z jednego kreowane elementu?

— No widzisz jw. pan, — rzekł ksiądz kapelan.

— Czytajże dalej.

— „Napływałem się po różnych autorach,—czytał ksiądz dalej, — com osobliwszego pomiędzy rybami morskimi i rzeczniemi ułowił, tobie ofiaruję, czytelniku. Z wydrą i szczuką ich nie pożeram, lecz wybieram dla ciebie co lepsze do zadziwienia, nie jedzenia.”

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się podkomorzy.

— „Ryb wszystkich *species*, — czytał ksiądz dalej, — św. Hieronim wylicza z *Oppiana*, uczonego poety cylickiego, sto pięćdziesiąt i trzy.”

— Wiele, wiele?

— Sto pięćdziesiąt i trzy.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się znów podkomorzy.

Tymczasem panna Barbara, znudzwszy się w samotności na galerji, weszła do pokojów ojca, a widząc księdza kapelana z dużą księgą na pulcie i ojca śmiejącego się słysząc, przerwała starcom ich krytyczne Nowych Aten badania, zaraz na wstępie pytając:

— Cóż to za książkę tak bardzo zabawną ichmość panowie czytacie?

— To są nowe Ateny, moja córeczko, — odpowiedział jéj na to ojciec z dobrocią, — książka niedawno co wydrukowana we Lwowie, w której znajduje się rzecz o wszystkiém, czego tylko ciekawość ludzkiego umysłu zapragnąć może.

— A jest tam co o psach i o koniach? — spytała Barbarka.

— Jest tam co o psach i o koniach? — powtórzył ojciec, obracając się do księdza kapelana.

— Jest o psach ale o morskich, — odpowiedział ksiądz — i jest coś o hipopotamach, ale o onych u nas pospolitych zwierzętach nic nie znalazłem.

— Jest co o łowach? — zapytała znowu panienka.

— Nic nie znalazłem, — odpowiedział ksiądz.

— Jest co o gospodarstwie, o uprawie roli, o krawiectwie, o haftach, o garderobie kobięcój?

— Nie, jak mnie Bóg miły, nic o tém niema, — odpowiedział ksiądz, z pewnem zadziwieniem spoglądając na podkomorzego.

— Więc za cóż powiadacie, że wszystko tam jest czego dusza zapragnie, — zarzuciła Barbarka — kiedy tam właśnie tego wszystkiego niema czego dusza zapragnie?

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się podkomorzy, — oto nas zapędziła w matnię mospanie! Chodźże tu, Barbareczko, niech cię pocałuję za to.

I kiedy córka się przybliżyła do niego, wypuścił podkomorzy na chwilę z rąk swoją robotę i pocałowawszy Barbarkę w czoło, dodał z zadowoleniem:

— Taki ja zawsze powiadam, że najlepsza to księga, którą Pan Bóg człowiekowi w głowę wkłada przy urodzeniu; jeżeli kto z niej nic nie wydobędzie, to snać już napróżno szukać będzie czego po innych.

— Oj! to prawdę ojciec powiedział, — dorzuciła Barbarka, trzepiąc pręcikiem w włoczek ojcowski, — kiedy czyj łeb z urodzenia zabity, to na nic się nie przyda żadna nauka. Mam tego przekonanie na mojej Józefce: kołek z niej był i kołkiem już zostanie na wieki.

— Nie przeczę ja tego, moja duszo kochana, — rzekł na to z pewną nieśmiałością pan podkomorzy, — coś teraz powiedziała, ale protestuje się *fortiter* przeciwko wyrazom, którycheś do objawienia twojej opinii użyła.

— Ale że ojciec musi się zawsze protestować przeciwko wyrazom! — zawołała w tém miejscu z porywcznością Barbarka, — przecież ja umiem po polsku.

— Poczekajno. Umiesz, ja temu nie przeczę; ale tego może nie wiesz, że kiedy mężczyzna powie łeb albo kołek, albo nawet i co prostszego jeszcze, to jemu ujdzie, i nikt mu tego za złe nie weźmie; ale białogłowa, że nie mówię już panna, stworzenie takie w którym każdy rad szuka jaknajwiększej subtelności i delikatności tak w sentymentach, jako i w wyrażeniu, nieosobliwie się zaleca przytomnym, a nawet często ich odraża od siebie, kiedy użyje akcji albo słowa takiego, które od wszystkich ludzi, edukacją posiadających, dawno już są pozostawione gminowi.

— Ej! jeszcze tam będę dobiierać wyrazów! — zawołała na to Barbarka, która przez cały czas ojcowskiej perory coraz częściej trzepiąc swym prętem, coraz większej niecierpliwości dawała dowód. — Kiedy się powie zrozumiale i jasno, to dosyć.

— Dosyć dlatego, żeby być zrozumianą, — ciągnął dalej pan zamku, — ale nie dosyć na to, aby się swoim słuchaczom podobać. A panna, moja duszo kochana, powinna zawsze pamiętać o tém, że cała jój przyszłość zależy od tego, jak się umie podobać.

— Mam się komu podobać, to i tak się podobam.

— Nie podobasz się, — rzekł stanowczo pan podkomorzy, — bo wiedz o tém, że nie jedna panna dożyła już wigilii swojego ślubu, a przez jakąś nieprzyzwoitość, często li z nieuwagi pochodzącą, ślubu samego nigdy się już nie doczekała. Świat, moje dziecko, nie jest takim, jakim się tobie wydaje, a jeżeli ty chcesz mieć swoją wolę, to bądź pewną, że ją zarówno każdy mieć pragnie, a już osobiwie panowie kawalerowie. I nie rozumiem, czémby pana konkurenta swego prędzej odstręczyć mogła, jak kiedyby się wydała z tém, że lubi to, kiedy się wszystko koło niej dzieje po jój woli. Ja sam się przyznaję do tego, że nigdybym się z twoją matką był nie ożenił, aniby mnie do tego namówili sami monarchowie a nie tylko panowie, gdybym się był naprzód nie przekonał o tém, że jest w niej potulność i pokora.

W tém miejscu Barbarka uśmiechnęła się ironicznie, a pan podkomorzy powiadał dalej:

— I nie dlatego to mi się w niej podobało, ażebym sobie już naprzód układał z téj jój potulności w późniejszych czasach niepoczciwie korzystać, ale dlatego żem wiedział, że tylko niewiastę skromną i pokorną można dopuścić do połowicy domowych rządów, bo nieskromną trzeba trzymać ciągle na cuglach.

— Co téż ojciec powiada! — zawołała Barbarka.

— Już ja dobrze powiadam, nieprawda, księżę kapelanie? — rzekł podkomorzy, mrugając milczkiem na księdza.

— Dobrze i prawdziwie, jakbyś jw. pan z moich ust słowa wyjmował, — odpowiedział kapelan, zamykając Nowe Ateny, — nie-masz jak skromność i pokora w niewieście...

A podczas kiedy podkomorzy znowu mrugał na niego, dając mu tém znak, iżby prowadził rzecz swoją dalej, ksiądz tak powiadał:

— Pięknie to jest bezwątpienia, kiedy białogłowa ma umysł czysty i zdrowy jak woda z górskiego źródła; pięknie, kiedy ma bystrość w pojmovaniu i przytomność w sądzeniu; nie wadzi nawet, kiedy ma ów rozum potężny, który najlepiej przystaje męczynom; ale jeżeli przy tém wszystkiém nie-masz skromności i pokory w jój sercu, jeżeli jest upór i zarozumienie i chęć podbijania sobie umysłów, a niewolenia do siebie serc ludzkich, to zaiste na nic to się nie przydało.

— No i cóż dalej? — zapytała Barbarka, która widocznie tylko z nudów słuchała téj perory.

— Niewiasta taka nie odpowie nigdy przeznaczeniu, do jakiego Pan Bóg ją stworzył. Bo Pan Bóg, stwarzając rodzaj ludzki i rozdzielając go płcią na dwie odrębne *species*...

— Uczynił to na to, — poderwała z porywcznością Barbarka, — ażeby już dalej nie potrzebował ulepiac ludzi z gliny, jeno ażeby ludzki rodzaj sam się propagował dalej. I cóż mi waszmość powiadasz takie rzeczy.

Na te słowa, siwowłosy kapelan, lubo do takich frazesów ustami téj panny wypowiedanych zapewne już musiał być przyzwyczajony, jednak zdumiał się tak, że aż się w tył posunął na krzesło i poglądnawszy jéj w oczy, mruknął sobie pod nosem:

— No! w kogo to się wdało, jak mnie Bóg miły, trudno odgadnąć.

Zdaje się, że za tę uwagę uczynioną tak głośno, że ją wszyscy w téj izbie będący słyszeli, kapelan byłby usłyszał jeszcze co ciekawszego od panny Barbary, bo już się nachyliła ku niemu i wzrok srogi w niego wpatrzywszy, usta otworzyła na poły, ale wtém podkomorzy, zatrzymawszy obiedwie ręce nieruchomie na swojej robocie i wpatrzywszy się mocno w bramę, rzekł głośno:

— Czy mi się zdaje, czy rzeczywiście jacyś jezdni pokazują się w bramie? popatrz-no, moje dziecko, bo ja już nie dowidzę.

Na to Barbarka zapomniawszy o powetowaniu obrazu przez księdza jéj zadanéj, wychyliła się w galeryę i wyglądając na dziedziniec z coraz większym zajęciem, mówiła zrazu wolno:

— A rzeczywiście... ktoś tu zajeżdża,—a potem nagle i z pewnym pomieszaniem: — Ach to Bobowski i Osuchowski!

— Jakto? — zapytał ojciec, nie ruszając się z miejsca, ci sami, którymeś przed tygodniem przed samym nosem ustrzelili zająca?

— Ci sami! — zawołała coraz więcej się mieszając, Barbarka, — cóż tu robić, mój ojczu?

— Widzisz Semiramido! — rzekł na to spokojnie pan podkomorzy, — mądrą jesteś i dokazujesz, a cóżbyś poczęła teraz, gdyby nie było przy tobie mężczyzny?

Na te słowa ojcowskie zastanowiła się cokolwiek córka, ale wkrótce odpowiedziała głosem pełnym i stanowczym:

— Owa! dałabym sobie i sama radę.— Na to podkomorzy:

— Może niebardzo, bo kto wie, po co oni tu przyjechali: a nuż obrażeni twoim prezentem, żądać będą, ażeby im za to dać satysfakcyą? ha? więc cóż natenczas?

— Ha! tobym się strzelała z nimi na pistolety.

— Masz tam teraz, — rzekł podkomorzy, — jużby się i strzelała!... Ale idź dziecko do matki, my tam do was przyjdziemy.

Posłuszna tą razą córka natychmiast wyniosła się z sypialni ojcowskiej, a wtém dały się słyszeć kroki idących gości

po wschodach, wprost na piętro baszty wiodących, pomiędzy którymi, kto je znał, nietrudno było rozróżnić ciężkiego stąpania olbrzymiego Osuchowskiego. Niebawem też weszli do pierwszej izby obadwa kawalerowie, pięknie i bogato ubrani i z wielką grzecznością się kłaniający. Podkomorzy dał się wprawdzie uprzedzić tym sąsiadom swoim odwiedzinami, ale nie dał im się uprzedzić w powitaniu; jakoż zawczasu powstawszy od swojej roboty i na ukłony z powagą starcowi przystającą, odpowiedziałwszy, nie dał im ani słowa wymówić i sam zaczął w ten sposób:

— Witam, witam, od serca witam waszmościów i jak najsołenniej przepraszam za to, że się wam dał uprzedzić w obowiązkach sąsiedzkich. Ale mam nadzieję że starcowi, bodaj czy nie przenoszącemu wiekiem waszych rodziców, przebaczone to będzie w waszych pocziwych sercach.

— Mości dobrodzieju, nie mieliśmy do tego najmniejszej pretensyi, — odpowiedział na to Bobowski.

Tymczasem podkomorzy, sam przysunawszy dwa krzesła, czerwoną w złote kwiaty upstrzoną skórą obite, i usadowiwszy na nich swych gości, tak znowu mówił:

— Więc tedy, jak się dowiaduję od mojej córki, która miała honor przypadkowo poznać waszmościów...

Na te słowa zarumienili się obadwa bracia aż po za uszy, ale podkomorzy złagodziwszy mowę swoją najpocziwszym na ziemi uśmiechem, naprawił to jakoś.

— Przeprawdę poznać waszmościów—mówił dalej pan podkomorzy — że jeden z was jest Bobowski, drugi zaś Osuchowski. Nie widziałem was nigdy na życiu, a jednak poważę się zgadnąć, że ten musi być Osuchowski.

To mówiąc, pokłonił się panu łowczycowi, który pokłoniwszy się wzajem, odpowiedział.

— Tak jest, panie podkomorzy dobrodzieju, ja jestem Osuchowski.

— A widzisz. Ojca waszmości, panie Bobowski — mówił dalej pan podkomorzy, obracając się do pana Józefa — miałem honor znać bardzo blisko. Winien jemu nawet byłem wiele wdzięczności, był bowiem tak łaskaw, że w moim imieniu gładziuteńko jak gdyby po mydle załagodził pretensye, z jakimi po śmierci ojca mojej żony wyjechał pan Gogolewski i namalował na masę balowską. Listy pana stolnika, które do mnie pisał był w tej materii, dotychczas, jako miłą jego przyjaźni pamiątkę, chowana w moim biurku, a nie miawszy nigdy okazji wywdzięczenia się jemu za tę przyjacielską usługę, chowam wdzięczność w mém sercu i niewypowiedzianie miło mi jest, że ją już ze sobą poniosę do onego mieszkania, które owo widzicie pod moim łóżkiem. Ale z twoim ojcem, panie łowczycu — ciągnął dalej podkomorzy, obra-

cając mowę swoją do Osuchowskiego — wiele lat w ścisłej się przeżyło przyjaźni.

— Jakto? — zawołał na to z serdecznym uczuciem pan łowczyc, a cała piękność tkliwej miłości synowskiej zajaśniała, jak gdyby promień słońca, na jego zwykle surowej twarzy — jakto? waszmość pan znałeś mojego ojca?... i dodał smutno: — mnie się nie dostało to szczęście, ja już nie pamiętam nawet i jego twarzy.

— O znałem! — odpowiedział podkomorzy — i w wielkiej z panem Fryderykiem żyłem przyjaźni. Kilka lat z sobą służyliśmy w jednej chorągwi, kilkanaście batalii odprawiliśmy razem, a podczas wojny z Turkami nawet pod jednym sypialiśmy namiotem. Był to mąż wielkiego serca i wspaniałego umysłu, pierwszy rycerz w całej chorągwi i pomnę, że dla mnie był zawsze wzorem który ciągle naśladowałem, a którego nigdy dosięgnąć nie mogłem. O odwadze takiej, jaką się nad wszystkich dystygnował nieboszczyk ojciec, niebawem może ludzie i pojęcia mieć nie będą, a przecie ja jój świadkiem byłem po tyle razy. Ta też odwaga jego zabrała go z tego świata tak młodo. O kilkanaście kroków stałem od niego, kiedy na mur się wdrapawszy, kulą ugodzony w samo skronie, padł i ducha wyzionął. Żal wielki ogarnął nas wszystkich, chorągiew cała przez ten dzień była jak ścięta, a długo jeszcze potem nie mogliśmy sobie dać wiary, że już niemasz Osuchowskiego.

Pan łowczyc, wśród tej całej mowy podkomorzego, która była opowiadana pomału i dobitnie, ciężkie wydobywał ze siebie westchnienia, a kiedy pan Karsznicki zakończył słowy, że już niemasz Osuchowskiego: dwie łzy jak perły potoczyły się po męzkim licu pana Stanisława i utonęły w jego sumiastych wąsach. Co widząc, podkomorzy także łzę otarł z oka i ze szczérą serdecznością podawszy rękę panu Stanisławowi, ścisnął go aż powyżej kostki i rzekł, łkając:

— Bodaj się tacy synowie rodzili nam wszystkim.

Tymczasem ksiądz kapelan, który siedział wprost naprzeciwko Osuchowskiego, jednak przez siedzącego pomiędzy nimi podkomorzego większą połowę figury przez tamtego miał zasłonioną, ciekawością zdjęty, wstał z swego krzesła i przypatrując się dobrze Osuchowskiemu, rzekł dosyć głośno:

— A jaki podobny do pana Fryderyka!

Osuchowski spojrział z pod oka na kapelana, a kiedy wyrazu zadziwienia nie mógł utaić na swojej twarzy, tak że go dostrzegł podkomorzy halicki, rzekł tenże do niego:

— Bo to jest spowiednik, ba! prawdziwy towarzysz chorągwi, w której służył ojciec waszmości. — Na to pan łowczyc do księdza:

— Więc i jegomość dobrodziej znałeś mojego ojca?

— Czy go znalazłem? — rzekł ksiądz poważnie — te ręce, które waszmość tu widzisz, uniosły go z pod onego niefortunnego muru, pod którym ducha wyzionął, a te usta wymawiały ostatnie *Requiem aeternam* nad jego grobem.

Osuchowskiemu już lży się potokiem lały po obudwóch policzkach, a kiedy podkomorzy dodał jeszcze do tego:

— Powiedźże, księżu, przecie mowę potem miałeś w obozie, w której coś dużo było o panu Fryderyku; — to Osuchowski już się dalej powstrzymać nie mógł i powstawszy z swego siedzenia, poszedł ku oknu i tam w głos szlochał jak dziecko.

Żał ten synowski, a raczej hołd serdeczny, łzami temi oddawany ceniom ojcowskim, udzielił się zaraz wszystkim i przez chwil kilka potem trwało w całej izbie uroczyste milczenie; jednakże kiedy pan łowczyz długo od okna nie wracał, podkomorzy zaczął nową z panem stolnikowiczem rozmowę, a bojąc się jeszcze i tego do łez doprowadzić, nie wspominał mu już nic o nieboszczyku stolniku, jeno jął się wypytywać o on związek braterski, który trwał pomiędzy tymi obudwoma kawalerami, a którego sława znana była po części i na ziemi halickiej. A kiedy pan Józef ze wszelką skromnością i przystojnością opowiedział już wszystko, coby godne było wspomnienia, podkomorzy się trochę zamyślił, a ksiądz kapelan, do niego mowę zwróciwszy, tak zaczął:

— Dziwne to rzeczy na tym świecie, jw. panie. Nie chcę ja nic przez to ujmować trafności i cności, jaka się w takich związkach, *generaliter* wzięwszy, znajdują, ale trudno nie wspomnieć, że podczas, kiedy dziś jeden taki związek już wszystkich w oczy uderza i do częstego dyskursu staje się materyą, kiedyśmy się bili przeciwko Szwedom, w samej naszej chorągwi było trzy takie związki i nikt o nich nie wiedział.

— A, przepraszam, — odezwał się na to pan Karsznicki, — o związku panów Jankowskiego i Drohostajskiego cały świat wiedział.

— A dowiedział się świat cały, to prawda, — odpowiedział kapelan, — ale aż wtenczas, kiedy Jankowskiego, przez Szwedów do niewoli wziętego, Drohostajski nocą kilkadziesiąt szabel wyprowadziwszy z obozu i na obóz szwedzki napadłszy, z tój niewoli wy dobył i na drugi dzień za to na rozkaz hetmana o mało co rozstrzelanym nie został.

— A to prawda, — dodał podkomorzy, — i wtenczas się to ich afekta wydały.

— A waszmość, — zapytał ksiądz Bobowskiego, nie byliście jeszcze w żadnym takim terminie, gdzieby jednemu za drugiego gardła nadstawić wypadało.

— Niemasz mości dobrodzieju, dzisiaj okazyi po temu, — odpowiedział na to pan stolnikowicz, — na świecie cicho, o wojnie ani słyhać, zkądżeby się wzięło niebezpieczeństwo?

— A jednakże nam powiadano, — zarzucił pan podkomorzy, — że jeden z was był już w bisurmańskiej niewoli i wykupiony z niej przez drugiego.

— Ja to byłem tam nieszczęśliwy, odpowiedział pan łowczyc, powracając już wyplakany od okna, — który się w pogańskie ręce dostałem i o mało tam już żywota mego nie położyłem.

— No, proszę waszmości, powiedźże nam, jak to było, — rzekł znowu pan podkomorzy, — bo my obadwa z księdzem kapelanem wojowaliśmy z Turkami, ja nawet od ich strzały mam pamiątkę na lewém ramieniu, ale żadnemu z nas, ba! nawet żadnemu z naszych towarzyszy nie zdarzyło się zakosztować niewoli.

Osuchowski rad nierad musiał się nastroić i opowiadać dzieje swojej wojny i niewoli. Nie byłby on tego dla nikogo innego uczynił, i podobno, jak całe gremium sanockiej szlachty i przyjaciół i rówieśników, nikt jeszcze tej spowiedzi na swoje szczęście od niego nie słyszał; ale podkomorzy przez wyznanie przyjaźni dla jego ojca tak go zniewolił dla siebie, że nie tylko opowiadania, ale nawet już ofiary żadnej nie było, którejby pan łowczyc dla przyjaciela swojego ojca był w stanie odmówić. Podkomorzy tém krótkim o panu Fryderyku wspomnieniem już sobie jego syna kupił na wieczne czasy.

Więc opowiadał pan łowczyc długo i szeroko wszystko, co tylko do tej wojny i niewoli należało, a kiedy mu fantazya przyszła, to i co takiego, co całkiem tam nie należało, a że opowiadający nie był w sztuce krasomówczej tak bardzo biegły i więcej lubiąc poetów niż oratorów, zamiast ciceroniańskie: *brave iter per exempla*, raczej horacyuszowskie: *bravis esse curo, obscurus fio*, miał na pamięci; więc nietylko opowiadanie jego było długie, ale i trochę rozwlekłe i cokolwiek nudne. Bobowski, człek domyślniejszy i bystrzejszego pojęcia, w krótkim już czasie poznał, że podkomorzego i kapelana zaczyna już trochę nudzić pana łowczyca relacya, jakoż z tej przyczyny począł się tam i sam kręcić na swoim krześle, a podczas gdy po każdym odchrząknięciu i nowego peryodu zaczęciu przez oratora, jego twarz się coraz potężniejszym oblęwała rumieńcem, byłby zaraz konia z rzędem darował za to, gdyby był mógł tylko dwa słowa powiedzieć Osuchowskiemu tak, aby ich nikt nie słyszał. Ale podkomorzy długo i bardzo długo z najprzykładniejszą cierpliwością słuchał opowiadającego, po kilka razy nawet z początku za pozwoleniem przerywał mu mowę, aby się jeszcze raz o jakiś szczegół zapytać, i cierpliwość jego trwała dopóty, póki dzień jasny bielił wszystkie okna podkomorskiej sypialni; ale kiedy słońce zachodzące czerwonym płomieniem uderzyło w szyby nad przepaściami Hoczewki wiszące, i kiedy okno wychodzące w dziedziniec tak już poszarzało, jakby szyby w niém były żelazne, a pan łowczyc dopiero po raz pierwszy na hajdamaków uderzył, — podkomorzy także się począł potrochę kręcić i oglądać. Bobowski to zauwa-

żył i na twazy jego jeszcze potężniejsze wystąpiły rumieńce... tymczasem słoneczne dromienie coraz bardziej czerwieniąc, doprowadziły Osuchowskiego do tego, że po raz wtóry na hajdamaków uderzył i po raz trzeci uderzył, a czy sam się spostrzegłszy, czy w opowiadaniu się rozogniwszy, rzeczywiście już się śpieszyć począł do końca. Ale to nic nie pomagało, podkomorzy już się tak jął niecierpliwić widocznie, że Bobowski, niespuszczający i oka z niego, już począł w duchu przeklinać ten dzień i godzinę, w której z łowczycem wybrał się na balogrodzką wizytę, a kiedy obliczył sobie w duchu, wiele to jeszcze razy Osuchowski, człek tak rzetelny i skrupulatny, musi na hajdamaków uderzyć, ażeby się z prawdą nie minął, wiele czasu będzie mu trzeba na to, ażeby okolicznie opowiedzieć swoje fatalne w niewolę wzięcie, włóczenie się z kupami hajdamackimi, przejście w ręce Tatarów krymskich, od tych do Turków i tak dalej, to już mu tylko raz się robiło zimno a raz gorąco, i tantalowe męki pokazały mu się tak jawnie, jak gdyby sam był Tantalem.

Ale nie byłby tak cierpiał w owej chwili Bobowski, gdyby był wiedział, dlaczego się niecierpliwił pan podkomorzy. Jemu się zdawało, że przyjaciel pana Fryderyka nie może się dla czego innego tak niecierpliwić, jedno dlatego, że niesłuchanie długie i nudne to łowczyce opowiadanie, a tymczasem całe inna temu była przyczyna. Pan podkomorzy rzeczywiście się srodze już niecierpliwił i może mu także robiło się raz gorąco a drugi raz zimno, ale on od pół godziny już ani słowa nie słyszał, co opowiadał pan łowczyc. Była to bowiem godzina, w której pan Karsznicki zwykle własną ręką karmił swe ptaki, a jakie to było delicum dla niego, można się ztąd przekonać, że od lat dwudziestu może ani jednego dnia takiego nie było, w którymby on o zachodzie słońca nie był w swojej ptaszarni. I było to dla niego największe ukontentowanie i nieraz przez cały dzień cieszył się na to, a podczas kiedy nigdy się nie wahał, gości swoich zabawę poruczywszy żonie, sam do ptaszarni wybiegać, raz nawet panu Potockiemu, będącemu w odwiedzinach u siebie, wymknął się milczkiem i uciekł, kiedy chwila karmienia nadeszła. Dzisiaj atoli, nie mogąc się wcale spodziewać, że przez zażądanie od Osuchowskiego powieści, tak niepraktykowaną psotę sobie wyrządzi, dopiero przy zachodzie słońca się spostrzegł, w jaką matnię sam siebie napędził. A tymczasem na to nie było rady. Uciec było mu niepodobna, bo siedział o dwa kroki od oratora, który jeszcze jak na nieszczęście wciąż do niego mowę obracał, przerwać ani podobna, a tu jak na nieszczęście kapelan się tak zaśluchał, że ani widział, że zmrok już; pani podkomorzyna nie wiedząc, czy goście mają intencją jój się prezentowania, nie zapraszała na wieczerzę, sługa żaden się niczego domyśleć nie chciał i nie było ratunku. Więc i podkomorzemu, lubo już stary i wytrawiony, raz się robiło zimno a raz gorąco i krew go piekła po wszystkich żyłach, i równo z Bobow-

skim tantalowe męki pokazały mu się tak jawnie, jak gdyby sam był Tantalem.

A nietylko nimi obudwoma miotała taka niecierpliwość w tej chwili. Była bowiem jeszcze i trzecia osoba w tym domu, która całe nie wiedząc o swoich towarzyszach niedoli, témże samém cierpiała cierpieniem; a tą osobą była panna Barbara. Kiedy obadwa ci kawalerowie przyjechali do zamku, jakkolwiekbyć zawsze ich poznanie była ona ciekawą. Ciekawość znajdowała się w pannie Barbarze w wysokim stopniu, była ona nawet poniekąd jedną z jej główniejszych wad albo przymiotów, i byłaby ona się w niej odezwała nawet natenczas, gdyby był ktoś całkiem obcy i zupełnie ją nieobchodzący zajechał do zamku; jakżeż dopiero musiała się ona odezwać, kiedy przyjechali ci, którzy prawie jedni byli dotychczas w całej sanockiej ziemi, którzy ją obchodzili cokolwiek? jakżeż, mówię, musiała się ta ciekawość w niej odezwać, kiedy przyjechali ci, którzy byli świadkami najheroicznego czynu w jej życiu, jej, dotychczas tylko o samych niezwykłościach i heroizmach marzącej? Więc ciekawą była Barbarka i z początku tylko o tém myślała, jak ją spotkają ci kawalerowie, co o niej, co o jej strzale, co o tym całym zajęczym wypadku powiedzą? A kiedy już wszystkie możliwe ewentualności przemyślała, przyszło jej na myśl to co ojciec powiedział, a to że może będą żądać satysfakcyi za zadaną obelgę? Była to niedorzeczność w sobie a żart tylko ze strony ojca, ale Barbarka nie zawsze się rozumiała na żartach i często je brała na seryo, więc i tą razą tak uczyniła — i im dłużej nie widać było ojca z gośćmi w zamkowych komnatach, tém pewniejszym począł jej się wydawać jej domysł. I obróciła go także na wszystkie strony i przemyślała wszystkie możliwe zeń skutki. Bał ale minęło pół godziny, i cała, i półtoręj, a ich ciągle nie widać. Barbarka już parę razy przez ten czas biegała do matki i nie mogąc się od niej niczego dowiedzieć, bo się z nią nigdy dogadać nie mogła, nazad wracała, i parę razy biegała pod drzwi ojcowskich pokojów, ale jak na nieszczęście drzwi od pierwszego pokoju były zamknięte, a od drugiego otwarte, więc niewidziana, nic pod łuchać nie mogła, i parę razy biegała do swojej sypialni i pytała się swojej Józefki, dlaczego ci panowie tam siedzą tak długo, a gdy ta jej naturalnie nic powiedzieć nie mogła, wykpała ją za to porządnie, że nigdy nic nie wie i coraz głupszą się robi. Ale nareszcie minęło już dwie godziny i minęło półtrzecięj, już po podobnych coraz niepodobniejszych, a nareszcie i wszystkie najdziwaczniejsze domysły przesunęły się przez jej głowę, już z jej ust pięknych parę-niepięknych wyleciało złorzeczeń, już mitynka jedna była rozdarta, wstążeczka oderwana u pasa, a z pięknego pręcika tylko sam trzonek ciężko wzdychał w jej rękę, a ojca z gośćmi nie było.

Tymczasem jeszcze pół godziny minęło... już trzonek pręcika dawno leżał pod kanapą, z mitynek już ani śladu nie było, z oczów

błyskały promienie, na policzkach krwawe posiadały rumieńce.... a ojca z gośćmi jeszcze nie było. Ale tu już był kres cierpliwości panny Barbary. Więc rzuciwszy jeszcze jakiś ostatni płatek o ziemię, który trzymała w ręku, rzekła: — Pognięwa się ojciec, to niech się pognięwa! — i podczas kiedy o pana Osuchowskiego kupcy przyczyniając po groszu pomaleńku się targowali z Tatarami krymskimi, wpadła ona do ojcowskiej sypialni i zawołała z progę:

— Ojczel! a ptaki?

— Ha! — zawołał na to z nieudaną radością i jakby młodzian dwudziestoletni zrywając się z krzesła podkomorzy — niech ci Pan Bóg zapłaci! — i przystąpiwszy do niej, pocałował ją w czoło.

Bracia ślubni się także nagle pozrywali, i zadziwieni tém zjawiskiem jakoż i słowem: ptaki, które im się wydało jak parol żołnierski, stanęli jak wryci, a tymczasem podkomorzy, obróciwszy się do córki i rzekłszy:

— Dziecko, proś jegomościów do matki, a ja zaraz służyć wam będę; — wymknął się chyłkiem na wschody.

I podkomorzy już był zbawiony i już szczęśliwy, ale ci, którzy pozostali, w nowym się znaleźli kłopotcie, a to w tém większym, ile że ksiądz kapelan, czy obrażony tém, że nie jego na swoim miejscu pozostawił pan zamku, czy także ptasią tęsknotą porwany, tuż za podkomorzym wyniósł się z izby. Stali tedy obadwaj kawalerowie, stała i panna, wszystko troje to po ziemi to po ścianach się oglądając, a żadne nie wiedząc co mówić. I minęła tak długa chwila w milczeniu. Ale przecie nakoniec przytomność kobięca przemogła kawalerską nieśmiałość, a panna się odezwała, cedząc przez zęby:

— Ja... podobno..

Ale w tym momencie i Bobowski przyszedł do przytomności i pomagając wzajemnemu kłopotowi i pomieszaniu, przerwał jęj prawie, równie cedząc przez zęby:

— Tak... tak mi się zdaje.

Co Barbarce było podobném, a co się Bobowskiemu zdawało, tego nikt nie potrafi odgadnąć, ale to pewna, że panu Osuchowskiemu nic zgoła nie było podobném, ani się nic nie zdawało, bo on ani oczów nie mógł oderwać od ziemi. Jednakże Barbarka tymczasem całkiem już przysła do przytomności i rzekła wyraźnie:

— Jakoś nam się nie wiedzie. a to pewnie dlatego, żeśmy nie spełnili rozkazu ojca; proszę tedy waszmość panów do matki, a może tam się czego dowiemy od siebie.

Po tych słowach duch wstąpił we wszystkich; jakoż za podkomorzanką naprzód idącą przeszli wszyscy do wielkiej sali, w której swoim zwyczajem przechodziła się pani podkomorzyna. Tutaj nowy kłopot się znowu okazał, bo pani domu nie wiedziała, kto są ci goście; goście zaś zapomnieli o tém, że pani tego nie wie — ale już chyba zamilczć o tém, bobyśmy cale nie wyszli z tego labiryntu kłopotów, lecz przytomnością pani podkomorzy-

nej ułatwiło się wszystko, i w krótkiej chwili siedziała już pani domu na kanapie, panna Barbara obok niej na krześle, a na dwóch krzesłach naprzeciw panowie kawalerowie, i toczyła się już pomiędzy nimi bardzo piękna i stateczna rozmowa.

Pani podkomorzyna była rodem Sanoczanka. Całą młodość swoją przeżyła ona w tej ziemi i pamiętała dobrze ojców dzisiejszych swych gości, więc nie brakło jej na wątku do ciekawej rozmowy. Przypomniła więc ona najpierw ich młodość, ich cnoty, z których słynęli w powiecie, ich zażyłość z Balami; przypomniła dalej ich matki, mile natrąciła o ich dla niej przyjaźni, a wypytyując się o niektóre szczegóły późniejszego ich życia, nader przyjemną i zajmującą uczyniła gościom swoim tę chwilę. Ale dla Barbarki i ta chwila nie zdawała się bardzo przyjemną. Siedząc ona bowiem koło matki i nie mogąc się wmieszać do takiego dyskursu, o którego przedmiocie nicby była nie umiała powiedzieć, milczała, twarz pociągając i warg przygryzając po trochę, a lubo Bobowski dosyć często okiem rzucił na nią i to jej nie uchodziło bażności, toż jednak nie naprawiało to jej humoru bynajmniej, a nieukontentowanie jaknajwyraźniej wybijało się na jej twarzy,

Bobowski, który tak siedział za stołem, że miał tuż koło siebie w rogu kanapy siedzącą Barbarkę, lubo niemało wdzięcznym był pani podkomorzynnej, że z takim szacunkiem wspominając o jego matce, tyle mu miłych szczegółów z jej życia opowiedziała, jednak byłby o wiele więcej jeszcze czuł dla niej wdzięczności, gdyby już była porzuciła tę jednostajną materję, i albo sama zaczęła, albo jemu zostawiła sposobność zaczęcia o czémciś takiem, do czego mieszając się także, dałaby mu się bliżej cokolwiek poznać Barbarka. I wyraz powolnie wzrastającego nieukontentowania i na jego twarzy wybił się także; ale jako człowiek nieuparty i nie do czynów stworzony, nie ożywił się i nie rozogniał pod tém uczuciem, ale coraz smutniał i upadał na duszy Bobowski. Więc znowu na Barbarkę wypadła kolęj ratowania się z tego kłopotu, jakoż uczyniła ona to niebawem, bo zaraz pierwsze odetchnienie matki porywając dla siebie, zapytała się wręcz Bobowskiego:

— Pan Urbański tu wielkie wydawać zwykł polowania?

— O zawsze, — odpowiedział przytomnie Bobowski, — i przy najmniej po kilka do roku, ale nie zawsze tak nieszczęśliwe, jak było to, z którego powracając, mieliśmy zaszczyt zdybać waszmość pannę na drodze.

— Dlaczego to waszmość pan nazywasz to polowaniem nieszczęśliwém? — zapytała znowu podkomorzanka, — czy dlatego, że wam nie poszło po myśli, czy żeście mnie potem zdybali na drodze?

— Ześmy waszmość pannę zdybali na drodze, — odpowiedział pan Józef z zapalem, — mieliśmy sobie wtenczas i mamy dzisiaj wcale za szczęście niepospolite, a polowaniu temu przypada w rze-

czy ztąd nazwisko nieszczęśliwego, że na nim nic nie zabito. — Na to panna Barbara :

— Dziękuję waszmości za dopięro co dla mnie wypowiedziany komplement, a lubo może i ja się niebardzo frasuję owém ich zdybaniem, jednak wyznać mi tu wypada otwarcie, że mi się niebardzo dobrze natenczas popisała.

— I owszem,—zawołał na to uradowany i każde słowo panny jaknajlepiej dla siebie tłumaczący Bobowski. — i owszem, nietylko bardzo dobrze, ale nawet tak osobliwie, że my, jakeśmy się natenczas zdziwili nad panny podkomorzanki przytomnością i umiejętnością strzelania, tak do dziś dnia nie możemy wyjść z podziwienia.

— Zapewne,—odpowiedziała na to Barbarka,—strzał to może był niezły i nieczęsto mi się takie trafiają, ale choćby mi się i zawsze takie trafiały, toż jeszcze za ten wypada mi przeprosić waszmościów, bo nie był on niczém więcej, jak niegrzecznością.— Na to Bobowski :

— Bardzo to wspaniale ze strony panny podkomorzanki, że za swoje zwycięztwo jeszcze zwyciężonych przepraszasz, nie potrafiłbyś snąć lepiej i rycerz krwi najprzedniejszej; ale niemniej przeto my tego przeproszenia akceptować nie możemy, i owszem, podziękować pragniemy za tę niechcący nam daną naukę i z niej nadal korzystać, bo już tóż prawda, że nielitościwie niezgrabnymi zaczęliśmy się pokazywać z flintami.

— Tego nie zaprzeczam waszmości, — odpowiedziała na to Barbarka, — bo jużciż tak być musi, kiedy was w tém wyprzedzają kobiety, co im sami przyznajecie, mówiąc: Zuch jest, że wkął przed nią i najpiérwsi junakowie naszego czasu.

Po tych słowach Barbarka, jak gdyby już dokonała naprzód obliczonego zamiaru, wstała z kanapy, niby chcąc się przejść po pokoju, ale po tychże słowach Bobowski struchlał na miejscu i serce mu bić gwałtownie zaczęło, bo w Barbarki ostatnich słowach poznał on swoje własne, któremi dziś właśnie tydzień zakończył swoją ze siwobrodym arendarzem przed balogrodzką karczmą rozmowę.

I podczas, kiedy Barbarka przechodząc się po pokoju po za Bobowskiego plecyma, często rzucała okiem na niego, w jego sercu i głowie poczęły się kłębić tak różne pomiędzy sobą symptomata i myśli, że nie mogąc w nich żadnego uczynić ładu, przez krótką chwilę nic nie myślał i nic nie czuł Bobowski.

Wszakże w niedługim czasie byłby on przecie zapanował nad tym serca swojego i głowy nieładem, i byłby zapewne odrazu zaczął wiele myśleć a czuć jeszcze więcej, ale w tym momencie wszedł do téj izby wraz z księdzem kapelanem pan podkomorzy i przerwał odrazu nietylko milczące walczenie ze sobą stolnikowicza, ale i pana Osuchowskiego z panią podkomorzyną rozmowę, mówiąc już ze drzwi :

— Przepraszam asafństwa dobrodziejstwa, żem was tak długo wynudził, ale bardzo dobrze się stało żem wyszedł, bo właśnie wygłodniały Piekarski, wyrwawszy się z swojej klatki, wpadł do gospody i już pięciu chłopów udusił, więc gdybym był nie przyszedł zawczasu, byłby *probabiliter* wszystko wytłukł do nogi.

— Jużby téż czas, — odezwała się na to Barbarka, — żeby ojciec temu Piekarskiemu tak zrobił, jak jego przodkowi uczyniono w Warszawie, bo to nieopoczciwe ptaszysko.

— A nie, moje dziecko, — odpowiedział na to podkomorzy, — prędzej los ten napotka Rusinowską, bo to jeszcze gorsze subiek-tum. Piekarski ma swoje niezaprzeczone zalety.

Podczas wymiany tych słów kilku, bracia ślubni siedzieli jak na niemieckim kazaniu i poglądając to na siebie nawzajem, to na mówiących, w coraz większe wpadali zadziwienie, i kto wie, do jakiego jeszcze nakoniec *qui pro quo* byłoby przyszło pomiędzy gośćmi a domowymi, gdyby nie przytomność Barbarki, która na Bobowskiego twarzy to podziwienie wyczytawszy, wytłumaczyła braciom ślubnym w krótkich wyrazach rzecz całą. Czém ucieszony niezmiernie podkomorzy, wpadł zaraz w najlepszy humor i to rozmową swoją, to opowiadaniem różnych krotchwilnych anegdot rozbudził szczęłą wesołość w całej kompanii.

Wkrótce potem przy świecach jarzących, w ciężkie srebrne lichtarze oprawnych, wniesiono przekąski i napoje, a że podkomorzy nienawidził nieskromności w niczém a więc i w napoju, a że i ztąd wina u niego dawano mało, ale za to samo stare i najwyborniejsze, które właśnie mają ten przymiot, że serdeczną a umiarkowaną obudzają fantazyą; więc grono to tak się rozweseliło, że nawet Bobowski, który co moment oczyma rzucając na pannę Barbarę, powinien był być smutny i zamyślony, tak się rozigrał i rozweselił, jak nigdy. Jedna tylko pani podkomorzyna, która z przyrodzenia niebardzo wesoła, zdawała się nawet po trochu gorszyć tém, że w dzień piątkowy taki nieprzystojny humor opanował gromadę, nie podzielała téj wesołości i z równie niewesołym łowczycem prawie nieprzerwaną a wcale stateczną prowadziła rozmowę.

I tak wśród téj zabawy wiele minęło czasu i byłoby zapewne eszcze więcej minęło, gdyby nie to, że nagle uderzyła godzina, a po niej zegar wielki brązowy, w jeszcze większej szafie mahoniowej zamknięty, zaczął cudnie pięknie wygrywać owę nutę, na którą pospolicie śpiewają „Kto się w opiekę.” Była to już godzina dziesiąta i znak że czas na spoczynek. Goście tedy poczęli się ruszać i żegnać i wkrótce, pomimo najusilniejszych próśb i nalegań gospodarza, iżby pozostali na nocleg, powsiadali obadwa bracia ślubni i z zaprosinami, iżby jaknajczęściej nawiedzali ubogą chatę sługi swego w Balogrodzie, odjechali do domu. A podczas, kiedy podkomorzy, głaskając popod brogę Barbarę i spokojnej nocy jój życząc, mówił wesoło:

— Podbono nie bardzo brzydkim się wydał waćpannie ten stolnikowicz sanocki.

Bobowski jadąc stępą obok Osuchowskiego, co sto kroków się na zamek, choć go wśród nocy dojrzyć nie było podobna, oglądał i ciężko a boleśnie wzdychając, po kilka razy powtarzał:

— Dziwny dzień dzisiaj mieliśmy, panie bracie.

VI.

Po owych imieninach, przed kilkoma tygodniami u pana Błońskiego wyprawianych w Berezce, na których blisko dwuletniem niewidzeniu się pan stolnikowicz znowu pokazał się Julii, smutna ona i bardzo smutna powróciła do domu. Stan taki jój serca i duszy, któremi od kolébki prawie nigdy żadne wesołe nie zawładnęło uczucie, nie był wprawdzie dla niój nowością: wszakże ten smutek, który ona z sobą przywiozła z Berezki, był tak od jój dawnych smutków odmienny, że odtąd prawie całkiem nowy świat boleści się dla niój otworzył, inne téż całkiem za sobą pociągał skutki. A przyczyną tego była raz nowość wypadku, a powtóre czas sam, który despotycznie nad wszechświatem panując, z takim zapasem niespodziewanych wynikłości odbywa swoją wędrówkę, że im ani najprzenikliwszy rozum, ani najdonośniejsze przeżucie nie sprostą. Trzecią nakoniec przyczyną, dla której ostatnie Bobowskiego z nią się obejście całkiem dotąd nieznanemi myślami i uczuciami napelniło jój serce, była pewna zmiana, która ostatniemi czasy zaszła w niój samój.

Kiedyśmy poraz pierwszy poznali Julią, myśli jój i uczucia rodziły się, rosły i szły takim torem, jaki wskazywała ich eteryczna natura, jój głowa do marzycielstwa i przykłady po romansowych napotykanie książkach i powieściach. Daleki od niój wtenczas był świat rzeczywisty, daleka wszelka myśl trzeźwa i powszednia, ale zawsze w tém życiu ziemskiem niezbędna, dalekie wszelkie pragnienie tego, co ludzie zwykli nazywać pomyślnością i szczęściem tego żywota. Atoli już i wtenczas z coraz liczniej przybywającemi latami, z coraz bardziej oczyszczającym się wzro-

kiem i trzeźwiejącym rozumem, chociaż bardzo nieznacznie i niepostrzeżenie, zaczęły pomału błędnąć promienie owego światła, które wiosenną ogrzewały fantazją, zaczęły więdnąć owe pierwszjej zieloności listeczki, zaczęły rzednąć owe mgły przedświtowe, które tęczowemi igrając barwami, nie dozwalały jej dokładnie różnicować barw po za niemi przesuwających się przedmiotów, a owa chatka wymarzona nad maleńką sadzawką, w której serce jej zapragnęło przeżyć czas jakiś z wymarzoną kochanką, chociażby szczęście to swoją własną ruiną lub śmiercią zapłacić, była już pewnym stanowczym zwrotem myśli Julii do rzeczywistych przedmiotów.

Miłość dla Bobowskiego, poczęta pod wpływem dawno już przyswojonych sobie a wcale nie ziemskich wyobrażeń, wprawdzie niewiele przyczyniła się do tego, ażeby ją na tór zdrowszego myślenia i rzeczywistego uczucia sprowadzić — ale już jego obietnice, niegdy przy oknie zamkowej komnaty otwarcie wypowiedziane, nasunęły jej wiele myśli takich, których dotąd nie znała. Nieotrzymanie zaś tych obietnic i zapomnienie o niej po powrocie z ukraińskiej wyprawy, do tego stopnia ją otrzeźwiło, że utraciłszy dopiero dobro to, które ulubionem było jej serca pieściłem, poczęła je bliżej oglądać i nad niemi się zastanawiać. Więc po powrocie Bobowskiego dopiero dostrzegła Julia, że obrawszy pana Józefa za przedmiot swojego marzenia, obrała go zarazem i za przedmiot swojej miłości, a zastanawiając się dalej nad tem, przysła do tego przekonania, że snom o nim i miłości dla niego nicby nie przeszkodziło to, gdyby nakoniec z myślami swojemi i sercem i samą siebie jemu na własność oddała. I owszem, zauważała to, że tak nawet byłoby lepiej i bezpieczniej dla jej marzeń i uczuć, i że tak samo zapewne musiał myśleć pan Józef, kiedy czynił jej obietnice. I poczęła przywiązywać wagę do tych obietnic i nakoniec cenić je sobie drogo, ale na nieszczęście aż wtenczas, kiedy już o nich należało zapomnieć. Wszakże przez nietrzeźwość rozumu i ztąd ustawiczne złudzenia nie wiedziała nic o tém Julia, i pomimo to, że Bobowski, dawno już powróciwszy do siebie, ani razu jeszcze nie był w Zahoczewiu, marzyła ona coraz więcej o nim, coraz jawniej przywoływała przed pamięć swoją nieszczęsne te obietnice i coraz bujniejsze, coraz jawniejszej rzeczywistości a coraz mniejszego prawdopodobieństwa wytwarzała sobie nadzieje. I zapomniła ona całkiem o tém w swoim dziecinnym umyśle, że gdyby Bobowski był jeszcze pamiętał o nich i ważył sobie te obietnice, to byłby już dawno w Zahoczewiu i dawno do ich spełnienia przystąpił. I zdawało jej się, że do spełnienia tych nadziei niczego więcej nie potrzeba, jak tylko żeby ją pan Józef obaczył, że obaczywszy ją padnie jej do nóg, poda kwiaty i pierścionki, dzień wyznaczy, w którym do Zahoczewia przyjedzie i zabierze ją z sobą, aby z nią żyć i umierać.

Sród tego czasu zdarzyły się one imieniny w Berezce. Julia

jechała na nie, jak gdyby na swoje wesele. I widziała tam Bobowskiego, mówiła z nim kilka razy, — ale śród każdej rozmowy krew zastygała w jój żyłach. A kiedy powróciła do domu, taki ciężki smutek opanował jój serce i takie jakieś czarne pcczęły ją dręczyć przeczucia, że za kilka dni wynędzniała tak, jak gdyby z ciężkiej dopiero co powstała choroby. Było to jednak przesilenie się jój wszystkich uczuć i wszystkich nadziei. Z każdym dniem wprawdzie widziała ona coraz jaśniej, ile szczęścia stało dla niej otworem, gdyby jój wolno go było osiągnąć; z każdym dniem coraz więcej przypominała sobie swe uczucia dla pana Józefa, o których sama nie wiedziała, i żal jój było, i tęsknota ją porywała, i boleść ją pruća; ale też z każdym dniem coraz czystejszym okiem poczęła oglądać na świat ten i ludzi; z każdym dniem coraz prawdziwiej pojmowała to życie i z każdym dniem większa obojętność i pewniejsza rezygnacya zajmowała jój umysł i serce. A lubo na jój twarzy coraz wybitniejsze dawnych cierpień osiadły ślady i zdawało się tak, jak gdyby każde z nich zmierzając w duszy, na twarzy sobie wystawiało nagrobek, toż jednak serce jój chłodło coraz widoczniej, rozsądek rozpoczynał swe panowanie, a kilka miesięcy potem już ją można było podsłuchać, jak sama nieraz powtarzała do siebie: — Rok jeszcze lub dwa, a potem czépiec zarzucę na głowę, oddam się pracy codziennej, ot! i tak się przeżyje to życie.

Ale nie tak myślał pan Działott. Jako ojciec troskliwy, lepiej to życie i stan swojej fortuny znający i lepiej przyszłość przewidywać mogący, lepiej też pamiętał o Bobowskiego obietnicach danych jego córce, a przypadkowo podsłuchanych przez siebie, i daleko pilniej śledził wszystkich zmian, uczuć i myśli, jakie zachodziły w umyśle i sercu Julii. Więc też i on także miał pewne rachuby na one imieniny w Berezce, i on uważał także dobrze zachowanie się Bobowskiego, i on także z zawiedzionemi nadziejami ztamtąd powrócił. Ale wróciwszy, nie wziął podobno postanowienia tego, ażeby całkiem o tém zapomnieć, i owszem, zdaje się że musiał kędyś widzieć jeszcze jakieś nadzieje, bo odtąd coraz częściej i otwarciej rozmawiał z Julią o panu Bobowskim i podczas kiedy ją się z wielką troskliwością o stan jój duszy i serca wypytywał, czynił tak, jak gdyby mu jój miłość dawno i dokładnie wiadomą była. Julia dziwiła się takim rozmowom ojca, bo nigdy się jemu z onych nie zwierzała tajemnic i lubo nie czuła to, że w jój cierpieniach wielką ulgę by jój przyniosło, gdyby się mogła wygadać a nawet otwarcie wypłakać, jednak nie odkrywała swojego serca przed ojcem, bo go nie chciała przerażać takim straszonym widokiem. Więc tylko niby od niechcienia czasem coś o swych dawnych napomknęła uczuciach, czasem się ze swojemi żałami odkryła, ale zawsze przytém uniewinniając jaknajzupełniej pana Józefa, sama żadnej nie mając nadziei, starała się dosyć często w ojca wbijać to przekonanie, że ona już zgola nic nad tą

stratą nie cierpi, że zapomniała zupełnie, że jój i tak dobrze. Pan Działott Bobowskiego w głos ani obwinał, ni uniewinniał, o nadziejach ani tak, ani owak nie wspominał, jednakże często wzdychając i mówiąc: — wiele to biedne kobiety cierpieć muszą z przyczyny męzczyzn! — nie tał się z tém, że go ta rzecz jeszcze zawsze niepomalu zajmuje.

Tymczasem, kiedy Julia tak chłodziła w swoich dawnych uczuciach i co dzień pilniej i rozsądniej pracowała nad sobą, ażeby się z gruntu w całym wnętrzu odmienić, Bobowski zmieniał się także, ale całkiem na inną manierę.

Przyjechawszy on bowiem z Balogroda, wcale niewiele czasu potrzebował na to, ażeby poznać i przyznać się sobie, że go niepomalu zajęła panna Barbara. Wprawdzie uczucie to, które ta na niwach halickich wychowana Diana w nim obudziła; nie było owém ciepłym tchnieniem miłości, które serce nasze roztkliwia, rozczula i do uszczęśliwienia siebie wraz z ukochanym przedmiotem zapala... nie! bo nie serce się na teraz w nim odezwało, jeno głowa, której zaimponowała niezwyčajność usposobień panny Barbary; duma i próżność się w nim odezwała, ażeby posiadać kobietę taką, jakiej drugiej niemasz we wszystkiém sąsiedztwie, żądza może nawet jaka się w nim odezwała, którą obudziły piersi wypukłe, ręce pulchne, oczy czarne, ogniste panny podkomorzanki: ale pan Józef nie wiedział o tém, ani pytał się o to. Głowa jego się napelniła, serce zawrzało, a co tam było w głowie, co w sercu, on się nie dowiadywał i dosyć mu było na tém, że przed głową i przed sercem była panna Barbara — panna Barbara, która mu się piękną wydała jak anioł, która jeździła na koniu jak huzar, strzelała z pistoletu do celu, w biegu i z konia ubijała zajęce i rozum taki miała, z jakim żadnej jeszcze na zyciu nie widział kobiety! I powiedział sobie: ja ją kocham i ginę za nią, a próżność mu poszepnęła: i cna podobno nie ma odrazy do ciebie. I powiedział sobie: ja pójdę w konkur o nią i chociażby mi świat cały stanął na drodze, muszę ją dostać za żonę. A kiedyby mi jój nie dali?... ej! dadzą, i czemu by dać nie mieli?

I w krótkim czasie po pierwszej wizyci Bobowski już kilka razy to z Osuchowskim, to sam nareszcie był w Balogrodzie. Podkomorzy go zawsze grzecznie i serdecznie przyjmował, zawsze przy odjeździe na przyszłość zapraszał i wcale nie tał się z tém, że ma szczéry afekt dla niego i że dosyć sobie w nim upodobał. I jeżeli rad był panu Józefowi sam podkomorzy, to podkomorzyna jeszcze więcej rada mu była. Znała ona swoją córkę dokładnie i niezamdloném miłością macierzyńską okiem patrzyła na wszystkie jój wady i złośliwości, a lubo prawie w ustawicznej była z nią wojnie i rzadko kiedy z nią się mogła dogadać, toż jednak pomimo to kochała ją z całego serca, i dla tych wad jój właśnie jak najsmutniej myślała nad tém, jakiegoby dla niej potrzeba męża, ażeby być mogła szczęśliwą. Nad myślami o mężu dla swój córki

trawiła ona nieraz długie w samotności godziny, a od niejakiego czasu do codziennych swoich modlitw dołączała i tę, aby ją Bóg w tej materii oświecić raczył i nie dał jej na taki wybór przyzwolić, w skutek którego albo on wybrany, albo jej córka szczęśliwą była. I bardzo to było godnie, bardzo po macierzyńsku ze strony podkomorzynęj; ale nie rozumiem, czy mogła wysłuchaną być taka prośba, do której spełnienia albo bardzo trudne, albo wcale żadnych już nie było warunków?... i nie rozumiem, czyli nie lepiejby była ona uczyniła, gdyby przez większą staranność około wychowania i wykształcenia swęj corki, dawniej przykładaną, nie była postawiła się w położenie, z obawy o jej przyszłość, uciekania się już li do modlitw?... Rodzice są sprawcami losu swych dzieci, jakie dla nich uczynią zasiewy, takie przygotowują im zbiory; i najczęściej tak bywa na tym świecie, że kto chwasty zbiera w wieku swęj dojrzałości, dla tego chwasty były zasiane w dzieciństwie; jednakże czy onym usposobieniom Barbarki, które przy jej piérwszém poznaniu oczom naszym się objawiały, byli także winni rodzice, czy jedno z nich, czy oboje, czy tylko sama natura, nie umiemy osądzić; to wszakże pewna, że i my moglibyśmy się pomodlić o dobrą przyszłość dla podkomorzański.

Pannie Barbarze także podobał się stolnikowicz i zajął ją niepomału. Było-li to zajęcie się jej piérwszém w jej życiu, czy drugiem, czy trzeciem, nie umiemy powiedzieć, bo nie wiemy, a nawet gdybyśmy wiedzieli, to przez wzgląd na niewinność takiego zajęcia, które wedle naszej opinii inném być nie mogło, statecznebyśmy zachowali milczenie; to jednak wspomnieć wcale się godzi, że zajęcie tej panny panem Bobowskim nie było takie, jakimi bywają piérwsze zajęcia się panien wieku podkomorzanki. Dziwna to nawet była sprawa jej umysłu i serca, a to tak dziwna, że ją bliżej musimy określić.

Pannie Barbarze podobał się pan Bobowski i podobała jej się twarz jego piękna i o wiele piękniejsza i bielsza od twarzy wszystkiéj innéj powiatowéj młodzieży, i podobały jej się oczy jego, czarne jak węgle, i podobał jej się wąs jego, równie czarny jak oczy i przymuskany misternie; gorszyło ją wprawdzie to cokolwiek, że pan Józef już zaczynał tyć trochę i mógł mieć pewną jeszcze lepszego utycia nadzieję, ale za to nic nie miała do zarzucenia jego budowie i jego w samą miarę trafionemu wzrostowi — i uchodziła dosyć w jej oczach cała jego figura. Dalej podobał się pannie Barbarze umysł pana Józefa, podobał się jego rozum dość bystry i podobała się jego wymowa gładka i potoczysta; nie podobało się jej znów wprawdzie jego serce, które jej się wydało zbyt miękkim, papinkowatém, rozlazlém, i byłaby ona wolała, gdyby pan stolnikowicz był więcej heroicznym, nieustraszonym a choćby nawet cokolwiek gwałtownym; jednakże pomyślawszy, że może to i lepiej mieć z takim sercem do czynienia niż z innym — więc i tu już nic mu nie zarzucała. Dalej jeszcze podobał

jéj się pan Józef z tego, że był dobrego rodu, że miał piękną fortunę, że jako słyszała, uchodził za pierwszego kawalera w powiecie, że miał nakoniec dobre zachowanie i estymę u ludzi; nie podobowało jéj się to znowu, że się tak niedorzeczną przyjaźnią związał z panem łowczycem, któren się jéj nic a nic nie podobał, ale i o tém namyśliwszy się i przekonawszy u siebie, że przyjaźń taka to nie rzecz wieczna i ustąpić musi przed ważniejszymi obowiązkami, i o tém w pobłażliwém swém sercu nie chciała pamiętać Barbarka.

Upodobawszy sobie tak tedy w całym stolnikowiczu i prawie we wszystkich jego częsteczkach, poczęła myśleć nad nim i o nim podkomorzanka. I myślała tak o nim trochę w południe, trochę wieczorem, a trochę w nocy, a rankiem rozmawiała sobie o nim ze swoją Józefką. I kiedy Bobowskiego czas dłuższy nie było, tęskniła za nim, a kiedy wiedziała naprzód, że ma przyjechać, to wyglądała go z okna, a byłaby go wyglądała nawet aż z samej galerii, gdyby nie to, że już zima była nadeszła i mróz bywał na dworze. I kiedy Bobowski nadjechał, witała go wesoło i rozmawiała z nim długo chętnie i wolała z nim rozmawiać, niż z ojcem lub matką. Jednak przy tych rozmowach czasem się nudziła, a nudziła się tém, że pan Józef śród rozmowy z nią, kiedy był o co zapytany przez matkę, pierwój matce odpowiedział niż jéj, i nudziło ją to, że pan Józef, wyczerpawszy się z czasem w conceptach, zawsze już jedno i te same powtarzał jéj komplementa, i nudziło ją to, że jak doprowadził do tego, że o krok tylko od niéj siadywał i jak stanął na komplementach, tak już ani rusz dalej. Panna Barbara nie lubiła tego, kiedy jéj dzień dzisiejszy był podobien do wczorajszego, nie lubiła nawet, kiedy dwie godziny jéj minęły jednakie, więc nieraz z całą dobrocią serca i w zupełnej poufałości długą z rodzicami rozmowę temi kończyła słowy:— Nudziarzystwo to wielkie, ten mój stolnikowicz.

Mój stolnikowicz, powiadała przy rodzicach Barbara i mogłoby to zadziwić kogo, ale dziwić nie będzie, kiedy się dowiédzie, że pan stolnikowicz do zimy był już tak w domu podkomorstwa, jak i w całej okolicy, niby zdeklarowanym konkurentem panny Barbary. I stało to się całkiem naturalnym sposobem i wyniknęło z przyczyn nie mniej naturalnych. Pan Bobowski był kawalerem dobrego domu, siedzącym na fortunie dostatniej, młodym i przystojnym i nikt nigdy tego od niego nie słyszał, aby się miał ożenienia zarzekać; — panna Barbara była panną równie dobrego domu, równie młodą i przystojną i także do zakonu nie przeznaczoną; więc kiedy się w jéj rodziców domu kilka razy pokazał pan Józef, kiedy jął coraz częściej tam bywać i po kompaniach nawet, które się dosyć często wydarzały w zapusty, przybliżania się do niéj i częstego z nią tańcowania się nie wystrzegał, jakżeby to było być mogło, żeby ich naprzód już nie mieli pożenić sąsiedzi? I pożenili ich rzeczywiście i około końca zapust już tak było, że

głośno o tém nowo formującym się stadle rozmawiali sąsiedzi, a ta wieść o tyle się coraz głośniejszą stawała, ile że ten i ów winszujący zdaleka i z niedowierzaniem podkomorstwu tak statecznego konkurenta, nie odebrał od nich nigdy stanowczo zaprzestającej odpowiedzi.

Jednakże z tą opinią, panującą zarówno na balogrodzkim zamku jak w całej ziemi, z końcem zapust jeszcze w wielkiem nieporozumieniu był pan Bobowski. Kochał on się wprawdzie coraz lepiej w pannie Barbarze i coraz jawniej zdawało mu się to widzieć, że ona nie ma odrazy do niego, jednak jeszcze tak jakoś miał oczy zamglone czy swoją miłością, czy swoim szczęściem i w ustawicznem podziwieniu rozumu i całej istoty podkomorzanki, tak miał mało zaufania do siebie, że od pewności o dobrém powodzeniu téj swojej konkurencyi tak był jeszcze daleko od swoich pierwszych amorów dla córki zahoczewskiego dziedzica. Oprócz tego, przez brak znajomości rzeczywistego świata i przez dziwne jakieś urojenie, które przy jego piérszej na balogrodzkim zamku bytności usadowiło się w jego głowie, tak sobie wysoko postawił dom i ród podkomorstwa, że aż go mrowie przechodziło na to wspomnienie, a im więcej myślał o tém, tém nietylko większa jego duszę opanowywała wątpliwość o pozwoleniu rodziców na to zamęście, ale nawet miał chwile, w których mu się rzecz ta całkowitem wydała niepodobieństwem. Na dopełnienie przyczyn, dla których pan stolnikowicz, tém, jakiego dotychczas doznawał, powodzeniem szczęśliwy, o dalszych w téj sprawie krokach z wielką ostrożnością myślał, a najszczęśliwszy był wtedy, kiedy całkiem o nich nie myślał, potrzeba dodać i to, że dotychczas jeszcze z Osuchowskim ani słowa o tém nie mówił. Osuchowski, jak się tego ze zmian w jego umyśle i sercu, po powrocie z ukraińskiej wyprawy zaszytych, domyślać możemy, całkiem już innéj był w tym momencie opinii niż piérszej, i lubo widział naocznie, że pan Józef brnie coraz głębiej w nową miłość i nowe zajęcie, i lubo nie rad był temu i frasował się tém nie pomalu, jednak milczał już teraz jak głaz i postanowił milczeć już ciągle i wszystko przemilczeć; ale pan stolnikowicz wcale nie wiedział o tém i ani się tego spodziewał. I owszem, domyślając się teraz po trochu, że cała owa tak fatalna ukraińska wyprawa nie była czém inném, jeno wprost skutkiem podejrzeń jego brata względem jego kilku tajemnych bytności na zahoczewskim dworze, i przeczuwając z odkrycia téj nowéj historyi nową, jeżeli nie ukraińską wyprawę, to przynajmniej nieprzyjemną jaką burzę pomiędzy sobą a swoim bratem, ani wiedział, ani nawet myśleć považał się o tém, jakby do pana łowczyca z tą niebezpieczną, a jednak konieczną, przystąpić spowiedzią.

Tak więc blisko i to tak blisko swojego szczęścia będąc, że dostąpienie go zupełne tylko go słów kilka kosztować miało, pan Józef, przez przeszkody li tylko w saméj głowie nagromadzone,

ani kroku nie mógł postąpić dalej i drżąc ustawicznie nie tylko o przyszłość swoją, ale nawet o teraźniejszość, był podobny owemu Donkiszotowemu, który wśród ciemnej nocy nagle do rowu upadłszy, końcami palców zawiesił się na jego brzegu i tak w śmiertelnym strachu upadnięcia w otchłań bezdenną całą noc przepędziwszy, z brzaskiem dnia dopiero obaczył, że o piędź tylko pod jego nogami była szczerą ziemia, na którą zstąpić i w bezpieczeństwie pójść dalej mógł każdego momentu. O tej ziemi tuż będąc pod jego nogami nic nie wiedział pan Józef i położenie swoje mając za jakiś niesłychanie powikłany labirynt, z którego tylko jakaś cudna nitka Ariadny wyprowadzić go może, albo zgoła za matnią, w której już mu i honor własny i afekt braterski i miłość podkomorzanki i spokojność duszy na wieki utracić przyjdzie, srodze się frasował pan Józef. I z każdym dniem więcej gmatwając się w swoich myślach i domysłach, z każdym dniem coraz mniej miał nadziei, coraz mniej humoru i wesołości i coraz mniej tuszy na sobie, że gdyby tak były te jego zgryzoty potrwały jeszcze pół roku, to byłaby panna Barbara już nic nie miała do zarzucenia jego powierzchownej figurze. Ale tego nie uważała panna Barbara, i widząc tylko ślady smutku jego na twarzy, nie pomału się temu dziwiła, a przypatrując się jemu, nieraz uśmiechała się do siebie i myślała w skrytości: — I czego się też tak martwi ten człowiek? jak gdyby to miłość była jakimś cierpieniem.

Do takiego smutnego położenia pana Józefa przyczyniała się i to nie pomału, że się nie miał nieborak przed kim spuścić ze swoich tajemnic, że się nie miał kogo poradzić, ani się kogo wypytać, jak on sobie poczynił i jak po zwyczaju poczynają sobie ludzie w takich terminach? A tu na nieszczęście i Grott nawet, lubo ten nie zdawał się Bobowskiemu człkiem do spraw takich zdatnym, jak pojechał o świętym Michale na mazury, tak i wieść o nim zginęła. I był bardzo biednym pan Józef i już wciąż smutnym na teraz i osowiałym, jak on ptak polny na słotę, i ratowała go w onych smutkach jego, które końca sobie znaleźć nie mogąc, jeszcze wciąż się mnożyły, tylko cierpliwość i spokój duszy, cierpliwość, którą w wysokim stopniu miał od natury, i spokój, którego mu Bóg nie odebrał w tej chwili.

I tak te rzeczy, nie ruszając się z miejsca, przetrwały jeszcze tę resztę zapust, a nawet i kilka tygodni wielkiego postu. Nie można jednak powiedzieć, ażeby pan Józef, lubo nie umiał nic stanowczo uczynić, był całkiem bezczynnym. I owszem, myślał on wiele i bardzo wiele nad swoją sprawą i w dzień i w nocy, i wieczorem i rankiem, zawsze nią był zajęty, ale jako to człowiek, kiedy w labirynt fałszywego rozumowania wejdzie, gorzej jeszcze tam błądzi, niż się błądzi w zimie na stepie wśród zawieruchy nocnej, tak i on co moment nowe kowając plany, zamiast coby się był miał przez to do swojego celu przybliżyć, jeszcze

się coraz bardziej od niego oddalał. I wartoby było te dziwaczne i najdziwaczniejsze pomysły pana stolnikowicza i w niniejszem opowiadaniu powtórzyć..... możeby ich znajomość komu się na co przydała..... niechcąc atoli za jego przykładem także przez to się od środka rzeczy oddalać, zamilczymy o nich zupełnie; tego wszakże przytém wszystkiém nie możemy pominąć, że o środopociu jeszcze jeden się panu Józefowi wydarzył wypadek, który zesumowany z wnioskami, z całego położenia rzeczy wyciągnięniemi, jeszcze go więcéj w jego słabych nadziejach zachwiał i prawie powalił.

A sprawczynią tego wypadku była sama panna Barbara. I ona bowiem, lubo rzeczy widziała jaśniej i realniej je brała od swojego kochanka, niemniej przeto w sądzie i opinii o niektórych z nich się myliła jak on; tego jój jednak zaprzeczyc nie można, iż która rzecz jój się wydała niejasną, to do jój wyjaśnienia sobie póty nie szczędziła myślenia, a nawet prób i doświadczeń, choćby tóż czasem intryg i podejścia, póki swego nie dokazała. Duch bowiem w tój panience był przedsiębiorczy i czynny i nie lada czém się zrazić dający. Owóż przy takiém usposobieniu, jako dawno już jój to było nieodgadnioném, dlaczego pan Józef, rzecz przeprowadziwszy do tego stopnia, że już nie mogło być tajno nikomu, że się w niej kocha i radby ją pojąć za żonę, na tém stanął i dalej nie idzie, tak z czasem, w którym supozycya ta o nim coraz więcéj się potwierdziła, a rzecz przeto zawsze jeszcze ani na krok dalej się nie pösowała, ona ciekawość w niej wzmagala się coraz bardziej, a znudzenie się tą jednostajnością także coraz silniej wznostało. I kiedy ta ciekawość wraz z unudzeniem doszła nakoniec do tego stopnia, że już aż wrodzona w niej cierpliwość głośno się odzywać poczęła, nie mogła już dalej panna Barbara dla urojonój jakiejś przyzwoitości przezwycięzać siebie do tyła, ażeby podczas kiedy w jój sercu wrzące się przewracały bałwany, twarz zawsze równém jaśniała milczeniem. I kiedy takie jój było usposobienie. trafiło się już nieraz natenczas, że czy to przy rodzicach, czy w samotności, pan Józef taką rzecz od niej usłyszał, na którą nie tylko że nigdy nie był przygotowany, ale która go, i tak zawsze wielki respekt mającego dla słów panny Barbary, tak bałamuciła, że straciwszy nieraz całą noc nad jój odgadnieniem, rano wstawał u siebie jeszcze więcéj zbałamucony, niżeli był wtenczas, kiedy pod pierwszém takiej zagadki wrażeniem wyjeżdżał z balogrodzkiego zamku.

Dnia tedy jednego, kiedy pan stolnikowicz ze zwyczajną był w Balogrodzie wizytą, i właśnie się tak wydarzyło, że go sam na sam z jego oblubienicą pozostawiono w środkowój komnacie, kawaler ten, bojąc się prawie wszystkich chwil takich, bo w nich zwyczajnie porzucała mu panna Barbara one trudne do odgadnienia a tak frasowne zagadki, zamiast użyć tój chwili na zwierzenie się z jakim sekretem, których tyle zawsze mieć zwykli dla siebie

kochający się młodzi, patrzył tylko przed siebie i milczał. Zniecierpliwiona tém po swojemu panna Barbara, nie ponuro przed siebie, ale z jawną w twarzy ironią, a może nawet ze złością patrzyła na pana Józefa; jednakże tą razą postanowiła tylko milczeć i tak wieczność przemilczeć z samej niecierpliwości. Ale postanowienia podkomorzanki nie zawsze się spełniały zupełnie, a przy najmniej nie zawsze w ten sposób, w jaki były powzięte; więc i teraz, miasto milczeć i milczeniem do przeznaczonój dobiegnać mety, niebawem już zapytała ona pana Józefa:

— Jak długo trwała ta ukraińska wyprawa, na którą waszmość chodziłeś?

— Blisko półtora roku, — odpowiedział z westchnieniem Bobowski.

— A jakże długo się waszmość na nią wybierałeś? — zapytała znowu Barbarka. — Na to Bobowski, namyślawszy się chwilkę:

— O! żeby prawdę powiedzieć, całe wybiéranie się na nią nie trwało u mnie ani jednéj godziny.

— Wraz z namysłem i przygotowaniem?

— Ze wszystkiém.

— No proszę, proszę! — rzekła z ironią podkomorzanka, — któżby się tego po waszmości spodziewał.

— Trzeba bowiem wiedzieć imć pannie, — rzekł na to pan Józef, nie umiejąc wcale korzystać z tego zwrotu rozmowy, — że to całe nie moja myśl była, ta ukraińska wyprawa. Ani się to w mojej głowie wylęło, ani się znalazła chęć do tego w mém sercu, a jako niedorzeczność téj całej imprezy widna mi jest dzisiaj, tak samo widzianą była mi natenczas.

— Tak?... — rzekła panna Barbara zawsze z ironią, która jednak nie widna była oczom pana Józefa, — tak? to nie serce waszmości pociągnęło na onę piękną i prawdziwie rycerską praktykę? i któż to waszmości do tego namówił?

— Mój brat to kochany, — odpowiedział w szczérości ducha pan Józef, — tak się do onego rycerstwa nagle zapaliwszy, jak gdyby już pod nim gorzało, prawdę mówiąc, nie namówił mnie do tego, ale mnie gwałtem pociągnął.

— I waszmość zaraz poszedłeś?

— Ha! poszedłem, — odpowiedział dobrodusznie pan Józef, — cóż było robić? poszedłem.

— Hm! — rzekła Barbarka, — powiedzże mi waszmość, gdzie się taki wychował?

— Tutaj, tu na ziemi sanockiej, — rzekł z niedowierzaniem w szczerość tego pytania Bobowski.

— Widać to po waszmości; — odpowiedziała na to Barbarka i ani patrząc na Bobowskiego, odeszła.

Gdyby był piorun żywy uderzył tuż u nóg pana Józefa, albo gdyby był zamek balogrodzki nagle strzeszczał i przez połowę się w gruzu rozsypał, tak, żeby on, w zamkniętej siedzący komnacie,

nagle się ujrzał na ostatnim belku więzienia w czystym powietrzu stojący, nie byłoby go tak mocno przeraziło, jak go przeraziły ostatnie słowa panny podkomorzanki. Uczucia, które go wtenczas opanowały, nie dadzą się tak łatwo opisać, bo ich było tak wiele a taka różność była pomiędzy niemi, że z nich jasnej zdać sobie sprawy nawet sam nie umiał Bobowski, jakoż zerwawszy się on ze swego krzesła, stał zamyślony pod oknem, a wpatrzywszy się martwemi oczyma w martwą pod swoje stopy rozścieloną makatę, sam nie wiedział co czynić, gniewając się na siebie, czy płakać, czy śmiać się, czy wsiąść na koń i nazawsze odjechać z tego fatalnego zamczyska. I byłby może tak stał do północy albo i świtania, nic postanowić nie mogąc, gdyby nie to, że niebawem wszedł podkomorzy z kapelanem i w ciekawą o jurysteryi go uwikłał rozmowę. Gorzej to było dla pana Józefa, bo one wszystkie nieprzyjemne uczucia jakby głąz ciężki upadły na dno jego miękkiego serca i tam stwardły jak kamień wśród tej mądrej rozmowy: ale trudnoż było mu milczeć przy podkomorzym, albo takie pożegnanie panny Barbary brać ze sobą do domu. Perorował tedy nieborak o Voluminach legum i konstytucyach jak mógł w onej chwili, a lubo i tak co moment nowy aplauz odbierał od swoich słuchaczy, toż jednak oddałby on był natenczas i sławę samego Likurga albo Salomona, za kilka słów tylko, a nawet za jeden uśmiech panny Barbary. Ale panna Barbara nie przychodziła — i nie przyszła już tego wieczora. I pan Józef odjechał z całym ciężarem onych smutnych uczuć do domu, i ani na balogrodzkim zamku, ani nawet na drodze nie pozostawił z nich ani jednego.

A przyjechawszy na dwór żernicki, zamknął się w nim, jakby w celi klasztornej. Przez dni kilka nawet ani do sieni nie wyjrzał i wydobywając po jednę wszystkie swoje zgryzoty i wszystkie frasunki, warzył się z niemi w swych myślach, jakby w ukropie. I różnie mu się majaczyło po głowie i sercu, bo miotła się już dusza jego w nieznaną dotąd niecierpliwości i poczęła już różne nowe do siebie przypuszczać uczucia; jak naprzykład dumę osobistą i rezygnacyą; jednakże pomimo dni kilku krwawej pracy i potykania się z sobą, do niczego nie doprowadził i niczego nie postanowił pan Józef, a całym owocem tych pracowitych dni kilku były tylko znaki niebieskie pod jego oczyma, które pozostawiła bezsenność, bladeść na twarzy, którą pozostawiła zgryzota i jakieś niedogaste płomienie w oczach, które pozostawiła chęćka ratowania się z toni i niecierpliwość.

Przez te dni kilka zamknięcia się pana Bobowskiego w Żernicy, wielkie burze i zawieruchy były na dworze. Zima, wysilając się ostatecznie, do tego stopnia pozasypywała śniegami drogę, że ani myśleć komu było natenczas o ruszeniu się z domu; i bardzo to na rękę było panu Józefowi, bo nietylko że mu nikt nie przeszkodził w koniecznej dla niego natenczas samotności, ale nawet panu łowczycowi nie potrzebował tłumaczyć się z tego, dlaczego

go przez kilka dni nie widział. I minęły już wreszcie burze i pojeżdżano już drogi, ale pan Józef jeszcze jakoś nic się nie wyruszał i lubo się nakoniec codziennie już wybierał do Żerniczki, przecie doczekał się tego, że nie on tam, ale pan Stanisław do niego przyjechał.

Przyjechawszy, aż się przeląkł pan łowczyc, kiedy tyle bla-ności i smutku w twarzy swojego brata obaczył. Jednakże nic nie mówił, bo nie wiedząc z pewnością co temu być może za przyczyna, a nawet czyli to są rzeczywiście smutki i zgryzoty, nie chciał się z lada czém przed nim wyrwać. Ale go serce zabolalo szczerze i litość go wzięła serdeczna, więc postanowił bliżej przypatrzeć się panu bratu i nie odjechać pierwej, nimby mu, gdyby tego potrzeba była, nie przyniósł ulgi lub pomocy.

Po przywitaniu tedy i wypyтaniu o rzeczy codzienne i dnie ostatnie, usiadł pan łowczyc w poręczowém krześle i lulkę ulubioną zatliwszy, przypatrywał się, milcząc, dziedzicowi Żernicy. Pan Józef chodził po izbie od kąta do kąta; chciał on wprawdzie coś mówić, aby swój smutek utaić i zaczynał już to i owo, ale kiedy mu się słowa w żaden sens wiązać nie chciały, dał pokój temu i chodząc, milczał.

To uważając i dobrą chwilę wyczekawszy pan łowczyc, nie mógł już dłużej wytrzymać i rzekł nareszcie:

— Panie bracie! coś nie w swoim sosie dziś jesteś, czy cię co nie dolega?

— Ej nic, — odpowiedział Bobowski, — ot tak jakoś mi nie wesoło.

I znów chwilę trwało milczenie, po którym zasie pan łowczyc:

— Widzi mi się, że nie musi to być bez przyczyny i że nie od dzisiaj musi być ta wesołość, bo dawniejsze jęj ślady na twojéj twarzy.

— Znać co na mojej twarzy? — zapytał pan Józef i pojrząwszy w zwierciadło, dodał prędko: — Zapewne, przybłądłem trochę, ale to tak, sam nie wiem z czego.

— To może prędzej jabym mógł wiedzieć, — rzekł tajemniczo pan łowczyc.

— A cóżbyś ty mógł wiedzieć? — spytał pan Józef.

— No, wszystko, nie wszystko, — mówił pomału Stanisław, — ale przecież coś mógłbym wiedzieć. Coś obaczą oczy moje, chociaż wzrok w nich przytępy, czegoś domyśli się rozum, chociaż także nieosobliwszy, a coś nakoniec podsłuchają i uszy, bo przecie tak nie milczą po sąsiedztwach jako ty radbyś milczeć przedemną.

Na te słowa stolnikowicz stanął jak wryty i z wielką ciekawością spojrział na swego brata, który spokojnie lulkę palił i patrząc w ziemię, minę czynił ciekawszą nawet niżeli sam gospodarz, który nareszcie zapytał:

— O mnie co po sąsiedztwach? a cóż o mnie tam mówić mogą?

— Ludzie już nic, bo się już wygadali, — odpowiedział po swojemu pan łowczyc, — ale zaiste teraz wróble śpiwają na dachach. I to mnie jest bardzo przykro, że już ludzie się wygadali, już i wróble się wyśpiwują nareszcie, a ja zawsze jeszcze nic nie wiem.

— Panie bracie, — rzekł na to teraz otwarcie Bobowski, — trudno mi się z tém taić przed tobą, że i piérwójby było a może i teraz jest jeszcze się z czém zwierzyć przed tobą, i Bóg mi jest świadkiem, ile razy myślałem o tém i jak gorąco pragnąłem tego, żeby choć wygadać z onych ciężkich frasunków, które mnie porą tak boleśnie, że mnie dalej i na śmierć zapora; ale zważ sam, czy ja to mogłem uczynić, kiedy to wszystko winie się około takiej materyi, której ty jesteś głównym nieprzyjacielem. — Na to pan łowczyc:

— Hm! — rzecze zwolna, — niéma co mówić, że się jest statecznym antagonistą tego, co jest głupie w sobie i niedorzeczne, jakoż pewna, że wiele i bardzo wiele potrzebaby na to, aby mnie ku temu zniewolić, żebym młodemu pochwalił ożenienia się *desiderium*, ale znowu może nie tak bardzo wiele, żeby się tego przyzbiierać nie mogło dosyć, zwłaszcza téż u takiego, który, jako widzę, koniecznie już na to naważył, aby o baba za łeb wzięła i zrobiła z niego indywiduum bardzo pożyteczne, bo propagatora rodzaju ludzkiego, ale téż i nic więcéj. *Volenti non fit injura*, ale *injuria fit* światu i przyjaciołom, kiedy są z mężów, mogących być chlubą i splendorem.

— Owo widzisz zaraz — przerwał w tém miejscu Bobowski, — potwierdzenie tego, com dopiéro powiedział. I na co ja się mam zwierzać przed tobą?

— No, no, — rzekł z uśmiechem pan łowczyc, — nic to nie wadzi przypomnieć to i owo panu Józefowi, co powinien mieć głęboko wyryte w swém sercu.

— Nie wadzi, ale się na nic nie przyda. To co mi powiesz w téj materyi, ja już oddawna umiem prawie na pamięć, i gdyby to było podobna, żeby mnie twoje argumenta mogły przeciagnać na twoją stronę, jużbym był ci dawno zaproponował, ażebyśmy oprócz ślubu uczynionego na wieczną przyjaźń, uczynili jeszcze ślub na wieczne hezżeństwo.

— No, no, nie gniewajże się, proszę ciebie, — rzekł od serca pan łowczyc, — wiesz, że co kto lubi, témby się rad pieścić co chwila, ale nie idzie zatém, ażeby się nie miało i co drugiego polubić, a osobliwie téż co takiego, co godne kochania. Szczęście twoje, kochany panie Józefie, i ukontentowanie, bądź pewnym że mnie tak cieszyć będzie, jak moje własne a może i lepiej jeszcze, bez wielkiego nawet skrupułu w tém, jaka to rzecz będzie, która ciebie ukontentuje, byleby była uczciwa; a teraz nawet, jeżeli mam

prawdę powiedzieć, w dwójnasóbby mnie cieszyło każde twoje ukontentowanie, bo jako widzę, już się tak sfasował, że wyglądasz jak śmierć.

— Otóż teraz, to mądrze powiadasz! — zawołał uradowany Bobowski, — niechże cię za to uściskam i pocałuję. — A obcałowawszy go jak należy i troszeczkę się rozplakawszy przy tym wylewie serca, dodał, chustką twarz ocierając i oczy:

— Zawszem ja sobie tak myślał, że się to inaczej nie skończy, jeno że połowę tych smutków moich koniecznie na siebie wziąć musi Stasio mój kochany.

— A gdyby nawet i wszystkie, — odpowiedział na to z serdecznym już płaczem olbrzymi Stanisław, — ładuj na niego co możesz, barki u niego szerokie, to dużo poniesie, a im więcej poniesie, tém, jak ciebie kocham Józieńku... tém będzie szczęśliwszy.

— Bodaj ciebie Pan Bóg nigdy za to nie wypuścił z swojej opieki, — mówił dalej na dobre już płacząc Bobowski, — teraz dopiero widzę, co to jest przyjaciel.

— A jam to widział, — odpowiedział przerywanym od łez głosem pan łowczyca, — kiedy w bisurmańskiej stękając niewoli, ciebiem nagle obaczył, Józieńku.

I tak płacząc a przypominając sobie wzajemnie dla siebie poniesione ofiary i poświęcenia, za chwil kilka już przywrócili pomiędzy sobą oną dawną serdeczność i otwartość braterską, która zawsze trwała pomiędzy nimi aż do tego momentu, w którym się gdzieś nie rozkochał Bobowski.

W pół godziny tóż po tém już w najlepszym humorze i sercem najłżejszém opowiadał pan Józef swojemu bratu cały proceder swojej teraźniejszej miłości, przyczém nietylko nie zapomniał o najdrobniejszych w téj całej sprawie zachodzących wypadkach i scenach, ale nawet starał się swoją miłość w takich odmalować kolorach, które może nawet nie były jój rzeczywistym przedmiotem, lecz niemniej przeto miały to przeznaczenie, ażeby miękkie a przeciw małżeństwu oburzające się serce pana łowczyca rozczulić i dla siebie pozyskać. Osuchowski słuchał tego opowiadania z zajęciem, czasami je przerywał, ażeby się o niektóre szczegóły bliżej rozpytać, lecz częściej jeszcze wzdychał tylko i milczał, tak, jak gdyby i on kiedy w podobném był położeniu i przypominając sobie dzisiaj swoje dawniejsze uczucia, Bobowskiego cierpienia i frasunki pojmował jasno i czuwał w dwójnasób. Kiedy taś skończył pan Józef, rzekł on mu na to:

— Panie bracie! widzi mi się jakaś wielka tu być wikłanina. Bo niedosyc na tém, że snąc z trudnaby na tę kompulacją mieli przyzwolić starzy, ale nawet i o sentymencie panny dla siebie nie masz żadnej pewności. A pannisko to jakieś przemądre i sprytne, w gębie u niej jak u drugiego oratora na sejmie, a oczy jakieś czarne i przenikliwe, że bodaj czy nie diabeł sam mieszka w tém subiekcie. Ja tam zresztą o tém sądzić nie chcę, bo to

nie moje rzemiosło, ale to wiem pewno, że kiedy Bóg da, to z przyczyny dobrej i uczciwej kobiety człek się nacierpi nieraz powyżej uszu, a cóż dopiero potrafi taka, która jeździ na koniu jak huzar i strzela lepiej jak łucznik z profesyi. Panie bracie, ja-bym się bał takiej dziewczki.

— A ja się nie boję, — odpowiedział na to Bobowski, — bo wiem dobrze, że to jeno zdaleka tak się wszystko wydaje, a zblizka każda z nich jest i być musi kobietą. Stroi miny i wydwarza sobie dopóty, dopóki jest panią, wie o tém dobrze, że czy dla niej, czy dla jój rodziców, czy przez afekt, czyli przez delikatność, każdy skakać musi przed nią jak jemu zagra; ale niechno weźmie obowiązki na siebie i dostanie swojego pana, któremu posłuszeństwo przed Panem Bogiem przysięże, to wraz będzie i strój inny, i mina. — Na to pan łowczyc:

— Nie rozumiem ja tego tak doskonale, ażebym zaraz nieomylnie mógł wyrokować, a lubo już widziałem w mojem życiu i takie, które przed ślubem były potulne jak trusie, a w rok potem lub we dwa w kąty iść mogły przed nimi lwice i hyeny, toż jednak niekoniecznie obstają przy swoim i przyznają, że w tych rzeczach i tak być może, i owak. To tylko jedno sobie muszę wyprosić, com już przedtém powiadał, a to jest, że ani się nigdy nikt spodziewać nie może, jako go nieszczęście spotyka z przyczyny kobiety; mam ja tego doświadczenia na sobie i od tego czasu, jak mnie to napotkało, dziesiątemu odradzać będę, aby się nie przybliżał nawet do tych stworzeń, to tém to owém nęcących, bo czasem za jedno spojrzenie płaci się takim frasunkiem, na który wieleby potrzeba gdzieindziej.

— Mój Stasiu — rzekł na to pan stolnikowicz, — jużes mi kilka razy wspomniał o tém, żeś niemało przecierpiał z przyczyny kobiet, a jeszcze ani razu nie przyszło do tego, żebyś mi to opowiedział. Dziwiło mnie to już pierwój, dziwi teraz tém bardziej, bo niewidząc ciebie prawie nigdy nawet rozmawiającego z kobietami, nie rozumiem, jakeś mógł przyjść do jakiego z ich przyczyny nieszczęścia.

— Otóż to jest! — rzekł na to pan łowczyc, — jednakże to muszę powiedzieć, że niezawsze tak u mnie bywało, jako jest teraz. I jam, kiedy bym był młodszy, serce miał tkliwsze na takie rzeczy, i jam chwalił piękność w kobietach, a lubom za niemi karku zaraz nie kręcił i, Panu Bogu niech będzie chwała, nigdy się żadnego bałamuctwa nie dopuścił, toż jednak wiele serca miałem dla tego kornetowego rodzaju. Przyznać się nawet muszę, że widząc tędy owędy, jako to niezaradne stworzenia za mąż wyszedłszy, nieraz są po barbarzyńsku traktowane od grubych swych mężów, jako muszą znosić ich sprośności, pijaństwa, hałaburdy i Pan Bóg nie wie co jeszcze i nawet słowa im za to powiedzieć nie wolno, bo zaraz krzyk za to, przekleństwa, a na czas i co gorszego jeszcze; widząc to, mówię, nieraz mnie srodze serce nad niemi

bolało, a na onych mężów taka mnie złość porwała, że byłbym im z wielką satysfakcją dawał po sto batogów. Otóż do czego mnie doprowadziła ona litość moja. Onego czasu byłem ja na dworze jw. hetmana. Zrazu byłem używany do posług zwyczajnych, albo raczej do żadnych, i mieściłem się między innymi dworzany. Ale kiedy wkrótce pan hetman obaczył, że nie lada kto mi dorówna na rękę, nie lada kto przeniesie na koniu i że wielki rygor jest około mnie i wszystkich rzeczy moich, dał mnie do swojej lejbgardy na oficera. Więc lejbgardy tej wszystkiój, konnej i suto po huzarsku ubranój, było sto szabel i dowodził nią jmc pan Chilchen, ale że już nieborak był człek leniwy i często na zdrowie zapadał, więc mnie pan hetman zaraz na samym wstępie powiedział: „Strzeż się, mospanie Gozdawito, a pilnuj się w służbie, bo kapitaństwo jeno na włosku już wisi nad tobą.” A chociaż to kapitaństwo było w służbie pańskiej a nie koronnej, jednak to zawsze rzecz piękna i widok z niej pośledni. Pilnowałem się tedy jak mogłem i pan hetman był kontent ze mnie, i kiedym przed nim kompanią moję szykował, powiedział nieraz do swoich gości, co mnie potem drudzy komunikowali dworzanie: „Bodajto mieć Gozdawitów na służbie, rodzą się już w szyszaku i przy szabli.” I snąc już gdzieś niedaleko było to kapitaństwo, bo nietylko że mnie już ci owi ten tytuł dawali, ale nawet i pan Chilchen już tak począł ze sił opadać, że go na konia aż wysadzać musiano. Onego też czasu zwołał król sejm do Warszawy. Trzeba było i panu hetmanowi tam jechać, a jechało się z wielkim dworem i służbą taką, że w Białymstoku jedno gołąbkowaci staruszkowie pozostawali. Więc i pan Chilchen pozostał, a tymczasowo mnie pan hetman poruczył komendę. Przyjechawszy do Warszawy, stanął pan hetman w swoim pałacu na Podwalu; służba co przedniejsza około niego, my zaś to w oficynach, to w kamienicach obok pałacu stojących, a umyślnie na to ponajmownych.

Owóż zrazu póki sejm trwał, było codzień co robić, bo trzeba było całą lejbgardę prowadzić przed karétą hetmańską, to na sejm, to na zamek królewski, to do kościołów. Ale kiedy sejm niebawem po staremu zerwano, jako to wszystkie rwą po jednemu, to i służba się moja skończyła i nie było co robić. Wtenczas siedząc nieraz z nudów w oknie mojęj kwatery i patrząc się na ulicę, zauważałem, że w kamienicy naprzeciwko, w oknie wprost przeciw memu, często siadywała jakaś kobiéta. Kobiéta ta była młoda i bardzo piękna, ale taka jakaś smutna i zafrasowana, że pomimo to iż zawsze prawie trzymała jakąś robotę w rękę, nigdy jój nie robiła i myślałem sobie: pewnie to już jakieś niepoczciwe mężyisko pastwi się nad tém niewinném stworzeniem. W kilka dni potém, widząc że ten płacz jój trwa ustawicznie i że to już taki musi być chléb jój codzienny, zawołałem ja mego Suchotkę, co owo w naszych oczach zginął na hajdamackiój, a który był

chłopiec sprytny i ciekawy, i rzeknę jemu: „Widzisz owo tam tę podwikę, jako jest smutna i płacze owóz? ona tak zawsze. Skocz-no mówię do tego domu i chyłkiem a milczkiem dowiedz mnie się, kto ona jest i za co tak ustawnie łyzy leje?” Pobiegl chłopiec a ja tymczasem wciąż patrzyłem do okna. Jakoż w chwilę zaraz zniknęła ona niewiasta od swego okna, a w drugą chwilę zasia przyszła i obejrzawszy pierwej, aza ją kto nie podgląda, pakłoniła mi się po kilka razy. Jakoż Panie Boże mi odpuść, i ja się jęj także kłaniałem. W skok potem przyleciał chłopiec: „A cóż tedy, Suchotka?” spytałem. „Owa panie wiadomość jest; — rzekł on — w onych izbach mieszka mieszczanin jakiś tutejszy, który bija kapelusze pilśniowe a owo jego żona. Ala ma to jakiś wielki pijanica i hultaj być, bo każdego dnia, kiedy do domu przychodzi, krzyki wielkie wyrabia i żonę bija.” — „Majsterze to jest, czy czeladnik?” pytałem znowu. — „Majster, Niemiec, odpowiedział Suchotka, i ma dwie kamienice, przecie mieszczanin.” Jakoś to mnie niebardzo kwadruje, pomyślałem sobie, żeby kamieniczny mieszczanin warszawski miał taki hultaj być, ale różnie to bywa na świecie i niewiedzić, jaki w tém u Niemców obyczaj: więc nakarbo wałem sobie to na onego mieszczanina i konsolowałem tymczasem onę niebogę jak mogłem. Aż tu w kilka tygodni jednego dnia raniuteńko, jenom się dopiero co ubrał, wpada do mnie ona nieboga z płaczem strasznym i jękiem i padając przedemną na kolana, w niebogłoty wzywa mojego ratunku. Zrazu nie mogłem zrozumieć o co rzecz chodzi, ale wkrótce pokazało się jawnie, że ją mąż jeno świt zbił na kwaśne jabłko. Och! serdecznie mi się żał zrobiło tój kobiéciny, jakoż uspokoiwszy ją, kazałem aby szła zaraz do siebie i była spokojną, bo sprawiedliwość nie chybi. Zaraz tóż posłałem mojego husarza do onego mieszczanina z rozkazem, ażeby w ten czas stawił się do apelu. W krótkiej chwili husarz powrócił nazad ale bez mieszczanina i tylko z tą wiadomością, że kapelusznik ani myśli się stawić, mówiąc że nie jest żołnierz i nie ma nic do czynienia z panem kapitanem. — Ale ja mam z nim do czynienia! zawołałem na to; weźże zaraz sześciu żołnierzy albo i więcej i żeby mi tu wtenczas na pokoju był kapelusznik.” Jako rzekłem, tak się tóż stało. W jedném mrugnieniu oka przyniesiono na rękach onego srogiego męża i postawiono przedemną; ale chudzina jakiś był, mały i wcale nie srogi. Rzeknę tedy do niego: „Czemu nie stajesz do apelu, kiedy cię wołają?” „Wielmożny panie, odpowie on z niemiecka, ja nie mam obowiązku stawania do apelu, bom ja nie jest żołnierz...” — Nie żołnierz ty jesteś, ale bestya dzika i zwierz. Jak to sobie hultaju poczynasz z żoną? to ty taki mieszczanin warszawski? taki ty przykład dajesz ze siebie drugim? masz ty serce w ciele, żebyś ty taką niewinną kobietę mordował i poniewierał?” — A on na to: — A cóż jegomości do tego, jako ja się obchodzę z żoną? jegomość masz służbę czynić około pana hetmana...” — Co? zawołałem, co mnie do tego? otóż

żeby ci pokazał, że mnie do tego i że mam czasu dosyć, ażeby i koło ciebie przyzwoitą uczynić służbę, weźcie go! — krzyknę. Jakoż wzięto go zaraz, a Suchotka takich mu sto bizunów sypnął, jak jeden. Zawłókt się potem Niemczyna i przez kilka dni cicho było jak mak zasiał. Aż tu nagle wołają mnie do pana hetmana. Już zaraz na pierwszy rzut oka widziałem, że coś nie dobrze, bo hetman tylko chodził i sapał i patrzył na mnie. A potem nagle: „Co to waszmość za burdy wyrabiasz tu po Warszawie?” — „Ja jw. panie? odpowiedziałem, jam nic nie winien.” — Wszyscyście nic nie winni! zawołał hetman; wstyd mnie jeno robicie! przez waćpana mało się nie zburzyło całe mieszczaństwo warszawskie! Chodzili do pana marszałka, grozili że mój pałac zburzą, tak że kamień na kamieniu nie pozostanie, gardła waćpana żądali.” — Ja chciałem coś na to mówić, ale hetman krzyknął: „No! dosyć już, ani słowa” i zaraz klasnąwszy w ręce, rozkazał aby zawołano pana Sulerzyckiego. A kiedy wszedł Sulerzycki, rzekł hetman do mnie: „Złożysz waćpan zaraz komendę lejbgardy w ręce pana Sulerzyckiego, a sam się udasz do mojego marszałka. Nie spodziewałem się tego po Gozdawiciel!” I nie było już co powiadać. Poszedłem zaraz ze Sulerzyckim do siebie, i ubrawszy się w mundur a kazawszy stanąć całej lejbgardzie w dziedzińcu, zdałem jemu komendę. Ze łzami w oczach żegnałem się z moimi husarzami, bom ich kochał serdecznie; jakoż ze łzami także brał odemnie tę komendę on Sulerzycki i mówił: „Bodaj-żebym ją w rychle nazad oddał waszmości;” ale cóż było robić? Potem zaraz, zrzuciwszy mundur, szedłem do hetmańskiego marszałka dworu, który był człek surowszy jeszcze jak pan Bieliński. Przyszedłszy tam, spytał mnie zaraz: „Wiele waszmość batogów dałeś onemu Niemcowi?” — „Sto jako jedem” odpowiedziałem. Na to on: „Otóż te sto zaraz nazad dostaniesz i pójdziesz na trzy miesiące *in fundum* o chlebie i wodzie. Taki jest rozkaz hetmana.” — A to ja dziękuję za służbę; zawołałem na to. „I to być może, odpowiedział on, ale pierwszej wzięć musisz zapłatę.” — Nie było rady. Położyłem się na kobierzec, odliczono mnie sto batogów i poszedłem jeszcze dnia tego *in fundum*, który lubo się nie znajdował na dzień wieży, tak jako jest w Białymstoku, ale zawsze była to dziura brzydka w piwnicy. Oj! panie bracie, com się tam naklął tych potomków Ewniego rodzaju, to żeby ich jeno setna część tego spotkała, jużby śnać ani jednej z nich nie było na świecie. I od tego czasu chrońże mnie Boże! ani się patrzeć nie lubię na takie miejsce, kędy przeszła kobiéta.

Kiedy skończył pan łowczyc, Bobowski chodził, słuchał, patrzył i sam nie wiedział co mówić. Nie spodziewał się on bowiem nigdy, ażeby nabożeństwo do *coelibatu* jego brata w takim zdaniu miało swoją kolébkę; nie spodziewał się nawet, ażeby Stanisław, który zresztą miał niezliczoną ilość zalet serca a nawet głowy, na tak dziwnym się rozbiwszy szkopule, przez lat tyle nie

mógł się orzeźwić ze swego rozbicia... jednakże aby choć coś powiedzieć, odezwał się na to:

— Miło to i cierpieć nakoniec za kobietę, kiedy cierpienie to naprzód już było przez nią zapłaconém.

— A to jakim sposobem? — zapytał pan łowczyc.

— Pawiadałeś przecie, że niepospolicie piękną była kapeluszniczka.

— No i cóż z tego? — odpowiedział pan łowczyc,— jam z nią i trzech słów nie wymienił, prócz onych, kiedy się przyszła poskarżyć na męża.

Po tej wiadomości, Bobowski jeszcze mniej wiedział co powiedzieć, niż przedtém i nic już nie mówił. Osuchowski zaś, myśląc zapewne, że ta jego opowieść taki klin silny zabiła panu Józefowi w głowę, że aż nie wie co mówić, cieszył się tém i obserwując tylko swojego brata, także już nic nie mówił. Ale milczenie Bobowskiego, który tak daleko był od wszelkiego wrażenia, jak Osuchowski od ożenienia, nie trwało długo; nie wiedząc wszakże jeszcze, jakim sposobem ma nazad rozmowę na swój tór sprowadzić, zapytał tymczasem:

— I jakżeż? więc już na zawsze przepadło twoje kapitaństwo w lejbgardzie?

— Nietylko kapitaństwo,—odpowiedział na to pan łowczyc,— ale nawet cała moja karyera już na diabła poszła onego czasu, bo przecie nie byłoby się na samém kapitaństwie skończyło.

— Zapewne, — rzekł na to pan Józef,—a wszystko przez kobiety.

— A wszystko przez kobiety,—odpowiedział w dobrej wierze pan łowczyc i tak mówił dalej: — Jednakże, jako się później namyśliłem, nic pewniejszego jak to, że gdybym był miał wolę po temu, to można to było wszystko jeszcze naprawić. Pan hetman miał dobre serce i nie umiał uraz pamiętać, a jeżeli się co komu z jego woli dostało, to pewnie dyspozycya do tego była dana w pierwszym impecie. Powiadano nawet, że więcej o tych lubił pamiętać, którym się co kiedy dostało, niżeli o drugich. Ale ja już jakoś nie miałem serca do niego; nie chciało mi się zresztą, bo myślałem sobie, że niechby jeno co trzy lata się człowiekowi oberwało w tej służbie takie poczęstne, to choćby z czasem tam dano dwa lub trzy folwarki w dożywocie, albo i starostwo jakie wyproszono u króla, niewiedzieć jeszcze czy stanęłaby skórka za wyprawę.

I jeżeli tak rozumował pan łowczyc, to miał słuszność zupełną, ale w tém śnać nie miał słuszności, jeżeli myślał z kapitańskiej rangi w lejbgardzie zaraz awansować gdzie dalej. Hetman Branicki był pan dobry i o swe sługi dbały jak ojciec, ale nie łatwa była służba u niego, a bardzo łatwe batogi. Jakoż i ten Sulerzycki, który po Osuchowskim tymczasowo objął lejbgardy komendę, w kilka lat jeszcze potem także tak bolesnemu musiał

uledz losowi, jak jego poprzednik. Ale z innej przyczyny, a to z następującej. Był on bratem rodzonym i najmłodszym owego Andrzeja Sulerzyckiego, którego, jak to wiemy od szlachty targowej w Łatesowej winiarni przeszłego roku zgromadzonej, za gwałtowność kazał być ściąć marszałek trybunału, Karwicki. Było jemu Leon na imię i był z niego młodzieniec duszy wyniosłej i serca czulego; jakoż onę straty brata, którego zawsze uważał być wcale niewinnym, długo nie mógł zapomnieć. W krótkim czasie potem zdarza się tak, że ten sam Karwicki przyjechał do pana Branickiego do Białegostoku. Sulerzycki, służąc z talerzem swojemu panu przy stole, przy którym siedział Karwicki, a nie mogąc znieść widoku zabójcy swojego brata, utoczył nożem krwi z swojej ręki na talerz i w oczach wszystkich podał go Karwickiemu, mówiąc: „Naści Karwicki, napij się krwi Sulerzyckich.” Za co obruszony pan hetman kazał go porwać i wyliczyć mu sto batogów. Nie zasłużył wprawdzie pan Karwicki na taką obelgę, bo on wyrok jego na Andrzeja wydany, powinien mu tylko chlubę przynosić po wieczne czasy; ale też i postępek pana Leona, który był tylko skutkiem silnej miłości braterskiej i uczucia honoru, nie powinien był tak być karany. Jakoż musiał to także z czasem poznać i pan hetman, bo nietylko że potem na żaden sposób nie chciał puścić od siebie pana Leona, ale go nawet dwoma folwarkami i wielkim zaufaniem swoim obdarzył, które zachował dla niego aż do śmierci. To o Sulerzyckim nawiasowo wspomniawszy, powracamy do rzeczy.

Kiedy tak przez onę dziwną opowieść Osuchowskiego, rozmowa braci ślubnych od właściwego odeszła przedmiotu i Osuchowski, myśląc że onym przykładem ze swego życia nie mały klin w głowę zabił panu Józefowi, uparte zachowywał milczenie, Bobowski, albo to widząc jawnie, albo prawdy się tylko domyślając, srodze się zafrasował. Ale nie było już w Osuchowskim onego dawnego uporu utrzymania koniecznie pana Józefa w bezżeństwie, i owszem, ukraińską wyprawą swoją i różnemi bądź prawdziwemi, bądź fałszywemi argumentami silnie zwichnięty w swoich dawniejszych opiniach, a jeszcze silniej w zaufaniu w swój rozum, dawno już postanowił u siebie nic się nie mieszać w plany i zachcenia swojego brata, i cokolwiek bądź być miało, nie byłby on mu się w niczem sprzeciwiał. A lubo zdania jego o małżeństwie trąciły zawsze tém, w czém od lat tylu statecznie trwały, i lubo sam dla siebie zapewne i dzisiaj jeszcze myślał i postanowił inaczej, toż dla Bobowskiego całkiem już był wyrozumiął, a nawet jego dzisiejszemi zwierzeniami tak za serce ujęty i jego frasunkami tak przestraszony, że widząc teraz nowe chmury gromadzące się na jego czole, niepytany nawet zaczął w ten sens:

— Widzi mi się, panie bracie, że on bożek pogański, którego zowią Hymenem, wziął już waszeci na takie wędzidło, że cię już z niego nie puści. Żle to jest, panie bracie, nawet fatalnie. I nie

mówię już że dlatego fatalnie, że krew Gryffów nic jeszcze nie uczyniwszy na polu, pójdzie na domową posługę, ale dlatego fatalnie, że właśnie z tego małżeństwa nie prognostykuję ja sobie wiele szczęścia dla ciebie.

— A to dlaczego? — zapytał, ukrywając swoje radość, Bobowski.

— Dlatego — odpowiedział pan łowczyc, — że kiedy jeszcze ledwie dwa kroki ku tej rzeczy uczyniwszy, tak srogie już napotykasz frasunki, co ma być potem, kiedy sama rzecz przyjdzie? Panie bracie, niedawne to czasy, kiedy byłeś w paragrafowej niewoli i duszno ci tam było okrutnie; ale duszniej snać będzie widzi mi się w takiej niewoli, która nie wedle paragrafów stać będzie, ano w której jejność co moment to nowy napisze paragraf.

— Ale mój Stasiul — zawołał na to pan Józef, — o jakiej tobie się śni zawsze niewoli? odkąd świat stoi, regułą jest że wszyscy się żenią, a ledwie gdzie setny jest taki, który się bezżennym ostanie do śmierci; miałożby to ożenienie już takim nieszczęściem być i niewolą, jak ty powiadasz, to już dawno byłoby to było wynaleziono i opowiedziano, a nie dopiero ty-byś miał być tym inwentorem.... ty, który nie mówię już, że nigdy żonatym nie byłeś, ale nawet z kobietami na całym życiu może sto słów wymieniłeś.

— O! toś dobrze powiedział, — rzekł na to Osuchowski, — i prawdę mówiąc, zbiłeś mnie na mojem własnem śmieciu; ale mnie to dziwno, żeś pierwój kiedy tego argumentu nie znalazł, ano dopiero teraz.

— Boś mnie już wewnątrz duszy mojej poruszył, bo mnie już twoją krwią zimną, twoją obojętnością zabijasz, bobym już drugi proch wynalazł nareszcie a nietylko argument, aby posiąść pannę Barbarę! — odpowiedział z zapalem Bobowski. — Na to pan łowczyc:

— No, no, Józieńku, tylko nie tak gorąco; już ja widzę że cię nikt z tej choroby nie wyleczy, pogadajmyż tedy rozumnie.

— No, pogadajmy rozumnie, — odpowiedział znowu z radością Bobowski.

— Owa więc o to idzie, — rzekł dziedzic Żerniczki, — dadzą-li tobie tę pannę, albo nie?

— Owa o to idzie... i ja myślę że dadzą.

— A ja myślę że z trudna, — odpowiedział pan łowczyc.

— Czemuż tak myślisz?

— Myślę tak, bo mi się to jakiś wielki dom widzi. Podkomorzy.... jaśnie wielmożny.... ma ziemie tutaj, drugie ziemie na Rusi... oprócz tej córki tylko jednego syna... Wprawdzie to i u Bobowskich podkomorstwo nieosobliwe, jaśnie wielmożnych było ich wielu. ziemie mają i mieli, ale zawsze to jakoś zdaje mi się, że będą tu płoty i rowy, a może i mury do przesadzenia.

— Mój Stasiu, — rzekł na to pan Józef, — nie tak gadajmy.

— A jak?

— Czy chcesz żebym ja się ożenił?

— Ja nie chcę, — odpowiedział pan łowczyc, — ale ty chcesz i powiadasz, że w tém tylko może być całe szczęście twoje. A ma w tém być szczęście twoje, to ja nie tylko chcę tego, ale pragnę z całej duszy mojej i z całego serca...

— Mój Stasiu!..

— I nietylko, ale pomagać ci będę, jako sam sobie wymyśliłeś i zadysponujesz. Niech już tak będzie. I możesz być pewnym, że chociaż jabym był wolał, żebyś ty był w czém inném to szczęście twoje upatrzył, toż jednak i do tego pomagać będę i niemasz tego dobra, którego bym nie poświęcił dla ciebie.

— Nie, mój kochany, — rzekł na to Bobowski, — poświęceń tu żadnych nie będzie potrzeba z twój strony...

— Ha! kto to wie? bo to dwom panom służyć nie można, a przed żoną znać już na bok pójść musi przyjaciel a nawet i brat!.. rzekł smutno pan łowczyc.

— Och! nie, Stasiu! — zawołał na to pan Józef, — przyjaźń nasza nierozrwaną przeto zostanie i tak stateczną, jak była dotąd. Nie zniósłbym tego nigdy.

— Nie mów nic, — odpowiedział na to pan łowczyc, — aż póki nie doświadczysz. Żony nie lubią męzowskich przyjaciół, to wiadoma rzecz. Ale gdyby i tak być miało... jeżeli to do szczęścia twego potrzebne... ja się z serca zgodzę na wszystko.

Przykro się zrobiło panu Józefowi na te słowa szczerzego poświęcenia się brata, i począł się trochę namyślać i poczęła się mała w nim walka pomiędzy przyjaźnią a miłością; ale jako to zwyczajnie bywa, wkrótce kobieta zwyciężyła na tém polu, na którym zawsze zwycięża; jakoż przystąpił pan Józef do swego przyjaciela i rzekł:

— To i ty się ożeń, mój Stasiu.

— Ja? — rzekł na to zadziwiony pan łowczyc, — ja nigdy. Niech już jeden z nas tylko będzie u drugiego na wtórem miejscu, ty zostaniesz u mnie aż do śmierci na pierwszym.

I znowu się przykro zrobiło panu Józefowi i znowu zaczął chodzić po izbie, a myśli, które natenczas kłębammi wiły się po jego głowie i uczucia które się siliły ze sobą i przesilały w sercu, wszystkie wybiły się tak jasno na jego twarzy, że je mógł bez trudności wyczytać i wyczytał pan łowczyc, bo rzekł w krótkiej chwili:

— Ale nie sil się już napróżno ze sobą, Józieńku. Już żebyś ty mi teraz powiedział, że sam odstępujesz od tego ożenienia, to jabym nie pozwolił... i musiałbyś mi być koniecznie powolnym, bo już ja nie odstąpię od tego. Zawielkie to szczęście, jak uważam, będzie dla ciebie, ażebym cię śmiał od tentowania jego odmawiać, za wielkie! Niechajże już tak będzie. Od dzisiaj dnia zaczynaj

konkurować na prawdę, staraj się o afekt u panny, staraj się o względy u rodziców, a w czémbyś ja ci mógł być pomocnym, mów śmieło, wszystko uczynię i na teraz o niczém inném myśleć nie będę, jeno o tém, jakby to jaknajprędzej doprowadzić do skutku.

— Niechże ci Bóg zapłaci! — odpowiedział na to pan Józef, ściskając go po bratersku.

I od tego to momentu dopiero zaczął pan Józef konkurować na dobre. Nie było wprawdzie w nim przeto tak bardzo wiele więcej energii, bo zawsze rozumem i śmiałością Barbarki zbijany z toru i pozbawiony odwagi, nad każdą myślą, nad każdym słówkiem niemal musiał on się długo namyślać, nim się zdecydował nakoniec zakomunikować go swojej oblubienicy, a i tu jeszcze nie rzadko się tak zdarzało, że nieraz, kiedy wśród swojej perory nagle popatrzył jęj w oczy, to zaczętego już okresu nie był w stanie dokończyć: toż jednak miał on już teraz czyste przynajmniej sumienie, miał z swego brata silną za sobą ścianę, o którą, błyskawicami Barbarki olśniony i na nogach zachwiany, mógł się przynajmniej oprzeć i na chwilę odpocząć; miał nakoniec komu się zwierzyć z swych myśli, o wątpliwościach swoich pogadać, rady czyjś zaczerpnąć, że przecież w kilka tygodni doprowadził do tego, że już zdaleką i ostrożnie począł napomykać o swoich sentymentach Barbarce.

I gdyby tak nie przy końcu, ale z początku zimy Bobowskiego uczucia i myśli były się oczyściły z wątpliwości, i zaraz znajdując w Osuchowskim podpórę, wzmocniły się w sobie i ośmieliły, to byłoby to niezawodnie odrazu przyniosło dobre skutki dla niego w sercu i opinii podkomorzanki: teraz atoli już to nie wiele pomogło. Panna Barbara już się bowiem zanadto ugrunтоваła w tém, że miękkiem i niezaradnym jest duch pana Józefa, ażeby dla kilku nowo przez niego wypowiedzianych frazesów miała się zachwiać w swoim wyroku, a podczas, kiedy ani uważała ani chciała uważać na to, że w nim się cała jego istota teraz już odmieniła, że każde jego słowo, każdy ruch jego zdradza coraz śmielsze i coraz gorętsze dla niej uczucia, rosła w niej niecierpliwość coraz to większa, a jęj serce, wzmagając się także z każdym dniem więcej w swoich dotąd nie nader silnych dla Bobowskiego afektach, uczyło się już zawczasu gniewać się i znenawidzać na chwilę tego, którego posiadać pragnęło.

Rodzice Barbarki atoli, ludzie doświadczeni i starzy, nie brali tak na gorąco téj rzeczy, jak ona. Więc z początku, póki pan stolnikowicz ani nadto często, ani zbyt rzadko nawiedzał ich zamek, nie chcieli oni w tém widzieć żadnych osobnych względem ich córki intencji; później, kiedy te odwiedziny nie ustawały, przepisywali oni im ich naturalną przyczynę, wszakże przez skromność pocziwym rodzicom właściwą, ani wmawiali zaraz w córkę swoją, że ten a ów gość jest lub być może jęj konkurentem, ani téż

uważali za rzecz potrzebną wypierać się domysłów swoich przed sąsiadami; teraz atoli, kiedy pan Józef z większą w sercu i ustach odwagą, starał się nawet o to, ażeby przy tej i owjej sposobności dać im poznać szczerę swe chęci, uważali oni za rzecz konieczną nawet nie taić już tego przed sobą i nawet kiedyś o tém ze sobą pogadać. Onego téż czasu miała miejsce na bologrodzkim zamku wielka familijna narada.

Do matki i córki, siedzących o szarym zmroku przy kominie w narożnej komnacie, przyszedł pan podkomorzy z nieodstępny swym kapelanem i ledwie co obadwa usiedli, ojciec Barbarki, obróciwszy się do swjej żony, zaczął prawie w ten sens:

— Przyszliśmy tu, moja dziewczeczko, do was, aby trochę pogadać.

— Bardzo nam w porę przychodzicie waszmość panowie, — odpowiedziała na to pani podkomorzyna, — bo my obiedwie już od pół godziny tak siedząc, nic nie możemy wymyślić, a na spoczynek śnać jeszcze zawczasie.

— Owóż tedy, — rzekł na to pan podkomorzy, — bardzo mnie to kontentuje, że moja dziewczeczka dobrego jest dzisiaj usposobienia, bo mnie taka dzisiaj przyszła ochota, ażeby w rzeczy ważnej jēj opinii zasięgnąć.

— I owszem, mów tedy ojczy, a ja jako będę rozumiała, tak powiem. — Na to znów podkomorzy:

— Właśnieśmy sobie teraz z księdzem kapelanem dłuższy czas rozmawiali o panu Bobowskim... Jego intencje względem naszego domu zaczynają się stawać materyą licznych po sąsiedztwie dyskursów, nie możemy téż taić tego przed tobą, że i nam się być zdaje nie tajne... owóż możeby właśnie była dobra pora pomiędzy sobą co o tém pomówić.

— Nie wiem, w czém to rodzice widzą te Bobowskiego intencje, — odezwała się na to Barbarka.

— O! o! — rzekł na to, śmiejąc się, pan Karsznicki, — wiesz ty śnać lepiej o nich, niż my oboje. Jakoż i ciebie będziemy egzaminować.

— Ja nic nie wiem, — odpowiedziała z niechęcią Barbarka, i powstawszy ze swego siedzenia a przeszedłszy się kilka razy tam i sam po komnacie, wysła gdzieś precz i zapewne do swojej sypialni. Tymczasem zaś zabrała głos pani podkomorzyna:

— Nie masz co temu zaprzeczać, mój ojczy, — mówiła ona, — że to pana Bobowskiego bywanie w naszym domu nie może mieć nic innego na celu, jak staranie się o rękę Barbarki; ile ja nawet mogłam się od niěj samėj dowiedzieć, bo, — dodała ciszej matka, — na nieszczęście, niewiele jakoś mam zaufania u córki, to pan stolnikowicz chciał jēj już do kilka razy dać do poznania.

— A ona cóż na to? — zapytał ojciec.

— Pan Bobowski zdaje mi się dość jēj się podobał, a nawet może więcej niż tego potrzeba, ale to ją nudzi podobno, że mając

nieodmienne względem niej chęci, dotychczas jeszcze z niemi na jaw nie wystąpił.

— Mnie zasie,— rzekł na to ojciec,— jeżeli co się najbardziej w tym młodzieńcu podoba, to to właśnie, że tak statecznie a z takim namysłem postępuje po onej drodze, po której tylko lekko-myślni biegają prędko. Daje mnie on tém dowód swego rozsądku i charakteru.

— Już to gdyby ożenienie się prędkie dawało dowód lekko-myślności,— rzekła na to z uśmiechem podkomorzyna, — to jegomość mógłbyś być śmieie nazwanym najlekko-myślniejszym ze wszystkich ludzi, ale prawdę mówiąc, i mnie się to podoba w panu Bobowskim. Przytém wyrokować o nim nie mogę, bo go nie znam do tyła, ale zdaje się mieć serce cudnie piękne i dobre, i jeżeli mam prawdę powiedzieć, dlatego serce jego wielką we mnie ma przyjaciółkę; charakter zdaje się być stateczny, a jako fama niesie, ma to być pod każdym względem jeden z pierwszých młodzieży téj ziemi.

— Owoż ja się *ad jotam* zgadzam z jójmością,— dodał do tego ojciec,— a kiedy tak jest, to gdyby przyszło do tego, żeby się pan Bobowski miał deklarować o naszą Barbarkę, co jak uważam może lada dzień już nastąpić, nie będziemy się temu sprzeciwiać, dzieweczko, co?

— Jak jegomość uważasz, odpowiedziała na to podkomorzyna i dodała nakoniec:— ale zostawmy to Panu Bogu.

— Dlaczego, moje dziecko?— zapytał żywo pan Karsznicki,— co masz na myśli, powiedz otwarcie; przed kimże zresztą powiesz, jeśli nie przedemną?

— I... — rzekła smutnie podkomorzyna, oglądając się po komnacie, żali w niej niemasz Barbarki, — jedno mnie tylko strasza.

— Cóż to takiego? — zapytał z niespokojnością mąż jój.

— Ważna to myśl jest, mój mężu, ważna i straszna i daj Boże, aby nie była prawdziwą.

— Cóż to być może? — zapytał już prawie przerażony pan podkomorzy, a podczas kiedy ksiądz kapelan się z swoim krzesłem przysunął, aby lepiej mógł słyszeć, podkomorzyna rzekła smutno i prawie ze łzami:

— Nie będzie prawdziwego szczęścia w tym związku!

— Prawdę jójmość powiadasz,— rzekł na to prędko siwowłosy kapelan,— nie będzie tam szczęścia ni doli

— Dleczegóż to waszmość tak myślicie? — spytał zdziwiony teraz pan zamku.

— Mój mężu kochany— odpowiedziała smutnie podkomorzyna — znam ja dokładnie Barbarkę; jój jedno słowo, jój najdrobniejszy uczynek jest nieraz przedmiotem mojego całodziennego myślenia. I widzę ja wiele, chociaż o tém nie mówię; ale niestety Bóg mi dał oczy na to dopiero teraz, kiedy ptaszę o swoich skrzy-

dłach wyleciało już z gniazda. Uważałam ja i pana Bobowskiego pilnemi oczyma, ale im więcej się mu przypatruję i im jaśniejsza dusza jego staje przed memi oczyma, tém boleśniesznie mnie przejmują uczucie. Nie chciałabym męża tyrana dla córki, nie chciałabym aby była niewolnicą jego wszystkich skinień i myśli, ale miałaby ona owym mężem zawiadnąć, wnieść z swém wianem dla niego kajdany, zatruc jego myśl każdą, każde zażawic uczucie: Boże! nie przeniosłabym tego nigdy na siebie... jabym ze wstydu i zgryzoty... umarła!

W tym momencie weszła Barbarka.

— I cóż? — rzekła ona na wstępie, — wydalicie mnie już państwo za Bobowskiego, czy jeszcze się namyślacie?

— Siadajże, moje dziecko — rzekł na to z udaną wesołością jej ojciec — i powiedz nam, co ty myślisz o panu Bobowskim?

— Więc będzie egzamin? — spytała podkomorzanka.

— Egzamin, moje dziecko, — rzekł podkomorzy, — powiedz, jak myślisz?

— Kiedy państwo koniecznie chcecie, — odpowiedziała ona — to ja wam powiem. Ja myślę że się stolnikowicz rozkochał we mnie jak kotek w słońcu wiosenném, i myślę, że pan stolnikowicz jest to ciasteczkowa figura i nudziarz, jakiego świat nie widział...

— Ale moje dziecko, — przerwał tutaj jej ojciec — jakżeż możesz tak wyrokować, kiedy go jeszcze nie znasz dokładnie?

— Ale proszę ojca, — odpowiedziała z niecierpliwością podkomorzanka, — dosyć mnie ujrzyć cholewę, aby poznać że but jest. I myślę nakoniec, — zakończyła panna Barbara, — że byle mi Pan Bóg podał sposobność, to ja go nauczę, jak konkurować o takie panny, które się wychowały w sanockiej ziemi. Dobranoc państwu!

VII.

— Mój Boże! Tyś jednym słowem Twojem wyrzucił ziemię tę z bezdennych otchłani i puścił w krąg nieskończony wedle Twój niebieskiej harmonii; Tyś nad tą ziemią zapalił słońce niewygasłym płonące ogniem, tyś jój noce oświecił cudownego blasku księżycem, Tyś na jój niebie rozsiał migających gwiazd miliony, Tyś ją samą ubrał i ozdobił jak ukochaną córę Twoją w najkosztowniejsze szaty z nieprzebranej Twój skrzyni, Tyś ją ustroił w szmaragdowe kobierce, w aksamity kwieciste, w przezroczyście kryształ, w góry wspaniałe, posępne lasy, dzikie bluszczem i różą zarosłe skały; Tyś po niej cudowne porozrzucił kwiaty, woniące porozsadzał drzewa, rozesał ptastwo świegotliwe i śpiewające, ażeby chwale Twój i ojcowskiej dobroci stało się wszelkie świadectwo. Czemuż, o Boże! nie wszędzie równo jest, tych darów Twoich? czemu skwarzą się w ogniach słonecznych Murzyni, czemu marzną na śniegach wieczystych ludy północne, czemu mgłami ciągle oddycha Angielczyk, czemu w wiecznej wiosnie pędzą swe życie Włosi, a czemu góry nasze żadnej nigdy nie znają wiosny? I mamy zimę silną, jak zdrowie olbrzyma, i mamy jesień chrobrą i krzepką, jak umysł i serce rycerza, i mamy lato ciepłe i pogodne, jak miłość matki dla swego dziecięcia: czemuż nigdy nie mamy dnój wiosny świeżej jak woda kryniczna, lekkiej jak motyl ulatujący nad różą, pięknej jak pierwsza krasa na licu? I mamy czas ten, kiedy topnieją śniegi, kiedy brudnemi zalane męty wzbierają wody, kiedy ziemia tężeje na wicherze, kiedy skrzytne krają ją pługi, kiedy drzewa pękają, kiedy nareszcie wszystko się zazieleni i rozbuja dokoła: czemuż téj zieloności nie zapowiada u nas sk

wronek, czemu przed zbożami na polach nie zakwitną róże na górach, czemu nie osiadają nigdy w naszych krzewinach słowiki, czemu nawet ta cała zieloność jest jakaś smutna i ponura? I widzimy róże tylko w ich więzieniach pod szklami, i słyszymy o słowikach tylko od ludzi wędrownych, i widzimy ptastwo wędrowne tylko, przeciągające gdzieś wysoko nad nami, i słyszymy ich krzyki radosne zdaleka i mówimy wtenczas: o Boże! czemuż tak smutno u nas o wiosnie?

Z takimi myślami stała Julia w połowie maja na galerii zahoczewskiego dworu. Patrzyła ona na czarne i ogołoczone jeszcze podtenczas lasy, wieszające się po nad drogą i wsią Zahoczewiem, patrzyła na góry i pola puste i jeszcze przeszloroczną dopiero odżywiający zieleń, patrzyła na szczątki śniegów jeszcze po parowach leżące i smutno jój było. Ale spokój już wielki zasiadł w jój sercu i duszy, spokój taki, jaki dają po sobie długotrwałe lecz już wygasłe cierpienia, spokój czysty jak woda głęboka i cichy jak jój powierzchnia, która lubo daje widzieć na dnie swém spoczywające głazy i zielska powiędłe, jednak także odbija w sobie po jój brzegach przechodzących się ludzi. Tak i na dnie jój duszy potonęły już jój niespełnione nadzieje i smutki, a lubo je widać było jeszcze przez jój myśli i słowa, jednak były to już same głazy nieżywe i zioła powiędłe, i tak samo jój dusza już czuć i pojmować zaczęła to, co się zewnątrz niej działo.

Wtém, kiedy tak stała w zamyśleniu córka pana Działotta, i rozglądając się na tę i owę stronę, zdawała się szukać jakiego przedmiotu, któryby myśli jój smutne rozerwał, dał się głośny turkot słyszeć na drodze. Wkrótce potem stanął przed bramą jakiś powóz dziwnego kształtu i nabożeństwa. Powóz to był bowiem całkiem zewnątrz zamknięty i wielkimi po bokach zaopatrzone szybami, wysoki jakby dom jaki, opakowany kuframi skórzanemi dokoła, jakby buda kupiecka. Do tego powozu były zaprzężone cztery konie kare jak gałki w rząd pozłocisty ubrane, któremi woźnica, dziwnie po komedyancku ustrojony, z kozła powoził. Na kozle przy woźnicy siedział człek drugi, istny Niemiec z pozoru, miał bowiem czarną ogoniastą suknię na sobie, pończochy i trzewiki na nogach i kapelusz dziwnego kształtu na głowie, z pod którego ogonek kitajkowy z tyłu wychodząc, zwieszał się aż na plecy. W karęcie jeszcze dziwniejsze jakieś siedziało stworzenie, ale przez szyby od światła się szklące dojrzeć go nie było można dokładnie. Podróżni ci zatrzymali się koło bramy, sługę dworskiego tam stojącego o drogę do Balogroda i oddalenie pytali, i odjechali. Kiedy ten sługa, żegnając się i odmawiając paciérze, nazad ku zamkowi powracał, zawołała go Julia pod samą galerią i zapytała:

— Któż to taki pojechał?

— Licho wié, proszę panny, — odpowiedział sługa, — ludzie

jacyś dziwni a koniska czarne jak węgle. Bodajby jeno nie co nicdobrego.

— Dokąd pojechali?

— Do Balogroda się pytali, ale gdzieś za Hoczewką popędzili inaczej.

— Wszędzie... wszędzie... — mówiła do siebie Julia, — o ten zamek tylko nikt nie zawadzi.

W godzinę potem, a było to już dobrze z południa, wielka kupa ludzi zgromadziła się przed balogrodzkim ratuszem. Co tylko żyło w tém miasteczku i co się przypadkowo tam znajdowało, wyrnęło na rynek. Więc byli tam i Żydowie obdarci, żadnego rzemiosła nie mający i czyhający tylko na to, aby jakimkolwiek sposobem groz wytumanić od kogo; były i Żydówki stare z pejsatami dziećmi przy sobie; byli chłopcy z pola powracający i dziady od wsi wędrujący i ciekawe roznoszący nowiny, było nakoniec i kilku szlachty przypadkowo tamtędy przejeżdżających, którzy tłum ludzi koło ratusza zastawszy, pozłazili z wozika, ażeby się dowiedzieć, co to się stało takiego, a dowiedziawszy się, żonom przywieść nowinę. Ale pomimo to, że tak wszyscy zaglądali ciekawie, nikt nic pewnego nie wiedział; powiadano tylko, że jakieś cudaki zajechali do ratusza i że arendarz bramę kazał zamknąć za nimi. Szlachta atoli, nie zaspokoivszy tém ciekawości, wypytywali się zrazu tych i owych ludzi tam stojących o bliższe szczegóły o onych podróżnych, a kiedy się i tak niczego więcej nie dowiedzieli, jeno że powóz był arcy-dziwny, że ludzie w nim i na nim siedzący jakoś nie po ludzku wyglądali i że konie były czarne jak kruki, przystąpili do bramy i pukając do niej, wołali na arendarza. Po długiém wahaniu się wyszedł arendarz przed ratusz i długo coś z szlachtą rozmawiał, z czego jednak słuchający nic więcej się nie dowiedzieli, jeno że tym powozem przyjechał pan jakiś dziwnie jakoś ubrany, że ten pan kazał sobie dać izbę osobną, a gdy takiej nie było, zajął alkierz żydowski i tam się przebięra, że przebrawszy się ma jechać na zamek, że do tego alkierza nikogo nie wpuszcza, jeno że przeze drzwi jakieś dziwne ztamtąd wychodzą zapachy.

— Ot, olejkarz i kwita! — rzekł na to jeden ze szlachty.

— Pewno że olejkarz, a któżby inny? — odpowiedział drugi, ale trzeci zarzucił:

— Żeby jeno nie jaki czarnoksiężnik, bo jako mi mój szwagier powiada, który teraz od swoich krewnych z Wielkopolski powrócił, poczyną się teraz tego siła włóczyć po świecie.

— Niechajże będzie kto chce — zabrał znowu na to głos pierwszy — zawsze to rzecz ciekawa. Jeszcze jako żyję, nic tu takiego nie widziano w tych górach. Puśćże nas, arendarzu, niechaj się dowiemy a jeżeli są olejki na sprzedaż, toć przecie każdy z nas co kupi dla swojej niebogi.

— Ja waszmościów nie wpuszczę — odpowiadał arendarz —

pan ten mnie zakazał, ażeby żywa dusza nie wchodziła teraz do izby... ja nie chcę, on jedzie na zamek; co wiedzieć, kto to być może? A nu jaki kasztelan, albo wojewoda?...

— O! ba i bardzo ci tam kasztelani a wojewodowie na wasz zamek zajeżdżają! dużo-żeś tam widział starostów?... zarzucił drugi.

— Ej! chodźmy! panie bracie — zawołał trzeci, do bramy się przysuwając — ano niechże będzie kasztelan albo wojewoda, przecie my i takich widywali.

— Zaczekajno waść, panie bracie — zarzucił znów drugi — wartoby się zawsze nad tém namyślić.

I kiedy tak to pomiędzy sobą to z Żydem rozmawiali ta szlachta, statecznie namyślając się nad tém czy iść do gospody, czy nie iść? i kiedy jako najśmielsi z całej miasteczkowej gawiedzi, stawali się dla niej przedmiotem coraz większego podziwienia godniejszym: nagle nowy tentent jakiś dał się słyszeć na rynku, a na téjże saméj drodze od Zahoczewia wiodącej czterech jezdnych się pokazało. I dwóch z nich jechało przodem, a dwóch zasie trzymało się z tyłu. Więc ci, którzy jechali z tyłu, nie bardzo oczy na siebie zwracali, bo widocznie była to służba, jeden kozak w granatowej kierei i czapce baraniéj, a drugi sługa w barwie zwyczajnéj, jakich pełno po wszystkich dworach; ale piérwsi siedząc na dzielnych koniach po żołniersku siodłanych, niemało imponowali swoją powierzchownością małomiasteczkowej publice. Więc jeden z nich był to mąż pięknej i smukłej postaci, ledwie może dwadzieścia i kilka lat wieku mający, twarz miał obdłużną, nos małe co orli, foremny, oko modre, wesołe, wąs i włosy jasne przydłuższe, w pięknych na plecy spadające kędziorach i tak coś dziwnie pańskiego biło od jego całej figury, że kiedy ten orszak zatrzymał się koło ratusza, ludzie bliżej stojący mimowolnie czapki pozedjmowali z głowy. Drugi, jadący temu po lewéj stronie, był trochę mniejszy wzrostem, ale jeszcze smuklejszy a wiekiem tak młody, że może nawet nie dochodził dwudziestu. Ten był brunet i twarz miał bladą, nic a nic jeszcze nie zarośniętą, tylko krésa poprzeczna niedawno co zagojona na czole i pewna posępność siedząca na całej twarzy świadczyły jawnie, że wiek jego, tak młody, nie obeszedeł się jednak już bez pewnych doświadczeń. Obadwa ci panowie mieli burki krymskie na sobie, czerwonym muzułbasem podbite, pod nimi suknie zwyczajne podróżne; więc kontusze szaraczkowe sukienne i pasy srebrne klamrowe, na nogach buty grube jałowicze liczkem na dobrą stronę i przy ostrogach, szable w pochwach żelaznych z furdymentami u boku i czapki na głowach. Ale pomimo to że strój tych obudwóch młodzieńców był jednakowy, już na piérwszy rzut oka można było rozpoznać, że tamten starszy i wzrostem słuszniejszy był panem a ten drugi jego czeladnikiem lub dworzaninem.

Kiedy ci jezdni wjechali w rynek, zdawało się że drogą za-

równo w dalsze góry sanockie jak i na balogradzki zamek wiodącą pojadą dalej i zapewne byliby tak uczynili, ale kiedy ich tłum onych ludzi przed gospodą stojących uderzył w oczy, zatrzymali swe konie, a starszy z nich, obaczywszy i zapewne poznawszy arendarza, rozmawiającego ze szlachtą przy bramie, podniósł się cokolwiek na koniu i zawołał: — Arendarz!

Na ten głos skoczył Żyd jak oparzony, zdjął zawczasu czapkę, przystąpił do onego jeźdźcy i nieśmiało wprawdzie ale jednak bardzo ciekawo okiem w twarz jego poglądał. Jeźdźca pan, bawiąc się zapewne tą ciekawością żydowską, przez chwilę milczał i z uśmiechem patrzył na Żyda, ale wkrótce potem rzekł gromkim głosem:

— No! czegoż mi się tak przypatrujesz? jest mój ojciec na zamku?

— Aj waj! — zawołał Żyd z nieudaną radością i aż do ziemi kłaniając — toż to jasny pan, panicz nasz! aj waj, jakżem się ucieszył! a jak jasny pan zmężniał, a wyrósł, a wypiękniał! pfi! a jaka pańskość bije od jasnego pana! ach! ach! toż-to będzie wesele na zamku!

— Więc jest ojciec doma? — zapytał znowu pan Wincenty, syn podkomorzego, którym rzeczywiście był ten młodzieniec.

— Jest, jest, chwała Bogu! — odpowiedział arendarz, — ach, ach! a jasna pani jaka będzie kontenta! a panienka, coby jój Pan Bóg dał zdrowie! ach! ach! jaka to będzie pociecha!

— Zdrowiż tam wszyscy? — zapytał znowu pan Karsznicki ujęty tą żydowską radością.

— Zdrowi, chwała Bogu, zdrowi. Nu! ale jedź już jegomość, bo szkoda każdego momentu takiej pociechy, co ją Pan Bóg tak rzadko daje ludziom na tym świecie. Jedź jegomość, a ja tam zaraz przybiegnę, coby i ja choć zdaleka się przypatrzył tej wszystkiej radości.

— A cóż to za tumult przed twoją gospodą? — zapytał jeszcze pan podkomorzyc, nie mogąc się prawie oderwać od tego białowłosego arendarza, który tyle zdradzał przywiązania dla jego rodziny.

— Aha! — zawołał na to prędko arendarz, — mało co żem nie zapomniał. Nu! to jakieś dziwo tu przyjechało.

— Jakież znów licha?

— Jakiś pan, czy nie pan, czy kto go tam może wiedzieć. Karetę ma taką, z przeproszeniem jegomości, jak mała chałupa, a kufrow tyle ze sobą, coby ich dla całego domu starczyło. Ubrany jakoś ni tak ni owak, a tak pachnie od niego, jak w lecie od wszystkich kwiatów. Konie ma takie wielkie, że z przeproszeniem honoru pańskiego, ten na którym jegomość siedzi, byłby przy nich jak źrebę, a takie czarne, że aż strach na nich patrzeć, jeno na głowie mają białe gwiazdeczki jak mleko, a wszystkie jak jeden.

— No i któż to taki?

— Co wiedzieć, jasnie panie? — odpowiedział arendarz, — sług ma aż dwóch, a nu żeby zabił którego, czy powie choć słowo.

— Cóż robi ten jegomość? — zapytał znów pan Karsznicki.

— Co robi? ja nie wiem. Zamknął się w swoim alkiérzu i tak tam nakadził, że aż woń idzie po wszystkiój gospodzie. Sługa mu nosi to wodę, to flaszki różne, to kufry tam znosi i powiada, że pan się ubiera i pojedzie na zamek.

— Na zamek pojedzie? — zawołał pan Wincenty, a obróciwszy się do swego towarzysza, rzekł prędko: — Chodź Halicki tam ze mną, obaczymy kto to jest taki.

I posiadawszy z koni obadwa młodzi, a dawszy je w ręce służącym, szli do gospody. Wszedłszy do sieni, szli najpierw powóz i konie oglądać, co gdy obaczyli, nie mogli się dosyć naziwić doskonałości jednego i piękności a sile drugich.

— Co to za forma kształtna! — mówił pan Wincenty, przypatrując się powozowi, — a co to za siedzenie we środku! jakie tu koła! a jakie sprężyny! panie bracie, podobno nic równego nie znajdzie i w samej Warszawie. Hej! żeby to kiedy, jak się człek będzie żenił, swojej żonie taką zkąd dostać kolébkę!

— O! pewnie że to nie warszawskie, — odpowiedział na to Halicki, — gdzieś to musi być z Anglii albo i z Francyi, bo patrząc-no waszmość pan co to za skóra? to to rękawice z nich robić dla nas tak miękkie, a jakie mocne i dychtowne!

— A konie jakie! — rzekł znowu pan Wincenty, — ba ba! mospanie! to ta cug taki, że mu podobno równego nie znajdzie i w czas sejmu w Warszawie! ej, nie chudzina to jakiś jedzie tym statkiem.

— Pańskie to, pańskie i bardzo pańskie! — odpowiedział na to pan Halicki, — ale gdzież te sługi, że z nich nie widać żadnego?

— Jest tu i sługa, — odpowiedział na to w barwie, ale po niemiecku ubrany woźnica, przystępując do nich śmieie i w kapełuszu na głowie, — czego ichmość żądacie?

Pan Wincenty spojrział na tę figurę, a obaczywszy gbura, rozpuszczonego zapewne nadto wielką dla siebie pobłażliwością swojego pana, albo zbyt zaufany w jego znaczenie, przystąpił do niego i rzekł:

— Tyś jest woźnica tego powozu?

— Ja, — odpowiedział znowu owym rubasznym głosem zuchwaly sługus, — albo co? — Tedy pan podkomorzyc, stanąwszy ostro, rzekł:

— Najpierw czapka na dół, błaznie, bo nie z twoim równym masz sprawę! — a kiedy ten przestraszony, z głowy zdjąwszy kapełusz, w przyzwoitszej stanął postaci, zapytał pan podkomorzyc:

— A teraz mów, kogo to wieszysz? u kogo służysz?

— U grafa Karsznickiego, — odpowiedział służący.

— Graf Karsznicki? — powtórzył do Halickiego odurzony

pan podkomorzyc, — co to jest takiego? — i zapytał raz jeszcze: — jak się twój pan nazywa?

— Graf Karsznicki, wielmożny panie, — odpowiedział znów sługa:

— Gdzież ten graf mieszka? zkąd jedzie? dokąd?

— Graf mieszka pod Oświecimm, jedziemy z domu, tutaj na zamek, bo tu jacyś krewni pana grafa mieszkają.

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się pan Wincenty i rzekł: — toż do Bartek być musi, syn pana marszałka a mój stryjeczny! ale zkądżeby znowu ten tytuł grafowski? Chodź, Halicki, pójdziemy do niego.

I poszli. Przeszedłszy atoli pierwszą izbę gospodną, gdy chcieli wniknąć do alkierza, kamerdyner grafowski, wychodzący właśnie ztamąd, drzwi zamknął za sobą, i w jednej ręce srebrną trzymając miednicę, drugą położył na klamce i rzekł:

— Pardon Messieurs, il n'est pas permis!

— Ayez la bonte de me permettre! — odpowiedział na to proszącym tonem pan podkomorzyc, i wzięwszy Francuza leciutko za kołnierz, podniósł go w górę; odstawił wraz z miednicą na stronę i sam wszedł do alkierza.

W alkierzu pod oknem stał stół białym prześcieradłem nakryty, a na tym stole stało najpierw dość duże w srebrne ramy ujęte zwierciadło, dalej stał aparat do golenia, więc brzytwy i pędzle i mydła, słoiki, flaszeczki i maście, a nadewszystko takie szklące i wykwintne i piękne, że wraz z mnóstwem innych na tymże samym stole porozrzucanych grzebieni, szczotek, puszek puszcerek, nożów, nożyczek i innych gracików, raczej zdawało się być częścią jakiegoś modnego sklepu, albo wymyślniej jakiejś galantki gotowalnią, niżeli podróżnym męzkim, jakto nazywano one-go czasu, jaszczykiem. Przed tym stołem w zwierciadło wpatrzony i coś około brwi swoich muskający, siedział pan graf w swiej własnej osobie.

Graf był to człowiek jeszcze młody i nie mający jak dwadzieścia siedem lub osiem lat wieku, ale twarz jego blada, pociągła i starannie ogolona od ucha do ucha, usta już trochę wywiedłe i peruka ogromna jak pudło spoczywająca na jego głowie, czyniły to, że na pierwszy rzut oka nie można było rozpoznać, czy pod tą peruką młody udaje starego, czy stary kryje liczne lat swoich krzyżyki. W brwiach tylko czarnych i równych i w oczach równie czarnych a pełnych jeszcze ognia i blasku, mieściły się pewne jego młodości świadectwa, ale tym trzeba się było dopięro bliżej przypatrzeć. Graf był zresztą słusznej i smukłej postaci, a lubo budowa jego nie była pełna i okrągła, toż te niedostatki tak umiały pokryć sztuki francuskiej wymyślność, że prócz tego kamerdynera każdy byłby przysiągł, że pan graf okrągłością swojej budowy nie ustąpi w niczem Apollinowi. Jakoż i teraz dlatego zapewne, ażeby tajemnica jego kamerdynera nie stała się je-

szcze i czyjąś inną własnością, lubo nie kazał pan graf do alkierza wpuszczać nikogo, zarzucił jeszcze puderman jedwabny, cielistego koloru a w pasy niebieskie, który go tak całego okrywał, że podczas kiedy na dole nic nie widać było, tylko końce szklących trzewików z brylantowemi sprzączkami, to nad pudermanem podnosiła się tylko ogromna silnie opudrowana peruka.

Kiedy pan podkomorzyc z swym dworzaninem, albo, jak go sam nazywał, wyrostkiem, wszedł do onego brudnego na prędcie na gabinet przerobionego alkierza, graf niespodziewając się nikogo obcego, ani się nawet oglądnał; ale pan podkomorzyc postąpił dalej, a popatrzwszy dobrze w twarz onemu grafowi i poznawszy go, serdecznym głosem zawołał:

— Bartku! jak się masz!

— Que diable! — zawołał na to przestraszony graf i zerwawszy się z krzesła, podczas gdy lewą ręką puderman z przodu zautulił, w prawą porwał krucicę i w groźnej stanawszy postawie, zawołał: — *Qui êtes vous? que me voulez vous, monsieur?*

Po tej odpowiedzi, której wcale się nie spodziewał na swoje serdeczne zapytanie pan podkomorzyc, trwała krótka chwila milczenia, po której pan Wincenty, głowę opuściwszy ku ziemi, rzekł tonem żalonym:

— *Moi je suis ton frère, Barthélemy.* — Ale na to jeszcze graf groźniej zawołał:

— *C'est n'est pas vrai! je n'ai pas de frère! vous êtes un faux frère qui m'insulte!* — i równie groźnie patrzył obudwóm w oczy; ale śród tego spojrzenia wzrok mu zaczął się miękzyć powoli, twarz się mienić, a kiedy na ustach niedawno co gniewem ściągniętych, uśmiech osiadł łagodny, to i szczeré uczucie serca w polskich odezwało się słowach:

— Wicuś! jak mnie Bóg miły, to Wicuś!

— Widzisz! — zawołał na to znowu od serca pan podkomorzyc, — chodźże, niech cię uściskam! — i chciał mu się rzucić na szyję. Ale pan Bartłomiej zdaleka tylko rękę wyciągnął i tak się powitał, bo wiedział dobrze, że gdyby się był rzucił w swego brata objęcie, to lubo może sercu byłoby się stało zadosyć, ale koszulka batystowa z koronkowemi żaboty i starannie upudrowana peruka byłyby takimi wyszły z tych braterskich afektów, że znowu z godzinę trzebaby było strawić nad niemi, nimby się mogły pokazać na zamku. Ale nie miał tego na uwadze pan podkomorzyc i smutno go przejęło to chłodne powitanie Bartkowe, a to tak smutno, że nawet nie wiedział od czegooby miał dalszą począć rozmowę. Ale wtém zaczął Bartłomiej:

— *Mon cher*, ja tu jadę twego ojca odwiedzić.

— Bardzo się cieszę z tego i ja i mój ojciec cieszyć się będzie, ale przedewszystkiém powiedz mi, jak się *mon cher* mówi po polsku?

Dziwnie się na niego spojrział Bartłomiej, ale rzekł zaraz:

— Za cóż mnie się o to pytasz, kiedy sam wiesz? mówi się mój kochany, albo mój miły.

— Za cóż nie mówisz tak?

— Kiedym się tak przyzwyczaił w Paryżu.

— To się odzwyczaisz od tego, bo to, jak ciebie kocham, bardzo głupio wygląda.

— Co! — zawołał znowu na to gorąco Bartłomiej, — nie spodziewam się przecież, żebyś mnie chciał nauki dawać na samym wstępie!

Spokojnie i dobroduszenie patrzył na ten gniew pan Wincenty, a kiedy jego spokój pana Bartłomieja obraził do tego stopnia, że aż krucicą ową, dotychczas trzymaną w ręku, gwałtownie o stół uderzył, rzekł mu brat jego:

— Mój Bartku! dobry z ciebie chłopak jak anioł, wiem o tém dobrze, bośmy przecie przez lat tyle na jednej ławie legali w Warszawie, ale widzę, żeś coś zadługoś się bawił tam gdzieś w Paryżu czy indziej. Nie moja rzecz jest dawać tobie nauki, jak masz co czynić i jak się zachować, ale kiedyś tutaj przyjechał i zapewne czas dłuższy zabawisz, bo choćbyś się i rwał jechać, to cię mój ojciec nie puści, radbym, aby ci się tu podobało i abyś się tu zabawiał. Również nie miłoby mnie było, gdyby jaka śmieszność na ciebie upadła, boć to jedna krew w nas płynie i jednym się szcycimy klejnotem; tedy nie miej mi tego za złe, że ci dam jaką naukę.

— A no proszę, — rzekł na to Bartłomiej, — co z serca, to ja do serca.

— Tedy po pierwsze nie mów z francuzka, bo tu tego nie lubią i tak jest: kto ten język rozumie, ten widzi jako niewiele warta ta umiejętność i śmieje się z tego, który z nią lada chwila wyjeżdża, a kto zasia nie rozumie, ten nie rad, że się ktoś czémś nad niego wynosi i jeszcze głośniej naśmiewa się z tego.

Uśmiechnął się na to pan Bartłomiej, a podkomorzyc mówił dalej:

— Powtóre widzę, żeś trochę gorący, a to także niedobrze. Z naszą szlachtą nie o każde słowo się zaraz obrażać i wołać na sprawę, bo tu ludzie nie oratory i często im się wyrывa co takiego, co na obrazę wygląda, a u nich to żart jest od serca. U tych ludzi zresztą szabla jest zawsze przy boku, a na niességście sławni są z tego po świecie, że się dla krotochwili bijają, więc lubo mnie to wiadomo, że i u ciebie serce jest mężkie i nie uciekasz od szabli, jednak zawsze to moją radą, żeby się nie nadstawiać, boby cię tu w lot zjedli, żeby i kosteczki nie pozostało.

Na to się jeszcze dziwniej uśmiechnął Bartłomiej, ale pan podkomorzyc zabrał głos nanowo, mówiąc:

— Mój Bartku, kocham ciebie jak brata i od serca rad jestem temu, żeś się z tobą obaczył, ale jam się już lat kilka z rodzicami nie widział i bardzo mi serce do nich ucieka. Ubiérąjże

prędko i przyjeżdżaj do zamku, a tam przy wolniejszym czasie nagadamy się dosyć.

To rzekłszy, nachylił się przed nim i pocałował powietrze przed jego twarzą, a ścisnąwszy go jeszcze do tego za rękę tak szczerze, że aż stawy zachrobotwały, zostawił paryzkiego eleganta przy toalecie, a sam z swoim wyrostkiem wsiadłszy na koń, kłusem popędził na zamek.

Na zamku było dzisiaj wszystko, jak bywało zwyczajnie. Podkomorzy siedział w swoim pokoju i przy otwartych na galeryjkę drzwiach szklanych tkał swój włoczek na ryby; kapelan siedział na swém krześle wyniosłym i nie już Chmielowskiego Ateny, ale czytał pisma św. Bernarda. Bięda zaś po staremu stał przy papugach, ażeby wrzaskiem nie przerywała czytania. Po środkowej komnacie przechodziła się tam i sam pani podkomorzyna i po odmówionych pacierzach frasobliwie się nad czémś namyśliwała, a na wielkiej galeryi w drzwiach otwartych stała po staremu Barbarka i niby patrząc a niby nie patrząc na górę stężnicką, zdawała się jednak na coś czekać albo czegoś wyglądać. I ani śniło się komu na całym zamku, żeby dzień dzisiejszy mógł w czém być odmienny od wczorajszego.

Wtém ze swoim konnym orszakiem wjechał pan Wincenty w dziedziniec. Pierwsza go ujrzała Barbarka i poznawszy natychmiast, jak błyskawica, która nagle z chmur spokojnych wypada z krzykiem: Wicus! Wicus przyjechał! zbiegła po wschodach w podwórze i stojącemu już przy swym koniu bratu z płaczem się rzuciła na szyję. Na ten krzyk, matka, także sercu swemu nie mogąc się oprzeć i powagę odrzuciwszy na stronę, prędkim krokiem zbiegła na dół i nim się jeszcze własnymi oczami przekonać mogła, czy tak jest w istocie, klęczącego już syna u nóg swych po macierzyńsku ścisłała za głowę i włos jego w kędziory się zwijający rześistemi skrapiała łzami. Ale podkomorzy, krzyk usłyszawszy, nie zrozumiał go zrazu, rzekł więc tylko do kapelana:

— Zdaje mi się, że coś głośno w dziedzińcu.

— Obaczymy, — odpowiedział na to kapelan i powstawszy, poszedł ku drzwiom otwartym, aby dojrzeć w dziedziniec. Ale nim on okulary zdjął z nosa, przez które nic nie widział w oddali i nim się przypatrzył jakie to konie, wiele ich i jaka przy nich jest służba, pan Wincenty, prowadzony przez siostrę i matkę, w burce, a nawet jeszcze przy szabli, leżał już ojcu u nóg i jakby dziecko dwuletnie płacząc, ścisnął jego kolana.

— Syn mój kochany! dziecko moje jedynel — wołał wzruszonym głosem starzec ten siwo-włosy, podnosząc ręce obydwie do nieba, jak gdyby najpierw podziękować chciał Bogu za tę chwilę radości, i zapewne po tym głośnym wybuchu rodzicielskiej miłości, byłby, zaraz się jął do modlitwy, ale ledwie co podniósł syna i serdecznie pocałował go w czoło, takie łzy rześiste się mu pu-

ściły z oczu, że przez chwilę ani słowa nie mógł wymówić ten starzec.

Śród tego czasu pan Wincenty, ujrawszy o kilka kroków od siebie stojącego kapelana, który go wykolębał na swoim ręku był jego nauczycielem i przewodnikiem jego lat pacholęcych, chciał się rzucić z powitaniem ku niemu, ale matka i siostra, trzymając go z tej i owój strony za poły, z wielkiej radości i szczęścia przytrzymały go i nie dały ruszyć się z miejsca, co ujrawszy kapelan, rzekł głosem także wzruszonym:

— Ciesz się już rodzicami, ja cię witam zdaleka, — i także łyzy mu resztę głosu zalały. W tym momencie jeszcze i sługa stary, białowłosy i latami zgarbiony, który pana Wincentego piastował i służył mu w pierwszym jego polu na przejażdżkach i łowach, a dalej już nie mógł przez wiek i opuszczającego siły, przywłókł się do jegomościennego pokoju i milczkiem z boku zaszedłszy, z płaczem i jękiem prawie upadł mu do nóg. Więc ci, którym serce już uspokajało, w nowe łyzy wybuchnęli i tak te łyzy i wzruszenia, przez długą jeszcze chwilę władając całą balogrodzkiego zamku rodziną, nikomu nie dały ani słowa wymówić.

Wkrótce jednak uspokoiła się ta fala niezwykłego uczucia, a kiedy już jej miejsce zajęła tylko radość spokojna i wesola świadomość szczęścia, pani podkomorzyna wyszła, ażeby jakieś dyspozycje poczynić w kuchni, ksiądz kapelan usiadł napowrót na swoim krześle i z łez się ocięrał. Barbarka stała o ścianę oparta i z ciekawością się przypatrywała stojącemu przed ojcem bratu, tylko podkomorzy chodził jeszcze trochę żywiej po izbie, mówiąc co chwila:

— Jak się cieszę, jak się cieszę, to ci ani umiem powiedzieć.

Po chwili jednak uspokoiwszy się już całkiem, rzekł do swego syna, biorąc go oburącz pod pachy:

— Siadajże kochany Wicusiu i powiadaj nam, co się z tobą działo przez tyle czasu; bo my nic ci nie powiemy o sobie, u nas wszystko jest po staremu, postarzeliliśmy się cokolwiek oboje z matką, aleśmy zdrowi i chwalimy Pana Boga, jako jest w naszej mocy, a teraz jeszcze z weselszym sercem chwalić Go będziemy, kiedy nam w niewyczerpanej swęj łasce ciebie zdrowo i cało powrócił.

Powiadajże nam co, synu!

— Z trudnabym ja mój ojciec — rzekł na to pan Wincenty — wszystko na raz objąć potrafił, coby się godziło powiedzieć, bo za lat tyle niemało się przeżyło wypadków, niemało znajomości poczyniło, niemało pozyskało przyjaciół i niemało niebezpieczeństw uszło za pomocą Boga szczęśliwie... że dzisiaj, gdybym chciał łądem to wszystko wyliczać, trudnoby nawet miał wiedzieć, od czego zaczynać.

— To zaczynaj od końca — rzekł na to ojciec.

— Tak to podobno wypadnie—mówił dalej pan podkomorzyc— i najpierw powieździe rzecz która jest najsmutniejsza.

— No, i cóż to być może? — zapytał niecierpliwie pan Karznicki.

— Oto, że ta wszystka moja służba, wszystkie usiłowania, wszystkie prace i koszta z woli Pana Boga i panów na nic się nie przydały.

— No to i tak dobrze jest moje dziecko — rzekł podkomorzy; — to jest tylko służba uczciwa, Panu Bogu i ludziom przyjemna, która wypełnia się z obowiązku i na żadne się nie obiera nagrody, a kiedy w czasie za to przyjdzie jaka nagroda, niechaj ona będzie tak jako darowizna i rzecz należona przez szczęście i łaskę Bożą, ale nie jako żołd wypłacony najemnikowi. Zresztą tak, kiedy byłoby tobie dano jakie beneficjum, byłoby dobrze, a kiedy niedano, to i tak dobrze; i tak musiała się stać sprawiedliwość, bo musieli być inni jeżeli nie zaniejsi to potrzebniejsi przed tobą.

— Nie przeczę ja temu, mój ojcie — mówił smutno i prawie z żalem pan Wincenty — że na tyłu ludzi, ilu ich się tam teraz ciągle garnie do téj partyi ukraińskiej, nie jeden musi być i zaniejszy i zasłużeńszy odemnie, i jeżeli taki wziął co przedemną, to mnie wcale żal o to nie jest. Ale był zasie taki, który i niewiedzieć z jakiego wyszedłszy gniazda, ani się tak wyniósł nad inne rycerką, ani dowcipem nikogo nie olśnił, ani cnotami zasłynął, ano sztuką a pochlebstwem około panów rzecz swoją forytując, i cnotliwe i szlachetne i rycerskie daleko za sobą zastawił. I to mnie jest i będzie żal wieczny, mój ojcie, że jakom teraz zbliżka obaczył, i u nas, tak jako niegdy w onych państwach swawolnych a zepsowanych, więcej poczyna u starszych kunszt choćby jaki i pochlebstwo, niżeli cicha cnota i rzetelna zasługa.

— Chowaj cię Boże, Wicusiu — zawołał na to pan podkomorzy — tak nie mów; bo niechby jeno kto dwa słowa takie z ust twoich posłyszał, rychłoby ciebie posadził pomiędzy onych młokosów pustych a zadufałych, którzy niczego tak nie umieją, jak przyganiać uczynom starszych. Człek roztropny, służy wiernie i bez przestanku i nigdy w to swym rozumem nie wchodzi, sprawiedliwie-li sądzone są jego zasługi, albo niesprawiedliwie? Jest bowiem taki, który w to kiedyś wejdzie i wszystkie starsze i najstarsze z ich sądów osądzi — a który ze służących a zasłużonych tu nie dostał starostwa, ten ma jeszcze za to swoje własne sumienie, które więcej warte niż najlepsze starostwo! Więc i tak dobrze, moje dziecko kochane; mnogość dóbr ziemskich nie uściela drogi do pozyskania niebieskich, a waszeć nawet nie wiem co byś teraz robił z tém tam zasłużoném starostwem, bo już i tak one dobra ruskie jako kania dészczu, tak na ciebie czekają. Powiadajże mi dziecko, jako ci tam było w téj służbie?

— Będziemy mieli jeszcze dosyć czasu, mój ojcie, nagadać się

o tém — rzekł na to pan Wincenty — a teraz raczej powiem ojcu, że będziemy mieli jeszcze jednego gościa dzisiaj na balogrodzkim zamku.

— Któż to taki? — zapytała ciekawie przysłuchująca się téj całej rozmowie Barbarka.

— Jedzie tu do nas Bartek Karsznicki — odpowiedział pan Wincenty — ale aniby go ojciec poznał, tak niepodobny do siebie.

— Bartek, syn pana marszałka? — zawołał pan podkomorzy — a gdzie jest?

— Jest w gospodzie w miasteczku i tam się przebiéra.

— O! bardzo się cieszę, bardzo, jego ojciec, acz mi nie był rodzonym jeno przyrodnim, jednak zawsze wiele, bardzo wiele ma serca u mnie. Zaczny téż to mąż był, Panie święć jego duszył a mądry, a uczony, że rzadko książki, któraby tak pisała, jak on mówił. Był téż za to dwa razy marszałkiem trybunału w Piotrkowie. Ale to Bartek musiał już wyrość, mąż z niego a nie pacholę; bardzo, bardzo ciekawy go widziéć, boć to już pięć a sześć, jedenaście lat temu jak był z ojcem u mnie w Kolińcach.

— No i niéma co mówić, jeno że to zawsze afekt jest piękny, nawiedzić stryja o mil pewno pięćdziesiąt — dodał pan Wincenty.

— A tak, pięćdziesiąt i to na dobrą miarę — rzekł na to ojciec — e! ale to nie sam afekt musi go tu przywodzić..

— A cóżby takiego? — zapytała Barbarka.

— Jest w tém i co innego, — odpowiedział pan podkomorzy — i założę się o to, że tak jest. Przed dwoma laty umarła jak wiecie ciotka moja, ba i jego a wasza babka, pani podstolina poznańska. Pani ta zmarła w lat kilka po swoim mężu, a zmarła bezdzietnie i zostało się po niéj dwa folwarki tam gdzieś na Wielkopolsce, które prawem boskiem i ludzkim na mnie przypadały i na pana marszałka. Jakoż przypominam sobie, że zaraz wtenczas jakiś Bartka opiekun, którego nazwisko już mi wypadło z pamięci, pisał do mnie, ażeby tam przyjeżdżał i brał połowę onéj po podstolinie spuścizny. Odpisałem mu oczewiście *verba veritatis*, bo czy jest to sumienie mnie starego chciéć tłuc po drogach, z jakie sto mil potężnych dla jakiegoś tam mospanie folwarku, i czy ja to golec taki, żeby, choćbym był w innym wieku i przy lepszym zdrowiu, zaraz leciał po jakieś tam dywidendy z spuścizny!... Owóż tedy jmc pan Bartek, który natenczas był w cudzych krajach, musiał powróciwszy coś z tém uczynić, i teraz przy afekcie albo po radę jedzie, albo przywozi pieniądze.

— Ale co to się z tego Bartka zrobiło, mój ojczel! to ani do uwierzenia! — mówił na to Wincenty; a wtém gwar się zrobił w dziedzińcu i z hukiem a trzaskiem grafowski powóz w saméj rzeczy zajechał przed ganek.

Na ten głos syn wyglądnąwszy przez okno, rzekł do ojca: — Owo już są nasi goście; — Barbarka wybiegła przez drzwi szklane

w galeryą, ksiądz kapelan także z ciekawości się ruszył, ale pan podkomorzy został na swoim miejscu, mówiąc:

— A no, obaczmy, co się to z niego zrobiło. Idź Wicusiu naprzeciw.

Tymczasem pan Bartłomiej lekką nogą wyskoczywszy z karety, oglądnął się naokoło, mruknął coś sobie pod nosem i wszedł do sieni. Miał on na sobie tą razą suknię ogoniastą aksamitną szafirowego koloru, dosyć wciętą do stanu, białym atłasem podszytą a z wierzchu suto złotemi haftami bramowaną; pod tą suknią miał kamizelkę białą wełnianą, także subtelnemi kolbertynami błyszczącą, z pod której dziwnie cieniuchna wyglądając koszula, tak delikatnemi była ozdobiona robotami, że się nie zdawały być z przędzy, jeno z mgły jakiejś utkane. Dalej miał na sobie Bartłomiej z téjże samój materyi co kamizelka skąpiuteńko ukrojone pluderki, białe jedwabne pończochy i jak dwa zwierciadła tak szklące delikatne trzewiki, brylantowemi pospinane sprzączkami. Ubiór ten uzupełniała jeszcze cieniuteńka szpada u boku, mały trójgraniasty pod pachą kapelusz, starannie wygładzona peruka i woń piżma i larendogry, która się tak roznosiła od niego, jako mgły się roznoszą od gór naszych na słońce. Tak ubranego zdybał go pan Wincenty na wschodach i powitawszy serdecznie, prowadził wprost na ojcowskie pokoje.

Pan podkomorzy już od chwili siedział w swém krześle i z pełną niecierpliwością patrzył w drzwi pootwierane na przestrzał. I jak on sobie tam to odmienienie się Bartka wyobrażał, tego trudno odgadnąć, ale to pewna, że kiedy mu się zdaleka obiedwie te wchodzące figury pokazały przetarł raz oczy, kiedy byli w jego kancelaryi przetarł drugi raz oczy, a kiedy już pomiędzy papużkami klatkami statkami stanęli, pan podkomorzy zerwał się z krzesła i zawołał:

— Tfu! do biesa! a toż co takiego!

Barbarka się cofnęła zdziwiona, ksiądz kapelan osłupiał na swoim miejscu i w tém osłupieniu krzyż położył na swoich piersiach. Tymczasem pan Bartłomiej, obróciwszy się do Wincentego, rzekł dosyć głośno:

— Proszę cię, Wicusiu, zaprezentuj mnie twemu ojcu. — Ale podkomorzy tuż na to:

— A na co tu prezentacyil dosyć tego, co oczy widzą.

Na te słowa stanął Bartek zadziwiony i chmurny i obróciwszy się znów do swego brata, rzekł:

— Cóż to jest takiego! *ma foi! je ne conçois pas ça.*

— A toż co znowu? — zawołał zasie na to pan podkomorzy i spojrzął na Wincentego, ale ten czy to znak jaki dał swemu ojcu, czy mu nawet co szepnął, nie wiedzieć, dosyć że podkomorzy zaraz przystąpił do pana Bartłomieja i ująwszy go jedną ręką za szyję, pocałował go w prawy policzek, i rzekł:

— Kocham ciebie, mój Bartku, tak jak mojego własnego syna, ale mnie wielki żal jest za tobą.

— A to czemu, mój stryjaszku kochany? — zapytał pan Bartłomiej, — przecież nic złego stryjaszkowi nie zrobił.

— Ej! ej! — mówił podkomorzy z kwaśną miną, przechodząc się po pokoju, — wszystko tak robicie, że jeno płakać nad wami. Myśmy krwawo na to pracowali za młodu, ażeby wam dobry kawałek chleba zostawić, aby wam przykład jeszcze i ze siebie przekazać, a was wicher nosi po świecie, pstrocizna zasiada po głowach, pustki w sercu.

— Nie rozumiem, co stryjaszek chce przez to powiedzieć? — rzekł na to z grzecznością Bartłomiej.

— Ej! ej! już mam dosyć, — mówił dalej pan podkomorzy.

— Mój stryjaszku! — rzekł na to z wielką cierpliwością Bartłomiej, — przykro mi to jest bardzo, że pierwszy wstęp mój w dom stryjaszka dobrodzieja, zamiast od złożenia jemu powinnego uszanowania, muszę od oracyi *pro domo mea* zaczynać; ale przykrzój mi to nie równie, że zamiast mojem przybyciem sprawić stryjaszkowi ukontentowanie, widzę żem mu przyniósł zgryzotę.

— Pfe! pfe, — zawołał na to pan podkomorzy, — tego nie mów! jak mnie Bóg miły, że tak się cieszę że ciebie widzę, jak gdybym twego ojca nieboszczyka oglądał: — i objąwszy go oburącz, uściskał go serdecznie, a podczas kiedy Bartek już nawet ani na perukę swoje nie uważając, ani na żaboty, jak mógł tak oddawał uściski, podkomorzy zakończył:

— No, siadajże, mój Francuzie, siadaj, już ci ani słowa nie powiem o twoim stoju.

— Ale ja teraz powiem, — rzekł na to Bartłomiej, siadając tak, aby był frontem obrócony do panny Barbary, — ale ja powiem, bobym się rad wytłumaczyć z tego, o co mnie stryjaszek obwinia, a czemu ja może nie winieniem. Otóż wiadomo jest stryjaszkowi, że lat temu już więcej jak dziesięć, jak mnie sam ojciec odwiózł na dwór króla Leszczyńskiego, abym się tam w szkole urzędzonej przez niego wyuczył i uformował. Dobry pan ten kazał mnie przyjąć do swojej szkoły i byłem tam przeszło pół roku, ale później różne okoliczności tak zrzędziły, żem się musiał ztamtąd sam przenieść do Paryża. W Paryżu chodząc na akademią, musiałem żyć z Francuzami. Cóż naturalniejszego, że żyjąc z nimi i przejąwszy ich mowę i obyczaje, przejąłem także ich ubiór? Później mieszkając w Paryżu, już jako kawaler, ile że ciągle utrzymywałem kompanią z francuzką młodzieżą i z nią razem prezentowałem się po wszystkich domach a nawet na dworze królewskim, tém konieczniejszym stał się dla mnie ten ubiór, jakoż przyzwyczaiłem się tak do niego, jak gdyby był mój własny narodowy. Z tém przyzwyczajeniem przyjechałem do kraju i jestem tutaj dopiero pół roku; noszę na sobie te suknie, bo prawdę mówiąc, na-

wet nie mam wyobrażenia, jak brać żupan na siebie, jak pas za-
wiązywać, jak karabelę przypasać....

— Patrzajże! — zawołał na to pan podkomorzy.

— Ale chociaż tak jest, nie idzie zatem, ażebym się już za
miesiąc nie miał tego nauczyć i rzuciwszy ze siebie francuzkie je-
dwabie, nie miał się ubrać w taki żupan karmazynowy i żółte
buty, jak je ma na sobie stryjaszek.

Tym zręcznym zwrotem swojej oracyi trafił w samo serce
podkomorzego Bartłomiej, i już nie potrzeba było niczego więcej;
już on afekt jego pozyskał i mógł być pewnym, że lubo boleśnie
był przerażony stryj jego pierwszym francuzkiego ubioru widowi-
skim, po tych kilku słowach już o wszystkiem zapomniał, a na-
wet tak swego synowca z téj wady u siebie tłumaczył, jakby tego
nigdy nie potrafił być sam Bartłomiej.

Przyzwyczajonym do tego, ażeby w ludziach, noszących strój
cudzoziemski onego czasu, nie widzieć nic tylko fałsz na ustach
i w sercu, chytrość, obłudę i najpodlejsze zepsucie, będzie się za-
pewne wydawać, że to był fortel tylko i kłamstwo wierutne ze
strony Bartka, kiedy powiedział że niemasz nic podobnego, ażeby
się lada dzień przebrał w kontusz i karabelę przypasał. Ale tak nie
było w istocie; jakoż musimy tutaj zaraz wziąć Bartka w obronę
przeciwko takim i tym podobnym zarzutom, bo jakkolwiek bądź
może nie mało w nim znajdowało się złego, jednak nie był to je-
szcze człowiek onéj szkoły obrzydłej, z której w kole fartuszkowej
dyplomacyi paryżkiej dowcipu a na książkach Woltera i innych
sceptyków tego wieku, rozumu się ucząc, powychodzili potem oni
perukowi filozofowie i eleganci, którzy jakby drugim potopem za-
leli Polskę onym bezrozumnym racjonalizmem i obyczajowém ze-
psuciem, które do dziś dnia jeszcze swoich zgnitych nie przestaje
wydawać owoców.

Bartek był to całkiem innego rodzaju elegant. Bartek z przy-
rodzenia miał charakter otwarty, serce czułe i śmiałe i ono deli-
katne w tém sercu uczucie, które z pierwszego wejrzenia zaraz
umie trafnie rozpoznać co złe a co dobre, szlachetne a nieszla-
chetne, piękne a brzydkie; oprócz tego miał jeszcze Bartek poję-
cie dość bystre, w charakterze energią i upór, a wraz z tém
wystąpieniem krew tak gorącą i w nią taką porywczosć, że jeszcze
w domu ojcowskim będąc, ledwie nie co kilka dni coś zrobił ta-
kiego, co srodze frasowało statecznego pana marszałka. Pan mar-
szałek był to człowiek doma chowany, ale mający przeto niemało
znajomości z książkami, a ponieważ do tego jeszcze udało mu się
za młodu przyczepiać kolejną do kilku posłów, na zagraniczne dwory
przez króla albo Rzeczpospolitą wysyłanych, więc zaczerpnął
téż w tych podróżach cokolwiek cudzoziemskiej ogłady i ożeniw-
szy się potem i w kraju osiadłszy, należał do tych ojców, których
już się nie mało jawiło za panowania Sasów, a którzy jaknajusil-
niej starali się o to, ażeby swoim synom jaknajwykwintniejsze,

a wedle ich zaś wyobrażenia koniecznie za granicą dokonane, dać wychowanie. Długo się tedy mozolił w domu pan marszałek z swym Bartkiem, a kiedy potem oddawszy go do konwiktu w Warszawie, widział że i tam nie dają mu takich nauk, jakich dla niego pragnął, to ledwie tenże kilkunastu lat wieku dochodził, począł jaknajusilniej starać się o to, ażeby go mógł w onęj szkole, którą książę lotaryński dla młodzieży polskiej swoim sumptem w Lunewilu urządził, pomieścić, bowiem na niezliczoną liczbę kandydatów do tego nie było podobno miejsc więcej jak dwanaście; jednakże przez różne protekcyje i ofiary uczynione przez siebie, udało mu się przecie dokazać tego, że król filozof raczył łaskawie wejrzieć na jego prośbę. Jakoż mającego już lat siedemnaście syna swego odwiózł sam do Lunewilu marszałek. Ale na nic się to nie przydało. Żartkiję bowiem fantazyi i niespokojnego serca Bartłomiej, już wpół roku pobytu swego na dworze królewskim zaplątał się w jakieś miłości z jednego ze sług dworskich córeczką, a gdy ta panienka była już pewnemu Francuzowi tak dobrze jak zaręczona, tajemnica wnet odkrytą została i przyszło pomiędzy rywalami do zwady. Bartek, czy to przez miłość dla panny, czy przez upór, czy przez ono uczucie honoru, które nie dozwala dać się z kwitkiem od żadnego przedsięwzięcia odprawić, poprowadził tę zwadę tak daleko jak tylko było można, a kiedy przeciwnik jego był równego jemu usposobienia, więc się skończyło na tém, że obadwa, wzięwszy pistolety do ręki, stanęli na plac oznaczony. W tym pojedynku zaraz Bartek miał to nieszczęście, że ranil swego przeciwnika w pierś samę i ranil śmiertelnie. Pojedynek prawie pod bokiem królewskim nie był tam wprawdzie sprawą gardłową, ale jednakże Bartek nie miał już co dalej robić na dworze. Napisał tedy list do ojca, w którym do wszystkiego się przyznał, a sam do Paryża niby to na akademię wyjechał. Pan marszałek bardzo się tą wiadomością sfrasował, ale ponieważ koniecznie chciał dać osobliwe wychowanie swojemu synowi, więc go nie brał z Paryża, jeno mu kazał tam chodzić na akademię. I Bartek rzeczywiście zrazu zaczął chodzić na kursa, bo miał w sobie dobre serce i radby był ojcu dogodzić; ale nie tak to łatwo chodzić na kursa w Paryżu jak w Warszawie. W Paryżu było wtenczas jak zawsze mnóstwo różnej młodzieży, która z całej Francyi się pozbiegawszy, taki bogaty pomiędzy sobą dawała wybór cudzoziemcowi, że nawet nie wystarczało czasu na samo zabiieranie tych znajomości i ich utrwalenie; w Paryżu, pomiędzy jedną częścią téj młodzieży, był duch taki ognisty, że o wiele w ką przed nim iśćby musiała wszelka szlachecka choćby najognistsza fantazyja; w drugiej zaś połowie puszczały się już pierwsze listeczki onęj wolnomyślności i duchowój swobody, która później przez Woltera i jego kolegów ze wszelkich rozkiełznana hamalców, stała się wściekłością rozpalonego rozumu. Ale pierwsze jej tchnienia były bardzo wonne i powabne dla szlacheckiej i nie-

szlacheckiej młodzieży; jakoż dając jej wszelką wolność w obyczajach i życiu, i akademikom także się spodobały, zwłaszcza też tym, którym lepiej smakowały zaułkowe miłości, wesole kawalerskie biesiady, ćwiczenia się w broni i osobistej odwadze, niżeli kursa na akademii. Z taką tedy młodzieżą przeżył Bartek lat kilka w Paryżu, a była to rzeczywiście młodzież ekscentryczna i pod wielu względami niepospolita. Więc niekoniecznie głównymi cechami jej ducha były wolność sumienia, sceptycyzm w rzeczach religii, życie swobodne i nieraz rozpustne, wygórowane uczucie osobistego honoru, skłonność do burd i do pojedynków, ale główniejszą może jeszcze od tych cechą jej ducha była ta, która ze summy tamtych wyniknąć musiała, a to jakiś nieustający niespokój duszy, pragnienie czegoś nieświadomego, nigdy nie uspokojone ni ugasszone, lekceważenie sobie życia i ona dziwnie do wysokiego stopnia doprowadzona awanturniczność, która potrafiła wydać takiego księcia Karola de Nassau.

W takiej tedy szkole przepędziwszy lat kilka, Bartłomiej nauczył się wszystkiego, czego się mógł tylko nauczyć, jego duch prędko i porywczy z natury stał się tam jeszcze więcej prędkim i więcej porywczym, odwaga jego się wzmocniła i na pewnej stała potędze, jego serce wydelikatniało a raczej rozdrażniło się w onę wygórowaną ambycyi i uczuciu osobistego honoru, jego sumienie zupełnie rozwolniało w rzeczach wiary, obyczajów i życia, jego głowa napelniła się najdziwaczniejszymi pomysłami i wyrobiła w sobie tak silną ekscentryczność, na jaką ją tylko stać było. Dalej, nauczył on się także bić na wszystkie sposoby, za nic sobie ważyć to życie i mieć sobie za pewną zabawkę stawiać je na kartę; oswoił się z niebezpieczeństwami i tęsknił już czasem za niemi; jednakże pomimo to, że się tam tego wszystkiego nauczył, czego się mógł nauczyć, nie zapomniał wszakże wszystkiego, co ze sobą przyniósł z domu a co mógł łatwiej zapomnieć. Więc pozostała w nim jeszcze pewna względność sumienia w sprawach takich, gdzie o cudze życie chodziło; pozostała mu pewna prawość w sercu, która zawsze się odezwała, jeżeli jej jaki opór nie zwałczył, albo nie zagłuszyło dziwactwo.

Jednakże i tego jeszcze byłby Bartek z sobą nie wywiózł z Francyi, i byłby pewno stał się żadnego względu na nic nie mającym awanturnikiem całego świata, gdyby nie czysty wypadek. W kilka lat bowiem szalonego chodzenia na głowie po Paryżu ze swymi kolegami, umarł Bartkowi ojciec. O tym wypadku Bartek się dość późno dowiedział, i zasmuciło go to bardzo, i odstrychnął się na czas jakiś od swoich kolegów. W tej samotności i smutku zastanowił on się cokolwiek nad sobą, a zastanowiwszy się, poznał niebawem nietylko całą nizkość takiego życia, jakie dotąd prowadził, ale wkrótce i to, że będąc teraz jedynym dość znacznego majątku dziedzicem, może się rzucić w inne koło towarzyskie Paryża i innych sobie znaleźć kolegów. Jakoż niebawem

rozkazawszy sobie przysłać gotowizny pozostałe po ojcu, urządził się całkiem inaczej i postawił się na stopie kawalera szlachcica. W tym charakterze porobił nowe znajomości, wyrobił sobie wstęp do wielu domów magnackich, prezentował się na dworze królewskim. To nowe życie i ociężanie się o ludzi celujących wykwinnością i smakiem, starło z niego niejedną szorstkość, pomiędzy niewyborowymi kolegami i w akademickich estaminetach nabytą, i lubo nie zabiło w nim jego junackiego ducha, ani odmieniło dziękij jego fantazyi, jednak dało mu pewną powierzchowną oglądę. Wkrótce potem, skłonność serca ku pewnej znakomitego urodzenia i sytuacji damie powzięta, odsunęła go jeszcze bardziej od dawniejszych nałogów. Miłość ta atoli, lubo trwała lat parę i kosztowała Bartka kilka pojedynków, kilka dalekich po Anglii i Italii wędrówek i kilkanaście tysięcy dukatów, nie została doprowadzoną do żadnego statecznego celu; przeciwnie nawet, miłość ta zakończona przeniewierzeniem się tamtej strony, jego już poważnieć zaczynające opinie o kobietach, o miłości, a ztąd o ludziach i o świecie, napowrót strąciła w on dziwny zamęt i niestateczność, w której one przez jego pierwsze lata pobytu w Paryżu się wyrabiały. A kiedy po zakończeniu się tej miłości Bartek, do Paryża wróciwszy, nanowo się rzucił w ono dawne swoich przyjaciół grono, aby tak jako pierwój żyć każdym dniem dzisiejszym bez troski o jutro, uczuł już czczość jakąś w sobie i zatęsknił za jakąś nowością, a ponieważ po tak długiej niebytności w domu, już mu się jego ojczyzna wydawała nowością, więc sprawił sobie powóz nowy, kupił cztery maściste konie, wziął swojego Etienne'a ze sobą i powrócił na zagon rodzinny.

I pomimo téj nieszczęsnej miłości i unudzenia się Paryżem, nie był wcale Bartłomiej jeszcze jednym z onych moralnie i fizycznie przeżytych paniczów, którzy późniejszemi czasy do nas przybywali z Paryża; jego serce nie strupieziało jeszcze wśród paryżkiej rozpusty, ani się wyczerpało w uczuciach wśród opinij skeptycznych, ani się wyzuło zupełnie z zapału i szlachetności, ani się napoiło skrytością, obłudą i fałszem; owszem, i serce jego i umysł miały całą rzeźkość młodzieńczą, całą otwartość szlachecką, całą odwagę męzką, a lubo te wszystkie cnoty, jakby paciorki jakie nanizane były na nitkę dziwaczności i awanturnictwa, a ta nitka była czyście z francuzkiego uprzedzoną jedwabiu i z winy téj nitki sameż paciorki innéj nabięrały barwy i blasku, toż to raczej było winą okoliczności, niżeli samego Bartka.

Tak cokolwiek bliżej zapoznawszy się z pana podkomorzego synowcem, możemy mu już śmiało uwierzyć, że jeżeli powiedział że niemasz nic w tém niepodobnego, ażeby wkrótce wdział na siebie żupan i kontusz, nie miał wcale chęci kłamstwem kaptowania sobie serca swojego stryja; jakoż i jasno nam teraz będzie, dla czego Bartek, kiedy go pan Wincenty ostrzegał, żeby był ostrożny

z tą szachtą, która zjada ludzi jak wróble, nic na to nie mówił, tylko się skromnie uśmiechał. Potem powracamy do rzeczy.

Po takim przemówieniu się z podkomorzym, Bartek zadowolony tём, że nie zostawił stryja swego w niepochlebnej o sobie opinii, zapuścił się w nim w dalszą rozmowę, w której zaraz na wstępie mu oświadczył, że lubo tylko szczéry afekt i chęć złożenia swojego szacunku przywiodła go do Balogroda, jednak ma przytём i sprawę, a to ułożenie się względem wiadomej po pani podstolinie sukcesyi, której wiarogodny inwentarz przywozi ze sobą. Mówiąc o tój sukcesyi, wspomniął nawiasem, że zupełnie pragnie stryjowi do woli zostawić wybór pomiędzy ziemią a gotowizną i lubo sam wolałby grosz gotowy, niżeli kłopot gospodarski z oddalonymi od siebie wioskami, toż jednak jeżeliby to miało być stryjowi jeszcze niedogodniejszém, gotów jest ziemię wziąć na siebie, a natychmiast po obliczeniu się stryjowi część jego w gotowiznie wypłacić. Czём nietylko ujął podkomorzego dla siebie przez to, że się ofiarował uwolnić go od onych gospodarskich na dalekich wioskach kłopotów, ale zarazem dał mu dobre wyobrażenie o sobie, jako o człowieku gospodarnym i mającym gotówkę.

Śród tój rozmowy Barbarka pilnie się przypatrywała Bartkowi. Niezgrabną i mało okrzesałą wydawała się jój młodzież sanocka; znała ona zgrabniejszą i polerowniejszą w tamtych ziemiach, w których się urodziła i wychowała, ale jednak tak gładkiej, tak polerownej, wymownej i ugrzecznionej, do jakiej na pierwszy rzut oka trzeba było policzyć Bartka, nigdzie jeszcze nie zdybywała. I oglądała ona jego figurę pilnie, przypatrywała się wykwinności jego ubioru, przysłuchiwała się uważnie jego słów doborowi i wszystko ją to dziwiło i zajmowało coraz więcej, aż póty, póki Bartek nie skończywszy z podkomorzym rozmowy, nie zapytał się pana podkomorzego, na nią samę wskazując:

— A to jest córka stryja dobrodzieja, jmc panna Barbara?

Na te słowa podkomorzanka się zapłoniła nie żartem, a skoro tylko jój ojciec zapytanie synowca potwierdził, wstał on ze swego miejsca i przybliżywszy się do niej, rzekł śmiało:

— Cieszę się bardzo, że przecie raz los mi dozwala poznać jmc pannę i przeto zaspokoić najgorętsze, jeszcze mojego pacholecego serca pragnienie, a zaspokoiwszy je, cieszę się jeszcze sto razy więcej, że moją siostrę stryjeczną zastaję tak piękną, jakiej w tak dalekich po Europie podróżach może ani jednej widzieć mi się nie zdarzyło.

Nie spodziewając się wcale Barbarka takiego powitania od Bartka, pierwszy raz może w życiu została dłużną odpowiedź; jakoż nawet zapłoniwszy się jeszcze bardziej, ani dawała po sobie nadziei rychłego ust otworzenia; co zauważywszy, Bartłomiej dodał natychmiast:

— To milczenie jmc panny stokroć mi jest miłszém, niż najmowniejsza odpowiedź; bo podczas kiedy każda odpowiedź mu-

siałaby być rzeczą ludzką i całe zwyczajną, to milczenie jest boskiem i nad wszelkie wyrażenia zachwyca. Kobiety, które kształtnie mówią i wiele mówią, jak to się dzieje we Francyi, przyprowadzają nakoniec do tego, że nami władną powoli, ale one tego nie wiedzą, że milczenie różowym okraszone rumieńcem, od razu nas do nóg im rzuca i przykuwa na wieki.

— A jak to gadał a jak to gadał jakby z książki kto czytał;— rzekł na to podkomorzy, wysłuchawszy wszystkiego z uwagą, a podczas kiedy Barbarka jeszcze się nie mogła zdobyć na żadną odpowiedź, Bartek zręcznie się zwrócił do podkomorzego i rzekł półgłosem:

— Jak honor kocham, tak jest piękną panna Barbara, jakich mało widziałem.

— Bogdaj ciebie! — rzekł na to podkomorzy uradowany, biorąc go oburącz za ramiona, a pocałowawszy go w czoło, dodał:

— No, chodźcie chłopcy, pójdziemy do matki.

Pani podkomorzyna, przestrzegając jaknajściślej we wszystkim godności domu i etykiety, luboby już dawno była wbiegła napowrót do mężowskich pokojów, aby się syna cieszyć widokiem, nie uczyniła tak jednak dlatego, że gość nowy przyjechał i to gość taki, którego obowiązkiem było ją przyjść powitać. I dlatego, kiedy ci panowie wraz z dziwnie jakoś usposobioną Barbarką, weszli do gościnnej komnaty, zastali panią domu siedzącą już na kanapie i ich czekającą.

Tęj familijnej rozmowy, która dnia tego przez cały wieczór trwała na balogrodzkim zamku, nie będziemy tutaj powtarzać, to tylko wspomnieć musimy, że Bartek, lubo nie rada była temu pani podkomorzyna, że ktoś do jęj familii należący, na swoich barkach wnosi takie nowatorstwa do kraju, jakiemi są strój i język francuzki, jednak dosyć się jęj podobał, a podobał jęj się raz ze swojej energii i mękości charakteru, z którą zaraz przy każdej bliższej rozmowie się zdradzał, a powtórę z grzeczności, delikatności i uszanowania, które zachowywał dla kobiet. To samo co matka, zauważyła w nim i panna Barbara, a kiedy tego wieczora jeszcze usłyszała od Bartka kilkanaście takich grzeczności, jakiemi ją przywitał na wstępie, to idąc spać jeno ręce zatarła z radości, a przy rozbięrianiu się rzekła do siebie półgłosem: — Już ty będziesz miał teraz za swoje, panie stolnikowiczu.

Wyobrażenie Bartka o kobietach nie były bardzo dla nich pochlebne; nie zgadzał on się w tęj swojej opinii ani z tymi kolegami swoimi, którzy kobietę podnosili do ideału i widzieli w niej pół-boga; ani z tymi, którzy się w sielankowych roznosząc uczuciach, służbę około nich z takim sprawowali respektem, jako oni kapłani, którym powierzony jest do strzeżenia jaki płomień westalki; ani z tymi nakoniec, którzy tę służbę uważali za główny obowiązek każdego młodzieńca, za najśodsze i najważniejsze w tém życiu zajęcie, a nagrodę z ich rąk otrzymaną za najwyższe szczę-

ście na ziemi. Bartek był greczny i usłużny dla kobiet, bo się wychował w Paryżu i wiele czasu strawił na takim dworze, gdzie bez grzeczności i czułości dla kobiet nie byłby ważył ani za ludzkie stworzenie; mając atoli głowę nabitą różnemi ważniejszymi myślami i serce zdolne do wznioślejszego zajęcia się i stateczniejszych zapałów, komplimenta swoje powiadał i umizgi czynił li żartem i dla zabawy, a dopiero jeżeliby ktoś żart jego brał koniecznie za prawdę, albo gdyby zaszło coś z boku chciał mu w jego krotchwilnych umizgach kłaść jakie tamy i przez upór zawadzać, dopiero wtenczas jego żart stawał się prawdą dla niego, a niewinna przedtém zabawa często najważniejszém wszystkich sił jego zadaniem.

W dniach następnych Bartek zawsze był pełen komplimentów dla panny Barbary, można nawet powiedzieć, że się do niej zbliżał dość chętnie i z pewnym zajęciem; bo go bawiła ta panna domowego wychowania, trochę szczerą, trochę rubaszna, a przytém dowcipna i piękna, — takiéj damy nie widział on jeszcze nigdy na życiu; ale Bóg jego był świadkiem, że w téj robocie nie miało nateraz udziału ani jego serce, ani jego umysł, ani próżność, ani nawet żadne zachcenie. Była to czcza zabawa dla niego i nic więcéj. Uważał on wprawdzie to, że panna Barbara nie z odrazą przyjmuje te komplimenta, i to go tak ośmielało, że z każdym dniem ich porzucał jéj więcéj i śmielszych. Dziwiło go trochę wychowanie téj panny, więcéj męzkie nizeli kobiece, więc unosił się nad jéj umiejętnością strzelania, jeżdżenia na koniu, trzymania sług w posłuszeństwie; zastanawiał go jéj charakter, który mu się przez różne drobne domowe zdarzenia to odsłaniał, to znowu zakrywał, i bawiło go to, i zajmowało i wprowadzało w coraz większą ciekawość, ale zawsze była to dla niego czcza zabawka i krotchwila.

Barbarka zaś, przyjmując ciągle od Bartłomieja grzeczności i tém go ośmieliwszy do siebie a niby przyuczywszy do służenia sobie o tyle, o ile jéj tego na coś było potrzeba, już była tém zadowolona do syta i czekała tylko z niecierpliwością, rychło się pokáže pan stolnikowicz. Ale stolnikowicz nie przyjeżdżał i tych dni nie mógł nawet przyjechać, bo go dnie pierwsze robót wiosennych właśnie pociągnęły do drugiéj wsi swojéj, do Rogów, gdzie mu przyszło nowych sług przyjmować, nowy ład w gospodarstwie zaprowadzić i dni kilkanaście się przytém zabawić.

Tymczasem to od sług zamku zahoczewskiego, to od balogrodzkiéj publiki wyszła i prędko się rozeszła po całych górach wieść o jakichsiś dziwnych cudakach, którzy na balogrodzki zamek przyjechali w gościnę. Szlachta, słodkiego wczasu zażywająca za panowania Sasów i czekająca tylko pod swemi słomianemi strzechami na lada jakie nowiny, ażeby z pod strzech tych co najrychléj wylecieć, łakomie pomiędzy siebie tę wiadomość porwała i puściwszy ją w obieg, w krótkim czasie taką z niej uprzedła

legendę, że w niej ani krzty prawdy nie było. I niemasz się co zresztą dziwić téj szlachcie: serce bujne, zdrowe i wrażeń pragnące, w braku powodu do wielkich uczuć chwytą się małych, i jako bluszcz przyzwyczajony pięć się po murach zamkowych i basztach, w braku ich winie się także około kupy kamieni lub około płota, tak i one serca tamtego czasu chwytaly się plotek i baśni sąsiedzkich i z niemi także nieraz wily się koło płota. Że nareszcie przybycie Bartka w góry sanockie stało się przedmiotem tak ogólnego i żywego zajęcia, nie masz się co dziwić jeszcze i dlatego, bo Polak w sukniach francuzkich był wcale jeszcze tutaj nowością. Szlachta tutejsza, która się rodziła i umierała na jednym i tym samym zagonie, częstokroć ani nawet nosa nie wytknąwszy za granicę powiatu, niewiele się troszczyła o to, a nawet i nie wiedziała często, co się działo w Warszawie lub koło wielkich gościńców, a że Polacy już poczynali kłaść na siebie ogoniaste ubiory a na głowy pudrowane peruki, słyszała tylko zdaleka i dopuszczała tego tylko magnatom i królewskim ministrom. Szlachcic pomierny ani mógł, wedle ich wyobrażenia, zmieścić się w pludry i kamizelkę z kolbertynami, a pierwszym, który ją przekonał inaczej, miał być dopiero pan Bartłomiej Karsznicki. Później, za lat kilka, przekonali się wszyscy, że szlachcic polski tak dobrze włędzie w pluderkę, jak Niemiec i Francuz, a za lat kilkanaście nawet, że ich setki i tysiące mogą się zgłę obejść bez pluder i butów; ale natenczas jeszcze to wszystkich dziwiło i poruszało do wnętrza, i ci temu wierzyli, inni niedowierzali, trzeci już naprzód piorunowali a wszyscy razem niczego tak ciekawi nie byli, jak widzieć naocznie ono osobliwe subjektum, które mając herb i polskie nazwisko, nie ma ani wąsów pod nosem, ani kontusza na sobie, ani karabeli przy boku.

Tymczasem pan podkomorzy, nagadawszy się już do woli ze swoim ukochanym Wincentym a polubiwszy Bartka za to że miał dowcip i rozum i duszę wyniosłą, ułożył sobie swoim chłopcom piękną krotochwilę uczynić, i ażeby nie potrzebowali po jednemu poznawać jego sąsiadów, całą szlachtę okoliczną zaprezentować odrazu. A że dnia pierwszego czerwca właśnie przypadała dwudziesta dziewiąta jego zaślubin rocznica, więc to wzięwszy za asumpt, ogłosił podkomorzy, że w dniu tym radby widział wszystkich blizkich i dalekich a choćby téż i najdalszych sąsiadów na swoim zamku. Można téż sobie wyobrazić, że szlachta, czekająca tylko powodu do odwiedzenia podkomorzego, hurmami dnia tego zwała się na zamek. Więc przyjechali i wszyscy sąsiedzi i owi z za Sanoka i owi od Lutowisk i z za Chwaniowa, a który miał jakiego gościa, to i tego przywiózł ze sobą. I było tak, że kiedy podkomorzy już około południa statecznie zasiadł między kolumnami pod frontową galerią, ażeby witać swych gości, to nie tylko że sam ledwie co dziesiątego mógł znać po nazwisku, ale byli tacy, których ani Bobowski, ani Osuchowski, stojący przy

podkomorzym i pomagający mu w onęj gospodarskiej usłudze, znać nie mieli honoru. Ale pomimo to szło to jakoś gładko i do brze, a serce otwarte i szczeré gospodarza umiało wszystkich przyjąć zarówno i każdemu dogodzić.

Jakoż w godzinę albo dwie po południu już było około kilkadziesiąt osób zebranych na zamku. Ci którzy przyjeżdżali, jedni zostawali przy podkomorzym, z nim się bawiąc i rozmawiając, drudzy rozchodzili się po dziedzińcu, biorąc się ze swymi przyjaciółmi pod boki i z nimi się witając, trzeci zaś, co śmielsi, szli na górne pokoje, do onęj wielkiej komnaty narożnej, w której pani podkomorzyna, mając do pomocy swojej kilku poufalszych sąsiadów i Bartka, wystrojonego jak lalkę i woniejącego jak sklep aptekarski, zabawiała znów panie i panny, które także na tę fetę zjechały. Ale który tylko z onych komnat górnych powrócił, zaraz nie zaniedbał wziąć tego albo owego pod ramię i tak mu coś gadał a gadał, że się zawsze około takich dwóch musiało niebawem jeszcze kilku zgromadzić, na to, ażeby jeszcze żywiej rozprawiać a śmiać się. I takich już kilka kupek po dziedzińcu chodziło, a każda z nich, spotykając się z drugą, coraz się ożywiała i widać było, że je wszystkie razem i każdą z osobna jeden tylko przedmiot zajmuje.

To zdarzenie nie uszło uwagi stolnikowicza i obudziło zaraz w nim ciekawość, coby temu być mogła za przyczyna: jakoż już kilka razy, biorąc za połę Osuchowskiego, proponował mu, ażeby szedł z nim na górę, ale pan łowczyc, nie lubiący towarzystwa kobiet, zawsze mu się od tego wymawiał, mówiąc że nie godzi się zostawiać podkomorzego samego. I tak bracia ślubni czekali już póty na dole, dopóki aż wszyscy spodziéwani goście się nie zjechali, a panu stolnikowiczowi ani marzyło się o tém, że tam na na górze, ile razy kto pokazał się we drzwiach narożnej komnaty, tyle razy Barbarka się w swojej nadziei zawiodła, i tyle razy z coraz większą złością w sercu, a coraz większą wesołością na twarzy, obracała się do siedzącego obok siebie i dziwnie gładko coś prawiącego jéj Bartka.

A kiedy już druga po południu uderzyła na ściennym zegarze, podkomorzy powstał ze swego krzesła i zaprosiwszy swoich gości, ze wszystkimi poszedł na górę. I kiedy weszli do narożnej komnaty, zastali tam wiele pań pięknych i panien, to o tém rozmawiających, to o owém, i wszystko się działo pięknie i statecznie, ale Bartek tak niepięknie jakoś siedział koło panny Barbary i tak niestatecznie coś peruką swoją manewrował koło jéj piersi i twarzy, że gdyby nie to, że obaczywszy Bartka, wszyscy się tak jego ubiorem i całą figurą zajęli, że nie mieli już czasu dojrzyć co on robił i kto koło niego siedział, to byliby się tém bardzo zgorzyszyli. Bobowskiego cały Bartek niewiele zajął, ale pomimo to i on także nie dojrzał jego nieprzystojnych umizgów, bo on, kiedy wszedł i spojrzawszy w oczy pannie Barbarze, jakąś

niezwyczajną z nich srogość obaczył wymierzoną ku sobie, tak struchlał odrazu, że już nawet nie widział co się działo około niego.

Tymczasem podkomorzy, przyprowadziwszy swoich gości na salę, wziął zaraz Bartka pod ramię i idąc z nim pomiędzy szlachtę, prezentował go co przedniejszym i starszym; a kiedy tak Bartek przesunął się po przed oczy wszystkim, uderzając tych subtelnością i zgrabnością swojej figury, tamtych ubiorem, a do trzecich donosząc tylko woń perfum swoich i piżma, różne na różnych twarzach dały się dostrzegać wyrazy: więc tu podziwienie, tam uśmiech sardoniczny, tu lekceważenie i gdzie niegdzie nawet oburzenie albo szczerą pogarda. A podczas kiedy w miejscach, od których już się podkomorzy z Bartkiem cokolwiek oddalił, nawet ustne się dawały słyszeć uwagi, pan Osuchowski, który wzrokiem wszystkich o głowę przenosząc i barkami trzech drugich zasłaniając, głosu także za kilku miał w swoim gardle, rzekł do pana Urbańskiego niby po cichu, ale tak, że wszyscy bliżsi słyszeli:

— Panie bracie! wiedzą ludzie, jakim jest struty i podupały od czasu téj bisurmańskiej niewoli, nie raz nawet tak sobie mówię, że już zgoła nic ze mnie nie będzie; ale teraz czuję to dobrze, że gdybym taką laleczkę na śniadanie przekąsił, jeszczebym na długie lata ozdrowia.

Na to śmiech głośny dał się słyszeć w tym kącie, w którym stał Osuchowski, a śród niego znów pan Gumowski, który przeszłego roku w łatesowskiej winiarni dał się z tém słyszeć przy wszystkich, że za czystą zabawkę ma sobie to, kiedy mu przyjdzie pójść z kim na szable, przystąpił do pana łowczyca i rzekł:

— A ja zasie, kiedy widzę, że już takie pośmiewisko zaczynają ze siebie robić Polacy, tak sobie powiadam, że bodajbym zbawienia dusznego nie stał się godzien piérwéj, póki takiemu jednemu łba nie uknęję.

I śmiech znowu rozległ się w onym kącie.

Bartek, już kiedy z podkomorzym się pomiędzy szlachtą przechodził, uważał to dobrze, że jakieś dziwne miny się na niektórych twarzach krajały, i że wzrok ten i ów, z którym mu się przyszło spotkać w przechodzie, był jakiś szyderycy, — i to go już trochę sadiło; ale kiedy śmiech ten usłyszał i raz drugi, zagotowało się w nim tylko jak owo w garnku, kiedy go płomień nagły z jednej strony przypiecze i znowu ucichło, ale niemasz wątpliwości, że war ten nie ochłócił w nim całkiem, tylko osiadł na spodzie i lada chwila mógł na nowo zakipiéć.

Tymczasem pani podkomorzyna powstała z kanapy i dała tém znać swoim gościom, że już czas do obiadu. Podkomorzy więc zaraz podał rękę pani stolnikowej sanockiej, jako najstarszej wiekiem i najpiérwszej godnością, za nim pan Błoński pani podkomorzynie, dalej inni innym pannom, a nakoniec pan Bobowski, lubo się był niezłe nastroił, aby podać rękę panie Barbarze, ubie-

zony jednak został przy tém przez zgrabniejszego od siebie Bartka i zamiast ręki dostał mu się znowu wzrok panny Barbary, tą razą już nie tak groźny i srogi, ale zawsze dumny jakiś i niby tryumfujący.

— Panie bracie. — rzekł to zauważywszy pan łowczyk do pana Józefa, — trzeba się z tém było jakoś lepiej uwinąć.

— Ej! nic nie szkodzi, — odpowiedział na to Bobowski, — gdyby kto inny, toby mnie to ubodło, ale bratu to niechaj będzie wolno.

I z tém za innymi pociągnęli bracia ślubni do sali jadalnej.

Obiad u pana podkomorzego nie był wymyślny ani zamorskimi piankami a marcypanami upstrzony, ale potrawy były wszystkie zdrowe, smaczne i ze znajomością rzeczy zrobione, nie tak jako się trafia gdzieindziej, że zraz ciężki pływa w sosie długim a delikatna potrawka grzęźnie w zawieszistym; tam wszystko było przyprawne tém co do niego należy, a podczas, kiedy tego była potrzeba, nie żałowano imbiéru, cynamonu, cukru i innej wniejącej bakalii, to znowu wszystkich potraw było tak śuto, że pomimo to, iż taka liczba była łaskawych, jeszcze i drugie tyle byłoby się tam mogło pożywić. Jednakże jeszcze cały ten obiad był niczém w porównaniu z winami, które podkomorzy zastawił. Ale szlachta pijąc i podziwiając, nie wiedziała wcale o tém, że to co dawano z początku obiadu, było jeszcze najpośledniejsze, a kiedy podkomorzy nalévając przeproszał, że nie bardzo jest w stanie znawcom dogodzić, bo jeszcze nie zwieziono tutaj jego piwnicy, ten i ów trącał swego sąsiada łokciem, mówiąc: — Chybażby już same nektary miały być w téj piwnicy. Tymczasem chociaż nektarów nie było, przecie zawsze jeszcze coraz lepsze wino podawano po każdej potrawie. I tak się to wino wciąż poprawiało aż do końca obiadu, a lubo to, które podano przy pieczonym indyku, jako ostatniej potrawie, zdawało się już być punktem tego, co się może urodzić w Węgrzech a w Polsce wychować, toż jednak coś ciekawego było już w pogotowiu.

Podkomorzy bowiem wszelkimi siłami wziął się na to, ażeby sławę swojej piwnicy odrazu dzisiaj odkryć i na długie lata utrwalić. A był zwyczaj natenczas w statecznych domach, że przy obiadach, które swą przytomnością zaszczycały kobiety, nie pito jeno pod miarę; kiedy zaś gospodarz chciał swych gości uraczyć i być sobie z nimi na czas dobrej myśli, jak to tam wtenczas nazywano, to po obiedzie dopiéro, kiedy już damy wyprowadzone zostały do komnat bawialnych, puszczał wodze swojej fantazyi. I wiedział o tym zwyczaju pan podkomorzy i do niego się zastosował. Jakoż, skoro tylko po pieczystém rozniesione zostały świeże i w korzeniach smażone owoce i te skonsumowane, wstał on zaraz, i podawszy rękę pani stolnikowej sanockiej, tym samym obyczajem wyprowadził napówrót wszystkich gości ze sali jadalnej, jakim ich do niej wprowadził; ale ledwo co tylko swoje dame

na środkowej ulokował kanapie, zaraz się zgrabnie w tył na obcasie obrócił i tuż za sobą stojącemu panu Błońskiemu ramię z ukłonem podawszy, szedł napowrót do sali jadalnej, a idąc, kłaniał się wszystkim na tę i owę stronę i mówił: — Proszę waszmościów za namil proszę nas naśladować.

Wiedział każdy co to ma znaczyć i wiedział, że się gospodarskiej woli nie godzi sprzeciwiać: więc szli wszyscy za podkomorzym, a podczas kiedy każdy znalazł sobie swą parę, Bartek tylko jeden sunął samotnie na końcu.

W sali jadalnej tymczasem pozbierano ze stołu talerze, zastawy i okruchy i pozastawiono li obrus na którym, kiedy za przykładem podkomorzego wszyscy znowu za stołem zasiedli, zastawiono butelki, kielichy i suche przekąski. Co gdy się stało, wstał ze swego krzesła gospodarz, i nalawszy kulawkę, spełnił ją duszkiem za zdrowie i pomysłność tej ziemi, która tak na niego łaskawa, i oddał w ręce panu chorążemu. Ale chorąży, człek stary i subtelnygo rozumu, nie powtórzył za podkomorzym, jeno pełną mając w rękę, zaintonował: prze gospodarskie. Od niego kulawka poszła w dalszą kolęj, a tymczasem każdy popijał sobie ze sąsiadem ze swojej butelki i poczęła się gawędka niby to właściwie ogólna, ale jednakże i partykularna, po kątach na czas zażywiana.

Przy tej zabawie pan Bartłomiej siedział także za stołem i w żartach brał taki udział jak wszyscy; w kielichowej zaś sprawie nietylko że sam dotrzymywał rzetelnie, ale jako krewny domu i pół gospodarza, jeszcze swym sąsiadom dolęwał, ba i dalszych zachęcał. To troszeczkę dziwiło onych barczystych kontuszowych sąsiadów, ale nic jeszcze nikt nie śmiał mówić, ten tylko i ów wąsa sobie poprawił, w tył wylot zarzucił i mruknął coś sobie pod nosem, co jednak niczyjój nie zwracało uwagi. W dobrą chwilę dopięro, kiedy już kilka kolejek obeszło i poczęły się kurzyć czupryny i animusze roziskrzają, stało się tak, że Bartek, widząc próżne szkło przed panem Gumowskim, naprzeciwko siebie siedzącym, powstał i przechyliwszy się przez stół, nalał mu ze swojej butelki, mówiąc grzecznie:

— Aby nie było restancyi.

Pan Gumowski, który dusznie znieść nie mógł Bartkowój peruki i sukni ogoniastój, i szpady, i pończoch i trzewików, ba i Bartka całego, srogą minę uczynił na to i ruszając wąsami, długo wodził wzrok swój od kielicha do Bartka, a od Bartka znów do kielicha, że aż Bartka to podsadziło i musiał rzec głośno, ale zawsze grzecznie:

— Czy waszmości to nie po sercu, żem mu się poważył usłużyć?

— Hm! — rzekł na to z lekceważeniem Gumowski — przyjąłbym ten kielich od waszmości, ale gdybyś i sobie nalał i napił się ze mną.

— Ba! — rzekł Bartek na to, — kiedy prawdę mówiąc, boję się

cokolwiek. Ale dla waszmości to jeszcze uczynię;—choć nie prawda, bo kto chciał to mógł widzieć, że się Bartek wcale nie bał kielichów. Na to zaś pan Gumowski:

— Ej! nie bój się waszmość, kiedy się upijesz, to cię zanieśmy do twojej izby, położymy cię na pierzynie, przykryjemy pierzyną, a jak się wyśpisz, taki zasie ładny będziesz jak teraz.

— A ponieślibyście mnie waszmość na rękach?— zapytał potulnie Bartek.

— He, he, he! czemu nie?—odpowiedział Gumowski — ponieśli my tu już nie jednego, który ważniejszy był od waszmości, to byśmy i waszmość ponieśli.

— Tyleście już waszmość ponieśli! — zawołał niby przestraszony Bartłomiej,— gdybym nie miał peruki na głowie, toby mnie włosy kółkiem stanęły od samego strachu.

— Widzi mi się, panie bracie, że kpi --- rzekł na to do pana Gumowskiego półgłosem pan Pobiedzieński.

— A! gdzieżby się kpić kto poważył z takiego rycerza, jakiego owo widzę w panu Gumowskim? — odpowiedział tuż na to Bartek, który tych słów dosłyszał. Gumowski się znowu srogim wzrokiem popatrzył na Bartka i rzekł:

— Graj, graj, łateczko, aż się dograsz jakiego guza na oną woniejącą peruczkę.

— Strach, jak honor kocham, co tu za srodzy ludzie w tej ziemi! Bogdajżebym nigdy tu był nie przyjeżdżał! — rzekł na to Bartek.

— Panie bracie, — odpowiedział na to surowo Gumowski, — to do czasu dzban wodę nosi; u mnie szabla przy boku. — Na to Bartek:

— Co wasze mówisz! a ja nawet szabli nie mam w całym moim majątku!

— Ho, ho! na to waszmość nie rachuj, bo kiedy tego będzie potrzeba, to ci ich tu dziesięć dadzą w jednym mrugnieniu oka.

— Ej!... nie... — rzekł na to Bartek, niby się namyślając, — taki się boję.

— A kiedy się boisz, toś tchórz,— rzekł na to Gumowski.

— A przepraszam! — zawołał na to Bartek i jak oparzony zerwał się zaraz od stołu.

Na to tumult się zrobił w tym końcu sali, a podczas kiedy jedni wołali: Gumowski pilnuj się, bo w tym honor całej ziemi! — Bartek przyskoczył do Wincentego mówiąc: Wicus, pozwólno mi twego pałasza, niechaj tego szlachcica naznacze! — Wicus w tym momencie szablę swoją odpassał i dał ją Bartkowi, a podczas kiedy już to wszystko sypało się z wielkim pośpiechem na dół w dziedziniec, dopiero spostrzegli się starsi, a domyśliwszy się zarazem, jaka temu przeszkoda, a drudzy tylko ażeby się przypatrzeć, podkomorzy wpadłszy w dziedziniec, zaraz pochwycił Bartka, mówiąc prędko:

— Bartku! jak mnie kochasz, bić się nie będziesz.

— Bić się będę i muszę, choćbym miał zaraz po bitwie wyjechać! — rzekł na to Bartek.

— Bartku! jeżeli mnie co dobrego życzysz! w moim domu... mojego gościa... mój Bartku!

Ale wtém ksiądz kapelan, który tuż się nawiniął a także był przy dobrej fantazyi, bo w dobrej kompanii lubił stare wino starszek, podniósł prawą rękę nad Bartkiem i rzekł:

— Niechaj się bije, jw. panie. Honor Karsznickich cierpiały na tém... sam byłem świadkiem.

Ale nim tych słów kapelan domówił, Bartek już stał na środku dziedzińca, o swoje szablę oparty, wprost naprzeciwko pana Gumowskiego, któremu podawała szablę i do ucha coś szeptała szlachta. A tu tymczasem nietylko wszystka szlachta wysypała się na dziedzińiec, ale i damy nawet, dowiedziawszy się o tém, wyszły na galeryą i uspokajane przez starszych mężczyzn, którzy wraz z niemi tam stali, z wielką ciekawością patrzeć poczęły w dziedzińiec, a podczas kiedy niektóre z nich, pomimo takiego oddalenia, tak się bały jeszcze téj bitwy, że jeno przez ramiona drugich na dół zaglądały, Barbarka nic a nic się nie bojąc, stała z boku przy samém poręczu i ręce w krzyż założywszy, śmiało na dół patrzyła.

I dla téj to przytomności dam panowie bijący się nie zrzucali już wierzchnich sukien ze siebie, jako jest we zwyczaju, jeno tak jak byli stanęli, a przytém, lubo pan Gumowski był gracz piérwszej próby i niepospolicie z pałaszem było mu do twarzy, toż jednak Bartek nierównie lepiej a nawet tak po rycersku wyglądał, że pochwały dla niego dały się słyszeć nawet pomiędzy niechętnymi dla niego.

Kiedy się ci panowie złożyli, zaraz pan Gumowski, jako-to człek gorący i serdecznie w swojej zakochany fantazyi, począł gromko naciérać. Bartek zasie, więcéj swéj sztuce niżeli przyrodzonej krewkości wierzący, wyciągnąwszy wprost szablę, przez pół paciérza albo może przez cały trzymał się tylko odpornie, a ci, którzy widzieli, jak pan Gumowski silnie tnie raz za razem, szepotali już sobie z cicha: — Dobrze to póki cięcia padają na szablę, ale kiedy jedno padnie na miękkie, będzie dwóch z tego panicza. — Tymczasem Bartek, wyrozumiawszy już swego przeciwnika i wypatrzywszy chwilę sposobną, chwycił cięcie, a oddając je zaraz napowrót, drapnął pana Gumowskiego w prawicę, że aż krew wytrysnęła odrazu. Co uczyniwszy, odskoczył i szablę opuściwszy ku ziemi, pokłonił się panu Gumowskiemu. Ale pan Gumowski, nie czując wcale owego drapnięcia:

— A to co? — zapytał.

— *Vous êtes touché*, — odpowiedział Bartłomiej.

— Gadajże z nim, — rzekł na to szyderczo pan Gumowski.

— No, bij waszmość dalej, chce iść o duszę, — odezwał się ktoś ze szlachty.

— Jesteś ranny, mości Gumowski, — rzekł równo z nim pan Wincenty.

— Ranny? a gdzie? — zapytał Gumowski, oglądając się po sobie, a kiedy mu krew pokazano na ręce, spojrział, plunął i rzekł: A nol to we Francyi nazywa się rana! — a do Bartka:— Chodźwa dalej!

— Ale dla Boga, dajcie już pokój, — rzekł na to podkomorzy, łamiąc ręce i frasując się niepomału.

A kapelan, który stał dobrze zblizka, znów po staremu podniósł rękę do góry, mówiąc:

— Bij waszmość dalej, mości Bartłomieju, — do podkomorzego zaś: — Nie wiem, od kiedy to jw. panu bitwa tak nienawistna? miło patrzeć, kiedy dwóch takich graczków idą o lepszą.

Tymczasem pan Gumowski znów sierszisto natarł na Bartka, ale Bartek tą razą już nie tak długo wyczekiwał ze swoją szablą, jeno zaraz trzecie albo czwarte cięcie schwywszy, płątnął pana Gumowskiego znów w prawą rękę trochę powyżej łokcia i czując to w szabli, znowu odskoczył i oparł się na pałaszu, mówiąc:

— Drugi raz waszmość jesteś raniony.

— Ej! co mi waszmość będziesz kréski rachował! — krzyknął na to Gumowski, — broń się, bo mi już cierpliwości brakuje! — i skoczył z wielką furją na Bartka.

Ale temu już także śnać cierpliwości zabrakło; postawił się więc jako mógł najsrożej, a podczas kiedy oczy jakby dwa świdy wlepił w swojego przeciwnika, nie poprzestał już na obronnej, jeno odbiwszy silnie dwa lub trzy cięcia, wjechał zgoła na niego. W tym momencie już widno było wszystkim czyja lepsza, nawet ktoś krzyknął z tłumu: W bok Gumowski! ale ledwie ten głos doszedł do uszu wszystkich, już Gumowski z łbem rozplatanym po lewej stronie leżał jak długi na ziemi.

Na to krzyk się zrobił nagły i pomieszany, kobiety wołały: Ach! na galeryi Barbarka się w głos roześmiała, szlachta jedna skoczyła do Gumowskiego, wołając: zabit! zabit! inni pobiegli: po wodę, podkomorzy rękę łamał i zły był, a Bartek stał z krwią zimną po staremu o pałasz oparty i mówił:

— Owo już zjedli jednego.

Tymczasem, ile że to dawnego czasu im kto był tęższym rębaczem, tém téż lepszym felczere, opatrzone pana Gumowskiego w mrugnięciu oka i pokazało się zaraz, że lubo cięcie było dość silne, jednak rana nie była ani głęboka, ani tak niebezpieczna, że o zdrowie rozpaczać. O czém kiedy przekonał się podkomorzy, nabrał lepszej fantazyi i rozkazawszy zaraz dać izbę osobną ranemu i wszelką opiekę, lepiej nareszcie zadowolony tém, że Karzniczki zwyciężył, niżeliby miał być zwyciężony, kazał w dziedzi-

niec wynieść stół i krzesła i podać wina, jakie tylko było najlepsze w piwnicy. A podczas kiedy pijąc po kropki, jedni wydobywszy szabel, pokazywali sobie w oddaleniu jakie były cięcia Gumowskiego a jakie Bartkowe, drudzy chodzili zdaleka około Bartka, oglądając go ze stron wszystkich i różne czyniąc uwagi. Więc jedni mówili:

— Subtelna i delikatna figura, ale siła jest w rękę.

— I dusza, panie bracie, jak przynależy, — mówili drudzy.

— Widać gdzieś się tłuc musiał z francuzkami rębaczami do syta, bo jaka to sprawność w nim, a jaka sztuka, — zauważali trzeci. A inni zasie:

— O! frant Niemiec, jak mi Bóg miły! a jak to skacze przy sprawie! i okoby drugiemu wydziobał i nazadby uskoczył.

A podczas kiedy pan Krakuszowski powiadał: — Przeciebym ja jemu nie radził, żeby często się z naszymi próbował, bo jak padnie kiedy na pana Osuchowskiego ręce, to taki mu końca dojedzie, — Bartek stał za stołem, na około którego zgromadzona była szlachta, i pijąc wielkiem gardłem, tak mówił:

— Wiedziałem ja to już dawno z ust nieboszczyka mojego ojca, że nie piérwój można pozyskać miłość i estymę u szlachty, aż póki się dobrą moc guzów pomiędzy nią nie rozdzieli, ale teraz przekonuję się o tém nacznie. Nie rozumiem ja przez to, żeby ona taki respekt miała przed guzami, albo żeby nie była sprawną do szabli, i owszem, umie ona obejść się z szablą, ma odwagę i w samo prawie fantazyi, ale przecie w tém wszystkiém jeszcze wielką ma wadę.

— A no mów waszmość, co to jest za wada? — odezwał się któryś z gości.

— Ma wadę, — powiadał Bartek, — a to tę, że jój się tak zdaje koniecznie, że kiedy kto się nie kończy na ski, polskiego herbu nie ma a w kontuszu nie chodzi, to już jakiś szewc, kramarz, chetka pętelka. Prawda ono jest, że tu w Polsce trudno gdzie szukać odwagi a rycerskości, krom u herbownych, ale są zasie całe narody, które łbów nie golą i kontuszków nie noszą, a przecie u nich jest odwaga i rycerskość, może nawet lepsza niż u nas. A ponieważ całą młodość moję przeżyłem w Paryżu i napatrzyłem się dosyć rycerskości i odwadze, jaka się tam między ludźmi znajduje, więc nawet to powiadam otwarcie, że kiedyby się wam z tamtymi pomierzać przyszło, w kątybście poszli wszyscy sanoccy junakowie.

— Hm! panie bracie, — rzekł na to pan Osuchowski, przystępując do niego, — napijże się ze mną, a ja tobie powiem.

A wypiszy z Bartkiem po pełnej i w dalszą kolej puściwszy, tak zasie mówił:

— Powiadasz, penie bracie, że mierzając się z Francuzami, w kątybśmy poszli przed nimi; a ja tobie powiadam, że albobyśmy poszli, albo nie poszli. Najpiérwój to masz wiedzieć przed wszyst-

kiem, że nikt u nas nie jest takim prostakiem, żeby myślał, że już nigdzie niemasz odwagi ani rycerskości, bo kto zna historią narodów, ten wie dobrze, że Niemcy i Francuzi się niezgorzej bijali, kiedy im przyszło do tego, że już nie mówię nic o Hiszpanach a całe omijam starych Rzymian i Fregów, których męstwo *ut ajunt*, niema do dzisiaj równego na świecie. Więc my Polacy wiemy o tém doskonale, chociażśmy się nie chowali w Paryżu, jeno na swoim zagonie; ale przecież tak powiadamy, że strudnabyśmy w kąć zaraz iść mieli przed tamtymi. Mają oni swoje sztuki, to prawda, i zaraz ot z nich jedna, za którą teraz gwałtu woła pan Gumowski, ale mamy my także swoje... — I to mówiąc, pan Osuchowski uderzył pięścią w róg stołu dębowego, przy którym wszyscy stali, a kiedy ten róg pękł i jakby piorunem odstrzelony z trzaskiem odleciał na ziemię, a noga pod tym rogiem tak się głęboko wbiła w ziemię, że aż się reszta stołu zupełnie przechyliła w tę stronę, dodał on z wolna: — A owo z naszych sztuk także jedna. Widziałem ja także odważnych Francuzów i Niemców, — mówił dalej pan łowczyc, — i teraz także widzę z nich jednego przed sobą, ale zawsze tak mi się widziało i dzisiaj widzi, że kiedybym i najodważniejszego z nich tak pogłaskał po głowie, toby się w takie same trzaski rozleciał, jako ten stół dębowy.

— Ba! — rzekł na to Bartek, — jeno że.... ale napijno się zemną, to ja tobie powiem, — a gdy się napito, prowadził dalej: Jeno że żaden Francuz nie będzie taki prostak, żeby się z panem łowczycem próbował na pięście.

— Jeno na co? — spytał pan łowczyc.

— Na broń! — odpowiedział Bartek.

— Niby téż to nie wszystko jedno?

— A nie jedno, bo przy sprawie na broń nie ręka decyduje, jeno dusza a serce, — rzekł Bartek.

— A ja tobie powiadam, — rzekł pan Stanisław, — że czy cię ręką moją, czy duszą przygniotę, to tak prysniesz, jako ten róg stołowy.

— A no! — rzekł Bartek, mając już dobrze w głowie—kiedy masz duszę tak mocną, chodź-że za mną panie bracie. I wy wszyscy za mną, którzyście tacy zuchterowie. Proszę waszmościów.

To mówiąc, Bartek szedł prosto ku baszcie narożnej, a szlachta ciągnęła się za nim, ciekawa co to będzie takiego. Tymczasem on, przyszedłszy do tego miejsca, gdzie przy baszcie stała jodla w ziemię wbita, kołkami nasadzona i na dach prowadząca, począł leżeć po téj jodle do góry, mówiąc: — Proszę ichmość za sobą. — A lubo nikt za nim nie laźł, on jednak wciąż szedł do góry i wylazłszy na dach basztowy rynnami zaopatrzony, zaczął chodzić po samym brzegu przy rynnach.

Damy, widząc to z wielkiej galeryi, znowu ach! wołały i oczy odwracały od tego niemiłego widoku, starsi panowie powiadali,

że to istne szaleństwo, a młodszy dziwowali się temu, mówiąc: — Niech go diabeł! taki mówcie co chcecie, jest animusz w tym kawalerze! — I rzeczywiście był to niepcspolity animusz, bo lubo Bartek był w delikatnych trzewikach i pewnie mógł przeto stąpać, jednak zawsze to była wysokość pewno dwóch piąter, dach gątowny i stary, bez galeryi, i gdyby był spadł z niego, to nie łoży mu było gotować, lecz grób oczywisty. Ale Bartek, który już pewno nieraz téj sztuki dokazywał, bo to była zwyczajna tamtoczesnej młodzieży francuzkiej po biesiadach igraszka, przeszedł na około dachu, i zdrów a cały, nawet trochę trzeźwiejszy, nazad zeszedł po onéj jodle na ziemię.

Jakoż ledwie co zeszedł, zaraz go podkomorzy chwycił w swoje ramiona i zawołał:

— Niech cię Pan Bóg ma w swojej opiece! A co, panowie bracia! Taki to krew Leliwitów, czy w żupanie, czy w sukni zamorskiej, zawsze jest jedna i ta sama!

A szlachta powiadała, że prawda, — i utraciwszy przez to trochę swojej instynktowéj odrazy do Bartka, przy łasce i gościnności podkomorzego piła i hulała do świtu.

VIII.

Wypadki zdarzone podczas onój fety, wydawanėj na balogrodzkim zamku, wiele dały do myślenia Barbarce.

Nie widziała ona nigdy ani wyobrażała sobie podobne zdybać na téj ziemi subjektum, jakiem jój się wydał i jakim był rzeczywiście Bartłomiej. Nie ważyła u niój wprawdzie nigdy wiele elegancya i delikatność, umiejętność podobania się i dworność w męzczyźnie, i jój ideał kawalera był zawsze mąż zdrowy na duszy i na ciele, rozumny i odważny, bitny i przedsiębiorczy, dobry gospodarz i dobry żołnierz; ale teraz, kiedy znalazła w jednym człowieku przy rozumie dowcip subtelny i znajomość świata, która dopiero ten rozum uszlachetnia i uprzyjemnia, obok miękkości serca duszę silną i niepospolicie hartowną, obok kobiécój prawie miękkości i wykwinności w ubiorze, dłoń męzką i zarówno zdolną bronią zawładnąć rycerską, jak i miękkie piastować wieńce: zaczęła ona wiele myśleć nad dawniejszym swym ideałem i pomału przyznawać sobie, że się nie w jedném wyobrażeniu myliła. A ponieważ do sprostowania tych jój omyłek przykładem mógł być tylko Bartłomiej, tak jak był powodem do ich pojęcia, więc niemało chwil upływało Barbarce codziennie takich, w których w jój myślach samowładnie panował tylko brat jój stryjeczny.

Jednakże daleko więcej niż ideały zajmowały ją jój rzeczywiste uczucia. Bartek ją dziwił, wzbudzał w niój upodobanie, poklaski i coraz większą sympatyą, ale zupełnie niezrozumiałym, niepojętym był dla niój Bobowski. Pragnąć czegoś i ciągle się powstrzymywać w pragnieniach, kochać się i od ukochanego przedmiotu uciekać, konkurować i w przytomności panny dnie całe prze-

pędzać w inném, a nie jój towarzystwie, — nie! tego ona ani pojąć, ani wytłumaczyć sobie nie mogła. Nie! — mówiła ona do siebie w chwili samotnej, — nie! to nie mąż, to nie kawaler, to nie człowiek z duszą i sercem, jak inni; to jest ryba z krwią lodową, albo kolek drewniany.

A tymczasem znów z drugiej strony nie mogła przy najlepszej do tego chęci odmówić panu Józefowi rozumu, boć go przecie widać było w każdej jego z kim innym oprócz z nią rozmowie; nie mogła mu odmówić serca i uczucia, boć przecie tyle na to świadectw było w ustach wszystkich sąsiadów, i to ją bałamuciło jeszcze bardziej. I mówiła znowu: — nie pojmuję, nie rozumiem, ani wyobrażenia o tém nie mam. Ale żeby tam niewiedzieć co było, muszę, muszę go zrobić takim, jakim być powinien. — Z takim przedsięwzięciem Barbarka się na nowo obracała do Bartka, aby słuchać jego rozmowy i przez to dopuścić go do takiej poufałości jak tylko można, bo tylko przez obudzenie zazdrości w panu Józefie spodziewała się ona go naprowadzić na właściwą wedle jój rozumienia drogę i zniewolić do takiej około siebie służby, jakiej jój duma i próżność wymagały koniecznie.

Ale na nieszczęście, po onój fecie na zamku i Bartek jakoś swoje zachowanie się względem niej odmienił. I zamiast tak jako piérwój zawsze i wszędzie przysuwać się do niej, pełnym być komplementów otwartych, niewyczerpanym w grzecznościach, przy wszystkich mówił on teraz jeszcze goręcej, jego komplementa były coraz dowcipniejsze, a przy grzecznościach dawał do poznania wyraźnie, że to nie są czcze słowa, jeno jaknajszersze jego serca życzenia; ale cóż! kiedy to wszystko czynił tylko w kącikach, w coraz większym przed rodzicami i sługami sekrecie, a już kiedy się kto obcy trafił na zamek, Bartek tak się zachowywał zimno i obojętnie i tak zdaleka się trzymał od swojej siostry, jak gdyby jój wyraźnie unikał.

Postępowanie to Bartka miało całkiem naturalne przyczyny. Poznawszy on Barbarkę i widząc ją piękną, a nawet pod wielu względami niepospolitą i do kobiet jemu znanych nic a nic niepodobną, był grzecznym dla niej, ale li dla samej grzeczności. Komplementa jego czcze były i nie miały żadnego celu, dlatego nie tał się z nimi przed nikim i wypowiadał je głośno i otwarcie. Cel nawet jakiś, który mają zwyczaj niektórzy zakładać sobie zaraz przy piérwszém zóczeniu pięknej kobiety, nie byłby odpowiednim jego naturze; Bartek bowiem był to raczej rycerz umiejący korzystać w lot z każdego przypadku, a oswobodziwszy raz na zawsze swoje w tym względzie od wyrzutów sumienia i każdej chwili będąc do grzechu gotowym, nie przepuścił on wprawdzie żadnemu uśmiechowi szczęścia, który zabłysnął na jego niebie, ale dyplomata podstępny i chytrym, zarzucającym niewody o wiosnie na to, aby bez żywności nie zostać na zimę, nie był on nigdy, a tém mniej dzisiaj, kiedy już przez wiele przeszedł miłości,

wiele doświadczył zawodów, a przy wzrastających coraz latach umysł jego poważniał i serce krzepło na drobniuchne uczucia. Nie szło zatem zaprawdę, ażeby jeszcze kiedyś zniewolenie kobiety dla siebie nie miało się stać ważnem i najważniejszem jego życia zadaniem, ażeby nie miał gardła swego dla takiego celu narazić, albo lat kilka niebezpiecznych poświęcić zabiegów, bo i serce jego miało jeszcze dość młodzieńczego zapału, ażeby się na zabój rozkochać i miłość kobiety, przez nagromadzone przeszkody i trudności, mogła się stać godną jego poświęcenia się sprawą: ale tutaj jeszcze nie było tego wypadku. Więc nie miały żadnego celu pierwsze dla Barbarki grzeczności.

Ale kiedy Barbarka, dla innych surowa i nieprzystępna, te grzeczności od niego przyjmowała bez żadnego oporu, a nawet w niektórych chwilach (a działo się to najczęściej w przytomności pana stolnikowicza) jeszcze je sama wyciągała od niego; Bartek, zastanowiwszy się nad tém, nazwał to sobie szczęśliwym przypadkiem i wiedząc to dobrze, że Balogród nic a nic nie jest do Paryża podobnym i że tam wszystko się dzieje po woli podkomorzego a nie ślepego losu, postanowił korzystać z tego przypadku. Cel zołożony zmienił téż zaraz postępowanie jego, i ztąd poszło owo tajenie się jego z komplementami i afektami, które wypowiadał Barbarce. I było to rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem — jak powiadał w Paryżu wychowany Bartłomiej. Ale Barbarka, która się nie chowała w Paryżu i u której rzeczy tam naturalne, jeżeli je znała, najnienaturalniejsze obudzały zdziwienie, a która nadto jeszcze o wielu rzeczach tam naturalnych w ziemiach halickiej i sanockiej ani słyszała, nie mogła pojąć téj Bartka odmiany. Z coraz gorętszych jego afektów i coraz czulszych grzeczności, domyśliwała ona się wprawdzie, że Bartek musiał się w nią troszeczkę rozkochać i to ją bawiło i ujmowało dla niego, ale wiedząc go bratem swoim stryjecznym, i w naiwności swój myśląc, że gdyby tu nawet obustronna miłość była, nigdyby się nie mogła zakończyć małżeństwem, tém więcéj się dziwowała owéj Bartkowej tajemniczości. A tu jéj właśnie, jeżeli się na co przydać mogły te jego grzeczności, to tylko wtenczas, kiedyby były otwarte, kiedyby był przy nich pan Józef — i koniecznie chciała Barbarka, ażeby Bartłomiej grzecznym był dla niej, ażeby się do niej unizgał, ale przy wszystkich, a przynajmniej przy panu Józefie.

Inna kobiéta, a osobliwie taka, któraby była wychowana w Paryżu albo przynajmniej w Warszawie, byłaby sobie w jéj miejscu łatwo umiała poradzić: nie dać Bartkowi nic do siebie mówić tajemnie, a byłby musiał mówić otwarcie; ale Barbarka, która i tak nie wiedziała jak przychodzi do komplementów od takiego kawalera, jakim w jéj oczach był Bartek, a w nim tylko jednym widzieć mogła on upragniony bicz Boży na pana Józefa, ani mogła myśleć inaczej, jak tylko że takim postępieniem zraziłaby Bartka od siebie na wieki. Więc mówiła tak i w tych miejscach,

jakie on wskazał, i dała się jemu powodować powoli, i ta heroiczna *virago*, przed której wzrokiem drżał śmiertelnie Bobowski, skłaniając kark swój pod jarzmo, była natenczas słabszą od naj-słabszej ptaszyny, którą w swojej ptaszarni różnych sztuk wyuczał jej ojciec.

Ta słabość panny Barbary była wprawdzie umyślną i jej dobrze wiadomą, jakoż nigdy ona o niej nie myślała inaczej, jak tylko że kiedy zechce, otrząśnie się z niej każdej chwili; ale zawsze tymczasem dała ona się wieść coraz dalej, i w fałszywem rozumieniu swojego położenia, a zaślepiona i żądzą mszczenia się nad stolnikiewiczem za jego chłód i wahanie się, i pragnieniem rozżarzenia w nim jaknajgorętszej miłości, ani razu nie pomyślała o tém, że lubo coraz dalej brnie w jakieś dziwaczne z panem Bartłojem konszachty, nietylko go nie przywodzi do tego, aby jej komplimenta mówił przy panu Józefie, ale owszem nawet coraz dalej go odprowadza od tego.

I daleko zaszedł ten niezwyuczajny pomiędzy tém dwojgiem młodzieży stosunek. Jakie pomiędzy nimi ztąd wyniknęły zrozumienia się i jakie nieporozumienia, tego trudno nam dojść było do gruntu; bo Bartek to tak umiał prowadzić zręcznie, tak się ukrywać misternie i tak przytém tumanić, że i najodleglejsze oko niczego tam dostrzedz nie mogło: to jednak pewna, że od niejakiemu czasu dziwne jakieś rzeczy zaczęły się przywidywać pannie służebnej, Józefce. I tak jednego wieczora, kiedy starzy państwo wraz z panem Wincentym siedzieli razem, chłodu czerwcowego używając w ogrodowej altanie i o czémś poważném tam rozmawiali, a ona w oknie na ten ogród otwartém stała i czekała na swoje panny, zdawało jej się jaknajwyraźniej, że w onych berbersowych krzakach, które ogrodowi od południa za parkan służyły, widziała dwie samotne zmrokiem okryte postacie. Pani była w bieli i stała twarzą obrócona ku ogrodowi, pan był w ciemném ubraniu i klęczał przed nią, jej ręce trzymając w swoich i ustawicznie całując. Pomyślała sobie wprawdzie Józefka, że tą panią mogła być panna Barbara, bo właśnie dnia tego miała białą suknię na sobie, ale wnet ze strachu, żeby się jej pani o téj jej myśli nie dowiedziała, prędko ją porzuciła.

Inną razą znowu taż sama Józefka, wszedłszy nagle do bawialnej komnaty, zastała tam w kąciку przy piecu pana Bartłojem i pannę Barbarę, i to ją nic nie dziwiło, ale tego długo potem zapomnieć nie mogła, że kiedy weszła, pan Bartłojem tak nagle odskoczył, jakby go kto wodą oparzył, do czego jednak żadnego nie było powodu.

Potém to w kurytarzu o zmroku, to w którym z oddalonych pokojów, często bardzo zastawała to państwo oboje, a lubo nie zawsze się płoszył tak pan Bartłojem, toż jednak zawsze siedział przy pannie tak blisko, że aż to było nieładnie; a raz byłaby przy-

siądz na to mogła Józefka, że pan Bartłomiej pannę w same usta całował.

Jednakże prócz Józefki nikt inny nic nie uważał i niczego się nie domyślał, a lubo pan Bartłomiej już trzeci miesiąc bawił u swoich stryjostwa, jednak cisza była i spokój na balogrodzkim zamku tak teraz, jako i pierwój.

Tymczasem Barbarka, jeżeli tak się gniewała na pana Józefa, że aż się mścić nad nim pragnęła, i jeżeli go tak obojętnym sądziła, że aż przez obudzenie zazdrości chciała w nim miłość rozłazić, bardzo czyniła niesprawiedliwie. Pan Józef bowiem kochał się w niej rzetelnie i szczerze i niczego tak gorąco nie pragnął, jak pozostać jej sługą na wieki; a jeżeli w nim nie było takich afektów, które raczej są podobne szaleństwu niż czystemu uczuciu, to winna była temu tylko sama panna Barbara, że ich nie umiała obudzić. Bobowski pewno zdolny był i do miłosnego szaleństwa. I chociaż tego jeszcze nie było, jednak nic pewniejszego nad to, że jego serce było zajęte pełnem a nawet gwałtownem uczuciem miłości. Nie występował on wprawdzie z niem otwarcie, bo nie mógł, bo był przestraszony, bo sparzony już kilka razy i pochwycony nieraz przez pannę Barbarę na marném słówku, długo się już teraz namyślał, nim się z czém przed nią odezwał; bo niepewny nakoniec jej sentymentów, nie chciał się ze swojemi nadto porywczco odkrywać, aby się śmiešnością nie okrył, aby co nie usłyszał przykrego, aby nie utracił odrazu najmilszych swoich złudzeń i najśodszych nadziei; — a jeżeli tak było, to znów temu winna była Barbarka.

Nie zasługiwał tedy pod żadnym względem pan stolnikowicz na gniew i na zemstę, — a nie zasługiwał témbardziej, ile że on całą tę konkurencyą swoją prowadził tak, jak je prowadzić zwykła była wszystka młodzież onego czazu: statecznie, pomału i z przyzwitoą godnością. Bywał tedy pan Józef na balogrodzkim zamku dwa razy a już przynajmniej raz co tygodnia, starał się o względy u matki, służył z atencyą ojcu, z panem Wincentym piękną przyjaźń zawiązał i nawet księdza kapelana zabawiał, a kiedy tylko się przyzwitoa sposobność zdarzyła, prawil grzeczności pannie i najpiękniejszą, na jaką go tylko stać było, wymową starał się dawać jej do poznania, że jest dla niej poświęcony duszą i ciałem.

Barbarka, wedle chwilowego humoru, raz przyjmowała komplimenta od niego, drugi raz powiadała po staremu co dziwaczne-go, a im więcej tych dziwactw było, tém ostrożniejszym i znów powolniejszym stawał się pan Józef, bo kiedy już nie mógł postąpić naprzód, bał się aby się nie cofał na swojej drodze, i wołał zostać na miejscu do sposobniejszej pory. Co się zaś tyczy onęj sztuki panny Barbary, zapomocą której ona przez Bartkowe umizgi chciała Bobowskiego na upragnioną przez siebie naprowadzić drogę, ta wcale dotychczas chybiała swojego celu. Pan Józef bowiem, chociaż go wprawdzie z początku, póki Bartek rzecz swoje

prowadził otwarcie, nieraz oburzały one jego do panny przysiadania się i obleśne a śmiałe umizgi, jednak już i wtenczas chłódł w swoim oburzeniu zawsze, ile razy sobie przypominał, że Bartek jest Barbarce stryjecznym; od czasu atoli, odkąd ten elegant francuzki tajemnicą począł okrywać swoje zabiegi, nic już ani widział, ani mógł widzieć pan Józef.

I byłaby panna Barbara, w swoich planach całkiem fałszywie wyrachowanych, mogła zejść tak daleko, jak się nigdy nie spodziewała, albo zgoła aż w one miejsca, zkądby się już nawet wrócić nie mogła, a on jeszcze byłby nic tego nie widział, i ani wzniósł przez to swojej miłości, ani konkurencyi przyspieszył, gdyby nie to, że właśnie w onym czasie był przy nim człowiek taki, który miał oczy jak kot i umiał widzieć śród ciemnej nocy. A tym człowiekiem był Grott herbu Mora, który od balogrodzkiej fety już na nowo mieszkał w Żernicy.

Grott, przyjechawszy do pana Józefa i dowiedziawszy się zaraz na wstępie o jego zamysłach, bardzo mu je pochwalił, ale chwalił dlatego, bo nie miał nigdy zwyczaju tam występować z nagana, gdzieby jego nagana się na nic nie zdała. Pomimo tej pochwały jednak widział Grott bardzo dobrze, jako te rzeczy stoją, i poznawszy trochę bliżej Barbarkę a znając zdawna już pana Józefa, widział on jak na dłoni, że pan Józef srodze jest za nos wadzony i że ci młodzi ludzie wcale nie są stworzeni dla siebie. Oprócz tego widział on jeszcze i więcej.

Grott bowiem, jak go już znamy, był to człek sprytny i nieporównanie przebiegły. Księgiby pisać potrzeba o samych jego sztukach subtelnych, jakich on do dopięcia swych celów używał, a jeżeli i jego czasem zawodziły rachuby, toż jednak w tém ażeby się o czémś dowiedzieć, wysledzić i wybadać do gruntu, nikt mu nie dorównał onego czasu, niktby mu nie dorównał i teraz. Znając tedy swą biegłość w tém i wiedząc dobrze, jak cudzych tajemnic wiadomość, chcącemu z niej korzystać, sowite zwykła przynosić zniwo, zawsze niespracowanym był w swoich śledzeniach; jakoż i teraz, przyjechawszy po raz pierwszy do Balogrodu na zamek, pierwszą jego rzeczą było skaptować sobie serce państwa a potem pozabierać bliższe znajomości z domownikami. Poznał on się tedy zaraz zblizka z księdzem kapelanem, zawiązał przyjaźń z pana Wincentego wyrostkiem, komplementami zniewolił dla siebie Józefkę, nawet ze starą klucznicą, z marszałkiem dworu, z podstarościm i ze wszystkimi dworskimi tak manewrował i póty, póki sobie nie zapewnił ich przychylności. Uważał on bowiem, że mu się to na coś przydać może za czasem, jakoż się w rzeczy przydało.

Jeszcze tedy w czas oniej fety począł on dobrze obserwować Barbarkę, a ponieważ natenczas i później jeszcze często przy niej siadywał Bartek, więc obserwował ich razem oboje. Bystremu a wprawnemu jego wzrokowi nie mogło ujść to postępowanie

Bartka, jakoż już zaraz wtenczas powstało w nim podejrzenie, czy też Bartek nie ma także jakich intencyj względem podkomorzanki. Podejrzenie raz mając, zbliżył on się najpierw do Bartka, a ponieważ przy dość otwartym charakterze tamtego, nie trudno mu go było poznać, więc go poznał niebawem i w swoim podejrzeniu się jeszcze utwierdził. Potem pogadał sobie Grott z kapelanem, i lubo ten starzec nic mu nie umiał powiedzieć o stosunku tamtego panicza do panny, bo sam nic o tém nie wiedział, jednak wygadał się przed nim, że podkomorstwo bardzo sobie życzą pana Józefa na zięcia i zarazby mu córeczkę dali, ale że panna podobno nie bardzo jest za tém. I to tedy się zdało wiedzieć Grottowi. W podejrzeniach swoich atoli bardzo się zwolna i z samych tylko obserwacyj utwierdzał; ale kiedy dostrzegł tego, że Bartek nagle przestał przysiądać się do panny publicznie a nawet ją po trochę unikać, już mu więcej nie było potrzeba, bo już był na tropie. Zaraz też pod jakimś pozorem został się na dni kilka na zamku i wziął w swoją opiekę Józefkę, a kiedy tylko jedno słowo od niej wyłudził, to wkrótce już miał z niej poprostu gazetę, opisującą każdy najdrobniejszy szczegół, jaki się w domu wydarzył.

Owo kiedy już Grott przyszedł do wiadomości, że rodzice daliby zaraz pannę panu Józefowi i do pewności o tém, że panna ma jakiś tajemny stosunek z Bartkiem, zaczekał jeno jeszcze, żeby ten stosunek się trochę lepiej umocnił i tak sobie powiedział: Wolałbym, ażeby się nie ożenił Bobowski, bo lepszy mi przyjaciel beżłenny niżeli żonaty, ale ma się żenić, niechże ja mu także co do tego pomogę. Na wszelki wypadek teraz jest pora o tém co wiem powiedzieć panu Józefowi, bo nuż się tamte amory wydadzą, to i moja zasługa minęła.

I kiedy dnia jednego, a działo się to już w miesiącu sierpniu, pan Józef siedział samotnie w ganku swojego úworu i o czémś bardzo był zamyślony, przystąpił do niego Grott i tak zaczął:

— Coś pan Józef osowiał, czy nie jeno jakie nowe frasunki?

— Chronże Boże, żeby jeszcze jakie nowe przybyły — odpowiedział na to pan stolnikowicz — dosyć mi już i na starych!

— Hm! — rzekł na to Grott — ja bo i tych starych nie widzę i nie rozumiem, czémbyś ty się tak miał frasować.

— Miły bracie! — mówił zasie na to pan Józef — prawdać jest, że w mojem położeniu niéma się czém tak frasować, ale jakoś już tak snąc z natury jest na tym świecie, że one afekta miłosne, lubo są sercu przyjemne i miłe, jednak prędkiej smutkiem napoją duszę, niż wesołością.

— Niéma co mówić, tak to bywa na świecie — powiedział na to Mora — ale ja przecie wolę tych miłośników, którzy chociaż smucą się w sercu, jednak nie pokazują tego, a zamiast tego mają wzrok pilny na wszystko i baczą co się koło nich dzieje.

— Zapewne że to musi być lepiej, ale na to trzebaby być Grottem, u którego mało co w sercu, ale w głowie natomiast tyle,

że kiedy mu przyjdzie popaść nieszczęściu, to ani jednej chwili nie straci na to, aby się tém pofrasować, ano zaraz jak on piesek rzucony do wody, czémprędzej wszystkiemi czterema nogami w kóło siebie tałabie, aby się z tego rosołu wydobyć. Ale ja tak nie potrafię... u mnie każda bieda musi pierwój swoje odgryźć sowi-to!... — Na to znów Grott:

— Dobrześ to powiedział, panie bracie, o onym piesku, a ja dodam do tego, że gdybyś ty był chciał się co od onego pieska nauczyć, to jużby dzisiaj tu przy nas dwóch pani siedziała w tym ganku.

Podniósł na to głowę pan stolnikowicz i popatrzwszy na Grotta, zapytał:

— A to jakim sposobem?

— Bo kiedy cię z brzegu poczynają pchać w wodę, tobys raczej sam skoczył do niej, aby na drugi brzeg wynijść i coprędzej dobiedziesz do mety, niżelibyś miał, wzdychając a płacząc, pomaleńku się opierać i czekać, aż póki ci się w uszy nie naleje.

— A bo kto mnie tak spycha do wody? — zapytał nagle pan Józef.

— Kto? azaż tego nie widzisz, jak cię Bartek coraz lepiej podsiada? — zarzucił Grott.

— Bartek? — rzekł na to pan stolnikowicz — chyba że ci się w głowie wywrócił! przecie to jój stryjeczny.

— Najpierw nie całkowicie stryjeczni, bo marszałek a podkomorzy byli sobie przyrodni, a potem choćby nawet i zgoła stryjeczny, toż to mało jest takich małżeństw na świecie, gdzie mąż tonie stryjeczny?

— Prawdę mówisz! — zawołał na to, zrywając się, z ławy pan Józef, — słyszałem ja o tém... i tak się zdarza. No!... ale, — mówił znowu swolna pan Józef, ale niewiedzieć, czy ten ma co takiego na myśli.

— Czy co takiego, czy co innego ma na myśli, o tém mnie wiedzieć trudno, — rzekł na to Mora, — ale że się nie żartem za-biera około panny...

— Aha, no? — odezwał się pan Józef.

— To więcéj jak pewna, — skończył Grott.

— Pewna? widziałeś?

— Widziałem i słyszałem; — odpowiedział z przyciskiem Grott.

— Tak! — krzyknął na to gwałtownie pan Józef, — héj! Jacenty! siodłaj konia! Mateusz! szablę dawaj, czapkę, kontusz!... Poczekajże, będzie tu krótka sprawa!... a zaraz mi się ten kot nie podoba?... zaraz mnie coś piknęło! Żeby ciebie wszyscy diabli targalil!... Otóż to jest kawaler, to rycerz, to człek honorowy!... — mówił niespokojnie pan Józef. — Ale poczekaj! chybaby Pana Boga na niebie nie było, żebym tobie łba nie rozplątał na dwojel!... Hm! pewna rzecz... niemieckie suknie nosi, po francuzku gada, po da-

chach chodzi... to tam gdzieś i krzty uczciwości w sercu się nie znajdzie! Héj! Mateusz! szablę dawaj! konia każ mi wyprowadzić!... Więc mnie podsiada? sam to widziałeś?

— Widziałem; ale dokądże chcesz jechać, panie bracie? — zapytał na to Grott, który stał pod słupem spokojnie i obserwował tylko pana Józefa.

— Dokąd? do Balogroda! — zawołał tamten.

— Po cóż to, panie bracie?

— Po co, po co, i ty jeszcze mnie pytasz o to! albo ja, albo on, dwóch nas tutaj zawiele, — odpowiedział pan Józef.

— Hm! — rzekł na to Mora, a jabym myślał, że tu wcale na nic nie zdała się rąbanina, bo to do niczego nie zaprowadzi.

— To niech nie zaprowadził ale pomszczę się krzywdy mojej!

— I to nic po tém, — rzekł na to Mora.

— No więc co, gdzie, jak? gadaj, kiedy rozumiesz.

— Ja rozumiem, że krzywdy mścić się niepotrzeba, bo tu niemasz żadnej krzywdy. Panna jest jako towar, wolno każdemu przyjść, oglądnąć a nawet i potargować, choćby nie kupić. Taki zwyczaj jest w Polsce, taki na całym świecie. Więc niemasz się o co gniewać na Bartka, jeżeli ogląda i targuje. Byłoby się o co gniewać na niego, jeżeli wiedząc, że ty już konkurujesz o pannę, przecieby o nią targował; ale kwestya jest, czy on o tém wie, czyli nie wie.

— Ba! jakby nie wiedział! — rzekł na to trochę już spokojniejszy pan Józef.

— Kwestya jest, mówię, — powiadał Grott, — i bardzo być może że nie wie, bo do kogo nie mają przystępu plotki, ten strudnaby miał poznać po tobie na zamku, że ty idziesz o pannę Barbarę...

— Tak mówisz? — rzekł, zamyślając się nad tém, konkurent.

— Tak mówię i to jeszcze dodaję, że chociażby nawet wiedział o tém i pomimo to jeszcze targował, to i tu kwestya, czyby go o to obwiniać, czy nie?

— Ba jakżeż! przecie to nieuczciwie.

— Za nieuczciwość biorą to w Polsce — rzekł na to Grott — ale nie wiemy, czy tak jest wszędzie, bo co kraj to obyczaj, jak mówi przypowieść. A tu na nieszczęście Bartłomiej jest wychowany we Francyi, i jak widzimy, tak go tam dobrze uczono, że ledwie mu nazwisko zostało polskie i cokolwiek języka. Mógł tedy Grek chlubić się tém, kiedy zgrabnie co ukradł, mogły w Atenach nago chodzić kobiety, mogła u Rzymian zemsta nazywać się virtus, mógł do niedawna jeszcze Polak za wielki czyn sobie to poczytywać, jeżeli w turnieju zwyciężył swojego przeciwnika, chociażby mu nogę albo rękę przytém utracił; dlaczegożby tak nie mogło być dzisiaj we Francyi, żeby kawaler to sobie miał za czyn heroiczny poczytać, jeżeli drugiego odsadzi od panny?... Nie potrzeba zresztą po to jeździć aż gdzieś za morza, boć i u nas się to

to przytrafi, że kiedy jeden drugiego przy pannie ubieży i uda mu się to gładko, to nietylko mu nikt za to czci nie odejmuje, ale jeszcze mu plauz dadzą do koła.

— Prawdę mówisz, mój Grocie,—odpowiedział na to już całkiem spokojnie Bobowski — być może, że Bartek niewiele temu albo i nic zgoła nie winien... ale cóż tu robić w tym razie? jeżeli ja tego eleganta nie sprzątnę, albo go choć tak nie oszpecę, żeby na wieczne czasy gust do niego straciła Barbarka, to jak Bóg w niebie, weźmie mi pannę. Bo co to kobiety!.... Więc niema rady... z téj czy z owéj rzeczy asumpt biorąc, trzeba wziąć panicza na szablę... gracz jest, n.éma co mówić, ale przeciw mam ja w Bogu nadzieję, że mi nie wytrzyma... a zginę ja?... ha! to zginę za nią i szczęśliwszy może jeszcze będę pod ziemią, niż tu na ziemi.

To powiedziawszy, pan Józef począł chodzić po ganku i niespokojność nim tak miotala, że nietylko w tym czasie całą czuprynę sobie zburzył na głowie i pas opuścił poniżej bioder, ale nawet pojedyncze słowa mu się z ust wyrывały, co mu się jeszcze nigdy nie wydarzyło. Grott atoli stał po staremu o słup ganku oparty i spokojnie patrząc przed siebie, milczał jak grób. Tymczasem pan stolnikowicz, namyślając się coraz więcej i burząc się przeto coraz bardziej, wyszedł na przód ganku i do stojącego już z osiodłanym koniem opodal sługi zawołał:

— Hej! Jacenty! wsiadaj na konia i jedź po pana Osuchowskiego, żeby tu zaraz przyjeżdżał; — a podczas kiedy sługa w jedném mgnienu oka już był za bramą, dodał na wpół do siebie a wpół do Grotta: — Tak.... niech zaraz jedzie Stanisław i niech go wezwie do sprawy. Powodów jest dosyć, a czekać niema czego.

— Hm! — rzekł na to Grott zwolna, — jabym tak nie rozumiał.

— A no! chyba że rozumiesz inaczej, — odciął na to pan Józef, — więc jak rozumiesz tak mów, — a spostrzegłszy się, że to zaostro powiedział, przystąpił do Grotta i rzekł łagodnie: — Mój Mora! radźże mnie co, jeśli umiesz, bo ja już głowy mojej nie czuję na karku! — Na to znów tamten:

— Żeś po łowczyca posłał, to chwale, ale nigdybym ci tego nie doradzał, ażebyś wołał do sprawy Bartłomieja.

— No! więc jakże? dlaczego?

— Dlatego, że kiedy się bić z nim będziesz, to czy zwyciężysz, czy zwyciężony będziesz, panny już nie dostaniesz.

— A to czemu?

— Bartek jest stryjeczny temu domowi, a zabójcy krewnego panny nie dają.

— A! to prawda! masz rację... więc cóż radzisz? bo coś przeciwie trzeba uczynić.

— Nie wiem pewnie, czy się to uda, — rzekł na to Grott, ale jabym radził po prostu. Konkurujesz już dosyć długo, p

znali cię tam z każdej strony, więc pojechać jutro i deklorować się.

— Hm! hm! — mruczał sobie chwilkę Bobowski, ale potem zawołał: — dobrze mówisz! pojedę jutro i zdeklaruję się. Przyjmą!... dobrze, a nie przyjmą...

— A jeżeli nie przyjmą jutro, to nie przyjmą ani za miesiąc, ani za rok, ani za lat dziesięć, — dokończył Grott.

— A! kwestya jest? — mówił pan Józef. Lecz na to Grott:

— Niemasz tu kwestyi żadnej, panie bracie; ja wiem jak ty rozumiesz, ale się mylisz. Tobie się zdaje, że jeżeli panna nie dosyć jeszcze upodobała sobie w tobie, to z czasem upodoba sobie więcej, a to nie prawda. Białogłowy nie tak jak my, nie oglądają się, nie namyślają i nie deliberyują w afektach; one obaczą i decyzya jest zaraz gotowa. Więc niema co czekać na to, żebyś się lepiej pannie podobał, bo jeżeliś się miał podobać, toś się już dość podobał i raczejbym powiedział, że czas prędzej niszczy upodobanie, niżeliby je miał wzmocnić, bo wszyscy kawalerowie mają swoje słabości, a wszystkie panny mają oczy. Zresztą, licha to warte takie upodobanie; któreby miało przyjść dopiero za czasem.

— Bodaj ciebie! — rzekł na to Bobowski, przystępując do Grotta i całując go w czoło, — bodaj ciebie, jak ty mądrze powiadasz! Otóż to wszyscy ludzie rozum mają, jeno ja jeden głupi zawsze i zawsze, i już snąc do śmierci niczego się nie nauczę.

— Tak nie powiadaj, — zarzucił na to Mora, — bo ty masz rozumu dosyć i snąc małoby tu go miał mieć kto więcej, jeno niema woli używania go zawsze, kiedy tego potrzeba. Widzisz ty dobrze i to i owo, może nawet wszystko, ale chociaż co obaczysz takiego, coby ważnem być mogło dla ciebie, nie bierzesz tego, jak to mówią, *ad notam*, jeno przypatrzwszy się, wraz zapominasz, albo może nawet czasem i nie wiesz, żeś co takiego obaczył. Oprócz tego zmysłu dojrzewiania rzeczy nie każdemu oku widomych, jest jeszcze u ciebie i owa władza, która zawsze wie jak co zrobić, ale i z téj władzy rzadko ty kiedy korzystasz. Bo nie dość na tém, że u ciebie głowa jest zawsze czémścis zajęta, jeszcze i to masz, że kiedy cię najdą rzeczy ważne, którymby radzić co trzeba, to ty zamiast zwolna a zimno się nad niemi namyślić, zakipisz zaraz cały i w tém kipieniu tak coraz toniesz głębiej i od rozumu odchodzisz, a tak się zasie chwiejesz to na tę stronę, to na owę, że przy najlepszych chęciach uczynienia czegoś i mchem byś porósł na jedném miejscu, gdyby cię kto nie wziął za czuprynę i nie wyprowadził z onego koła myśli i domysłów, które łacinnicy zowią *circulus vitiosus*. Aż chyba, że cię już rzecz nadto poważna zajmie, a do téj dopięcia jedna jest tylko droga, a bez jój dopięcia śmierć albo srom, to już ty tam zrobisz i nie namyślasz się... Czemuś to się, panie bracie, nie namyślał, kiedy potrzeba było Osuchowskiego wydobyć z niewoli? czemuś się nie namyślał, kiedy cię graf Syrmał obraził? czemu się nie namyślasz,

kiedy przyjdzie ubogi prosić ciebie o pomoc, a ty masz w trzosię piędzde? czemu byś się nie namyślał, gdyby ziemię twoją Turek najechał lub Tatar, bo tylko jedna jest droga, albo, że tą czy ową drogą, ale zaraz biedz trzeba pod sromem.

— To prawda, to prawda, — mówił na to zamysłony pan Józef, — jakieś takie jest kunktatorstwo we mnie, że aż się sam wstydę, kiedy się w niem poczuję. Ale to już trudno, kochany Grocie, co się łyse urodziło, to już znać łyse zaginie. I niech Panu Bogu będzie chwała i za to, że choć kiedyś tam, jak powiadasz, człowiek wie co zrobić i robi. Ale powiedzże mi, mój Grocie, bo ja tego nic a nic nie wiem, ani rozumiem, czy jest podobieństwo, żeby mnie już teraz dali tę pannę, czy niemasz?

— Powiedziałem ci już piérwéj, — odrzekł na to Mora, — iż nie mogę zaręczyć czy się to uda, jednakże domyślam się tak, że się uda. Mam ja na to pewne data i fakta...

I to zaczął Grott opowiadać panu Józefowi, jakie ma powody, na których swój domysł gruntuje. Opowiadał mu tedy, z czém się chcąc nie chcąc wtenczas a wtenczas wygadał przed nim sam podkomorzy, jakie opinie o panu Józefie wypowiadała podkomorzyna, a jakimi zdradzał się Wicus, a nakoniec, co mu pod sekretem powiedział kapelan. Tak utwierdziwszy dobrą w konkurencie nadzieję, przystąpił potém do swoich względem Bartka podejrzeń, i lubo ani wspomniał o tém, co mu powiadała Józefka, ani nawet wszystko to wypowiedział, czego się sam domyślał albo podsłuchał, jednak tak swoje podejrzenia wiarogodnemi uczynił, że ani na chwilę o nich nie zwątpiał pan Józef. To opowiadanie Grottowe trwało dość długo, o tyle zaś dłużej jeszcze, ile że pomiędzy wielomą prawdami, które Grott na poparcie swoich opinij przytaczał, znajdowało się i wiele bajeczek, które mu się udało zmyślić na prędce, jakoż tak zagadanych żarliwie zastał ich w ganku, stawiając się zaraz na zawołanie brata, pan łowczyc.

Przyjechawszy, zszedł on powoli z konia i jeszcze wolnej od dał go służącemu, bo już to nie lubił pośpiechu w niczém pan Osuchowski, i kiedy właśnie zabierał się spytać, co tak zaśzło nagłego, rzekł już do niego pan Józef:

— Wiész, jakie ten perukarz kopie dołki podemną?

— Ani wiem jakie dołki, — odpowiedział pan łowczyc, — ani wiem, kto perukarz.

— A któżby inny jak nie Bartłomiej? — zawoiał na to pan Józef, — wiész, smali cholewki do mojej panny.

— Owo i mnie się to już przewidywało, — rzekł znowu pan łowczyc, — jeno to mnie przy tém trochę bałamuciło, że to jój brat stryjeczny....

— No, no, więc... — przerywał co chwila pan Józef.

— Ale teraz, — mówił dalej pan Osuchowski, — poznawszy go bliżej i widząc, że przy wszystkich swoich cnotach człek to jakiś jest lekki, a nadto między Francuzami chowany, gdzie, jak

mówią, siła ma być rozpusty i różnych innych sprośności, to wcalemym się bardzo o to nie sprzeczał, że tak być może w istocie.

— Widzisz, widzisz, — rzekł na to pan Józef, — i wiedziałeś o tém i mnie nic nie powiedziałaś... — ale mu przerwał tamten, mówiąc:

— *Lente, lente!* najpierw nie wiedziałem, jeno mi się tak to marzyło; a powtóre, choćbym był wiedział, to jeszcze i tak byłbym się śnać piérwój namyślił, nimbym tobie powiedział.

— A to czemu?

— Czemu? bo cóżbyś ty na to powiedział? oto pewnobyś napadł onego Francuza, kazał mu stawać do sprawy, i *probabii-ter* zsiekał na kwaśne jabłko, albo i na śmierć; bo już to niechaj tam drudzy dziwią się jako chcą jego sztukom, taki ja zawsze tak mówię, że kiedybym ja, albo ty, albo Chojnacki, albo Deręgowski, co to mamy siłę w ręku, z nim stanął, to na żaden sposóbby nie wytrzymał; nawet mu to przepowiadam, że kiedy się będzie bijał z naszymi, to dziś albo jutro tak przyśnie, jak bańka z mydła...

Bobowski słuchał tego z uwagą, a pan łowczyc powiadał dalej:

— Owo powracając do rzeczy, kiedyby przyszło do tego, że- byście się wy obadwa bić mieli, to już czy takby się bitwą skończyła, czy owak, panna zawsze dla ciebie przepadła.

— Ki diabeł! — zawołał na to pan Józef, — jaki wy rozum macie, to ja się tylko nadziwić nie mogę.

— A to dlaczego? — zapytał, nie rozumiejąc tego wykrzyknika pan łowczyc.

— Bo dopiéro co Grott mi to samo słowo w słowo powiedział.

— A no, bo tak jest w rzeczy, — powiedział łowczyc.

— A mnie to ani na myśl nie przyszło; — rzekł pan Józef a zarówno z nim Grott:

— Nie rozum mamy, panie bracie, jeno zastanowienie.

— Otóż nie powiadałem tego tobie, — prowadził dalej swoją rzecz Osuchowski, — boby tu przez prędkość jeszcze wszystko zepsuć się mogło; ale teraz, namyśliwszy się dobrze nad tém i widząc, jak sobie w tym razie postąpić wypada...

— No, no, więc jakże radzisz? — pytał niecierpliwie pan Józef.

— Niéma tutaj co radzić, bo tu tylko jeden jest sposób...

— A ten?

— Nie dawać czasu złemu aby do fruktu dojrzało i pojechać zaraz prosić o rękę...

— A! a! a! — wołał na to pan Józef, — to już tylko ja jeden ślepy i głupi na całym świecie! wszyscy wiedzą, wszyscy umieją sobie sami poradzić, ja tylko, ja jeden jak gdyby żak jaki podupałbym z kretesem bez cudzej rady i opieki!

I tak desperując a wymyślając na siebie, chodził pan Józef po ganku, tymczasem zaś Osuchowski do niego:

— Pania bracie! ani desperuj, ani wymyślaj, ale raczej przyjm tę odemnie naukę, że nie ten jest mąż prawdziwy, który w nie-szczęściu desperuje i czyni sobie wyrzuty, ano ten, którego Pana Boga na pomoc wezwawszy, zdrową myślą sobie radzi i zaraz naprawia to, co mu się popsuć zdarzyło.

— No, no więc radźmy już teraz, — rzekł, siadając, pan Józef, — i naprawiajmy to, czegośmy nie zepsuli.

I stała się wielka pomiędzy tymi trzema panami narada, i różne tam były zdania i wnioski i poprawki, co wszystko wazrzyło się między sobą jak w garnku przez godzin kilka; stanęło przecież nakoniec na tém już nieodmiennie, żeby pan Józef prosił o rękę panny Barbary otwarcie i to jaknajprędzej. Przed wieczorem chodziło już tylko o to, kto ma jechać w tej sprawie: czy sam Bobowski, czy Osuchowski, czy uprosić do tego kogo starszego? Bobowski był za tém, ażeby jego brat się w jego imieniu deklarował, i był tego zdania, że toby było najprzyzwoicięj, ale pan łowczyc ani chciał słuchać tego, mówiąc:

— Wszystko dla ciebie uczynię, ale tego się nie podejmę. Jam nie orator, na komplementach się nie rozumiem, przy takich sprawach jak żyw nie bywałem, co może być z mojej oracyi? Jeszczeż jeżeli odrazu na toby pozwolili, to dobrze, ale nuż zajdą jakie kunktacye, wątpliwości, zarzuty, na które dziewosłąb winien odpowiadać jak z książki a gładko, a misternie, żeby nie tylko uczynionym już zarzutom kark skrócić, ale nowych żadnych już nie dopuścić, to gdzie tam! mnie nie do tego. A niechby jeszcze, uchowaj Boże! skończyło się na rekuzie, to już prędzejby wprost z Balograda znów na hajdamaki pojechał, niżelibym miał tobie własną ręką wieniec oddawać grochowy. Chcesz, żebym z Bartkiem czynił za ciebie, dobrze, pojedę zaraz i zaproszę go w taniec; chcesz, żebym ci družbował przy ślubie, dobrze, i to uczynię, choć to także nie moje rzemiosło; chcesz, żebym za woźnicę służył u ciebie po ślubie, dobrze, i tego się nawet podejmę, — ale poselstwa takiego, którego skutek od oratorskiego sprytu zależy, żadną miarą się nie podejmę. Wiem jako jestem w takich rzeczach niezgrabny i zanadto mi już dziś drogie jest szczęście twoje, abym je miał przez zarumienienie moje na szwank narazić.

Kiedy tak mówił pan łowczyc, Grott się po kilka razy odzywał i jako mógł tak dawał do zrozumienia, że onby się chętnie podjął tego poselstwa i że pewnoby je z dobrym skutkiem odprawił. Stolnikowicz rozumiał te jego przymawiania się, ale niemając chęci uczynienia im zadość, milczał na nie i udawał, jakoby ich nie rozumiał, ale kiedy Grott nie odstępował przeto od swego i coraz jaśniej swoje dobre chęci wyrażać usiłował, tak że już niepodobna było nakoniec udawać, że się ich nie rozumie, rzekł pan Józef otwarcie i trochę niecierpliwie:

— Mój Grociel Konia kują a żaba nogę nadstawia. Ja rozumiem, że co się tyczy oracyi i całego tego gardłowania za moją sprawą, do którego przy onych tam swatach zapewne przyjdzie, tybyś się lepiej popisał, niżeli każdy inny, którego wybiorę — ale zdaje mi się, że sam widzisz, że tu trzeba powagi. Więc do czegożby było podobne?

Grott na to tylko spojrzął na pana Józefa, lecz umilkł i do dalszej rozmowy już ani jednego swego słowa nie wtrącił. Ale i bez niego w krótkim już czasie stanęła taka decyzja, żeby do tych swatów uprosić pana Błońskiego, chorążego sanockiego a dziedzica Berezki, męża już leciwego, rozumnego i mającego cześć i dobre zachowanie u wszystkiej szlachty. Jakoż nie czekając nawet, chociaż już się słońce dobrze zniżyło, wsiedli obadwa bracia ślubni na konie i działami mknęli do Berezki, która kopcami granicznymi styka się z Żernicą.

* * *

Tymczasem tego samego dnia właśnie, kiedy ta narada toczyła się w Żernicy, także jakieś ważne rzeczy zajmowały mieszkańców zahoczewskiego zamku.

W południowej bowiem godzinie, pomimo to że żęto i koszono na wszystkich polach, że zwożono snop z pola i w gumnach składano, pan Działott, który sam zwykł bywać przy każdej takiej robocie, teraz tam i sam chodził wielkim krokiem powzdłuż galeryi i zdawał się być jeżeli nie zafrasowany, to czémciś bardzo zajęty. Żupan jego cycowy w nieładzie, pas kłamrą obrócony na biodro, włos poburzony na głowie i oczy żywo biegające w orbitach, świadczyły o tém jaknajwyraźniej.

Koło poręcza w swoim zwyczajnym krześle siedziała po staremu jego żona, która była teraz już zdrowsza cokolwiek, jak to zwykle u niej bywało latem, i trzymając nietykaną na kolanach robotę, często spoglądała na męża. Obok niej po lewej stronie siedziała Julia i także haft jakiś trzymała w ręku. Julia miała na sobie suknię białą w różowe paski i takiż sam na téj sukni letniczek i jeszcze różowego koloru gazową chusteczkę, zarzuconą na głowę a podwiązaną pod brodą, i niewiedzieć czy to czyniły te różowe kolory, które dziwnie pięknie odbijały od czarnych jej włosów i alabastrowej białości twarzy, czy tak było i bez onych kolorów, ale to pewna, że Julia teraz wyglądała tak dobrze, cerę na twarzy zdawała się mieć tak zdrową i taki naturalny blask w oczach, że lubo niktby ję przeto nie dał lat szesnaście, jednak każdy jeszcze zastanowić się musiał nad ję niepospolitą pięknoscą. I niedość na tém; ktoby bowiem był ję się zbliżka przyjrzył, ten byłby ku zdziwieniu swojemu się jak najjawniej prze-

konał, że ani w jój oczach, ani w wyrazie twarzy nie było już prawie śladu onych natchnień nadziemskich, które dawniej taką błądząco powlekały jój lica, tak się jasno wybijały na jój czole, tak promiennie biły jój z oczów; Julia była dziś piękną, ale widać to było po niej że jój myśli i uczucia zstąpiły na ziemię i chodziły temi szlakami, któremi chodzą myśli wszystkich panien, opuszczających już wiecznie ukwieconą krainę wiosny a wstępujących w granicę lata, niosącego za sobą ciepło i owoce. Jakoż w samej rzeczy Julia teraz coraz mniej już czytała książek, coraz mniej się marzeniami bawiła, coraz rzadziej bywała smutną i wzdychającą, ale za to coraz więcej przypatrywała się ludziom i światu, coraz częściej myślała o swój ziemskiej przyszłości, a podczas kiedy różne tego ludzkiego życia tajemnicze obudzały już nieraz jój dotąd śpiącą ciekawość z dawnych jój myśli ognistych, sięgających do gwiazd i słońca, pozostało w jój oczach tylko światło piękniejsze, które na ziemskie przedmioty umiało rzucić promienie niebieskie, a w sercu zdolność podniesienia przyjemności ludzkich do rozkoszy anielskich. I więcej jój nic nie zostało, — więcej też żadnej nie trzeba. Powietrzne, woniejącemi kwiatami ubarwione sny i marzenia o wiosnie, serce pełne ognia i pragnienia rozkoszy w lecie, uczucia matki i rozsądna troskliwość w jesieni a powaga uwieńczona modlitwą w zimie tego ziemskiego życia, — to jest ideał kobiety.

Obok matki po prawej stronie stał syn pana Działoty, który przed tygodniem przyjechał z Warszawy, aby na czas krótki odwiedzić rodziców. Syn ten, któremu było Pakosław na imię, nosił się równie jak Bartek w francuzkim stroju: i miał on także na sobie suknię ogoniastą z czarnego aksamitu, pudrowaną perukę na głowie, jedwabne pończochy i szklące trzewiki na nogach; a łąbo i tym ubiorem, który był brudny, wytarty i zaniedbany, wiele się już różnił od Bartka, jednakże on i we wszystkiém inném nie był do niego podobny! Pan Pakosław był to młodzieniec dwudziestu siedmiu albo ośmiu lat wieku, średni wzrostem, słabiej budowy ciała i tak jakoś wycieńczony i blady, że gdyby nie ogień jego modrych, głęboko zapadniętych oczu, który zdradzał w nim rozum czynny, obrotny i przenikliwy a tém samym zdradzał i życie, to byłoby go można wziąć za jednego z onych nieszczęśliwych młodzieńców, którzy wczesnie wycieńczeni i odrazu zabici rozpustą, wloką się jeszcze przez kilka chorowitych lat życia i zakaszawszy się mocniej, umierają, nie doczekawszy trzydziestki. Pan Pakosław atoli nie miał wcale jeszcze w sobie zarodu śmierci, a jeżeli go już tak wczesnie opuściły czerstwość młodzieńcza i wiosenne rumieńce, to nie zostały się one gdzieindziej, jak w kancelaryi ministra Bryła i w księgach prawniczych a sądowych papierach. Pan Pakosław, przesiedziawszy lat kilka w Warszawie nad znużającą i nieustanną książkową pracą, przy téj pracy zabił w sobie krew i żywość młodzieńczą, zabił wszystkie wrodzone uczucia, zabił serce swe własne i głos jego zagłuszył, a podniósłszy i wyostrzyw-

szy sam czysty rozum, zostawił tylko żądę posiadania pieniędzy. Pan Pakosław powiadał, że kiedy będzie miał pieniądze, to będzie miał wszystko: otworzą się dla niego urzędy, samo z siebie przyjdzie znaczenie, odżywią się nazad młodzieńcze uczucia i pragnienia i stanie im się zadość każdego czasu; ale teraz mała izdebka pod strychem, skąpstwo, głód samowolny, pożyczanie pieniędzy na lichwą, sądowe i kancelaryjne szachrajstwa, służenie za narzędzie do wszystkiego za dobrą zapłatę, lizanie się, podłość wszelaka, a wszystko to prowadzone chytrąścią palestranckiego rozumu, to były drogi, któremi szczęścia swego chciał się dobijać towarzysz brylowskiej chorągwi. Czyliż się dobił później a raczej doczołgał tego szczęścia, czy wśród swojej żółtawej wędrówki zgnieciony został przez kogo ten płaz obrzydliwy, o tém zamilczymy nateraz, ale to pewna, że rzemiosło, którego się chwycił synek zaboczewskiego dziedzica, prowadził on z całą zapobiegliwością i bezsensną pilnością, z całym zaparciem się ludzkiej natury i taką wytrwałością kamienną, że ileby pogardy i obrzydzenia przeciwko sobie obudzić musiał w każdym sercu pocziwém, tyle zarazem obudzał żalu, że ludzie, którzy się tak umieją poświęcić zamierzonemu celowi, takie cele naznaczają swojemu życiu.

Pan Pakosław, przyjechawszy do Zahoczewia, przywiózł z sobą większą część swojej gotówki, a lubo był tak przezorny, że i rodzonemu ojcu nic o niéj nie powiedział, jednak dał mu do poznania, że radzi sobie jak może, że nie jest tak koniecznie potrzebny, a przekonawszy się dowodnie, że ojciec ledwie sam wyżyć może ze swojej roli, powiedział nakoniec otwarcie, że już nadal obejdzie się połową téj gaży, którą pan Działott dotychczas posyłał. Pan Działott, uważając po urzędzie, który już teraz syn jego sprawował i po jego sprytnym a zaradnym rozumie, proponował mu, czyby się całkiem bez pomocy ojcowskiej nie obszedł i skarżył się przytém na nieurodzaje, na klęski, na ciężkie czasy; ale syn kłął duszę i ciało, że takby nie wyżył, że drogo w Warszawie, że ma tysiące wydatków, że się pokazać musi jakoś przed światem, i na swoim postawił. Ojciec wszakże i z tego był kontent, bo i połowa pozostająca w kieszeni wielką przynosiła mu ulgę, i kontent był wreszcie, bo widział w synu stateczność, oszczędność i rozum niepospolity, który nawet jemu, staremu i doświadczonemu, nieraz tak imponował, że pan Działott powiadał otwarcie: — Już to darmo mospanie! miasto to szkoła na ludzi.

Tak usposobiony Pakosław, kiedy powrócił do domu, najpierw starął się rozpoznać wszystkie interesy ojca i wszystkie domowe powodzenia i niepowodzenia, przyczém naturalnie i koléj przyszła na Julię i jéj dotychczasowy brak szczęścia do ludzi. To go trochę zastanowiło, bo nie było to rzeczą zwyczajną po one czasy, ażeby panna urodziwa i szlacheckich rodziców, mająca oczęwistą połowę wioski w posagu, przeżyła lat dwadzieścia i kilka tak, żeby nawet nikt się do niéj nie zbliżył. Zbadał on więc całe

jój życie jaknajdokładniej, zbadał wszystkie ojcowskie z całym światem stosunki, wypytał się o sąsiadów, o ich sytuacją, o ich usposobienia, a to nawet, czyli i który i wiele razy był w zahoczewskim zamku; a zbadawszy to wszystko, on to pewnie wzburzył tak do gruntu dom cały, że ojciec chodził z poburzonemi włosy, matka to brała w ręce robotę, to ją przerzucała, a Julia ciągle o czémś myślała — chociaż o takie burzycielstwo niktby go nie śmiał nawet posądzić z wejrzenia. Stał on bowiem teraz pokornie oparty o ścianę i trzymając złotą tabakierkę w rękach a zażywając z niej czasem, milczał tak obojętnie i tak nieruchomie patrzył przed siebie, że ktoby był spojrział na niego i na ojca chodzącego niecierpliwie po tej galeryi, ten byłby raczej powiedział, że tu syn swawolny słucha ojcowskiego kazania, niżeli że ojciec zamało oglądny uczy się dyplomacyi od syna.

Nareszcie pan Dziaott, wyburzwszy się z sobą, poprawił pasa i rzekł:

— Ale ma racyą Pakosław, pan Bobowski nam oczewistą szkodę wyrządził i powinien ją naprawić.

— To jest rzecz jasna jak słońce — powiadał na to chrypliwym ale powolnym i dobitnym głosem Pakosław — i nikt jój zaprzeczyć nie może. On sam nawet, jeżeli jest człek uczciwy i sumienny, jak asaństwo dobrodziejstwo mówicie, kiedyby sobie całe to swoje postąpienie przypomniał, przedstawił przed oczy i każde słowo, które Julci powiedział, powtórzył, zdumiałby się nad sobą i rękę za to, że niebaby otwartego odbieżał, ażeby tylko tę plamę brzydką zmasać ze swego sumienia. Bo nie mówię już o tém — prowadził dalej rzecz swoją ministeryalny aplikant — nie mówię już o tém, że będąc w takiej sytuacji i takim znaczeniu w powiecie, kiedy zaczął konkurować o Julcię, na długie lata już przez to wszystkich możliwych od niej konkurentów odpędził, których byłoby pewno dosyć; bo i dłączegóżby do takiej pięknej i poważnej panny, i w powiecie, w którym jest tyle młodzieży, ich być nie miało?... Nie mówię o tém, że Julcia przez to osiadła na koszu, zapędziła się w lata, za mąż nie poszła i już nigdy nie pójdzie...

— Dajżeł pokój, Paokszu — odezwała się na to matka — jeszcze to w Boskiem ręku.

— Ale ja powiadam pani matce, że nigdy za mąż nie pójdzie — rzekł na to Pakosław, a zażywszy tabaki, powtórzył jeszcze raz: — nigdy nie pójdzie! bo jeszcze nigdy za mąż nie poszła panna, której zaraz w pierwszej młodości trafił się młody, przystojny, bogaty i pięknego nazwiska konkurent i ten odpadł i uciekł, nie wiedzieć dlaczego. W takim wypadku, którego tajemnicą przed światem zakryty szerokie do domysłów podaje pole, zaraz różne rozchodzą się plotki; więc ten to mówi, a drugi owo, a trzeci, domysł wzięwszy za prawdę, niesie ją zaraz w świat jako taką, a jako rzecz takie rosną po ludzkich ustach i w jakie dziwolągi

się wyradzają na końcu, wiemy o tém wszyscy, którzy znamy ten świat i życie i którzyśmy, nieraz będąc świadkami samego wypadku, byli potem słuchaczami biegających o nim powieści. Więc kto wie co o Julci za pogłoskę puszczone natenczas, kiedy bez żadnej przyczyny odpadł od niej pan stolnikowicz; któż wie przez jakie téj pogłosce przyszło przechodzić usta i w jaką ona wreszcie urosłszy opinią, jako niezbita prawda osiadła w przekonaniu wszystkich sąsiadów? Tego wszystkiego my wiedzieć nie możemy, bo to do nas nie dojdzie; ale że tak być musi, o tém niemasz wątplenia. Ale pomijam to zresztą, że się zestarzała, że za mąż nie poszła, że jakaś na nią ztąd chodzi po świecie kalumnia... bo to wszystko są rzeczy, które przy dobrej woli i przy środkach, na których panu Bobowskiemu nie braknie, dałyby się jeszcze zagładzić... możnaby się o to ugodzić...

— Jakto? — zawołała na to Julia — o kalumnię się godzić? Najpiérwój, nie rozumiem zkądby się tu mogła wziąć jaka kalumnia; ale gdyby i tak było, to czemuże ty myślisz zagadzać kalumnię?

— Piędziami, moje dziecko, piędziami — odpowiedział Pakosław — taki jest zwyczaj teraz na całym świecie.

— Ach! cóż ten świat poczyna mieć za zwyczaj! — rzekła na to Julia z westchnieniem.

— I tém pewniejsza, tém korzystniejsza dla nas byłaby z nim o to ugoda, — mówił dalej Pakosław, — im on jest bliższy spełnienia swoich balogrodzkich zamysłów. Jakoż rzecz ta, lubo jest tutaj podrzędna, jednak niemniej przeto jest ważna i potrzeba na nią dać dobre baczenie, oględnie, rozumnie a stanowczo sobie poczynać, a począwszy, kończyć i to kończyć natychmiast. O! bo raz tylko uśmiecha się szczęście człowiekowi na życiu! raz tylko, a kto ten uśmiech prześlepi i zeń nie korzysta, ten napróżno już potem przez całe życie paciérzami błaga Pana Boga o pomoc, napróżno.

— Ale tak jest bezwątpienia! — zawołał na to pan Dziaott, — nawet stoi jaknajwyraźniej w Piśmie świętém, że kto sobie pomaga, temu Bóg pomoże; rozumié się tedy samo przez się, że kto sam sobie nie pomoże, temu i Bóg nie pomoże.

— Co tu państwo mówicie, — odezwała się na to Julia, która z wielką uwagą ciągle się przysłuchiwała mówiącym, — ja tego nic a nic nie rozumiem. I ja przecie nie jestem już dzieckiem, i jam także wiele ludzi widziała, i jam książki czytała, ale wyobrażenia moje o tém wszystkiém tak są różne od tego...

— Daj-no pokój, moje dziecko, — rzekła do niej matka, — my kobiety jesteśmy na to, ażeby słuchać, oni niechaj mówią, mężczyźni.

— Alę moja mamó, przecież i kobiety...

— Co kobiety! — zawołał na to pan Dziaott, — kobiety są jak lalki, kobiety...

— Niechże pan ojciec pozwoli, — przerwał panu Dzianottowi Pakosław, — ażebym dokończył, bo jako widzę, zadaleko się unosimy od naszej materyi.

— Tak, tak, masz racją, skończmy pierwej jedno, potem pogadamy o drugim, — odpowiedział ojciec.

— Owóż tedy, — mówił znowu Pakosław, zażywając tabaki, — nie mamy już co się rozszerzać nad tamtym punktem, tam niech będzie tymczasem *satis*; ale jest punkt drugi, daleko od tamtego ważniejszy. A tym punktem są Julii duszy i serca cierpienia.

— Moje cierpienia? — rzekła na to Julia, — ach nie mówciez państwu już o nich, niechaj one pozostaną mnie tylko i Panu Bogu wiadome.

— Pan Bobowski, — powiadał dalej Pakosław, nie uważając wcale na siostry swój słowa, — rozpoczynając konkurencyę o Julcię, zbałamucił ją, wzruszył jój serce, obudził w nięj miłość ku sobie a miłość taką, jaka się niezwykła podnosić w sercach prostych, pospolitych szlachcianek. Julia się w nim rozkochała i kochała go całym sercem i duszą, i kochała go nawet wtenczas, kiedy ją już porzucił i dzisiaj nawet kocha go jeszcze.

Na te słowa Julia spuściła oczy ku ziemi, westchnęła kilka razy i dwie łzy duże, odbiwszy w sobie najboleśniejsze jój dawnych uczuć wspomnienie, potoczyły się po jój pięknych, żywym rumieńcem spłonionych licach. Tymczasem brat jój powiadał dalej:

— Ale ta miłość, jeżeli zrazu była najrozkoszniejszym młodziutkiego jój serca kwiatem, jeżeli była źródłem, z którego wytryskały kryształowe promienie jój najpiękniejszych nadziei, jakieżże potem stać się musiała źródłem coraz to nowych cierpień i bólów, kiedy ją pan Bobowski opuścił!... I byłaby ona to może jeszcze jakoś przecierpiała i uspokoiła się prędko, gdyby pan stolnikowicz był człowiekiem zwyczajnym, gdyby był jednym z tych powiatowych wietrzników, za którego słowo nikt złamanego szeląga nie daje; ale pan Bobowski jest człowiekiem krwi znakomitej, szlacheckiej, jest wspaniałym konarem niebotycznych Gryffów rośliny, onych Gryffów rycerskich, u których nigdy nie bywało różnicy pomiędzy słowem a czynem. Słowu takiego męża jakżeż ona nie miała uwierzyć? jakżeż nie wierzyć słowu takiemu, o którym niktby pod gardłem nie śmiał wątpić? Więc uwierzyła ona, i wierzyła, chociaż Bobowski odjechał, i wierzyła, chociaż powrócił i jój się nie pokazał, i dzisiejszego dnia wierzy.

— O! to już nie, mój Pakoszu, — odpowiedziała na to Julia; — był czas, kiedy w jego serce, jak w drugiego Boga wierzyła, to prawda, i długom się téj wiary pozbyć nie mogła; ale dzisiaj, Panu Bogu niech będą dzięki, całkiem już o tém nie myślę.

— Wierzysz moja duszo i myślisz, — rzekł na to Pakosław, — i próżno się z tém taisy przed nami, bo kto nie chce, wyczyta to w twojej twarzy. Więc owa wiara do czegoż ją doprowadziła, tę

pocziwą dziewczynę? Któż jęj nie znał, jak ona była świeżą, jak piękną, jakie rumieńce zdobiły jęj lice, jak swobodnym było jęj serce, jak spokojną jęj dusza, że zdawało się, że to anioł jest z nieba, któremu Pan Bóg przez łaskę swoją kazał zstąpić wgrono zacnej ale trudami nieszczęśliwego życia osmuconej familii. Dzisiaj cóż się z nięj stało? gdzie są te oczy pełne niebieskiego światła i blasku, gdzie one róże i lilie, które siedziały na jęj licu? gdzie jest dawny spokój jęj serca, gdzie wesołość jęj duszy, gdzie docwip jęj krotochwilnego umysłu, który ongi tak wdzięcznie zabawił moich ukochanych rodziców?... Dzisiaj... jam doprawdy... ja, kiedym przyjechał i obaczył, jak ona jest smutną i powaloną na duszy, jak jest bladą, jak nędzną, jak ustawicznie tylko wzdycha i cierpi i jeszcze kryć się musi ze swoim cierpieniem, jam osłupiał i serce mi się na dwoje rozdarło z żalu, i przez całą noc pierwszą ani oka zmrzyć nie mogłem. Ja i dziś jeszcze, choć już wiem wszystkie przyczyny, ja i dziś jeszcze w mojęj się nie mogę obaczyć boleści i zaraz dałbym połowę życia mojego, gdybym jęj tém dawną mógł powrócić swobodę.

— Ach! dziękuje ci Pakoszu; — mówiła na to Julia i płakała jak dziecko, a Pakosz powiadał dalej:

— Ale ja, gdybym i całe moje życie jęj oddał, cóżby jęj to pomogło?... Ale jest ktoś, — mówił z zaiskrzonymi oczyma ten ministeryalny aplikant, — który także ma życie, i ma to życie swobodne i którego życie, poświęcone tęg w rzeczy, której było już słowem oddane, wszystko jeszcze naprawićby mógł; o to życie upomnieć się...

— Co? — zawołała na to Julia, — upominać się u pana Józefa, aby swego słowa dotrzymał? nie! nigdy! nigdy na to nie pozwolę.

— Nie, moje dziecko, nie upominać się wprost i zaraz, — rzekł Pakosz, — byłoby to brakiem rozumu i przyzwyczajęj zęcności; ale naprowadzić go na to przez innych, przypomnieć mu to wszystko, co już może uleciało z jego pamięci, dać mu do poznania jakiego imienia godne są takie postęпки, a dopiero, kiedyby się wzbraniał naprawić to złe, które wyrządził i zaparł się własnej swęj obietnicy, wystąpić z całą siłą i energią, i choćby własne swe życie położył w obronie siostry i córki, — to będzie zęcność, uczciwość i rozum.

— Pakoszu! — zawołała na to z uczuciem Julia, — pięknie to jest i wspaniale z twęj strony, że tak szęczerze i po bratersku się zajmujesz losem twęj siostry, ale...

Ale wtém weszła na galeryą owa baba stara i brzydka, owa czarownica z białogrodzkieję granicy, jak ją lud prosty nazywał; baba, której Ewa było na imię, a którą jużęśmy raz widzieli na tęg sameję galeryi. Obaczywszy ją, pan Pakosław wsunął najpięrw w nos potęzną szęcypnę tabaki, a potém rzekł zwolna:

— Aha! otóż i nasza Ewa kochana! cóś nam przynosi nowego.

I jak gdyby nic nigdy nie było, przystąpił do niej i zatrzymawszy ją w samym rogu galeryi, prawie przy samych wschodach, począł ją o coś wypytywać. Do nich obojga, tak opodal od kobiet zamkowych rozmawiających, przystąpił pan Dziarott i także jakieś tam dorzucał pytania. Ewa na nie odpowiadała szybko i stanowczo i w jaknajkrótszych wyrazach; wkrótce atoli zabrała głos i tak poczęła:

— Panie! to jeszcze snąć bardzo daleko do tego. Mówiłam ze wszystkimi ludźmi na zamku, mówiłam z marszałkiem, któremu niedawno dawała lekarstwo od gościa, mówiłam z dworskim samego pana, któremu listek teraz przyniosła od jednej wdowy, mówiłam ze służebną panną, która się ot na zabój rozmiłowała w dyspozyttrze z Jabłonek, ba! mówiłam i z samą panną na jój pokoju, bo sobie dla zabawki powróżyć kazała; ale wszystko jakoś już na jedno wypada, że to jeszcze daleko od tego. Panna niby nie ma odrazy od niego, ale jakoś się z niego naśmiewa, przyjmuje go ale niebardzo, a snąć on stryjeczny, co to się z przeproszeniem tak nosi jak pan Pakosław, także jój jakoś niezgorzej służy. Ba, nawet takbym powiedziała, że to jeszcze na dwoje, albo pan Bobowski utrzyma, albo go on Francuz odsadzi.

— Aha!—rzekł na to Pakosław, zażywszy tabaki a poglądając na ojca, dodał: — *satis!*

Na to pan Dziarott odszedł do swoich kobiet, a Pakosław, sprowadziwszy się z Ewą w dziedziniec, poszedł aż ku bramie i tam chodząc z nią po grabowej alei, długo jeszcze rozmawiał.

* * *

Następnego dnia po tém, o południowej godzinie, kiedy jeszcze skwar słońca dopiekał, cała familia podkomorzego była zebrana pomiędzy kolumnami pod frontową galeryą. I nietylko państwo sami tam stali, ale nawet wszyscy domownicy i słudzy i kto tylko żył w zamku, wybiegł tam pod galeryą, a wszystko sprowadził tam dziw i ciekawość.

Przed chwilą bowiem przywieziono na drabnym wozie ogromną niedźwiedzicę, którą pan Bartłomiej wpierv z pistoletu raniwszy, oszczepem własnoręcznie powalił w jabłońskich lasach. Tego niezwyčajnego w owych czasach myśliwskiego zwycięstwa naocznyimi świadkami byli pan Urbański, Wincenty i kilku myśliwych, i lubo ich słowem można było wierzyć bezpiecznie, jednak dotychczas jakoś jeszcze ten i ów poważał się niedowierzać. Podkomorzy nawet sam powiadał się być Tomaszem i chciał koniecznie wpierv własną ręką dotknąć się ran onych oszczepem zadanych; téraz atoli już żadnego nie było wątpienia, bestya ta bowiem, czarna jak węgiel i srodze kudłata, leżała już w oczach

wszystkich wyciągnięta na ziemi, a podczas kiedy reszta zamkowej publiki stała opodal w półkolu, podkomorzy sam, mając z jednej strony Barbarkę a z drugiej księdza kapelana, stał przed tym zwierzem i to się pochylał, ażeby razy oszczepu bliżej oglądnać, to oczy podnosił i słuchał, co powiadał Bartek, po drugiej stronie zwierzca stojący, i historią każdej rany opowiadający.

Oglądnąwszy te wszystkie Bartkowe męztwa dowody, jego własnymi objaśnione zeznaniami, wszyscy aplauz mu dali ogólny i cieszyli się tym wypadkiem, niby nowym jakimś na dom Karsznickich spadającym splendorem, a podczas kiedy pomiędzy gawiedzią zamkową dawały się słyszeć słowa podziwienia, że taki paniel delikatny i niby miękki na pozór, tyle ma w sobie odwagi i męztwa, kapelan przybliżył się do Bartka i rzekł głośno:

— Waszmość mi przypominasz te czasy, kiedy kto tylko u nas chciał się nazywać myśliwym, nigdy z inną bronią nie wychodził na grubego zwierzca, jak z białą. Więc biérano na oszczep niedźwiedzie, kluto kordelasami odyńce, a polowanie na wilki, lisy i inny zwierz drobny było tylko zabawką.

— Ej! tak ci się zdaje, mój księże, — rzekł na to podkomorzy, — już to i naszych czasów, kiedy kto wziął na oszczep niedźwiedzia, albo nożem trafił w słabiznę odyńca, wielkiej dostępował ztąd famy, ale mimo to większa jeszcze należy się dzisiaj Bartkowi, bo co inne dziś czasy, to inne!

Potém przeszli ci panowie od niedźwiedzicy do wozu, gdzie sznurami powiązane na słomie leżały dwa maluczkie niedźwiadki, po zabiciu matki przez strzelców pojmane. Tym zwierzątkom się przypatrzywszy i nadziwiwszy się dosyć wrodzonej ich złośliwości, podkomorzy bardzo się cieszył i zaraz przy wozie począł dysponować, jaką dla nich budę należy zbudować, gdzie ją postawić, czyjéj opiece te zwierzęta poruczyć, czém je żywić i jakich należy używać sposobów, aby wrodzoną ich dzikość ułaskać i zgoła je obłaskawić. Tę dyspozycyą począwszy, w długą rzecz się podkomorzy zapuścił, a mając siebie za wielkiego naturalistę, i chcąc pokazać, że nietylko się zna na ptakach i rybach, ale i ziemnych zwierzętach, nie poprzestał na samych teoryach, ale przytém i praktycznie swoich opinij dowodził, utrzymując, że jeżeli się gdzieindziej smutne z chowania dzikich bestyj po dworach wydarzały wypadki, to nie było to winą bestyi, jeno ludzi którzy je ułaskawić nie potrafili. W kilka miesięcy potém, jeden z tychże samych niedźwiadków, przez podkomorzego ułaskawionych, zjadł żywcem babę chusty piorącą na rzéce; i pokazało się wtenczas to, co się pokazuje codziennie, że na krwiożerczość wrodzoną nie pomaga ani łańcuch, ani kaganiec; ale teraz podkomorzy utrzymywał przeciwnie i széroce się nad tém rozwodził, a byłaby pewnie jego mowa trwała aż do samego wieczora, gdyby nie to, że ktoś z onéj gawiedzi, która teraz się już po całym rozchodziła dziedzińcu, nagle „Goście jadą!” zawołał.

Jakoż w rzeczy w tój chwili wjechała w bramę czwórkonna kałamaszka i przy podwójnym trzaśnięciu z bicia, jakby wryta stanęła przed gankiem. Kałamaszka ta była malowana na żółto i uprężone w niej były cztery konie wilczate, w szor pozłocisty ubrane, wielkie i niepospolicie wyciśnięte, co wszystko zdaleka uderzało w oczy i tak było znane w tój okolicy, że podkomorzy jeszcze dopiero ku gankowi zmierzając, zawołał radośnie: „Pan chorąży kochany!“

Tymczasem pan Błoński z panem Osuchowskich łowczycem, wysiadłszy z powozu, szli już ku niemu z powagą, a statecznością gospodarza domu witając. Witał i ich podkomorzy niemniej grzeczniej a jeszcze więcej serdeczniej, ale chyba był dopiero rok albo dwa lata gości przyjmował u siebie, żeby był po ich świątecznych strojach i całym wzięciu się nie poznał odrazu, że to nie zwyczajna wizyta. Tego się domyślając, podkomorzy, który z serca rad był każdemu dogodzić, byłby był ich prowadził do siebie, i nie czekając słuchał czegoby po nim żądali, ale dzika bestya, leżąca tuż przed nimi w dziedzińcu, stanęła tym jego szczerym sentymentem na drodze.

Jakoż stanęli jeszcze raz wszyscy nad niedźwiedzicą, i dopiero po opowiedzeniu przez podkomorzego całego tego zdarzenia, po wskazaniu ran wszystkich, po nadziwieniu się gości Bartkowej sile i odwadze i po oddaniu mu należytego uznania, dał pan Karzniczki Wincentemu znak potajemny, ażeby mu nikt nie przeszkadzał, a sam z gośćmi poszedł do górnych pokojów.

Ledwie weszli do jego sypialni, w której zwykł był wszystkich mężczyzn przyjmować, i wszyscy trzej ostatecznie usiedli, pan chorąży, podniósłszy głowę i odchrząknawszy cokolwiek, począł prawie w ten sens:

— Po naszej dawniej znajomości, panie Franciszku kochany, i po oniej niezachwianej przyjaźni, którą od lat tylu przez łaskę twoją mnie raczysz zaszczycać, śmiem mieć tę nadzieję, iż mi nie zechcesz wziąć tego za złe, że w ważnym tu do waszności dobrodzieja przyjechawszy poselstwie, nie będę po staremu zaczynał od tego, jak Pan Bóg Adama i Ewę stworzywszy, w dziwnie pięknym osadził ich raj, jedno odrazu wejść *in medias res*, i nie nużąc mojej ni twojej próżnemi frazesami głowy, rzecz serca podam prosto do serca.

— Panie Józefie! — rzekł na to podkomorzy, — znasz mnie już od tak dawna i wiesz bardzo dobrze, że jeżeli nigdy nie mam zwyczaju rzeczy cenić po ich znikomych formach, to nawet przykroby mnie to było, jeżeliby ktoś taki, któren od lat tak dawnych jest mojemu sercu tak blizki, jak ty, panie chorąży, podając mnie swój afekt albo przynosząc cudzy, obwinął go piérwój w takie mnóstwo szmat oratorskich, które staremu i bywałemu po świecie żadnąby nie było nowością, a obudwom sercom porozumieć się chcącym stałyby się tylko nudną przeszkodą i niepotrzebnym cier-

pliwości probierzem. Z czém tedy z woli Bożej dziś do mnie przychodzisz, mów śmiało i otwarcie, ażebyś jaknajprędzej ulżył twojemu obciążonemu sercu, a mojemu podał prędką sposobność przekonania cię jeszcze dzisiaj, jak wysoko sobie cenię ałekt twojej pięknej przyjaźni i jak miło mi zawsze dawać tego dowody.

— Owoż tedy, — zaczął nanowo po téj odpowiedzi podkomorzego chorąży, — twoja piękna córka, panie Franciszku, która nieporównaną urodą swoją już całą młodzież naszą olśniła, ba! nawet u nas starych mimowolnie zawsze wspomnienia słodkich sentymentów młodości obudza, która przymiotami duszy i serca prawie się nad wszystkie ludzkie zwyczajne wynosi, a już rozumem i odwagą swoją najśmielsze junaki nasze w proch rzuca i upokarza, chcąc li czy nie chcąc, obudziła szczéry afekt serca w ukochanym sąsiedzie moim, panu Józefie Bobowskim. Znajoma jest nam wszystkim, ba i przed tobą pewno się nie ukryła wielka moc duszy i umiejętność panowania nad sobą, która jest w tym młodzieńcu, jakoż dał on już téj czyście starożytnéj cnoty niezliczone dowody; pomimo to jednak afektowi temu, który w nim obudziła panna Barbara, żadną miarą zatamować nie może; ba, gorzej nawet, bo ten żelaznej jak powiadam duszy młodzieniec tak się zgoła poddał téj swojej serdecznej słabości, że kiedy przyjechał do mnie i wypowiadał mi się z onych tam swoich tajemnic, to aż moje stare serce do samego dna wzruszył i z ócz moich wyschniętych łzę nie jedną wycisnął. Krótko mówiąc, oszalał z kretesem i bez ratunku. Z tego fatalnego upadku powstać, albo się jakoś wyléczyć, nie miał ani nadziei sam stolnikowicz, bo ani ważył on się pomyśleć, żeby gdzie było na tę jego chorobę lekarstwo. My atoli obadwa z przytomnym tutaj jego przyjacielem, ba zgoła bratem, imć panem łowczycem, wiedząc dobrze, że na takie choroby sam Pan Bóg w swoich sakramentach pewne i nieomyłne podaje remedium, i rozważywszy naszym lichym rozumem i to i owo i wszystko, co do tego należy, — nie kazaliśmy jeszcze panu Józefowi rozpaczać. Wprawdzie to pannie Barbarze, urodzonej w tak znakomitym domu i obdarzonej tak przedniemi od Pana Boga przymioty, lepiejby snać przystało oddać rękę jakiemu jaśnie wielmożnemu, zasiąść na zamku bogatym, zapanować tysiącom poddanych i z wysoka niedościgniony dawać przykład ze siebie swym rówieśnikom; ale jednakże rzecz rozważywszy sumiennie i przyznawszy otwarcie, że i pan Bobowski, splendorem swoich przodków dosięgający wysoko, z położenia swego *omnibus par et nemini inferior*, na dostatniej fortunie osiadły, także ma wrota do tych wszystkich szczęśliwości otwarte, któremi Bóg obdarzyć może szlachcica: zrozumieliśmy tak, że nie byłoby w tém nic niepodobnego, gdyby Leliwitka podała swoją rękę olśnionemu i powalonemu przez siebie Gryffowi i przyniosłszy w dom jego nową chwałę i szczęście, oddała jego duszy on spokój i hart starodawny, ażeby ku dalszej chwale swojego rodu znowu tak przykładnie jak dotąd służył Panu

Bogu. Z tém tedy przyjeżdżamy do ciebie, kochany panie Franciszku, a podścielając tobie, jako najwyższemu sędziemu i trybunałowi w téj sprawie, najuniżeńsze pana stolnikowicza prośby, prosimy jeszcze, ażebyś rzecz tę rozważywszy w swoim rozumie i sercu, raczył łaskawie rozstrzygnąć: czy pan Józef ma tu pędem przylecieć i upaść ci do nóg, czy ma w cierpliwości jeszcze czas jakiś oczekiwać twój rezolucyi, czy ma zgoła wszelką utracić nadzieję i dać się złożyć onéj ciężkiej swego serca chorobie, z której snąć tylko sam Pan Bóg go kiedyś swoją cudownością wyleczy.

— Nieosobliwie, panie chorąży, — rzekł na to z dobrodusznym uśmiechem ojciec Barbarki, — forytujesz sprawę twojego klienta, bo podczas kiedy przed niemi słowy i wcale nad zasługę podniosłeś zalety méj córki, ledwie dziesiątą część wymieniłeś onych wybornych duszy i serca przymiotów, które się znajdują w imć panu Bobowskim: ale że co dobre jest, chwali się samo przez się i że w téj twojej skromności widzę to tylko, że trudno ci przychodziło utrzymać równowagę pomiędzy moją a pana Bobowskiego przyjaźnią, tedy niechaj ci dzięki będą za to odemnie, a ten nowy dowód twojego dobrego serca niechaj nigdy nie będzie wymazany z mojej pamięci.

To mówiąc, pokłonił się podkomorzy panu Błońskiemu, a kiedy pokłon napowrót odebrał, tak mówił dalej:

— Jednakże nim do saméj rzeczy przystąpie, niechaj mi wolno będzie zmyć przed tém z siebie jeden zarzut maluczki, który mi uczyniłeś w swéj mowie. Chwalisz w swéj łasce moją dzieweczkę i powiadasz, że snadnieby jéj przyszło panować na wielkim zamku, niżeli rządzić gospodarstwem szlacheckiego obejścia; ja za pochwałę raz jeszcze dziękuję i w sercu mojem ojcowskiém rad to przyznaję, że jakiemi ją kolwiek darami Bóg w łasce swojej obsypał, ja już wiele pociechy miałem z tego dziecka w tém życiu, i nic pewniejszego nad to, że nie lada komubym oddał to w ręce, co tak miłe jest mojej duszy i sercu. Krzywde mi atoli czynisz, mój kochany chorąży, jeżeli myślisz, że ja onemi pomiernemi przymiotami méj córki tak olśniał i wśród tych darów Bózych tak zbuntował, że nie myślę o innéj dla niéj przyszłości, jak o pomieszczeniu jéj w zamkach albo pałacach. Starym jest już, mój panie chorąży, i wiem to z własnego doświadczenia, że rzadko ciche szczęście doczesne mieszka na wysokościach, a spokój i prawdziwa miłość małżeńska rzadko się ubiera w szkarłatny. Szczęście to ziemskie, tak jak ja je pojmuję i jak go nieraz z łaski Boga doświadczałem w mém życiu, jest jako kwiat polny, który rośnie przy ziemi, jest jako bluszcz miękki, który dopóty ma świeżęj zieloności i kwiatu, dopóki się winie około niskich głązów i krzyżów, a gdzie się wspina, na baszty i wieże, tam go wicher siecze i burza. A ja szczęścia pragnę dla mojej córki. A potem... mój panie chorąży, gdyby nawet i miało się spełnić tam szczęście gdzieś

w górze, to nie wzięłyby Karsznicki takiego za zięcia, któremuby się kłaniać musiał do ziemi i wdzięcznym być za łaskę do śmierci. Karsznicki się kłaniał za młodu, a dzisiaj jego kark już zleźniał i nie ugina się tylko przed Tym, któremu zawdzięcza życie, fortunę i zdrowie. Karsznicki się w mierności urodził, w mierności swoje dzieci wychował i za główną im pozostawia naukę, ażeby się nie pięli na one szczeble, z których na dół spojrzawszy, rychlej się głowa zakręci, niżeli cnota przyrośnie sercu. Widziałem ci ja takich już wielu, którzy mi po nad głową chodzili, ale jeszcze z nich żaden przez to swoją purpurą nie ujął godności moim drelichom. Ojciec króla Stanisława sąsiadował przez jakiś czas z moim ojcem i nieraz wtenczas, kiedy obadwa orząc na swoich rolach, na kopcu granicznym usiedli, to ręce sobie podawszy, częstowali się swoją przekąską: syn tamtego włożył koronę na głowę, jam siadł na moim zagonie, ale pomimo to dzisiaj jam mu jeszcze ani jednego dnia zawidił. Na tym samym zagonie pozostanie i syn mój, i z takiego też zagona wezmę męża dla mojej córki. Tak jest, mój kochany chorąży. Więc co się tyczy tych pana Bobowskiego intencyj, tedy otwarcie wypowiadam waszmościom, że nietylko mnie to mocno cieszy, ale zgoła za honor sobie to mam, że młodzieniec tak zacny w moim ubogim domu upatrzył sobie towarzyszkę swojego przyszłego żywota. Cieszę się tedy bardzo z téj wiadomości, i to jeszcze dodaję, że ile go znam i ile o nim słyszę, wszystko jest tak w nim po mojem sercu, żebym Pana Boga obrażał, gdybym czego więcej w mojem życiu zapragnął. Ród piękny, fortuna dostania, poczciwość wypróbowana, dobroć serca niezaprzeczona, rozum przedni, skromność i statek, a do tego młodość i zdrowie,—czegoż więcej potrzeba? Więc co z mojej strony, moi mości panowie, żadnej niemasz objekcyi i oto przy was rzucam białą gałkę do urny.

Na to pan chorąży się statecznie i pięknie pokłonił, ale Osuchowski, który już tak miał głowę nabitą tém przyszlém swojego brata szczęściem, jak jeszcze nigdy w swém życiu, który tak tego szczęścia dla niego pragnął, że byłby zaraz za nie dał całą swoje fortunę, i który już od dni kilku w takiéj oto drżał niepewności, jak gdyby zgoła o jego śmierć chodziło albo o życie, — po tych słowach podkomorzego mało że się mu już do nóg nie rzucił; jednakże szczęściem jakoś spojrział w téj chwili na pana Błońskiego, a wyczytawszy w jego oczach, że to jeszcze nie koniec, zaparł na nowo oddech w swych piersiach i dalszej oddał się męce. Podkomorzy zaś tymczasem tak dalej powiadał:

— Jednakże, moi mości panowie, jak wszędzie w tém życiu naszym, tak i tutaj jeszcze zachodzi jedno maluczkie ale. Bo lubo ja jestem wprawdzie królem w tym domu i państwie, i przeciwko mojej woli ani włos z głowy tu nikomu nie spadnie, wszakże w pewnych materyach, które albo do departamentu którego z moich podwładnych należą, albo zgoła losu pojedynczych osób

dotyczą, zwykłem przed ferowaniem ostatecznego dekretu odwoływać się wprzód do opinii onęj interesowanej osoby. A to właśnie jest taka materya. Chodzi tu o przyszłość mojego dziecka. To dziecko moja żona pod własnem nosiła sercem, to dziecko ona własnemi wykolebała rękami, nie jedną w nie zaszczepiła naukę, a podczas kiedy ją na dorosłą wyhodowała pannę, nie jedną może do jęj przyszęgo życia przywiązała sobie nadzieję. Słusznie tedy to będzie, jeżeli taż moja żona będzie tutaj miała swoje *votum*. Powtóre, to dziecko samo nie jest już dzisiaj dzieckiem i mając nie złe wyobrażenie o ludziach i świecie, ma je także o swoich terażniejszych, ba i przyszęlych swych obowiązkach, — słusznież tedy i to będzie, ażeby to dziecko, gdzie o jego własny los chodzi, także swe *votum* miało. Przepraszam tedy waszmości, jeżeli ich tu samych na chwilę zostawię i nim ostateczną im dam rezolucją, trochę się pierwej obradzę. Ale to już inaczej nie może być.

— Proszę, proszę, i owszem, czekać będziemy cierpliwie, — rzekł na to pan chorąży, a kiedy pan podkomorzy wyszedł i dziewczosębowie już sami zostali, z głębi piersi odetchnął pan łowczyc i rzekł do swego towarzysza:

— Panie chorąży! w różnych się już bywało terminach, i już śmierć zaglądała w oczy na polu, już się do mnie przybliżała leżącego na łożu, już był czas taki podczas mojęj niewoli, kiedym za każdém drzwi skrzygnięciem od mojęj kaźni, pewnym był tego, że przychodzą po mnie, aby mnie wziąć i na pal nawlec na rynku: ale jeschcem nigdy nie był na takich torturach, jak dzisiaj. Żebyż to jeschce Bóg dał, żeby to się szczęśliwie skończyło! Jakże jegomość tuszysz, jak to wypadnie?

— Bógże to jeschce raczy wiedzieć, — odpowiedział pan Błoński, — dotychczas to jeschce niezłe idzie, ale coś mi zasuto podkomorzy komplimentami sypie, a to po takich komplimentach to najjęścięj idzie rekuza.

— Co jegomość powiadasz! — zawołał pan łowczyc, — wiész jegomość, słabość to głupia, ale czuję to w sobie, że kiedyby brofi Boże odesłano nas z kwitkiem, to jabym się rozchorował, a cóż dopiero biędny mój Józef.

— Ha no! obaczmy. To tylko sobie waszmość pamiętaj, że jeżeli nas przyjmą, to posyłaż zaraz pędem po pana Józefa, bo to bardzo i pannę i rodziców ujmuje, i afekt prawdziwy próbuje.

— Ale co tam! do miasteczka nie tak daleko, choćbym i sam poleciał. Ale to on się tam poci nieborak!

I tak sobie rozmawiali obadwa ci panowie, to tak to owak rzecz wykładając. Aż nareszcie po dobręj połowie godziny wszedł sam podkomorzy, kłaniając i mówiąc:

— Proszę was tam do komnaty.

Szli tedy obadwa naprzód a podkomorzy za nimi; a kiedy

przyszli do owéj komnaty, zastali już tam panią podkomorzyńską na kanapie siedzącą, a Barbarkę stojącą pod oknem. Po niemych ukłonach, nie dopuszczając nikogo do głosu, zwrócił się zaraz pan chorąży do pani i rzekł:

— Intencye, z któremi poważyliśmy się przyjechać w dom asañstwa dobrodziejstwa, zapewne już podkomorzy sam musiał zakomunikować waszmość pani i dobrodziejce; nie dodając tedy do nich nic więcej, oczekujemy w przyzwoitéj submisyi a cierpliwości z ust jéj łaskawych ostatecznego dekretu, któren nie spodziewamy się, ażeby miał być odmiennym od tego, jaki z ust mojego kochanego przyjaciela wyszedłszy, upragnioną nas nappełnił nadzieją.

— Nie, mości panie chorąży, — odpowiedziała pani podkomorzyna, — nic nie będzie odmienném. Zgadzałam się zupełnie z wolą mojego męża i z nim wspólnie przyzwalałam.

— A teraz — rzekł na to pan Błoński, obracając się do panny Barbary, — już tylko od waszmość panny zależy...

Na to panna Barbara cofnęła się o krok dalej ku oknu, głowę opuściła ku ziemi i rzekła:

— Wola moich rodziców jest dla mnie rozkazem.

Na to pan Błoński, obróciwszy się do starych państwa chciał ozdobnie i pięknie im podziękować, kiedy pan Osuchowski, nie mogąc dłużej utaić swego głębokiego wzruszenia, jak długi runął podkomorzemu do nóg, mówiąc prawie ze łzami:

— Bodajżeby Bóg tyle szczęścia zdarzył waszemu dziecku, ile ja go czuję w téj chwili.

Podkomorzy się na to pochylił ku panu łowczycowi i podnosząc go z ziemi, chciał coś mówić, ale łyzy mu głos udławiły, podkomorzyna już nawet głośno płakała i zrobiła się ztąd taka tkliwa scena, że nawet Barbarce łyzy w oczach stanęły. Jednakże pan łowczyk zebrał się prędko i wyszedł na chwilę, a kiedy powrócił, zastał już tych państwa przyzwoicie siedzących i wesoło rozmawiających, do której to rozmowy i on się przysiadł z ochotą. Wszakże i ta rozmowa nie mogła trwać długo, wkrótce bowiem w największym pędzie na koniu spienionym wpadł w dziedziniec Bobowski, a zeskoczywszy z konia przed gankiem i puściwszy go na cztery wiatry, wbiegł czempredziej po wschodach, przebiegł wszystkie komnaty, a téj ostatniej dopadłszy, bez wszelkiej mowy i przemowy jął najpierw ścisnąć za nogi podkomorzego, potem podkomorzyńską, a nareszcie ukłękawszy przed panną Barbarą, jéj rączki całować.

Śród tego całego aktu oświadczenia się i przyjęcia, co trwało pewnie z jakie dwie godziny, pan Wincenty, pamiętny rozkazu ojca, wodził po grodzie kapelana i Bartka i jak mógł zagadywał. Kapelan, mąż doświadczony i stary i przywiązany tak do domu podkomorzego, jak do swego własnego, ani jednéj chwili się nie zniercierpliwił, i owszem, uważając to że podkomorstwo muszą mieć jakąś ważną sprawę do załatwienia z panami Błońskim i Osuchow-

skim, jak mógł jeszcze dopomagał do tego, ażeby im ten czas mi-mowolnej przechadzki przeszedł jaknajnieznaczniej; ale Bartek nie był tak wyrozumiałym i w pierwszej godzinie już się zrywał i chciał wracać do zamku. W drugiej jeszcze był niecierpliwszy i to, że mu Wincenty wyraźnie powiedział, że nie wypada rodzicom w ich tam jakichś sprawach przeszkadzać, zatrzymywało go wprawdzie stanowczo w ogrodzie, ale tak go jakoś niepokoiło zarazem, że lubo nie umiał sobie właściwie z tego niepokoju zdać sprawy, jednak czuł coś tak palącego około serca, że byłby wszystkie swoje cztery konie wraz z rzędami dał za to, gdyby mógł w téj chwili być na górnych pokojach. Atoli tentent konia, na którym pan stolnikowicz przyjechał, temu wszystkiemu zaradził, bo usłyszawszy go wcale niespodziwianie, a nie wiedząc, coby miał znaczyć, wszyscy trzej razem pobiegli na górę.

I właśnie w téj chwili, kiedy pan stolnikowicz klęczał przed panną Barbarą, jęć ręce całując, weszli oni do téjże komnaty. Bartek, obaczywszy to, o czém mu się ani marzyło, stanął na miejscu i oczy wlepiwszy w tę scenę, osłupiał, ale wtém podkomorzy przystąpił do przychodzących, mówiąc:

— Chodźcież, chodźcie i ciesście się z nami. Pan Bóg łaskawém okiem raczył spojrzeć na nas i zesłał w dom nasz serdeczne wesele.

Na to kapelan przystąpił do państwa młodych, winszując im i błogosławiąc, Wincenty całował i ścisnął pana Józefa, ale Bartek stał w miejscu i ani się ruszył. Co widząc, podkomorzy przystąpił do niego i w nadmiarze wesołości uderzył go po ramieniu, mówiąc:

— Bartku! a tyż się z nami nie cieszysz?

— O! i ja się cieszę, stryjaszku, bardzo, bardzo się cieszę, — odpowiedział Bartek i całował podkomorzego w ramię, ale jego pocałowania były zimne jak lód.

W chwilę potém Pan Bóg zesłał nowych gości na zamek; kilku szlachty przyjechało z sąsiedztwa a trafiwszy na taką wesołość, zaraz téż także byli dobrej myśli i winszując a ciesząc się, tak tę radość podnieśli, że pan podkomorzy kazał najwyborniejszy sek przynieść z piwnicy i lał go strugami, jakby wino stołowe. I była taka szczerą wesołość, taka czysta, prawie niebiańska radość po wszystkich sercach, jakby anieli pańscy spuścili się z nieba i ciesząc się wspólnie z ludźmi, rozpostarli swe skrzydła nad onym domem sług bożych, ażeby czart zawistny nie wkraśl się weń i gorącym oddechem swoim nie zatrul tego szczęścia ziemskiego, które Bóg na zadatek rozkoszy niebieskich zesłał swoim wiernym sługom na ziemię.

Ale czart przeczniejszą od ludzi i od aniołów, już tam dawno był w onym domu i w postaci woniejącego eleganta od dobrej chwili czyhał już na to, ażeby na onéj roli pulchnéj i otwartéj zasiać nasiona trucizny. Jakoż niebawem, kiedy goście weseląc

się i rozmawiając, porozchodzili się po różnych komnatach, przybliżył on się do samotnie stojącej Barbarki i smutnie twarz przeciągnawszy, rzekł rzewnym półgłosem:

— Przez Boga! i cóż to się stało?

— Co? — rzekła na to z uśmiechem Barbarka — za mąż idę. I cóż w tém dziwnego?

— Za mąż? o Boże! — zawołał na to Bartek, — w cóż się obróciły te słowa pieszczone, których tyle z ust pani słyszałem?

— W co? w nic, — odpowiedziała ona stanowczo — wszakżesz pan Bartłomiej mogłeś to wiedzieć naprzód, że one do niczego doprowadzić nie mogły.

— Jak to do niczego? a cóż to, jaby nie potrafił to samo zrobić co Bobowski?

— Cóż waszmość gadasz! — odpowiedziała Barbarka, — przecież mi jesteś stryjecznym.

— A cóż to przeskadzał! — zawołał Bartek — trzy miesiące czasu i jest na to dyspensa od Papieża.

— Mogłaby być dyspensa? — powtórzyła patrząc w ziemię Barbarka — jam o tém nic nie wiedziała.

Wtém wszedł do téj izby Bobowski, a obaczywszy Bartka tak blisko stojącego przy pannie, stanął w miejscu i ostro od stóp do głów zmierzył go oczyma. Bartek ręce założył na krzyż i równie ostrém okiem wzrok jego wytrzymał, jak gdyby mu chciał dać do poznania, że tak jak teraz we wzrok, tak mu we wszystkim i zawsze wytrzyma. I na tém niemém spotkaniu skończyli nateraz ze sobą rywale, w téjże chwili bowiem Barbarka wyszła do dalszych pokojów, a tutaj wszedł pan łowczyc, który wziął pana Józefa pod ramię i chciał coś mówić do niego: ale pan Józef rzekł pierwój.

— Słuchaj, panie bracie! już widzę teraz jawnie, że mi ten diabeł francuzki zawidzi mojego szczęścia.

— Ej! daj mu pokój, niech ci zawidzi — odpowiedział na to pan łowczyc — dalej ani on, ani nikt inny kroku jednego nie zrobi. Póki ja żyję, lwem będę, który z rozdziawioną paszczą stać będzie u wrót twojego raję.

— Niech ci pan Bóg zapłaci!

I znowu inne osoby weszły do téj komnaty, a rozmowa pò staremu przeszła na inną treść. Wkrótce atoli dano wieczerzę, przy której zebrałszy się razem, one wszystkie wesole umysły i serca, radośnie się zabawiały na chwałę Bożą i dnia tego, któren dla tylu ludzi tyle szczęścia przyniósł ze sobą, a zabawa ta, bez żadnej uwagi na to, że zegar dawno już uderzył dziesiątą i wyśpiewał: „Kto się w opiekę,” przeciągnęła się aż późno w noc.

Po północy rozjechali się wszyscy goście, jakoż i bracia ślubni, zaproszeni przez podkomorzego na przyszłą niedzielę, w którą miała się ślubna intercyza przy świadkach napisać i dzień ślubu wyznaczyć, po serdecznych ucałowaniach opuścili zamek balo-

grodzki i puścili się działami i lasami ku onej gór rozpadlinie, w której leżały ich wioski.

Skoro tylko bracia ślubni wyjechali na zamkowe obejście, rzucił się zaraz Bobowski do zapytań, jako byli przyjęci, co mówił podkomorzy, co podkomorzyna, co panna Barbara? Pan łowczyc opowiadał wszystko ze szczegółami, a kiedy się już wygadał, nastąpiły pomiędzy braćmi jeszcze niektóre wywnętrzenia się, wymiany uczuć, radości i nadziei. W drugiej połowie drogi atoli pan Józef już pomału zaczął ucichać, a nakoniec ucichł zupełnie; jakoż widać to było po nim, co widać po wszystkich ludziach na świecie, a to jeżeli po wielkiem szczęściu lub nieszczęściu koniecznym dla nas jest udział kogoś drugiego i ulżenie swojemu sercu przez mowę, toż po tém ulżeniu jeszcze konieczniejszą staje się dla nas samotność. Co widząc, Osuchowski umilkł także i długo jechał tak milcząc przy swoim bracie, ale ponieważ on przy całej głębi swoich uczuć dzisiejszych nie czuł jednak koniecznej potrzeby samotnego myślenia, a znowu z drugiej strony wygadawszy się całkiem nie miał od czego zacząć, więc ni ztąd ni z owąd zadekklamował sobie w głos starodawne przysłowie, mówiąc każde słowo dobitnie:

Kto nie jada jeno raki, flaki,

Żabki a ślimaki,

· Nie siéwa jeno jarkę a tatarkę,

Krowami orze,

A dotego ma żonę Barbarkę:

Nie pytaj go czyli zdrów, ano czyli jeszcze żyw nieboże?

Obudzony tym głosem ze swojego marzenia:

— A to co? — zapytał Bobowski.

— Nic, ot tak, przysłowie; — odpowiedział Osuchowski.

I już milcząc dalej, dojechali bracia ślubni do domu.

IX.

Na początku niniejszej powieści wspomnieliśmy nawiasowo, że pan łowczyk miał matkę żyjącą, która po utracie reszty swych dzieci, na tego jedyne go syna zła wszy całą swą miłość macierzyńską, do tego stopnia była przywiązana do niego, że przez czas długi nie mogła się nawet oswoić z tą myślą, iż dla nauki trzeba będzie to dziecko na lat kilka oddalić od siebie. W późniejszym czasie umarł ojciec pana Józefa w Żernicy; pani łowczyzna atoli,— przetrwawszy szczęśliwie rozłączenie się z synem przez czas jego nauki i służby po dworach, i nabolawszy się dosyć nad nim i podczas jego rycerskiej praktyki na hajdamakach i podczas bisurmańskiej niewoli,—żyła wciąż jeszcze. W ciągu dalszego opowiadania nie zdybaliśmy się ani razu z tą sędziwą matroną, bośmy nie byli dotychczas w konieczności zaglądania do łowczycowego dworu; teraz atoli, kiedy nas złe losy i ludzie i tu koniecznie prowadzą, nagrodzimy sobie to, cośmy przedtém stracili.

Pani łowczyzna była to więc dzisiaj już bardzo latami obarczona staruszka, włosy jej bieluteńkie jak mléko, twarz pomarszczona zupełnie i cała jej postać wychudła i przygarbiona, dawały jej sędziwemu wiekowi dostateczne świadectwo; pomimo tych powierzchownych znaków atoli siły jeszcze dosyć w niej było, a jej przytomność umysłu, jej rozsądek na mnogich doświadczeniach ćwiczony i jej niespracowana czynność w domu i gospodarstwie kobiécém, mogły jeszcze niejedną młodą zawstydzić.

Pani łowczyzna, jakeśmy już wspomnieli na początku niniejszego opowiadania, nie bardzo była niegdy szczęśliwa w pożyciu z nieboszczykiem swym mężem. Wszakże brak tego szczęścia nie

był skutkiem jakichś przywar nieznośnych lub złości, któreby się znajdowały w jednym lub drugim z tych obojga małżonków: bo jeżeli on mógł być nigdy niedoścignionym wzorem wszelkich cnót pełnym dla mężów, to ona w poczciwości, dobroci, surowości obyczajów i wszystkiém tém, co być może ozdobą kobiety, nie ustępowała żadnej ze swoich blizkich ni dalekich sąsiadek,—jakoż inna temu była przyczyna. A przyczyną tą było li to jedynie, że oboje małżonkowie w opiekowaniu się fortuną, gospodarstwem i porządkiem domowym tak byli gorliwi, tak wykonania téj władzy nad domem chciwi, że nie umieli ani jój sobie ustąpić, ani się nią podzielić. Powstawały więc ztąd częste pomiędzy małżonkami nieporozumienia, które pani łowczyni, podczas częstych mężowskich podróży do rządzenia całym domem przyzwyczajonej, a za każdym jego powrotem całkowitą tę władzę jemu do rąk oddawać muszając, wiele przynosiły zgrzyzoty. I tu miało swe źródło owo nieszczęśliwe pożycie.

Wszakże ze śmiercią pana łowczego wszystko się to na raz skończyło, a pani Osuchowska, odierżwszy już statecznie wszelkie rządy domowe i poza-domowe po mężu, królowała na Żernicze swobodnie przez lat kilkanaście. Kiedy potem Stanisławowi, powróconemu na zagon rodzinny, cały majątek ojcowski z prawa już się należał, i kiedy on objawszy go w rzeczy, jako to zawsze bywa u młodych, zaraz chciał się spróbować w swéj władzy i to i owo po swojemu urządzić, znowu małe nieporozumienia zamąciły spokój pani łowczyni. Tym atoli już prędko zaradziła miłość synowska: pan Stanisław bowiem, odebrawszy na siebie sprawy po za-domowe a w domu gospodarstwo li rolne i stajnię końską, resztę wszystko zostawił matce swojej do woli. Kochając dziecko swoje, pani łowczyzna bardzo chętnie na ten podział przystała i po téj ugodzie do synowskiego departamentu już ani słowem się nie mieszała: ale téż za to gdzie sad, a pasieka, a ogród, gdzie kuchnia a spiżarnia, zgoła wszystkie one drobne kółeczka gospodarskiej maszyny, które tak wiele warczą a tak mało pożytku przynoszą, tam pan Stanisław tylko wtenczas był przywoływany, kiedy któremu z czeladzi należytą za zasługi albo i za przewiny trzeba było wyliczać zapłatę. Jednak było tak bardzo dobrze. Żadna bowiem, choćby jak pilna klucznica, nie byłaby mogła sprostać ani onéj niespracowanej pilności, ani przezorności a czujności, któremi dnie swoje i noce wypełniała ta wiekowa matrona. Ona sama wstawiała o świcie i gromadziła płeć białą w swojej własnej sypialni do przęślic, ona szła z niemi potem do krów dojenia, ona sama przytomną była przy masła robieniu, ona przy odgotowywaniu sérów, przy otrząsaniu owoców, przy zbiorze jarzyn, przy wiązaniu lnów i konopi, a podczas kiedy u jój pasa wisały klucze od wszystkich zamków i kłódek domowych, nikt ani garści mąki nie dostał, któraby przez nią nie była wydana. I było przy tém gospodarstwie wiele nieraz krzyku; wiele

hałasu i wiele głośnych sługom dawanych obietnic, które się zawsze miały wypełniać za przyjazdem pana łowczyca; ale te obietnice nie spełniały się nigdy, a przez to był posłuch wielki w całym obejściu, nie ginęło marnie ani jedno ziarneczko, nikogo nigdy głodnego nie było na całym dworze, nie jeden strawy łaknący jeszcze się tam pożywił, i przy tém wszystkiém pełne były zawsze spiżarnie i nie jeden grosz jeszcze wpłynął przez nie do domu.

Przy takiej ciągłej i sownie się wynagradzającej czynności, bardzo szczęśliwą starość miała pani łowczyca; dobroć, uległość i wyrozumiałość jej syna podnosiły to jej szczęście jeszcze do tego stopnia, że już na tym świecie nie zostawało jej prawie nic do życzenia. Nic prawie, — bo tylko jedna myśl ją jeszcze zajmowała, jedno się w niej odzywało pragnienie, które pomimo wszelkich jej starań i zabiegów zaspokojoném nie było. A tą myślą nie było co innego, jeno owo uporne bezżeństwo jej syna. Zrazu myślała ona, że jego wstręt od spełnienia tego przeznaczenia, które sam Bóg już w kolébkę kładzie każdemu mężczyźnie, jest tylko chwilową wybrédnego umysłu chimera, i długo męczyła się nad tém, ażeby mu tak nie ludzką myśl wybić z głowy; perswadowała ona jemu na wszelkie sposoby, prosiła i zaklinała; ale po latach kilku, kiedy się przekonała, że jego przedsięwzięcie dokonania tego życia w stanie bezżennym stało mu się prawie drugą naturą, kiedy widziała, że jej namowy nietylko go nie przekonywają inaczej, ale zgoła przykrość mu czynią, przestała ta dobra matka już wspominać mu o tém i całkiem umilkła. Dawniej była ona całkiem tak śmiałą, a jej serce matczyne w życzeniach dla swego dziecka tak bujnym, że marzyła sobie Bóg wie jak świetne koligacye dla swego Stasia, i nieraz myślała o tém, jakby ją to martwiło, gdyby się on w ładajakim dworze ożenił: dzisiaj przyjąłaby ona z rozwartemi ramiony i z najuboższego domu synową, ale nawet i o takiej już dzisiaj marzyć nie śmiała i gorące życzenia swoje, prawie już wszelkiej pozbawione nadziei, ledwie jeszcze w milczącej śmiałości powtarzać modlitwie. Taka była matka Osuchowskiego i takie były jej do domu i syna stosunki.

Kiedy pan łowczyca po oném oświadczeniu się Bobowskiego w nocy do domu powrócił, nie widział się już dnia tego z matką. Na drugi dzień wszakże, mając tak serce przepełnione szczęściem swojego brata, że nie było mu nawet podobnym, ażeby tém sercem jaknajprędzej nie podzielił się z ukochaną swą matką, zaraz rano po zwykłych pacierzach szedł czémprędzej do jej pokojów. Wszedłszy, lubo tak mu było pilno wypowiedzieć to, z czém do niej przyszedł, jednak ani myślał on otém, aby miał stary zwyczaj przełamać i głos piérwój zabiierać od matki: jakoż oddawszy jej dnia dobrego życzenie, spytał najpiérwój:

— Cóż tu słyhać, kochana matko?

— A! co słyhać! — odpowiedziała pani łowczyca prędko

i na pozór surowo, chociaż ani tam takiej prędkości ani surowości w jój sercu nie było, jeno już taki zwyczaj miała staruszka— cóżby miało być słycać dobrego, kiedy ciebie w domu nie było? Nie dowieźli wczoraj tój reszty pszenicy, dwanaście się zostało półkoptów na polu i dęszcz je nad ranem przekropił, tak jak przepowiedziałam. Ladaco parobcy i taki sam nad nimi pan podstarości! To masz jedną nowinę. Druga z tój zaraz idzie; bo czegożby byli tak zawczasu zjeżdżali z pola, gdyby w tém jakiejś planty nie było? Jakoż była. Były tany w karczmie tój nocy, bo się tam zaniosło na to weselisko, co wiesz.

— Nic nie wiem, mamuniu.

— Jakże nie wiesz? Żeni się Dudycz, ba! już się ożenił z kowalową Agnieszką, co tu u nas służyła. Otóż tan w karczmie, dalejże i oni w tan sobie. I proszę ciebie, licząc na to że ciebie nie było w domu i że w nocy już nie przyjedziesz, wyleciało to wszystko jak wymiółł. A tu stajnie otwarte, brama nie zamknięta, jeszcze i trębacza zabrali ze sobą.... szczęściem jakoś Bóg łaskaw, że nie dopuścił nic złego. Ale trzeba w to wglądnać, wyindagować, wytuzować, a który herszt był do tój swawoli, niechaj odbierze zapłatę. Ale to wszystko nic jeszcze.

— Albo cóż się stało? — zapytał niespokojnie Stanisław. Na to pani łowczyzna, stanąwszy na środku izby i ręce załamawszy przed sobą; wpatrzyła się w syna i z wielkim smutkiem odpowiedziała:

— Mojego kubka porcelanowego, z którego pijam codziennie polówkę, już niema!

— O! — zawołał na to pan łowczyc, który wiedział jaki to ulubiony był kubek, a toż jakim sposobem?

— Spadł w nocy z półki na ziemię i śledzia zjadł!... ot, patrzaj, czerepy. I proszę ciebie, pies w mojej izbie w nocy, kiedy tu nikt nie śpi tylko ja i Haneczka i drzwi zawsze na noc zamknięte? więc ktoś drzwi musiał otworzyć i wjechać na tym psie tutaj... ale kto tu ma jeździć po nocy? Haneczka klnie się na czém świat stoi, że ona nie wychodziła; tém ci gorzej, to tutaj ktoś wchodził. Jakkolwiekby, jednak mój Stasięku, tego dojść trzeba koniecznie. Ja tego nie potrzebuję, ażeby w tym domu jakieś nocne się odbywały wędrowki, ja tego nie zniosę. Jak długo żyję, jeszcze tego nie bywało w mym domu i teraz nie będzie! Więc to trzeba wyindagować: pokaże się kto z sieni psa wpuścił, wziąć go *ad coram*, żeby choć ruski miesiąc popamiętał; pokaże się że Haneczka gdzieś wędrowała, precz ze służby! niechaj idzie gdzieindziej guza szukać, ale nie u mnie. Tak, i to proszę ciebie, żeby to zaraz zrobić, złe prędko rośnie, a jak wyrośnie, przepadło. Wstyd całemu domowi!

Pan łowczyc tak długo o tój indagacyi pamiętał, jak długo jego matka mówiła, a kiedy jój słowa przebrzmiały i widać było, że już koniec tym domowym nowinom, rzekł on wesoło:

— Otóż i ja powiem jójmości dobrodziejce nowinę.

— No, powiadajże mi, Stasińku, tylko co wesotego, bo już tych smutków i zgryzot mam tyle, że widocznie łaska jest Boża, że ja śród nich jeszcze żyję.

— Otóż mój Józef kochany już po słowie.

— No, doprawdy? — zawołała na to staruszka, — przyjęli go podkomorstwo? chwałaż ci Panie! chwała niech będzie na wysokościach! — mówiła pani łowczyzna, wszerek i wzdłuż chodząc po izbie, — ale bo też nacierpiał się ten biedny Józefisko... co się przedemną samą na wzdychał, co się naskarzył, co nalamentował! a ja biedna nicem mu nie umiała poradzić. Bogiem a prawdą mówiąc, nigdy bom też nie myślała, żeby co z tego być mogło. Podkomorzy pan wielki; pamiętam jak to winszowano tu Balównie, kiedy się zdeklarował o terazniejszą swoją żonę.... no! ale też to teraz musi być Józef szczęśliwy, a wesoly, a krotchwilny... Czemużes go tu ze sobą nie przywiózł, Stasińku, niechbym go choć była widziała.

— Ej! ani mu mówić teraz o tém, moja matko kochana, — odpowiedział na to pan łowczyc, — on już dziś rano pojechał do Balogrodu, w niedzielę zrękowiny, ślub ma być prędko, a kiedy tak, to już tam Józef będzie teraz miał i dzień i noc co do czynienia, bo kiedy nie będzie siedział przy swojej pannie, to już koło domu będzie co robił, żeby to przecie jakoś miał ją gdzie przyjąć uczciwie.

Na te słowa pana łowczyca matka jego już nic nie mówiła, jeno smutno patrząc przed siebie, milczała, czego on wcale nie uważając, dodał jeszcze:

— Nie wiem ja, pani matko, wiele to Pan Bóg szczęścia zdarzyć raczy tym państwu młodemu, ale to mówię, że dzisiaj tak mnie to cieszy i tak raduje, że gbyby mi jakie miliony były nagle upadły z nieba, aniby w połowie mnie tak nie uradowały.

— Jaka szkoda że nie żyje nieboszka pani stolnikowa, cóż to za radość byłaby dla niej! — rzekła teraz z westchnieniem pani łowczyzna, ale z takiem jakimś głębogiem i tak smutném westchnieniem, że aż spojrzal na nią Stanisław i także westchnął pomimo woli.

Po tych westchnieniach umilkli ci państwo oboje; staruszka ciągle smutno patrzyła w ziemię, a jój syn to poglądał na nią, to powodził wzrokiem po izbie i zdawał się niby czémś niepokoić, a nawet może żalować tego, że tą nowiną o przyszłym ożenieniu się swego brata na jakieś smutne myśli naprowadził swą matkę. A kiedy matka ciągle milczała i twarz jój coraz wybitniejszym powlekała się smutkiem, nie mogło przenieść tego na sobie jego serce synowskie, jakoż wkrótce pan łowczyc zaczął w ten sens:

— Ja się domyślam, czemu jójmość smutek opanował tak nagle. Wolałaby matka w swoim sercu najlepszym, żeby to

szczęście było raczej spotkało jój syna, niżeli sąsiada i przyjaciela. Nie zawidzi matka Józefowi podkomorzanki, i owszem, cieszy się tém jego szczęściem, tak jak on się niém cieszy, ale tak myśli sobie: Boże! Boże! czemuż-to mój Stasienko nie poszuka także na téj drodze dla siebie szczęścia, na której znalazł go Józef—jakże-bym ja była szczęśliwa.

— Prawda, — mój synu, — rzekła na to staruszka, — tak sobie myślałam.

— Widzi jójmość, rzekł na to Stanisław, powstając i całując ją w rękę, — wiem ja to dobrze, ale i to wiem także, jak mnie nieraz serce boli i jak zawsze sam na siebie skarzę się za to, że nie jestem w stanie przynieść matce mojej kochanej téj tak upragnionej pociechy. Ale to już daremnie i śnać nigdy nic z tego nie będzie. Przypatrzyłem ja się teraz téj rzeczy zblizka, rozważyłem ją jeszcze na wszystkie sposoby i tak sobie mówię, że chociażbym i on wstręt w sobie przełamał, który zdawna czuję dla kobiet, i chociażbym nawet wszystką chęć moję skierował ku temu, to jeszcze i takby nic z tego nie było. Jam nie do tego. Jak mnie konkurować, jak mnie służyć, jak pozyskać białogłową, kiedy ja, żeby mnie kto zaraz zabił na miejscu, ani dwóch słów do żadnej powiedzieć nie umiem, a przecie w dom nikomu żony nie noszą. Ba, nawet gdyby mi kto żonę przyniósł do domu, jakiby to mąż ze mnie był dla niej? Jam człek ponury, pochmurny, szorstki, między żołnierzami w polu a zwierzętami w lesie chowany, ani to u mnie słów gładkich w ustach, ani słodczy w obejściu, ani gładkości w obyczajach, jakby to żonie przypadł mąż taki? A zresztą, pani matko! nie dosyć tego, że się już i tak z każdym dniem bardziej odwyska od broni, leniwieje do konia, cięższe na sercu i duchu, że kiedyby się gdzie surma odezwała na polu, to możeby już dzisiaj się rumienić musiały białe kości ojcowskie za syna; nie dość mówię tego, jeszczeż mi i żony potrzeba, a z żoną nowój jeszcze przeskody do onój służby, która rdzenia i szczytem żywota mego!

Zadowolona tém matka, że jój syn samowolnie rozwiązał usta do poruszenia nanowo tego przedmiotu, którego przez czas tak długi tykać nie śmiała, rzekła na to w ten sens:

— Nie znasz sam siebie, mój synu, i dał Pan Bóg twojemu umysłowi tę skromność, która ci każe siebie kłaść jaknajniżej pomiędzy niskimi; dlatego tak upornie trwają w twój głowie one dawne opinie i dlatego niezdołnym się mienisz nawet do tego, do czego zdolni są ci, którzy niegodni zgoła rzemienia rozwiązać u twoich sandałów. Ja ciebie znam daleko dokładniej, jam badała twego serca i umysłu przymioty już wtenczas, kiedyś ty jeszcze nie wiedział, ażali żyjesz na świecie; ja już oddawna patrzę na ciebie nie jako na syna, ale jako na męża, który ma na sobie te same obowiązki, co drugi i dziesiąty i setny: i jabym ci wiele więcej o tobie umiała powiedzieć. Jakoż ci powiem i na wszystko

odpowiem. Więc najpierw, co się tyczy onego wstrętu do ożenienia się, któryś nie wiem zkąd przywiózł ze sobą, bo go przedtém w tobie nie było, to ci powiadam, że jako on był dawniej czczym twój głowy wymysłem, tak jest nim i dzisiaj i daj Boże! ażeby cię przykład pana Józefa jaknajprędzej uwolnił od tego narowu, który żadnego statecznego gruntu nie ma i mieć nie może. Nie bierz mi za złe, że ja tak mówię otwarcie, ale jam twoja matka i mówię z tobą między czterema ścianami. Dalej, co powiadasz, żebyś konkurować nie potrafił, że nie ufasz sobie, żebyś mógł serce jakiej białogłowy dla siebie pozyskać, to jeszcze czcza tylko przed sobą i przedemną wymówka. Nikt ze szlachty naszego stanu dzisiaj się tak nie żeni, żeby wpiérw z panną w długie zachodził amory i nabijał sobie naprzód głowę ową miłością, która później sama ze siebie przychodzi; ano każdy upatrzy sobie pannę wedle swojego upodobania; da się poznać tym, którzy nią dysponują, deklaruje się potem i bierze. Owe długie konkurencyje, owe wzdychania, mizdrzenia się, pisanie liścików, nic nie są warte i do niczego dobrego nie dowiodą; zostawcie to Francuzom i Włochom a zresztą i panom naszym, którym, obyczajami krajów zamorskich zepsutym, nigdy dość na tém nie jest, co sam Bóg człowiekowi odmierzył, — a wy zostańcie przy obyczaju starym, jakiego się trzymali wasi ojcowie i dziady. Jakoż tak po staremu ożenił się podkomorzy, tak pan stolnik nieboszczyk, a ojciec twój, Panie świeć duszy jego! ani mnie widział przed ślubem, — a pomimo to daj Boże wszystkim małżeństwom tyle spokoju i szczęścia, ile go było w tych domach. Masz zresztą dzisiaj przykład z twojego Józefa. Cóż warte jego długie kochanie i jego wzdychające konkury? Bez woli rodziców przecie się nie obeszło, a ta sama wola była w nich pewno i przed pół rokiem. Więc to tylko manienie jest siebie samego, te wasze nowomodne konkury, bo pomimo nich jest tak przecie jak bywało: chcą rodzice, to dadzą, a nie chcą, to i miłość panny nic nie pomoże. Po trzecie, co powiadasz, jakiby z ciebie mąż był? ja odpowiadam, że byłby najlepszy. Jesteś człek dobry, w obyczajach stateczny, sercem tkliwy i czuły z natury, umysłem spokojny i wyrozumiały, i z takiego ma jeszcze zły mąż być na świecie? A spojrzjyno, moje dziecko, po ludziach, wiele to jest mężów pijanic, włóczęgów, gwałtowników, kosterów, burdowatych, kłótliwych, a przecie wszyscy żony mają i pytają się tych żon, ażali większa połowa z nich i za takich mężów Pana Boga nie chwali? Kobięty, mój synu, są to stworzenia bardzo cierpliwe i bardzo potulne. Każda z nich zniesie wiele, ba! wszystko w swym mężu, a jeżeli za kilkotygodniową niebytność w domu, za hulanki po za domem, za rozrzutność, za domowe poswarki jednym ją tylko uśmiechem nagrodzi, to już ją przebłagał i uszczęśliwił. Pocięcha z dziećmi przez lata młodsze, spokojna starość i potem trochę uwędłego kwiecia na grobie, to jest całe szczęście kobiety; więcj téż żadnej nie potrzeba. I ta-

kim wymaganiom tybyś nie miał uczynić zadosyć? Ty, którego ani biesiad nie lubisz, aniś gry zasmakował, ani włóczęgą się bawisz, ty, którego się prawie gniewać nie umiesz, którego sługom swoim pozwalasz chodzić na głowach i teraz cały miesiąc się nad tém namyślasz, nim masz komu złe słowo powiedzieć, którego się z własnym uszczerbkiem twojem dobrem z każdym podzielasz i twojemi wielkimi myślami zajęty, wszystkim wszystko pozwalasz, aby im dobrze było około ciebie, mniejsza o to jak tobie będzie; tybyś miał jeszcze niedobrym być mężem?... a ja tobie powiadam, że rajby miała twoja żona u ciebie. Nakoniec, co powiadasz że onęj surmie, która do służby woła obywatela i lada chwila ciebie zawołać może, żona stałaby na przeszkodzie, to jest nie prawda, mojemu synu. Jakoż o tém już niema ci powiadać... ale gdybym niewiedzieć jak wymownie ci powiadała, na cóżby to się przydało? już ja widzę, że takie jest przeznaczenie, że ta linia nasza musi się teraz zakończyć... Przepowiadali to ludzie, kiedy się Gozdawa łączyła z Gozdawą, niechajże tedy prawda będzie ich fatalnemu prorocत्वu a Panu Bogu chwała choć za to, że się to drzewo starożytne kończy przynajmniej czystym i zdrowym konarem!

Na taką matki przemowę pan łowczyk umilkł i zasunawszy się głębiej w krzesło, na którym siedział, smutno się zamyślił. Milczenie to jego nie było skutkiem tego, żeby słowa pani łowczyny zbiły go zupełnie w jego dawniejszych opiniach; nie można atoli powiedzieć, ażeby ta stara i po raz setny już przez niego słyszana perora teraz na nim nowego nie czyniła wrażenia. Okoliczności teraz go otaczające były nowe, usposobienie jego umysłu i serca także nowe, więc i wszystko co w tej chwili padało na ten umysł lub serce, odmienne na nim musiało czynić wrażenie, ale też oprócz wrażenia nic więcej; przekonanie jego, w najrańszej jeszcze młodości powzięte i przez lat tyle głazem leżące na samém dnie jego umysłu, ani się mogło zachwiać pod oklepanemi pozorami i wypadkami tak jeszcze drobnymi, ani się też zachwiało: a jako do obalenia mocno zakorzonego dębu nie wystarczy ani kula ze samopału, ani grad letni, ani wiatrów wiosennych podmuchy, tak i do obalenia jego przekonania potrzeba było albo kuli działowej, albo jego własnej woli, która w nim królowała wszechwładnie. Wprawdzie jego miłość dla matki i chęć dogodzenia jej nawet kaprysom wiele mogła u niego; jakoż niczem to bywało u niego największą sobie zadać przykrość na to, aby w czém matce dogodzić, ale w rzeczach ważnych, sprawy publicznej, honoru albo jego opinii dotyczących, i ten wzgląd także nie miał u niego żadnego znaczenia. W krótkiej też chwili otrząsł się pan Stanisław ze swego smutku i jak gdyby nic nigdy nie było, wyszedł do swoich stajen i półkoptów.

Przy gwarze i ruchu gospodarskim, którego dość zwykle bywa o tej porze, zapomniał on już całkiem o swojej rannej z panią

łowczyną rozmowie, a kiedy po obiedzie wyszedł do ogrodu i z ulubioną swą łulką w ustach przechodził się po grabowej alei, to już znowu myślił li o szczęściu swojego brata, i prosząc Pana Boga w duchu, ażeby już temu nic nie stanęło na drodze, układał sobie pomału w głowie jak i w czym będzie mógł go teraz wyręczać w Żernicy, ażeby tamten jaknajspokojniej mógł sobie siedzieć w Balogrodzie i jaknajmiliej mógł przepędzać dni one przedślubne, które na pewnej nadziei malując sobie jak najpiękniejsze obrazy szczęścia, częstokroć więcej dają człowiekowi rozkoszy, niż samo szczęście.

Temi myślami, w różne kształty się wijącemi po głowie, tak był zajęty pan łowczyc i tak te myśli jakoś jego woli się nie poddając, nie chciały mu się w żaden ład przyzwoity ułożyć, że przechodząc nadaremnie z godzinę po alei, usiadł nakoniec na darniowej ławeczce, która stała pod ogromną lipą, w środku ściany grabowej rosnącą, i oparłszy głowę o drzewo, oddał się tym myślom zupełnie.

Śród tego czasu, cichuteńko i bez żadnego trzasku i huku zajechał czterokonny półkrytek przed ganek, a w tym półkrytku siedział pan Dzianott, Zachoczewia dziedzic i syn jego, Pakosław. Pan Dzianott był ubrany po staropolsku, ale co miał najbogatszego w swój skrzyni, wszystko dziś włożył na siebie. Błyszczał też na nim dziwnie bogaty kontusz z cieniutkięj karmazynowęj sajety, przy kontuszu świeciły się guzy pozłociste z koralu, na spodzie widać było biały jedwabny żupan i takąż samą pod wylotami podszewkę, na wiérczu pas złotolity ciężki z szczerozłotemi fręzlami, a do tego brylantowa spinka pod szyją, karabela z rękojeścią kamieniami sadzoną i buty złote na srebrnych osadzonych podkowach, tak wyniosły nieosobliwą zwykle zachoczewskiego dziedzica figurę, że gdyby go kto był dzisiaj między senatory postawił, w trudnaby miał kto drugi poznać po nim, że to szlachcic z lichęj górskiej wioszczyny. Temu wysadzeniu się na okazałość w ubiorze ojca godnie też odpowiedział i synek, i miał on dzisiaj świeżą i czystą na głowie perukę, aksamitną suknię z haftami, kamizelkę z bogatemi kolbertynami, a szpadę tak dziwnie od złota i pereł błyszczącą, że kto go znał i wiedział, że te drogie rzeczy nawet i w święto największe spoczywały u niego w skrzyni, ten byłby niemało sobie głowy nałamał nad tém, jaka to feta musi dla niego być dzisiaj. Ale to tak bywa na świecie: ludzie uczciwi biorą co najlepszego na siebie, kiedy święcą dzień święty, albo kiedy Pan Bóg w swęj łasce zdarzy ich sercom jakie niezwyčajne wesele; inni dni świętych cale nie święcą, z weselem swojem kryją się przed ludźmi, tak, jak gdyby go na nich rozbili, a w świetne szaty ubierają się wtenczas, kiedy im trzeba swoje brudne sumienia i zamiary łotrowskie przed ludźmi pokrywać.

Kiedy ci goście zajechali przed zamek, pytali się najpiérw

o pana łowczyca; a kiedy im go siedzącego w alei wskazano, wyleźli z półkrytka i szli prosto ku niemu. Idąc, rzekł ojciec do syna:

— Więc taki ja będę zaczynał, ale przyznam ci się, Pakoszu, że mnie dreszcz jakiś przenika. Niema co mówić, to wcale jest dobry człowiek, ale kiedyby go pasya porwała, to żadna dzika bestya mu nie wyrówna, ani w sile ani w wściekłości.

— Niechno ojciec będzie spokojny,—odpowiedział Pakosław,—rozum ludzki zawsze ma górę nad siłą; już ja jemu zaimponuję i musi nam posłużyć za narzędzie do naszego celu, jeżeli tylko jest w gruncie uczciwy i kocha swego brata; — i już milcząc, szli dalej.

Pan łowczyc, zatopiony w swych myślach, nie uważał wcale tego, że przed jego dwór jacyś goście zajechali i zajrzał ich dopiero natenczas, kiedy już się obydwu ku niemu zbliżyli. Spojrzawszy na nich, poznał zaraz pana Działottę, ale nie mogąc poznać drugiego i myśląc, że pod peruką nikt inny być nie może jak Bartek, a jednakże temu nie wierząc, przyłożył rękę do czoła i długo mu się przypatrywał. Widząc atoli, że to rzeczywiście kto inny i już drugi w zamorskim stroju, aż się zerwał z swego siedzenia, mówiąc w głos:

— Tfu! do czarta! czy się szkuta gdzie rozbiła z tęp tałałstwem, czy z deszczem to spada!

Wtém przystąpili ci goście do niego, a pan Działotta rzekł, czapką i głową kłaniając:

— Ścielemy się do nóg waszmości dobrodzieja, ścielemy się do nóg! Jakże to słodki być musi w tym miłym chłodzie spoczynek.

— Witam kochanego sąsiada mojego, — odpowiedział na to pan łowczyc, — witam serdecznie; ale kogóż mi to waszmość przywozisz? — Na to pan Działotta:

— Właśnie miałem zaprezentować... jest to syn mój Pakosław, dzisiaj aplikant w kancelaryi jw. ministra Bryła, a daj Boże niedługo, może kanclerzyk jaki albo i co więcej z łaski króla jegomości, którego, prawdę mówiąc, niepospolitą łaską i najlaskawszemi względami się cieszy.

To rzekłszy, pan Działotta pogłaskał się ręką po piersiach od szyi aż do pasa, jak gdyby zadowolony swoim gładko wypowiedzianym frazesem, a Pakosław tymczasem niby nieśmiało, a niby trochę od niechcenia się kłaniał; ale pan łowczyc rzekł na to:

— To wszystko dobrze i bardzo mnie kontentuje że poznaję zacnego syna waszmości, któren na tak wielkiej jest drodze a o którym, ze wstydem to przyznać muszę, jeszcze nic nie słyszałem.... to wszystko dobrze i daj Panie Boże, ażeby mu się nie tylko pieczętka, ale zgoła cała pieczęć dostała; ale, mospaniel czy to koniecznie na to potrzeba już komedyanta zrobić ze siebie?

Na te słowa Pakosław, który się wybrał zaimponować szlachcicowi, dziwnie jakoś się skrzywił, a ojciec odpowiedział:

— Komedyaanta? cóż to waszmość rozumiesz przez to?

— Co ja rozumiem? — spytał pan Stanisław, i pokazując olbrzymią swą ręką na małego Pakosza, odpowiedział: — Peruka z ogonem, suknia z ogonem, pończochy, trzewiki i pręcik stalowy u boku, nie komedyaż to, mości dobrodzieju?

— Cha, cha, cha! co waszmość mówisz! — zawołał na to pan Działott, — *nam* to, nam profanom, hreczkosiejom, zagonowcom, którzy od kolébki siedziemy w tych tu górach i ani śnimy o tém, co się tam dzieje na świecie, *nam* to tylko się tak wydaje! ale to jest rozum, to świat on wielki, który nad nami króluje, a któremu my tylko za mrówki i pszczoły służymy. Dlatego nic nie mówmy i słuchajmy tylko; nasze już przeminęło! to strach panie, co to u tych za rozum.

Pan łowczyc z ciekawością i uwagą wysłuchał, co mówił pan Działott, a kiedy ten skończył, rzekł tamten na to:

— Nie dziwuję się waszmości, że tak mówisz, bo mówisz *pro domo sua*; ale dziwuję się że nie mówisz za siebie, jeno zaraz za nas obudwóch, albo zgoła za całą szlachtę. Jakoż bardzo to ładnie ze strony waszmości, że się cieszysz tém, że syn twój ma niedługo być kanclerzykiem, ale nie wiem czy to bardzo ładnie, że się na ten urząd przez takie wążkie pluderki przesuwają.

Na takie przywitanie pan Pakosław wcale ogłupiał; on się spodziewał, że wymyślnością swojego ubioru, perlową rękonością u szpady, złotą tabakierką, ministeryalnym rozumem swoim i skłamaniami widokami na jakieś kanclerstwo, olśni tak zagonowego szlachcica jak słońcem i że potem z nim zrobi co chce; a tu szlachcic swoim prostym rozumem stanął przed nim tak wielki jak wieża maryacka, spojrzął na jego całą figurę jako na mrówkę koło nogi mu szemrającą, pogardził jego rozumem i wypowiedział prawie, że i gotowego kanclerza nie wieleby sobie ważył, a nie dopiero jakiegoś do tego urzędu aspiranta! I upadł wcale na duchu pan Pakosław i z całym swoim rozumem uczuł się w obec tego prostego szlachcica tak małym, tak lichym i nic nieznaczącym, że znając tyle szlachty w Warszawie i wiedząc jak bywała małeńka, kiedy przychodziła do jego biura, albo mu powierzała swe sprawy, ani umiał pojąć, jak to się stało. A tymczasem to była rzecz naturalna i bardzo prosta: Pakosław widział tam szlachtę, gdzie ją zwykle bięda tylko przygania i gdzie ona jest zawsze ofiarą brukowego dowcipu, ale nie widział ję tam, gdzie jest sobą samą, gdzie jest pnem i korzeniem. Pakosław nie znał tej szlachty jaką ona jest na wsi u siebie, i wybrał się ję imponować, ale się wybrał najgorzej. Szlachcic na swojej zagrodzie onego czasu, używający jak najobszerniejszych praw obywatelstwa, nie znał nikogo, któryby mu mógł czém zaimponować na jego zagonie. Chylił on głowę kornie przed swoim monarchą, czcił zasługę i władzę

w hetmanie, cenił ród pański w wojewodzie i kasztelanie, szanował i poważał naukę w uczonej, ale tam, gdzie mieszkali królowie i hetmani, wojewodowie i uczeni, bywał on rzadko; tu zaś, między swojemi kopcami, gdzie się urodził, wychował i żył całe życie, on swym rozumem wszystkiemu wystarczył i był najuczciwszym, tutaj on krwią najzaciejszym, on sług swoich hetmanem. Nie było też nikogo takiego, którenby na jego zagonie mógł być lepszym od niego, — a już ani mu równym taki, który czy to urzędu, czy jakiegokolwiek sławy dosługiwał się nie tą drogą, jaką się wszystkiego dosługiwała zwyczajnie szlachta. Pisarek, aplikant sądowy czy nawet i w wyższym jakim dykasteryum służący, póki nie stanął na takim urzędzie, któren go stawiał wyżej nad owe morze głów ogolonych, zawsze to była jakaś licha figura i zawsze tak traktowana jak służa, jak zarabiające na chleb swój codzienny subiektum, jako człowiek nie mający praw żadnych do niczego i nie należący do społeczeństwa, składającego Rzeczpospolitą.

Tak też straktowany Pakosław i odrazu zbity ze swojej przybranéj fantazyi, stanął pokornie za ojcem i smutno mu było; ale nie było mu smutno dlatego, żeby taki traktament obraził jego ambicję, poruszył dumę rodową czy osobistą, tylko dlatego, że stanąwszy od razu w tak nieprzychylnym dla siebie od pana łowczyca stosunku, nie miał już tak pewnej nadziei zapanowania nad nim i obrócenia go za narzędzie do swoich celów. Naprawił jednak niebawem ten stosunek pan Działota, bo rozgadawszy się z panem łowczycem o jego tak statecznej i trwałej do stolnikowicza przyjaźni, takich kilka pochwał dla nich obudwóch zrecznie wplótł w swoją mowę, że lubo pan Stanisław nie miał wcale nadto wielkiej w swém sercu próżności, jednak go to ujęło. Wszakże te pochwały pana Działoty dla braci ślubnych nietylko to miały na celu, aby pana łowczyca w lepszy humor wprowadzić, ale żeby zarazem utworować drogę tej sprawie, która była powodem tych niespodziewanych odwiedzin. Pan Działota bowiem tak mówił:

— Niemasz też już i więcej co mówić o onej ogromnej reputacyi, której waszność używacie w tej ziemi; ja, jako stary już jestem i nie mało już rzeczy widziałem na świecie, nigdybym tego był nie pomyślał, żeby siedząc korniuteńko na swoim zagonie, nie sprawując żadnego urzędu, nie posłując na sejmach, nie jeżdżąc w deputacyach na trybunały et coetera, można przyjść do takiego zachowania u szlachty. Jak mnie Bóg miły, to rzecz niesłychana. Taż to waszność jak półbogi jesteście w sanockiej ziemi! Za waszą wolą najzaciejsze uśmierzają się kłótnie, za waszém wdaniem się stuletnie na miłej zgodzie kończą się procesa, na wasze słowo milion się wysypie pieniędzy, a! to jest rzecz niesłychana.

— No! — rzekł na to pan łowczyk, — już to waszność troszeczkę przesadzasz, ale trochę i prawda, bo, niema co mówić, wieleby się zrobiło, gdyby tego była potrzeba.

— Ale cóż tam,— mówił dalej dziedzic Zachoczewia,— ale bo to wszystko nic jeszcze. Wyobraź sobie waszmość dobrodziej, kiedy w Warszawie nawet o was już wiedzą; do uszu samego jw. ministra doszła fama waszmościów! Pakoszu, powiedz-no, jak to było.

— Al tak jest, w samej rzeczy,— odpowiedział na to Pakosz, zażywając tabaki, — w samej rzeczy. Zaraz to jakoś po wielkiénocy, pamiętam, kiedy przyszedłem z papierami do jw. ministra i zdawszy mu sprawę, czekałem jeszcze, ażali mi nie da jakich rozkazów, rzekł on do mnie: Al waszeć jesteś z sanockiej? — Tak jest, jw. panie, odpowiedziałem. Na to znów on: Powieździe mnie, cóż to tam są za dwaj kawalerowie, którzy tego lata byli samowolnie na Ukrainie i jeden z nich dostał się do niewoli? — Ja tedy opowiedziałem panu, co mi wiadomo było z listów kochanego ojca mojego, a on na to: Powiadają, że ci dwaj jegomościowie trzęsą tam całym powiatem, że za nimi możnaby całą szlachtę tamtejszą i w ogień zaprowadzić; jakież tedy jest duch u nich? czy wierni są królowi swemi i panu? A kiedy wkrótce potem, wyjeżdżając z Warszawy, przyszedłem pokłonić się panu, rzekł on do mnie: Bądź waszmość zdrów, a kiedy tam obaczysz tych waszych hetmanów, powiedz im, że minister Bryl im się kłania i prosi, ażeby pamiętali na swoje obowiązki względem swego pana i króla, i nie dali się uwieść gwałtownikom i burzycielom ojczyzny, a będzie to im pamiętne za czasem.

Pan łowczyc, który sam nigdy nie kłamiąc, nigdy też nikogo nie posądzał o kłamstwo, tak rzekł na to:

— Dziękuję waszmości za tę nowinę; bardzo ona mnie cieszy, nie dlatego, że minister powiedział, że nasza wierność królowi będzie nam pamiętana za czasem, bo my, jeśliśmy dzisiaj gotowi dać gardła nasze *pro majestate*, to czynimy z serca, a z obowiązku, i żadna nam się za to nie należy nagroda; ale zawsze to miło, kiedy ci, którzy radzą, wiedzą przecie co się gdzie dzieje w kraju.

— O! tego bądź waszmość dobrodziej pewny, — rzekł na to Pakosz,— że wszystko wiedzą, co nawet kto myśli, albo *in privatis* nawet uczyni: przecież to się nie darmo siedzi w téj kancelaryi.

— Oj! wiedzą, wiedzą, kochany panie łowczycu dobrodziej!— dodał z westchnieniem pan Działott, — pytajno się mojego syna, co oni tam wszystko wiedzą po kancelaryach!

Poczém odetchnąwszy z pełnej piersi, ojciec Pakosza dotknął się z przymileniem ręki pana łowczyca i rzekł:

— No! ale my tu sobie miluteńko gadamy, a gruszki w po-
piele.

Na te słowa pan łowczyc wstał i myśląc, że jego goście już się do wyjazdu zabiierają, gotów był do pożegnania, ale pan Działott tymczasem mówił dalej:

— Bardzoby nas to cieszyło, gdybyśmy mogli powiedzieć,

żeśmy przyjechali li tylko pokłonić się naszemu kochanemu sąsiadowi, jednakże tą razą tak nie jest.

— Waszmość panowie tedy macie sprawę jakąś do mnie, rzekł na to łowczyc,—więc siadajmy a ja słucham cierpliwie.

Jakoż siedli wszyscy trzej na oniej ławeczce darniowej pod lipą; pan łowczyc we środku a obadwa goście po końcach. Rzekł tedy Dziaott:

— Tak jest, mości dobrodzieju, mamy tu sprawę. Wprawdzie ta sprawa nie tyczy waszmości samego, jeno jmc pana stolnikowicza, ale ponieważ jest to rzecz wielkiej wagi i snadniej nam się widziało pierwój o niej pogadać z jego przyjacielem i bratem...

— To wszystko jedno,—przerwał tutaj pan łowczyc,—sprawa która Bobowskiego dotyczy jest zarazem i moją, a co jeden z nas postanowi, temu drugi nic nie zarzuci; mówcie tedy waszmość do mnie tak, jakbyście mówili do niego.

— Otóż to jest — mówił dalej pan Dziaott,— ja o tém wiedziałem i dlatego odrazu byłem za tém, żeby się wprost udać do waszmości.

— Ale bardzo dobrze, bardzo dobrze, cóż tedy jest takiego?—zapytał łowczyc.

— Przypomnisz sobie waszmość, — tak zaczął Dziaott,— lat temu trzy już minęło z czubem, kiedy waszmość obadwa z jmc panem stolnikowiczem byli łaskawi nawiedzić ubogą strzechę moję.

— A tak, tak, pamiętam, działo się to o wiośnie.

— O wiośnie. Otóż po onej wizycie waszmość jeszcze byłeś u mnie tylko dwa lub trzy razy, ale pan Józef był tyle łaskaw, że się stał częstym gościem mojego domu. Z początku dziwiło mnie to niepomału, zkądby ta łaska na mnie tak nagle spadła, ale później, kiedy przyszło do tego, że pacholek pana Józefa co drugi dzień najmniej przez całe pół dnia z jego koniem wystawał przed moim gankiem, a on sam przez ten czas cały bawił na górnych pokojach, nie wątpiłem już o tém, że moja córka miała to szczęście wpaść jemu w oko. Jakoż w krótkim czasie z tych i owych okoliczności, a nakoniec z otwartego przyznania się panny, przekonałem się jawniej, że pomiędzy tém państwem młodém zawiązały się pewne i wcale serdeczne afekta.

— Hm!—rzekł na to pan łowczyc,—córka waszmości to powiadała?

— Tak, mości dobrodzieju, własnymi usty.—Na to znów łowczyc:

— Hm! to mnie dziwi; bo że Józef sobie onego czasu zapruszył serce waszmościna dziewczeczką, to ja sam uważałem...

— Aha, aha! — poderwał w tém miejscu Dziaott, — słyszysz Pakoszu? pan łowczyc dobrodziej sam to uważał.

— No, uważałem, — odpowiedział na to Stanisław, — ale cóż z tego? bo nie rozumiem, do czego to wszystko zmierza.

— Zaraz, mości dobrodzieju — rzekł dziedzic Zahoczewia — otóż ja dowiedziawszy się o tém, zaraz téż rzecz zakomunikowałem mojej żonie. I obradziliśmy pomiędzy sobą i po rozważeniu wszystkich okoliczności uznawszy, że pan Bobowski wcaleby mógł być przystojnym i stosownym mężem dla naszej córki...

— A zapewne — rzekł na to z uśmiechem pan łowczyc.

— O! otóż tak się obradziwszy, jużemy na to jaknajspokojniej patrzyli, jak pan stolnikowicz zaczął konkurować na piękne.

— Jaktó! — zawołał w tém Osuchowski — albo kiedyż to Józef konkurował o waszą córkę?

— Taki zaraz — odpowiedział na to pan Dzianott — bo wszystko to szło tam piorunem. Ale nie dosyć na tém...

— Jaktó? albo jeszcze co więcej?

— A więcej!

— Cóż tam takiego! — mruknął sobie pod nosem widocznie się mieszający Stanisław.

— Z téj konkurencji — mówił dalej pan Dzianott — którą pan stolnikowicz prowadził w ten sposób, że się adresował prosto do serca panny, wyniknęły bardzo naturalne skutki. Człowiek to młody, piękny, można powiedzieć jak tu niemasz drugiego, rozumny, światowy, układny, cóż dziwnego, że tak obalamucił dziewczynę, że się w nim zakochała na umór?

— Zakochała się! — zawołał łowczyc, słuchając ciekawie opowieści Dzianotta.

— Zakochała — mówił ten dalej — i nawet jój téj miłości wcale nie można brać za złe, ani jój wyrzucać, że tego afektu nie starała się ze swego serca wygluzować, bo na cóż miała to w sobie zabijać, co uswięcone sakramentem, miało być szczęściem całego przyszłego jój życia, a do tego pan Józef poczynił jój wszelkie nadzieje?

— Jakież nadzieje? — zapytał łowczyc.

— Jakież? zdeklarował jój się otwarcie i wziął od niój słowo.

— Zdeklarował się! — to być nie może!

— Panie! sam na moje uszy słyzałem, — odpowiedział ojciec Pakosza, — stary Dzianott nigdy nie kłamie.

— Sam słyzałeś? cóż mówił? — zapytał srodze zafrasowany Stanisław.

Wszedłem właśnie do sali, kiedy ci państwo młodzi stali w framudze u okna. Pan Józef trzymał Julcię za rękę...

— Za rękę trzymał?

— Za rękę i mówił: wierz mi waszmość panna, że taki szczery afekt gore dla niój w mém sercu, że gdyby nie pewne przeszkody, które wiem, że mnie w tém staną na drodze, to dzisiajbym jeszcze rzucił się do nóg rodzicom i prosił o jój rękę.

— Aha, aha, przeszkody, — odezwał się na to Stanisław.

— Ale i temu pani wierz, mówił dalej pan stolnikowicz, że gdyby się i wszystkie piekło na mnie sprzysięgło, to ja muszę do-

kazać swego, byleś mnie pani chciała dać swoje słowo, że w tym afekcie swoim dla mnie się nie odmienisz. — Biedna dziewczyna nie wiedziała sama co na to powiedzieć i lzy jej tylko puściły się z oczu. Wtedy pan Józef ujął ją powtórnie za rękę i rzekł: Ufaj mnie tylko i wierz! — sam na własne uszy słyszałem, bom właśnie wtenczas wszedł był do sali.

— Ufaj mnie tylko i wierz — powtórzył smutno pan łowczyc.

— Po tej deklaracji, — prowadził dalej ojciec Pakosza, — był jeszcze kilka razy w naszym domu pan Józef i zawsze był jednakowy; aż tu nagle dowiadujemy się, żeście waszmość poszli na hajdamaki!

— A tak, tak, poszliśmy wtedy na hajdamaki.

— Na tę wiadomość zgłupieliliśmy, nie wiedzieliśmy co o tém rozumieć. I nam starym jeszcze to nic, ale co się z tą biedną dziewczyną działo natenczas, panie! ani wyobrażenia mieć o tém nie możesz. Płakała po całych dniach i nocach, modliła się jak gdyby grzech jaki śmiertelny ciążył na jej sumieniu, w kilka tygodni już wybladła jak trup, wyschła jak skielet, a wkrótce poczęła mówić i chwile takie, w których prawie całkiem od rzeczy gadała.

— Proszę waszmości! — zawołał na to Stanisław, — tyle na tém cierpiała jmc panna Julia?

— I wyobraź sobie waszmość, co to za boleść była dla nas rodziców! co za utrapienie! bo co to z tém robić? co na to radzić? i w tym frasunku, który już potem cały dom nasz opanował, wszyscyśmy głowy potracili z kretesem. Aż ja, który nie lubię tak zaraz się złemu losowi poddawać, przemyślawszy rzecz tę i z tej i z owej strony, przyszedłem do tego przekonania, że to nie może być w żaden sposób, żeby taki kawaler jakim jest pan Bobowski, potomek starożytniej i najprzedniejszych cnotami tak wsławionej rodziny, sam takie zachowanie, taką wiarę, taką sławę u całego świata mający, mógł dać słowo i w niem się nie postawić.

— Ba! ale to uważasz waszmość... — zarzucił na to pan łowczyc.

— Zaraz, mości dobrodzieju, — podchwycił Działott, — tegoż samego zdania była i moja żona i ja myślę, że tego zdania musiałby być każdy, kto tylko zdaleka słyszał o panu Józefie. Powieźże waszmość sam, czyśmy nie mieli racyi?

— Ha! — rzekł na to łowczyc, — już to niby tak wypada, że kiedy słowo jest dane...

— O! otóż myśleliśmy tak, że chociaż pan Józef pojechał na hajdamacką i nawet z nami się nie pożegnał, jednak nie idzie za tém, żeby miał kasować swe słowo. Przyjedzie z wojny i wtenczas się ożeni.

— Takeście waszmość myśleli? — zapytał łowczyc.

— A jużci tak wypadało.

— Ha, a niby tak.

— O! otóż tę nadzieję, na kawalerskiem słowie opartą, zakomunikowaliśmy Julci. Jakoż niema co mówić inaczej, jeno że to trochę pomogło, bo córka nasza, namyśliwszy się nad tém, nietylko uwierzyła, ale nawet w téj wierze jeszcze nas sama utwierdziła. Cóż waszmość powiesz na to? Od tego czasu pan Józef już z hajdamackiej powrócił, już i drugi raz tam po waszmości jeździł i znowu powrócił, ba, już rok cały prawie siedzi tutaj w Żernicy, my przez ten czas cały codzień wyglądamy do okna, ba, jużesmy i oczy nasze wypatrzyli, a jego jak niema, tak niema.

— I słowo dał pannie? — rzekł na to łowczyc.

— Jaknajuroczystsze, — odpowiedział pan Dżianott. Na to już łowczyc wziął się oburącz za głowę i rzekł do siebie:

— Hm, hm, hm, o! Józefie! Józefie! jakiegożeś ty kwasu narobił!... gdybym był o tém wiedział, byłbym go nigdy nie brał na hajdamaki... hm! już to może i ja temu winien po trochę... i mówicie waszmość że słowo dał pannie?

— No! jeżeli waszmość nie wierzysz...

— Ale wierzę, wierzę! czemu bym nie miał wierzyć! co to u tych babiarzów!... otóż to masz kobyty! niech was diabeł wybierze do nogil — mówił sobie Stanisław, i powstawszy z ławeczki, chodził przez chwilę tam i sam wzdłuż alei, burząc włos i mruczając coś sobie pod nosem. A potem rzekł:

— No, ale powiedzcież mi waszmość, cóż zrobić z tém teraz?

Panowie Dżianottowie poglądali po sobie ukradkiem i radość malowała się na ich twarzach, a stary odpowiedział:

— Ha! myśmy przyjechali tu do waszmości, aby mu opowiedzieć jakie nas z przyczyny pana Józefa spotkało nieszczęście. Dzieweczka piękna, świeża jak wiosna, wesoła jak ptaszek, jedyna pociecha matki staruszki i chorobami znękanéj; dziewczeczka taka, z którą inni rodzice, bogactw i zaszczytów pragnący, byliby patrzyli najmniej na jakiego starostę lub kasztelana, dzisiaj wyciekawszy we łzach i frasunku trzy lata, odpędziwszy od siebie wszystkich konkurentów jacy się trafiali, została opuszczoną, sięrotą, na wstyd, na urąganie całego sąsiedztwa, i zamiast rodzicom swoim na starość przynieść pociechę, podporę i szczęściem swoim osłodzić im ostatnie chwile przed grobem... i przerwawszy mowę, zaczął płakać pan Dżianott.

— O Józefie! Józefie! jakiegożeś ty piwa nawarzył! — mówił, ręce łamiąc, pan łowczyc i usiadł znów na ławeczkę. A w tém Pakosz się do niego obrócił i tak mówił:

— Bo uważasz waszmość dobrodziej, gdyby to był kto inny a nie pan Bobowski, gdyby to był zwyczajny dżus powiatowy, który do każdej podwinki równo smali cholewki, a nie kawaler taki którego słowo znają w całej Rzeczypospolitej...

— I którego słowu, — dodał pan Dżianott, — jak mnie to dobrze wiadomo, wierzyć każdy musi pod gardłem, bo nie było jeszcze wypadku, ażeby kiedykolwiek chybiło...

— Taby pewno było do tego nie przyszło, — prowadził znów Pakosz, — a chociażby nawet siostra moja była nie mogła się sama pozbyć swojego afektu, to rodzice moi byłiby jęj to koniecznie jakoś wybili z głowy.

— Zresztą, — szeptał znów z drugiej strony Dzianott, nachylając się ku łowczycowi, — sami nie wierząc temu, byłibyśmy...

— Ale już dajcie mnie pokój, — zawołał na to łowczyc — już wiem i wszystko rozumiem. No, ale cóż na to robić?

— Otóż my opowiedziawszy naszą skargę waszmości, — odpowiedział ojciec Julii — prosimy, abys ję zechciał przedłożyć panu Józefowi.

— A nigdy! nigdy to być nie może. — zawołał łowczyc.

— A toż dlaczego?

— Nigdy! bo i na cóżby się przydało?

— Na co? My sądzimy przecież, że pan stolnikowicz, lubo może o oném słowie swoim zapomniał i może nawet nie ma chęci dotrzymania go teraz, jednak jeżeli się dowie, co za skutki z tego danego słowa wyniknęły, nie postąpi sobie inaczej, jeno tak, jak na takiego kawalera przystało.

— Ba zapewne! ale kiedy bo już kłamka zapadła.

— Jaktó? a cóż na przeszkodzi?

— Józef jest po deklaracyi z panną podkomorzanką, właśnie wczoraj wziął słowo.

— Pakoszul synu mój! słyszysz? — zawołał na to bolesnym głosem Dzianott — pan Bobowski już jest po słowie!

— Ha! zapewne — rzekł na to Pakosz — że to jest niedobrze, ale deklaracya to jeszcze nie jest sakrament. Pan Bobowski piérwój dał słowo siostrze mójój, niżeli podkomorzance,

— Col zawołał na to groźnie Stanisław — a choćby Józef dał był i dziesięć słów przedtém, tego przez to nie złamie. — Na to zaś Dzianott:

— Ha! kiedy tak, to nie wiemy, jak to wypadnie; bo chociaż waszmość takiój jesteś opinii, toż jeszcze jednak kwestya co powie pan Józef, do którego my także trafimy.

— A nie traficie! bo żebyście na głowach chodzili, to ja was do niego nie dopuszczę. On waszój córki nie kocha, a jego terażniejszego szczęścia ja psować nie dam, choćbym miał gardło przy tém położyć.

— Ha! jeżeli nas waszmość nie dopuścisz do pana Józefa — mówił na to ojciec — to my i tak jeszcze nie zdesperujemy. Balogród nie daleko, podkomorzy jest żywy, panna jest żywą i nie wiem co oni powiedzą na to, kiedy się dowiedzą...

— Col niczego się nie dowiedzą! ja i tam was nie dopuszczę! — mówił już w złości pan łowczyc.

— To i na tém jeszcze nie koniec — odpowiedział znów Dzia-nott — oprócz Balogroda i Żernicy jest jeszcze świat cały a do tego nam przystępu nie zamkniesz; jest jeszcze i Pan Bóg nad

namil... więc niech i tak będzie; świat niechaj mówi o nas a Bóg niech nas sędzi, a kogo z nas fama obniesie jako kłamcę i kogo Bóg karać będzie jako zatraciciela szczęścia i spokoju poczciwej szlacheckiej familii, to przyszłość okaże. Ja wiem tylko tyle, że my spokojnie będziemy oczekiwać wyroku.

Na to się pan łowczyc zamyślił, a wtém rzekł Pakosz:

— I najłepiej już o tém nie mówmy, bo chociaż to jest bardzo pięknie ze strony waszmości, że z takim poświęceniem stajesz w obronie szczęścia twojego brata, ale czy to jest uczciwie, czy to szlachetnie...

— No! tylko ty kusy Niemcze już mi tu nic nie brząkaj, — zawołał na to dziedzic Żerniczki; — gdzie szlachta gada, tam aplikanty słuchać mają i milczeć.

Na te słowa Pakosław, który już był zaczął głowę podnosić do góry, zerwał się z ławeczki i stanął pod ścianą grabową w pokorze, a tymczasem pan łowczyc rzekł do starego:

— Mości panie Dzianott, powiem waszmości krótko a węźłowato. Józef źle zrobił, bardzo źle zrobił, że się w jakieś amory powikłał z córką waszmości; gorzej jeszcze, że dał jój słowo i zapomniał o tém że go potrzeba dotrzymać. Ale to już się stało i na ten sposób, jako wy. chcecie, już się odrobić nie da.

— Przecież my jeszcze będziemy tentować.

— Ale nic nie będziecie tentować, i dziwi mnie, że mi to waszmość powiadasz, bo co może tentować Dzianott z Pakoszem przeciwko Bobowskiemu, za którym stoi cała ziemia do nogi?

— Ha! jeżeli władza uczciwie nabyta zechce nieuczciwie pognać ubogiego... to my nic nie zrobimy.

— Na takiej drodze nic nie zrobicie; władza nie będzie gnębić, jeno będzie się bronić, a jeżelibyście silnie nagabywali, to możecie być pogiębieni i to wam powiadam, że przez plotki a potajemne konszachty moglibyście może co popsuć Józefowi, ale żeby potem kamień na kamieniu nie został z zahoczewskiego zamku, to ja w tém stoję. Bo u mnie tak, kiedy zgodnie to zgodnie; ale jeżeli na udry, to nie *dens pro dente*, jako powiada pismo, ale wszystkie zęby za jeden! Ale ja tego nie dopuszczam i słuchaj waszmość: oto Józef źle zrobił, przyniósł wam smutki, zgryzoty i tak dalej; przysłiście do mnie i skartycie się na tę szkodę. Ja ją czuję i przyznaję i chcę ją wam wynagrodzić, ale cóż tu można zrobić? Chcecie pieniędzy, dam, chcecie wsi, dam wieś, cóż można innego?

Na to Dzianott spojrzął na swego syna i rzekł:

— Nie panie, takie rzeczy nie płacą się wsią ani pieniędzmi.

— No, to czegoż chcecie u diabła! — zawołał na to niecierpliwie pan łowczyc.

— My chcemy spokoju, chcemy szczęścia dla naszej córki, chcemy męża dla niej, którego jój pan Bóg dał a wydarł pan Józef.

— Męża! tflu! co za ludzie! no, bierzcie sobie mnie, masz męża! tamtego już nie dostaniez.

Na to znowu Dziaott spojrział na syna i rzekł czémprędzej:

— To jeszcze panie byłby jedyny sposób wynagrodzenia nam naszej straty; jeżeli tedy waszmość tak jesteś szlachetny, że chcesz się poświęcić za szczęście i honor swojego brata, to trzymam waszmości za słowo.

— Jakto? — rzekł na to zdziwiony pan łowczyc, — i waszmość byś mnie wziął sobie za zięcia? i byłbyś kontent? i cicho, i spokój, i zgoda na wieki?

— I cicho, i zgoda, i spokój na wieki, — odpowiedział Dziaott, — nikt aniby wiedział, jak i kiedy się to stało... a jak mnie Bóg miły, to anioł dziewczyna.

— Ki diabeł! w jakim ja tu dzisiaj rosole! — rzekł na to łowczyc, i odstąpiwszy od swoich gości, zaczął długim krokiem chodzić wzdłuż grabowej alei.

Znajome nam jest usposobienie umysłu pana łowczyca, wiemy jak on ciężko pojmował rzeczy, i wiemy jakiego długiego zawsze trzeba mu było czasu, ażeby i w najmniejszej wątpliwości mógł coś postanowić; nie będzie nas tedy to dziwić, że teraz, wpadłszy nagle w tak dziwny samotrzask, najmniej z pół godziny chodził tam i sam po alei, nic do nikogo nie mówiąc. Goście jego przez ten czas siedzieli spokojnie pod lipą i w chwilach, kiedy on od nich był tak daleko, że ich nie mógł dosłyszeć, cicho coś sobie szeptali, kiedy zaś był blisko, obserwowali go tylko pilnie i milcząc, poglądali na siebie. I było też na co oglądać: u pana łowczyca bowiem taka jakaś burzliwa toczyła się walka i silenie się jego na wydobyć ze siebie jakiegoś postanowienia w tej kwestyi tak nim gwałtownie miało, że nietylko co moment z ust jego jakieś niezrozumiałe słowa i wykrzykniki wylatywały, ale włos jego poburzony, oczy latające na wszystkie strony, wąsy odęte i potargane, pas przekreślony wiązaniem na biodro, żupan porozpinany i pomięty, tak w owój chwili przystrajały jego figurę, że nie wiedząc o co rzecz chodzi, można się było przestraszyć i zgoła zwątpić o trzeźwości jego rozumu. Wiedząc atoli o przyczynach tej tak zacięcie toczącej się w nim walki, nie było czemu się dziwić; walka bowiem chęci ratowania szczęścia i honoru swojego najukochańszego brata, z koniecznością poświęcenia przytém swojej własnej najulubieńszej opinii, walka pomiędzy tkliwą i serdeczną miłością dla pana Józefa a swoim wstrętem do ożenienia się i własną wygórowaną ambycją, nie mogła się w nim spokojnie odbywać. Jednakże, jak to zwykle bywa u nas wszystkich, że torturowe cierpimy bóle, nim się zdołamy z jakim miłym naszemu sercu dobrem pożegnać, ale pożegnawszy się raz i złożywszy to dobro w ofierze przyjaźni, miłości, czy jakiemu innemu wzniosłemu celowi, stokroć rozkoszniejsza pogoda osiada w duszy naszej, niż ta, którąśmy się cieszyli pierwój: tak i pan łowczyc, po owym

długim i bolesnym namysłem, z dziwnym spokojem w duszy i na twarz zbliżył się do pana Działotta i rzekł w ten sens:

— Mości panie, trudne to bardzo jest położenie. Józef mnie własną ręką wyprowadził z bisurmańskiej niewoli, słuszną też także, ażebym i ja jego wydobył z tego rosołu, którego jeszcze wprawdzie nie jest to co niewola, ale kto wie azali nie mógłby się jeszcze gorszym stać w swoich skutkach. Ze wszystkiego tak mi tutaj wypada, że koniec końców niczego byśmy w tym nie dokazali; ale gdybyście tylko wyjechali przed panem Józefem i chcieli intrzygować przeciwko niemu na balogradzkim zamku, to już byłoby dosyć. To wam przyznaję i biorę sobie to za jedną przyczynę. Powtóre, Józef rzeczywiście wam szkodę wyrządził, dług u was zaciągnął, którego nie wypłacił i już teraz sam wypłacić nie może; słuszną więc, ażebym, kiedy tak przyjąć chcecie, ja za niego zapłacił — i to będzie druga przyczyna. A dałby człowiek fortunę, zdrowie swoje, a w złym razie i gardło dla brata, dla czego by się nie miał ożenić? I co mnie to ożenienie kosztować będzie, w jaką ja przez to pójdę niewolę, na jakiego dudka się przez to wystrychnę przed światem, o tym mnie tylko wiedzieć. Ale kiedy inaczej nie może być, więc *fial!* Jam jest gotów na tę ofiarę i oto podaję wam rogi moje, ozłóćcie je prędko, i głowę moję ubierzcie ją w wieńce i prowadźcie na ołtarz.

— A! niechże Pan Bóg da szczęście i wszystko, co jest najlepszego na świecie, — rzekł na to Działott, wyciągając rękę do Stanisława.

— A zaczekajcie! — odparł atoli łowczyc nię przyjmując ręki Działotta — nim się to spełni, będą tu niektóre kwestye i warunki. A najpiérwój, cóż z tego, że wy mnie chcecie, ja bo z was żadnego nie biorę, jeno mam brać pannę; więc czy panna mnie zechce?

— Już my to bierzemy na siebie, — odpowiedział Pakosz, — to jest takie pocziwe dziecko, że nie potrafi się w niczém sprzeciwić woli rodziców. A zresztą, któż to waszmość jesteś? czy jest tu która panna w powiecie, któraby waszmości nie chciała?

— Już to co tego nie wiem, bom nie próbował, — rzekł łowczyc, ale możeby się i taka znalazła. Więc powiadacie, że panna mnie przyjmie?

— Przyjmie na pewno, wiemy dowodnie, bo się to przecie mówi o sąsiadach przy córce, to się też i miarkuje.

— Aha! — rzekł łowczyc, — druga zasie kwestya jest ta, że może wy się tém nadziwacie, że u mnie jest jaka wielka fortuna i że ja tak pełen osobliwych przymiotów, że już zgoła raj będzie miała u mnie dzieweczka. No, to to trzeba co o tym pogadać. Owo względem fortuny jest tak: Żerniczka czysta, inwentarze, dobytki i ruchomości co oczy widzą, niewieie, ale jeszcze mi z tego co rok coś pozostaje. Okrom tego jest jeszcze po ojcu dwanaście tysięcy na Lutowskach, a pięć na Myczkowie, byłoc jeszcze dzie-

się u wojewody, ale to się odebrało i oddało się Józefowi, co za mnie zapłacił Turkom. A jeżeli tam pani matka co jeszcze chowa u siebie w skrzyni, to nie wiem, ale musi coś być, bo posag swój odebrała gotowizną, a ojciec go nie tknął.

— Ale dosyć, dosyć, mości łowczycu dobródzieju, — rzekł na to przysły teść jego, — nie fortuna to stanowi szczęście ludzkie na ziemi, jeno charakter, serce a praca.

— Owóż około tego charakteru, — zarzucił znowu łowczyc, — takżeby wypadało pogadać. Bo to wy mnie widzicie prawie jeno wtenczas, kiedy ludzi witam albo żegnam, a słyszycie o mnie, że ich ezasem rzucam o ziemię i depcę po nich nogami, toż to niewiedzieć jaki ja tam jestem wymalowany w duszy waszój. No, i to prawda jest, że kiedy u mnie żona będzie, to będzie siedziała sobie cicho i spokojnie jakby za murem i ani włos jój z głowy nie spadnie, bo kiedyby ją kto napastował, toby go piérwój diabeł wziął z mojej ręki, niżby się pomiarkował, żem go się dotknął; ja sam jój także nie dokuczę, bo któżby się tam pastwił nad takim robaczkiem? jakoż i dam jój na wszystkie szmatki i pstrocziny, żeby się miała czém bawić, — ale nie wiem, czy to dość na tém kobiécie?

— Bogdajże cię Pan Bóg kochał! a czegoż jój jeszcze potrzeba? — zapytał na to Dziaott ze śmiechem i ukontentowaniem.

— No, ja tam nie wiem, ale ot zaraz kwestya, jak to będzie z tém gospodarstwem domowém? bo to u mnie jest matka, która już przez lat kilkadziesiąt rej sobie prowadzi w tych tam komórkach, to już snać strudna oddałaby komu to berło, którego przez wszystkie lata jeszcze jój nikt nie zaprzeczył.

— Ej! nie będzie o to żadnego sporu, — odpowiedział na to z chytrą miną ojciec Pakosza, — nasza Julcia jest wprawdzie zawołana gospodyni i zna się na wszystkiém i lubi pracę i zajęcie, ale daleko jój jeszcze zapewne w tym kunszcie do jójmości pani łowczyny dobrodziejki. Będzie to tedy nawet może poniekąd dobrze dla niej, że przez lat kilka jeszcze poterminuje przy tak sławnej mistrzyni, a że jest dobra, uległa i zawsze woli starszych się poddająca, to sądzę że sama wiele się tutaj nauczy a jójmość pani będzie z niej miała pilną a zgrabną wyręczycielkę. Wcale to dobrze będzie, kochany panie łowczycu, ręczę za to że dobrze, a zresztą da się jój jeszcze i naukę, jak ma się zachować.

— No, jeżeli tak, toby to jeszcze niezgorzej, ale tu bo jeszcze druga jest kwestya, a to względem mnie samego. Ja, jak powiadam, anim zły w sobie, anim pasyonat i ludzie moi wcale na mnie nie płaczą, alem ja z kobietami nie bywał, jam jest człowiek szorstki, ponury, międyż żołnierzami...

— Pozwól, sąsiedzie kochany, — przerwał mu Dziaott, widząc, że się słońce już zniża i chcąc rzecz już ukończyć, — wiem co chcesz mówić, ale o to spytajże się nas starych. A ja ci powiadam, że każdy z nas żeniąc się, był w téj samój obawie i ka-

zdy z nas sobie mówił: jam z kobietą ani trzech słów nie wymienił, jakże teraz z nią mówić i rankiem i dniem i wieczorem? jak żyć całe życie? a tymczasem minie tydzień i drugi, a w trzecim to już przedźję każdy mąż żonę uczy jak ma co mówić, niżejliby miał sam przy niej słów zapominać. Tak też będzie i u waszmości. — Na to łowczyc:

— Na wszystko masz jegomość swą racyą, nięchże tak będzie. A teraz warunki, bo to *clara pacta claros faciunt amicos*. Ja się nie pytam co waszmość dasz swojej córce na wiano teraz, a co ma odziedziczyć tam kiedyś, bo się spodziewam, że własnego dziecka nie zechcesz ukrzywdzić, ani się o wszystkie inne rzeczy nie pytam i tylko jeden zakładam warunek; ale kiedybyście mnie tego nie dotrzymali, to nietylko wszystko się maże odrazu co się napisało, alebym wam panie teściu jeszcze tak zapłacił, jak i diabeł w piekle za grzech śmiertelny nie płaci.

— No! słuchamy, słuchamy.

— To jest rzecz mała na pozór, ale ważna wielce i najważniejsza. Oto ja wam daję rękę, że córkę waszą biorę, ale szal od dziś aż do dnia ślubu mucha żadna nawet nie ma śnić o tém, co się pomiędzy nami stało.

— Dobrze, bardzo dobrze, — rzekł na to Działott, — a kiedyż dzień ślubu?

— Tego samego dnia kiedy się będzie żenił Bobowski, bo ja nie chcę, żeby on się ani domyślał tego co jest, wszystkoby się zepsuło.

Na to Działott spojrział zapytująco na syna i zaczął coś mruzczyć niezrozumiale pod nosem, ale wtém Pakosz powstał i rzekł:

— To bardzo dobrze, my dalecy jesteśmy od tego, żebyśmy nie mieli wierzyć słowu waszmości; owszem, pewni jesteśmy, że waszmość w dzień oznaczony przyjdiesz i do ołtarza uklęknie; ale zawsze to lepiej będzie, jeżeli dziś ot tak razem pojedziem do Zahoczewia i uczynimy zrękowiny. A potém szal aż do samego dnia ślubu. Odpowiedzialność za to, że nikt o tém wiedzieć nie będzie, my bierzemy na siebie a nawet więcej, bo jeżeli waszmość chodzi o to, żeby tajemnica się dochowała w całkowitości, to my go jeszcze nadto uwalniamy od wszelkich w oczy uderzających przygotowań do tego nowego stanu, jako to zwyczaj jest u nas w kraju: więc od wyporządzenia domu, od sprzęgania nowych powozów i co tam podoba się jeszcze. Niech tymczasem wszystko tak zostanie jak jest...

— Aha! aha! otóż to mnie łaskę zrobicie, — rzekł na to łowczyc.

— Niechaj wszystko zostanie jak jest, a po ślubie pogospodarujesz sobie jak zechcesz, ale dzisiaj pojedziesz z nami do Zahoczewia.

— *Bene!* — rzekł na to łowczyc prawie już wesół, — niechaj tak będzie, jak Niemiec powiada. Słowo moje dane i wasze dane, biedaż temu, króryby go nie dotrzymał.

— Biada! — zawołali razem Działottowie.

— Proszę tedy ze mną na pokoje, niech się trochę przebiore, — rzekł łowczyc, — żeby się jakoś czysto pokazać; — i puściwszy ich naprzód, szedł aleją za nimi. I wesoło już było łowczycowi, w kilku krokach nawet, spojrzawszy po sobie, rzekł głośno: *Coelibatus* jedzie klękać przed panną, o Józefie! Józefie! — a rozmyśliwszy sobie w tej chwili wszystkie dobre strony i skutki tego aktu, na który się zdecydował, całkiem o sobie zapomniał poczciwy Stanisław i dochodząc do ganku, powtórzył sobie swoje ulubione przysłowie:

Długo myśleć, w skok czynić, jest to zwyczaj stary;
Tym sposobem pan hetman pogromił Tatary.

X.

Kiedy to się działo w Żernicze, ile że ustawicznie sprzyjała pogoda i dzień był tak ciepły i spokojny, jaki tylko dać może sierpień, lato nasze kończący, — pani Dzanottowa jak zwykle siedziała z córką swoją w galeryi zahoczewskiego dworu. I długo po odjeździe męża i brata obydwie te panie milczały, ale kiedy już się słońce zniżyć zaczęło i od jego czerwonych promieni rozgorzały wierzchołki lasów, wprost przeciw zamkowej galeryi zachodni kres nieba osłaniających, a tych panów jeszcze nie było, odezwała się matka wpół do siebie a wpół do córki:

— Ot, już słońce zachodzi, a naszych jeszcze nie widać.

— Mama ich niecierpliwie wygląda, — odpowiedziała Julia — a ja się czegoś boję ich tego powrotu.

— Czemuż się boisz, moje dziecko, czyż ztąd może wyniknąć coś złego? Wszakże ojciec pojechał tylko zaprezentować Pakosza panu Osuchowskiemu.

— Tak mówił ojciec... a ja przecież czegoś się boję. Od dnia tego, jak Pakosz tyle tu nam nagadał o panu Bobowskim i tak ojcu głowę tém nabił, że możnaby się o to u niego upomnieć, że tam kiedyś bywał na naszym dworze, taki mnie jakiś opanował niespokój i tak głowę mam pełną różnych myśli a serce tak przestraszone, że sama nawet nie wiem co robię.

— To niepotrzebnie, moje dziecko, — odpowiedziała matka, — bo tu wcale niema się czego obawiać. Najpierw ja jeszcze bardzo wątpię, ażeby ojciec chciał pana Bobowskiego zaczepiać o to, o czém on sam nie chce pamiętać, ale jeżeliby przyszło do tego,

to możesz być i wtedy spokojną. Ojciec ma tyle rozumu, tyle przezorności, tyle nakoniec delikatności dla ludzi, że jeżeli to zrobi, to zachowa wszelką przyzwoitość uczynku i godność osoby. — Na to zaś Julia.

— Ja się wcale nie spodziewam tego, ażeby ojciec chciał się upominać o takie rzeczy, za które żadna odpowiedzialność się nie należy, a tém mniej téż o jakie straty, których nigdy nie było, niema i które tylko Pakosz sam podobno wymyślił; ja nie spodziewam się tego, ale jeżeliby się ojciec o to upomniał, to wcale nie pojmuję, jak przy takim postępku możnaby zachować przyzwoitość i godność? Nie należy się mnie mówić cokolwiek przeciwko ojcu, ale w rzeczy tak blisko mnie obchodzącej nie mogę nie powiedzieć, że podług mojego serca i sumienia, każde upomnienie się o stygnięcie w afekcie jest nietylko nieprzyzwoite i niegodne, ale nawet poniżające... i miałby się za takim powodem nawrócić do mnie pan stolnikowicz? nie, nigdybym go tak nie przyjął!... jabym mu w oczy nie śmiała popatrzeć.

— Trochę ty masz słuszności w tém, co powiadasz — rzekła na to znów matka — bo i nieodpowiednie to jest naszej godności, upominać się o afekt dla siebie, w którym ktoś już ostyga, i narzecie niema się co ubiegać za uczuciami takimi, któreby dopiero naszym upomnieniem się wywołane zostały; ale widzisz, moje dziecko, tutaj rzecz całe inna. Tutaj chodzi o to, ażeby można tobie jaknajlepszą przyszłość sprowadzić, która jest dzisiaj, można powiedzieć że najpiérwszém mego i ojcowskiego serca pragnieniem. A ponieważ wiadoma jest rzecz, że sentymenta, któreście z panem Józefem wzajemnie mieli dla siebie, z czasem musiały się w was nanowo odezwać i przyszłość wasza pewnoby była szczęśliwą, więc jeżeliby się udało ojcu pana Józefa zręcznie naprowadzić na przypomnienie tych obietnic...

— Ale moja mama — przerwała Julia — kiedyż bo pan Józef mnie nigdy nie czynił żadnych obietnic! Wprawdzie to wszystko, co mawiał natenczas, kiedy bywał tu u nas, naprowadza mnie dzisiaj na ten domysł, że miał wtenczas względem mnie chęci najszczęrsze; ale już to samo że bywać zaprzestał, pokazuje jawnie, że jeżeli kiedykolwiek miał chęci jakie, to już dzisiaj ich nie ma, a wymuszać je na nim przypominaniem się albo zgola wyraźném żądaniem, ażeby je spełnił... nie! ja tego nigdy nie dopuszczę, ażeby się tak mógł poniżyć mój ojciec!... Wprawdzie kiedy się dobrze zastanowię nad sobą — mówiła dalej Julia, wyciągając na kolanie w rękę trzymaną robotę — to dla mnie i dzisiaj tylko tyle szczęścia jest jeszcze na ziemi, ilebym go z nim przeżyć mogła... ale jam już zapomniała i o tém! ja już tego szczęścia nie pragnę i mogę się całkiem obejść bez niego; mam nawet pewne i jasne przeczućie, że nigdy do tego nie przyjdzie. Nie chcę nawet ażeby przyszło! Kto wie, jakimby był dzisiaj dla mnie pan Józef! a miałby być innym dla mnie, jakim ja go znam w mojem sercu i jaki dziś

jeszcze żywo się maluje w mojej pamięci, tylko troszeczkę innym, to woli nie być zupełnie. Milsze mi jest piękne i nieskażone wspomnienie, niżeli pełna plam rzeczywistość. O! a plamyby się tam pewno znalazły! lat temu minęło tyle, tyle nad nim przeciągnęło wypadków, tyle gromów się o jego głowę rozbiło, tyle nieznanich wtenczas bólów przeszło przez jego serce!... on nie może już być takim, jakim był wtenczas.

Matka na to westchnęła, a Julia, pomyślawszy trochę, mówiła dalej:

— A potem przypuściwszy nawet, że zęcnie naprowadzony przez ojca przypomniałby sobie, przyjechał i ożenił się ze mną: to gdzieżby tu była rękojmia, że w nim dawne się odezwało uczucie? Miłości tej, którą niegdy miał dla mnie, dzisiaj już ani śladu w nim niema i jeżeliby go co jeszcze nawrócić mogło ku mnie, to tylko jedna ambicya, a po takim nawrocie czy dawna miłość nie obróciłaby się wkrótce w nienawiść, a dawne uwielbienie w pogardę, to jest wielkie pytanie?... a ja bym poważyla się je naprzód rozstrzygnąć. I jakież szczęście sprowadzilibyście mi państwo, dając mnie męża, któryby mnie nienawidził i mną pogardzał? jakieżby życie to było? jaka przyszłość przedemną? Może to być, przyznaję, że Józef nie byłby takim, ale ja o taką fortunę grać nie chcę. Wolę niech tak zostanie jako jest teraz; jemu jest dobrze, mnie musi być znośnie bez niego... umarł dla mnie, przyzwyczaiłam się już do tej straty, nie próbujcież państwo wskrzeszać go z grobu a wskrzeszać li na to, ażeby albo oddać mi go trupem do ręki, albo mi go w grobie żywego pokazać. Ja już nic nie chcę, nic, tylko spokoju... i szkoda żem o tém z ojcem nie pomówiła otwarcie, nim do Żerniczki wyjechał.

— A szkoda, panno! — odezwał się na to głos chropawy i stary ze środka galeryi — szkoda! jeszcze można było temu zaradzić.

Obydwie kobiety się wstrząsły z przestachu i pogładnęły po za siebie; ale nie było się czego przestraszać, była to bowiem dobrze znajoma tym paniom Ewa z balogrodzkiej granicy.

— Bodaj że cię, Ewo! — rzekła na to pani domu, ochłonawszy cokolwiek z przestachu — jakeś nas przestraszyła.

— Nie chciałam tego, moja jéjmość kochana — odpowiedziała Ewa z uśmiechem — ale powiadam jeszcze raz że szkoda! ci panowie dotychczas nic nie zrobili, bo to już przepadło.

— Jako przepadło? nic ciebie nie rozumiem, moja kochana — rzekła na to pani domu.

— Przepadło, bo pan Bobowski już jest po słowie z panną podkomorzą.

— Już? — rzekła Julia z jakimś dziwnym uczuciem, z którego zapewne i sama nie umiała sobie zdać sprawy.

— Już, moja panienko; wczoraj deklarowali go pan chorąży

z panem łowczycem i podkomorstwo przyjęli, a dzisiaj już tam pan stolnikowicz siedzi od samego rana.

— Ha! niechaj Bóg szczęści! — rzekła ze smutną rezygnacją córka pana Dzianotta, — taka śnać była Jego wola.

— A szkoda pannol o, wielka szkoda! — mówiła dalej Ewa, — szkoda dla panienki, bo już to niema co mówić, jeno że trudno teraz będzie o drugiego takiego kawalera, jak ten był, i jeszcze dla kogo innego szkoda...

— Cóż na to robić, moja Ewo kochana! — rzekła już spokojnie i jak gdyby się tym spokojem pochwalić chciała Julia, — a jeżeli już i żadnego nie będzie?...

— Al chowaj Boże! — zawołała Ewa, — musi być! nie ten, to drugi, to trzeci; tak my panny nie zostawimy.

Na to popatrzyła Julia na tę starą i brzydką babę i wzdrgnęła się czegoś, zapewne ją przeraziła tak okropna i łachmanowata protekcyja, i miało ją co przerazić. Okropnyż bo to los tych wszystkich panien, których przyszłością zaczynają się już opiekować wszystkie stare baby z sąsiedztwa! okropny dla tych wszystkich istot niewinnych a czułych i z każdym rokiem coraz drażliwszych i czulszych, które, kiedy już raz przeminęły dwudziestkę, chcą li czy nie chcą, ciągle się z nim muszą spotykać. A ile to w tych nieproszonych opiekunach litości, każdemu wznioślejszemu sercu nieznośnej, ile słodczy woniejącej trucizną, ile nieraz uszczypliwości pokrytej grzecznościami i oświadczeniami, — wiedzą tylko te, które przechodziły przez tę kolęj tak najczęściej niewinnie spotykającego ich losu. Ale Julia nie wiedziała jeszcze o tych przyjemnościach starego panieństwa i jeżeli się obiecaną starą wróżką protekcyą przeraziła, to tylko instynktowie i sama nie wiedząc dlaczego; jakoż nawet niedługo trwało to jój przerażenie, bo zaraz dodała Ewa:

— Ale tamtego zawsze szkoda i śnać niewiele szczęścia będzie w tém małżeństwie.

— Dlaczegoż tak myślicie? — spytała matka.

— Z wiadomością tą przyszedłszy do domu, — mówiła Ewa, — zaraz sobie na to rzuciłam fasolki, ale to dziwne rzeczy co tam w nich stało! anim się nawet nie mogła połapać. Około pana Bobowskiego tyle czarnych ziarn się zebrało, że odkąd wróżę, jeszcze mi się tak rzucić nie wydarzyło. Około panny Barbary zaś ciągle stawał ten jój braciszek stryjeczny, to z tąd to z owąd strony, to sam to z kimś drugim; siedem razy rzucałam i siedem razy wypadało to samo, aż za ósmym razem...

A wtém tentenkt koni i bronii dał się słyszyć w bramie i tuż zaraz w dziedzińcu. Na ten głos pani domu, przerywając wróżce, zawołała:

— Otóż i nasi!

Julia zaś, powstawszy i poglądnawszy w dziedziniec, dodała:

— Nasi, ale i jeszcze ktoś z nimi; a! pan Osuchowski, cóż to ma znaczyć?

— Osuchowski? — powtórzyła do siebie Ewa, i poszedłszy zaraz na drugą stronę galeryi, zniknęła w krętych jój wschodach.

Tymczasem panowie Dzianottowie wraz z swoim gościem weszli na galeryą i nastąpiły wzajemne powitania i komplimenta. Pan łowczyc przytém był bardzo wesoły, a nawet tak rozmowny jak nigdy; albo trwało wciąż w jego sercu jeszcze wewnętrzne zadowolenie ze swojego wspaniałego poświęcenia się dla szczęścia brata, albo, uważając już Julią za przyszłą swoją żonę, w poczciwości swojej chciał jaknajstaranniej ukryć przed nią to, że nie wolna wola i serce, ale przymus i okoliczności go do niej przywodzą. Ale zdaje się, że radość jego była szczera, bo dobry ten humor nie opuszczał go ani na chwilę przez cały czas jego dzisiejszej na zachoczewskim zamku bytności.

Po onych tedy przywitaniach i ogólnikach pan Dzianott dał znak swojej żonie i zaraz wszyscy wynieśli się do wielkiej środkowej sali, onej nieszczęsnej sali, w której niegdy pan Dzianott podслуchał stolnikowicza z swoją córką rozmowy, i w której pewno już wtenczas urodziła się myśl korzystania z téj wiadomości. Skoro wszyscy zasiedli, pan Dzianott, nie czekając, zaraz zaczął w ten sens:

— Otóż przywozimy naszym kochanym paniom różne a różne nowiny.

— Cóż takiego, mój mężu? — spytała jego żona.

— Najpierw, że pan Bobowski właśnie wczoraj uczynił deklaracyą na balogrodzkim zamku i—został przyjęty.

— Tak? proszę!—rzekła na to całkiem obojętnie matka Julii, —bardzo nas to kontentuje, będzie to piękna para!

A téj obojętności słów matki, taką obojętnością wyrazu twarzy zawtórzyla Julia, że pan Dniantott, niewiedzący wcale że tu dopiero co z tą samą nowiną była Ewa, zdziwił się niepomału i sam nie wiedział, jak to rozumieć; ale gorzej jeszcze pan łowczyc, bowiem nasłuchawszy się dopiero co tak wiele o desperacyi Julii za Józefem, a widząc teraz i w chwili odebrania tak ważnej o nim wiadomości taką obojętność, także się zdziwił a zdziwił się tak, że popatrzywszy raz na nią, popatrzył raz drugi i trzeci, i powstawszy jeszcze, patrzył i jeszcze się dziwił. To nie uszło uwagi pana Dzianotta, jakoż w téj chwili znalazł się on jako prawdziwy mistrz w dyplomacyi dworskiej i w tymże samym momencie zapytał:

— Cóż jójmoście tak chłodno przyjmujecie tak ważną wiadomość? zapewne jużście się dowiedziały o niej przed nami?

— Tak jest, mój mężu, — odpowiedziała matka smutno i jakby z umyślném westchnieniem — przed chwilą była tu u nas kobieta z Balogroda i powiadała nam o tém.

Pan łowczyc jeszcze raz spojrział na Julią, a kiedy ona oczy spuściła ku ziemi, ażeby przez wrodzoną wstydlivość jego wzroku

uniknąć, Osuchowski już się niczemu nie dziwił, a pan Działott tylko rzucił okiem jak błyskawica szybkiem na Pakosza, ręce zartał nieznacznie i tak dalej mówił:

— Ta jednak nowina zrodziła drugą i przynosi w dom nasz gościa, który ze szczeremi intencjami serca przychodząc, ma tę nadzieję, że jako jego piękna chęć ku nam już od nas mężczyzn z należytym uszanowaniem i prawdziwym afektem przyjętą została, tak też i od was kobiet przyjętą będzie.

To mówiąc, Działott resztę już oczyma i rękami dał do poznania żonie i córce, ale im już i tego nie było potrzeba. Kobiety mają wielką domyślność, a chociaż pani sama zadziwienie swoje dziwnie wdzięcznym ku łowczycowi sklonionym umiała pokryć uśmiechem, to za to Julia zbladła nagle i tak zadrżała widocznie, że i łowczyc tego dostrzegłszy, poczuł mimowolnie, iż już kolój na niego. Jakoż powstawszy i zbliżywszy się do Julii, także już stojąc i ciągle jeszcze bladój i drżącój, zaczął w ten sens:

— Moja mościa panno, nie chciój mi wacpanna brać tego za złe, że cokolwiek jój mówić będę, nie będzie to ani gładkie, ani wymowne, bo anim ja to orator z natury, ani w szkołach do tego ćwiczony, ani nakoniec do dzisiejszój perory przygotowany, którą, gdyby nie przypadkowe jój ojca jegomości odwiedziny, któremi mnie dzisiaj zaszczycić raczył, snać kto inny byłby miał do niój w mojem imieniu, tak jak to w tym samym wypadku poradził sobie dnia wczorajszego mój brat kochany. Ale że to brak gładkiój wymowy nie jest wadą naszego serca i sentymenta choćby najszczerzszje nie zwykły siedzić ani na ustach, ani w głowie, mam tę nadzieję, że waszmość panna uwierzysz temu co powiem, i acz nie gładkie, ale z serca idące słowa moje przyjmiesz prosto do serca.

Tu pan łowczyc odetchnął, chustką pot otarł z czoła i śród poważnego milczenia tak mówił dalej:

— Już to parę czasów jest temu, odkąd mając honor znać waszmość pannę i dziwnie piękny jój obraz zawsze w mojej nosząc pamięci, powziętem w gruncie serca mojego zamiar starania się u jój ichmość rodziców i u niój samój o trwalsze cokolwiek względy i afekta. Ale zem to ja przez czas długi mojej młodości był zaciętym celibatu zwolennikiem i w tój materji nie jednom w głos powiedział kazanie, więc już żeby to się poprostu nie zbluźnić przed światem, nie widziało mi się inaczój, jak jeno tę tajemną chęć moją zabijać w sobie i od niój uciekać. Teraz atoli, kiedy już prawie mi głowa usycha od narzekań jójmość pani łowczynój, a mojej matki kochanój na to, że takie mnisze życie prowadzę i nic o sobie nie myślę, a do tego jeszcze właśnie wczoraj i mój przyjaciel kochany wziął słowo od rodziców panny podkomorzanki, zdało mi się także na czasie dalej już się nie mordować niepotrzebną wstrzemięźliwością i otworzyć się z temi tajemnicami mo-

jego serca, które tak długo dusić się musiały w zamknięciu. Owoż właśnie w chwili tego postanowienia mojego zdarzyło się tak, że zawitali do mnie ojciec waszmość panny z imię panem Pakoszem, a że to zawsze rozumni chwalą to, jeżeli kto prędko z dobrej sposobności korzysta, ja też chcąc na pochwałę zarobić, upadłem do nóg jegomości jój ojcu i wypowiedziałem w mym domu to, z czém mi wedle starego zwyczaju właściwie należało do tego zamku przyjechać. Ojciec jegomość jednak w swojej niewyczerpanej dobroci był tyle na mnie łaskaw, że nietylko nie wziął mi mego przeciwko staremu prawu wykroczenia za złe, ale ze szczérem sercem z ziemi podniósł i w swoim a jójmość dobrodziejki imieniu swoje błogosławieństwo obiecał. Z tém tedy zaraz przyjechaliśmy tutaj i oto stoi już przed waszmość panną najpokorniejszy jój sługa, i wypowiedziawszy rzecz swoją, z niecierpliwością oczekuje jój ostatecznego wyroku.

Napocił się srodze pan łowczyc podczas téj perory, a skończywszy ją, tak z głębi piersi odsapnął, że się aż w najodleglejszych oknach ciężkie zachwiały firanki, ale też miał po czém odechnąć; bo ile ta mowa jego dowodziła w nim prawości charakteru, i rozumu i zdrowego wyrachowania na przyszłość, ile nakoniec delikatności dla Julii i troskliwości o jój wszystkie terazniejsze i przyszłe uczucia i możliwe domysły, o tém wiedzieli tylko Dziañott z Pakoszem, którzy z natężeniem całej téj mowy słuchali, każde jój słówko odważyli i ocenili, i nakoniec sami sobie się nadziwić nie mogli, jak człowiek taki mógł tak łatwo popaść w ich ręce.

Na tę mowę atoli Julia nic nie odpowiedziała. Stojąc ze spuszczonemi oczyma za krzesłem i wydając się przy olbrzymim łowczycu istotnie tylko maluczkiem robaczkiem, była ona piękną jak anioł, ale zarazem tak pomieszana, tak jeszcze drżącą prawie na całym ciele, że ani słowa wymówić nie mogła. Co widząc, ojciec odezwał się do niej:

— No, moje dziecko, trzeba się decydować. Pan łowczyc dobrodziej prosił już nas o twoję rękę i myśmy zezwolili.... teraz idzie o to...

— Ja... ja...— przerwała w tém ojcu Julia, zbierając w sobie wszystkie siły, na jakie się w téj chwili zdobyć mogła, — ja nie mam honoru znać o tyle pana łowczyca....

— Mościa panno, — rzekł na to łowczyc, który poraz pierwszy przypatrzwszy się zblizka téj dziwnie pięknej dziewczeczce, widział, że to nakoniec nią będzie tak wielkie nieszczęście, zabraniam jój do swego domu ratować honor i szczęście swojego brata,—nie ma tu żadnej kwestyi, że waćpanna mnie nie znasz, ani się dziwię temu, żeś się waćpanna mnie przestraszyła cokolwiek... Nie jestem ja ani onym wymuskanym gładysem, któryż to w skok umieją chwytac panienki za serca, ani owym przymilającym się galantem, który nieraz brzydotę nosząc w swém sercu, jednak miód tak słodki

niesie na ustach... — i zaciąwszy się pan Stanisław, obrócił się wesoło do ojca i dodał: — no! panie ojcze! pomagajże mi z łaski swojej, bo jak mnie Bóg miły, zem zginął niemiłosiernie.

— Julciu! cóż tobie jest? — rzekła na to, wstając z kanapy, matka, — powiedźże swoje słowo, jak myślisz.

— Dziecko moje kochane, — dodał Dziańott, przystępując do niej z drugiej strony, — siadź sobie trochę i odetchnij, ale nie męczcie już nas wszystkich. Przestraszona jest cokolwieczek, — dodał ojciec do pana łowczyca, — nieprzygotowana do tak solenne-go aktu... nie ma nic dziwnego.

I nastąpiło chwilowe milczenie i to milczenie dopięro, jakkolwiek krótkie, potrafiło Julią cokolwiek otrzeźwić, że podniósłszy oczy do góry, rzekła pół-głosem:

— Ja wprawdzie nie znam o tyle pana łowczyca, ażeby tu sama mogła coś decydować, ale kiedy rodzice już odpowiedzieli i taka jest ich wola, to ja się jej nie sprzeciwiłam.

— Ano! otóż i rzecz gotowa! — rzekł na to łowczyc i nie wiedział wcale, co dalej ma robić. Ale wtém przystąpił stary Dziańott do niego i mówiąc ni to ni owo, zaczął go całować w twarz z téj i owéj strony, a rozmachawszy się dobrze, nawet go w ramię raz pocałował. To pocałowanie widziało się łowczycowi zanadto, jakoż zaraz odcałował Dziańotta w ramię napowrót, za co Dziańott jeszcze go raz pocałował, co mu tamten znów wrócił i tak kłaniając się coraz niżej i całując się wzajem, pędzili się ci panowie po całej sali od kąta do kąta. Te komplimenta atoli nie rozegrały tego chłodu, który objął całe to grono; — a kiedy pan łowczyc, powracając z Dziańottem nazad do kanapy, przypomniał sobie dzień wczorajszy w Balogrodzie i owę chwilę, w której sam do nóg się rzucił podkomorzemu, to mu czegoś łyzy w oczach stanęły; Julią zaś, najmocniej to zimno czującą, dreszcz jakiś nieznanym przejmował co chwila.

Wkrótce atoli te łyzy i dreszcze zagadane zostały i zalane. Pan Dziańott bowiem kazał dać wina, więc pito zdrowia i mówiono o wszystkiém—i było dosyć gwarno, a lubo zimno, jednak ni-by wesoło, chociaż znów za to niedługo. Pan łowczyc bowiem wkrótce się za czapką oglądnał i pożegnawszy się jak mógł najserdeczniej z paniami, rzekł do Dziańotta:

— Jechać muszę, bo jest tego konieczna potrzeba. Każdej chwili wolnej użyję na to, ażeby służyć mojej panience, a kiedy w niedzielę na tych zrękowinach w Balogrodzie dzień się ślubu dla niego oznaczy, to ja tu będę w poniedziałek i my znów o swoje się ułożymy.

— Czekamy tedy, z niecierpliwością czekamy, — odpowiedział na to teść przysły, — ale powiedz no waszmość, w niedzielę to te zrękowiny w Balogrodzie?

— W niedzielę.

— A myśmy właśnie w niedzielę wybierali się z moim synem oddać nasz pokłon podkomorzemu.

— A no! — rzekł łowczyc, — to się tam obaczymy! tylko proszę waszmości — dodał półgłosem, — my i Pan Bóg nad nami! kiedyby tylko jedno słowo....

— Ale, ale, ale proszę już spuścić się na nas! — odpowiedział Działott.

— Ściele się do nóg! ściele się do nóg! — i wybiegłszy prędko, Stanisław pędem prawie poleciał do domu.

Jaka tam mowa i rozmowa była na żachoczewskim zamku po odjeździe łowczyca, to nas niewiele obchodzi; wspomnieć atoli wypada, że panowie mistrze tego aktu dzisiejszego ani matce, ani córce nic o swoich nie powiedzieli względem tego zabiegach, a zostawiając je tylko przy wiadomości tego, co sam łowczyc o powodach swojej deklaracji powiedział, zabezpieczyli jako tako spokój i ambicję Julii.

Łowczyc zaś, jak z każdej tak i z niniejszej burzy nadewszystko prawe unosząc serce i czyste sumienie, skoro tylko powrócił do domu, zaraz poszedł na matki pokoje. Tam, że to wieczór już był dość późny i właśnie już były pokończone wszystkie domowe roboty, zastał on tę staruszkę przy stoliku stojącą, przeliczającą klucze swoje, ażali są wszystkie i przypominającą sobie, ażali o jakiejś ważnej na przyszły dzień dyspozycyi nie zapomniła. Zastał ją więc pod dobrą porę i przywitał przytomnie, ale od czegoby miał zacząć, nie wiedział. Staruszka atoli, wiedząc że z jakiegoś sąsiedztwa powraca, i widząc że tak świątecznie jest wystrojony, sama go zaczęła, mówiąc:

— Zkądże to Pan Bóg prowadzi? śnać gdzieś na wielkich byłęś waszmość pokojach, że tyle złota na tobie?

— Niebardzo na wielkich, ale na bardzo ważnych, — odpowiedział łowczyc, i westchnąwszy potężnie, dodał: — ale to pełne wypadków nadeszły na nas czasy! znów gotów jestem jójmości powiedzieć nowinę.

— No, mów kochanie moje, i owszem.

— Cóżbyś téż jójmość dobrodziejka powiedziała ku temu, gdybym téż i ja się zdecydował ożenić?

— Ach! mój Stasięku, — zawołała na to pani łowczyca, siadając na krześle i zwracając całą uwagę na niego, — zarazbym ci do nóg upadła z podziękowaniem.

— A żebym ja to zrobił bez wiedzy matki i bez jój porady?

— Zaraz rezygnuję na jedno i na drugie, tylko się żeń, moje dziecko.

— Otóż już jestem po słowie, — rzekł na to łowczyc.

— Już! — zawołała matka jego, rzucając mu się z tym krzykiem w objęcia: — Panie! niechże Tobie będą dzięki na wysokościach!

Pan łowczyc ucałował matkę w ramiona i posadził ją napowrót w jej krzesło, i nastąpiła chwila krótka ale pełna wzruszenia, pełna łez, wykrzykników, westchnień do Pana Boga i wszelkich oznak obustronnej radości. Wylawszy atoli już wszelkie ze siebie wzruszenie, staruszka zapytała wprost syna:

— No! ale któż jest ta twoja przyszła, mój synu, bo kiedy podkomorzanka już tak jak wzięta, panna Błońska jeszcze prawie jak dziecko, panna podczaszanka już także ma swego... to nie mogę się nawet namyślić...

— Kto nam jest najbliższy,— odpowiedział Stanisław,— cudnie piękna dziewczeczka, córka jmc pana Dzanotta.

— Córka pana Dzanotta! — zawołała znacząco i z niejakim zadziwieniem łowczyna i pomilczawszy chwilę, dodała smutno: — ha! niech i tak będzie, mój synu.

W dalszej rozmowie, którą umyślnie przedłużył łowczyc, okazało się, że matka jego od najdawniejszych czasów całkiem nie była przychylna domowi Dzanottów; dała nawet do poznania pani łowczyna, że tak samo jak ona, nie lubił ich także i mąż. Jej nieboszczyk, a co ważniejsza, że miał ważne do tego powody; jakóż nie tała się ona z tém wcale przed synem, że wiedząc o tém naprzód, nietylko byłaby mu odradzała była téj koligacyi, ale dzisiaj, gdy już to się stało, o ile czuje radości ztąd, że jej syn się nakoniec żeni, o tyle ją znowu to martwi i niepokoi, że bierze żonę z zachoczewskiego dworu. Słyszac to, łowczyc srodze się zafrasował nieborak i była to pierwsza szpilka, którą mu się uczuć dała cierniowa poświęceń korona; jednakże jakoś zebrawszy wszystkie siły, jak zaczął matce przekładać, że to panna tak piękna, tak młoda, tak rozumna i w różnych naukach ćwiczona, jak niemasz żadnej w powiecie, jak zaczął nakoniec wywódzić, ile już od dawna miał dla niej afektu, który musiał ukrywać, to lubo dzisiaj pierwszy raz w życiu przyszło mu kłamać, jednakże jakoś mu się przecie udało wybić matce z głowy stare ku Dzanottom niechęci i nawet ująć cokolwiek jej serce dla Julii.

Potém długo jeszcze musiał się silić Stanisław, ażeby wmówić w matkę konieczną potrzebę tajenia jego projektów przed całym światem, a głównie przed stolnikiewiczem, i niemało się namozolił nad wynalezieniem choć prawdopodobnych ku temu powodów; ale wszystko co mówił i co czynił, jakkolwiek to było, znalazło przecie nakoniec wiarę i przebaczenie w kochającym go sercu matki, i starusza ta z wielką jego pociechą położyła się do snu z zapomnieniem o wszystkiém, inném, a tylko z błogą i uszczęśliwiającą ją myślą, że rycerska linia Fryderyka i jego przodków nie zaginie w jej synu.

*

*

*

Dzień ten atoli rzeczywiście był pełen wypadków. Nie dosyć bowiem, że w nim tak niespodziewane a tak waże zmiany pozachodziły w Żerniczce i Zachoczewiu, ależ i na balogrodzkim zamku poczyniły się jakieś rzeczy, które nie musiały być bez pewnego znaczenia. Co było, nikt tego z pewnością nie umiał oznaczyć, to jednak pewna, że kiedy około południa pan Józef tam przyjechał, to już zastał burzę gotową. Barbarka była zła i nie chciała ani słowa do niego mówić, podkomorzy przyszedł, powitał i przeprosił, że musi odejść na chwilę. Wincenty nawet jakoś nie miał czasu, ażeby bawić swego przyszłego szwagra. Był tedy ograniczony pan Józef na samego kapelana, który wyszedł do niego, wziął go pod ramię i wyprowadził do ogrodu, mówiąc że pomiędzy Bartkiem i podkomorzym zaszły jakieś familijne nieporozumienia, które dopiero teraz przy wyjeździe Bartka na wierzch wyłygnęły. Pan stolnikowicz domyślał się po części, gdzie było źródło tych nieporozumień, jako zwycięzca nawet swojego przeciwnika, cieszył się w głębi serca z tego, że Bartek teraz zasłużoną za swoje niepotrzebne umizgi odbiera nagrodę, cieszył się nakoniec i z tego że, jako mówił kapelan, ten Francuz już sobie wyjeżdża; ale pomimo to wszystko przecie go te nieporozumienia trochę niepokoiły. Domyśliwając się, że kapelan musi koniecznie coś więcej wiedzieć o tém niżeli mówi, badał staruszka jak mógł narzeczony Barbarki, ale niczego się nie dowiedział. Kapelan bowiem wszystkie jego pytania ogólnikami zbywał, a kiedy już koniecznie coś musiał mówić o Bartku, to wymyślał na niego, rzucał płamy na jego serce i charakter, kłął nawet na całą jego figurę i dzień ten, w którym na ten zamek przyjechał; ale niebawem znowu, kiedy się pomiarkował, że to wszystko pada na osobę noszącą nazwisko Karsznickich, cofał swoje wymysły i składał całą winę na los, na okoliczności i na zamorskie wychowanie.

Nie mogąc się od kapelana niczego dowiedzieć Bobowski, a niecierpliwając się coraz więcej z każdą uciekającą chwilą, począł go męczyć, ażeby powracali na górę, ale kapelan znowu zaklął go na słowo honoru, ażeby szli do ptaszarni. W ptaszarni znow stolnikowicz począł badać staruszka, ale znowu na próżno, a kiedy nareszcie już zrezygnował z całkowitej wiadomości i chcąc się tylko dowiedzieć, co te nieporozumienia miały obchodzić Barbarkę, za-
pytał:

— A dlaczegoż panna Barbara taka zadąsana?—odpowiedział kapelan:

— A cóż to waszmość nie wiesz, że ona musi wszędzie wści-
bić swoje trzy grosze?—i znowu dalej rzecz swoją prowadził o ptakach.

Nakoniec przecie już i kapelan się znudził i mówiąc, że zapewne już się tam musiała ta burza uciszyć, którą (powiadał to kapelan wyraźnie) pan Bartłomiej wywołał, wziął stolnikowicza ze sobą i poszli obadwa na górę.

Wszedłszy do środkowej komnaty, dowiedzieli się że pani podkomorzyna zamknęła się z panną Barbarą w swojej sypialni i już od godziny tam siedzi; podkomorzy zaś z Wincentym i Bartkiem siedzieli w sypialni podkomorzego i żwawo coś rozmawiali. Na to kapelan chciał znów stolnikowicza gdzieś wyprowadzać, ale w téjże chwili wszedł do nich podkomorzy i witając się powtórnie z Bobowskim, rzekł do niego:

— Przepraszam was, panie Józefie, że cię tak niegrzecznie przyjmuję, ale pan Bartłomiej nam się po diabelsku znarowił; wyobraź sobie, znudził się panicz w górach i przesiedziawszy czas najsmutniejszy, właśnie teraz, kiedy nam Bóg obiecuje wesołość, chce nas porzucić. Ale nie puszczę, żebym miał w klatkę zamknąć z Piekarskim, nie puszczę! Proszę was, pomagajcie mi także.

To rzekłszy, żadnej nie czekając odpowiedzi, poszedł wprost do sypialni jójmości i podczas, kiedy on został, Barbarka ztamtąd wyszła i weszła do środkowej komnaty. Bobowski zbliżył się do niej i ostrożnie a grzecznie pytał, czemuby była w tak złym humorze? Ale na niej już prawie ani śladów jakiegó zgrzyoty lub smutku nie było, a jeżeli co było, to tak gdzieś w głębi ukryte, że ani najbieglejszy twarzy ludzkich czytelnik nicby z jój powierzchowności był nie mógł wyczytać. Usta tylko cokolwiek jeszcze były ściśnięte i drżały czasami, ale to tak nieznacznie, że zupełnie nie uważał tego pan Józef, a tém mniej mógł uważać, ile że Barbarka była całkiem a nawet nad wszystkie spodziewanie wesołą i wszelkiemi siłami starała mu się okazać, że go lubi, że z przyjemnością go widzi, i że rada jest temu, że teraz przyjechał. Ale czy to szczerze, czy z serca mówiła Barbarka, o tém prócz niej samój nikt nie mógł wiedzieć ni sądzić. Stolnikowicz atoli wierzył i jego serce rozlęwało się w miłości i onój nadziemskiej rozkoszy, która nas przejmuje w każdej chwili przekonywania się naszego o upragnionój wzajemności i uczuć wspólnych harmonii. I był szczęśliwy pan stolnikowicz!

Barbarka uważała to nietajone szczęście pana Józefa i uśmiechnęła się na to; a że w tym uśmiechu była większa połowa ironii, to już była dla każdego oprócz dla niego widoczna. Jeżeliż tedy tak było w istocie, że te uczucia, które tak uszczęśliwiły jój oblubienica, wychodziły tylko z jój ust a nie z serca, to jakżeż ona ważne odkrycie zrobiła jeszcze przed ślubem! Odkrycie to wraz z tém, które już dawniej zrobiła, a to że nad nim z wielką łatwością panować potrafi. Jakżeż to już obfite źródło niepomyślności małżeńskiej było na dni kilka przed zrękowinami! jaki silny strumień mógł już z niego wypłynąć do czasu ślubu! jaka ogromna rzeka urosnąć po ślubie!... Ale w niewiadomości tego co nas otacza, wiele nieraz jest szczęścia — i szczęśliwy był pan stolnikowicz.

Śród téj rozmowy, która, gdyby kto inny był na miejscu pana Józefa, mogła być ważne za sobą pociągnąć następstwa, a w danym razie nawet cały gmach jego szczęścia obalić i inny

dla Bartka może na jego miejscu wystawić, wszedł nagle do tej komnaty podkomorzy z podkomorzyną. Podkomorzy był jeszcze jaki taki, mówił wiele, wesoło i żadnego nie dawał po sobie poznać wzruszenia; ale ona była bardzo blada i smutna, a na jej twarzy malowały się jaknajwyraźniej głębokie jeszcze ją gryzące cierpienia i głębszych jeszcze daleko cierpień przecucia albo oczekiwania. I wyglądała tak, jak oni więźnie po przeczytaniu na długie lata kary ich skazującego wyroku, kiedy odrazu dają widzieć na sobie ogrom całego nieszczęścia i brak wszelkiej nadziei.

W krótkiej chwili wszedł do tej komnaty Bartek z Wincentym. Bartek zaraz przy wejściu spojrzął na stolnikiewicza okiem pełnym gniewu, a nawet złości, i wśród tego spojrzenia zaczęła mu twarz krwią nabiegać tak prędko, że zdawało się, że ten rywal wzgardzony rzuci się na niego z pięściami, ale Bobowski twarz obrócił ku niemu spokojną i tak wyniosłą mu odrzucił pogardę, że Bartek oczy spuścił ku ziemi, i jak on zwierz dziki, który uderzony oczyma swojego dozorczy, nagle mordę i ogon opuszcza i chowa się w ciemny kąt swojej klatki żelaznej, obrócił się w inną stronę i powolnym krokiem poszedł ku otwartemu oknu komnaty.

Tego nikt nie uważał z przytomnych, bo cała ta gra trwała jedną sekundę, a podkomorzy zaraz spytał Wincentego:

— No, więc jakże rzecz stoi?

— Ale pojedę, kochany stryjaszku,—odpowiedział na to Bartek powracając od okna; ale odpowiadał tak wesoło i z taką wyszukaną uprzejmością dla podkomorzego, że Bobowski, słysząc o jakichś nieporozumieniach i dopiero-co wzrok taki spotkawszy, aż usta otworzył od zadziwienia, — pojedę, kochany stryjaszku, — mówił Bartek, wykręcając się na pięcie paryzkiego trzewika, — państwo ani wiecie, ani wiedzieć możecie, jakie ważne sprawy mam w domu; wszystkoby przepadło, gdybym jaknajprędzej nie wrócił. A zresztą o cóż tu chodzi? o to głównie, abym był na weselu. No, więc stanowcież państwo termin tego wesela, a potem pytajcie, czy tak długo zostaną czy nie?

— Ale jakież dziwne, — rzekł podkomorzy, sam dziwiąc się temu wesołemu tonowi, z jakim mówił Bartłomiej, — w niedzielę odbędą się zaręczyny, w niedzielę też postanowimy dzień ślubu, a cóż dzisiaj? czwartek podobno, więc cóż za daleka historia?

— No, no, — rzekł na to Bartek z uśmiechem, — pomyślimy jeszcze nad tem, pogadamy, i jakoś się na to poradzi. Czegóżbym też ja dla stryjaszka nie zrobił.

— Niechże cię Pan Bóg kocha, co to za krew pocziwa! — zawołał podkomorzy i objąwszy Bartka w ramiona, po serdecznych ucałowaniach dodał: bo to widzisz, mój Francuzie kochany, jeżeli się tem strachasz, że masz zostać się aż do ślubu, a tu jeszcze i zrękowin nie było, to niepotrzebnie. Bo ani my, chwala Bogu tak ubodzy, żebyśmy dopiero potrzebowali skupować dla Barbarki

wyprawę, ani pan Bobowski tak na powietrzu wiszący, żeby choćby i jutro nie miał gdzie żony wprowadzić.

— A, dla Boga! choćby i dzisiaj, — rzekł na to Bobowski, całując ręce Barbarki.

— No, więc to ślub może być w oka mgnieniu, — mówił dalej podkomorzy; — a osobliwie też dlatego, żebyś ty a nie kto inny panu młodemu ुरुżbował, coby nas bardzo cieszyło.

— A, dla Boga! — odpowiedział Bartek, przekrzywiając trochę stolnikowicza, ale zresztą aż do zbytku wesoło, — kiedy już tak koniecznie, to i družbować im będę i służyć w lot we wszystkim, jak tylko stryjaszek rozkaże.

— Widzisz, widzisz! — dokończył podkomorzy, — na co było tych targów! Bobowski siedział ciągle jak na niemieckim kazaniu i nic a nic nie mógł tego rozumieć, a co go jeszcze nakoniec zadziwiło najbardziej, to to, że te jakieś nieporozumienia, które taką burzę podniosły nad balogrodzkim zamkiem trwały od samego rana i niby toczyły się tylko o to, że Bartek chciał koniecznie wyjeżdżać, teraz w kilku słowach się skończyły i z taką obojętnością a uśmiechami ze strony jego rywala. Barbarka także jakoś zdawała się być tym dobrym humorem Bartka zdziwioną, ale musiała to rozumieć inaczej, bo nagle się przybliżyła do stolnikowicza, bardzo przymilająco mu coś szeptała i wśród tych szepców tylko czasem pełne szyderstwa rzucała na Bartka spojrzenia.

Taka komedia, która coraz w inne się przystrajała koturny i w której po kolei brali swój udział i podkomorzyna, i kapelan nawet pocziwy i prostoduszny Wincenty, trwała aż do obiadu, którego dzisiaj dano o wiele później niżeli zwyczajnie; po obiedzie zaś Bartek z Wincentym wyjechali do Jabłonek do pana Urbańskiego, gdzie niby to byli na dzień jutrzejszy proszeni, a pan Józef, dosiedziawszy aż do późnego wieczora i doznawszy jeszcze wielu dowodów wzajemności od swojej panny, po trochę zamyślony ale w większej części upojony swém szczęściem, odjechał nie do siebie, ale wprost do łowczyca.

Łowczyc, z zawziętego celibatora nagły narzeczony zachowawczy panienki, po zwalczeniu już wszystkiego w sobie i po za sobą, coby mogło na chwilę tylko zamącić szczęście jego przyjaciela i brata, lubo już późny był wieczór, siedział z luleczką w ręku na onęj fatalnej ławeczce w alei, na której go schwycili Dzianottowie, — i oglądał sobie dopiero powoli a zbliżka wszystko to, co go dzisiaj spotkało.

Z daleka było gdzieś słyhać żabek kumkanie, bliżej gdzieś gdzie ptaszek przez sen strzepotał się na gałęzi, koło domu furknął czasami niedopérz i cicho było zresztą i tak ciemno w około, jak w najciemniejszej nocy jesiennej, ale jasno tam było w tej duszy pocziwój, jak w dzień letni słoneczny — myśli i czucia nad nią podnosiły się takie piękne i czyste, jako tęcze stubarwne, które po gromach i burzy zdołają niebieskie sklepienie — wszyst-

kich myśli i uczuć harmonia grała mu w chór taki pełny i wzniosły, jak kiedy w nawie wspaniałego kościoła wśród ciszy poważnej odezwie się głos olbrzymiego organu. Na wyrażenie takiego stanu duszy niema głosu, w ustach człowieka, niemasz wyrazów w języku i czuć go może ten tylko, który czuł rękę Boga na swoim czole i słyszał głos Jego mówiący: Synu! postąpiłeś wedle mojego zakonu.

Ten głos słyszał w onej chwili pan łowczyc i czuł się wtenczas marmurowym posągami w swęj cnocie i aniołem w czystości duszy, ale lube uczucie to podnosiło go tak wysoko, że nogami dotykał głów bohaterów i serce jego w czysto niebieskiej się unosiło błogości, jednak predko odtrącił od siebie te samolubne myśli, a podumawszy jeszcze prostym swoim umysłem nad całym ogółem główniejszych swego życia wypadków, tak rzekł do siebie poprostu:

— Mój Boże! jakież-to świat ten jest dzisiaj, jakie to życie! nasze! Przed kilku dniami jeszcze byliśmy obadwa z Józefem sługami sług Bożych; nasze serca były swobodne i wolne i do przyjęcia wszelkich poświęceń i zapałów przygotowane; nasze sumienia czyste i żadnymi troskami nieobciążone, nasze barki próżne i mogące wziąć choćby i cały powiat na siebie, ażeby go zanieść tam, gdzie go Bóg i obowiązek powoła; nasze życia naszą bezwarunkową własnością i mogliśmy je kłaść, gdzieby nam się upodobało. Nie mieliśmy wielkich czynów ani sławy za sobą, ale przed sobą mieliśmy drogę otwartą wszędzie i na wszystko, a przekonanie, że każdej chwili możemy wstać i pójść na wszystkie świata strony i rozdarować wszystko co mamy i grać o gardło na polu i o duszy zbawienie, czyniło nas wielkimi w sobie i szczęśliwymi! Dzisiaj, słów kilka, chwil kilka, i wszystko przepadło. I uczyniliśmy zadość obowiązkom względem ludzkości i otworzyliśmy sobie wrota ziemskiego szczęścia i — posłaliśmy w niewolę wszystkich dni sączących się z niezgłębionej przeszłości, w niewolę godzin i minut, w niewolę żon i dzieci i nianiek, w niewolę sukien, trzewików, czepców, tasiemek i nici! i w daleko gorszą jeszcze niewolę słodkich umizgów, które nam serce nasze rozerwą na drobne cząsteczki, i rozkoszy małżeńskich, które nam duszę i ciało zmiekczą i przywiążą do progu domowego, że będziemy jak psy przykute łańcuchami do budy! To są światy, w które dziś wchodzimy, panie Józefie! to losy nasze, dla których tyle podejmujemy trudów, tyle spełniamy ofiar i poświęceń!.... Hej, panie Fryderyku i wy wszyscy ojcowie moi, którzyście byli chlubą i splendorem grunewaldskiej, chocimskiej, wiedeńskiej, patrzcież dziś na mnie z dumą i radością! jam się dał wziąć po rycersku w niewolę i sprzedawać jak bydło na targach, jam nakarbował kilku sąsiadów walecznie, jam się nakoniec odważył wziąć sobie babę do domu, a teraz śpiewa mi dusza moja wielki tryumf uczynków moich! Patrzcież na mnie i cieszcie się z nowego goz-

dawity rycerza, a ty mularzu muruj mi grób murowany, rzeźb mi wieńce i zbroje snycerzu, pisz epitalamium poeto! Pisz, niechaj wie kiedys potomność o wielkich ojcach swoich, którzy żyli za Sasów, niechaj zna ich żywoty, niechaj widzi ich czyny i niech się uczy. Smutno jest, Panie! rycerskiemu dziecku przyjść w takie czasy na ziemię, smutniej jeszcze czuć duch w sobie pragnący pomieszkania w pancerzu, a być przymuszonym mieszkać w sajetowym kontuszu, siedzieć w grabowej alei pod lipą i mieć samych swoich i przyjaciół dokola! smutno — i w zapomnieniu nieraz człek się uderzy po ręce i zaboli go, bo tam sukno nie karwasz, i w zapomnieniu pójdzie z łotrykami wojować na kresach, a powróciwszy, posiecze sąsiada lub przyjaciela... ale ja głupi! ja głupi! — mówił łowczyc do siebie, — Panie! dziękuję Ci, że w téj mojej głupocie mam choć czyste sumienie.

Na to wbiegł stolnikowicz do niego. Ale u stolnikowicza inne teraz były myśli, inne uczucia. Nie miał on jednej jakiegś żądzy wielkiej, któraby w dzień i w nocy, w smutku i radości nad nim panowała, któraby jak jedna gwiazda wielka przyświecała jego całemu życiu, dla której służba byłaby główną i jedyną jego duszy rozkoszą; ale rozerwany na miliony cząsteczek, żył on każdemu dniowi, każdej chwileczce i z równym prawie zapałem przyjmował wielkie i małe uśmiechy tego żywota, na którekolwiek go drodze spotkały. I zawsze dość mu było jednego takiego uśmiechu, i mając jeden, mało dbał już o wszystkie inne. Kiedy się cieszył kwiatkiem świeżo pod jego oknami rozkwitym, nie odwracał głowy od niego, choćby w innéj stronie deszcz złoty padał na jego niwy; kiedy mu doniesiono, że stado dzików w jego lesie zasiadło na leżę i on już flintę zdejmował z kołka, aby za niem polecieć, byłby płakał z żalu, gdyby w téj chwili surma się odezwała i dała znać, że za kopcem jest najpiękniejsze stado Tatarów — i tak było zawsze i ze wszystkiém u niego. I dlatego dzisiaj cały promieniał miłością i tylko miłością, a kiedy porwał łowczyca w ramiona i jął mu opowiadać swoje szczęście i swoje rozkosze, to niedługo mogły się tamtego już trzymać one smutne dumy rycerskie, a w kilka pacierzy stał się i z tego boleślawowskiego żołnierza kupidynek małeńki, podający łuk i strzały miłośnikowi. Kiedy Bobowski kochał, to wszystko musiało kochać naokół niego, wszystko śmiać się i cieszyć, — i tak śmiał się już i cieszył i kochał się z nim i pan łowczyc aż do saméj niedzieli.

W niedzielę miały się odbyć zrękowiny na balogrcdzkim zamku. Jakoż tego dnia już od rana skrzętne tam ku temu czyniono przygotowania. Gotowiono wina w piwnicy, przysposabiano potrawy w kuchni. Podkomorzy nie spodziewał się wiele gości, ale sam się chciał cieszyć do woli. Pomimo to jednak i goście się pojawili. Przyjechał chorąży z Bereski z całą swoją rodziną, byli bracia ślubni obadwa, był pan Krajewski ze swoją magnifiką, był

nakoniec i pan Urbański z Jabłonek, z którym razem przyjechali Bartek i podkomorzyc.

I odbył się ten akt z wielką przyzwoitością i pompą. Po obiedzie, przy którym pito tylko do miary, wszyscy się zeszli w bawialnej komnacie. Tam kapelan miał stosowną przemowę, zamieniono pierścionki, a po ich zamianie nastąpiły błogosławieństwa, powinszowania i podziękowania. Naznaczono ślub na dzień czwarty miesiąca października, jako aniwersarz podkomorzego. I było bardzo wesoło, o trochę się ta wesołość była zachmurzyła, bo podkomorzy po tym akcie wyniósł ze swojej kancelaryi świeżo co uczyniony testament, mocą którego przeznaczył Barbarce Balogród, Wincentemu dobra w ziemi halickiej, gotowizny zaś i wszelkie wielkopolskie spuścizny zostawiał do równego pomiędzy nich podziału; ale kiedy się przekonano, że testament był dlatego tylko czytany przy gościach, aby uniknąć pisania intercyzy, dawna wesołość znów powróciła i osiadła w sercach i na twarzach wszystkich. Bartek i dzisiaj także grał swoją wczorajszą komedią i nieraz aż szalał od wesołości; ale już dzisiaj, kto go uważał pilnie i wiedział, że i samobójcze wystrzały nieraz uśmiech szalony poprzedza, temu ta wesołość jego łatwo mogła się widzieć podejrzaną. Ale któżby tam na to uważał!

Wkrótce potem, kiedy się już zabawiano li samą rozmową i po trochę kielichem, głośny turkot powozu zajeżdżającego przed ganek zapowiedział nowych gości przybycie. Wszyscy bawiący się w wielkiej komnacie poczęli zgadywać, kto by to mógł być taki, ale nikt nie zgadł!

Podczas gdy bowiem z kolei najróżnorodniejsze wymieniano nazwiska, weszli obadwa Dziañottowie do sali. Już znalezienie się starego Dziañotta było dość dziwne, bo nie umiając trafić na właściwy tytuł podkomorzemu, i tytułując go jw., to jmc panem podkomorzym dobrodziejem, to kochanym sąsiadem, wyglądał jak ten, który pnie się do równości z panami a sam czuje w sobie, że mu to nie do twarzy — ale Pakosz daleko jeszcze większą uczynił sensację. Widziano wprawdzie już strój francuzki na Bartłomieju, ale złożywszy go nakoniec na to, że Bartek całą młodość przeżywszy w Paryżu, przyrósł poprostu do peruki i sukni obcisłej, wzięto to za szczególny przypadek i zaprzestano się mu dziwować; bogatemu zresztą paniczowi pomiędzy wielu in-nemi i to mogło uchodzić; ale syn chudego szlachcica, mieszkający dla promocyi i chleba na bruku warszawskim, przybrany w fioki zamorskie, stał się odrazu dla wszystkich przedmiotem pogardy i otwartego szyderstwa. Jakoż nawet i podkomorzy, który zwykł był patrzeć na wszystko ze strony poważnej i nie lubił się z niczych słabości natrzasać, tutaj przecie rzekł otwarcie do pana Dziañotta:

— Bardzo mnie to kontentuje, że jegomość dobrodziej, nacieszwszy się syna powrotem, w tém szczęściu swoim nie zapo-

mniałeś i o mnie; ależ u milion milionów, jakże wychowujecie te dzieci? czy chcecie nas już z kretesem zfrancuzić, czy zniemczyć? Mości paniel bardzo to ładnie, że syn pracuje w biurze pana ministra i że się drapie odrazu do pszennego chleba, bo go w czasie będzie mógł i drugiemu udzielić; ale kiedy do tego droga idzie przez patynki i peruki, to pal diabeł taki chleb pszenny! Mnie, jak mnie Bóg miły, kiedym mego synowca z takim owo ogonem obaczył, rzewne łzy w oczach stanęły, bo bodajbym kłamał jak Żyd albo Cygan, ale przez skórę czuję, do czego to nas prowadzi! Ale proszę mi darować, mospanie sąsiedzie, to moje kazanie, — kończył pan podkomorzy, — staremu to wolno i mówię to z serca do waszeci.

Zgodność w tej opinii z panem Karsznickim malowała się na twarzach wszystkich obecnych, a niektórzy nawet wcale się nie bali jej i głośno potwierdzać, pan Urbański, obejrzwawszy Pakosza ze wszystkich stron dokumentnie, rzekł prawie głośno: — Jak małpy, mospanie, wyglądają z temi ogonami.

Takich jeszcze kilka komplementów spotkało Pakosza i uczuł on tutaj już po raz wtóry, że się źle wybrał imponować szlachcie swoim rozumem i strojem, i zapewne musiał ztąd dla siebie jakąś na przyszołość wyciągnąć naukę, bo nauka to pożytek, a jego wszystkie siły pracowały li na pożytek; — jakoż stracił on zaraz humor i fantazyą i nie wiedząc gdzie się podziać i co zrobić ze sobą w tak obszerniej komnacie, całą nadzieję oparcia się położył w Bartku i na niego zwróciwszy uwagę, do niego też się począł pomału przybliżać.

Bartek, raz tylko okiem rzuciwszy na Pakosława, poznał nieomylnie co to jest za figura, a sąd jego był o tyle pewniejszy, ile że on nie tak jak tamta szlachta, która dziwacznością powierzchowności uderzona, z stroju tylko sądziła i właściwie przeciw strojowi tylko się oburzała. — on znał ten strój daleko lepiej niżeli żupany i kontusze, i widząc dobrze pod strojem człowieka, jego sobie osądził. A osądziwszy, zaraz też się od niego odwrócił. Bartek bowiem był arystokratą z serca i przekonania, i nie dosyć na tém, że człowiek wedle niego poczynął się dopiero od szlachcica krwi czystej, ale i ten szlachcic jeszcze, jeżeli miał na sobie jakieś obowiązki służebne, których się nie przez zasługi rycerskie dorobił, albo był już tylko od kogo innego a nie od samego króla zawistym, — była to licha figura i jego towarzystwa niegodna. Z takimi ludźmi, krom wtenczas, kiedy ich usługi potrzebował i za te usługi im płacił, nie miał on nigdy nic do czynienia — i inną razą pewnieby nietylko był nic nie mówić do Pakosława, ale nawet byłby mu się nie odkłonił, jak chłopu albo Żydowi. Teraz atoli bardzo wyjątkowe zachodziły okoliczności. A pierwszą z nich było to, że Bartek, lubo sobie był dość upodobał w fantazyi i chrobrości sanockiej szlachty, jednak tak już był syt ich rubasznej, zamaszystej rozmowy i takiejże samej kom-

panii, że byłby już nawet i gamena paryzkiego w szczerę pochwycił objęcia, gdyby mu się był nagle pojawił; powtóre, że takie przyjęcie Pakosza, którego przecie swym strojem trochę do niego przemawiał, choćby tylko na złość téj szlachcie, której poczynał nie lubić, rad był mu choć ze swéj strony nagrodzić; a nakoniec, że w tym momencie tak go już dusiło to granie komedyi przed domowymi, przed gośćmi, a podobno i przed samą Barbarką, że rozgadanie się z kimkolwiek obcym o przedmiocie zarówno obcym, zbawienném, a nawet upragnioném być mogło dla niego lekarstwem. Kiedy więc Pakosz po długim krążeniu i mimowolném nieśmiałości swéj okazaniu, co się jednak dość podobało Bartkowi, wreszcie się przybliżył do niego i przemówił, a do tego jeszcze przemówił w języku francuzkim, Bartek wcale grzecznie mu odpowiedział, i zasunąwszy się w kącik, w żwawą się z nim zapuścił rozmowę.

Przy piérszém wprowadzeniu Pakosza wspomnieliśmy o tém, że miał rozum, a przy rozumie, jako od lat tylu już ociérajacemu się o świat ogładzony, nie brakło mu także i na onéj ogładzie, której natenczas naprózno by ktoś był szukał i u najoświeceńszych na prowincyi, a której brak tak mocno się dawał uczuwać Bartkowi; rozmowa tedy pomiędzy tymi dwoma panami ożywiła się coraz bardziej, a w krótkim czasie stała się już tak głośną, że ani wątpić można było, że Bartek całe w téj chwili o lichocie figury Pakosza zapomniał.

O czém się właściwie ta rozmowa toczyła, trudno było dosłyszeć; to jednak pewna, że była tak żwawą, że pan Krajewski ją zauważał i oczy wlepiwszy w mówiących, rzekł do swego sąsiada:

— Panie bracie! zdaje mi się, że po zamorsku gadają.

— A jakże chcesz! — odpowiedział sąsiad, — przecie słyszysz.

— No! — rzekł tamten — pewnoż tam nas muszą mléc na tych pytlach francuzkich! héj! żeby to wiedzić.

— Et! daj pokój; psie głosy nie idą w niebiosy.

Ta uwaga jednak, lubo ją dobrze słyszeli mówiący, nie przewała im ich zabawy; Bartek tylko spojrział z pod oka na pana podczaszego i mówił dalej, ale kiedy Wincenty, mocen francuzkiego języka, zaczął coraz bliżej krążyć koło nich, wyprostował się na swojej kanapce i rzekł do Pakosza:

— *Mais vraiment vous me racontez des choses si curieuses* o téj naszej Warszawie, że ja nie mogę wyjść z podziwienia.

Na to Pakosz wyjął chustkę z kieszeni i obcierając nią twarz zapoconą, rzekł niby od niechcienia:

— Ach tak tu gorąco...

— A! prawda! — odpowiedział Bartek, — dobrze tym panom, którzy mając tak sute wyloty i zarzucając je co moment na plecy, chłodny wiatr koło siebie podnoszą, ale my... *mais savez-vous,*

jest tu ogród pod zamkiem, w nim tak chłodna aleja, jeżeli pan pozwolił.....

— Z największą chęcią,—odpowiedział Pakosz, i powstawszy, wynieśli się obadwa ci panowie z komnaty.

Wszedłszy w ciemną, gałęzistymi grabami ocienioną i w kształt gotyckiego okna gładko wyciętą aleję, Pakosław długi czas się rozwodził nad dzikością i barbarzyństwem téj szlachty, która na wsiach siedzi; śród téj perory jednak często rzucał okiem na Bartka, i zdawało się tak, jak gdyby mu wcale nie chodziło o to, co teraz mówił, jedno jak gdyby od Bartka wyczekiwał zwrotu rozmowy do innéj materyi. Bartek téż wcale nie słuchał tego, co Pakosz mówił, jeno głowę ku ziemi spuściwszy, chodził równo ze swym towarzyszem i o czémś myślał, ale myślał z takim zajęciem że nic przed sobą nie widział i każdą razą przy końcu alei nie piérwéj się nawrócił, póki go jasność czystego pola nie uderzyła i nie napomniała, że już jest za aleją. Nareszcie ocknął się Bartek i przytrzymałszy Pakosza za klapę sukni, rzekł głosem czystym i stanowczym:

— Słuchaj pan, panie Działott. Ja jestem człowiek otwarty i prędki, i gdzie idzie o rzecz, nie lubię długiego gadania. Panesć mi kilka takich słówek rzucił o stolnikowiczu, o podkomorzym, o panie Barbarze, że się muszę pana spytać otwarcie: czy wiesz pan co także i o mnie, czy nie?

— Wiem, panie hrabio, — odpowiedział Pakosz i zażył tabaki.

— Cóż pan wiesz? — spytał tamten.

— Wiem że się pan hrabia kochasz w panie Barbarze i że jesteś odsadzony przez Bobowskiego,—odpowiedział Pakosz i znów zażył tabaki.

— To pan wiesz! — rzekł w pół do siebie Bartłomiéj, a zamysliwszy się trochę, dodał: — no! i cóż z tego?

— Teraz...— mówił Pakosław, zwolna wruszając ramionami i prowadząc Bartka w głąb dalszą alei — teraz... zapewne, że już nic z tego, ale gdybym był miał honor poznać pana hrabiego przed ośmiu dniami, przed czterema tylko!...

— To co?

— *Je vous donne ma parole* — rzekł Pakosław stanowczo — że dzisiaj byłbyś pan hrabia mieniał pierścionki, ale nie Bobowski.

Na to Bartek uśmiechnął się nieznacznie i głowę opuściwszy ku ziemi, milcząc, przeszedł całą aleję obok Pakosza, potem zaś popatrzawszy mu w oczy, rzekł:

— Albo pan jesteś frant, wyszlifowany pod ręką pana ministra i wyćwiczony na warszawskich intrygach, albo... kat pana wié! Zkąd pan wiesz o moich stosunkach do panny Barbary?

— Ja wszystko wiem, panie hrabio, co się dzieje i jeszcze raz ręczę panu, że gdybym był tylko przed czterema dniami po-

znał pana hrabiego, cała rzecz byłaby inny wzięła kierunek... ale teraz już późno... *il faut battre le fer, quand il est chaud*, ale teraz już wychłodło. A szkoda! byłbym tak za łeb wzięł pana Józefa, że byłby się stopił w moich rękach. Szkoda!

— Pan mi mówisz takie rzeczy — rzekł na to niecierpliwie Bartłomiej, — że ja ich nic a nic nie rozumiem. Powiedz mi pan otwarcie, jakie środki pan miałeś do zepsucia tego mariażu? Daję słowo, że nikomu nie powiem, a może jeszcze coś da się zrobić. A gdyby nawet już nic nie zrobić, to żeby choć temu psu dać się we znaki...

— O! panie! — rzekł na to Pakosz, kładąc rękę na piersi — że mu gorzko przyjdzie zapłacić to ożenienie, to już za to rękę!

Bartek znowu chodził przez chwilę milcząc i ciekawym na Pakosza rzucając okiem, potem zaś rzekł:

— Nic nie rozumiem... cóż pan możesz mieć do niego?

— Daleko więcej, niżeli pan hrabia. Zachodzą tu pewne okoliczności, o których niema już co i mówić...

— Ale ja tego nie rozumiem, dlaczego pan się z tém taisz przedemną! ja panu daję słowo; czy pan nie wiesz, co to jest słowo? — spytał ostro Bartłomiej.

— Wiem, panie hrabio — odpowiedział Pakosław — jeżeli o to chodzi koniecznie, mogę nawet powiedzieć, ale to już się na nic nie zdało...

— No, ale cóż panu na tém zależy? — rzekł Bartek.

Wzięł tedy Pakosz Bartłomieja pod rękę i długo mu coś opowiadał — ale gdy skończył, Bartek odstąpił o krok dalej od niego i patrzył mu w oczy z szyderstwem, a nawet z pogardą.

Pakosz się nie mógł połapać, co właściwie się stało; on już tak był oswojony ze swoją podłością i tak przejęty pewnością jęj każdorazowych pożytków, że nawet nie mógł pojąć, że jest ktoś na świecie, któryby nią w razie potrzeby pogardził i dla przekonania Bartka o prawdzie tego, co mówił i myślał, chciał jeszcze dalej coś mówić, ale Bartek rzekł na to:

— Dziękuję panu bardzo za jego przychylność dla mnie, ale tą razą, sam widzę, że na nic mi się ona nie przyda.

— To może później kiedy, ja zawsze pragnę być wiernym sługą pana hrabiego... — mówił Pakosz z ukłonem.

— Nie, zostawiam panu tutaj tych zagonowych rycerzów, rób pan sobie z nimi co się podoba. Ja jutro jadę.

To rzekłszy, Bartek począł rozmawiać o obojętnych rzeczach i pomалу zaprowadził się nazad z Pakoszem na górę.

*

*

*

W kilka dni potem Bartek uparł się już stanowczo i pomimo prośb i nalegań całej podkomorzego rodziny, z Balogroda wyjechał;

przrzekł wprawdzie, że w krótkim czasie znowu stryja nawiedzi, jednak nie ugodziwszy się tutaj o podział owęj wielkopolskiej spuścizny, wymówił sobie to, ażeby wpiérw Wincenty przyjechał do niego i te sprawy tam pozłatwiał.

I tak pozbyła się ziemia sanocka już jednego młodzieńca, odpowiadającego oświatą swoją Europie ówczesnej, — ale czy się go pozbyła na zawsze, to dopiéro przyszłość okaże.

XI.

Kto miał więcej serca, my czy dziadowie nasi przed stu i więcej latami żyjący? — jest to pytanie, które traktowane gruntownie, obustronnych motywów swoich taborem mogłoby książkę całą zapełnić. Znając już nawet wszystkie téj i tamtéj strony dowody, nie takby łatwo było z ostatecznym sądem wystąpić, jak się to zdaje na oko. Starzy oczywiście mają swoje vota za dawnymi wiekami, ale ich zdanie nie jest tu wiarogodnym, bo oni przez olśniewające ich oko promienie dzisiejszego rozumu nie są w stanie do głębi naszego serca zaglądnąć: młodym zaś dałoby się zarzucić, że nie pojmują uczuć minionych wieków. Bądź co bądź, jednak to niezawodna, że jeżeli starzy nie umieli czuć tak wszechstronnie, tak subtelnie, a nakoniec tak nad uczuciami rozmyślać i po rozmyśle nad nimi panować; to my znowu może, poczynając sercem pracować zawczasie i rozstrzeliwając je na miliony cząsteczek, nie umiemy czuć tak głęboko, nie umiemy działać już prosto ze serca i nie umiemy się tak dzielić naszemi uczuciami z sąsiadami i bracią, jak to umieli starzy. A serce?... serce nasze, jeżeli się zerwie, ażeby nas rzucić do nóg ubóstwionej kochanki, to jeszcze i tutaj prędkiej zrywa się rozum, zatrzymuje nas i zaprasza na chwileczkę namysłu. Pokazuje się tedy ztąd, że jeżeli starzy mieli więcej serca w sobie, to my go mamy więcej dla siebie. Starzy sercem dokonywali wielkich czynów, wzbierali niém jako morze, podnosili się aż pod gwiazdy, ale téż i upadali z pod gwiazd napowrót na ziemię, a wielkie ich czyny nieraz wielką przynosiły im szkodę; my sercem naszym do niczego się nie zrywamy, nie spełniamy niém wielkich czynów, nie przynosi ono nam

wielkich pożytków, ale też nie przynosi i szkody. Nasze też życie zaczyna się robić podobnym do wielkiej rzeki, która ma obmurowane brzegi, głąb niezmierną, szerszą nieprześcignioną, oczyma, nie możemy się też nadziwić onym statkom olbrzymim, które po niej płyną, onym młynom żelaznym, które jej poruszone wodami na równo drobny pyłek miały zboże, kamienie, kości i ludzi; nie możemy się nadziwić jej głębi, która przezroczyością swoją nieodgadnione dotąd okrywa nam tajemnice natury; jakoż po wielkość, po pożytek, po szybkość, po wszystkie nakoniec siły do tej rzeki się spuszczać będziemy i ona da nam to wszystko; ale po wzniosłość i piękność, i jutro, i za lat sto i dwieście, zawsze jeszcze będziemy chodzić do starych.

Tu leży przyczyna, dla której my, pomimo naszych sił i rozumu, tak zawsze mali się czujemy przy naszych ojcach, przyczyna dla której tak nam nieraz czczeniem się wydaje to życie, dlaczego nas nieraz tak śmiertelne opanowują nudy, dlaczego, pomimo tak gęstego rojenia się ludzi na około nas, tak się zawsze czujemy samotni, dlaczego nakoniec nawet książki o nas piszące tak śmiertelnie są czcze i nieraz nudne, dlaczego te książki, pomimo swego rozumu, mądrości, sztuki, zyskują nieraz ogromną sławę, ale nigdy nie zyskują miłości, ale my powracamy do rzeczy i powiadamy tylko, że już nie umiemy tak dzielić się naszymi uczuciami i sercem, jak to umieli starzy.

Najwidoczniejsze też to było, kiedy podkomorzy miał wydać swą córkę. Ślub miał być dnia czwartego października, a od połowy września już czyniły się przygotowania do tego na balogrodzkim zamku. I była to nie mała robota. Podzielono też się nią, ażeby jedno nie zawadzało drugiemu, i aby wszystko się więło jak z płatka. Podkomorzy tedy wziął pod swoje rozkazy wewnętrzne odnowienie pokojów, podczyszczanie sprzętów i makat, których drugą połowę teraz przywieziono z dóbr ruskich, powygładzanie posadzek, uregulowanie obrazów a nadewszystko zwierciadeł, ażeby, kiedy światła w nich rozgorzą wśród nocy, sztuka podwoiła ich świetność i blaski. Podkomorzy też sam się zajął piwnicą, i posprowadzawszy swoje wina pozostawione na dawnym dworze, a dokupiwszy do tego wszystkiego kilkanaście antałów z Węgier, przez dni kilkanaście, ile mu tylko czasu zostawało od urządzania pokojów, wszystek przesiadywał w piwnicy, a jak tą wszystką robotą był zajęty od serca, widać było ztąd, że nie mało dni było takich, w których ani razu nie zaglądnął do swojej ptaszarni. A nie wyręczył go w tym nawet i ksiądz kapelan, bo ten znowu, jako architekt uczony z ksiązek i wielkie tej sztuce ćwiczenie z doświadczenia mający, prowadził berło nad mularzami, którzy tynkowali stare dziury zewnątrz zamku, naprawiali poobijane gzymsy, bielili stajnię i inne budynki, starą bramę przerabiali na nową. Nadto wszystko jeszcze stawiał kapelan na prędcie ogromną szatrę za zamkiem, zdala od gumien i stodół (co mu dora-

działa przezorność), w której to szatrze po obudwóch stronach poczynił stajnie dla koni gościnnych, w środku zaś wykleił osiem maluczkich izdebek dla takich gości, którzy będą z żonami i z dziećmi, a dla których miejsca nie wystarczy już w zamku. Stajnie choć tak budowane dorywczo, pozaopatrywał kapelan w drabiny i żłoby, w żłobach nawet nie pozapominał kazać dziury powiercić dla przywiązania przez nie uździenic, do izdebek zaś kazał poczynić tapczany i łóżka, nie ozdobne i piękne, ale gładkie i wygodne, osobliwie też wzgląd miał na to, ażeby nogi w nich były mocne, bo był człowiek przezorny. Te obowiązki przypadły na niego z podziału, ale duch jego zanadto był czynny, ażeby miał na tém tylko poprzestać, co nań z obowiązku przypada. Wynałazł on tedy sobie jeszcze i inną robotę, a to miał ptactwo leśne, o téj porze właśnie najlepiej oblane, ażeby téż była dla gości i delikatna zwierzyzna. Więc codzień ten staruszek wstawał równo ze świtem, szedł w las gęsty jodłowy i wypatrzywszy tam one ścieżki, które przez pasterzy wydeptywane, także kurkom dzikim, jarząbkom a nawet i kuropatwom do przechadzki służą, — na nich siłki zastawiał. Miał on tedy ku temu gotowe już kabłąki, z laskowego strugane drzewa, z tych kabłąków, wtykając je obudwoma końcami w ziemię, nad onemi ścieżkami na poprzek formował bramki, u tych bramek u góry wiązał mocne z końskiego włosienia plecione siłki, które otworami swojemi wisząc w pośrodku bramki, prawie aż do ziemi sięgały; jednakże zawsze uważał na to, ażeby te otwory nie były zanadto wielkie, boby się żaden ptak w nie nie ułowił. W témże samém miejscu u góry bramki, w których kapelan końce siłek uwiązywał, były także grona jarzębiny lub innych jagód, a to tak, ażeby najpowaźniejszą swą częścią w środek otworu siłki wpadały; więc ażeby ten ptaszek, któren głodem albo łakomstwem skuszony przyjdzie i zacznie szarpać mocno przywiązane jagody, głowę ku temu przełożywszy przez siłkę, przy cokolwiek mocniejszym szarpnięciu włosień ściągnął i na łowie pozostał. Takich zdradnych sieci na niewinne ptaszęta pozostawiał kapelan po kilka na ścieżce, a ścieżeczek takich wyszukanych miał kilkanaście; więc jaka to zmuDNA praca była dla niego, każdy łatwo zrozumie, a tém zmuDniejsza, że wszystkie te miejsca siłkami osadzone, musiał dwa razy co dnia obchodzić: rano, aby popsute bramki naprawiać i żer świeży założyć, wieczór, aby ofiary swoje wyjmować. I wiele tam kurek kapelan tą misterną sztuką nałowił, nie umiemy powiedzieć, ale to w kilka dni po weselu pokazało się, że kilkanaście szkap podkomorskich, dostarczając na siłki włosienia, prawie całkiem postradało ogonów. Pani podkomorzyna także miała zakręt niemały, pod jęj opieką i dyspozycją bowiem cała kuchnia została, a urządzić tak najprzód rzecz całą, ażeby potęm dnia jednego nagle wydać obiad na osób sto kilkadziesiąt lub dwieście i jeżeli Bóg da, potęm téż same osoby żywić jeszcze przez jaki tydzień albo wyżej, to była rzecz

niełatwa onego czasu, niełatwa i dzisiaj. Miała wprawdzie matce w tém zatrudnieniu pomagać Barbarka i przyrzekła to nawet, ale nie dotrzymała; na nieszczęście bowiem oddysponowano już naprzód dwie izdebki na zamku, które miały państwu młodemu służyć na dni kilka za pomieszkanie po ślubie i Barbarka tak się urządzeniem i upiększeniem tych izdebek zajęła, że całe dni nad tém trawiła.

Napróżno perswadował jój ojciec, że krajać z całych sztuk adamaszek na to, ażeby nim ściany wybijać takich pokojów, które mają służyć za pomieszkanie li przez dni kilka, nie jest rzecz gospodarna; napróżno prosił, żeby nie kazała wybijać posadzki makatą taką, której szkoda pod nogi, napróżno nareszcie sprzeciwiał się temu, żeby drzwi nie wybijać w ścianie takiej, która i tak jest zaslaba i tylko cudem Bożym stoi w całości; napróżno — ona na to nic nie zważała i wszystko urządziła podług swojej woli. Oprócz tego miała jeszcze Barbarka niemale zajęcie i z swoją wyprawą; bo lubo wyprawy téj nie potrzeba było teraz szyć lub przerabiać, jednak składała się ona z mnóstwa różnych rzeczy, a Barbarka chciała wiedzieć o wszystkiém. Była tedy najpierw skrzynia pełna domowych sreber, pomiędzy którymi: wazy, talerze, półmiski, a że u rodziców prócz tego jeszcze więcej zostawało niż drugie tyle, przeglądała ona tedy każdą sztukę z osobna, porównywała z taką samą w domu rodzicielskim pozostającą i jeżeli ta była lepszą lub misterniejszą, uważała za potrzebne ją za swoje wymienić. To samo czyniła ze sztukami materyi, z dywanami i makatami, z koźmi, bydlęmi i domowymi sprzętami, to samo z półsetkami płócien, z naczyniem kuchenném i ze wszystkiemi innymi dostatkami, które jój przeznaczone.

— Téj kobyły nie chcę, — mówiła ona do ojca, odbierając naprzód swą własność, — stara jak świat i nie miała żadnego zrebienia. Niech mi ojciec za nią da tę skarogniadą, co jest po Pamfilu i po Waryatce. Tęgo zrebca także nie wezmę, wążki w pierśsiach i już raz się wyleczył, a to się z czasem odezwie. Do wozu tego, kiedy go mam już brać koniecznie choć stary, niech ojciec każe choć to koło dać nowe, bo przecie nowego gospodarstwa nie będą zaczynała od reparacyi.

Ojciec tylko słuchał i przypatrywał się córce z upodobaniem, a co kilka jój wybrédnych wyrzutów, głaskał ją po twarzy, mówiąc:

— Oj! ty, ty, ty gospodymi! to to będzie miał mąż z ciebie pociechę!

Ale nie dosyć na tém, że ta spodziewana męzowska pociecha tak pilnie swój inwentarz lustrując, co gorsze sztuki wymieniała za lepsze, starała się ona bowiem i oprócz tego, co jój odano, wszystko to jeszcze, o czém myślała, że jój się przydać może w jój gospodarstwie, zaraz zabrać, albo przynajmniej dla siebie zamówić. Ile téż razy przyjechał do Balogroda pan Józef,

a przyjeżdżał prawie codziennie, zawsze ona z krzykliwą wyskakując do niego radością, brała zaraz sama pod ramię i oprowadzając go po pokojach, stajniach i całym obejściu, ciągle wypytywała: — A jakie tam u waszmości pokoje? jakie stajnie, jakie w nich konie, jaki dobytek? jak sprzęt w domu i jakie wszystko? — a o czémby się tylko domyślić mogła, że braknie, zaraz przedstawiała to ojcu lub matce i brała, bo u podkomorstwa znalazło się wszystko.

Więc nie miała czasu Barbarka pomagać matce w jej kuchennych zajęciach i stateczna ta pani musiała już sama wszystko zrobić i o wszystkiém pamiętać. Jednakże cokolwiek pomagał jej w tém podkomorzyc. Przy podziale prac przedweselnych (poweselnego niestety wszystkie przyjąć musiał na siebie sam stolnikowicz!) włożono na Wincentego obowiązek zaopatrzenia śpiżarni we wszystko, czegoby wymagała pani podkomorzyna. Do niego tedy należało dostarczyć mąk przednich na delikatne pieczywa krup, cukrów, korzeni, bakalij i wszystkich innych kucharskich cementów, za czém wszystkiém sam jeździł aż do Pilzna (Pilzno było natenczas miastem powiatowém i bardzo handlowném); do niego należało dostarczyć konfektów i owoców, których nie było w domu, ryb, za którymi trzeba było posyłać do Węgier, i zwierzymy, na którą trza było zapolować. Dostarczywszy tedy tego wszystkiego i nasprowadzawszy kucharczów, kuchtów i cukierników, pomyślał o polowaniu. I urządził łowy wielkie na sam święty Michał, a ażeby ci goście nie przeszkadzali zajęciom domowym, przyjmował podkomorzyc całe myśliwstwo we dworku w Bystrym, wiosce do balogrodzkiego państwa należącej i o małe ćwierć mili od Balogroda odległej. A kiedy na to polowanie zjechało się przeszło trzydziestu samój szlachty, nie licząc w to strzelców, służby i innój łowieckiej czeredy, jakż to zjazd być musiał na samo wesele!

Jakoż rzeczywiście na dni kilka już przed świętym Franciszkiem ruch był taki w całej sanockiej ziemi, jakby się miano wiązać w konfederacyą, albo wychodzić na wojnę. Po wszystkich dworach i dworkach prano bielizny, szyto suknie, strojono fioki, sprzęgano konie, czyszczono wozy i nie mówiono o niczém inném, tylko o balogrodzkiem weselu. Ruch ten i takie zajęcia się tym zwyczajem i pomimo znakomitości i zachowania ze sobą łączących się domów, wcale zresztą nie osobliwym wypadkiem, należy w części przypisać onej znanój skłonności szlachty do biesiadnictwa, która ją ogarnęła za Sasów; daleko więcj jednak nęciło ją jeszcze na tę biesiadę otwarte podkomorzego serce i progi, miłość dla stolnikowicza i jej własne uczucia, radujące się szczęściem swych bliźnich; bo nakoniec jazda na taką fetę o mil kilka lub kilkanaście, po takich drogach, które i psy omijają ścieżkami, jadła i napoje w takim zgiełku, ścisku i wrzawie, mnóstwo zresztą niewygod i niejedna szkoda z takiej wynikająca podróży, nie miały nic tak

bardzo powabnego w sobie; ale radość i szczęście dwóch rodzin, to był powab właściwy, któremu się nie mogło oprzeć żadne serce sąsiedzkie.

Jakoż pomimo to, że dzień świętego Franciszka wypadł dopiero w niedzielę, w piątek wieczorem już kilka powozów się pojawiło na zamku, przez całą sobotę co godzina prawie nowi wjeżdżali goście, a w niedzielę już od samego rana podkomorzy prawie ani na chwilę nie mógł się ruszyć z pod kolumn, bo co chwila gość jakiś zajeżdżał. Rano też zaraz przyjechali i bracia ślubni.

Pan stolnikowicz miał na sobie dnia tego żupan biały jedwabny, po którym porzucane były złote muszki dziwnie misternej roboty; pod szyją miał spinkę tak lśniącą ognieście, że jój na żaden sposób nie można było dotrzymać wzroku, był to bowiem soliter wielkości dorodnej fasoli, okrążony brylantami wielkości ziarn soczewicy. Ta spinka była najdroższą sztuką, przechowywaną w skarbcu jego domowym i miała pochodzić jeszcze od onego Zygmunta z Bobowy, który chorągwią Gryffów bijał Niemcy na cześć Władysława Jagiełły, a potwierdziła to gruba i staroświecka jój oprawa i na spodnim guziku wyryty rok 1410. Na wierzchu miał pan Józef kontusz szejtowy prawie purpurowego koloru; kontusz ten był staroświeckiego kroju i na szwach już dobrze wytarty; ale była to pamiątka droga i właśnie na taką uroczystość stosowna, miał go bowiem ojciec nieboszczyka stolnika na sobie, kiedy na elekcyi króla Michała, jako kasztelan sanocki, przewodniczył swój ziemi. Kontusz ten był podszyty białym, ciężkim jedwabiem, guzy miał z wielkich granatów w srebro czyste oprawnych, a na podszewce przy brzegu pod lewą połą był podpis, czarną nicią wyszyty: *Michalek fecit Varsoviae 1667*. Na biodrach miał pan Józef pas, prawie z samego brantownego złota utkany i tak ciężki, że go nawet laśa kto nie mógł nosić, boby mu były biodra omdlały od jego wagi. Pas też ten nie był tyle do noszenia, ile do figurowania w bogatej garderobie; dostał też go nieboszczyk stolnik od księcia Michała Radziwiłła w prezencie, kiedy jego trzech wiosek położonych pod Lwowem od napaści panów Antonowiczów, nieznanemi książęcym plenipotentom dokumentami, na trybunale lubelskim obronił. Do tego wszystkiego ubierały pana Józefa buty złote na srebrnych podkówkach, własnoręcznie kupione w Krakowie, szabla w srebrnej pochwie z rzeźbą i rękojęścią w perły i kamienie oprawną, i czapeczka biała, rogata, z kasztankiem i czaplém piórkiem, które także spięte było soliterem w brylanty oprawnym, ale już nie tak wielkim jak ten, który był pod szyją. Tak ubrany, przyjechał pan stolnikowicz karétą, z dwiema po bokach szybami, co było wielką rzadkością na one czasy i niemałe obudzało zdziwienie. Karéta była malowana zielono i złote miała po wszystkich brzegach obwódki, a na wszystkich czterech jój rogach u wierzchu stały ptaszki misternie z drzewa wyrzezane i pozłoczone; brzegi zaś były osadzone galeryjką, która wyobrażała liście

zielone złotemi przeplatane jabłkami. Pudło to spoczywało na czterech kolosalnych sprężynach i mając pod sobą cztery ogromne koliska, było od ziemi tak wysoko, że sześć stopni wprowadzało do jego drzwiczek, kozioł atoli przed niemi był jeszcze wyższy i jeżeli sama karéta wyglądała jak mały kościółek, to kozioł doskonale przedstawiał dzwonnice. Na tym kozle siedział stary wąsaty woźnica, który służąc jeszcze u nieboszczyka stolnika, sam tylko jeden umiał wozić tą ogromną landarę; pomiędzy kozłem a nim, jego obudwoma rękami trzymając się za ramiona, stał młody i smukły chłopczek, po węgiersku od samego złota ubrany; za karétą zaś na desce malowanej na czarno, rękami się trzymając rzemieni do pudła przymocowanych, stało dwóch pajuków, ogromnych wzrostem, w hajdawerach czerwonych, kaftanach błękitnych szamerowanych złotem, przy szablach szerokich a krótkich i w kółkach czerwonych z galonami i piórami. Do karéty było zaprzężonych pięć koni siwo-jabłkowitych, rosnących i wypasionych jak gałki, a na nich był szor z skóry glancownej, ze srebrnymi kluciami i obwódkami, z herbami właściciela na okularach i z pękami piór strusich na czólkach. Taki był ekwipaż pana młodego; ale oprócz tego miał on jeszcze i brykę czterema gniademi końmi ciągnioną i wóz drabny, w którym biegły cztery bułane. Jak tylko pan stolnikowicz zajechał, zaraz szlachta będąca na pokojach i na dziedzińcu obstała tę całą karawanę, ażeby się statkowi pana młodego przypatrzeć; wyszedł téż i sam podkomorzy a podczas kiedy wszyscy nie mogli się dosyć nachwalić to karéty, to koni, to sług ubioru, przyszły teść pana Józefa aż się uśmiechał z wewnętrznego zadowolenia, jednakże całując w głowę swego przyszłego zięcia, mówił przy wszystkich:

— Na co to panie Józefie! takie zbytki, takie przepychy dla ubogiego domu Karsznickich! cztery mierzynki, półkrytek wyplatany, otl i dosyćby było.

Ale widać było podkomorzemu z oczów, iż to mówił tylko dla formy; jakoż zaraz na to odezwał się pan chorąży, który jako swat razem z Bobowskim w téj karecie przyjechał:

— Otl bogdaj cię Pan Bóg kochał, panie Franciszku! a pamiętam kiedyś przed laty, *en fallor*, dwudziestu dziewięciu, albo zgoła trzydziestu, na tenże sam zamek po jmc pannę Urszulę przyjechał, to miałeś sześć koni w landarze, podobno pięć bryk szło za tobą i co większa pół sotni twoich dworskich kozaków.

— Cha, cha, cha panie bracie! — rzekł podkomorzy, — a jak pamiętasz! prawda, prawda, — no! ale to inne były czasy nanczas.

W chwilę potem przyjechał pan łowczyc, i był także strojno i bogato ubrany, prawie tak całkiem jak stolnikowicz, z tą tylko różnicą, że jego kontusz był granatowy z koralowemi guzami, pozostały mu po ojcu i szyty przez nieznanego krawca w Krakowie. Szutki jego ubioru były równie kosztowne, ale nie tak już

pamiętkowe jak jego brata, bo jego ojcowie nietylę dbali o złote i srebrne, ile o laurowe dla swych synów spuszczizny, więcęć się bijali na wojnach niżeli Bobowscy i mieli to szczęście czy nieszczęście, że na nich najczęściej ginęli. Zostawały tedy prawie zawsze próżne lamusy i skarbcce po Osuchowskich a kaźden syn sam się starać musiał o bogate swojego ciała, jeżeli je lubił, ozdoby; ale nie kochali się w błyskotkach ci Gozdawici.

Z łowczycem razem przyjechał Grott także, który się teraz znowu zkądeś zjawił nagle jak chmura, a któremu łowczyk już koniecznie musiał się zwierzyć z swęć tajemnicy, bo przecie bez druźby nie mógłby być wziąć ślubu. Jakoź temu wszystkiemu nikt się nie dziwował: ubierać się bogato i lśniący na takie festyny, było zwyczajem u wszystkich, a mieć przyjaciela i przywieść go z sobą na wesele, także nie było nowiną; ale że łowczyk równie jak stolnikowicz zajechał w wielką, na czterech resorach landarą, pięcioma końmi zaprzęzoną i z służbą w nową barwę ubraną, to cokolwiek niektórych dziwiło; byli nawet i tacy, którzy, jak to o to u szlachty nietrudno, pozwalali sobie uwag nad tēm, czasem tylko zanadto ciekawych, czasem jednakże uszczypliwych. To łowczyca trochę niecierpliwiło, a niecierpliwiło tēm więcęć, ile że rozgadanej szlachcie, nawet z Grottem, umięjącym dobrze ciąć swoim językiem, ust nie mógł zamknąć, aż dopięro, kiedy niecierpliwość jego do najwyższego doszła stopnia i właśnie mu rzekł pan podczasy:

— Ot, nie taj się waszmość, masz już coś gdzieś na pieńku. Łowczyk zęby zacisnął i rzekł:

— A mam.

— O! i cóż się stanie z celibatem?

— Mospanie! — rzekł na to łowczyk, bo ten celibat zaczynał już być jego najstarszą stroną, — jam na celibat nie składał przysięgi, ale waszmość przysięgałes żonie miłość i wieczność, cóż z tēm się dzieje?...

— A! nic do tego waszmości! — odpowiedział na to podczasy, rumieniać się cały, bo wiadoma rzecz była, że niebardzo w swém życiu oglądał się na tę przysięgę.

— Otóż i waszmości nic do mnie, — zakończył łowczyk, ale zasmuciło go to niepomału, bo w całym tēm ożenieniu się najbardziej dojmowało go to, że kaźąc przez całe życie za celibatem, teraz mu z gęby przyszło uczynić cholewę. Przeczuwał on jasno one przycinki szlachty, które z tēj przyczyny będzie musiał połykać i oto jeszcze nikt nawet nie wiedział o jego projektach, a już się poczynało ziszczać jego przeczucie.

Wszakże niebawem wszelki smutek musiał ustąpić weselu, bo szlachty najechało się tyle i sam widok tych ludzi otwartego czoła, śmiejących oczu, pięknych postaci, kapiących od złota, drogich kamieni i karmazynu, był tak śmiejący i tak wesoły, że dosyć spojrzeć było na niego zdaleka, aby się pozbyć odrazu wszelkich

myśli i uczuć chociażby najsmutniejszych. Wkrótce też dziedziniec tak się napełnił końmi, powozami i ludźmi, że nawet przejść nie było którędy; równie tłumno było w pokojach, tłumno po oficynach, a kiedyby kto był okiem rzucił w ogród, to i tam jeszcze kilka par przechodziło się po alejach, grupa szlachty siedziała w altanie, a pomiędzy drzewami i różną krzewiną tu mignął wylot biały od karmazynowego kontusza, tam płynęło kilka czapek z piórkami ponad strzyżonym szpalerem, owdzie brzękały szable, a gdzieindziej migały buty żółte i czerwone naprzemian pomiędzy pnie drzew krzaczystych u góry, ale okrzesanych u dołu.

Śród tego rozproszenia się gości po wszystkich kątach zamkowego obejścia, pannę ubierano do ślubu i wkładano na nią suknie ciężką jedwabną, cielistego koloru, wkładano wieniec mirtowy we włosy i zarzucano welon długi na głowę, jak to kazała nowa moda onego czasu, — a kiedy już i pannę ubrano i przybyli wszyscy oczekiwani goście, poczęło się to wszystko gromadzić w wielkiej gościnnej komnacie, i przystąpiono do ceremonii oddawania pannie i panu młodemu błogosławieństwa.

W tym celu rozścielono pyszny kobierzec na środku komnaty, na nim poustawiano przy jednym brzegu krzesła szeregami, na których najpierw usiedli podkomorstwo oboje, za nimi zaś wujowie, stryjowie i ciotki panny młodój, a przed podkomorstwem, więc niby na pierwszym miejscu, posadzono jeszcze jedną osobę, naokoło której najciekawiej gromadziła się całą prawie komnatę tłumnie zajmująca szlachta i panie. I było się tam rzeczywiście czemu przypatrywać ciekawie. W tém krześle bowiem siedział bardzo już zgrzybiały staruszek, który głowę pochyliwszy na piersi, martwemi oczyma patrzył na malowane kwiaty kobierca i zdawał się już prawie mało co być przytomnym. Staruszek ten, istny grzybek nad otwartym grobem stojący, nie miał już na głowie ani jednego włosa i tylko naokoło karku się snujący i ponad uszema urwany wieniec z włosów bielutkich, istna zgrzybiałej starości korona. Twarz tego starca była w samych zmarszczkach i cery już prawie brunatnej, od której dziwnie pięknie odbijały gęste brwi srebrnego koloru i takież wąsy krótko podstrzyżone i tylko końcami zawieszisto na brodę się spuszczać. Staruszek ten miał na sobie żupan biały jedwabny, na nim kontusz karmazynowy także jedwabny, ale cały popielicami podbity, dalej pas cieniuteńki bawoli i bóty żółte safianowe, futrzane i futerkiem wyłożone na brzegach cholewy. Przy boku miał kordzik niewielki i lekki, w skórę czarną i srebro oprawny, i ten trzymał w swą lewą, prawą rękę zaś mając opartą na grubiej trzcinie ze złotą gałką, siedział tak i patrzył na one kwiaty kobierca.

Staruszek ten był to pan Bał ze Średniej wsi, miał już wtenczas sto i dwa lata, rodził się jeszcze za Jana Kazimierza, chłopcem młodym był na dworze króla Michała, przez całe panowanie Jana III służył wojskowo, był pod Chocimem, pod Kamień-

cem, pod Żurawnem, pod Wiedniem i Parkanami; sprawował potem różne powiatowe urzędy, a kiedy nakoniec podkomorstwa swęj ziemi dla podeszłego już wieku przyjąć nie mógł, osiadł w Średniej wsi i tam od trzydziestu lat czekał spokojnie, rychło go anioł śmierci powoła przed oblicze Tego, któremu wiernie służył przez całe życie. Starzec ten był pani podkomorzynęj stryjeczno-stryjecznym dziadem, więc już prawie nie krewnym, szanowano jednak onego czasu i tak dalekie krewieństwa i uprosiwszy staruszka, ażeby swoją stuletnią ręką pobłogosławił to nowe małżeństwo, posadzono go przy tym obrzędzie na piérwszém miejscu.

Kiedy już wszyscy na swoich miejscach zasiedli przy drugim brzegu kobierca, oparty o tłum szlachty ciekawęj, stał już stolnikowicz, z łowczycem po lewęj a z panem Błońskim po prawęj swęj stronie, zrobił się nagle szmer między gośćmi, tłumy się rozsunęły i weszła wraz z družkami i starościna panna młoda do tęg komnaty. Była ona piękną jak zawsze, a dzisiaj przez wspaniałość ubioru i przejęcie się uroczystością chwili jeszcze piękniejszą, i miała coś tak wyniosłego i prawie imponującego w swęj całej postaci, że już weszła i stanęła naprzeciw pana młodego, a on szmer podziwienia pomiędzy szlachtą jeszcze nie mógł ucichnąć. W krótkiej chwili atoli wystąpił z poza krzesel kapelan, przysunął się do Barbarki i ujął ją delikatnie za rękę, spojrział potem na rodziców, na gości, na stolnikowicza, a odchrząknąwszy i obróciwszy się wraz ku panu młodemu, zaczął swoję perorę w ten sens:

— Niechaj będzie pochwalony Pan Jezus.

Pan Błoński odpowiedział na to: — Na wieki wieków;— a kapelan tak zasie:

— Nizkiemu słuźde znakomitego domu tego a najniższemu w kościelnęj hierarchii, powierzony jest mnie dostojny urząd oddawania panny oblubieńcowi. Akt ten razem z wieloma świętościami dawnego czasu, idzie już dziś w poniewierkę i z każdým dniem coraz bardziej upada w swojém dawném znaczeniu i wadze... a jako my sami z błogosławionych od Boga i duchem a sercem na wieczne zbawienie zarabiających rycerzy, staliśmy się ciałem grzeszném bez ducha, mięsem i trunkami żyjącém, tak i on obrzęd święty przyszedł do tego, że się stał wszędzie martwą li formą, z pustych słów uklejoną. Ale nie patrz ty na to, mój panie młody, co się dzieje na okół ciebie, nie patrz na złości i upodlenie tego wieku, a podniósłszy się duchem na one wysokości, na których starzy stawali Gryffowie, patrz na spuszcżającą się ku tobie Leliwę i słuchaj co powiem. — Oto jest dzisiaj dzień i ten moment, w którym dawno już uproszoną i przyrzeczoną do rąk własnych odbierasż upodobaną przez ciebie towarzyszkę przyszłego życia. Pannę samę, jako kwiat wiosny jaśniejącą wszystkiemi promieniami młodości i życia, oddają ci j. wielmożni tu przytomni

rodzice i mówią przytém: Bierz, szanuj jak matkę, kochaj jak siostrę i prowadź jak dziecko twe własne przez przepaściste drogi tego ziemskiego życia.

Na te słowa ostatnie Barbarka uśmiechnęła ironicznie; niektórzy to uważali, drudzy na oratora li patrząc, nic nie widzieli, a staruszek tymczasem tak mówił dalej:

— Owo w dziedzińcu stoją fury ładowne, są w nich srebra, klejnoty, złotogłowia i różny sprzęt drogocenny; za furami pójdą dobytki, a za tém wszystkiém później obszérne ziemie i gotowizny; to jest posag, który rodzice przydają do dziecka, oddają tobie w ręce i mówią zasie: Bierz to i rządz tém wedle twój woli: niechaj dobytki nasze użyzniają twą ziemię, niech skarby nasze podsycają twe skrzynie i niechaj się mnoży to wszystko pod łaską Bożą w nieskończoność, ażeby wam obojgu nie zbywało na niczém w tém życiu, ażeby się głodny przy was nakarmił i napoił łaknący i ażebyście dzieci wasze zostawili w tym statku, w jakim was zostawili ojcowie. Ale za tém dzieckiem, które tu widzisz przed sobą, mój panie młody, idzie jeszcze i drugi posag, daleko od tamtego ważniejszy i droższy, o którym nic nie wspominają rodzice, a który wyliczyć i oddać tobie w ręce, moim jest obowiązkiem. A posagiem tym jest ów promienisty splendor i odwieczna sława tego znakomitego rodu, z którego wychodzi tobie się dziś oddająca dziecina; a posagiem tym jest ona niepokalana cnota, która zwalisto się rodząc w tej dostojnej Leliwitów dzielnicy, od niepamiętnych czasów nietylko złotemi promieniami oświecała ich miecze, ale nieprzeliczone blaski także roznosiła po świecie przez swe kądziele. Sławy onej olbrzymiej, którą niezliczeni tego świętego rodu rycerze przez tyle wieków na swych mieczach szerokich ze wszystkich stron świata naznosili pod starożytną tarczę Leliwy, ja wyliczać nie będę... albowiem *tacet de Achile, qui non est Homerus*. Nie będę więc przypominał, że protoplastowie tego rodu w egipskich śpią katakombach, nie będę wyliczał tych, którzy z wyniosłemi wojowali Grekami, ani tych którzy rozpustą spodłone bijali Rzymiany; tém mniej w to potrafię, ażebym owych Leliwitów tysiące, które pod przenaajświęszem Krzyżem Chrystusowego znamieniem żywoty swoje kładli, godnie zaprezentował; a niechaj mnie w tém zastąpią one księgi przesławne, które o tych rycerzów dostojności i sławie piszą a które ty, panie młody, w każdej chwili spokojnej bierz do twój ręki i czytaj w nich one rzeczy nieporównane, dzisiaj przez oto tę dziecinę niepospolitą swą cześcią w dom twój się przenoszące. A kiedy będziesz czytał one księgi przesławne i umysł twój olśnie od owego słonecznego blasku, który tę starożytną otacza Leliwę, nie myśl mój, panie młody, ażeby to był już ten skarb wszystek, któren się z nią razem w twoje dostaje ręce. Nie myśl tak, albowiem to jest dopióro jego połowa. Białogłowy, pod tą promienistą zrodzone tarczą, w niczém nie ustępowały swym braciom, a jeżeli oni z mieczem

w ręku zapędzali się w dalekie téj ziemi kraje, ażeby tam coraz nowe laury zdobywać i znosić pod wspólną strzechę, to one umiały z całą skrętnością i powagą, jaka bogobojnym niewiastom przystoi, utrzymywać w wiecznej świeżości te wieńce, splatać je ze staremi, nasiona z nich zbierać i zasięwać niemi żyzne serca swych dzieci. Nie potrafią nigdy moje usta nieudolne wypowiedzieć tych cnót niezliczonych, któremi błyszczą wszystkie Leliwitki w przeszłości. Czyż serce bowiem sprostą onęj pół świętej bogobojności, która stanowiła treść ich żywotów, onęj skromności anielskiej, z którą od ołtarza wracając, raz na zawsze wyrzekały się wszelkich uciech i błyskotek doczesnych, onęj miłości nakoniec, która jako drugi stróż anioł pilnowała serca i sumienia swojego męża i pana, która białem swém skrzydłem odganiała wszystkie ciemne myśli od niego, która jako gwiazda biała unosiła się wiecznie nad jego głową, towarzyszyła mu we wszelkich sprawach, oświecała niewinność przed jego sąd postawionych, objawiała nędzę pomocy od niego łaknących, wstawiała się za pozbawionymi łask jego, strzegła jego mądrości na sejmach, jego przytomności na kołach, dodawała odwagi w boju i niewczesne chłodziła zapawy w niebezpieczeństwach! Kto wyrówna takiej miłości, która sama pod niebytność męża całym rządziła domem i rozległą fortuną, która umiała własnoręcznie pielęgnować nędzarze, karmić głodne i napawać łaknące, która pod swoją opiekę brała wszystkie wiejskie sieroty, która umiała pomimo to ani na chwilę nie spuszczać oka i serca swych dzieci i przy tém wszystkiém tyle jeszcze oszczędzać czasu od swych zatrudnień, ażeby jéj własnoręcznemi robotami przyozdobione były ołtarze wszystkich parafialnych kościołów! Te, którem tu wyliczył, serca i umysłu przymioty zdają się już być ogromem, a przecie to nie jest jeszcze połowa onych skarbów wybornych, któremi zwykła błyszczyć dusza tych Leliwitek. Umiały one bowiem nieraz przyrodzonym rozumem, przenosić męża z mądrości w narodzie słynące, umiały naukami wyrównywać najślawniejszym uczonym, umiały mężstwem słynąć rycerskim, a rzadko z nich która, coby w swojej młodości dzikich nie dosiadała rumaków, nie strzelała celnie za samopału, nie potrafiła całą swą siłę zestrzelić w rękę i pałaszem zawładnąć. Nigdy jednak się nie zdarzyło, aby ta przyrodzona krzepkość ich ducha zatarła sobą dobroć i uległość ich serca, a lubo nieraz bywały wypadki, że która z nich na swym zamku męża swego w hetmaństwie nad załogą musiała zastąpić, toż przyczyniwszy przez to nowy listek sławy do wieńca koronującego Leliwę, w skromności swojej i anielskiej pokorze żadna się tém nie chlępiła, i poddając siebie i losy swojej pod rozkazy swojego męża i pana, każda z nich była niedorównanym wzorem najlepszej matki i żony. Takie usposobienia znajdują się w Leliwilkach, taki posąg moralny dawać zwykła ta starożytna pani swym córkom; takiż sam posąg, luboć jeszcze *in crudo* na dnie duszy i serca spoczywający, bierzesz i ty, panie

młody! Bierże więc i pamiętaj, że ci dają do ręki bryłę szczeręgo złota, że ci dają klejnot najpiérwszej wody, złoto to nie jest jeszcze brantowne, kamień to nie doprowadzony do najjaśniejszego blasku, skarb ten bowiem był dotychczas w domowej zamknięty komorze i owiniony w opiekę i miłość rodzicielskiego serca: ty go dzisiaj z téj komory na świat wielki wynosisz, ty go z onych pieluch niemowlęcych rozwiniesz i do słońca postawisz; pamiętajże na to, ażeby kiedy weń promienie ludzkiego wzroku uderzą, nie topiły się w skazach jakich i plamach, jeno żeby się odeń odbijały w takiej jasności i blasku, w jakich świeciły przez tyle wieków! *Crescite ergo et multiplicamini, et multiplicetur in vobis* on splendor starożytny, *multiplicetur* dostojności i cnoty, ażeby wam była sława i cześć po ostatni dzień życia waszego, a po nim wrota otworzone do przybytku Pańskiego i wieczne z jego ręki najświętszej zbawienie.

Tak skończył kapelan. Tymczasem pan chorąży Sanocki, swat niegdy stolnikowicza a teraz tuż przy jego boku stojący, pokłoniwszy się kapelanowi głową, lekko wása pokręciwszy i poprawiwszy wylotów, z przyzwoitą powagą i gestykulacją zaczął w ten sens:

— Starym obyczajem pradziadów naszych, które w tym bogobojnym ziemi naszej zakątku nie poszły jeszcze w zupełną poniewierkę, *summa pietate devoti*, my, *primus* tego nowego mariażu *motor et* dziewosłab, ze czcią i uszanowaniem przyjęliśmy na siebie obowiązek, w imieniu tu przytomnego pana młodego, przyjmowania, odpowiadania i dziękowania *pro ineffabili honore*, którego w dniu dzisiejszy waleczny Gryff doświadcza od strzelno-promienistój Leliwy. I prawda! rzadko komu przy końcu chwalebego i pełnego czynów walecznych żywota tyle *lucet* jasności, ile ich świeci Leliwitom już przy samój kolébce. Prawda! protoplastowie rodu tego, którego imienia nigdy bez czci i poszanowania nie wymawiamy, — (tu się pan Błoński zgrabnie podkomorzemu uklonił) — śpią około piramid, późniejsi wojowali z Grekami, bijali Rzymiany, a ich wnukowie, do blasku swoich starożytnych gwiazd i księżyców słońce Krzyża świętego dodawszy, stali się i są do dziś dnia jedną z najświetniejszych ozdób téj ziemi, która tysiącami samych najwyborniejszych światłać jasnieje. Ale jeżeli pomiędzy temi światłami jedno z najprzedniejszych miejsc *tenet* promienista Leliwa, toż tam w téj chwalebnej hierarchii *non humiliorem locum* dzierży i Gryff starożytny, *unguibus et rostro contra hostem armatus*. Gryff, ptak wspaniały, błękitnymi i złotymi piórami pancerny, w meridionalnych tylko regionach *patriam suam* mający i w gorących piaskach pustyni *prolem suam* wywodzący, a dziś już *ut ajunt* ornitologowie, całkiem już z téj ziemi wyrugowany, Gryff mówię, sam to dostatecznie zaświadcza, jak starożytnym musi być ród ten, który się pod jego urodził skrzydłami. A jak walecznymi w boju być musieli tego znaku rycerze, dowo-

dzi Aristaeus, autor pogański, na sześć wieków jeszcze przed Narodzeniem Pańskim żyjący, który *ges longum et latum* opisuje one sławne wojny, które ten ptak starożytny, złotych kopalni swoich strzegący, z jednookim Arimaspów narodem przez długie wieki prowadził, a to z takim skutkiem, że to skytyjskie pokolenie nakoniec od jego broni wyginęło do szczętu. Późniejszemi czasy, chorągiew, tym czworonożnym orłem ozdobna, także nie spoczywała: i widzimy ją w Grecyi, widzimy na ruinach zwyciężonego Rzymu, widzimy pomiędzy sztandarami Sasów i Niemców, aż nakoniec nam się jawi w służbach u Bolesławów i w całej świetności a blasku bije Niemce pod Grunewaldem. I ta pamiątka już nam jest najmiłsza, bo tutaj pod onym lwem skrzydlatym, złotemi literami wyryte, jaśnieje imię pana Zygmunta. *Comitis de Bobowa*, a w prostej linii pra-pradziada oto tutaj przed wami stojącego pana młodego. Dalszych dziejów tego sławnego rodu opowiadać nie będę, bo któż jest w stanie przytoczyć choćby jeden taki plac boju z całego ciągu naszej historyi, na któryby przynajmniej pułk jeden nie był wystawiony sumptem jmc panów Bobowskich? A że ten ferwor ku służbie rycerskiej, któren tak świetnie jaśniał pod Warną, jak pod Chocimem, Cecorą i Kircholmem, i do dziś dnia w tej samej sile żyje we krwi tego pokolenia, świadkiem będą ci wszyscy którzy wiedzą, że jeden tego rodu potomek, któremu młodość wypadła w czasy ciche i spokojne, kiedy się wojny nie mógł doczekać w kraju, poszedł i znalazł ją na kresach.

Na te słowa szmer przyznający i niby pochwalny dał się słyszeć pomiędzy przytomnymi, stolnikowicz skromnie oczy spuścił ku ziemi, a pan chorąży tak mówił dalej:

— Więc tuszymy sobie i mamy tę nieomylną nadzieję, że chociaż ten Gryff nasz ukochany, nad którego głową sam żywy księżyc nie świeci, nie sprostą w świetności promienistej Leliwie, jednakże walecznością swoją potrafi w przywoitym blasku utrzymać onę sławę wiekopomną, która teraz do jego domu splywa, a jako żaden promień jeszcze, któren po kądzieli wpłynął pod strzechę Bobowskich, w chmurach lub ciemnościach nie zginął, tak i ten świećcić będzie w czystości swojej po wieki wieków. Co tedy oddawna jest najgorętszém serca naszego pragnieniem a co się dziś ze wspaniałej łaski waszej nam ziszczą, przyjmujemy najpierw w otwarte serce nasze i progi, a potem dziękujemy wam jm. rodzice i prosimy, ażebyście tu o nas byli sobie spokojni, nie tęsknili bardzo za nami i łez nie wylęwali obfitych: my bowiem, chociaż się od was oddaliśmy, pamięcią, miłością i posłuszeństwem zostajemy przy was na zawsze a całym naszego życia staraniem będzie, ażebyśmy mniej żyli dla siebie i świata, a więcej dla was i stali się pociechą i podporą waszej, oby to dał Bóg! jaknajdłuższej i najweselszej starości. Czego życzę z całego serca, — dodał pan Błoński, kłaniając się podkomorstwu, stolnikowiczowi

i Barbarce, — czego życzę z całego serca w mojej i całej tu zgromadzonej kompanii imieniu!

Na to powstał znowu szmer przyznający w całym zgromadzeniu, niektórzy nawet głośno wymawiali: życzymy! winszujemy! daj panie Boże! — za co podkomorzy z podkomorzyną, z miejsc swoich powstawszy, kłaniali gościom w tę i ową stronę, goście zaś im się kłaniali i to trwało przez długą chwilę. Śród tych ukłonów atoli stolnikowicz, wzięwszy pannę młodą za rękę, przystąpił do rodziców i rzucił im się do nóg z nią razem: w ten moment też ustały pokłony a poczęły się błogosławieństwa. Błogosławili tedy najpierw śród łez i głośnego płaczu rodzice, kładąc ręce swoje na głowach obojga młodzieży, którzy ich ściskali za nogi... błogosławiły potem stryjenki i ciotki, błogosławili wujowie, a wszyscy ze łzemi w oczach i niezrozumiałemi słowami w ustach, aż kiedy się państwo młodzi onemu stułetniemu staruszkowi rzucili do kolan, wstał tenże ze swego krzesła i laskę swoją opuściwszy na zaścielony kobierzec, podniósł obiedwie ręce nad ich głowami i bez łez w oczach i gardle chropawym, trzęsącym się głosem powiedział te słowa:

— Błogosławię was, dzieci mojej! Trzymaj panie Bobowski Karsznicke, ażeby w czasie nie stała się ona mężem a ty żoną, bo wielkie w tych kobietach bywają za regimentem pochucie; pilnuj panno twojego męża, bo Gryffowie, acz rzadko giną od strzał, które ich trafiają na polu Marsa, często jednak pod strzałami upadają, które rad do nich wypuszcza Kupido. Silnie się tedy musi trzymać waleczny Gryffus, biorąc za żonę Leliwę, bacznie się opatrywać musi Leliwa, biorąc za męża Gryffa. Tę przestrogę przyjmicie odemnie starca, który już miliony widział kolébek, milionom się przypatrywał maryażów i miliony trumien pogrzebał. Ale że się przeciwnościom tego świata obronić i wiktoryą nad nimi odnieść potraficie, tuszę po waszej miłości i wzajemnych cnotach waszych.... więc błogosławię was do tej walki i życzę, ażeby wam się stało tak długie szczęście, jak długim jest moje życie.

Ta krótka ale niezwykajna perora stułetniego starca niemałe zrobiła wrażenie na wszystkich. Powiedziana nad głowami kłęzącej pary głosem twardym, chropawym, urywanym i jak gdyby wychodzącym z zagrobów, zdawała się ona raczej jakąś fatalną być przepowiednią, niżeli błogosławieństwem. Wstali też z pod niej smutni i z zaschniętymi na twarzach łzami państwo młodzi a wstawszy, oczu nie mogli podnieść do góry; Błoński, kapelan i kilku innych starszych a dobrze domowi życzących, aż się poodwracali od mówcy. Podkomorzy stał chwilę w osłupieniu i to obawa jakaś pomieszana z boleścią, to niechęć malowała się naprzemian na jego twarzy, podkomorzyna zaś sama łzy coraz obfitsze lejąc, nakoniec w głośny płacz wybuchnęła. Co gdy się stało, wrażenie, które zrazu ogarnęło wszystkich, jeszcze się wy-

rażniej odbiło; niektórzy z gości poczęli się rozwlekać po tej i innych komnatach, drudzy zgromadzili się w kółka i coś ze sobą gwarzyli, a w jednym z takich kółek pan Rossowski z Myczkowa, mąż naukami różnemi a głównie astrologią się zabawiający, dowodził półgębkiem wprawdzie ale dobitnie i jaśnie, że w konstelacyi herbownych znaków tych domów obudwóch ominując, żadnym sposobem nie można wywróżyć szczęścia dla tego małżeństwa. Przeczył jemu stanowczo pan Jundziłł i argumentami zdrowego rozumu jak taranami walił w misterne wymanierowanego dowcipu budowy, ale pan Rossowski, jak ono dziecię, które budki z kart stawia, kiedy mu jedną powalono, stawiał wraz drugą i nakoniec nie utrzymywał koniecznie, że w przyszłych walkach ta albo owa strona paść musi, ale też i nie odstąpił od tego, że musi tam być niezgoda i bój pod tą strzechą, pod którą Gryff się połączy z Le-liwą.

Tymczasem w głównej komnacie dawno już wszyscy z miejsc swych powstałi, ruch się zrobił niezwykły, gwar nawet podniósł się w całym zgromadzeniu, bo druźbowie z panną młodą już siedzieli w powozie, pan młody z drużkami już był na wschodach a reszta gości zbierała się także, szukając swych czapek, przypinając szable i podając damom chustki, szale i inne zarzutki.

Wkrótce potem przed kościołem murowanym z kamienia a stojącym przy samym rynku w miasteczku, stało kilkadziesiąt powozów. Około nich zbijały się nieprzeliczone tłumy różnego ludu, które ciekawość z okolicznych wsiów posprowadzała, a pomiędzy temi tłumami, garnącemi się do powozów i koni, to do drzwi kościelnych, można było zarówno widzieć i chłopstwo popolite i Żydostwo, nakoniec ekonomowe i szlachcianki uboższe wraz z swoimi mężami, których zaprosiny podkomorzego na to wesele ominęły. Niewielką nawę domu Bożego, dziś przystrojoną w światła, kobierce i kwiaty, zalegli całkiem goście zamkowi i był to widok dziwnie piękny i niecodzienny, któren przedstawiał tłum ludu, cały od stóp do głowy strojny w jedwab, karmazyny i złoto. Przed ołtarzem, otoczeni druźbami i starostami, stali państwo młodzi a kapelan w komżę i stułę ubrany, na stopniach ołtarza stojący, miał do nich mowę długą i obszerną, w której wykladał im przyszłe ich obowiązki, przestrzegał przed różnemi pokusami tego świata, które zwykły podkopywać miłość i zgodę małżeńską i dziwnym trafem, albolitéż z umysłu także, napomniał pana młodego, ażeby był mężem i wszystkie siły swojego serca i rozsądku skupił ku temu, iżby zachował godność swoją i władzę, która mu wedle wszelkich praw Boskich i ludzkich należy. Ustęp ten kapelański perory nanowo poruszył umysły słuchaczów i nanowo obudził jakieś niedobre względem przyszłości tej młodej pary przeczucia: jakoż z tego powodu znalazło się wielu takich, którzy parę ślubującą jeszcze mocniej ścisnęli, a to w celu czynienia zwykłych ominujących spostrzeżeń z palenia się świec, z podawania sobie rąk,

z zamieniania pierścionków i innych okoliczności, które onego czasu służyły za prognostyki przyszłego szczęścia i pożycia. Ślub jednak odbył się po wszelkiej formie i bez żadnych niezwykłych wypadków, a kiedy po skończeniu się tej ceremonii powozy, jeden za drugim ręczo ruszając z miejsca, długim łańcuchem posuwały się ku zamkowi, można było widzieć podkomorzego, jako pchając się między tłumy tę i owę przytomną tam szlachtę drobną, szlachcianki podstarościne a nawet i lud prosty na przekąskę do zamku zapraszał.

Po powrocie weselników na zamek, dano natychmiast obiad a właściwie mówiąc obiady, — bo któżby był tyle osób przy jednym albo dwóch stołach pomieścić? Był tedy stół jeden ustawiony w podkowę na wielkiej sali, na górze, przy którym zasadzono co najprzedniejsze osoby; bliżsi przyjaciele domu i młodzież, w każdym razie swobodę nad wszelkiego rodzaju niewolę przynosząca, jadła w drugiej komnacie; pospolita szlachta, panowie dzierżawcy i wszyscy niżsi a jednak do równości z wszystkimi wszelkie prawo mający, jedli w trzeciej komnacie; dla nieuchybnienia im jednak zasiadło z nimi kilku starszych i przedniejszych, towarzystwa dam nie lubiących, a służył tym gościom sam podkomorzyc; w dolnych izbach teraz wybielonych i przystrojonych były znowu stoły dla zagonowych, dla szaraków, dla dworzan gościnnych, dla sług sąsiedzkich, w oficynie zaś jeszcze stoły dla sług najniższych i wszelkiego innego tałałajstwa.

Pan młody, jako pierwsza osoba tej fety, siedział oczywiście przy pierwszym stole, ale brat jego ślubny, lubo jako drużba koniecznie tam był sadzony, wyprosił się jednak i wraz z Grottem zasiadł przy stole drugim między młodzieżą, gdzie był ustawiczny gwar, krzyk i nieład i zkąd ciągle powstawano, przechodzono z pełnemi kielichami do pierwszej sali i gdzie poprostu najmniej gość każdy był na oczach sąsiadom. Nad tę przezorność uprosił pan łowczyc jeszcze Grotta i zaklął go na wszystko, ażeby na ten moment wszelkich dykteryjek swoich i wszelkiego oratorstwa zaniechał, ażeby przez to niczyj przy sobie nie uwieził uwagi. Grott przyrzekł to swemu przyjacielowi i pomimo to, że go ze wszech stron nagabywano i różnemi środkami do otwarcia gęby kuszone, milczał jak głaz i tak udawał smutnego, jak gdyby go zęby bolały, albo inne jakieś spotkało nieszczęście. A kiedy już wszystkie co główniejsze toasty swoje kolój obeszły i umysły się rozigrały na dobre, a przez to oczywiście wszczynać się począł coraz większy nieład przy drugim stole, pan łowczyc ze swoim drużbą wynieśli się milczkiem z pokojów, krytym szyćchem się przekradli przez dziedziniec za bramę, i wsiadłszy na czekające tam na nich dwa konie wierzchowe, puścili się pełnym biegiem do Zahoczewia.

Z Balogroda do tej opustoszałej Dziańottów siedziby rachują ludzie na mierze dróg się znajdujący trzy ćwierci mili, a że to przestrzeń niewielka, droga równusieńko jak po stole idąca i konie

pod jeźdzcami były nóg dobrych, piersi szerokiej i chrap rozdartych, więc nie minęło i trzy paciérze, kiedy ci obadwa družbowie, zatrzymawszy się przy brodzie Hoczewki, o kilkaset kroków od zahoczewskiego zamku będącym, tam się przesiedli do czekającej już na nich łowczycówej landary, i w mgnieniu oka zajechali przed ganek.

W zahoczewskim dworze podtenczas było cicho jak zawsze, gołębie po staremu wespół z domowym brytanem przechodziły się najspokojniej po dziedzińcowej murawie, żadne przed gankiem nie stały zaprzężone powozy, sługi się nawet nie kręciły po sieniach... a przecież i tu być miało wesele.

Miało być i było. Ledwie bowiem panowie młodzi weszli na górne pokoje, wpół paciérza można ich było już widzieć wychodzących napowrót wespół z maleńką tego wesela družyną. I ciągnęła się ta družyna pieszo przez dziedziniec i bramę, przez kładkę na maleńkiej rzeczulce leżącą, przez wieśne łąki i sady prosto ku drewnianemu kościółkowi, na zielonym pagórku stojącemu.

Ale i domek ten Boży nie przyjmował ich żadnemi oznakami niezwyyczajności. Stał on sobie jak zawsze cichuteńko pomiędzy staremi jaworami, które górnemi konarami swemi ponad jego dach się przeginały, po jego dachu i po dzwonnicy niespokojnie przelatywały się kawki i wrony, zaglądnąc w czerwono zachodzące za lasem słońce i wróżące wiatry i nie pogodę; nikt z ludzi nie stał około bramy, nikt pod dzwonnica, żadne twarze ciekawych nie wyglądały z kościółka, a przychodzących witały tylko drzwi przez połowę otwarte i małe krzyże drewniane, naokoło kościoła na grobach zapadniętych stojące, popróchniałe, w zwiedłą zieleń pobwijane i w różne strony starością swoją i zapomnieniem ponachylane.

Wpół otwarte drzwi kościółka ręczo weszli ci weselnicy. I weszła naprzód Julia z Grottem pod ramię ją prowadzącym, za nią pan Stanisław pannę służebną Julii przy sobie wlokący, za nimi pani łowczyzna ze starym Dziańnottem, a nakoniec Pakosz w ogoniastą suknię ubrany i ogon tego weselnego zastępu czyniący.

Prędkim krokiem przystąpili wszyscy przed ołtarz, na którym bladym światłem jaśniały dwie świece woskowe, robionemi różami wpół przewiązane a przed którym na krześle siedział ksiądz staruszek, pleban Hoczewski, ten sam, który niegdy przyjmował vota braci ślubnych w swoim kościele. Na widok weselników, staruszek powstał i powitał ich ukłonem, ale pan łowczy, któren się ciągle oglądał, jak gdyby nad nim gorzało, mało zważał na te ukłony i zaraz dobył indult z kieszeni i oddał go księdzu. Ksiądz papier odebrał, włożył na nos okulary, pismo półgłosem przeczytał, i spojrzawszy na pana młodego, zapytał:

— A spowiadałeś się, panie młody i przyjmowałeś Przenajświętszy Sakrament?

— Tak jest, — odpowiedział łowczyc, — spowiadał i komuni-
kował mnie ksiądz ze Żernicy.

— Hm! — rzekł na to do siebie staruszek, wychodząc na
najwyższy stopień ołtarza, — hm!... nie było to do Hoczewki przy-
jechać?

Ale ponieważ zresztą żadnej innej kanonicznej przeszkody nie
było, ślub się odbył w mgnieniu oka a weselnicy, przyjąwszy od
plebana krótką i zwięzłą gratulacją i powiększywszy nim swoje
niewielkie grono, szybkim krokiem powrócili do zamku.

W zamku czekała już na nich zastawiona cukrowa wieczerza,
ale pan łowczyc ani spojrzął na ten stół światłem, kwiatami i róż-
nymi wybornymi cukrami ozdobny, którym się rad był przed ca-
łym światem pochłubić pan Dzanott—pan łowczyc ani się patrzył
na to wszystko, jeno pokręciwszy się tu i owdzie, poprosił aby
mu kielich podano, nim spełnił zdrowie rodziców swój żony, ode-
brał napowrót zdrowie państwa młodych, pogadał coś z matką
swoją staruszką, oddał pod jej opiekę Julię, zostawił im swoje
pięciokonną landarę, ażeby nią nazajutrz do Żerniczki jechały, po-
całował potem w rękę swą żonę, pokłonił się domownikom i wraz
ze swoim družbą wsiadłszy na koń, pędem się puścili nazad ku
Balogrodowi.

Tymczasem na dworze zmierzchało się coraz bardziej, czarne
jakieś chmury nadciągały jedna za drugą, to od północy, to od
zachodu i wieszały się na niebie, osiadły na szczytach gór Kar-
packich, podchodziły jedna pod drugą, że aż strach było patrzeć
jako czarném się zrobiło niebieskie sklepienie. Naszym jeźdźcom
wpół drogi już prawie noc zapadła zupełna, ale też i wpół drogi
także pokazała się biała zrazu lecz coraz bardziej czerwieniejąca
łuna nad Balogrodem. Na widok tego zastraszającego zjawiska,
które tém okropniejszém się wydawało, o ile coraz czarniejszemi
chmurami obciążał się firmament, z początku przerazili się jeźdźcy,
ale kiedy nie powstrzymując koni niebawem ujrzeli balogrodzką
granice, i tam zaraz przy kopcach dwie beczki smolne czerwonym
buchające płomieniem i dymem, ochłonęli z przestachu i w mil-
czeniu pędzili dalej, oglądając się wszakże co moment i dziwując
się temu niezwykłajemu widokowi.

Widok też to był rzeczywiście wielki i niezwykajny. Pod
tém czarném niebem bowiem, które już teraz wyglądało jak oko-
pcone dno wielkiego kotła, cały prawie Balogrod gorzał ogniem
piekielnym. Beczki smolne oświecały całą drogę od samej gra-
nicy, beczki takie gorzały na czterech rogach rynku a oprócz tego
wszystkie domki miasteczka, w dowód przywiązania do swego pana,
oświetlone były kilka razy rzęsiściej, niżeli w dzień świętego sa-
batu. Droga prowadząca od miasteczka do zamku znowu obsa-
dzona była smolnemi beczkami, takimiż światłami objaśniony
stromy pagórek, pod którym złoto-niebieską wstęgą wila się szé-

roka Hoczewka a na którym stał zamek cały prawie od światła płonący. Nietylko bowiem jego okna rzucały od siebie promienie światła w ciemność nocną i wyglądały jak komety, ciągnące za sobą złowróżbne ogony, ale jeszcze i pod znakiem, przy bramie, przy stajniach, przy altanach jaśniały kagańce, na onęj baszcie narożnej, na której gzymsach niegdy chodził pijany Bartłomiej, błyszcząły cztery smolne donice, które pnąc się płomieniem i dymem do góry, oświecały straszną czarność chmur zawieszonych nad zamkiem.

Widok to był wielki i niezwyčajny, ale zarazem tak straszny, że pomimo wszystkiój swojej jasności i wiedzy o tém że pod nim się ukrywa wesele, nic nie miał w sobie wesołego. Czarność brzemiennej jesieniami burzami nieba, czerwoność światłał gorejących w téj dzikiój, lasami okolonój kotlinie, ludzie czarni snujący się pomiędzy jaskrawe kagańce, zapach smoły rozścielający się po powietrzu, zamczysko stare, czarno się rysujące na tle ognistém, dziki szum górskiój rzeki płynącój pod nim a z niego wydobywające się niesforne tony z dętych instrumentów złożonój kapeli, na któryms ganku grającój... wszystko to razem zdawało się jakąś nieludzka rękę stworzone, nie na téj pięknej, słonecznej ziemi ale gdzieś w jój wnętrzościach się znajdujące, i serca czule napawało jakąś grozą i niepokojem.

Powracający jednak z Zahoczewia druzbowie nie mieli czasu na to, iżby się zastanawiać nad widokami i ich wrażeniami; ich serca zanadto miały już wrażeń w sobie, ażeby mogły jeszcze nowe przyjmować; obawa zresztą, ażeby nieodkryto ich zniknienia na zamku przyśpieszała ich jazdę, że jako strzały przelecieli przez wszystkie światła i w mgnieniu oka stanęli przed bramą. Pachołek tam czekający odebrał konie od nich a oni znowu milczkiem się przekradli przez napełniony dziedziniec i wschody i milczkiem weszli na górne pokoje. I przyjechali w samo prawie, przy ich wejściu bowiem właśnie co powstawano od stołów i dopijano klęcząco wiwatów. Jak więc ich zniknieniu nikt nie stanął na drodze, tak i powrotu ich nikt nie dostrzegł. Tak czasem smutne naszego serca przeczucia opuściwszy nas nieświadomie na chwilę, powracają znowu niepostrzeżone, nie zostawując ani śladu w nas tego czasu, kiedy ich w sercu naszym nie było.

Po obiedzie rącza służba podkomorska i gościnnna w jedném mrugnieniu oka sprzątnęła stoły, co zawsze o tyle szybciej się dzieje, o ile pełniejsze zostają na tych stołach półmiski i mniej wypróznione butelki; — po uprzątnieniu zaś wszystkich stołów weszła do sali kapela i nastroiwszy tam instrumenta, bo z nastrojonymi żadna wejść nie umie kapela, pełnemi tony i poważnie rozpoczęła polskiego. Na odgłos muzyki roześmiały się podweselone twarze, ożywiły się ruchy wąsatych figur, pozarzucały się wyloty, krótko poprzypinały szable... państwo młodzi ruszyli w piérwszą parę, za nimi poszły inne... a podczas kiedy nad zamkiem coraz

czarniejsze gromadziły się chmury, wichry się zrywały od strony zachodniej, gromy się gdzieś dawały słyszeć na lasach i straszna burza się zbierała w powietrzu: w zamku coraz się robiło jaśniej, coraz głośniej i huczniej i do szczytu wesołości dochodziło to pamiętne swoich czasów wesele.

XII.

Za spokojnego panowania drugiego Sasa, mało któren rok stał się tyle pamiętnym dla ziemi sanockiej, jak miesiąc październik roku 1760. Imć pan Nieczuja, skarbnik zakroczymski, który każde ważniejsze zdarzenie swojego czasu zwykł był zapisywać w swym kalendarzu, a przytém nieraz, gdy się rozpisał, nie darował i mniejszym, przy tym miesiącu onego roku aż kilka kartek nowych przykleił, ażeby miał dosyć miejsca do zapisania tego wszystkiego, co mu się godnym zdawało pamięci. Na tych też karkach trwają do dziś dnia słowa, jego skręślone ręką, a lubo inkaust nieosobliwy dobrze już pożółkł i wypłowiał i niektóre miejsca od wilgoci i pleśni w puste plisze się zamieniły, jednak jeszcze można wyczytać co następuje:

— „Ten miesiąc szkaradnie był fatalnym dla naszej ziemi. Omimowoli to ludzie naprzód z różnych konstelacyj, a mianowicie z gwiazd, z nader prędkiego trawy wędnienia i z monety fałszywój, która przez żydowskie szachrajstwa wprowadzona do Polski, szybko zaczęła biegać po kraju; ale byli i tacy, którzy poprostu przepowiadali rwanie się chmur, ogniów niebieskich spadanie, trzęsienia...”

„Ja sam jadąc *die prima currentis* do pana Górskiego, do Stefkowój, na samym szczycie Żokowa zdybałem człowieka wędrownego, ubranego z niemiecka, kuso i w wązkich pluderkach, który ognia nanieciwszy pod drzewem, grzał się przy nim i parzył prosto do góry. Zapytany przezemnie, kto jest za jeden, *circumviviť* odpowiedź, a natomiast powiadał rzeczy, których rozumieć nie mogłem; to tylko z jego kulawiejacój perory *suscepi*, że

przepowiadał jakieś wielkie nieszczęścia dla téj okolicy. Chciałem wziąć go na smycz i poprowadzić przy koniu do wioski pobliskiej, aby tak z nim trochę rozumniej pogadać, jakoż w tym celu sięgnąłem już ręką po niego, ale mi się wysliznął i uciekł. Mój pacholek puścił się za nim na koniu na dół Żukowem, ale się szkapa pod nim związała i dała nieborakiem o ziemię. Tamen nie utonęło co miało wisić. Prorok ten bowiem zaraz nazajutrz w Łobozwi pojman, odstawiony jest do Sanoka, tam brany na konfesaty i przez oprawcę na męki, — ale niczego się nie dowiedziano od niego.

„*Die quarta currentis*, odprawiło się huczne wesele. Ożenił się pan Bobowski, stolnikowicz sanocki, z imć panną Karszniczką, podkomorzanką halicką. Gości rachowano do dwadzieścia osób samych honoratorów. Całe obywatelstwo się tam znajdowało. Trzy było kapele, które grały luzując się, wina były przednie i wszelki traktament wyborny. Ze zmroku wielka była od kopców do kopców w całym państwie illuminacya, przy drogach paliły się heczki smolne, stopy ogniste po górach, zamek gorzał od światła, nawet na basztach jasniali kagańce. A kiedy przy takiej illuminacyi zewnątrz w samym zamku tańczą wesoło i zapijają rozkosznie, nikt tego nie widzi, że Pan Bóg srogie kary gotuje tymczasem na ludzi. Jakoż zaraz z północy zaczęły się straszliwe grzmoty, które taki huk czyniły, że aż się ściany trzęsły zamkowe i szyby w oknach dzwoniły, jak gdyby z armaty bito gdzie blisko zamku. Wszyscyśmy potruchleli i poklekali w wielkiej komnacie, jaki taki się modlił, drugi trzął się z przetrachu wraz ze szymbami, inni powystawiali obrazy Matki Boskiej, szkaplerze i inne święte relikwie do okien, — ale nic nie pomogło. Zaraz bowiem zaczęło się łyskać na zimowym zachodzie słońca, że nie były to owe nasze fulgura, które w lot znikają, ale poprostu niebo rozgorzało i było jako sam płomień. Rzecz to była tém dla nas straszniejsza, że advenit w niezwycajnej dla siebie porze, jako świadczy powyższa data. Wraz téż poczęły bić najstraszniejsze pioruny, ale to tak symetrycznie jeden za drugim, że niektórzy z nas nullo modo wierzyć temu nie chcieli, żeby to były pioruny, jenośmy koniecznie opiniowali, że nieprzyjaciel gdzieś zbliżka podjechał z armatą i z nią tak bije. Tamen kiedyśmy dosłyszeli, że to wciąż bije na lasy i że się drzewa wałą trzeszcząc i łomocąc gałęzmi in intermedis, i kiedy potem zaczęła gorzeć czupryna lasu czarneckiego, uwierzyliśmy i prosiliśmy tylko Boga, ażeby się te gromy nie posunęły na zamek. Ale jakoś nie dopuścił tego Stwórca Najwyższy w łasce Swój przenajświętszej. Całe te spectaculum bowiem nie trwało dłużej, jak przez pięć pełnych paciery, chociaż niektórzy co podlejszego ducha odmówili ich za ten czas pewno po jakie pięćdziesiąt. Po zapauzowaniu piorunów zaraz woda puściła się z nieba, ale to verbaliter tak, jak gdyby ją kto lał z konwi i cebrów. Chmury się dały nad naszemi głowami

tak, żeśmy słyszeli wyraźnie, jak gdyby kto co moment darł jaką ciężką materyą, a potem zaraz plusk ogromny na ziemię, a śród tej ustawicznej alternaty na czas jeszcze i piorun sobie strzelił na stronie. Przy takiej robocie w lot wszystkie illuminacye pogasty i ona czupryna lasu przestała gorzeć a na dworze zrobiło się tak ciemno, że który śmielszy głowę wyściubił ze sieni, zaraz umykał nazad do kompanii, ażeby choć razem zginąć, kiedyby na to przyszło. Potem ono darcie chmur coraz jeło ustawać a począł dęszcz się puszczać, ale tak gęsty i taki kroplisty, że szyby powybił na poły i dach podziurawił, że się do państwa młodych sypialni przez pułap pełno wody nalało. Potrzeźwiwszy się tym evenementem i pacierzami a chłodem przez dziurawe okna bijącym, nie bez strachu dotrwaliśmy do rana. A kiedy odniało i wejrzeliśmy na świat przez okna, strach Boży! na całej dolinie Hoczewki mokry ten element szumiał jak morze, wszystkie domy pływały w wodzie, szczęście, że zamek o wyjeździe. Musieliśmy tedy wszyscy pozostać....

„*Die sexta* dęszcz jeszcze padał ciągle, ale wody już trochę opadły. Niektórzy, o swoje domki i dobytki w przestraszu i niepewności, rwali się jechać i ruszyli ze zamku. Pierwszy na rzekę puścił się imć pan Cieszanowski, i zaraz elementem porwany, utonął. Wszyscyśmy widzieli jak tonął, bo z pomiędzy bałwanów czasem jeszcze rękę a czasem głowę wynurzał, ale nikt się jemu nie rzucił na ratunek, taki respekt mieli wszyscy przed wodą. Na wieść tę, podkomorzy wybiegł aż na terażniejszy brzeg rzeki, który był dużo wyżej od starodawnego, i pospędzawszy chłopów, kazał im tonącego ratować. Ale wszystko to frustra! Gdzie grozi Pan Niebieski, tam niema nic do rozkazu pan ziemski. Chłoptwo nie usłuchało dyspozycyi podkomorzego, a kiedy ich tuzował i bardziej nalegał, puciekali wszyscy. Tymczasem podkomorzy, namokłszy się dosyć na dęszczu jesiennym i naziębiwszy się, zaraz przed wieczorem zaniemógł. Około północy zrobiło mu się gorzej i począto desperować o niego, bo stary już był i sty-rany, a jak na nieszczęście doktora żadnego nie było, ani go zkąd dostać.

„*Die septima* nad ranem słabość się jeszcze bardziej wzmogła i puścił mu krew z prawej ręki jakiś dworzanin, który się powiadał do tego sprawnym, ale już i to nie pomogło. Rano bowiem przyszła swoją drogą gorączka a w samo południe obiit ten staruszek, w obliczności całego obywatelstwa. Wszyscyśmy go unanimiter żalowali, bo był mąż znakomity in loga et in sago, za młodych czasów i lubo tutaj przybył z obcego powiatu, prawdziwy zaszczyt ziemi sanockiej, co się rzadko zdarzało. Okropnością tego wypadku, że to zaraz po weselu śmierć nawiędziła tę strzechę, omnesconsternati do gruntu radziby byli wyjeżdżać, bo straszny się lament zrobił w tym domu, a lamentowała nietylko familia, ale i dwór cały i słudzy, bo był dobry dla wszystkich; ale

z drugiej znów strony przestraszeni falami imć pana Cieszanowskiego, którego połknęła Hoczewka, nie mieli odwagi narażać gardła swego dla jednej doby, bo przecież miano nadzieję, że ten potop się skończy.

„*Dies octava* smutny dla wszystkich i bardzo frasobliwy. Bo to dwieście blisko osób było w domu, którzy na weselisko zjechali a tu gospodarz leży na katafalku i zaprasza na pogrzeb. Nie wiadano co z sobą zrobić. Każdy czuł że jest domowi ciężarem, mało który mógł płakać za nieboszczykiem, bo sam drżał z obawy, co się tam dzieje w jego domu, więc nikt nic nie jadł, nic nie pił, jeno każdy chodził oswiały i zasmucony, że aż groza była na to się patrzeć. Niektórzy przemysłiwali nad tём, czyby nie można górami jakoś przedrzeć się w czyste pole, ale nikt nic nie wymyślił. Przecie nad wieczorem jakoś niebo się wytarło cokolwiek i było trochę na jutro nadziei.

„*Die nona* piękna zajaśniała pogoda, wody całkiem opadły, ale straszny był widok na świecie.. Iście jak po potopie. Szlam, kamienie, drzewa, pnie całe, ruiny chat i domów zalegały całą dolinę Hoczewki; z dróg dawniejszych i ścieżek nec locus, a pomimo naniesionych bałwanami przedmiotów, woda w niektórych miejscach powymywała sobie koryta na parę sążni głębokie. Dużo ludzi się wytopiło, a na niektórych chałupach leżały trupy, które się tam potopiły. Więc chociaż dla samej wody można już było puszczać się do domów, jednak dla dróg pozawalanych i całkiem niesposobnej ledwie o pieszej można było pomyśleć wędrówce. Tamen dnia tego wielu odjechało konno, drudzy powychodzili pieszo, ale komu nie było pilno, został jeszcze na zamku, zostały téż wszystkie kobiety.

Tegoż dnia przekonawszy się, że o sprowadzeniu księży, świateł i innych przyborów do pompy pogrzebowej potrzebnych, ani myśleć nie można, przystąpiono do pogrzebu podkomorzego. I odbyła się przed wieczorem ta ostatnia postęga. Chował go ksiądz łaciński, kapelan zamkowy. Trumnę niosła szlachta na swoich barkach, luzując się po drodze. Za trumną postępowała familia i państwo młodzi jedno przy drugim, ale żal wielki było patrzeć się na nich, którzy tak smutnie poczynali pierwsze dnie swego małżeństwa. Za nimi postępowali wszyscy goście na wesele proszeni i wszyscy słudzy — i byłby to innego czasu pogrzeb bardzo paradny, gdzie tyle było nagromadzonego obywatelstwa, ale wtenczas aż nadto wiele smutku było widać na wszystkich twarzach. Zdawało się, jak gdyby wszyscy ci, którzy formowali ten orszak pogrzebowy, szli za trumną swojego ojca.

„*Die decima*, ponieważ spędzonym z okolicznych wsiów chłopstwem po większej części poodwalano już drogi, większa połowa gości rozjechała się z zamku. Nadeszły téż wieści pewne, że ona straszna rewolucya niebieska nie zajęła sobą więcej jak parę mil kraju, a z różnych relacyj pokazało się jawnie, że główny korpus

tego niebieskiego zastępu uderzył właśnie na państwo balogrodzkie, bo gdzieindziej ani w połowie nie było tyle gwałtowności i szkody. To wzięwszy na uwagę, różni różnie o tém mówili — pewna atoli jest, że jeżeli to była kara Boża, to nie było ani jednego człowieka, któryby wiedział, czémby podkomorstwo na tak srogą karę sobie byli zasłużyli, bo całe ich życie było godne i uczciwe. Pomimo to jednak, Pan Bóg jeszcze jednym ciosem dotknął dom ten nieszczęsny.

„*Die undecima* bowiem podkomorzyna sama, pani nie bardzo jeszcze wiekowa, ale bardzo serca czułego i po zakonnemu nabożna, siedząc w krześle w swojej komnacie, jak powiadano nad modlitwami, zakaszłała się, podniosła się cokolwiek z siedzenia, ale zaraz nazad upadłszy, Bogu ducha oddała. Nie pokazywała ona wiele żalu po nieboszczyku i prawie zawsze bez łez wychodziła do gości; ztąd domyślano się, że ten żal ciężki, który gwałtem w sobie tłumiała, nagle zerwał się przy modlitwie za nieboszczyka i ten ją zabił. O tém jój skonaniu nikt nawet zaraz nie wiedział; służebne wprawdzie słyszały jój zakaszlanie się i posunięcie się z krzesła, ale żadna z nich, niechcąc pani przerywać modlitwy, wejść tam nie śmiała. A kiedy się spostrzeżono, nieboszczka już prawie całkiem ochłodziła, zasnęła nagle, książka jój nawet z rąk nie wypadła, a co w tém najdziwniejsze, to że ta książka była właśnie otwarta na modlitwie o śmierć spokojną, quod ipse vidi. Widać żal ją tak rwał za nieboszczykiem, prosiła Pana Boga o prędkie się z nim połączenie na wieki, i Pan Bóg ją zaraz wysłuchał. Śmierć ta jednak, już druga w tych fatalnych dniach kilku, tak przeraziła wszystkich, że w parę godzin potem, jak gdyby wymiół, z obcych już nie było nikogo na zamku. Został tylko jeszcze ten, który to pisze i pan Urbański, który był przyjacielem domu Karsznickich, a wieczorem dnia tego imć pan łowczyc siedradzki, przyjaciel wierny i brat pana Bobowskiego, od siebie nazad na Balogrod powrócił. Powrócił i przywiózł wieści zaspakajające od siebie, ze Żernicy, a nawet odemnie, dokąd z łaski swojej umyślnego posłał, że się nic złego nie stało; u mnie nawet i po moich sąsiedztwach przez ten czas strasznych gromów i chmur pękania tylko deszcz skromny padał, jaki często bywa w jesieni i żadnej nie zrobił szkody. Za co niech będzie chwała Panu na wysokościach.

„*Die decima tertia* odprawiliśmy cichuteńko pogrzeb imć pani podkomorzynnej i rozszerzwszy grób nieboszczyka, położyliśmy ją obok jego trumny. Niechaj tak oboje spoczywają w Bogu aż do dnia onego, w którym ich Ten, który śmierć na nich dopuścił, powoła do Swojego Królestwa na wieczne zbawienie. Przy tym pogrzebie nie tak wiele już było lamentu, wszyscy się już wyplakali do gruntu i łez już na to nowe nieszczęście w oczach zabrakło. Jeden tylko syn Wincenty, człek młody ale cnót pełen i waleczny w boju jak Agamemnon, jak mi to o nim powiadał mój

powinowaty, pan Michał, który z nim kolegował na kresach, rzącał prawie z boleści, kiedy spuszczano trumnę. Aż my przytłumni trzęśliśmy się od bólu, patrząc na niego, bo porywa nas z sobą żal małego dziecięcia, ale widząc męża i żołnierza płaczącego krwawemi łzami i upadającego pod srogimi ciosami żalu, dusza nasza drży od współczucia i od łez się powstrzymać nie może. Przecieśmy go nakoniec oderwali od grobu i prawie na rękach zanieśli do zamku, a na drugi dzień namówili, aby gdzie w świątynię trochę wyjechał. Jakoż zabrał go z sobą imć pan Urbański, a teraz, jako się dowiaduję, wyprawił do Wielkopolski, gdzie ma brata stryjecznego i gdzie go czeka jakaś znaczna po babce sukcesya.

„Do powyższych relacyj dodają jeszcze na końcu tego fatalnego miesiąca, że teraz już wszystko spokojnie, jak gdyby nic nigdy nie było. Aż strach patrzeć na to, jak świat idzie spokojnie swoim torem, chociaż dopiero co tyle po nim przeszło nieszczęścia: tyle ludzi zginęło, tyle domów wściekły pożarł element, tyle pochłonął dobytków! Ledwie dni kilkanaście minęło, a już ani jednego łyza na to wszystko niema, ani jednego westchnienia. Głuchowiesci tylko chodzą po kraju i kryjąc się po zabobonnych umysłach, dziwne wypłatają androny. Pomiędzy temi wieściami *tamers* jedna jest dość ciekawą, a przytém prawdziwą. Powiadają enim że die quarta currentis, to jest dnia tego samego, kiedy się odprawiało ono balogrodzkie wesele, imć pan łowczyca sieradzki brał ślub z panną ze Zachoczewia, imć pana Dzianottową dziewczką. Że się ten ślub odbył w rzeczy o samym zachodzie słońca w zachoczewskim kościółku, nie podlega żadnej wątpliwości; wiem to bowiem sam od hochewskiego plebana, ritus latini, który był egzekutorem tego sakramentu, co nawet stoi napisano w metrykach kościelnych, quod ipse legi: „Die quarta Octobris, na godzinę przed zachodem słońca hora videlicet quinta ślub urodzonego Stanisława Osuchowskiego z urodzona Maryą Julianną Dzianottówną; świadkami urodzony pan Grott herbu Mora, z Magdaleną Mroczek, służebną“. Ale co w tém dziwnego, to żeśmy tegoż imć pana łowczyca przez cały popołudniowy czas wszyscy widzieli na Balogrodzie; przyjechawszy, bawił z gospodarzem na ganku i innymi gośćmi ze dwie godziny, družbował potem panu młodemu, po ślubie siedział z nami wszystkimi przy stole, spełniał kielichy kolejną i o zmroku szedł polskiego z imć panią podczaszyną przemyską, jak to mi sama komunikowała. A tymczasem wziął ślub o zachodzie słońca o milę od Balogrodu. Takie *Alibi*, którego przyczyny ani sposobu wykonania nikt nie wie dotychczas, ani odgadnąć może, stało się źródłem do różnych pogłosek. Wierzą już dzisiaj wszyscy, że się Sakrament odbył wedle wszelkiego zakonu, ale o przyczynach jego tak sekretnego spełnienia różne chodzą domysły. Złe języki, na które w tej ziemi chwała Bogu wielki jest urodzaj, wymyślają rzeczy paskudne; ale inni, którzy są przyjaciółmi młodego, bronią go i nie wiedzą gdzieindziej tego dzi-

wnego wypadku przyczyny, jeno w skąpstwie imć pana Dzianotta, który wszędzie zbyt mędrze goli i mija wszelkie wydatki. *Tandem* imć pan łowczyc, który wie o tych wszystkich pogłoskach i mógłby jednem otworzeniem gęby pozjadać tych wszystkich plotkarzów, nic na to nie odpowiada, siedzi cicho w Żernicze i drwi sobie z sąsiedzkiego szczekania, bo srodze to gładka i rozkoszna panienka. Owo i to mądrość także. *Beatus qui tenet*, powiedział Wenett.

„A no jeszcze Bobowscy oboje płaczą niebożątka za podkomorstwem. Oj! smutneż to im dał Pan Bóg miodowe miesiące! Widują ich ludzie często na grobie rodziców, a co już się mszy odczytało za nich po różnych kościołach, co naodprawiało egzekwii, tego nikt nie zrachuje..... Ale i to minie za czasem.”

Tu się kończą imć pana Nieczui notatki, my zaś, umiając czytać i niepisane, i odgadywać resztę z podań już dawno zatartych, tak dalej prowadzimy tę powieść:

W kilka dni po pogrzebie matki, państwo Bobowscy, nie mogąc się napatrzeć na mury fatalne, które im tyle przypominały smutku i nieszczęścia, oddali gospodarstwo balogrodzkiego państwa sługom nieboszczyka podkomorzego, a sami przenieśli się do Żernicy. Ale i tu jakoś im nie było weselój. Oni uciekali od smutku, myśląc że on jest przywiązany do zamku, a tymczasem on był w ich sercach i włókł się wszędzie za nimi. Jeszczeż pani sama, mężnie zniósłszy te srogie ciosy, które w nią uderzyły, teraz jako tako opierała się nagabującym ją łzom i żalom, i zatrudniając się to gospodarstwem, to robotami, to urządzeniem swego nowego domu, które nie zewszystkiem sobie po myśli znalazła, starała się jak mogła ona nieznośną próżnię czasu wypełnić, w której nie prozione wszystkie smutne myśli nawiedzać nas zwykły; ale pan Józef, człek miękkiego serca i wszystkim zdybującym go wrażeniom bez oporu się poddający, był nie do pocieszenia. Wypadki ostatnich dni kilkunastu wstrzęsły całą jego istotą do gruntu i otrzęsły z niej wszystkie najpiękniejsze kwiaty i najzieleńsze listeczki, które na nię do dnia wesela zakwitły; że był jako ono drzewo samotnie na polu stojące, w które po burzy gwałtownej suchy grom uderzy, i widać było po nim, że już chyba aż druga wiosna odżywi w nim soki i w nowe go liście ubierze.

I nie można powiedzieć, żeby śmierć obojga żoninych rodziców tak srodze go powaliła, nie; śmierć ta sama i towarzyszące jej niezwyuczajne wypadki nie byłyby nigdy tak gwałtownego nań uczyniły wrażenia... gdyby tylko były przyszły w rok jeden po ślubie; ale teraz, w chwili kiedy on po długich i pracowitych usiłowaniach nakoniec doszedł do kresu najgorętszych swych życzeń, kiedy wszystkie siły umysłu i serca usposobił ku temu, ażeby z jaknajwyższym zapalem przyjąć i z jaknajgorętszą rozkoszą używać tego szczęścia, które raz tylko w życiu naszym może być wielkiem i światlejszém nad wszystkie tego ziemskiego słońca

uśmiechy — w takiej chwili, kiedy go cios tak gwałtowny uderzył, że od razu powalił jego najpiękniejsze marzenia i najśłodsze nadzieje, że czarę, pełną niebiańskiego napoju, którą miał spełniać wielkimi haustami, od ust mu oderwał i kazał tylko zażywać po kropli, każdą jeszcze kropelkę czarną zaprawiając goryczą: w takiej chwili pan stolnikowicz nie umiał się znaleźć ze sobą, nie umiał pogodzić się z niespodziewanym swym losem i do połowicy tego szczęścia, które mu przyjsć miało w całości, nie umiał nawet ust swoich przyłożyć. Chodził tedy po całych dniach smutny i znękany i do niczego nie czuł żadnego pociągu; nie smakowały mu potrawy, nie gasiły wewnętrznego pragnienia napoje, nie zajmowało go gospodarstwo ani żadne sprawy domowe, na żonę nawet spoglądał tylko z ukosa i siadywał od niej zdaleka, jak gdyby się bał myślać jaką światową spłoszyć bladeść tego świętego smutku, która osiadła na młodocianych jój licach.

A cudnie piękną była w onych czasach Barbarka. W czarnej sukni, białemi lamowanej wstążkami, z czarnym jako nocna mgła lekkim na głowę zarzuconym zawojem, z twarzą ową smagłą lecz świeżą, jako lice wczoraj dopiero dojrzałej brzoskwini, z oczami wielkimi i czarnymi jak węgle, z których przez smutek i poważny przecie wyglądały ognie najgorętszej miłości, — do olśniewającej piękności, która topi serca i rzuca iskry po nerwach chciwój życia młodzieży, łączyła ona jeszcze i owę godność i powagę, która téj piękności zwykła stawać na straży i od razu chłodzić wszystkie serc przedsiębiorczych zapaly. I wyglądała ona jak posąg tchnącej miłości Wenery, ale stojący w framudze rzeźbami świętych pokutnic ozdobnej i w one święte pokutnice patrzacój.

Ale ona, niestety! tylko tak wyglądała. W jój sercu działo się wcale inaczej, niżeli świadczyły pozory, a i pozory te świadczyły mimo jój woli. Barbarka zawsze była Barbarką i przy wszystkich swoich niedobrych przymiotach miała tę jedną cnotę, że nigdy być nie umiała kim innym, nigdy nic nie umiała udawać a nawet ukrywanie czegoś, gwałcenie siebie, panowanie nad sobą było dla niej nieznośnym ciężarem i niedługo się taką sztuką bawiła.

A właśnie pierwsze dni ich zamieszkania w Żernicy i zachowanie się jój męża podówczas niewolity ją do gwałcenia swych uczuć i myśli, niewolity ją do gwałcenia tego w sobie, coby rada na jaw wydała i to ją srodze męczyło.

Bo jeżeli owe podczas ich wesela zaszły straszne i okropne wypadki uderzyły tak gwałtownie w jój męża, że całą jego istotę rozprzęgły, że zasypały śniegiem i zawaliły lodami całą jego piękniejszemi marzeniami umajoną krainę, to Barbarkę wprawdzie wielki żal ścisnął za serce za rodzicami, bo czyjeż oczy nie płaczą na takim grobie! ale powiedziała ona sobie: Umarli! wielka szkoda i boleść dla nas ogromna!..... ale..... my przez to jeszcze zawsze

żyjemy. Wszakże i ich rodzice kiedyś także pomarli, a oni przez to pozostali przy życiu i żyli. I jej marzenia po dniach posłubnych, jej pragnienia, które już zawczasu stubarwnemi motylami powylatywały z popielatych gąsienic, żyły w całej pełni wiosennej i latając około jej głowy i serca, skrzydełkami swojemi coraz bardziej rozniecały te ognie, które w niej rozgorzały. O! bo Barbarka, lubo była panną jeszcze, miała swój rozum, przenoszący daleko granice panieństwa.

Ledwie tedy minęło dni kilkanaście, kiedy patrząc na ciężkie smutki, naginające ku ziemi głowę jej męża, brakło jej cierpliwości... I wtedy zaraz nadeszła chwila, w której Barbarka rzuciła się jemu w objęcia. I lubo jesień była natenczas, zaraz rozkwitnęły w ich oczach majowe kwiaty, zaścieliły się zielonemi aksamiłami łąki, dało się słyszeć milutkie świegotanie ptaszątek, w chór donośny uderzyły słowiki, słońce wiosenne weszło na lazurowe niebiosa i gorącemi promieniami oświeciło ich ziemię. A gruba kotara wysunęła się z pod uwiedłego trawiska i zasłoniła przed niemi smutne groby rodziców!...

W tak nagłych alternatach smutków i szczęścia, rozkoszy i żalów, łez i uśmiechów, choć się dowiedział Bobowski, że się jego brat ślubny tak niespodziewanie ożenił, żadnego to na niego nie uczyniło wrażenia. Wiemy już z dawna, że w panu Józefie nigdy razem nie mogło istnieć dwoje uczuć, nigdy żyć razem dwie myśli, wiemy i to, że nieraz drobnostką jakąś zajęty martwym już przez to był na istotne wielkości, więc nas dziwić nie będzie, że teraz na ten także cale niespodziewany wypadek prawie żadnej nie zwrócił uwagi. Pytał się wprawdzie łowczyca, dlaczego to uczynił, dlaczego tak uczynił i zresztą o inne szczegóły, ale zawsze czémś inném zajęty, nigdy nawet nie słyszał jego odpowiedzi. A dzieląc się pomiędzy smutne, dosyć jeszcze wymownej bo niedawnej przeszłości wspomnienia i pomiędzy użycia najżywszych rozkoszy w terażniejszości, nie myślał o niczém i prawie nie wiedział na teraz, że miał przyjaciela za kopcem.

Tymczasem w Żernicze działo się wcale inaczej.

Pan łowczyca duchem swym zawsze do wyższych podnoszący się myśli i drobne tego prywatnego życia przygody niewiele sobie ważący, ani się umiał do malutkich rozkoszy zapalać, ani niewielkimi dać zabijać smutkami. Jednakże przy tém wszystkiém rygorycznie sumienny, rzetelny aż do pedanteryi i kaźden obowiązek na siebie wzięty za świętość sobie mający, o czwiewście całkiem innym był mężem niżeli Bobowski.

I tak, skoro tylko przez powódź i drogi zalane mógł się wydobyc z balogrodzkiego zamku, pobiegł czempredźej do siebie. Tam zastał matkę swoją i Julią, i zastał je w całości i spokoju. Oglądnał tedy dom cały, wydał w gospodarstwie stosowne rozkazy, zapytał swoje panie, czyli im czego nie brakuje, i poczuwa-

jąc się do obowiązku nie opuszczania Józefa w tak fatalnych zdarzeniach, nazad do Balogroda powrócić.

Smutnie na to patrzyła Julia, ale że ją z łowczycem nic nie wiązało jeszcze nad słów kilka, powiedzianych sobie w obecności księdza, piersi jej nawet nie zdobyły się na westchnienie.

Po pogrzebie podkomorzynę znowu łąwczyc do Żerniczki przyjechał, ale nie mogąc jeszcze nie wyręczyć osmuconego brata w jego zatrudnieniach przy wyjeździe z balogrodzkiego zamku, jeszcze raz tam pojechał. Dopiero przeprowadziwszy państwa młodych do ich nowej siedziby, i przyznawszy się Józefowi, że dla kompanii i on sobie żonkę przywiózł do swego dworu, zadowolony wreszcie tém, że z tego kroku swego nie potrzebował się długo przed nim tłumaczyć; wrócił do siebie i do swych własnych obowiązków.

Ale o obowiązkach, jak wiemy, dziwnie surowe miał pan łąwczyc pojęcia. On kiedy komu był winien dług jaki, wypłacił zawsze wraz z prowizją do grosza; kiedy jemu był kto co winien, jeżeli mógł, musiał oddać także do grosza; kiedy karał kogo i przeznaczył mu sto bizunów, to tam ani jeden nie chybił, a znów kiedy nagradzał, to i nagrodę wyliczył wedle obietnicy do joty. A kiedy już było po nagrodzie lub karze, to już ani słowa nie wolno było wspominać, boć są jeszcze i inne obowiązki do wypełnienia, a życie ludzkie przecie nie z samych kar i nagród się składa. Z pod takiej reguły nie wyjmował pan łąwczyc i obowiązków względem swój żony, boć przecie marny ślub nie powinien odmieniać zasad wyrobionego człowieka. Więc co się matce należało, to matce; co żonie, to żonie, a co innym zatrudnieniom, to innym, i zresztą sza! — bo są inne ważniejsze obowiązki w tém życiu.

Biedna Julia!

Róża ta piękna, która na to w takiej pełni rozkwitła, ażeby swoją pięknnością oświecać i wonią napelniać cały okrąg téj, w której rosła donicy, dzisiaj nagle zerwana, dostała się w rękę taką, która oskubuje z niej listki, aby z nich zrobić olejek — dla domowego użytku.

Konik ten piękny, który miał bujać po stepie i być ozdobą swojego stada, a potem wiernie służyć swojemu rycerzowi i przynosić mu rozkosz, pożytek i sławę, zaprzężony został do turkotażącej telegi, ażeby woził glinę i piasek — dla gospodarstwa.

Domek ten piękny jak wielkanocna kraszanka, przeznaczony na to, ażeby stanął pod błękitnym Italii niebem, nad przezroczytym jeziorem, w sąsiedztwie róż i słowików, i aby służył młodej parze uniesionych miłością kochanków, obrócony został na pożyteczną spiżarnię, która ma przechowywać nasienie pod zimę, aby z niej chleby wychodziły na wiosnę.

Biedna Julia!

Takie zamieszkały odtąd pożycia i szczęścia te domy sąsiednie, aż przyszło do tego, że tym nowym małżonkom wypadło sobie wzajemnie odwiedzić.

Obadwa domy czuły zarówno tych odwiedzin potrzebę, ale obadwa długi czas się jakoś z tém ociągały. Żaden z nich nie wiedział, który ma to pierwszy uczynić. Wprawdzie temu ociąganiu się żaden z małżonków nie był właściwą przyczyną, oni bowiem obadwa wciąż o tém przypominali swym żonom i codziennie się wybierając, codziennie odkładali do jutra. Ale wina tego była przy żonach obudwóch. Pani Julia, czując się i pod względem urodzenia i pod względem majątku niższą od pani Barbary, nie chciała pierwsza zrywać się do tych odwiedzin, ażeby jęj nie posądzono, że się pnie nie proszona do wysokich arzędów; pani Barbara zaś, mając sobie za hetkę pętelkę taką łowczycę, urodzoną z Dziaottów, oczekiwała od nięj atencji. I tak niepostrzeżenie cała jesień minęła, a żony braci ślubnych ani się nawet wzajemnie nie znały.

Aż zwrócili na to swoją zawsze baczną uwagę sąsiedzi i poczęto sobie to komunikować w sekrecie. Aż niebawem ten sekret, upstrzony mnóstwem ciekawych komentarzów, zaczął biegać po całej okolicy, czyniąc sobą hałas ogromny, właśnie jak kot, kiedy mu chłopięta pęcherz grochem nadziany do ogona przywiążą. A cały ten hałas walił się na pana stolnikowicza i na panią Barbarę. Powiadano że oni, Gryffa połączywszy z Leliwą, tak się już tém nadęli, że już za nic sobie wazą nie pana Osuchowskiego, ale całą szlachtę sanocką. Bo onego czasu za urojoną obrazę, wyrządzoną jednemu, zawsze wszyscy się rwali do korda, za rzeczywistą już tylko niektóry, a za krzywdę uczynioną całemu ogółowi, nikt zgół.

Więc się gwałt podniósł ogromny, że aż wieść o nim i niektóre dowcipy, które z niego tryskały, doszły do uszu stolnikowicza. To go oburzyło cokolwiek, bo czuł całą niesprawiedliwość tego walącego się nań zarzutu, ale czuł zarazem i potrzebę zatkania źródła tego nieprzewidzianego przezeń hałasu. Przystąpił tedy dnia jednego do żony (a działo się to w adwencie i na czas krótki przed świętami Bożego Narodzenia), i pogłaskawszy ją po podbrodę, rzekł jęj głosem pieszczotnym i miłym.

— Dzisiaj, moje dziecko, pojedziemy do Osuchowskich.

Ale Barbarka była w złym jakoś humorze a nadto, rzeczy wszystkie biorąc z realnej strony, nie lubiła wszelkiego głaskania; więc odrzekła porywczó męzowi:

— Dajże mi pokój! kiedy ty chcesz, to jedź, ja nie pojedę.

— Ale moja duszko — mówił na to pokornie i przestraszony tém pierwszym fuknięciem pan Józef — trzeba koniecznie pojechać, bo już ludzie na to sarkają.

— To niech sobie sarkają — odpowiedziała surowo Barbarka — dlaczegół koniecznie ja pierwsza mam jechać?

— W tém masz racją, moje dziecko kochane — mówił na to podstępnie pan Józef — bo już ciż im by się należało pierwój do nas przyjechać, ale kiedy ktoś ma zamało grzeczności, to go w niej trzeba uprzedzić.

— Obejdę się bez ich grzeczności — odpowiedziała Barbarka.

— Jakto? — zapytał znowu łagodnie i patrząc jój w oczy pan stolnikowicz — ani dla mnie tego Basieńka nie zrobi?

Na to żona jego spojrzała mu w oczy, uśmiechnęła się i rzekła:

— No, to kaźże zaprzęgać.

Tym sposobem się stało, że dnia tego po południu, kiedy pięcioma końmi uprzężona landara, niosąc w sobie państwa stolnikowiczów, ciągnęła się wolno po drodze do Żerniczki wiodącej, wpadł kozak na koniu na dziedziniec łowczycego dworu i jemu samemu, idącemu właśnie do stajen, krzyknął w samo ucho: — państwo Bobowscy tu jadą! Pana łowczyca, który, widząc nagle wpadającego żernickiego kozaka, trochę się był przestraszył, na tak marną wiadomość złość raptem porwała, krzyknął więc do niego:

— Won! gałganie! czego mnie straszysz!

Kozak jak zmyty nagle zeskoczył z konia i powłókł się smutno ku stajniom; pan łowczyca zaś na złość kozakowi czy komuś nie chciał właśnie żadnego użytku czynić z téj wiadomości i puścił się w swojej drodze, ale tymczasem landara Bobowskiego także się pokazała już w bramie. Wrócił tedy Stanisław i dawszy znać żonie, że Pan Bóg przynosi im gości, sam pozostał na ganku, ażeby ich witać. Nastąpiły tedy powitania na ganku, potem wprowadzania do bawialnej komnaty, w której pani łowczyzna z łowczycą już koło kanapy czekały, i znów powitania, komplimenta, ceremonie i konwersacya urywana, przy której Barbarka nie mogła się dosyć nacedzić frazesów i nosem nakręcić, ażeby dać poznać, jak sobie niewiele waży ten mały domeczek, a pani Julia nie mogła się znów dosyć nadziwić, że Barbarka z pierwszemi do niej odwiedzinami przyjechała w starój i zmiętój sukni i w nocnym czépku.

Pani łowczyzna, która sumiennie ceniła ród znakomity w Barbarce i niewiele zwykła dawać baczenia na takie rzeczy, jak strój i jego ozdoby, a do tego jeszcze jak drugiego syna swojego kochała pana Józefa, była serdecznie grzeczną dla swój nowój sąsiadki i obsypywała ją nieustającemi komplementami. Chłodno tedy lecz z ciekawością poglądała Julia na panią Barbarę, ta zaś na nią z lekceważeniem i z piętra, a pani łowczyzna gościem swoim zajęta, ustawicznie gadała i tak się bawiły między sobą kobiety.

Pan stolnikowicz atoli, kiedy wszedł z swoją żoną do bawialnej komnaty i najpierw przed sobą obaczył Julię, zdrzał w miejscu i zadziwił się, tak jak gdyby nie wiedział, że ją tam zdybie.

Wypadek taki jest zwyczajnym u tych wszystkich, którzy mało myślą nad sobą i których życie całe składa się z samych wrażeń i uczuć. Julia także spojrzała na pana Józefa a w jej oczach odbiło się trochę żalu, trochę wyrzutu, najwięcej zaś smutku który jeszcze bardziej przeraził stolnikowicza. Ztąd wyniknęło, że dawniejszy Julii kochanek jak usiadł w kącie przy swoim przyjacielem, tak od czasu do czasu rzucając wzrokiem na panią łowczycę, zamyślił się i ani słowa nie umiał wymówić. Julia tak była obróconą, że nie mogła ani razu rzucić okiem na pana Józefa; boby to mogło być zwrócić czyją uwagę, więc posunęła się z krzesłem dalej i w tym momencie nań szybko spojrzała. Ten ruch nie uszedł uwagi Barbarki; nie mogła ona wprawdzie nic sobie o nim pomyśleć, ale dziwne to czasem kobiety miéwają instynkta. Rzekła tedy Barbarka do męża:

— Czemuż mój mąż tak się zadumał?

— Bez żadnej przyczyny, moje dziecko kochane — odpowiedział na to pan Józef, wstając i przystępując do stołu stojącego przed kanapą — siedziemy sobie tak z panem Stanisławem i w milczeniu prowadzimy ze sobą rozmowę, jak to się nieraz praktykowało za dawnych czasów.

Julia na to cichuteńko westchnęła, jak gdyby te ostatnie słowa pana Józefa przywołały jej jakie miłe wspomnienie, a tymczasem Barbarka odpowiedziała:

— Za dawnych czasów? o! ty staruszku zgrzybiały! — i powstawszy, przyglądała mu rozrzuconą czuprynę na głowie, pocałowała go w czoło i rzekła: — Mój staruszek!

Julia wstała i wyszła wolnym krokiem do przyległego pokoju a Barbarka odprowadziła ją oczyma tak daleko, jak mogła.

Potém rzekł łowczyk:

— Poczęstowałbym pana brata po staremu luleczką, nim nam jakie przekąski przyniosą, ale podobno jejmość jest z ulubionym dymkiem naszym w niezgodzie.

Na słowo jejmość zakręciła noskiem Barbarka a stolnikowicz odpowiedział wesoło:

— Moja żona nie przyzwyczała się jeszcze do dymu...

— I nigdy się do niego nie przyzwyczai — przerwała Barbarka.

— Ale chodźmy na lulki do twojej kancelaryi — dokończył stolnikowicz i wyszli obadwa bracia na drugą stronę.

Tam zasiadłszy przy lulkach, piérwszy raz dzisiaj rozgadali się na dobre o swoich małżeństwach. Pan Józef nie znajdował się wprawdzie w tym peryodzie małżeńskiego pożycia, kiedy się łąknąć poczyna postronnej i li męzkiej pogadanki; nie spowszedniało mu jeszcze to nowe szczęście, ale zawsze, obznajomiwszy się już dokładnie z jego wszystkimi możliwemi darami, czuł już potrzebę udzielenia się komuś drugiemu, wygadania się, pochwalenia się tém, co

mu ten nowy stan i wieczorem i rankiem, i dniem i nocą przynosił: on też pierwszy zaczął w ten sens:

— Panie bracie! szatan to podobno ludzkiego szczęścia zardrosny, przemawiał z ciebie natenczas, kiedyś z ferworem propagował celibat. Ot, przyznaj się otwarcie, jak mnie kochasz.

— Hm! zapewne, — odpowiedział na to z uśmiechem pan łowczyc, — przyjemniej jest człowiekowi dbać o to, ażeby rodzaj ludzki nie zginął; ale zawsze tamto jest marna tylko uciecha i obowiązek taki, który miliony z największą skrupulatnością spełniają; o tym drugim zaś mało który pamięta. Co się zaś celibatu dotyczy, to zawsze nie pozwalam naśmiewać się z tego, bo ta myśl, tak jak ją ja rozumiem, nie wyszła z szatana, jeno z Boga samego.

— Gdyby celibat nie był już pierwój znanym światu, nim objawiony został chrystyanizm! — dodał do tego Bobowski, — wszakże, jeżeli mnie pamięć nie myli, już w Egipcie, gdzie czczono bóstwa Isis i Osiris, kapłani i kapłanki przy tém nabożeństwie służący, ślubowali bezżeństwo.

— Bezżeństwo, — odpowiedział na to pan łowczyc, — nie jest to wynalazek tak trudny, ażeby na niego przez lat tysiące miało być czekać człowieczeństwo: ale tu o to idzie, do czego ten wynalazek został zaaplikowany. Nabożeństwo do bóstwa Isis, jako to od ludzi uczonych słyszałem, z Egiptu zostało przepiętanem do Rzymu. Tam ta bogini miała kilka sobie wystawionych kościołów; kapłani jój i kapłanki także ślubowali bezżeństwo, ale pomimo to, każda taka świątynia była to tylko dla pozorów. Owóż do czego prowadzi i najpiękniejsza myśl, kiedy ją aplikuje pogaństwo. Ale celibat ten, który ślubowali rycerze krzyżowi, młodzież rycerska do czasu póki się czynami nie wstawi, święci nasi chrześcijańscy, kawalerowie maltańscy, a nakoniec księża nasi, zakonnicy i zakonnice, ten do czego zwykł dusze nabożne prowadzić, każdemu wiadomo: a ja właśnie o takim myślałem.

— Niema tu kwestyi, — rzekł na to stolnikowicz, — że myśląc o celibacie, nie miałeś przez to projektu zostania kapłanem bogini Isis; ale chociaż co innego miałeś na myśli, jednak przyznaj się szczerze: żal ci teraz, żeś celibat porzucił, czy nie?... Bo ja, jak mnie Bóg miły, choć to już dwa miesiące od naszego ślubu minęło, jeszcze się z sobą obaczyć nie mogę, czym jest ten sam, którym był pierwój, czym zgoła inny? I jak mnie Bóg miły, jam zgoła inny. Czas ten, któryśmy dotąd, panie bracie, przeżyli, nie wart nawet nazwiska życia. Człowiek wegetował jak planta, albo leżał jak kamień. Miał swój dom własny i dobytki i ziemie a przecie i kładł się i wstawał jakby w celi klasztornej, a przez dzień cały był jakby na popasie w gospodzie. Człowiek wiedział że żyje, ale nie wiedział dla kogo żyje, a chociaż się niby to tylu miało naokoło przyjaciół, przecie nie było nikogo takiego, któryby nam to pokazywał, że go cieszy to nasze życie, że dba o nie, że

bez niego i jemu nie byłoby życia. Dzisiaj jakżeż to wszystko inaczej! Mamy dom własny, i wiemy że to jest nasz, że własny; dawniej pusty i nudny, dzisiaj jakże się nam stał drogim, jak przyjemnym, jak miłym! Jedna osoba do niego przybyła, jakże się zaraz zaludnił, jak rozweselił, jak upiększył w każdym kąciuku! Ale bo cóż to i za osoba! co to za duch wyniosły jest w tej kobiecie, jaki rozum wyborny, a jakie serce! Ileż to tam niebieskich promieni w oczach, ile słodyczy w ustach, ile pieśczołliwości w tej rączce drobnusieńkiej a białej jak alabaster! Jedna maluczka kobieta, a cały świat w niej rozkoszy. Nigdy nie umiałem dojrzyć mądrości sławnego Salomona, ale teraz widzę ją jawnie i powiadam, że był najmądrzejszy, kiedy siedemset żon trzymał na swym pałacu. Tam to musiało być jasno, tam kwietno, tam rozkosznie!... I cóż ty na to, panie bracie?

— Tfu! i koniec; — rzekł na to łowczyk, i powstawszy, poszedł zwolna ku oknu.

Nieprzygotowany na taką odpowiedź pan Józef, umilkł na chwilę i sam nie wiedział co ma rozumieć o tak jawnie wypowiedzianej indygacji pana łowczyca; tymczasem tamten, nieruchomi oczyma patrząc przez okno, srodze się zafrasował. Teraz dopiero dojrzał on jasno, jaka to miłość pociągnęła Józefa ku pannie Barbarze; zmysły w nim rozgorzały, głowa się zapaliła i prócz tego nic więcej. I ażeby tak znikomemu, tak brudnemu jego pragnieniu dogodzić, on się do tyła poświęcił, — ażeby się tak nędzna chatka, wybudowana przez rozdrażnioną imaginacją jego brata, nie zamieszкана, nie rozbryzgnęła, on najulubieńszą myśl swoje podeptał, on się wyparł swojej tak głośno i tyle razy prelegowanej zasady, on się na przyczynki sąsiadów naraził, on się krwią związał z takimi ludźmi, którymi jakby gadem plugawym się brzydził, on na wieczne czasy wziął do domu swego kobietę, która mu ani na chwilę nie była potrzebną.. to wszystko razem stanęło jemu teraz przed oczyma i szarpnęło go tak boleśnie za serce, jak gdyby go kto rozpalonem był upiekł żelazem. Ale przy największych boleściach umiał milczeć pan łowczyk. Serce jego, lubo głęboko czujące, zawsze było rozsądkowi posłusze, a rozsądek nie każe takich błędów na oczy wyrzucać, których nie może naprawić, ani się każe w żalu rozwodzić nad takimi rzeczmi, które już są niepowrotne. Więc się odwrócił od okna pan Osuchowski i usiadł spokojnie na dawnym swym miejscu.

Tymczasem stolnikowicz, ochłonawszy z swego niemilego wrażenia, zabrał znowu głos i zapytał:

— Czemuż ci się to tak nie podobało, com dopiero powiedział, żeś aż splunął przed siebie? czy cię to razi, że twój brat dzieli się z tobą swym szczęściem?

— Nie, wcale nie, — odpowiedział pan łowczyk, — ale wiiesz, jak mi są przeciwne wszystkie rzeczy wszeteczne. Porównanie

chrześcijańskiego małżeństwa z siedmiuset salomonowemi żonami tak mnie obraziło, ale nic więcej.

— No! chwalaż Bogu, — odpowiedział pan Józef, — myślałem że ci się tak niepodobają moje ziemskie uciechy. No, prawdać, że człowiek może się trochę zanadto unosi nad temi marnościami, ale komuż poszaleć, jeżeli nie młodemu i kiedy, jeżeli nie z miłą żoneczką w pierwszych czasach po ślubie? Przyjdzie czas, wszystko to minie! — dodał z westchnieniem pan Józef, ale zadrżał zarazem z obawy, ażeby kiedyś w rzeczy nie przeminęło.

— Otóż to o to idzie, — mówił zaszewolna mąż Julii—żeby nie minęło zaprędko. Bo trzeba wiedzieć, że cokolwiek *tuli* swe *punctum*, zaraz ginie i prędko odkwita. Po opadnięciu świętego kwiatu sucha zostaje łądyga, a skromna trawka długo bywa zielona. Mile nam smakują ogrodowe nowalie, ale kto się niemi odrazu obeźre, ten już przez cały rok potem znieść nie może jarzyny. Miara, panie bracie, miara i waga, to jest rozum tego życia naszego.

— Tak, tak, niema co mówić, — odpowiedział mąż pani Barbary, — no, ale jakżeż u ciebie, jakżeż ty szczęśliwy z twoją piękną dziewczeczką?

— Ja? jam dosyć szczęśliwy: żona mi zdrowa, wesola dosyć, jest na potomstwo nadzieja, czegoż więcej potrzeba?

— Jak to? już jest nadzieja?

— A zapewne, bo gdzież u kata dzieci się rodzą, jeżeli nie w młodych małżeństwach?

— Al tak....

— Ale chodźmy już do komnany, bo się znudzą bez nas ko bięty, — zakończył łowczyc i przeszli na drugą stronę. Na tém skończyło się pierwsze młodych sąsiadek poznanie.

Tegoż dnia, późnym wieczorem powróciwszy do siebie, stolnikowicz, siedząc w poręczowym krześle przy piecu, opowiadał przechodzącej się po pokoju żonie różne sceny swojego życia. W dwa miesiące po ślubie panowie młodzi robią się bardzo rozmowni i o jakich tylko kiedykolwiek słyszeli, wszystkie opowiadają swoim paniom historie, ale panie młode i we cztery jeszcze słuchać wiele nie lubią i udając tylko uwagę, nic nie słyszą i myślą wcale o czém inném. Więc i Barbarka zgoła nic nie wiedziała co jój mąż opowiadał, a skoro tylko jakiś ustęp z hajdamackiej wojny ukończył, spytała go z uśmiechem:

— Ale powiedzno mi, panie bracie, czemu to się Osuchowski tak sekretnie ożenił?

To, że się nagle pan łowczyc ożenił, często już w oczy wpa dało stolnikowiczowi, ale że się sekretnie ożenił, o tém on jeszcze nie pomyślał ni razu. Odpowiedział więc swojej żonie:

— Nie wiem, moje dziecko, czy to tak bardzo sekretnie, wszakże wszyscy wiedzą o tém.

— Teraz wiedzą,—odpowiedziała Barbarka,—ale przed ślubem nikt nie wiedział. Wszakżeś i ty nic o tém nie wiedział?

— Prawda, nic nie wiedziałem... — mówił, zamysławiając się, mąż jój, — ale... ale widzisz moje dziecko, bo i on sam zapewne nie długo naprzód o tém co wiedział. To dziwny człowiek, ten Stanisław: nikt tak długo nad najdrobniejszą rzeczą nie będzie się zastanawiał jak on, ale jak pioruny z nieba na ziemię, tak lecą jego uczynki. Ma on nawet na to swoje osobne przysłowie, które tak wyraża:

Długo myśleć, w skok czynić, jest-to zwyczaj stary;
Tym sposobem pan hetman pogromił Tatory.

— To wszystko dobrze, — rzekła na to Barbarka, — długo myślał i w skok uczynił, ale zawsze do tego myślenia i uczynienia miał jakąś ważną przyczynę.

— A... zapewne... ale on powiada, że się ożenił tylko dla mojej kompanii.

— To głupstwo, mój kochany, Osuchowski nie taki głupi, jak się wydaje... i ani dla twojej, ani dla czyjśkolwiek kompanii nie żeniłby z jakąś tam Dzianottówną. Wprawdzie pyszczek gładki, ale na taką wędkę nie złapałby się twój niedźwiedziowaty braciszek. W tém mi się widzi coś podejrzanego...

— Ej! coś ci się także przywiduje! — odpowiedział na to Bobowski, przyciskając żonę do piersi, — rozumek bystry, niema się czém zająć, to sobie jakieś widziadła wymyśla.

— No, no, — zakończyła z przymileniem Barbarka, — jakieś tam kawalerskie sekreta pogrzebane w tym ślubie... nie podoba mi się ta wasza Julia, choć się ładnie nazywa...

Dalsze dnie małżeńskiego pożycia w Żernicy były jeszcze dosyć do minionych podobne, ale przecie już od czasu do czasu tu i owdzie poczęły się pokazywać malutkie chmurki na jasnym niebie dawnego szczęścia.

Pani Barbara bowiem, obeznawszy się z każdym kątem swego nowego domu i nabrawszy już dosyć śmiałości do wykonywania należącego jój prawa gospodyni, przy coraz bardziej przedłużających się historyjkach swojego męża zaczęła pomału objawiać swoje zdanie o rzeczach domu, gospodarstwa i fortuny tyczących. Od objawiania zdania przeszła pomału do rozporządzeń, a dalej do uczynku. I tak: najpierw nie podobały jój się konie cugowe, że były siwe, a ona nie lubiła téj maści, i namówiła męża, że sprzągnął kasztanowatą furmankę. Kasztany wszystkie z rodu waryaty, ledwie co sprzęgnięte, rozbiły na drobnieutki proszek owę misterną landarę, ale to nic nie szkodziło, bo jak powiadała pani, była to i tak arka przedpotopowa.

Daléj nie podobały się pani w dwóch pokojach obicia, bo były karmazynowe, obdarto więc je niebawem i sprowadzono błękitne w złote kwiaty i pasy. Sprowadzając obicia, ażeby dobrej nie

opuścić sposobności, sprowadzono zarazem i kilkanaście sztuk różnych gratów do ozdoby pokojów. Pan stolnikowicz skrobał się w głowę, bo ta posyłka pochłonęła kilka tysięcy, ale kiedy już to wszystko nadeszło, cieszył się bardzo, bo pani była kontenta. W krótkim czasie potem odprawiono sług kilka, bo się pani nie podobały, i temu się pan Józef nic a nic nie sprzeciwiał; ale kiedy pani zażądała niebawem, ażeby starego dyspozytora oddalił, który od maleńkiego chłopca służył w domu Bobowskich, pan Józef stanął okoniem i nie chciał na to żadną miarą pozwolić. Długi spór toczył się o to pomiędzy małżonkami, w którym przecie nakoniec pan mąż odniósł zwycięstwo. Ale dano obiad, pani do obiadu nie przyszła, dano wieczerzę, pani do wieczerzy nie przyszła, a na noc zamknęła się w swojej garderobie i nikogo nie wpuściła do siebie. Na drugi dzień wielka zgoda nastąpiła pomiędzy małżeństwem, i były tam łzy, i uśmiechy, całowania rąk i klęknięcia, — ale dyspozytor dwór porzucił a pan Bobowski musiał mu w sekrecie aż dom z gruntami zakupić w miasteczku, ażeby świat nie krzyczał na niego, że porusza w grobie ojca swego popioły.

Przez ten czas Grott bawił przy panu Józefie. Nie siadywał on wprawdzie wiele w Żernicy, jeno gospodarował na Rogach, ale pomimo to i gospodarstwem żernickim on głównie kierował, i często się tu pokazywał.

— Kto jest ten twój Grott, mój Józefie? — mówiła dnia jednego Barbarka; — na przyjaciela zanadto lichy, na sługę za poufały. Nie chcę ani takiego przyjaciela, ani takiego sługi. Daj mu co, niech sobie idzie na cztery wiatry; ja nie mogę znieść tego człowieka.

— Ale moje dziecko, — odpowiedział na to pan Józef, — żądasz odemnie takich rzeczy, które nie są podobne, a gdyby były podobne, toby nam tylko szkodę przyniosły. Grott mnie jest prawą ręką, jabym bez niego ani tygodnia nie przeżył, a gdybym go nie miał, tobym sam musiał pracować we dnie i w nocy. Minęły już te czasy, kiedy nam szlachcie pieczone gołąbki same leciały do gąbki; przemysł się wzmaga, konkurencya wielka, gospodarstwo wymaga pracy i pilności. A Grott jest drugim mną w gospodarstwie. On mi jest sługą, bo go płacę i co mu zadysponuję, to robi; on mi jest przyjacielem, bo po przyjacielsku mnie od złodziejów pilnuje, i koniec końców sprawuje nieraz rzeczy takie, których żaden sługa nie sprawi.

— A zapewne kradnie tak, jakby żaden sługa nie ukradł. Z małej pensyi tyle ma jedwabiu i złota na sobie, ile ty sam, który masz Żernicę i Rogi.

— Moje dziecko, Grott nie miał żadnej pensyi, a miał jeszcze więcej jedwabiu i złota na sobie, niż teraz. To jest człowiek przemyślny. A przytém cały diabeł w nim siedzi. Co zechcesz, to masz z niego. Trzeba w piecu zapalić, to Grott zapali, a trzeba oracyą powiedzieć na sejmie, ażeby aż w pięty poszła

wszystkim senatorom, to ją Grott powie. A jaki sprytny w handlu, w spekulacjach i w innych sztukach! Powiedz sama, ktoby się tak prędko był wrócił z Krakowa i tak doskonale ci porobił sprawunki, gdyby jego nie było?

Na to Barbarka już tylko się nieznacznie skrzywiła i milcząco odeszła, a Grott jeszcze tą razą ocalał.

Takie sceny powtarzały się teraz dosyć często pomiędzy małżonkami, i srodze nieraz smuciły rozczarowującego się pomału pana Józefa, ale że każda z nich kończyła się przeprosinami i była niejako zwiastunem stałej na dni kilka albo kilkanaście pogody, więc nietylko że te chwile ponure nie psowały uczucia szczęścia rozmiłowanego małżonka, ale, przeciwnie nawet, będąc tylko przemijającymi cieniami, podniosły jeszcze sobą wartość dni przemianistych.

W tak dobitnej i szybkiej alternacji światła i cienia, szczęścia i zgrzyoty, rozkoszy i cierpienia, mijała rącho zima na dworze żernickim, w takich samych okolicznościach zbliżała się wiosna.

W mglistej cokolwiek, ale stałej i jednostajnej pogodzie, mijały też dni i na małej Żernicze.

A na zahoczewskim dworze tymczasem wszystko szło po staremu. Pakosz, ministeryalnym rozumem swoim dokazawszy niemałej sztuki, bo wyswatał pannę, która już prawie nie mogła mieć za mąż pójścia nadziei i kawalera, który sobie sto razy bezęństwo ślubował, zaraz w dni kilka po ślubie na swój urząd do Warszawy pośpieszył. Starzy tylko sami zostali, a przy ustawicznej pracy i zapobiegliwości ojca Julii i przy milczących modlitwach coraz bardziej w swoją chorobę zapadającej matki, cisza grobowa się osiedliła w tej starożytniej ruderze. Czyn tylko podły zawisł nad jej omszonymi dachami, i jak zła gwiazda, błyszczał czasami czerwonym płomieniem, wlokąc za sobą złowróbną ogony, i odzywał się w nocy straszonym głosem puszczyka i łomotał sobą, jakby strasydło po próchniejących krużgankach.... Wszakże na zahoczewskim dziedzińcu nie czyniło to żadnego wrażenia. Kradzież, mord, ni zabójstwo nie paliło jego sumienia, a z wyrzutami takich uczynków on już dawno był oswojony.

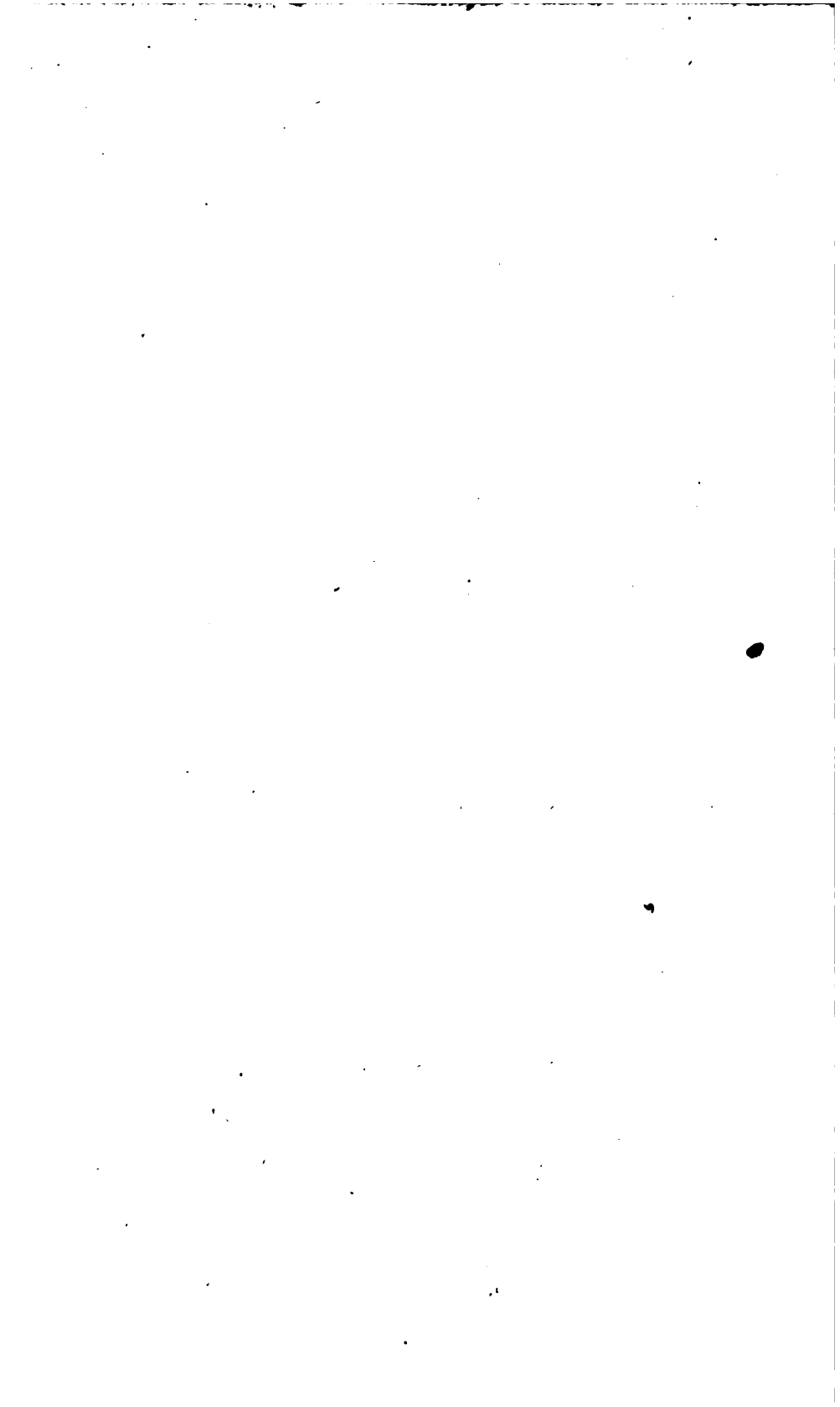
Ale miały przyjść i na niego ważniejsze postrachy. Czas nie-
szczęściami brzemienny, kiedy się nad którą okolicą zawiesi i chojną ręką swoje czarne rozdaje podarki, nierad nikogo pomijać. Więc i nad zahoczewskim zamkiem gromadziły się już chmurki zdaleka, chociaż ich nikt jeszcze nie dojrzał....

(Dokończenie *Braci ślubnych* w tomie dziesiątym.)



SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
Wnuczęta (dokończenie)	1
Kato	73
Bracia ślubni.	113





DZIEŁA
ZYGmunTA KACZKOWSKIEGO

WYJDA W 10-ciu TOMACH,
CO KWARTAŁ DWA TOMY.

CENA PRENUMERATY:

A) Dla prenumeratorów Tygodnika Ilustr. lub Wędrowca:

w Warszawie: jeden tom Rs. 1, w oprawie ozdobnej
Rs. 1 kop. 40.

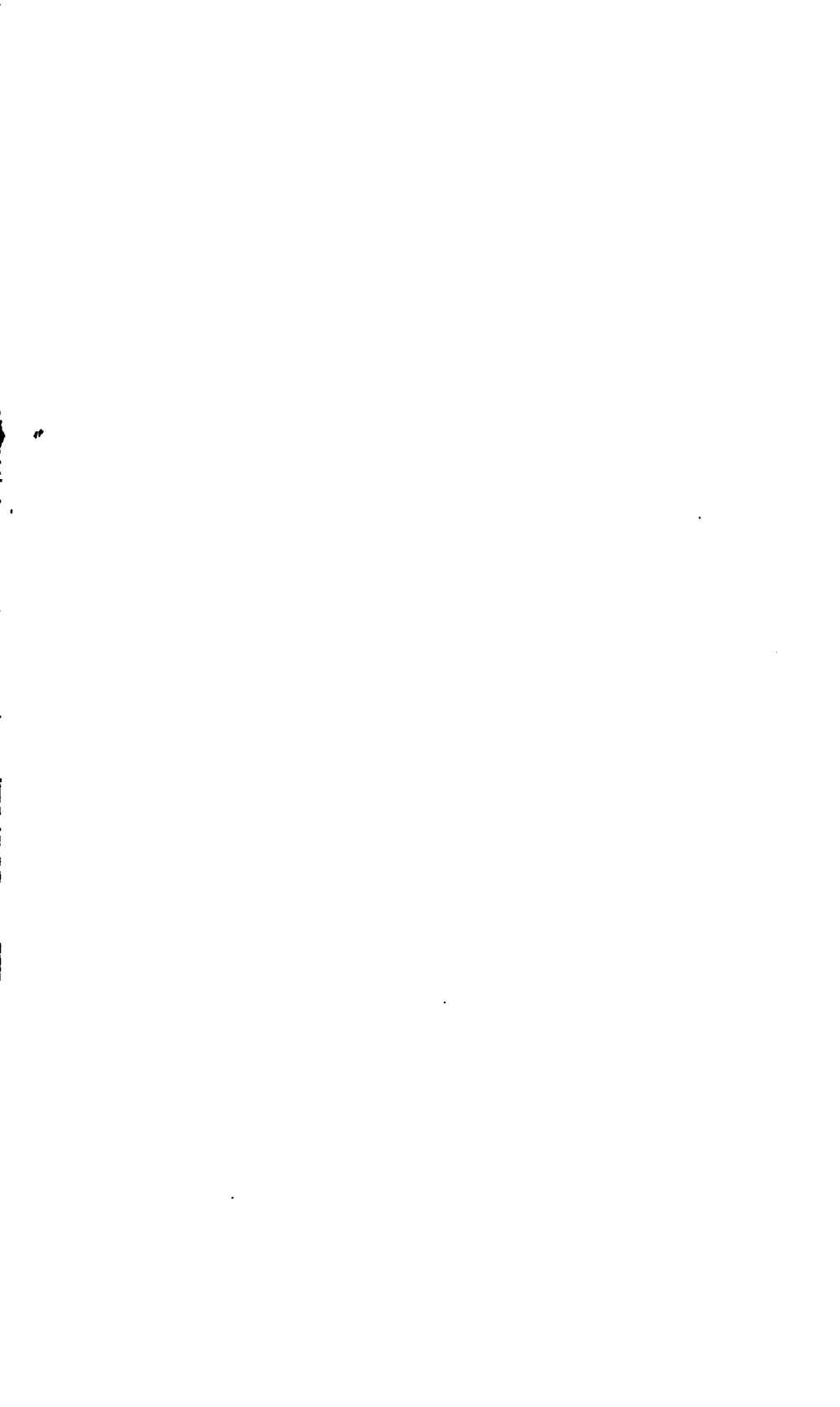
w Cesarstwie i na prowincyi (z przesyłką pocztową):
za dwa tomy Rs. 2 kop. 20, w oprawie ozdobnej
Rs. 3 kop. 20.

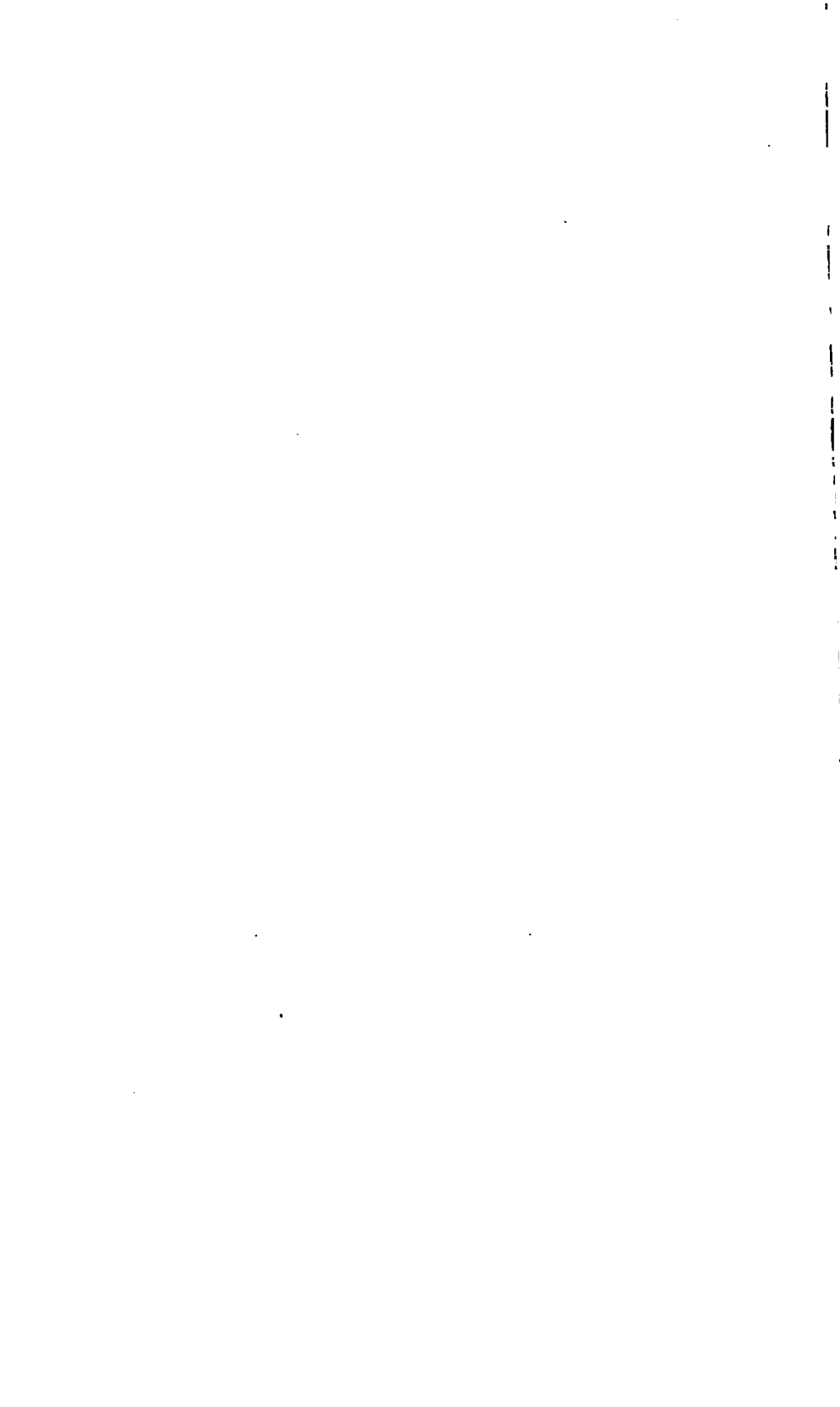
B) Dla nieprenumerujących Tygod. Ilustr. lub Wędrowca:

w Warszawie: za jeden tom rs. 2, w oprawie ozdobnej
Rs. 2 kop. 40.

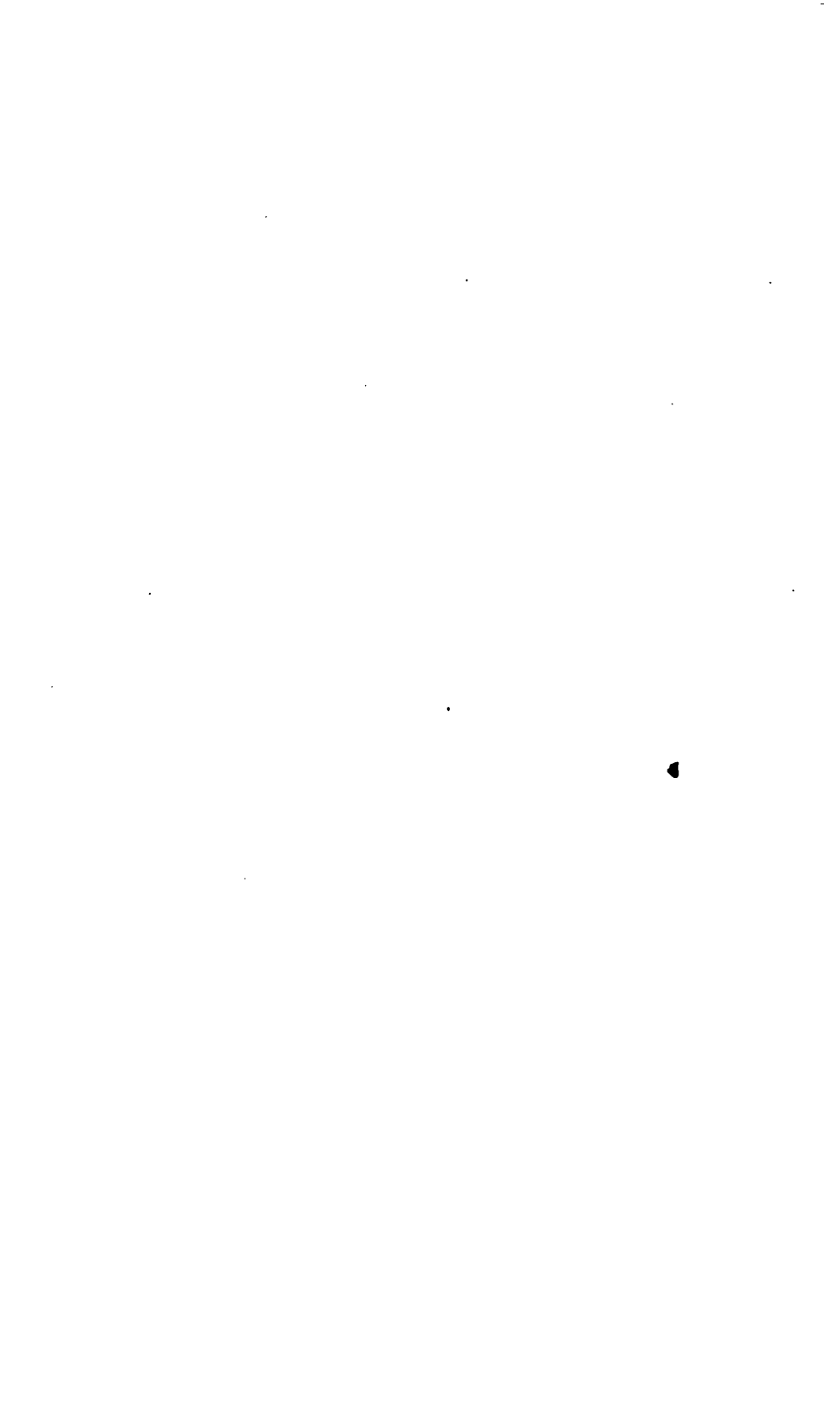
w Cesarstwie i na prowincyi (z przesyłką pocztową):
za dwa tomy Rs. 4 kop. 20, w oprawie ozdobnej
Rs. 5 kop. 20.

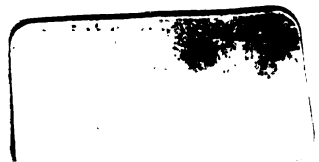
Uwaga. Prenumerata na powyższe dzieła z Cesarstwa i z prowincyi, przyjmuje się najmniej na dwa tomy.













3 2044 094 986 833